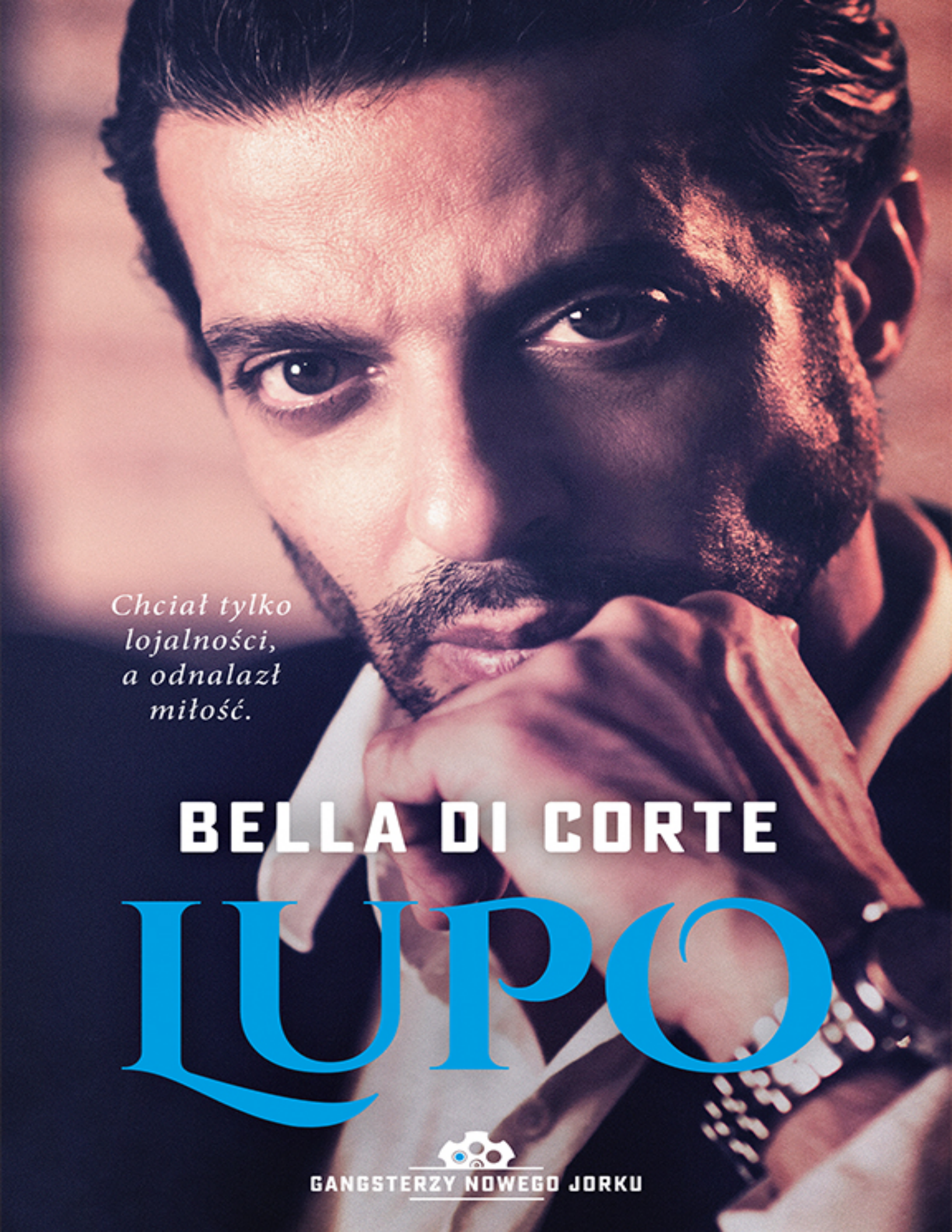
Chciał tylko lojalności, a odnalazł miłość.
BELLA DI CORTE
LUPO
GANGSTERZY NOWEGO JORKU

BELLA DI CORTE

LUPO

PRZEŁOŻYŁA
KAJA BURAKIEWICZ

MUZA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału: ***Machiavellian***
Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*
Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*
Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*
Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Lilianna Mieszczańska*

Fotografia wykorzystana na okładce
© Deagreez/iStockphoto

Copyright © 2020 by Bella Di Corte
© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2021
© for the Polish translation by Kaja Burakiewicz

ISBN 978-83-287-1737-4

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Wydanie I
Warszawa 2021

Dla wszystkich Maripos tego świata.
11.11 należy do Ciebie.
Pomyśl życzenie…

„Każdy widzi, za jakiego uchodzisz,
lecz bardzo niewielu wie, kim naprawdę jesteś”.

NICCOLÒ MACHIAVELLI, *Książę*

WSTĘP

WSTĘP
POSTACI WYSTĘPUJĄCE W KSIĄŻCE
PROLOG – VITTORIO
1 – VITTORIO
2 – MARIPOSA
3 – MARIPOSA
4 – MARIPOSA
5 – MARIPOSA
6 – MARIPOSA
7 – CAPO
8 – MARIPOSA
9 – MARIPOSA
10 – MARIPOSA
11 – CAPO
12 – CAPO
13 – MARIPOSA
14 – MARIPOSA
15 – CAPO
16 – CAPO
17 – MARIPOSA
18 – MARIPOSA
19 – MARIPOSA
20 – MARIPOSA
21 – CAPO

22 – MARIPOSA
23 – MARIPOSA
24 – CAPO
25 – MARIPOSA
26 – MARIPOSA
27 – CAPO
28 – MARIPOSA
29 – CAPO
30 – MARIPOSA
31 – CAPO
32 – CAPO
EPILOG – MARIPOSA
CAPO
PODZIĘKOWANIA

WSTĘP

Droga Czytelniczko, Drogi Czytelniku,

ta podróż rozpoczęła się od perypetii rodziny Faustich (wkrótce poznasz ją dzięki Macowi).

Gdy rozpoczynałam sagę rodziny Faustich, nie miałam pojęcia, jak potoczy się jej historia. Mogłam się o tym przekonać dopiero przy drugim tomie. Jedno jest pewne: gdy zaczęłam pisać, nie mogłam przestać. Fausti otworzyli mi wrota do świata, który całkowicie mnie pochłonął.

Gdy skończyłam pisać sagę, w głowie zaczęły mi kiełkować kolejne historie, które do niej nawiązywały, i nie mogłam się doczekać, żeby zacząć przelewać je na papier. Było ich tak wiele i cały czas się rozgałęziały, że postanowiłam stworzyć osobną kategorię dla opowieści mafijnych mojego autorstwa. Wszystkie historie są ze sobą powiązane w ten czy inny sposób. Rodzina Faustich jest wpływowa i ma długie macki, co oznacza, że w każdej książce z serii natkniesz się niechybnie na któregoś z jej członków, nawet jeśli historia dotyczy innego klanu.

I tu przechodzimy do Lupo, czyli Maca.

Jego historia, podobnie jak większość opowieści, które wyszły spod mojego pióra, całkowicie mnie pochłonęła. Choć w planach miałam inne książki, opowiadające o mężczyznach z rodu Faustich, Mac i Mariposa okazali się ważniejsi. Cudownie było znaleźć się w ich świecie. Choć niektórzy członkowie tej rodziny pojawiają się na kartach powieści, nie musisz przeczytać wcześniej żadnej książki z cyklu *Gangsterzy Nowego Jorku*. Możesz oczywiście czytać wszystkie pozycje po kolei, a wtedy *Lupo* plasuje się pomiędzy piątą a szóstą częścią sagi o rodzinie Faustich.

Dla ułatwienia sporządziłam listę wszystkich członków każdego z mafijnych klanów.

Lupo zajmuje szczególne miejsce w moim sercu. Wyróżnia się spośród wszystkich pozostałych książek mojego autorstwa. Moim zdaniem, biorąc pod uwagę wyjątkowy moment, w którym przyszło nam żyć, potrzebujemy

więcej historii takich jak ta. Opowieści, które odrywają nas od codzienności i zapraszają do innego świata. Są takie książki, a do nich zaliczam sagę Faustich, których lektura jest niczym powrót do domu.

Lupo jest dla mnie jedną z takich książek. Mam nadzieję, że stanie się nią również dla Ciebie.

Serdecznie,

Bella

PS Każda z części trylogii *Gangsterzy Nowego Jorku* jest osobną opowieścią, ale wszystkie rozgrywają się w tym samym świecie. Przeczytaj kolejne części, jeśli chcesz się dowiedzieć, jaki będzie dalszy ciąg tej historii!

POSTACI WYSTĘPUJĄCE W KSIĄŻCE

RODZINA FAUSTICH

Członkowie tej rodziny, którzy pojawią się w *Lupo* lub o których wspominam w książce:

Marzio Fausti (nieżyjący) był głową owianego złą sławą włoskiego klanu Faustich. Jego synowie to: **Luca**, **Ettore**, **Lothario**, **Osvaldo** i **Niccolò**.

Luca Fausti (siedzi w więzieniu) jest najstarszym synem Marzio Faustiego. Jego synowie to: **Brando**, **Rocco**, **Dario** i **Romeo**.

Brando Fausti jest mężem **Scarlett Rose Fausti**.

Rocco Fausti jest mężem **Rosarii Fausti**.

Tito Sala, lekarz, spowinowacony z rodziną. Jest mężem **Loli Fausti**.

Donato, dowódca zbrojnego ramienia rodziny.

Rodzina Faustich jest od lat skonfliktowana z rodziną Stone'ów. W *Lupo* ten wątek jest okrojony, ale warto o nim wspomnieć, bo **Scott Stone**, który pojawia się w powieści, w części drugiej staje się jedną z kluczowych postaci.

RODZINA SCARPONE

Arturo Lupo Scarpone, głowa rodziny Scarpone. Rodzina Scarpone to jeden z pięciu nowojorskich klanów mafijnych. Synowie Arturo to: **Vittorio**

Lupo Scarpone (z matki **Noemi**) i **Achille Scarpone** (z matki **Bambi**).

Vittorio Lupo Scarpone, syn **Arturo** i **Noemi**.

Jego dziadek **Pasquale Ranieri** był światowej sławy sycylijskim prozaikiem i poetą. Miał pięć córek, z których wszystkie, poza **Noemi**, mieszkają we Włoszech: **Noemi Ranieri Scarpone**, **Stellę**, **Eloisę**, **Candelorę** i **Veronicę**. Vittorio ma jednego brata: **Achille Scarpone**.

Achille Scarpone jest synem **Arturo** i **Bambi**.

Jego synowie to: **Armino**, **Justo**, **Gino** i **Vito**. (W *Lupo* z imienia wspominam tylko **Armino** i **Vito**).

Achille ma jednego brata. To **Vittorio Lupo Scarpone**.

Tito Sala, mąż **Loli Fausti**, jest kuzynem **Pasquale Ranieriego**.

PROLOG

VITTORIO

Byliśmy kiedyś władcami świata – mój ojciec i ja. Razem rządziliśmy królestwem wyrzutków, dzieląc tron wyrzeźbiony ze strachu i ślepego szacunku. To wszystko miało być kiedyś moje, a przynajmniej tak mi się wydawało. Jak miałem się wkrótce przekonać, czekało mnie coś więcej aniżeli władza i tron.

To, jak postrzegamy rzeczywistość, zależy od człowieka, jego duszy i perspektywy, jaką obierze. Weźmy mojego ojca. Traktował życie jak pojedynek szachowy, jak grę, w której musi wygrać. Stał się Królem Nowego Jorku, bo każde posunięcie planował z typową dla siebie przebiegłością, bezwzględnie i brutalnie. Nieważne, co robił i jaki ruch chciał wykonać, przyświecał mu jeden cel: wygrana za wszelką cenę, niezależnie od poniesionych kosztów i ofiar. Trzymał się trzech zasad: był przezorny, nie brał jeńców i nie okazywał litości, nawet swoim bliskim.

Miał koneksje, ożenił się z odpowiednią dziewczyną, bywał na przyjęciach, na których warto się pokazać, uwodził lub zabijał ludzi bez względu na ich pochodzenie i stan posiadania. Ojciec udowodnił światu, który stworzyliśmy i nad którym sprawowaliśmy władzę, jak bardzo jest skuteczny i bezwzględny. Bali się go nawet ci, którzy rządzili ulicą. Arturo Lupo Scarpone, Król Nowego Jorku. Nikt nie mógł go przechytrzyć. Nikt nie mógł się do niego zbliżyć, nawet jego własny syn, krew z krwi.

Vittorio Lupo Scarpone – Książę i piękniś.

Arturo zniszczył mi życie, odebrał nazwisko, to nazwisko, wygnał z królestwa, na którego władcę namaścił mnie z taką żarliwością, i wreszcie uznał mnie za zmarłego. Nie bez powodu jego ludzie mówili o nim: *il re lupo*. Król wilków. W imię władzy nie cofnąłby się przed zabiciem swoich dzieci. Stara mądrość mówi, że zmarli nie opowiadają bajek. Zamiast bajki

miałem do opowiedzenia tylko jedną mrożącą krew w żyłach historię. Tym razem mężczyzna, który mnie spłodził, zapłaci za to, co zrobił. Bo skoro w jego przekonaniu byłem martwy, skąd miałby wiedzieć, że nadchodzę?

Buu, skurwysynu. Mówiłeś na mnie Książę, a ja wracam do twojego świata jako Król.

1

VITTORIO

osiemnaście lat wcześniej

W naszej kulturze aranżowane małżeństwa nie były rzadkością. Od zawsze wiedziałem, że nadejdzie dzień, kiedy ożenię się z Angeliną Zamboni. Jej ojciec, Angelo Zamboni, był politykiem, miał odpowiednie koneksje i podobnie jak mój należał do najbardziej wpływowych ludzi w Nowym Jorku. Mój ojciec Arturo Scarpone urodził się bez sumienia, siał postrach i nie unikał rozlewu krwi. Miał wiele na sumieniu, jednak jego ręce zawsze były nieskazitelnie czyste. Budził powszechny lęk i powszechny szacunek. Angelo zaś potrzebował bezwzględnego sojusznika i dlatego, bez konsultacji z córką, od razu wyraził zgodę na nasze małżeństwo.

Byliśmy parą, która wywoływała ogólny podziw i zachwyt. Byliśmy piękni. Spłodzimy piękne dzieci. Nasze wspólne życie będzie piękne. Ta pozorna sielanka skutecznie skrywała ciemne strony mojego życia. Dzień, w którym miałem objąć panowanie nad odziedziczonym po ojcu krwawym królestwem, miał być również dniem koronacji Angeli. Wspólnie mieliśmy zasiąść na tronie, który spływał krwią.

Angelina była również moją *omertà*, moją gwarancją bezpieczeństwa. Miała trwać przy mnie na dobre i na złe, w zdrowiu i chorobie, na każdym policyjnym przesłuchaniu, nawet jeśli moi wrogowie usiłowaliby ją zastraszyć.

W naszym życiu lojalność była cenniejsza niż miłość, a wrogów należało znać lepiej niż przyjaciół. Szybko przekonałem się, że prawdziwa przyjaźń nie istnieje, zaś lojalność zależy od stopnia wzajemnej zależności.

Szliśmy jedną z nowojorskich ulic, gdy nagle Angelina uśmiechnęła się szeroko i sprzedała mi kuksańca, wyrywając mnie z zamyślenia. Zapadł już zmrok, ale jej twarz oświetlały uliczne latarnie.

Miała włosy w kolorze karmelu, opaloną skórę i brązowe oczy. Mój brat powiedział mi kiedyś, że ma złe spojrzenie. W istocie tak było. Gdy pragnęła zemsty, jej oczy zwężały się niczym sztylety. Jej wzrok był pozbawiony litości. Była ode mnie niższa, nawet w szpilkach, ale jak na kobietę i tak wydawała się wysoka. Nogi miała wystarczająco długie, żeby mnie objąć, gdy się pieprzyliśmy.

Za miesiąc będę już mówić do niej „żono”, pani Vittorowo Scarpone, a lata wspólnych interesów naszych ojców będą miały swój owocny finał. Arturo powtarzał wciąż, że obie rodziny wyhodowały wspólnie drzewko oliwne. Angelo przywiózł drzewko ze starego kraju, zaś Arturo posadził je na nowojorskiej ziemi. Z bożą pomocą mieliśmy się doczekać złocistej oliwy.

– Jesteś dziś jakiś małomówny – powiedziała, spoglądając na mnie błyszczącymi oczami.

– Trudno być rozmownym w czasie teatralnego przedstawienia. – Mój oddech był obłoczkiem pary wydobywającym się z ust.

– Nie potrafię czytać w twoich myślach. – Zatrzymała się, a ja wraz z nią. Cofnęła się o krok i stanęliśmy twarzą w twarz. Zmrużyła oczy. – Chcesz się wycofać?

Śnieg zawirował między nami. Białe płatki opadały na ciemny materiał mojej kurtki. Gromadziły się i po chwili topniały. Osadzały mi się na rzęsach.

– O to samo mogę zapytać ciebie – odparłem.

Uśmiechnęła się lekko. Pokręciła głową.

– To już postanowione.

W naszym świecie wszystko kręciło się wokół interesów i wywiązywania się z długów wobec króla.

– Co Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozdziela – powiedziałem.

– Bóg lub twój ojciec – odparła, wsuwając smukłe dłonie do kieszeni drogiej kurtki.

Minął nas mężczyzna w garniturze, z telefonem przy uchu i teczką w dłoni. Nie umknęło mi spojrzenie, którym omiótł Angelinę. Jego zdecydowany krok wskazywał, że chce jak najszybciej uciec przed zimnem. To nie spojrzenie mnie zdenerwowało. Zmroziło mnie coś zgoła innego, coś, co przypominało dotyk zimnej dłoni na karku i nie miało nic wspólnego z panującym chłodem.

Angelina była pionkiem w grze, jeszcze zanim nauczyła się mówić. Znałem ją od dziecka. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że nasz układ nie ma nic wspólnego z miłością, ale i tak zależało mi na tym, żeby nasz związek miał solidny fundament. Wiedziałem, że łatwiej będzie to osiągnąć, jeśli coś nas połączy. Oczekiwałem od niej szacunku zbudowanego na poczuciu lojalności.

Ostatnio jednak coś się między nami zmieniło. Nie pierwszy raz poczułem zimny dotyk, który pobudzał moje zmysły do stanu gotowości.

– Jesteś pięknym mężczyzną, Vittorio. Powinieneś był skorzystać z propozycji ojca, gdy była ku temu okazja.

Zmrużyłem oczy, bacznie ją obserwując. Chciałem przejrzeć ją na wylot. Nie podobały mi się jej przycinki. Choć zwykle nie przebierała w słowach, stawała się coraz lepsza w sztuce subtelności. Kurewsko mi się to nie podobało. Zwłaszcza gdy mówiła o sprawach, które jej nie dotyczyły.

Miała rację. Mój ojciec dał mi kiedyś możliwość odwrotu. Szansę na to, żebym mógł żyć tak, jak chcę, jednocześnie odwalając za niego brudną robotę. Zamiast włączać się bezpośrednio w interesy firmy, mogłem zostać jej twarzą. Mogłem stać się właścicielem wszystkich ekskluzywnych restauracji należących do ojca. Przy okazji moim zadaniem byłoby przekupywanie członków socjety tak, żeby stali się od niego zależni. Ojciec twierdził, że mój wygląd i charyzma są w stanie uwieść każdego. To mój brat Achille miał lepsze predyspozycje, aby zostać jego prawą ręką.

To był jedyny raz, kiedy ojciec dał mi wybór. W rzeczywistości to jednak nie był żaden wybór, ale prowokacja. Kim bym się stał, gdybym pozwolił, żeby mój młodszy brat, którego przezywano Błaznem, zarządzał królestwem u boku ojca? Miękką, bezużyteczną fają. W hierarchii upadłbym niżej od chłopaków sprzątających stoliki, którym ojciec płacił dziesięć dolarów za godzinę.

Angelina domyślała się, że mój ojciec nigdy nie dałby mi o tym zapomnieć. Gdy tylko udawało mu się znaleźć czyjąś słabość, drażnił palcem czułe miejsce tak, żeby rana nigdy nie mogła się zabliźnić. A jeśli zaczynała się goić, natychmiast ją rozdrapywał.

Ojciec wiedział, że moją jedyną słabością była moja matka. Kpił, że jestem piękny tak jak ona i jej włoska rodzina. Co ciekawe, o krewnych matki nigdy by się w tak poufały sposób nie wyraził. Moja matka była bowiem skoligacona z potężnym rodem Faustich, więc mój ojciec, który bardzo dbał o swoje bezpieczeństwo, odnosił się do nich z szacunkiem. Ostatnią rzeczą, której by sobie życzył, było to, żeby zaczęli zwracać na niego uwagę. Fausti, nieproszeni, nigdy nie wtrącali się w nie swoje sprawy. Choć to Arturo rządził Nowym Jorkiem, Fausti byli dla niego nietykalni. Oni rządzili światem.

Gdy powiedziałem ojcu, że wolałbym zdechnąć, aniżeli zrzec się należnej mi pozycji na rzecz Achille, zaśmiał się szaleńczo i poszedł do pokoju, który dzielił ze swoją żoną Bambi. Nie z moją matką. Bambi była matką Achille.

Ojciec zawsze był zdania, że Achille ma znacznie lepsze predyspozycje do załatwiania spraw przy użyciu przemocy niż ja. Chodziło tylko o to, że był ode mnie brzydszy. Udowodniłem jednak nieraz, na co mnie stać, i piękna twarz, którą oglądałem codziennie rano w łazienkowym lustrze, nie miała tu nic do rzeczy. Nasza krew i nasze serca, kość z kości, krew z krwi. Potrafiłem zabijać równie bestialsko jak on.

Angelina nigdy wcześniej nie zająknęła się na ten temat. Nigdy z nią o tym nie rozmawiałem. Skąd, do kurwy nędzy, mogła o tym wiedzieć?

– Achille udostępnia ci poufne informacje.

Zrobiłem krok w jej kierunku, ale nawet nie drgnęła.

– Dlaczego, *la mia promessa*?

Roześmiała się, wypuszczając z ust obłoczek pary.

– Nic tylko obietnica i obietnica, inaczej już do mnie nie mówisz.

– Chciałabyś, żebym zwracał się do ciebie inaczej? Już za miesiąc będę cię tytułował „żono”.

– To bez znaczenia. – Zacisnęła zęby. – Liczy się tylko to, że jestem twoja. Należę do ciebie. Posiadłeś mnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Roześmiała się jeszcze głośniej i westchnęła.

– Vittorio, jestem w ciąży.

– Świetnie – odparłem. – Cieszę się.

Wyglądało na to, że prezerwatywy rzeczywiście nie są stuprocentowo skuteczne. Zawsze starałem się zabezpieczać. Zdarzyło się jednak, że trochę nas poniosło i sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Jeśli mój ojciec się dowie, że ja…

– Nic ci nie zrobi.

Gdyby jej ojciec dowiedział się, że uprawiałem seks z jego córką przed ślubem, mogłoby się zrobić nieprzyjemnie. Angelo bywał porywczy. Gdyby wiedział, że splamiła jego honor, nie cofnąłby się przed spuszczeniem jej lania na goły tyłek. Miała tylko osiemnaście lat, ale jak mówi przysłowie „wiek to tylko liczba”. Była dojrzała ponad swój wiek. Musiała wcześnie dojrzeć.

Zadzwonił jej telefon, więc sięgnęła do torby, odwracając się do mnie plecami. Chwilę potem przystawiła komórkę do ucha i mówiła coś ściszonym głosem. Ktokolwiek to był, rozmawiała o miejscu, do którego szliśmy.

Zmierzaliśmy do restauracji, żeby spotkać się z Tito Salą, kuzynem mojego dziadka ze strony matki. Z tego, co mówiła Angelina, wynikało, że nasze plany uległy zmianie, więc postanowiłem wysłać szybkiego esemesa do Tito. Wspomniał wcześniej, że miał mi coś ważnego do powiedzenia. Lola, jego żona, pochodziła z rodziny Faustich.

Zdążyłem wsunąć komórkę do tylnej kieszeni spodni, dokładnie w chwili gdy Angelina skończyła rozmawiać.

– Zmiana planów – powiedziała, informując mnie o tym, o czym już wiedziałem. – Mamusia była dziś na kolacji w Rosa i nie dość, że był straszny tłok, to Rayowi skończyła się cielęcina. Mam ochotę na cielęcinę alla parmigiana. – Pogładziła się po brzuchu. – Pójdziemy do Dolce.

Bez słowa przytaknąłem. Stałem nieruchomo, patrząc na nią wyczekująco. Wiedziała, na co czekam.

– Vittorio, podsłuchałam prywatną rozmowę twojego ojca i Achille. Jedli razem kolację, a ja przechodziłam obok ich stolika. Nigdy mi o tym nie mówiłeś. – Wzruszyła ramionami. – To mnie zwyczajnie zaciekawiło.

– Nic ci do tego – odparłem.

– Jasne – powiedziała, nie patrząc na mnie. – Chodźmy na kolację. Zmarzłam i chce mi się jeść.

– Angelina… – powiedziałem.

Zanim na mnie spojrzała, westchnęła, wypuszczając z ust obłoczek oddechu. Najwyraźniej chciała jak najszybciej znaleźć się w restauracji, ale jej pośpiech był zastanawiający.

– Znasz zasady. Niebawem zostaniesz moją żoną, ale nie mieszaj się w sprawy mojej rodziny. Nie wtryniaj nosa w nie swoje sprawy, chyba że na moje wyraźne zaproszenie, zrozumiano?

Nie bez przyczyny opiekowałem się nią od maleńkości. Wychowywałem ją na żonę idealną. Musiała trzymać się zasad, ceną było nasze życie.

– Tak jest – odpowiedziała z przekąsem. – Ale twoje sprawy dotyczą także mnie – wymamrotała pod nosem.

Nie było sensu się z nią spierać. Miała rację. Po dłuższej chwili chrząknąłem.

– Powiemy rodzinie o ciąży po powrocie z podróży poślubnej.

– Zgoda – odparła. – Przynajmniej nie będę już mieszkać z nim pod jednym dachem.

Bardzo kochała swojego ojca, ale bała się go jeszcze bardziej. Dla niej to zaaranżowane małżeństwo oznaczało odzyskanie wolności. Dla mnie – jeszcze większą zależność od rodziny. Jedyną formą ucieczki była śmierć.

Gdy dotarliśmy do restauracji, była już mocno zdyszana. Jej pośpiech ponownie wzbudził moje podejrzenia. Przed wejściem objąłem ją ramieniem, chcąc wprowadzić ją do środka, ale pokręciła głową.

– Wejdziemy od tyłu – powiedziała. – Mama uprzedziła, że Gabriella i Bobby przyszli na kolację. Nie mam dziś siły na plotki, a stolik dla nas

Patrizio zarezerwował w prywatnej sali.

Bobby pracował dla mojego ojca, a Gabriella była jedną z wielu kuzynek Angeliny. Ilekroć wpadaliśmy na nią w mieście lub na rodzinnych spotkaniach, ba, nawet w przelocie, w przedsionku, nie przepuszczała okazji, żeby paplać o naszym weselu. Ple, ple, ple. Ta kobieta mogła gadać całymi godzinami bez chwili przerwy.

Gdy skręciliśmy za róg w ciemną wilgotną uliczkę biegnącą wzdłuż budynku restauracji, powitały nas dobiegające ze środka skoczne rytmy piosenki Louisa Prima oraz zapach gotującego się makaronu, pieczonych pomidorów i smażonego czosnku, zmieszany z fetorem śmieci zamarzających w restauracyjnym kontenerze.

Angelina, zamiast się odsunąć, żebym mógł otworzyć przed nią drzwi, jak to mieliśmy w zwyczaju, stanęła i wbiła wzrok w metalową klamkę. Chwilę później zerknęła na mnie i szybko spuściła wzrok.

– Ociągasz się – skomentowałem jej dziwne zachowanie.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Louisa Primy melodyjnie wyśpiewującego *Angelinę*. Zadrżała i rozejrzała się bojaźliwie. Chwilę później dotarło do niej, że nikt jej nie wołał, i wyraźnie się rozluźniła. Ja jednak wiedziałem swoje, była bardzo spięta.

– Coś ci się wydaje, Vittorio.

– Naprawdę, księżniczko?

W mgnieniu oka obróciła się i zanim zdążyła wymierzyć mi policzek, złapałem ją za nadgarstek.

– Spierdalaj – wysyczała.

– Czyżbym dotknął jakiegoś czułego punktu?

Jej ojciec nazywał ją księżniczką, a ona tego nienawidziła. Nienawidziła tego tak bardzo, że podczas spotkania, na którym ustalaliśmy między sobą warunki naszego małżeństwa, postawiła warunek, że pod żadnym pozorem nie będę się do niej w ten sposób zwracać. Dziś jednak coś wisiało w powietrzu, coś, o czym nie chciała mi powiedzieć. Cokolwiek to było, musiała zrzucić z siebie ten pieprzony ciężar. Nie miała w zwyczaju milczeć.

Wyszarpnęła nadgarstek z mojego uścisku.

– Wiesz, co zrobiłeś! Zawsze doskonale wiesz, co robisz! Jesteś taki zimny. Taki… – Zamilkła, jakby próbowała zebrać myśli. – Nieważne. Przecież ty się nie zmienisz! Nie będę gadać po próżnicy.

Uniosłem rękę, odsłaniając nadgarstek. Mój drogi zegarek marki Panerai błysnął w ciemnościach, oświetlając wilka wytatuowanego na mojej dłoni.

– Już czas. – Spojrzałem na zegarek. – Przemów teraz lub zamilknij na wieki.

W odpowiedzi zmrużyła oczy.

– Co ty wiesz o…

Zanim zdążyła dokończyć zdanie, uchyliły się drzwi i z restauracji wyszło dwóch nieznanych mi osiłków. Choć knajpę prowadził Patrizio, Dolce była tylko przykrywką dla ciemnych interesów rodziny Scarpone. Jeden z osiłków zapalił papierosa. Drugi uniósł kołnierz i wbił ręce w kieszenie skórzanej kurtki. Stanęli po obu stronach Angeliny.

– Powiem to tylko raz – warknąłem.

– Co powiesz? – zapytał ten z papierosem.

Jego akcent był ledwo wyczuwalny, ale i tak rozpoznałem, że jest Irlandczykiem.

– Odsuń się.

– A jeśli nie, to co? – zapytał ten w skórzanej kurtce. Był Włochem, ale go nie znałem.

Milczałem, dając im szansę odwrotu.

– Dziecko nie jest twoje – wypaliła Angelina.

Po chwili oderwałem wzrok od osiłków i spojrzałem na nią.

– Nie mogę wyjść za człowieka, który mnie nie kocha – oznajmiła.

Widziałem, że tych dwóch pieprzonych oprychów dodaje jej odwagi. A raczej pewności siebie.

– Przykro mi, że rozstajemy się w ten sposób, ale obiecuję, że kupię ci kwiaty. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Nie mogłem oderwać wzroku od dwóch skurwieli. Śledziłem każdy ich ruch, przysuwali się coraz bliżej Angeliny.

– Po tylu latach niczego się ode mnie nie nauczyłaś, do kurwy nędzy? – zapytałem.

– Nauczyłam się, że jesteś niezdolny do miłości. Jesteś na to zbyt popieprzony. Noemi…

– Nie waż się wypowiadać jej imienia – warknąłem.

Mimo że obecność dwóch oprychów dodawała jej odwagi, natychmiast pojęła, że posunęła się za daleko, więc zmieniła taktykę.

– Naprawdę myślałeś, że zechcę nosić twoje dziecko? Chcę krwi rodziny Scarpone, ale nie twojej.

– Jesteś głupsza, niż myślałem – odparłem.

Zrobiła krok w moim kierunku, niewątpliwie po to, żeby dać mi w twarz, ale zza uchylonych drzwi wyłonił się mój brat i złapał ją wpół.

– Daj spokój, kochanie – powiedział. – Nie sądzisz, że mój brat wystarczająco już dziś oberwał? Odpuść mu.

– Achille – zwróciłem się do niego. – Rozumiem, że należą ci się gratulacje. Podobno będziesz ojcem.

Teraz już wszystko stało się jasne, jego obecność, jej wyznanie.

Kąciki ust Achille uniosły się w leniwym uśmiechu. Wyglądał jak pieprzony Błazen.

– Powiedziała ci?

– Może i tak. – Odwzajemniłem jego uśmiech.

Wzruszył ramionami.

– Obaj wiemy, że to nie ma żadnego znaczenia.

Angelina patrzyła to na mnie, to na Achille, a malujący się na jej twarzy spokój ustępował pola rosnącemu zagubieniu. Głośno przełknęła ślinę, usiłując zdusić wzbierający w gardle szloch.

– Vittorio, dlaczego jej po prostu nie zabiłeś? – zadrwił Achille.

Choć z całych sił próbowała powstrzymać emocje, na jej twarzy pojawił się wyraz skruchy.

– Tak, dlaczego jej po prostu nie zabiłeś, Vittorio, ty pięknisiu? – ponowił pytanie. – Nie żeby to cokolwiek miało zmienić, ale ułatwiłeś mi

przekonanie ojca, że jeden z nas powinien odejść. Chciał ci dać wszystko: swoje królestwo, a wraz z nim piękną żonę, piękny dom i urodziwe potomstwo, które nosiłoby rodowe nazwisko i kontynuowałoby tradycję. Jednym słowem, całą swoją schedę. A ty co? Zdradziłeś go i wszystko zjebałeś.

– Obaj wiemy, że to nie ma żadnego znaczenia – powtórzyłem za Achille. Nic dodać, nic ująć. Jego słowa idealnie podsumowały sytuację.

Achille przymknął oczy i wtulił twarz we włosy Angeliny, wdychając jej zapach.

– Dziękuję, aniołku – powiedział. – Dziękuję ci za wszystko, ale wygląda na to, że twoja lojalność wobec mnie poszła na marne. Mój brat sam wbił sobie gwóźdź do trumny. Dałaś mu tylko jeszcze jeden powód do smutku. Wolałbym dzielić łóżko ze żmiją niż z kobietą taką jak ty. I musisz wiedzieć, kochanie, że zdrada, której się dopuściłaś wobec mojej rodziny, jest niewybaczalnym grzechem.

Angelina zastygła w bezruchu, oddychała coraz szybciej. Utkwiła wzrok w martwym punkcie, podczas gdy Achille wodził nosem po jej policzku, w kierunku ust. Pocałował ją delikatnie i wyszeptał coś do ucha. Angelina zamknęła oczy, a pojedyncza łza spłynęła jej po policzku. Rozbłysła w świetle latarni.

Wreszcie Achille otworzył oczy, uśmiechnął się do mnie szeroko i na odchodne mocno trącił mnie ramieniem. Dwóch osiłków chwyciło Angelinę pod ręce i w tej samej chwili czterech mężczyzn otoczyło mnie z każdej strony. Jeden z nich przystawił mi nóż do gardła. Angelina zaczęła się szarpać i wołać za Achille:

– Jak mogłeś mi to zrobić?!

Chwilę później usłyszałem, jak błaga o pomoc.

Mam być teraz twoim wybawcą, księżniczko? Po tym, jak wystawiłaś mnie na pewną śmierć? Chciałem zapytać, ale postanowiłem milczeć. Słowa i tak trafiłyby w próżnię. Zamiast błagać mnie o pomoc, powinna modlić się do Boga, bo tylko on mógłby ją ocalić. Jeśli Król Watahy zlecał zabójstwo, bez boskiej interwencji nikt nie miał prawa przeżyć.

2

MARIPOSA

teraz

Tylko ubodzy wiedzą, na czym polega różnica między apetytem, a głodem. Z mojego żołądka wydobywało się nieeleganckie burczenie, które przypomniało mi, że faktycznie głodowałam. *Ile dni minęło, odkąd miałam cokolwiek w ustach? Dzień? Dwa?* Nie zjadłam nic poza paroma ochłapami i paczką darmowych krakersów, które sprzątnęłam z jakiegoś fast foodu.

Żołądek zaburczał mi jeszcze głośniej i w myślach kazałam mu się uciszyć. Powinnam była już dawno się do tego przyzwyczaić.

Nie było łatwo przeżyć w mieście, które osobniki takie jak ja zjadało na śniadanie. Nigdy nie mieszkałam poza Nowym Jorkiem. Marzyłam o wyjeździe, ale nigdy nie było mnie na to stać. Pieniądze oznaczały wolność, a ja wolna nie byłam.

Bardziej niż kondycja mojego biednego żołądka zasmucał mnie fakt, że jeśli miałabym odejść z tego świata (przez niektórych zwanego piekłem), nic bym po sobie nie zostawiła.

– Co z tobą, Mari? – powiedziałam sama do siebie. – Co jest, kurwa? Czyżbyś urządziła sobie dzień użalania się nad sobą? To twoja wina i dobrze o tym wiesz. Powinnaś być gdzie indziej.

To jednak okazało się silniejsze ode mnie. Ulice Nowego Jorku były pełne biedy i skrajnego ubóstwa, a zarazem raziły niewiarygodnym wręcz przepychem. Trudno było nie zauważyć, jak nieprawdopodobnie absurdalna była ta życiowa loteria. Dlaczego niektórzy ledwo wiążą koniec z końcem, jedzą czerstwy chleb i chodzą w za ciasnych butach z jakichś darów, gdy

inni wydają tysiące dolarów na implanty pośladków i ubrania, których nigdy nie włożą?

Nie chodzi o to, że im zazdrościłam. Kogo próbuję oszukać? Oczywiście, że im, kurwa, zazdroszczę. A już najbardziej zazdroszczę implantów pośladków, gdy mój żołądek skręca się z głodu.

O tak, Nowy Jork mnie połknął, ale jeszcze nie zdążył wypluć. Nie ulega jednak wątpliwości, że jestem niebezpiecznie blisko wylądowania na śmietniku.

Westchnęłam głęboko i przykleiłam nos do witryny Macchiavello's. Szyld restauracji był złoty, elegancki. Bez wątpienia to jeden z tych lokali, w których stolik należy rezerwować z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Po drugiej stronie lśniącej szyby konsumowały swój posiłek szyte na miarę garnitury i drogie sukienki. Większość z nich jadła steki. Zwykle tak było.

Śliniłam się na samą myśl o tym.

Jeśli uda nam się wyjść z tego cało, my też zamówimy sobie steki.

Dobrze jest mieć marzenia, prawda? Mogę je zapisywać w moim dzienniczku. Kiedyś jakaś kobieta z przedłużanymi włosami i śnieżnobiałym uśmiechem powiedziała mi, że jeśli będę prowadzić taki dziennik, spełnią się moje marzenia, a moje życie stanie się dokładnie takie, jak zechcę. Wystarczy, że codziennie będę zapisywać wszystko, za co jestem wdzięczna, nawet to, czego nie mam, a co wydaje się kompletnie nierealne i poza moim zasięgiem. Chodziło o to, żeby poprzez projekcję marzenia stały się rzeczywistością.

Spraw, żeby się spełniły.

Każde zdanie w moim dzienniku zaczynało się od słowa „jestem".

Jestem wdzięczna, że nie jestem już biedna.

Jestem wdzięczna, że jestem milionerką, której niczego nie brakuje.

Jestem wdzięczna, że podróżuję po całym świecie.

Ale jedno zdanie było moją tajemnicą. Umarłabym, gdyby ktoś je przeczytał.

Jestem wdzięczna, że ktoś wyjątkowy kocha mnie bezgranicznie.

Zanotowałam w myślach, żeby dopisać do początku listy: *Jestem wdzięczna za stek, który zjadłam w wykwintnej restauracji*. Może na przyszłość powinnam być bardziej precyzyjna. Zresztą, jeśli dobrze pamiętam, guru od szczęścia zachęcała mnie do precyzyjnego wyrażania myśli. Akurat byłam w pracy, kiedy jej słuchałam, więc mogło mi coś umknąć.

Guru od szczęścia nie wspomniała, w jakim przedziale czasu marzenia powinny zacząć się materializować. Miałam, kurwa, nadzieję, że wkrótce. Ten stek wyglądał tak apetycznie. Jeśli ktokolwiek z gości zza szyby potrzebowałby nerki, przehandlowałabym moją za stek. Jeśli się nie myliłam, obie były sprawne.

Poza tym po co mi dwie, skoro potrzebuję tylko jednej? Nie byłam egoistką, a jeśli raz w życiu ktoś potrzebowałby mojej pomocy, a w zamian dostałabym posiłek, byłam gotowa się poświęcić. Bez mrugnięcia okiem.

– Hej!

Odwróciłam się w kierunku, z którego dobiegał głos, i chwyciłam mocniej szelki mojego starego skórzanego plecaka. Normalnie bym się nie odwróciła, ale mężczyzna stał blisko i patrzył prosto na mnie.

– Do mnie mówisz? – zapytałam.

– Tak – odparł. – Spieprzaj stąd. Straszysz mi gości. Gapisz się przez szybę tymi wybałuszonymi gałami jak robak, który czeka, aż ktoś go zgniecie.

Jego słowa dotknęły mnie do żywego. Dobrze wiedział, że marzę o jedzeniu, które widać za szybą, a mnie nie stać nawet na hamburgera w podrzędnym barze, a co dopiero na posiłek w jego pięciogwiazdkowej restauracji. Mimo to wyprostowałam się i zmrużyłam oczy.

– A co, zmusisz mnie?

– Jeśli natychmiast się stąd nie wyniesiesz, poproszę ochronę, żeby zaprowadziła cię tam, gdzie twoje miejsce. Na śmietnik.

Gdybym miała siłę, na pewno pokazałabym temu złamasowi środkowy palec.

– Nic złego nie robię! Zastanawiałam się, czy wejść do środka. – To było kłamstwo. – Najwyraźniej jednak twoja restauracja pełna jest szczurów,

takich jak ty, więc raczej podziękuję za gościnę.

Pomyśleć, że byłam gotowa oddać nerkę za jeden z tych jego parszywych steków. Powinnam podwyższyć standardy, zanim zdecyduję się cokolwiek zapisywać w dzienniku. Kto wie, co za gówno mogłoby się zmaterializować. Mogłoby się okazać, że jestem winna nerkę temu dupkowi.

Śmiał się tak głośno, aż trzymał się za brzuch. Zaraz jednak znieruchomiał i pokazał mi środkowy palec.

– Nie będę się powtarzał, Królowo Śmietników. Spieprzaj stąd albo…

Dalsze słowa ugrzęzły mu w gardle na widok drogiego czarnego samochodu, którego kierowca zaparkował z nonszalancją tuż przed wejściem do restauracji. Nie widziałam, czy to kobieta, czy mężczyzna, ale czułam, że to typowo męska zagrywka. Trąciła potrzebą dominacji.

Chciałam się zmyć, nie czekając, aż tajemniczy kierowca wysiądzie, ale skoro uciszył Mądralę, postanowiłam poczekać na rozwój wydarzeń.

Mądrala pobiegł na powitanie mężczyzny wysiadającego z samochodu. Bo był to mężczyzna.

Głos Mądrali stał się uniżony i przymilny, kompletne zaprzeczenie tonu, jakiego używał w stosunku do mnie.

Mądrala nie przestawał paplać, podczas gdy kierowca wysiadł i skierował kroki prosto do drzwi restauracji. Zwykle nie zwracałam uwagi na mężczyzn, ale ten… Nie będę kłamać, od niego nie mogłam oderwać wzroku.

Pod garniturem, który bez wątpienia został uszyty na miarę, miał więcej mięśni, niż dałabym radę wymienić. Był wysoki, barczysty, o złocistej cerze i czarnych włosach. Miał wyraziste rysy twarzy, wydatny nos i pełne usta. Żałowałam, że nie widzę jego oczu, ale były ukryte za okularami, które na bank kosztowały więcej, niż byłabym w stanie zarobić przez trzy lata.

Poczułam zapach jego wody kolońskiej. Nuty cytrusowe i drzewa sandałowego były niczym powiew świeżego powietrza w tym zatłoczonym, zaśmieconym mieście. Wyobrażałam sobie, że tak pachnie ocean lub

egzotyczna kraina. Szedł, emanując taką pewnością siebie, jakby był właścicielem tej restauracji, a może nawet chodnika.

Mądrala otworzył przed nim drzwi wejściowe. Mężczyzna przystanął, przepuszczając w drzwiach dwie elegancko ubrane kobiety. Mądrala uśmiechnął się szeroko i gestem dłoni zaprosił je do środka.

Jedna, dwie, trzy, cztery. Pięć sekund po tym, jak kobiety weszły do środka, mężczyzna odwrócił się i spojrzał na mnie, a ja wypuściłam z płuc powietrze, które nieświadomie wstrzymywałam.

Z tej perspektywy, czyli z przodu, był jeszcze bardziej atrakcyjny. *Ja pierdolę. To jest jak nagłe zderzenie z potężną falą. Zmiecie mnie jak przypływ, wobec którego jestem bezsilna, bo nie potrafię pływać. Na końcu roztrzaska mnie o nadbrzeżne skały.* To były jedyne słowa, które przyszły mi do głowy.

Zresztą rozwalenie mnie to nic trudnego. I tak jestem strzępem człowieka.

Mądralę najwyraźniej zatkało, gdy zdał sobie sprawę, na kogo gapi się mężczyzna w garniturze. Jego twarz przybrała czerwony odcień zarezerwowany dla surowego mięsa. Może z powodu mojej reakcji na nienawistne spojrzenie Mądrali mężczyzna w garniturze omiótł mnie badawczym spojrzeniem.

– Przepraszam, sir – powiedział Mądrala. – Zaraz wezmę…

Zanim Mądrala dokończył zdanie, mężczyzna uciszył go gestem dłoni. Intensywność, z jaką przyglądał mi się zza okularów, była nie do zniesienia. Po reakcji mojego ciała wiedziałam, że mnie uważnie obserwuje.

Od lat przy nikim nie czułam się taka mała.

Oceniana. Skazana. Wyśmiana. Wygnana.

Spojrzałam pod nogi i zaczęłam bawić się szelkami plecaka. Gdy mój wzrok zatrzymał się na tenisówkach, poczułam się jeszcze gorzej. Były o dwa rozmiary za małe, poprzecierane na palcach i prawie dziurawe. Czasami modliłam się o te dziury, bo przynajmniej przestałyby mnie boleć stopy. Tu i ówdzie widniały plamy krwi. Mimo to cieszyłam się, że je mam, bo nie stać mnie było na zakup używanych ani tym bardziej nowych.

Jestem wdzięczna, że mam szafę pełną wygodnych butów.

Postanowiłam popracować jeszcze nad tym zdaniem po powrocie do domu i uzupełnić je o konkretne przykłady butów, które chciałabym mieć.

Jestem wdzięczna również za to, że moja koszulka baseballowa pasuje do tych przeklętych butów.

To było jedyne prawdziwe stwierdzenie, którego mogłam się dziś chwycić, a które dotyczyło mnie.

Ach tak, wracając do gościa w garniturze… Chciałam rzucić mu wyzywające spojrzenie, sprowokować go do wyrażenia jakiegoś osądu, żeby w odpowiedzi dać mu do zrozumienia, jak mało mnie obchodzi jego zdanie, ale nie byłam w stanie na niego spojrzeć. Moje policzki płonęły niczym otchłanie Hadesu. Poczułam strużkę potu spływającą między piersiami i nagle stałam się w pełni świadoma mojego ciała. Byłam bardzo zdenerwowana.

Bez zastanowienia odwróciłam od niego wzrok, udając, że jego spojrzenie nie powoduje we mnie natychmiastowej chęci ucieczki i jednocześnie mnie paraliżuje. Uznałam, że nie powinnam przesadzać, więc po chwili odwróciłam się i zaczęłam się zbierać.

Zatrzymałam się w pół kroku i rzuciłam na odchodne:

– Nic mi po waszej beznadziejnej restauracji – krzyknęłam. – A ten stek na pewno nie jest wart mojej nerki! – Pokazałam im środkowy palec.

Mężczyzna zmarszczył ciemne brwi, lecz po chwili, zaraz, zaraz, czy on się uśmiechnął? Trudno powiedzieć na pewno, bo ten uśmiech wydawał się nienaturalny, tak jakby gość od dawna nie używał mięśni ust. Nieważne. Wmieszałam się między ludzi, zanim mogłam mu się dobrze przyjrzeć. Stałam się kolejnym ciałem w milionowym tłumie.

3

MARIPOSA

Caspar, no weź! Daj mi szansę! Odpuść mi trochę!

– Znowu się spóźniłaś. Jesteś zwolniona. Zwolniona. Zwolniona.

– Nie mówisz tego poważnie! Jestem pewna, że nie to miałeś na myśli.

– Owszem. Mogę ci pożyczyć słownik, który trzymam na biurku na okazje takie jak ta, jeśli chcesz sprawdzić znaczenie słowa „zwolniona”.

– To naprawdę fatalny dzień na wyrzucenie mnie z pracy! Ogarnęłam się, uwierz mi. Właśnie zmieniam swoje życie, przemyślałam różne rzeczy. To się więcej nie powtórzy!

Zamachnął się ścierą, którą polerował kontuar.

– Mam ci odpuścić?

Przytaknęłam, przygryzając wargę. Po jaką cholerę tyle czasu poświęciłam na zastanawianie się, czy przehandlować nerkę za stek, i na wpatrywanie się w mężczyznę, który najprawdopodobniej był dziedzicem fortuny. Mogę się założyć, że jego największym życiowym zmartwieniem było dopasowanie samochodu pod kolor krawata.

A jakie mógł mieć oczy? Nie odsłonił ich nawet na chwilę. W myślach zaczęłam przeglądać katalog kolorów: zielone, piwne, brązowe, niebieskie. A może są jasnobłękitne jak greckie morze, rozświetlone promieniami słońca, albo ciemne jak ocean w czasie sztormu? Kolejno dopasowywałam kolory do jego twarzy.

– Mari, chciałbym, żebyś uważnie wysłuchała słowa na dziś.

Zamrugałam i skupiłam się ponownie na Casparze.

– Mariposa, słyszysz, co do ciebie mówię?

Zmrużyłam oczy. Nie chciałam być niemiła, ale nie cierpiałam, gdy ktoś zwracał się do mnie pełnym imieniem. Caspar dobrze to wiedział, bo powiedziałam mu o tym, jak tylko mnie zatrudnił.

– Yhm, tak, słyszę.

– Zwolnienie z pracy. Definicja: zostać zwolnionym przez pracodawcę z pełnienia obowiązków służbowych. Pozwól, że użyję tego słowa w zdaniu. „Mariposa została zwolniona”. – Wymówił „zwolniona”, przeciągając głoski: „zwol-nio-na”. – Zrozumiano?

– To ma być ta taryfa ulgowa, Caspar?

– Przecież nie kazałem ci się fatygować do mojego gabinetu po słownik.

– No weź, serio?!

– Serio. Wiedziałaś, na co się piszesz. Kiedy zdecydowałaś się na pracę u mnie, powiedziałem ci, jakie są zasady. Jeśli cię zwolnię, będziesz musiała przeczytać na głos definicję ze słownika. Być może uchroni cię to przed popełnieniem dwukrotnie tego samego błędu. – Przerwał i po chwili dodał: – Może dobrze by ci zrobiło, gdybyś przeczytała tę definicję na głos.

Upuściłam plecak na podłogę i usiadłam na krześle z melodramatycznym stęknięciem. Gdy tylko mój tyłek plasnął o drewno, skuliłam się, a twarz ukryłam w ramionach, opierając czoło na pogniecionej gazecie, która leżała na biurku.

– To jest kompletnie popieprzone. Myślałam, że się lubimy – powiedziałam, wskazując na siebie i na Caspara.

Choć kilkakrotnie dałam plamę, bardzo lubiłam pracę w Home Run. Był to sklep, który specjalizował się w rzadkich pamiątkach związanych z baseballem, a także zaspokajał potrzeby tych, którzy chcieli zamówić spersonalizowane gadżety. Gdy interes zaczął dobrze prosperować, Caspar i jego żona Arev uruchomili w sklepie małą kawiarnię.

Lokal był niewielki, a zarazem wystarczająco duży, żeby pomieścić tych klientów, którzy lubili napić się kawy, śledząc przy okazji dwudziestoczterogodzinne transmisje z meczów baseballowych, wiadomości sportowe i doniesienia ze świata. Klientelę mieliśmy zróżnicowaną, ale większość naszych stałych gości była po czterdziestce, więc wpadali zwykle na kawę i przeczytać gazetę.

Poprawka, stałych gości Caspara. Przecież mnie, kurwa, zwolnił.

Wiedziałam, że Caspar nie skończył jeszcze się nade mną pastwić, zwłaszcza że usiadłam, zamiast wyjść, ale zanim zdążył się rozkręcić na dobre, dzwonek w drzwiach zaanonsował, że przyszedł klient. Nawet bez dzwonka, po samym zapachu perfum, zorientowałabym się, że ktoś wszedł. Wyraźnie zapachniało różą i lawendą.

Wyściubiłam nos z mojej prowizorycznej kryjówki, zerkając ukradkiem na Caspara, który przywitał się z dwiema kobietami. Jedna była blondynką, a druga brunetką. Obie podziękowały za kawę, a następnie brunetka się przedstawiła.

– Scarlett Fausti. Dzwoniłam kilka miesięcy temu w sprawie oprawienia koszulki i czapeczki dla mojego męża. Moja przyjaciółka, Violet, kontaktowała się z państwem w sprawie zamówienia. – Scarlett wskazała na blondynkę. – Poinformowano nas, że możemy przyjść po odbiór.

Byłam pewna, że Scarlett pachniała płatkami róż, a ta druga, Violet, lawendą.

Z jakiegoś powodu trudno było nie patrzeć na Scarlett i nie pomyśleć o zapachu róż; być może z racji jej ciemnych włosów i jasnej cery. Miała niezaprzeczalny urok.

Caspar próbował odszukać zamówienie, a mnie uderzyło, jak zareagował na dźwięk jej nazwiska. Nieraz byłam świadkiem, jak obsługiwał celebrytów albo ludzi, których uznawał za ważnych – wydawał się dumny, wyraźnie się prostował i dosłownie promieniał.

Odchyliłam głowę, zdmuchując z twarzy niesforne kosmyki włosów.

– To ja odbierałam pani zamówienie – powiedziałam. – Jest na zapleczu. Wyszło bardzo ładnie. Pani mąż będzie zachwycony.

Scarlett zamówiła oprawę baseballowej koszulki i czapeczki męża. Podobno w liceum grał w szkolnej drużynie.

Caspar pokuśtykał na zaplecze po ramę, a kobiety spojrzały na mnie.

– To z tobą rozmawiałam? – zapytała Scarlett.

Przytaknęłam.

– Tak, gdy składała pani zamówienie.

– Masz na imię Mari, prawda?

– Tak, to ja – odparłam.

Kiwnęła głową bez słowa. Wpatrywała się we mnie badawczo, jakby spojrzeniem chciała przewiercić mnie na wskroś. Miała przenikliwe zielone oczy, które zdawały się mówić, że wie więcej, niż powinna. Nie chciałam czuć się znowu oceniana, spojrzenie mężczyzny w garniturze wystarczająco mnie speszyło. Nie miałam pewności, że i ona miała taki zamiar, raczej próbowała mnie wyczuć.

– Scarlett… – Violet ją szturchnęła.

– Hmm?

Scarlett robiła wrażenie nieobecnej. Violett szturchnęła ją ponownie, gdy z zaplecza wyłonił się Caspar z ramą. Scarlett drgnęła na dźwięk głosu i z widocznym trudem oderwała ode mnie wzrok.

Czy świat stanął dziś na głowie? Czy dzisiaj był dzień „pastwienia się nad Mari”? Choć nikt z wyjątkiem garstki ludzi nie miał pojęcia o moim istnieniu, to i tak jedna z nielicznych znanych mi osób postanowiła się mnie pozbyć. A do tego nagle znalazłam się w centrum zainteresowania, niczym jakiś robal na talerzu.

Oparłam czoło o gazetę, przysłuchując się rozmowie.

– Och, mój mąż będzie zachwycony! Grał w liceum i nawet dostał garnitur sportowy. Chcieli go rekrutować do pierwszej ligi, ale on postanowił wstąpić do Straży Nadbrzeżnej – powiedziała Scarlett.

– Brando Fausti uśmiechnie się, gdy zobaczy, co dla niego masz, a przy okazji jego uśmiech uszczęśliwi jakąś kobietę.

Caspar zabawiał klientki rozmową, pakując ramę w brązowy papier. Gdy skończył, ponownie brzęknął dzwonek przy wejściu, a w drzwiach stanął mężczyzna w garniturze. Przyszedł odebrać od kobiet pakunek. Scarlett mówiła na niego Guido. Zwracał się do niej po włosku. Miał ciemne oczy, ciemne włosy i wiało od niego grozą. Serio, poza mężczyzną w garniturze, nie widziałam nigdy tak przystojnego faceta. Był równie dobrze zbudowany, drogi garnitur doskonale podkreślał zarys jego muskularnej sylwetki.

Czy ktoś dolał mi dziś czegoś do wody? A może przyswoiłam za dużo żelaza? Zachowywałam się dziś jak jebnięta wariatka.

Guido był nieznośnie przystojny, ale nie mógł konkurować z mężczyzną w garniturze. Odetchnęłam, mój oddech był gorący. Nie ma porównania. Mężczyzna w garniturze wprawił mnie w zakłopotanie. Poczułam się przy nim bezbronna, oceniona. Gdy patrzyłam na Guido, nie czułam nic, po prostu jego wygląd okazał się miły dla oka. To nie było szczególnie zaskakujące, bo zwykle i tak nic do nikogo nie czułam. Jak to niegdyś ujęli jedni z moich rodziców zastępczych? „Jesteś martwa w środku”.

Guido wziął ramę pod pachę i ruszył do wyjścia, a Violet przytrzymała mu drzwi. Scarlett podeszła do mnie. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się zawahała. Gdy Violet ją zawołała, przygryzła tylko wargę, podziękowała za pomoc i wyszła. Jednak mogłabym przysiąc, że na odchodne powiedziała coś w rodzaju: „do zobaczenia wkrótce”. Gdy opuściły sklep, spodziewałam się, że Caspar mnie wyprosi, ale po chwili przysiadł się do mnie z kawą.

– Czytałaś to? – Postukał w róg gazety, która poplamiła mi czoło tuszem.

Usiadłam, wzdychając ciężko, i zerknęłam na nagłówek. Hmm. Morderca w Nowym Jorku? Ciekawe, może zrobi mi przysługę i zajrzy też do mnie? Choć byłam dziś w sarkastycznym nastroju, postanowiłam trzymać język za zębami. Nieraz już przejechałam się na tym moim sarkazmie.

– Fausti – powiedział. – Znasz to nazwisko?

Już miałam zapytać, co nazwisko Fausti ma do nagłówka gazety, ale milczałam. Nie miałam siły na bezsensowną paplaninę. Mój świat stanął w płomieniach i czekałam już tylko, aż zajmę się od pojedynczej iskry. Najwyraźniej w moich żyłach płynęła nie krew, ale benzyna. Pogaduchy bez ładu i składu potęgowały tylko wrażenie nadciągającej katastrofy. Chciałam uciec, ale problem tkwił w tym, że nie miałam dokąd.

– Mówią, że morderstwa zleciła mafia. Albo że to były porachunki – westchnął Caspar. – Ta urocza dziewczyna, która przed chwilą wyszła, na pewno nie miała z tym nic wspólnego. Jest słynną baletnicą, ale ludzie jej męża trzęsą miastem. To mi dało do myślenia.

– Tylko żebyś się nie nadwerężył – powiedziałam.

Caspar się roześmiał. Zwykle łapał moje żarty.

– Dobrze wiesz, że to nic osobistego – zapewnił mnie. W jego głosie słychać było szczerość. Podetknął mi pod nos kubek. W środku leżały cztery banknoty dziesięciodolarowe. Gapiłam się na nie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Potraktuj to jako prowizję za przyjęcie zlecenia od Faustich. – Zamilkł na kilka chwil, po czym odchrząknął. – Mari, nie mogę na tobie polegać. Arev jest chora, wiesz o tym. Muszę teraz z nią być. Ta chemia… – Nie dokończył myśli. – Mój syn wkrótce przyjedzie, ma przejąć po mnie interes. Nie mogę go dodatkowo obarczać nieodpowiedzialnym pracownikiem. To nie byłoby fair.

Podniosłam się z krzesła i poklepałam go po głowie. Nie miałam serca sprzedawać mu kitu. To prawda, spóźniłam się dziś z powodu mężczyzny w garniturze i tego cholernego steku, ale przez ostatnich kilka miesięcy chodziłam także na zajęcia do college’u stanowego. Mój szkolny grafik od czasu do czasu pokrywał się z godzinami pracy.

Chciałam coś osiągnąć, ale nie miałam odwagi nikomu o tym powiedzieć. Gdybym nie zdała, mogłam schować tę porażkę do szafy razem z innymi trupami. Taki właśnie miałam zamiar, chciałam utrzymać studia w tajemnicy. Wiedziałam, że i tak nie dam rady ich pociągnąć.

Jaki to w sumie miało sens?

Wbrew powszechnej opinii sięganie dna nie zawsze było katapultą do lepszego życia. Czasami grzebało wszystkie marzenia pod grubą warstwą popiołu. Czułam, że bezradność paraliżuje każdy mój ruch.

Wzięłam plecak i z kubkiem w dłoni udałam się w kierunku drzwi. Byłam tak przybita, że nawet ten drobny przejaw życzliwości nie podniósł mnie na duchu.

– Mam nadzieję, że Arev poczuje się lepiej – powiedziałam do wtóru dzwonka, zamykając za sobą drzwi.

– O, nie, nie, nie, nie! – dysząc, rzuciłam plecak na podłogę. Serce waliło mi tak mocno, jakby miało zaraz wyskoczyć.

Do cholery! Ktoś wymienił zamek w drzwiach tej parszywej nory, w której mieszkałam.

Nora to i tak był komplement. Składała się z kuchni, w której spałam na rozkładanym polowym łóżku, wyposażonej w zardzewiałą kuchenkę i jeszcze bardziej zardzewiałą lodówkę, oraz z łazienki, która pamiętała jeszcze czasy wynalezienia kanalizacji. Była ciasna, ale własna.

Własne mieszkanie oznaczało, że nocą nie musiałam się włóczyć po mieście. Własne oznaczało, że nie musiałam się szwendać do świtu po nocnych lokalach, zaklinając sen kolejnymi kubkami kawy, modląc się, żeby nie skończyły mi się pieniądze. Własne mieszkanie dawało mi też prawie całkowite poczucie bezpieczeństwa. Dzielnica była szemrana, ale nie wtrącałam się do nie swoich spraw, pilnowałam plecaka, zaś ulice przemierzałam w moich gównianych tenisówkach naprawdę szybkim krokiem. Co teraz ze mną będzie?

Wylądowałam. Na. Ulicy.

Ktokolwiek powiedział, że nieszczęścia chodzą parami, miał pieprzoną rację. Nabrałam przekonania, że koleś z pięciogwiazdkowej restauracji (nie ten w garniturze, tylko ten drugi) był diabłem wcielonym i to jemu zawdzięczałam moje fatalne położenie.

Rzeczywistość dała mi nieźle w kość, a moje problemy stawały się coraz bardziej realne. Nie mogłam oddychać. Upał wibrował wokół mnie niczym brzęczący rój owadów. Czułam, że zaczyna brakować mi powietrza. Miałam mętny wzrok. Pot lał się ze mnie, skapując na ubranie. Moja kretyńska koszulka baseballowa, przetarte dżinsy i za ciasne buty na pewno zaśmiardły już do reszty.

Czy to możliwe, że od za ciasnych butów mogło mi się kręcić w głowie? Może odcięły mi dopływ krwi do mózgu? A może Nowy Jork stanął w ogniu?

– Mari, ty chyba zwariowałaś – powiedziałam do siebie. – Przestań świrować.

Osunęłam się na podłogę przed drzwiami swojego mieszkania. Byłam kompletnie wyzuta z sił. Wyzuta. Wyzuta. Wyzuta.

Miałam dość ciągłych ucieczek przed goniącym mnie diabłem. Miałam dość walki o każdy kolejny dzień, tylko po to, by znów znaleźć się w piekle. Co zyskałam po latach ciągłych ucieczek? Nic. I tak mnie dogonił.

Otworzyłam plecak w poszukiwaniu dziennika.

O, nie, nie!

Gorączkowo przeszukiwałam wszystkie zakamarki. Wiedziałam, że nie mogłam go zgubić. Wszystko inne było na swoim miejscu: spinka w kształcie motyla, nowy zestaw kredek, zeszyt do kolorowania, paczka gum, długopis.

Powinien tu być, ale zniknął. Zgubiłam swój dziennik! Zgubiłam świętość, która skrywała wszystkie moje marzenia, pragnienia i to, za co byłam wdzięczna!

Wiem, być może moja rozpacz była nadmierna, ale ten dziennik był jedną z niewielu konkretnych rzeczy, które miałam. Podobnie jak nudna praca, obskurne mieszkanie i za ciasne buty.

Mari, skup się! Kiedy go ostatnio widziałaś? Próbowałam przypomnieć sobie ostatni raz, kiedy po niego sięgnęłam. *Dziś rano. Zanim wyszłam do Home Run*. Cholera! Położyłam go obok Very w moim „mieszkaniu”.

Los najwyraźniej przewidział, że moje życie miało dziś implodować i chciał mi coś dać do zrozumienia. *Dziecko, zostaw ten dziennik pobożnych życzeń. Nie będziesz musiała patrzeć, jak twoje marzenia przeistaczają się w popiół razem z twoim życiem.*

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego aż tak przywiązałam się do tego głupiego zeszytu. To samo dotyczyło Very. Nigdy nic nie miałam, przynajmniej nie na stałe, choć pamiętam czasy, kiedy wydawało mi się, że może być inaczej. Pamiętam, że uwierzyłam w możliwość zmiany na lepsze. Gdyby tylko udało mi się wreszcie uprzedzić bieg zdarzeń, mogłabym coś osiągnąć i przytrafiłoby mi się coś cudownego.

Wstąpiła we mnie wiara i zdałam się na los.

Któregoś dnia, podczas jednej z moich nocnych zmian, telewizyjna guru przemówiła do mnie z anteny. Utrzymywała, że od lat prowadzi dziennik marzeń. Powiedziała, że zapisuje w nim wszystko to, za co jest wdzięczna,

nawet jeśli to coś nie istnieje. Stwierdziła, że tym sposobem marzenia mogą się urzeczywistnić. Podobnie jest z torami kolejowymi, które powstają, zanim pojedzie po nich pociąg.

To wszystko wydawało mi się tak proste i oczywiste.

Nie wymagało dużych nakładów pieniężnych, wystarczył zwykły zeszyt. Postanowiłam poszukać czegoś w okazyjnej cenie, więc któregoś dnia po pracy udałam się na jeden z miejskich bazarów. Zakup nadwerężył moje skromne oszczędności, ale uznałam ten wydatek za inwestycję w przyszłość.

Uwierzyłam, że dziennik stanie się żywym dowodem na to, że można odwrócić koleje losu. Przyniesie mi zasłużoną ulgę, będzie niczym chłodna morska bryza, która zgasi trawiący mnie ogień.

Tego dnia kupiłam dwie rzeczy: oprawiony na fioletowo dziennik i aloes w doniczce.

Wypatrzyłam je na jednym ze stoisk, doniczka stała oparta o zeszyt, oprawiony w okładkę z misternym nadrukiem. Handlarz sprzedał mi je okazyjnie za pięć dolarów. Tego dnia narodziły się Vera i Podróżniczka. Gdy potrzebowałam powiernika, zwracałam się do Very. Gdy potrzebowałam otuchy, sięgałam po Podróżniczkę. Nie muszę chyba dodawać, że Vera lubiła nasze pogawędki, a większość stron Podróżniczki była już gęsto zapisana.

Serce podpowiadało mi, że mój dziennik i roślina są blisko mnie. Dłonie mi drżały, czułam się jak wspinacz, którego lepkie palce ześlizgują się ze skałki, tuż przed zdobyciem szczytu. Spadałam w przepaść.

– Takie już moje szczęście – wymamrotałam.

Czułam, że atak paniki ustępuje miejsca zmęczeniu. Mogłabym zostać na tej podłodze i zasnąć na wieki. Uniosłam głowę, spojrzałam na sufit i zamknęłam oczy. Uciekłam w marzenia, tak bardzo pragnęłam, żeby było inaczej.

Choć raz w życiu pragnęłam odnaleźć bezpieczną przystań. Tak bardzo jej potrzebowałam.

Gdy na nodze poczułam dotyk czyjegoś buta, nie miałam nawet siły, żeby otworzyć oczy.

– Zmieniłem zamki – powiedział Merv. – Nie zapłaciłaś za czynsz. Nie jestem organizacją dobroczynną.

– Spadaj, Merv – odparłam. – Przecież spóźniłam się tylko trochę.

– Spóźniłaś się miesiąc i to nie był pierwszy raz. Już i tak darowałem ci odsetki.

– Nie przyszło ci do głowy, że należy mi się taryfa ulgowa? Umówmy się, to nie jest żaden pałac. Szczurom pozwalasz mieszkać tu za darmo. Od początku jest ze mną wielodzietna szczurza rodzina. Złamasy kradną moje jedzenie i obsrywają każdy kąt!

Milczał tak długo, że byłam zmuszona otworzyć oczy. Wiedziałam, że nie odszedł, bo jego śmierdząca woda kolońska nie przestawała drażnić mojego powonienia. Odkąd go poznałam, budził moją nieufność, więc trzymałam się od niego z daleka, a teraz niepokój powrócił ze zdwojoną mocą. W oczach miał coś, co przywodziło na myśl schorowanego szczura. Byłam przekonana, że jest ich przywódcą.

Dłonie miałam zajęte, bo ściskałam nimi kurczowo szelki od plecaka, więc usiłowałam wstać, odpychając się nogami od ściany, ale jednym susem znalazł się przy mnie.

– Mógłbym darować ci ten miesiąc. – Wzruszył ramionami. – Jeśli coś dla mnie zrobisz.

Pokręciłam głową, zanim zdążył wyjaśnić, o co mu chodzi. Wiedziałam, do czego pije, i wolałam, kurwa, zdechnąć, niż zgodzić się na jego warunki. Nie pierwszy raz proponował mi seks w zamian za mieszkanie. Tym razem jego zachowanie było inne. Miał w sobie coś z drapieżnika.

Uciekaj, wrzasnęło coś we mnie. To był krzyk mojej intuicji.

– Spierdalaj, Merv! – odparłam z mocą. – Potrzebuję dwóch minut, by zabrać swoje rzeczy, i spadam stąd.

Pokręcił głową.

– Wisisz mi kasę. Jeśli chcesz odzyskać swoje rzeczy, musisz coś dla mnie zrobić.

– Chyba żartujesz – wyszeptałam, w nadziei, że nie usłyszy strachu w moim głosie. – Musiałbyś mnie najpierw zabić.

Choć całe życie musiałam się przeprowadzać, nigdy nie dopuściłam do sytuacji, żeby strach czy głód pchnęły mnie do handlowania własnym ciałem, zbyt wysoko się ceniłam. Moja wewnętrzna siła pchała mnie naprzód, powolutku, ale na moich zasadach.

Mimo bezwładu spowodowanego zmęczeniem, które przenikało mnie na wskroś, na samą myśl o nim wzdrygnęłam się i poczułam w gardle kwaśną treść żołądka. Wolałabym puścić się z nieznajomym, niż pozwolić mu się do siebie zbliżyć. Spodnie opadały mu z tyłka, a to, co z nich wyzierało, nie zawsze wyglądało jak włosy.

– Zobaczysz, sama tu wrócisz! – krzyknął za mną, tłustym ramieniem opierając się o ścianę. Ruszyłam w kierunku wyjścia. Z mieszkania obok wyszły właśnie dwie osoby. – A gdy wrócisz, cena wzrośnie!

Ponieważ mieszkałam na trzecim piętrze, czasami zostawiałam uchylone okno. Nazwijcie mnie naiwną wariatką, ale zawsze miałam nadzieję, że przez tę szczelinę wejdzie jakiś bezdomny kot i rozprawi się ze szczurami w moim mieszkaniu. Nie było mnie stać na inne rozwiązanie, a próby załatwienia czegokolwiek w urzędzie miejskim, nie wspominając o doczekaniu się odpowiedzi na skargę, którą złożyłam na właściciela mieszkania, spełzły na niczym.

Jeszcze większym szaleństwem niż nadzieja, że przyjdzie do mnie kot wybawca, były mrzonki, że zdołam odzyskać od zboczonego Merva roślinę i dziennik. Myśl, że z jego powodu mogłabym stracić swoje marzenia, nadzieje (oraz moją roślinkę), była dla mnie nie do zniesienia. Wylądowałam na dnie, ale wolałam zdechnąć, niż pozwolić na to, żeby pamiątka po moim istnieniu trafiła w jego łapy.

Plasnęłam się w czoło. Najwyraźniej spotkanie mężczyzny w garniturze pomieszało mi zmysły i odebrało zdolność logicznego myślenia. Przecież zostawiłam uchylone okno z myślą o sytuacji takiej jak ta. Na wypadek, gdybym nie miała pieniędzy na czynsz i musiała się szybko ewakuować.

Zwykle dziennik nosiłam przy sobie, ale Vera zostawała w domu. Umówmy się, kto normalny chodzi po mieście z kwiatem doniczkowym?

Na wypadek ewentualnych kłopotów, zostawiałam Verę na parapecie przy uchylonym oknie, tak żebym mogła ją szybko zgarnąć.

Miałam nadzieję, że czas zadziała na moją korzyść, więc stałam w upiornym upale, w bezpiecznej odległości, w oczekiwaniu na zmierzch. Zakładałam, że z zapadnięciem nocy Merv zacznie seans z porno, który bez wątpienia potrwa całą noc, więc powinnam być bezpieczna.

Poprawiłam szelki plecaka i tak cicho, jak tylko potrafiłam, zaczęłam wspinać się po schodach przeciwpożarowych.

Schody były stare, więc z każdym krokiem ciężar moich stóp odrywał od powierzchni kawałki rdzy, które opadały na ulicę. Moje palce u stóp pulsowały, a żołądek przewracał się, jakbym zjadła na obiad kanapkę polaną kwasem. Wbrew powszechnej opinii głód jest czymś nieznośnym, niezależnie od popularności diet. Jest duża różnica pomiędzy wyciem żołądka, a jego warknięciem. Przypuszczalnie też czym innym jest decyzja o przejściu na dietę, a czym innym brak dostępu do jedzenia.

Musiałam się zatrzymać przed drugim piętrem. Zaczęłam mieć zawroty głowy, zanim odzyskałam równowagę obraz zamazał mi się przed oczami. Spojrzałam w górę i przypomniałam sobie, dlaczego się tak męczę.

Podróżniczka. Vera. Moje rzeczy. *To wszystko, co po mnie zostanie*.

Gdy dotarłam do trzeciego piętra, zajrzałam do środka, upewniając się, że nikogo nie ma. Vera i Podróżniczka były obok siebie na parapecie. *No tak, miało się tę fantazję*.

A może zakradnę się do środka i zabiorę jeszcze dwie koszulki i szorty. I jedyną parę klapek. I butelkę wody z lodówki. Lodówka co prawda nie trzymała temperatury, ale minimalnie chłodziła. *Chłodna woda przyda mi się dziś w nocy, gdy będę spać w upale na ulicy. A może by tak zostać? Merv nie powinien się zorientować, że spędziłam tu noc. To by mi dało dodatkowy dzień na znalezienie jakiegoś lokum. Noclegownie nie przyjmowały już bezdomnych.* Nie lubiłam tam spać, czułam się jak w pułapce.

Zmrużyłam oczy i dostrzegłam szczura, który leniwym krokiem przechadzał się po mieszkaniu. Szczury nie bały się, to oczywiste. Większość z nich była na tyle spasiona, że poradziłaby sobie z małym kotem. Miały szczęście, że nie musiały użerać się z ludźmi.

Wzięłam głęboki wdech, otworzyłam okno na oścież i wdrapałam się do środka z poczuciem sprawczości. Odkąd skończyłam dziesięć lat, nigdy nie czułam się bezpiecznie, więc nauczyłam się zadowalać iluzją, że choć trochę ogarniam rzeczywistość.

Nagle poczułam przeszywający ból promieniujący od skóry głowy do szyi. Ktoś chwycił mnie mocno za włosy, wyginając mi boleśnie głowę.

– Wiedziałem, że wrócisz – wysyczał mi Merv do ucha. – Pamiętasz, co ci powiedziałem? Cena właśnie znacząco wzrosła. Dziś poznasz Dużego Merva. Mari i Duży Merv będą całować się na łóżku – zanucił.

Serce mi biło, czułam mrowienie w dłoniach, a myśli gnały jak szalone. Ten skurwiel na mnie czekał! W tej śmierdzącej norze nie było nic, czego bym mogła użyć do samoobrony.

Odchylił mi głowę jeszcze mocniej, spojrzałam na niego kątem oka.

– Nie jesteś nawet taka ładna przez ten twój nochal, ale coś w tobie jest… – Polizał mnie językiem od nosa do ucha, a ja próbowałam powstrzymać odruch wymiotny. Jego ślina śmierdziała. – Masz za to świetne ciało, zajmę się dziś nim z przyjemnością.

W głowie miałam gonitwę myśli. Chciałam mu zagrozić, powiedzieć, że go zabiję, jeśli odważy się mnie tknąć. To były groźby bez pokrycia, więc wypowiadanie ich nie miało sensu.

Nie mylił się co do jednego.

Miałam wyjątkowe ciało, które nie zamierzało się poddawać, nawet jeśli miałaby to być ostatnia stoczona walka. Zaczęłam się bić z Mervem, nie zważając na konsekwencje. Odbiliśmy się od ściany i od kuchenki, po chwili walnął moją głową o ścianę tuż przy oknie.

Puścił mnie na moment, próbując złapać oddech (nie miałam wątpliwości, że ten leniwy kutas nie byłby w stanie wejść po schodach bez zadyszki). Chwilę później zaczęliśmy wymieniać ciosy, chciałam jak najszybciej dostać się do drzwi. Moich krzyków nikt nie słyszał, ale byłam od niego szybsza. Gdyby tylko udało mi się uciec… W mieszkaniu nie miałam z nim żadnych szans. Czułam się jak zwierzę w pułapce.

Ponownie rzucił się na mnie. Próbowałam uciec między jego nogami, ale potknęłam się o klapki.

Wylądowałam na podłodze, złapał mnie za nogi i zaczął odciągać od drzwi. Krztusił się z wysiłku, a ja rzuciłam złośliwie, że najwyraźniej pierwszy raz w życiu musi walczyć o jedzenie. Dziewczyny z naszej klatki schodowej często oddawały mu się za mieszkanie, ale zazwyczaj były zbyt naćpane, żeby zarejestrować, co się dzieje.

Leciało mi z nosa. On miał twarz czerwoną jak burak. Gorące dłonie Merva paliły mnie przez dżinsy, a jego podkoszulek śmierdział moim potem na odległość. Udało mi się oswobodzić jedną nogę i kopnęłam go z całej siły w kolano. Zawył z bólu. Kopniak sprawił, że palcami stóp przebiłam materiał tenisówek, ale i tak udało mi się wstać. Zaczęłam uciekać w kierunku drzwi. W momencie gdy chwyciłam za klamkę, złapał mnie za włosy i szarpnął.

Dysząc z wściekłości, obrócił mnie i z impetem po raz drugi walnął moją głową o ścianę. Zanim zdążyłam złapać oddech, obrócił mnie ponownie i z całej siły uderzył w twarz. Kolejny cios wymierzył w nos, następny w oko. Nie rejestrowałam bólu, wiedziałam tylko, że muszę się stamtąd wydostać.

Spodziewałam się, że mogę umrzeć młodo, ale nie chciałam odchodzić w ten sposób. Nie za sprawą tego dupka, który zostawi moje ciało na pożarcie szczurom. Pewnie w ten sposób je dokarmiał. Nie przestawałam kopać go i drapać, wydając przy tym nieludzkie odgłosy. W ten sposób zagrzewałam się do walki. Sąsiedzi myśleli pewnie, że uprawiamy dziki seks, bo on też wył jak opętany.

Gdy znaleźliśmy się przy oknie, dopadło mnie przeczucie, że moją głową będzie próbował rozbić szybę. Może uznał, że nie opłaca mu się ze mną walczyć. Może chciał mnie po prostu zabić.

– No dobra! – krzyknęłam. Mój głos był zmieniony nie do poznania. Był bardzo słaby, ale słychać w nim było determinację.

– Dobra, zrobię to! – Zatrzymał się, choć jego uścisk nie zelżał. – Zrobię… Zrobię, cokolwiek sobie życzysz.

W mieszkaniu nie było klimatyzacji, więc panował straszny gorąc, a spływający ze mnie pot szczypał zranione miejsca. Moja skóra płonęła od jego rozgrzanego oddechu.

Nie opierałam się, gdy powoli odwrócił mnie ku sobie. Puścił moje ręce i nachylił się do pocałunku, a pot z jego włosów skapywał mi na twarz. Ukradkiem sięgnęłam po stojącą na parapecie doniczkę z Verą.

Uderzyłam go tak mocno, jak tylko potrafiłam, celując w czaszkę. Dopiero po chwili, gdy wypuściłam Verę z dłoni, doniczka rozsypała się w drobny mak. Zdążyłam zarejestrować wyraz głębokiego zdziwienia, jaki pojawił się na jego twarzy, zanim chwyciłam dziennik, drugą ręką zgarniając z podłogi fragmenty skorup i moje klapki. Wybiegłam na zewnątrz i po chwili wmieszałam się w anonimowy tłum.

4

MARIPOSA

Gdy zaczęło świtać, wręczyłam kelnerce skromny napiwek. Siedziałam w barze, który był otwarty całą dobę. Wspaniałomyślnie pozwoliła mi spędzić tu noc, nieprzerwanie dolewając mi kawy, więc nie musiałam spać na ulicy. Poczęstowała mnie też kawałkiem szarlotki, która, co prawda, smakowała kiepsko, jakby od dwóch tygodni stała w lodówce, ale byłam tak wygłodniała, że i tak pożarłam ją ze smakiem.

Może zrobiło jej się żal, bo wyglądałam jak siedem nieszczęść. Miałam rozkwaszony nos, spuchnięte oko, pękniętą wargę i włosy pełne kawałków tynku. Na czole rósł mi pokaźny guz. Puchł i bolał coraz bardziej. Z plecaka wyjęłam spinkę w kształcie motyla, odgarnęłam włosy z czoła i spięłam je w kitkę, mimo że wiedziałam, że w ten sposób wyeksponuję guz jeszcze bardziej.

Vera. Uratowała mi życie. Na samą myśl o tym oczy zaszły mi łzami, ale zdusiłam emocje, powstrzymując płacz. Płacz nie pomagał, do niczego nie prowadził.

Gdy wyszłam na ulicę, zdjęłam tenisówki i schowałam je do plecaka, a na nogi założyłam moje klapki za dolara. W przeciwieństwie do tenisówek pasowały na mnie idealnie, ale rzadko je zakładałam, bo po pierwsze nie chciałam ich zniszczyć, a po drugie robiły mi się od nich pęcherze. Ale i tak cieszyłam się, że je mam, bo ochraniały mi stopy.

Przepełniała mnie radość również dlatego, że odzyskałam Podróżniczkę. Większą część nocy spędziłam na zapisywaniu kolejnych stron. Narysowałam nawet Verę w doniczce, żeby jej nie zapomnieć. Przez resztę czasu zapełniałam kolejne strony w moim zeszycie z kolorowankami dla dzieci. Było coś szalenie odprężającego w kolorowaniu księżniczek. Ożywały na moich oczach.

Mężczyzna, którego mijałam na ulicy, potrącił mnie tak mocno, że aż się cofnęłam. Miał w uszach słuchawki i nawet na mnie nie spojrzał, ale uderzenie przywołało wspomnienie walki, którą stoczyłam minionego wieczoru.

Czułam, że to będzie długi dzień.

Nie miałam się z kim spotkać ani dokąd pójść, więc szłam przed siebie, bez wyraźnego celu. Wsiadłam na prom do Staten Island, przespacerowałam się i wróciłam do miasta. Poszłam na targ uliczny, zahaczając o Broadway, pokręciłam się po zatłoczonym Time’s Square, aż wreszcie znalazłam się ponownie przed drzwiami pięciogwiazdkowej restauracji Macchiavello’s.

Była pora kolacji, więc wewnątrz panował tłok. Restauracja musiała mieć ścisły dress code, bo nikt tu nie nosił dżinsów. Nawet na zewnątrz czuć było woń wyszukanych perfum i drogich wód kolońskich. Ich zapach tłumił nieco odór rozgrzanych upałem śmietników. Pot lał się ze mnie, otulając cuchnącym pancerzem. Przy odrobinie szczęścia drogie perfumy zabiją także i mój fetor.

Tym razem nie zaglądałam przez szybę, tylko stanęłam nieopodal lokalu. Oparłam się o ścianę i obserwowałam gości wchodzących i wychodzących z restauracji. Zaczęłam się nudzić, więc przez chwilę rozważałam pójście do pobliskiej biblioteki. Bywało, że przesiadywałam w niej całymi dniami. Tym razem jednak bolały mnie nogi (w sumie to bolało mnie całe ciało), więc uznałam, że lepszym pomysłem będzie, jeśli na chwilę usiądę i trochę pokoloruję. A potem pójdę do przytułku, zanim skończą im się miejsca.

Wyjęłam kredki z plecaka i zaczęłam kolorować obrazek przedstawiający dziewczynkę w pelerynce i wilka o złym spojrzeniu. Musiało minąć trochę czasu, bo zaczęło się robić chłodniej. Odłożyłam niebieską kredkę, żeby podrapać się po obolałym nosie, i spojrzałam przed siebie.

Niespodziewanie przed moimi oczami rozegrała się scena identyczna jak ta z dnia poprzedniego. Zmrużyłam oczy, żeby lepiej widzieć. Mądrala podbiegł do samochodu, żeby otworzyć drzwi mężczyźnie w garniturze, a ten, zamiast wejść do restauracji, stanął i zaczął mi się przyglądać.

Otworzyłam szerzej jedno oko, bo drugie było przymknięte z powodu opuchlizny.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Gdy patrzył na mnie, czułam się jak w potrzasku, unieruchomiona, bez możliwości manewru. O dziwo, niepokoiło mnie to mniej, niż powinno.

Zdałam sobie sprawę, że czuję się oceniana, nie dlatego, że on mnie oceniał, ale dlatego, że jego obecność sprawiała, że oceniałam sama siebie i czułam się nie dość dobra.

Merv miał rację. Nie byłam najpiękniejszą istotą na tej ziemi. Miałam mysi kolor włosów, piwne oczy, tak jakby moje geny nie mogły się zdecydować pomiędzy zielenią, brązem i złotem, a mój nos, no cóż, w dzieciństwie jakiś dzieciak z dzielnicy, w której mieszkałam, powiedział mi, że według jego matki mam „wielkiego nochala”.

Jocelyn poradziła mi wtedy, żebym się tym nie przejmowała. Dzieciak nie miał pojęcia, o czym mówi, podobnie jak jego matka, która nie wiedziała nawet, czy ojcem jej dzieciaka był barman, czy mąż.

Jocelyn mówiła, że mam „orli nos”. Niektórzy ludzie nazywali go też „rzymskim”. Był piękny i według niej pasował do mojej twarzy. Niekiedy zdarzało się jej przesadzić i mówiła, że z profilu wyglądam po prostu jak królowa. Raz zabrała mnie nawet do biblioteki, żeby pokazać mi jakieś obrazy.

Przyznaję, w porównaniu do niektórych miałam całkiem niezły rzymski nos, ale mimo że pasował do mojej twarzy, i tak czułam, że jestem inna.

Przynajmniej miałam ładną cerę. Wtedy, gdy nie była posiniaczona i podrapana.

Ciekawe, co mężczyzna w garniturze myśli o moim nosie. Zamrugałam, usiłując się skupić. Zdałam sobie sprawę, że przez ostatnich kilka chwil bezwiednie się po nim gładziłam.

Co mi się stało, do cholery? Nie dość, że o tym myślałam, najwyraźniej zależało mi, żeby się mu podobać.

Nie przestawałam na niego patrzeć, on zresztą również mi się przyglądał. Nagle coś odwróciło jego uwagę. Ulicą powoli jechał nieoznakowany samochód. Wyglądał, jakby zmierzał w kierunku

restauracji. Chwilę później mężczyzna w garniturze wraz z Mądralą zniknęli za drzwiami.

Miałam nieodparte uczucie, że nie chciał mnie spuszczać z oczu, ale coś najwyraźniej zmusiło go do odejścia.

A może chciał mi coś powiedzieć? Nawet nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy.

Wybuchnęłam śmiechem i zaczęłam pakować rzeczy do plecaka, żeby zdążyć na czas do przytułku dla bezdomnych. On miałby ze mną rozmawiać? Cóż za niedorzeczność! Pewnie chciał tylko sprawdzić, czy nie będę im robić kłopotu. Jeśli w ogóle mnie zapamiętał. Może próbował przypomnieć sobie, skąd mnie zna.

Palce mi zesztywniały, gdy napotkały w plecaku na fragment doniczki. Wyjęłam ją ze środka i podziwiałam zdobiący ją rysunek motyla. Chciałam, żeby Vera miała przytulne mieszkanko, więc postanowiłam własnoręcznie udekorować doniczkę. Uwielbiałam motyle. Były tak ulotnie piękne.

Oby każdemu z nas udało się odnaleźć przed śmiercią spokój, piękno i sens istnienia.

Włożyłam fragment doniczki z powrotem do plecaka, wstałam i otrzepałam dżinsy z kurzu.

Z restauracji wyszedł wysoki mężczyzna w drogim garniturze i ruszył prosto w kierunku nieoznakowanego wozu. Z samochodu wysiadło dwóch tajniaków i obaj weszli do lokalu.

Udało mi się podsłuchać fragment rozmowy. Wysoki mężczyzna mówił z wyraźnym włoskim akcentem. Wyglądało na to, że tłumaczył tajniakom, że nie było tu osoby, której szukają, a jeśli mają jeszcze jakieś pytania, powinni skontaktować się z jego adwokatem.

Pomyślałam, że może wezwali policję z mojego powodu, ale po chwili zdrowy rozsądek wziął górę. Było mocno wątpliwe, żeby wzywali tajniaków z powodu kogoś, kto siedział oparty o murek i kolorował rysunki przez większą część wieczoru.

Ponieważ nie chciałam się wplątywać w kolejne kłopoty, bo swoje już miałam, zaczęłam zbierać się do odejścia.

– Hej! – usłyszałam męski głos. – Hej, ty, z plecakiem, poczekaj chwilę!

Zatrzymałam się, odwracając w kierunku, z którego dobiegało wołanie. Zobaczyłam chłopaka, który omijając samochody, przebiegał przez ulicę. W dłoni trzymał zimny kompres. Podbiegł do mnie i wręczył mi go.

– Pan Mac chciał ci dać to. I to. – Z kieszeni wyjął wizytówkę. – Prosił, żeby ci przekazać, że możesz przyjść, kiedy chcesz. Musisz tylko pokazać tę wizytówkę kelnerowi.

Minęła chwila, zanim odzyskałam głos.

– Pan Mac to twój szef? Mężczyzna, który wysiadł z tego samochodu? – Wskazałam drogą limuzynę. Chłopak przytaknął. – Wszystkim potrzebującym rozdaje wizytówki? – zapytałam.

Chłopak skrzywił się, ale po chwili odparł:

– Nie.

– A kobietom?

– Yyy, nie.

– A ten drugi koleś, ten, który zawsze wybiega na powitanie pana Maca? Nie będę miała przez niego kłopotów?

– Bruno? – Chłopak zmarszczył nos. – Nie. On tańczy tak, jak mu pan Mac zagra.

Kiwnęłam głową, chłopak kiwnął głową i po chwili już go nie było. Stałam, przyglądając się wizytówce. Zdążyłam się już nauczyć, że w życiu nic nie jest za darmo. Wszystko ma swoją cenę. Nie przeszkadzało mi, że pan Mac gapił się na mnie, ale ten gest, niezależnie od tego, jak bardzo był miły, sprawił, że poczułam się jak żebraczka.

No tak, racja, byłam żebraczką, ale z jakiegoś powodu to, że mógł w ten sposób o mnie pomyśleć, było dla mnie nie do zniesienia.

Może dlatego, że nie chciałam czuć się gorsza od niego. Pragnęłam choć raz w życiu poczuć się kobietą, która jest coś warta, która ma u mężczyzny szanse. Szczerze wątpię, czy zainteresowałby się mną nawet wtedy, gdybym nie była biedna. Przecież on żył w otoczeniu pięknych modelek, które odwiedzały tłumnie tę restaurację, a on na pewno był jej właścicielem. Jeśli już, to zwrócił na mnie uwagę, dlatego że wyglądałam jak nędzarka. Moją biedę było widać gołym okiem. Jocelyn powiedziała mi kiedyś, że kobieta nie powinna chcieć, by mężczyzna traktował ją jak

równą sobie. Powinien okazywać jej szczególne względy. Chociażby otwierać przed nią drzwi, mimo równouprawnienia. Dodała też, że zakochany mężczyzna będzie czuł, że na mnie nie zasługuje, a jeśli uważa, że stać go na kogoś lepszego, to do diabła z nim!

Głowa mówiła mi jedno, a serce drugie. Nieprzerwany potok myśli w niezrozumiały dla mnie sposób nakręcał lawinę emocji. Ostatecznie wręczyłam wizytówkę napotkanej w metrze kobiecie z córką. Kobieta była chora na raka. Miała podkrążone oczy i chustkę, która skrywała brak włosów. Miałam nadzieję, że dobra kolacja pomoże jej choć trochę się odprężyć.

Do przytułku dotarłam z opóźnieniem. Noc spędziłam na ulicy, rozmyślając o mężczyźnie w garniturze i o życzliwości, którą mi okazał. Nie potrafiłam przyjąć jego miłosierdzia, ale miałam nadzieję, że myśl o nim zadziała niczym parasol ochronny i pozwoli mi przetrwać bezpiecznie do świtu.

5

MARIPOSA

Mari, do cholery, co ci się stało?!

Keely chwyciła mnie i przytuliła do siebie tak mocno, że syknęłam z bólu. Keely uwielbiała się przytulać, a ja jej na to pozwalałam, bo przyjaźniłyśmy się od zawsze.

Keely Ryan wraz z rodziną mieszkała w moim sąsiedztwie na Staten Island. Jej rodzice były imigrantami z korzeniami irlandzko-szkockimi i wychowali siódemkę dzieciaków. Gdy dzieci dorosły, rodzice Keely postanowili wrócić do Szkocji. Keely i jej dwóch braci zostali w Nowym Jorku. Pozostali bracia poszli w ślady rodziców.

Utrzymywałyśmy kontakt nawet, gdy w wieku dziesięciu lat zostałam oddana rodzinie zastępczej.

Wypuściła mnie z ramion tak nagle, że straciłam równowagę. Była niczym tornado. Miała burzę kręconych rudych loków i jasną piegowatą cerę, zielone oczy i co najmniej metr siedemdziesiąt wzrostu. Burza loków sprawiała, że wydawała się jeszcze wyższa.

– Zadzwoniłam do Caspara, który powiedział mi, co się stało. – Chwyciła się pod boki. – Wszędzie cię szukałam. Dlaczego wcześniej do mnie nie przyszłaś? I dlaczego nic nie mówisz?

– Jeśli dasz mi dojść do głosu, to ci odpowiem – mruknęłam, poprawiając plecak.

– Co się stało z twoją twarzą?

– Wygląda na to, że poróżniłam się z Mervem w kwestii puszczenia się z nim w zamian za czynsz.

– Skurwiel! To on ci to zrobił? – Chciała mnie pogłaskać, ale się odsunęłam.

– Tak.

Jej życzliwość mnie krępowała, po co miała się o mnie martwić. Na pewno będzie chciała mnie do siebie przygarnąć, ale z uwagi na jej współlokatorkę, która była wredną suką, a może nawet psychopatką, musiałabym odmówić, a nie chciałam robić jej przykrości.

Keely też nie miała lekko. Od lat próbowała dostać angaż na Broadwayu, ale jak do tej pory jej starania kończyły się niczym. Jej głos brzmiał jak jazzowy ptasi trel, a do tego miała zdolności aktorskie, które szły w parze z jej irlandzkim temperamentem. W kółko brała jakieś fuchy, żeby utrzymać się na powierzchni.

W ramach oszczędności podnajmowała pokój. Sierra była jak dotąd jej trzecią współlokatorką i pierwszą, która dotrzymywała terminów płatności. Niestety, Sierra za mną nie przepadała. Kiedyś przypadkowo zjadłam jej jajka, bo Keely powiedziała, że mogę się częstować, czym chcę. Sierra przyłapała mnie na gorącym uczynku. Wyjęła nóż z kuchennej szuflady i przyłożyła mi ostrze do twarzy. Zagroziła, że mnie „potnie, jak sukę”, jeśli jeszcze raz ruszę coś z jej zapasów. Keely i Sierra nie dzieliły się jedzeniem, więc to, co kupiła Sierra, było nietykalne.

Próbowałam jej wytłumaczyć, że zaszło nieporozumienie, ale Sierra nie należała do wyrozumiałych. Puściła mnie dopiero, gdy jej obiecałam, że to się nigdy więcej nie powtórzy.

– Mam nadzieję – odparła. Na odchodne pogroziła mi nożem. Od tej pory, zawsze kiedy odwiedzałam Keely, sprawdzała, czy nic jej nie ubyło z lodówki. Bardzo uważałam, żeby nie wchodzić jej w drogę.

Było w niej coś, co wzbudzało moją nieufność. Z tego powodu nigdy nie zostawałam na noc. Bałam się, że zrobi mi krzywdę, gdy będę spała. Nie mówiłam o tym Keely, bo między sobą dziewczyny się dogadywały. Sierra mnie nie lubiła, ale Keely potrzebowała współlokatorki.

Matka Keely powiedziała mi kiedyś, jak to jest, gdy dwie osoby toną jednocześnie. Jedna ciągnie drugą na dno. Nie chciałam dołować Keely, dlatego nie opowiadałam jej o wszystkich moich kłopotach. Tym razem było inaczej. Sama zadzwoniła do Caspara i dowiedziała się, że musiał mnie zwolnić.

Przejęłam po niej posadę w Home Run, gdy znalazła lepiej płatną pracę. Wiedziała też o Mervie, musiałam jej o nim powiedzieć. Poza tym Keely nie urodziła się wczoraj, więc i tak nie mogłam przed nią wszystkiego ukryć. A to oznaczało…

– Znowu wylądowałaś na ulicy?

Jej rozczarowanie mną było tak wyraźne, że musiałam walczyć ze sobą, żeby się nie rozpłakać.

– Tak jakby – odparłam.

– Tak jakby – powtórzyła, wzdychając głęboko. Otworzyła szerzej drzwi i zaprosiła mnie do środka.

– Sierra jest w domu? – zapytałam.

– Tak, szykuje się do wyjścia.

Wreszcie jakieś dobre wieści.

– Mari, ona nie jest wcale taka zła – powiedziała Keely. – Każdy ma swoją historię. Nie znam jej dobrze, ale wygląda na to, że nie miała w życiu lekko. Kto wie, co sprawiło, że stała się tym, kim jest.

– A gdzie konkretnie jest?

Keely zaśmiała się półgębkiem.

– Ostatnio widziałam ją w łazience. – Omiotła mnie wzrokiem i natychmiast spoważniała. – Serio, siostrzyczko, wyglądasz strasznie.

– Masz mi coś nowego do powiedzenia?

– Nie, ale mam chleb, ser i masło. Usiądź. – Wskazała na mikroskopijny kuchenny stół. – Zrobię ci coś do jedzenia, a ty opowiesz mi, co się, do cholery, wydarzyło.

– Kto zrobił zakupy? – zapytałam, sadowiąc się wygodnie. – Ty czy Sierra?

Zmrużyła oczy.

– Jakie to ma znaczenie? Jeśli pożyczam, zawsze jej oddaję.

Pokręciłam głową.

– Nie lubię objadać ludzi i pozbawiać ich jedzenia.

– To moje rzeczy – powiedziała. – Przysięgam.

Nie znosiłam jej badawczego spojrzenia, które przewiercało mnie na wylot w poszukiwaniu prawdy, więc próbowałam uśpić jej podejrzliwość.

– Wiem, że ona też nie ma kasy. Nie chcę jej objadać. Nie jestem wcale taka głodna, jadłam wcześniej kanapkę. – Poklepałam plecak. – Caspar dał mi małą odprawę.

– I tak zrobię ci grzankę z serem. Mama przysłała mi własnoręcznie upieczony chleb. Spróbuj, leży w reklamówce na blacie.

Podczas gdy Keely szykowała grzanki, opowiedziałam jej szczerze o tym, co się wydarzyło. Powiedziałam jej o Bruno, Casparze i Mervie. Pominęłam tylko mężczyznę w garniturze. Z jakiegoś powodu nie byłam gotowa o nim mówić. Całą noc rozmyślałam o jego hojności i nie chciałam, żeby Keely zaczęła gmerać w moich uczuciach. Zwykle nic do mężczyzn nie czułam.

Uczucia.

Miałam dwadzieścia jeden lat i do tej pory nie byłam w żadnym związku, nawet przelotnym. Nie miałam na to czasu, musiałam skupić się na tym, by przetrwać. Stałam się kimś w rodzaju wiecznej wojowniczki. Byłam Mari ledwo utrzymującą się na powierzchni. Nie miałam pojęcia, jak wygląda normalne życie. Poza tym nonsensem było rozmyślanie o mężczyźnie w garniturze. Przecież bez wątpienia był milionerem, a na dodatek wyglądał jak top model.

Gdy Keely podsunęła mi talerz pod nos, zapach topionego sera przyprawił mnie o chwilowy zawrót głowy. Zatarłam ręce i oblizałam wargi. Roześmiała się. Spojrzałam na nią, szykując się do pierwszego gryza.

Uśmiechnęła się do mnie, a w kącikach jej oczu pojawiły się kurze łapki. Usiadła obok mnie i wzięła mnie za rękę.

– Mari, tak mi przykro… – Ścisnęła moją dłoń. – Żałuję, że… – Zamknęła oczy i głęboko westchnęła. – Żałuję, mój Boże, żałuję, że nie mogę ci pomóc.

Wzdrygnęłam się, gdy po jej policzku spłynęła łza. Drażniła mnie jej empatia. Keely lubiła naprawiać innych, nieustannie pomagała braciom, ale ja nie miałam zamiaru jej wykorzystywać.

Zrozumiałam słowa jej mamy.

Każdy z nas ma swoje prywatne piekło. Niektórzy czują się jak topielcy. Niektórzy czują się jak w płonącym domu, z którego nie ma ucieczki. Dosięgały mnie palące płomienie piekielne, a Keely tonęła. Ledwo utrzymywała się na powierzchni. Nie chciałam ciągnąć jej na dno.

– Keely… – powiedziałam, odkładając grzankę. Ścisnęłam jej dłoń. – Twoja obecność, fakt, że mam ciebie, w zupełności mi wystarczy. To jest warte więcej niż całe złoto tego świata.

– Ha! – zaśmiała się sucho. – Zgoda, ale pieniądze i tak się przydają.

– Tak – przytaknęłam i uśmiechnęłam się. – Z pewnością tak jest.

– Mari, musisz donieść na Merva policji. To nie może mu ujść na sucho. Jestem gotowa sama go zabić za to, co ci zrobił!

Wstałam i podeszłam do zlewu. Wyjęłam szklankę z szafki i nalałam do niej wody z kranu. Sierra nie mogła mnie za to „pociąć jak sukę”.

– Mari, widziałaś się w lustrze? Musisz to zrobić. On musi pójść siedzieć.

– Na jak długo, Keely? Nie na długo. A co będzie, jak wyjdzie? Nie chcę, żeby jakaś bestia podążała moim tropem. A on już by mnie wyniuchał. Dopadłby mnie na pewno.

– Nie pozwolę na to! Zaangażuję w to chłopaków!

– Nie! – Natychmiast pożałowałam, że podniosłam głos. – Nie – powtórzyłam cicho. – Przepraszam, że się uniosłam, ale się nie zgadzam.

Podeszła do mnie i od tyłu objęła mnie ramionami.

– Rozumiem, siostrzyczko. Nie mogę znieść myśli, że może mu to ujść na sucho. Jeśli chcesz, porozmawiam z Casparem. Ma do mnie słabość. Może uda nam się przekonać go, żeby z powrotem przyjął cię do pracy.

Postanowiłam zmienić temat, więc odsunęłam się nieco, spojrzałam na nią i powiedziałam:

– Chciałam zapytać o to od razu jak przyszłam, ale nie dopuściłaś mnie do głosu. Keely, skup się, to ważne. Co ty, do cholery, masz na sobie? I dlaczego?

Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie, a następnie obie wybuchnęłyśmy śmiechem. Miała na sobie kostium teatralny. Wiedziałam, że to szkocki strój ludowy. Keely była ubrana w długą suknię z zielonego aksamitu z rozszerzanymi rękawami. Miała zebrane włosy i koronę, osadzoną na fantazyjnym nakryciu głowy.

Pośmiała się jeszcze chwilę i otarła oczy.

– Dostałam pracę na północy stanu Nowy Jork. Witam klientów ulicznego targu stylizowanego na średniowieczną Szkocję w przebraniu dworzanki. Lachlan prawie się zesrał, jak mnie zobaczył. Zrobił mi zdjęcie i wysłał do wszystkich.

Lachlan był jednym z jej braci. To było do niego podobne. Gdybym miała komórkę, też na pewno bym je dostała. Wszyscy bracia Keely mieli świetne poczucie humoru, oprócz Harrisona.

Rodzina nazywała go za jego plecami „Zgryźliwym Indianą Jonesem”, choć w ogóle na zgryźliwego nie wyglądał. Wszyscy bracia Keely mieli ciemne włosy, złocistą cerę i jasne oczy. Keely odstawała od nich swoją płomienną urodą. Jocelyn mówiła, że chłopcy Ryanów wyprzystojnieją z wiekiem, i miała rację.

– Twoi rodzice na pewno są z ciebie bardzo dumni – powiedziałam, ocierając oczy.

– Mama dziękowała Bogu! Ma nadzieję, że poznam w pracy odpowiedniego mężczyznę. Takiego, którego będę mogła przedstawić rodzicom.

Te przekomarzania przerwało pukanie do drzwi. Chwilę później naszym oczom ukazała się Sierra. Jej długie platynowe włosy tworzyły na plecach misterne fale. Miała na sobie mikroskopijne szorty i dłuższy T-shirt, który idealnie pokrywał się z ich długością. Wyglądała, jakby spędziła kilka godzin przed lustrem, a w rzeczywistości pewnie dopiero co wstała z łóżka.

Najwyraźniej pracowała na nocną zmianę.

Keely uniosła pytająco brwi i obie w milczeniu obserwowałyśmy Sierrę, która poszła otworzyć drzwi. Odkąd zamieszkała u Keely, zdążyła mieć kilku chłopaków, ale ten, który stanął właśnie w progu, utrzymał się najdłużej. Stąd nasze zdziwienie, gdy nagle zaczął głośno przeklinać.

Najwyraźniej Sierra postanowiła z nim zerwać. Chwilę później w odpowiedzi na jego błagalne: „Dlaczego? Czy chodzi o tego bogatego dupka z klubu?” – zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Gdy weszła do kuchni, słychać było jego przytłumione, ale nadal donośne krzyki dobiegające zza drzwi.

Zauważywszy mnie, posłała mi nienawistne spojrzenie. Miała ciemną oprawę oczu, która podkreślała ich wyrazistość. Wyzierało z nich zło, które idealnie współgrało z jej podłą osobowością.

– Wybierasz się gdzieś? – Sierra zapytała Keely, zerkając na moją kanapkę.

– Idę do pracy – odparła Keely. – Wrócę późno.

– A ty, Mari? – Skinęła na mnie.

Nie podobało mi się, jak wymawia moje imię. Zamiast „Marii”, jak większość osób, mówiła „Mery” lub „Mary”. Wiedziałam, że nie interesują jej moje plany, tylko chciała się upewnić, że nie zostanę sama w ich mieszkaniu. Może myślała, że skoro kiedyś zjadłam jej jajka, będę chciała ją okraść.

– Ja…

– Mari idzie ze mną – przerwała mi Keely. – Jak tylko zje i weźmie prysznic, zabieram ją ze sobą na festyn.

– Też wrócę późno – powiedziała Sierra.

– Idziesz do pracy? – upewniła się Keely.

– Wiesz, jak jest. Mam rzeczy do zrobienia, ludzi do zobaczenia. – Uśmiechnęła się szeroko. – Nie przejmuj się tym Armino. Wystawanie pod drzwiami szybko mu się znudzi. Pójdzie, gdy tylko zachce mu się pić. Będę wdzięczna, jeśli nie wpuścicie go do środka.

Keely przytaknęła.

– Nie martw się, ani ja, ani Mari go nie wpuścimy.

Sierra spojrzała przeciągle na moją kanapkę i wolnym krokiem wyszła z kuchni. Widziałam, że najchętniej przeliczyłaby przed wyjściem plasterki sera, ale poszła do swojego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Harrison przyjechał po nas samochodem. Keely nie uprzedziła mnie, że nas zawiezie. Nie żeby mi to przeszkadzało, ale zawsze był dla mnie ujmująco miły. Doceniałam jego życzliwość, ale nie lubiłam mu odmawiać, ilekroć próbował mi wcisnąć jakiś prezent. Skończył prawo, ale z powodu kryzysu był w tej samej sytuacji, co Keely, czyli ledwo wiązał koniec z końcem.

W drodze do samochodu Keely powiedziała mi, że znalazł dobrze płatną pracę i powodziło mu się coraz lepiej. Niezbitym dowodem na to był zabytkowy sportowy samochód, w którym na nas czekał.

Jak zwykle był dla mnie miły, ale co raz przyłapywałam go na tym, że się na mnie gapi. Zaciskał zęby i pięści na kierownicy. Keely pewnie mu powiedziała, żeby nie urządzał scen.

Gdy dotarliśmy na festyn, zaproponował, że kupi mi coś do jedzenia i do picia, ale odmówiłam, więc stanął obok, wsadził ręce do kieszeni dżinsów i wbił wzrok w ziemię. Gdy Keely zapytała mnie, czy chciałabym pomóc przy obsłudze jednego ze stoisk, odszedł bez słowa pożegnania.

Za tę pracę dostałam dniówkę i jedzenie. Jedyny minus był taki, że musiałam się przebrać w dziwny strój z epoki. Gdy Harrison w końcu wrócił, roześmiał się na mój widok i zrobił mi zdjęcie. Byłam pewna, że nie omieszkał wysłać go do braci. Z pewnością mieli niezły ubaw moim kosztem.

Do domu wracaliśmy w milczeniu. Cisza była mi na rękę, bo nerwy miałam napięte jak postronki.

Ulga, którą czułam, kiedy byliśmy na festynie, ustępowała miejsca narastającemu niepokojowi. Nie miałam zwyczaju zamartwiać się tym, co będzie. Najczęściej po prostu przystępowałam do działania, niezależnie od przeszkód, które napotykałam.

Tym razem jednak życie nieźle dało mi w kość. Poza kilkoma dolarami w kieszeni, nie miałam grosza przy duszy, a z jedzenia został mi tylko bochenek chleba. Nie miałam pracy, mieszkania ani perspektyw. No i musiałam liczyć się z tym, że szuka mnie świr z kawałkiem terakoty wbitym w skroń.

Gdy Harrison zaparkował przed domem Keely, głęboko westchnęłam.

– Zaraz wejdę na górę – oznajmił Harrison, gasząc silnik. – Dajcie mi chwilę.

Keely spojrzała na niego z ukosa, ale wysiadła, przytrzymała mi drzwi i razem poszłyśmy w kierunku klatki. Sierry nie było już w domu, więc odetchnęłam z ulgą. Musiała wyjść w pośpiechu, bo drzwi do jej pokoju były uchylone. Ilekroć przychodziłam w odwiedziny, zawsze je zamykała, ale może nie robiła tego, gdy zostawały same z Keely.

– Muszę się przebrać – powiedziała Keely, znikając za ścianą. – Mari, nawet nie waż się wychodzić! – krzyknęła przez ramię. – Musimy opracować jakiś plan. Pomyśleć, co z tobą, zanim znowu znikniesz. Jeśli wyjdziesz, to przysięgam, kurwa, że sama cię zabiję!

Usiadłam na używanej kanapie i wyciągnęłam nogi. Uniosłam stopy, które pobrudziłam na festynie, i zauważyłam, że między palcami mam ślady krwi. Wcześniej, gdy brałam prysznic, strasznie mnie piekły, podobnie jak poharatana twarz. W plecaku miałam kompres i pomyślałam, że mogłabym go schłodzić w lodówce, ale nie miałam siły wstać.

– Mari?

– Hmm? – W drzwiach stał Harrison i przyglądał mi się badawczo. W ręku trzymał pakunek zawinięty w ozdobny papier.

– Niedługo masz urodziny – powiedział.

Prawie jęknęłam. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego był dla mnie taki miły, skoro tak naprawdę wcale miły nie był. Nie bez powodu rodzeństwo nazywało go „Zgryźliwy Indiana Jones”. Nie był miłym człowiekiem, ale wobec mnie był szczodry, choć dobrze wiedział, że prezenty mnie krępowały. A urodziny obchodziłam w październiku. Był kwiecień.

Nie miałam w zwyczaju przyjmować prezentów, chyba że sama za nie zapłaciłam lub na nie zapracowałam. Nigdy nie robiłam wyjątków. Poza tym wiedziałam, że Catriona, matka Harrisona, dostałaby wylewu, gdyby wiedziała, ile na mnie wydaje. Nie przepadała za mną. Gdy trafiłam do rodziny zastępczej, odnalazła mnie tylko dlatego, że Keely przestała jeść. Gdy zemdlała po raz trzeci, Catriona postanowiła mnie odszukać.

– Trzcinko, dlaczego, ilekroć próbuję zrobić ci przyjemność, masz taką minę?

Nadał mi ksywę „Trzcinka”, gdy byliśmy dziećmi.

– Harrison… – Przygryzłam wargę i poczułam, że znowu zaczęła krwawić. – Mówiłam ci już. Po prostu nie przepadam za prezentami.

– Zrób to dla mnie. Otwórz, najwyżej to komuś oddasz.

Ja pierdolę. Potarłam skronie, a po chwili spojrzałam na niego i przytaknęłam. Sytuacja stała się jeszcze bardziej niezręczna, bo także przysiadł na kanapie i patrzył, jak odwijam papier.

– Kupiłeś mi komórkę? – zapytałam głupio, bo mnie zatkało.

– Tak, będziesz mogła być w kontakcie z Keely. Albo z kim tam będziesz chciała. Obiecałem Keely, że nic nie powiem, ale to silniejsze ode mnie. Ten skurwiel zapłaci za to, co ci zrobił.

Unikał mojego wzroku, więc spojrzałam na komórkę. Pierwszy raz od bardzo dawna było mi trudno komuś odmówić. Ten prezent był wyrazem jego troski. Jednak moje zasady były dla mnie cenniejsze.

– Nie powinieneś był tego robić – powiedziałam cicho. Zajrzałam do plecaka i wyjęłam dwa dolary.

– To za telefon. Nie będę mogła go przyjąć, jeśli ci za niego nie zapłacę.

Wyraźnie się wzdrygnął, ale przyjął pieniądze. Wsadził banknoty do kieszeni.

– Co ty zrobiłeś? – zapytała Keely.

Podskoczyłam, bo nie usłyszałam, że zdążyła wejść do pokoju. Wyprostowałam się, tak jakby przyłapała nas na czymś, czego nie powinniśmy robić. Harrison wstał z kanapy i wsadził ręce do kieszeni.

– Nic takiego, Kee – odparł. – Dałem Mari prezent urodzinowy.

– Urodziny Mari są w październiku – powiedziała znacząco.

Wzruszył ramionami.

– Nie cierpię się spóźniać.

Chciała mu odpowiedzieć, ale nagle rozległo się głośne pukanie do drzwi. Spojrzałam na Keely, Harrison spojrzał na mnie, a ja spojrzałam na drzwi.

– Spodziewasz się kogoś? – zapytał Harrison.

Keely pokręciła głową.

– Nie, Sierra powiedziała, że wróci późno.

– Pójdę otworzyć – stwierdził.

Stanęłyśmy obok siebie, przysłuchując się, jak Harrison rozmawia z kimś w drzwiach. Chwilę później wrócił w towarzystwie dwóch mężczyzn w garniturach. To byli ci sami tajniacy, których widziałam pod Macchiavello's.

– Keely – powiedział Harrison. – To inspektor Scott Stone i inspektor Paul Marinetti.

Młodszy mężczyzna, Scott Stone, pierwszy wyciągnął rękę. Marinetti przywitał się jako drugi.

– Pani Ryan. – Detektyw Stone przybrał poważny wyraz twarzy. – Z przykrością muszę panią poinformować, że pani współlokatorka Sierra Andruzzi została znaleziona martwa. Próbowaliśmy skontaktować się z panią wcześniej, ale dopiero teraz zastaliśmy panią w domu.

Pod Keely ugięły się nogi. Była w takim szoku, że Harrison i ja musieliśmy pomóc jej usiąść na kanapie.

– Ona… – Keely pokręciła głową. – Powiedziała, że wróci późno. Wcześniej pojawił się tu jej chłopak, Armino. Był wściekły. Zerwała z nim. Czy on ją zabił?

– Z tego, co udało nam się ustalić, pani Andruzzi została napadnięta i zamordowana w drodze do sklepu. Wygląda na to, że miała zamiar wrócić do domu. Dlatego tu jesteśmy. Chcemy prześledzić jej kroki.

– Ja… – wydukała Keely.

– Ubolewam, że muszę panią o to prosić, ale czy zgodziłaby się pani pojechać z nami do kostnicy w celu zidentyfikowania ciała? Nie udało nam się znaleźć żadnych krewnych pani Andruzzi.

– Nie miała rodziny – powiedziała Keely. – Wychowała się w rodzinie zastępczej.

– Moja siostra nie pojedzie…

– Nie. – Keely przerwała Harrisonowi w pół słowa. – Pojadę z wami. Jestem jej to winna. – Wstała z kanapy z wyraźnym wysiłkiem. – Wezmę

tylko swoje rzeczy.

Detektyw Stone wyjął wizytówkę i na jej odwrocie zapisał adres kostnicy, gdzie było ciało Sierry. Wręczył ją Harrisonowi, który powiedział, że sam zawiezie Keely pod podany adres. Stanęłam zdezorientowana na środku pokoju. Nie lubiłam Sierry, ale nikt nie zasługiwał na tak brutalną śmierć.

Do cholery, czy to sprawka Armino?

Detektyw Stone, zanim wyszedł, ostrzegł nas, że Armino może kręcić się gdzieś w okolicy. Armino miał na nazwisko Scarpone. Inspektor nie musiał nic więcej dodawać. Rodzina Scarpone wyróżniała się wyjątkową brutalnością na tle innych nowojorskich rodzin mafijnych.

– Mari?

Spojrzałam na Harrisona. Obok niego stała Keely.

– Pojedź z nami.

– Nie – odparłam. – Wolałabym nie.

– Proszę, nie znikaj – powiedziała Keely błagalnym tonem, który natychmiast poruszył czułe struny w moim sercu. – Muszę wiedzieć, gdzie jesteś. Zwłaszcza po tym, co cię spotkało. A teraz jeszcze ta sprawa… – Pociągnęła nosem, choć nie płakała.

Nagle objęła mnie tak mocno, że zabrakło mi tchu.

– Mogę tu zostać? – zapytałam, z trudem łapiąc oddech. Czułość krępowała mnie, ale nie wiedziałam, jak wyplątać się z ramion Keely i uniknąć niezręczności.

– Ten koleś Sierry. – Harrison pokręcił głową. – To nie jest dobry pomysł.

– Na pewno tu nie wróci. – Odsunęłam się nieco. – Jestem pewna, że dawno wyjechał z miasta.

Keely wypuściła mnie z ramion i przytaknęła.

– Tak, na pewno wyjechał. Tylko pamiętaj, żeby zamknąć drzwi na zamek.

– Tak zrobię – potwierdziłam.

– Zadzwoń do mnie, gdybyś czegoś potrzebowała. – Harrison wskazał na telefon, który leżał na kanapie. – Zapisałem ci swój numer.

Gdy wyszli, zamknęłam zasuwę w drzwiach, dwukrotnie ją sprawdziłam, a następnie docisnęłam drzwi biurkiem, które przyciągnęłam z pokoju Keely.

Drzwi do pokoju Sierry były uchylone, co samo w sobie nie stanowiło problemu, ale myśl o tym, że Sierra miała ich nigdy więcej nie zamknąć, sprawiła, że poczułam się nieswojo.

Gdzie poszła? Co miała zamiar zrobić? Detektyw powiedział, że wyskoczyła na chwilę do sklepu.

Czułam, że nie powinnam wchodzić do jej pokoju, ale nie mogłam się powstrzymać. Gdy otworzyłam te drzwi na oścież, ze zdumieniem skonstatowałam, że w pokoju panował nieskazitelny porządek. Łóżko było pościelone. Na podłodze nie walały się ubrania. W powietrzu nadal unosił się zapach jej perfum. Wyglądało na to, że użyła ich przed wyjściem.

Uwagę przykuwały jedynie rzeczy, które zostawiła na łóżku: czarna sukienka koktajlowa, złota wizytówka i kilka pudełek ze złotej tektury. Na podłodze leżała para czarnych szpilek.

Weszłam do pokoju i zamarłam. Czekałam i czekałam. Spodziewałam się, że w każdej chwili może wyskoczyć zza szafy z krzykiem: „Potnę cię, suko, za to, że tu wlazłaś!”. Nic takiego nie nastąpiło, ale niepokój pozostał. Poczułam, że mam gęsią skórkę.

Mimo to postanowiłam się rozejrzeć. To nie nieboszczycy stanowią zagrożenie, ale żywi.

Czarna sukienka była szykowna. Miała rozszerzane rękawy i obcisły dół. Materiał wyglądał na kosztowny. Wzięłam do ręki zaproszenie, które leżało obok sukienki. Były na nim data (dzisiejsza), godzina (23.11) i adres (Klub, Nowy Jork, Nowy Jork) wydrukowane czarną elegancką czcionką na złotym tle. Na samym dole widniała adnotacja zapisana drobniejszym drukiem, że wstęp jedynie z zaproszeniem.

Ciekawe.

W drodze na festyn Keely powiedziała mi, że Sierra cieszyła się, bo miała na oku nową pracę. Na tyle dobrze płatną, że Sierra planowała przeprowadzkę. „Wszystkie jej problemy znikną na dobre”, powiedziała wtedy Keely.

Może chodziło o pracę ekskluzywnej call girl? Nie wypowiedziałam tej myśli na głos, nie miałam przecież pewności, że w istocie o to chodziło, ale trudno mi było wyobrazić sobie, że inne zajęcie mogłoby rozwiązać wszystkie jej problemy. Przecież, podobnie jak ja, była dzieckiem z rodziny zastępczej.

Złote kartony były pełne brazylijskich perfum. Otwierałam kolejne fiolki, wdychając ich zapach. Od razu wyczułam nuty wanilii i karmelu i delikatny aromat migdałów, jaśminu oraz – zgodnie ze składem, który wyczytałam z ulotki – drzewa sandałowego. Ponownie zaciągnęłam się obezwładniającym, egzotycznym zapachem. Był tak daleki od słonawego fetoru, który towarzyszył mi na co dzień. Odkręciłam słoiczek z kremem i roztarłam odrobinę na ramieniu. Sierra miała tam nawet mydełko do kompletu.

Usiadłam na łóżku, odstawiłam słoiczek z kremem i wzięłam do ręki zaproszenie. Obok moich gołych stóp stała para szpilek. Sierra miała stopę o rozmiar lub dwa większą od mojej.

To takie typowe, pomyślałam, *buty są dla mnie zawsze albo za małe, albo za duże. Nic nigdy na mnie nie pasuje*.

To dlatego, że nie stać cię, żeby kupić coś, co by pasowało.

Do tego wewnętrznego głosu dołączyły kolejne:

Mari, wykorzystaj tę okazję. Sukienkę już masz. Masz też buty, choć o rozmiar za duże. Masz perfumy i zaproszenie. Sierra nigdzie już nie pójdzie. Ale. Ty. Możesz.

Nawet księżniczki z twoich kolorowanek miały dobrą wróżkę chrzestną. Potraktuj to jak prezent od wróżki.

Nie masz mieszkania, pracy ani pieniędzy.

To może być twoja ostatnia szansa.

Sytuacja jest zła.

Bardzo zła.

Jakże byłoby cudownie, gdybym miała buty, które na mnie pasują. I komórkę, na którą mnie stać. Chleb i ser. Dach nad głową, gdy jest zimno, i schronienie przed upałem. Bez szczurów. Bez Merva.

Poczucie bezpieczeństwa.

Było na wyciągnięcie ręki.

A jeśli musiałabyś się za nie sprzedać?

Czy to w ogóle możliwe, z twarzą taką jak twoja?

Warto spróbować, stawką jest w końcu przetrwanie. Życie. Być może to twoja szansa, okazja jedna na milion, żeby zmienić swoje życie. Na dobre.

Stać cię na to, by oddać coś, co należy tylko do ciebie, za dobra doczesne?

To będzie zwykła transakcja handlowa, a nie wyraz łaski. Potraktuj to jak pracę.

Czy moja cześć i moje ciało są więcej warte niż rzeczy materialne?

Odpowiedź pojawiła się po chwili.

Już nie.

Podjęłam decyzję.

Chcę żyć.

Wzięłam pachnące mydełko i poszłam do łazienki zrobić się na bóstwo.

6

MARIPOSA

Szpilki kłapały komicznie, gdy wysiadłam z taksówki i stanęłam na chodniku. Na ten kurs wydałam ostatnie pieniądze. W Nowym Jorku taksówka stanowiła odpowiednik zaczarowanej karocy.

Mimo że taksówkarz już odebrał ode mnie pieniądze, nie wyłączył licznika, tylko przyglądał się z rozbawieniem, jak próbuję pokonać drogę od taksówki do wejścia do budynku. Nie miałam daleko, ale buty były za duże i bez przerwy mi spadały. Nie potrafiłam zdecydować, co jest gorsze. Czy buty, w których musiałam podwijać palce, żeby wcisnąć je na nogi, czy szpilki, które sprawiały, że szłam niezdarnie jak kaczka.

Poza tym nigdy wcześniej nie miałam na sobie szpilek. Jaki jest wynik równania, w którym dwie zmienne to obcasy oraz za duży rozmiar? Chodzące nieszczęście.

Miałam nadzieję, że jeśli dziś wpadnę komuś w oko, ten ktoś nie zechce oglądać moich stóp. Żeby dojść do taksówki, musiałam zdjąć na chwilę buty i teraz podeszwy stóp miałam czarne jak smoła.

Usłyszałam gwizd i odwróciłam się za siebie. Mijało mnie dwóch dobrze ubranych i uśmiechniętych mężczyzn.

– Cześć, piękna – powiedział jeden z nich, puszczając do mnie oko. – Obłędnie pachniesz. Może pogrzeszymy?

Rozejrzałam się, bo nie byłam pewna, czy mówi do mnie. Poczułam, że palą mnie policzki i odwróciłam się, by ukryć uśmiech. Nie uśmiechałam się od tak dawna. Bynajmniej, nie chodziło o flirt ani o to, że skomplementował moją urodę. Prawdziwą radość sprawił mi, mówiąc, że ładnie pachnę.

Choć upał potęgował zapach perfum ze złotego kartonu, i tak zachowały swoją subtelność. Ich woń sprawiała, że czułam się, jakbym bujała w obłokach. Gdybym mogła, kąpałabym się w pachnącym mydle dwa razy dziennie i od rana do wieczora smarowała kremem.

– Stary! – Kolega sprzedał mężczyźnie kuksańca. – To miał być podryw? Fatalnie ci poszło, musimy popracować nad twoją gadką.

Gdy tylko się oddalili, natychmiast przypomniałam sobie, gdzie jestem, i poczułam narastający niepokój. Trzęsącymi się rękami wyjęłam z torebki złote zaproszenie. Rozbłysło w świetle klubowego neonu.

Klub był ogromny i wydawał się ekskluzywny. Tłumy pięknych ludzi wchodziły do środka, reszta karnie czekała na zewnątrz. Kolejka zakręcała za róg, więc dołączyłam do przeciętniaków, którzy stali w oczekiwaniu na wejście. Ze środka dochodziły dźwięki muzyki podbitej ciężkimi basami, a w powietrzu czuć było wyraźną woń alkoholu.

Wzięłam głęboki wdech, pod pachę wetknęłam zaproszenie i sięgnęłam po komórkę, którą Harrison odstąpił mi za dwa dolary. Wysłałam esemesa do Kee. Harrison zapisał mi jej numer wraz ze swoim.

Ja: Jak leci?

Chwilę później ekran telefonu rozświetlił się w półmroku.

Kee: Kto to?

Ja: Ja.

Kee: Ja, czyli kto?

Dotarło do mnie, co robię źle.

Ja: Mari.

Kee: Tak się cieszę, że masz telefon. U mnie zgodnie z przewidywaniami. Nie mogę przestać o tym myśleć. A ty, jak się masz? Co robisz?

Ja: Wychodzę na trochę.

Kee: Jak to?

Ja: Nie martw się o mnie, mamo. Nie wrócę późno. A jeśli miałabym się spóźnić, wyślę ci esemesa.

Minęło kilka chwil bez odpowiedzi. Sekundę później podskoczyłam, bo telefon nieoczekiwanie zawibrował w mojej dłoni.

Kee: Wiem już, dlaczego Zgryźliwy Indiana Jones jest taki naburmuszony.

Zanim zdążyłam odpisać, dostałam kolejną wiadomość.

Kee: Jest w tobie zakochany.

Telefon wypadł mi z ręki. Próbowałam go złapać, ale upadł na ziemię. W tym czasie przyszedł kolejny esemes od Kee.

Kee: Nie musisz odpisywać. Po tym, co wydarzyło się dzisiaj, dotarło do mnie, jakie życie potrafi być krótkie. Wiem, że jesteś w szoku. Wypowiem się w imieniu Harrisona. On jest zbyt uparty i sam się do tego nie przyzna, ale zrozumiałam, że cię kocha, gdy dał ci dziś komórkę. Niektórych stać na gesty, nie na słowa. Dał ci telefon, bo się o ciebie troszczy. Miłość można wyrażać na różne sposoby, nie tylko słowami.

Chwilę później telefon odezwał się ponownie.

Kee: Kocham cię, siostrzyczko. Uważaj na siebie.

Ja: Ja ciebie też, Kee Kee.

Nie miałam już czasu, żeby zastanowić się nad tym, co napisała. Wybiła 23.00, a ja miałam być na miejscu o 23.11.

Prosimy o punktualne przybycie.

Nie miałam bladego pojęcia, czy mam stanąć w kilometrowej kolejce, czy szukać innego rozwiązania. Czułam się kompletnie bezradna. Dostrzegłam mężczyznę, który stał przy drzwiach, więc kaczym krokiem ruszyłam w jego kierunku. Byłam przerażona, że kolana ugną się pode mną i upadnę.

I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie złożyć Mari do kupy nie byli w stanie…

– Pomóc ci w czymś? – zapytał mnie bysior. Był Włochem, miał silny, włoski akcent.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc żeby uniknąć gafy, machnęłam mu przed nosem zaproszeniem. W odpowiedzi uniósł brwi i rzucił coś po

włosku do słuchawki, którą miał w uchu. Następnie bez słowa wziął mnie pod ramię i ruszył przed siebie. Gdy zdał sobie sprawę, że za nim nie nadążam, nieco zwolnił. Szłam małymi kroczkami, zupełnie jak dziecko.

W końcu dotarliśmy do bocznego wejścia dla pracowników klubu. Przy drzwiach stało dwóch Włochów. W każdym razie wyglądali z włoska i rozmawiali ze sobą po włosku. Jeden z nich po włosku poprosił mnie o okazanie zaproszenia.

Podałam mu. Zlustrował je wzrokiem, a następnie zeskanował dziwnym ustrojstwem, które zapiszczało w odpowiedzi. Kiwnął głową.

– Poproszę o jakiś dokument, panno Andruzzi. Będę musiał zajrzeć do pani torebki.

Jego głos brzmiał sucho i rzeczowo. Zaczęłam się pocić. Miałam nadzieję, że zaproszenie wystarczy, żeby wejść, ale na wszelki wypadek wzięłam ze sobą dowód Sierry, który znalazłam w szufladzie komody. Byłyśmy do siebie zupełnie niepodobne, ale zapamiętałam, że kiedyś jeden dzieciak z mojej rodziny zastępczej powiedział mi, że ochroniarze nigdy nie patrzą na zdjęcie, tylko na datę na dokumencie. Wiedziałam, że sytuacja nie należy do typowych. Gdyby się zorientowali, byłby poważny problem.

Nie miałam już ani grosza, została mi jedynie nadzieja. Zdawałam sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuję, ale liczyłam na to, że uda mi się chociaż wejść do środka.

Wzięłam głęboki wdech, wygrzebałam dowód z samego dna i podałam ochroniarzowi. Jeśli miał mnie nie wpuścić, nie miał po co sprawdzać mojej torebki.

Spojrzał na dowód, latarką zaświecił mi w twarz i ponownie zerknął na dowód. Po chwili powiedział coś do słuchawki w języku, którego nie rozumiałam.

Nagle, nie rozpoznając własnego głosu, wskazałam na mężczyznę, który mijał właśnie ochronę i wchodził do klubu.

– Guido – powiedziałam do ochroniarza. – Może pan zapytać Guido… Faustiego. – Nazwisko wymówiłam z wahaniem, na wypadek gdybym jednak się myliła. – Może pan poprosić, żeby potwierdził moją tożsamość, jeśli mi pan nie wierzy.

Wydawało mi się, że Guido był mężem Scarlett Fausti, którą poznałam w Home Run. Gdy wkraczał do klubu, wszyscy schodzili mu z drogi. Najwyraźniej był wpływowym człowiekiem.

Ród Faustich traktowano we Włoszech jak rodzinę królewską.

W co ja się wpakowałam?

Ochroniarz, który trzymał mój dowód, stał przede mną niewzruszony. Być może ktoś mówił coś do niego przez słuchawkę, w każdym razie nie przestawał badawczo mi się przyglądać. Po chwili kiwnął głową.

– Wszystko w porządku. Poproszę o pani torebkę, panno Andruzzi. – Wyciągnął po nią wielką łapę.

Wypuściłam wstrzymywany bezwiednie oddech i podałam mu torebkę. Wziął ją ode mnie i wszedł do środka, a ja przygryzłam wargę, mając nadzieję, że nie zacznie znowu krwawić. Wcześniej zrobiłam sobie makijaż kosmetykami Sierry, usiłując ukryć siniaki i zadrapania. Nie potrafiłam się malować, więc efekt był mizerny. Mój makijaż przypominał moje kolorowanki, był równie wielobarwny.

Drugi z ochroniarzy nie przestawał na mnie patrzeć, do chwili gdy nie wrócił pierwszy bysior.

– Gdzie są moje rzeczy? – zapytałam ostro.

Podał mi numerek.

– W szatni. Możesz je odebrać dopiero przy wyjściu.

– Gówno prawda. – Byłam bardzo przywiązana do mojej torebki. W niej było wszystko, co miałam.

Zmierzył mnie wzrokiem.

– Czytałaś regulamin?

Wiedziałam, że pytanie jest podchwytliwe.

– Tak – odparłam. Pomyślałam, że może rozbroi go moja szczerość. – Czytałam, ale ta torebka to wszystko, co mam.

Nie odpowiedział. Wskazał mi drzwi.

– Wejdź.

W środku napotkałam kolejnego ochroniarza. Powiedział, że mam iść za nim. Pierwszym, co przykuło moją uwagę, był unoszący się w powietrzu zapach czekolady. Zdawał się ulatniać ze świec, które ustawiono wzdłuż całej długości korytarza. Roztaczały wokół słodką woń.

Dotarliśmy do końca korytarza i weszliśmy schodami na drugie piętro. Domyśliłam się, że klub pierwotnie pełnił funkcję magazynu.

Był urządzony z przepychem. Wszystko dookoła, od zapachu czekolady po elementy wystroju, było szalenie zmysłowe.

Górne piętro oddzielała od parteru lśniąca czystością jednolita tafla szkła. Przez szklaną podłogę widać było parkiet, a na nim gęsty tańczący i rozbawiony tłum. Na górnym piętrze nikt nie tańczył. Po sali przechadzali się szykownie ubrani mężczyźni i kobiety. Niektórzy siedzieli na sofach i fotelach obitych granatowym pluszem, popijając drinki i rozmawiając. Wnętrze kapało od złota i kryształów. Wszystko migotało w ciepłym blasku świec.

Najwyraźniej trafiłam do strefy dla VIP-ów, przeznaczonej dla atrakcyjnych gości. W istocie wszyscy byli piękni.

Od razu rozpoznałam dwie znane aktorki, dwóch aktorów, trzech piosenkarzy, dwóch słynnych graczy baseballowych i kilku biznesmenów, których kojarzyłam z programów telewizyjnych z Home Run. Byli ekspertami od giełdy i finansów. Oprócz tego, że wszyscy byli rozpoznawalni, łączył ich młody wiek. Uznałam, że mamy mniej więcej tyle samo lat, czyli jesteśmy tuż po dwudziestce.

Z wyjątkiem jednego mężczyzny.

Wyróżniał się. Na pewno był grubo po sześćdziesiątce, choć jego oliwkowa karnacja go odmładzała. Nosił staroświecki garnitur, szelki i eleganckie buty. Siedział w kącie z drinkiem w dłoni i przyglądał się ludziom.

– Panno Andruzzi. – Ochroniarz, który wprowadził mnie do klubu, zwrócił się do mnie, używając nazwiska Sierry, czym wyrwał mnie z zamyślenia.

– Proszę się rozgościć. – Wskazał na salę obok, którą trudno było dostrzec, gdyż panował tłok.

– W pomieszczeniu obok jest jedzenie i są napoje. Jeśli ma pani ochotę na drinka, może pani złożyć zamówienie u kelnera. Proszę się nie krępować. – Zawiesił głos. – Niech się pani nie martwi o torbę. Gdyby zgubiła pani numerek, proszę zapamiętać, że ma pani numer jedenasty.

I poszedł.

Jedenaście. To jest mój numer. Ja pierdolę. Czy to oznaczało, że jeśli wywołają mój numer, będę musiała… Przespać się z kimś w pokoju obok? Zrobiło mi się niedobrze, a w ustach poczułam kwaśną treść żołądka. Musiałam się napić.

Wolnym krokiem przeszłam do sali bankietowej. Szczęśliwie nie było w niej tłoczno. Przy stołach z jedzeniem kręciły się głównie kobiety. Blaty uginały się od homarów, krewetek, kawioru i ostryg. Przy jednym ze stołów stał mężczyzna, który nożem odkrawał plastry pieczeni. Na innym pyszniły się rozmaite desery i czekoladki. Podawano herbatę i kawę. Jednym słowem, było tu wszystko, czego tylko można zapragnąć.

Palnęłam się w czoło tak mocno, że rozległo się donośne chlaśnięcie. Nagły brak tchu przypomniał mi o guzie, który miałam na czole.

Do cholery!

Keely rzadko miewała wolne, ale niedawno w którąś z minionych niedziel zaprosiła mnie do siebie na film. Opowiadał o dziewczynie, która zamieniła się z młodszą siostrą na miejsca, żeby uratować ją przed rytualnym zabójstwem. Na oczach całego kraju dziewczyna toczyła walkę na śmierć i życie. Powiedziałam wtedy Kee, że ta historia przywodzi mi na myśl los przeciętnego nowojorczyka. Ale teraz nagle mnie olśniło.

A może stałam się częścią jakiejś chorej gry?

Organizator dzisiejszego przyjęcia, kimkolwiek był, nie szczędził na nie grosza. Trudno mi było wyobrazić sobie, ile mogło kosztować. Co nas czekało, gdy już zaspokoimy głód? Walka o przetrwanie w tym cholernym rogu obfitości?

Walka to domena Keely. Była mistrzynią łucznictwa. Moja przyszywana siostrzyczka niejednemu potrafiła spuścić niezłe manto.

A ja? Nie miałam już nawet nędznego kawałka doniczki, żeby móc go użyć do obrony.

Przyjęłam od kelnera kieliszek wypełniony bursztynowym płynem. Wypiłam łyk i zaczęłam przyglądać się kobietom zgromadzonym w sali. Nie rozmawiały, wymieniały jedynie uprzejme uśmiechy i ukradkowe spojrzenia. Lustrowały się wzajemnie, oceniając, która z nich jest lepiej ubrana. Wszystkie byłyśmy równie wystrojone. Pasowałyśmy do okoliczności.

Był jednak pewien zgrzyt. Nie pasowałyśmy do tego miejsca. Normalnie nikt by nas tu nie wpuścił.

W sali bankietowej panowała dziwna atmosfera, żaden z pozostałych gości tu nie zaglądał. Jasne, że nie zaglądał. Tylko ci, którzy głodują, myślą o zaspokojeniu głodu. Dziewczyny co prawda nie wyglądały na bezdomne, ale czułam, że uciekają przed diabłem, podobnie jak ja.

Były wygłodniałe. Kierował nimi zwierzęcy instynkt walki lub ucieczki. Walczyły o przetrwanie.

Podobnie jak ja.

Ja pierdolę.

Poczułam nieodpartą chęć zapytania kogoś, co tu się tak naprawdę wyprawia, ale słowa ugrzęzły mi w gardle. Czułam, że w ciężkim od perfum powietrzu unoszą się jakieś niepisane reguły. *Milcz. Nie zadawaj pytań. Znasz zasady. Przyjęłaś warunki. A teraz. Bądź. Cicho.*

Znalazłam się w niekorzystnym położeniu, bo tych zasad nie znałam. Nie wiedziałam, dlaczego tu jestem ani co mnie czeka. Wiedziałam tylko, że desperacja jest wredną suką, która zatrutymi pazurami zdoła wymusić posłuch u każdego. Niech się dzieje, co chce, byłam gotowa oddzielić myśli i emocje od ciała, niezależnie od konsekwencji.

To było niczym dobór naturalny. Byłam gotowa stanąć do tego wyścigu najsilniejszych. Problem polegał na tym, że wszystkie kobiety były piękne, każda była wyjątkowa. Zapowiadała się krwawa jatka.

Pewnej otuchy dodawała mi myśl, że być może rywalizacja jest iluzją, a tak naprawdę wszystkie byłyśmy niczym stado byków wystawionych na aukcję. Niewątpliwie przyświecał nam wspólny cel, chciałyśmy przeżyć, bo nie mogłyśmy żyć.

Czas pokaże, czy stoczymy walkę, czy zawrzemy sojusz.

Do sali wszedł mężczyzna ze słuchawką w uchu i ruszył w kierunku dziewczyny, która właśnie przełykała ptysia z kremem. Gdy stanął obok niej, podał jej ramię. Dziewczyna zerknęła na niego, wytarła usta serwetką i rzuciwszy okiem na paterę z deserami, wzięła go pod rękę. Chwilę później wyszli z sali i skierowali się na prawo.

Ciekawe, jaki miała numer i kiedy nadejdzie moja kolej.

Wzięłam drinka i wyszłam z sali bankietowej. Usiadłam na fotelu w samym sercu panującego wokół chaosu. Ludzie śmiali się coraz głośniej. Dwóch mężczyzn toczyło walkę na niby, wymieniając udawane ciosy, a kobieta stojąca obok, która podobnie jak ja wyszła z sali bankietowej, przyglądała im się z politowaniem. Pozostałe kobiety gawędziły z innymi mężczyznami.

Czy flirt jest wskazany, skoro byłyśmy wystawione na aukcję? Na samą myśl o tym, że miałabym się reklamować, zrobiło mi się słabo. Nie dość, że sytuacja była załamująca, to na domiar złego miałam się sprzedać przed licytacją? *Przecież to niewykonalne*. Nie miałam szans przy tych królowych piękności.

Kolejny ochroniarz wszedł do sali i zaczął lustrować tłum.

Proszę, niech to nie będę ja. Jeszcze nie teraz.

Odetchnęłam z ulgą, gdy mięśniak omiótł mnie wzrokiem i zatrzymał się przy kobiecie, która przekomarzała się z dwoma mężczyznami. Podał jej ramię i zanim odeszli, kobieta rzuciła coś na odchodne w kierunku mężczyzn. Tym razem, zamiast pójść w prawo, ruszyli w kierunku schodów.

Hm. Szli na zewnątrz. Czy ona wiedziała, że wychodzi?

Ta sama sytuacja powtórzyła się jeszcze kilkakrotnie. Ochroniarz wyprowadzał kobiety, które wcześniej flirtowały z mężczyznami.

Ilekroć pojawiał się ten ochroniarz ze słuchawką w uchu, mój żołądek wykonywał salto. Zrobiło mi się słabo i odstawiłam drinka na marmurową podstawkę. Powinnam była coś zjeść. Miałam dreszcze, na zmianę robiło mi się zimno i gorąco. Czułam, że oblewa mnie zimny pot. Miałam nadzieję, że kosmetyki Sierry nie należały do najtańszych i nie spłynęły mi

z twarzy. Przypudrowałam raz jeszcze policzki, licząc na to, że ukryję siniaki.

Gdy pomyślałam, że to dobry moment, żeby pójść do łazienki, nieoczekiwanie przysiadł się do mnie mężczyzna w szelkach i odezwał się do mnie po włosku.

Pokręciłam głową.

– Nie mówię po włosku – powiedziałam drżącym głosem, który zdradzał moje zdenerwowanie.

– Aha – odparł, a jego odpowiedź zabrzmiała niemalże jak westchnienie. – Jak się czujesz?

Jego dobre oczy spojrzały na mnie zza szkieł i poczułam, że nie muszę kłamać.

– Szczerze? – westchnęłam. – Nie za dobrze. To przez nerwy.

Przytaknął.

– Jestem Tito. A ty?

– Ma… Sierra. Sierra Andruzzi.

Zmrużył oczy i przechylił głowę.

– Sierra Andruzzi – powtórzył.

– Sierra Andruzzi.

Tito dobrze wiedział, że nie jestem Sierrą. Byłam tego pewna, choć w żaden sposób nie okazał swojego niedowierzania. Chciał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili podszedł do mnie ochroniarz ze słuchawką w uchu. Spojrzał na mnie bez słowa.

Była 23.11.

Pomyśl życzenie, Mari.

Wzięłam głęboki oddech, zajrzałam w poczciwe oczy Tito i podałam ramię ochroniarzowi. Ruszyliśmy w niezręcznej ciszy, mijając salę bankietową. Na końcu korytarza skręciliśmy w prawo.

Panująca wokół ciemność potęgowała unoszący się w powietrzu zapach czekolady. Pomyślałam, że być może mrok wyostrzył mój zmysł zapachu. Choć czułam się jak ślepiec, mój towarzysz zdawał się znać drogę. W każdym razie obyło się bez upadku.

Muzyka w tej części klubu korespondowała z panującą atmosferą. Z głośników dobiegało powolne przejmujące brzmienie. Kobiecy głos śpiewał o rozstaniu z ukochanym mężczyzną.

Piosenka mówiła o wierności. Wokalistka była wierna kochankowi, mimo że doprowadzał ją do szaleństwa.

Nie wiem, jak długo szliśmy, bo w ciemnościach straciłam orientację. W końcu, chyba po kilku minutach, mój towarzysz zatrzymał się i jednym pchnięciem otworzył drzwi. Weszliśmy do ciemnego pomieszczenia.

Ściany zdobiły tapety w ciemnej tonacji, wszystkie meble były obite czarnym pluszem, czarny był również blat masywnego stołu. Oprócz kryształowego żyrandola oświetlającego wszystko blaskiem świec i sufitu w całości pokrytego masą perłową, wnętrze było monochromatyczne.

– Panno Andruzzi, czy mogę zaproponować pani coś do picia? – zapytał ochroniarz ochrypłym głosem.

Nie wiem, sam zdecyduj, cisnęło mi się na usta. Bałam się zapytać, co mnie czeka. Całą odwagę, którą miałam, wykorzystałam do podjęcia decyzji o przyjściu do klubu. Niech się dzieje, co chce.

Pamiętaj, masz szansę się ustawić. Na dobre.

Oddychaj, Mari.

– Nie – wyszeptałam resztkami tchu. Być może mój umysł płatał mi figle, ale mogłabym przysiąc, że w tej samej chwili płomień świec zadrżał poruszony niewidocznym podmuchem wiatru. Poczułam się, jakbym spadała w otchłań.

Ochroniarz kiwnął głową, a jego oczy rozbłysły w blasku świec.

– Panno Andruzzi, jest pani gotowa?

Nie uciekłam chyba tylko dlatego, że nie wiedziałam, co mnie czeka.

A być może obowiązywały mnie jakieś zasady, których nie znałam?

A jeśli strzelę jakąś gafę i zorientują się, że ich okłamałam?

A może nie.

Jeśli tylko uda mi się nie zaliczyć wpadki, może zdołam się wydostać z tego piekła albo zamienię jedno piekło na drugie.

Zamknęłam oczy i przytaknęłam.

Co ma być, to będzie…

Chwilę później poczułam na twarzy dotyk czegoś miękkiego. Westchnęłam, gdy zorientowałam się, że ochroniarz ciasno przewiązał mi oczy jedwabną przepaską.

Zapanowała grobowa cisza i poczułam, że zostałam sama.

A może to było tylko złudzenie?

Wydawało mi się, że słyszę kołyszące się płomyki świec. Czułam, że oddychają i zabierają mi tlen. A może zwariowałam? Mój oddech stał się krótki, urywany. Miałam wrażenie, że zaczyna mi brakować powietrza, skóra zaczęła mnie palić. Miałam wręcz poparzoną skórę i pęcherze na duszy.

Co oni mi zrobią? A może to ja powinnam coś zrobić?

Zaczerpnęłam haust powietrza, usilnie starając się uspokoić oddech, i poczułam zapach czekolady, tak intensywny, że przyćmił woń moich perfum. Może rozpylali go celowo, żebym poczuła się zdezorientowana?

Nic w tym miejscu nie było ani przypadkowe, ani jednoznaczne.

Nagle świece zasyczały i poczułam chłód przeciągu. Po klatce piersiowej spłynęła mi pojedyncza kropla potu. Zimna strużka chłodziła moją rozpaloną skórę.

Przeszył mnie dreszcz, poczułam delikatny dotyk dłoni. Ktoś wszedł do pomieszczenia i stanął tuż za mną. Wyczułam jego obecność i ciepło, które emanowało z jego ciała. Było gorętsze, gwałtowniejsze od płomieni świec. Jego oddech rozgrzewał moją skórę.

On.

To musiał być mężczyzna. Jego ręce. Były masywniejsze od moich ramion. Był wysoki, postawny, silny. Poczułam się obezwładniona jego siłą.

Nie miałam wątpliwości, że mam do czynienia z myśliwym. Pytanie, po czyjej stał stronie.

Czy upoluje coś dla mnie, czy to ja stanę się jego ofiarą?

Proszę, nie rób mi krzywdy. Proszę.

Na samą myśl zadrżały mi kolana. Powróciły wyparte wspomnienia.

Gdybym tylko mogła, zacisnęłabym oczy jeszcze mocniej. Nie mogłam. Byłam tak spięta, że czułam skurcz w powiekach. Drink, który wypiłam, zamiast ukoić moje skołatane nerwy, dodatkowo mnie rozstroił.

Starałam się zachować rozsądek i przytomność. Skup się na jego dotyku. Dotykał mnie delikatnie i z namysłem, a jego dłonie nie były ani miękkie, ani nadmiernie szorstkie. Wodził dłońmi wzdłuż mojego ciała, jakby chciał je zapamiętać.

Choć się nie znaliśmy, dotykał mnie w taki sposób, jakby chciał sprawdzić, czy łączy nas coś więcej niż cielesność. Może chciał sprawdzić, czy coś między nami zaiskrzy?

A może to ja byłam kretynką, jeśli sądziłam, że chodzi mu o coś więcej niż o seks.

Może to były moje pobożne życzenia.

Objął mnie w pasie od tyłu i powoli, z namysłem przyciągnął do siebie. Poruszaliśmy się w rytm muzyki, kołysząc się na boki, i stopniowo wtapiałam się w jego objęcia. Zdawał się wyczuć moje rozluźnienie. Jego dotyk palił mnie przez sukienkę.

Wciągnęłam powietrze, pragnąc poczuć jego zapach, ale wyczułam jedynie silną woń czekolady. No tak, pomyślałam. Miałam rację. Znalazłam powód, dla którego wszystko pachniało czekoladą. Nie chciał być rozpoznany, nie chciał się ujawniać.

Może tak miało być. Niebawem i tak będzie po wszystkim, będę ustawiona, a moje życie zmieni się na lepsze. We wspomnieniach zachowam zapach czekolady zamiast rysów jego twarzy. Uniknę niepotrzebnej nostalgii.

Westchnęłam, gdy ponownie zaczął wodzić dłońmi po moim ciele. W ciemności jego dotyk był niczym błyskawica mknąca przez nocny nieboskłon. Włoski na moim ciele stanęły dęba, przeszył mnie mimowolny dreszcz. Pod jego dotykiem czułam się miękka jak plastelina.

Z całych sił pragnęłam wyprzeć to, co czułam, chciałam, żeby przestał, żeby to się wreszcie skończyło, ale moje ciało zareagowało jak nigdy dotąd.

Odwzajemniało jego dotyk.

Tym razem to ciało zdominowało moje myśli, cała byłam pragnieniem. Na zmianę pożądałam i przyjmowałam. Celowo rozluźniłam dłoń, żeby mógł wziąć mnie za rękę. Wplótł swoje palce w moje i jednym idealnie płynnym ruchem obrócił mnie do siebie.

A więc stoimy naprzeciw siebie. To oznacza, że blask świec pada na moją twarz i on zobaczy, jak wyglądam naprawdę.

Zapadła grobowa cisza.

Czekałam. Czekałam. Czekałam. Cały czas czekałam.

O co do diabła chodzi?

A może wyszedł?

Było mi wstyd, bo pragnęłam, żeby mnie dotknął. Chciałam poczuć dotyk jego dłoni na mojej skórze. Potrzebowałam ich kojącego ciepła. Opaska zaczęła mi przeszkadzać. Czułam narastający niepokój.

W mroku było mi łatwiej ulec moim pragnieniom. Nie czułam się aż tak zepsuta, pożądając jego dotyku. Pożądając jego.

Chciałam ściągnąć opaskę, ale się zawahałam. Wiedziałam, że jeśli ją zdejmę, nastrój pryśnie. To on wyznaczył ton i atmosferę spotkania. Było romantycznie, wręcz idealnie. Nie tylko sprawił, że uwierzyłam, że przeżyję, ale też poczułam, że go pragnę.

Nie mogłam już dłużej znieść gorączkowego bicia serca i narastającej niepewności. Postanowiłam ściągnąć opaskę.

Powstrzymał mnie.

Nie minęła chwila, a znów poczułam dotyk jego dłoni. Wplótł mi ręce we włosy i pocałował z taką zawziętością, że pękła mi warga, a na języku poczułam smak krwi. Przemieszała się z aromatem cynamonu, który dawał się wyczuć w jego ustach.

Nic go nie mogło powstrzymać. Nawet krew. Jego spragniony język splótł się z moim. Wydawał się wygłodniały, podobnie jak ja. Czułam, że mnie pożera, wchłania. Oddawałam mu się bez oporu.

Głowa na jego karku, ciało podparte nogami, ramiona, które sięgały, chcąc mnie dotknąć, jego fizyczność nie miały dla mnie znaczenia. Mógł wyglądać jak ogr, ale w moich oczach był piękny. Znałam mnóstwo urodziwych ludzi, ale ich uroda była powierzchowna. Prawdziwie piękni byli ci nieliczni, o dobrym sercu.

W zakamarkach mojego umysłu zakiełkowała myśl, że może wreszcie oszalałam od lęku, który towarzyszył mi od zawsze. Może strach stał się tak nieznośny, że zaczęłam idealizować sytuację, która w rzeczywistości była beznadziejna.

Gówno prawda.

To było bardziej złożone.

Trudne do wypowiedzenia.

Tak naprawdę pragnęłam go całować. Pragnęłam jego dotyku i pocałunków.

Chciałam więcej. To coś sprawiało, że zaspokajałam mój głód. Podobnie się czułam, gdy rodzina Keely przygarnęła mnie do siebie. Podobnie, ale jednak inaczej. Uczucia, które mi towarzyszyły, były trudne do uchwycenia.

Piosenkarka miała rację, porównując miłość do narkotyku.

To było coś niespodziewanego. Dziwna siła wznosząca jak fala, odpychająca i zagarniająca jak przypływ.

Nie byłam gotowa na taką intensywność. Chciałam się odsunąć, odzyskać równowagę, ale nie byłam w stanie go puścić. Trzymałam go za koszulę. Czułam się tak, jakbym dotykała jakiejś życiodajnej siły. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam niczego podobnego.

Życie. W moich rękach. Moje.

Nagle oderwał swoje usta od moich tak gwałtownie, że poszybowałam do przodu, prosto na ścianę. Odruchowo podparłam się dłońmi, żeby nie upaść na ziemię.

Zaklął pod nosem. Poczułam ból odrzucenia.

Zamarłam. Stałam nieruchomo, tracąc poczucie czasu, to mogło trwać chwilę lub milion lat. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Trzęsłam się cała, tak

jak wtedy, gdy zaatakował mnie Merv. Nagle zaświtała mi myśl i bez zastanowienia wypowiedziałam ją na głos, w ciemność.

– Ta krew na wardze. – Wskazałam na usta. – Jestem zdrowa.

Milczał długo, więc myślałam, że wyszedł.

– Nie dotykaj tego – powiedział ostrzegawczo. Jego ton był nieprzejednany, niczym wzburzone morze. Chłodny, niski głos koił, niczym balsam. Mówił chrapliwie. Wydawał się naturalny. Chciałam, żeby nie przestawał mówić.

Ogarnij się, Mari! Nawet nie widziałaś jego twarzy! Może jest jakimś świrem, który przyszedł cię zerżnąć za kasę. Lubi zasłaniać oczy. Zboczeniec.

Kłamczucha, *kłamczucha*, *kłamczucha*, zanuciło moje serce, fałszując jak cholera. *Jest taki piękny*.

Diabeł też był piękny, wypaliłam w myślach.

– Dobrze – powiedziałam i odsunęłam dłoń od twarzy. Chciałam ściągnąć przepaskę, ale znowu mi zabronił.

– Jesteś biedna.

Ach ten głos, najukochańszy na całym świecie. Podobała mi się jego chrapliwość.

Chwileczkę.

Co takiego?

Jesteś biedna.

Roześmiałam się. Sądziłam, że odniesie się raczej do kwestii mojego zdrowia. Mógł się wystraszyć, gdy wyczuł w ustach smak krwi z mojej pękniętej wargi, dlatego to powiedziałam. Zamiast tego, wyskoczył z moją biedą.

Co to za tekst?

– Nieziemsko biedna. – Westchnęłam. – Gdybym była jeszcze biedniejsza, musiałabym się żywić krowim łajnem. Nie mam mieszkania. Nie mam pracy. Nie mam pieniędzy. Wydałam ostatnie pieniądze, żeby tu dojechać. Rodziny też nie mam. – Nie chciałam się wdawać w opowieść

o Keely i jej rodzinie. Nie musiał tego wiedzieć. Zwłaszcza jeśli był obłąkany.

– Nazwisko – rzucił.

– Och. – Wstrzymałam oddech, a po chwili odetchnęłam. – Mam na imię Mari. Nie Sierra. Ona… ona nie mogła przyjść. Przyszłam zamiast niej. A jeśli chodzi o regulamin…

– Nazwisko – powtórzył. – Nie pani nazwisko, panno Flores. Chcę znać nazwisko mężczyzny, który tak panią urządził.

– Skąd pan wie, że to był mężczyzna? – wyszeptałam, puszczając mimo uszu fakt, że wiedział, jak naprawdę się nazywam.

– Nazwisko – powtórzył. Odniosłam wrażenie, że traci cierpliwość.

Po co mu ta informacja?

Wyprostowałam się, usiłując złapać równowagę na chybotliwych obcasach. Próbowałam nie myśleć o tym, co czułam, gdy mnie dotykał.

– Nie pańska sprawa. Sytuacja nie jest dla mnie do końca jasna, ale wiem jedno. Chodzi o pieniądze. Jestem tu po to, żeby zarobić. Dostałam tę pracę czy nie? Mój czas jest cenny. Panie…?

– Co jest pani gotowa zrobić, żeby dostać tę pracę?

– Sądziłam, że to pan jest tą pracą.

– Odpowiedz, Mariposa.

Polizałam wargę i z ulgą zorientowałam się, że przestała krwawić. Wiedziałam, że nadal wygląda nieciekawie. Scałował mi z ust całą szminkę.

– Jestem tutaj. To znaczy, że zrobię wszystko, czego pan chce. Słyszałam, że pan nieźle płaci.

– Ach – odparł, zaciągając z włoska. – Płacę świetnie. Miliony. Plus dodatki.

Prawie mnie zatkało. Miliony? Plus dodatki? Może robił sobie ze mnie jaja? Nie, Sierra powiedziała wyraźnie, że ta praca by ją ustawiła do końca życia. Dziewczyna, która liczyła każdy zjedzony plasterek sera, bez wątpienia wszystko skrupulatnie skalkulowała. Nagle przypomniałam sobie jej chłopaka, Scarpone. A może zerwała z nim właśnie dlatego? To miało sens.

– Brzmi świetnie – powiedziałam. – Wchodzę w to.

Tym razem poczułam wyraźnie, że zbliżył się do mnie. Całą sobą czułam jego obecność. Był jak piorun, rozświetlający mój wewnętrzny mrok. Chciałam się odsunąć, ale objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. Próbowałam go odepchnąć, ale ani drgnął.

– Ty i ja – powiedział. – Opowiedz mi o nas, o tym, co się między nami wydarzyło.

– „My” to brzydkie słowo. Nie ma żadnych „nas” – odparłam. – To czysty biznes. Cokolwiek zrobię, z naciskiem na „cokolwiek”, będzie jedynie częścią transakcji. Na tym świecie nic nie jest za darmo, nawet miłość. Mam dość biedy. Muszę o siebie zadbać. Albo da mi pan tę pracę, albo proszę zawołać ochroniarza, żeby mnie stąd wyprowadził, jak te pozostałe dziewczyny, które flirtowały z innymi mężczyznami.

– Ty wyświadczysz mi przysługę…

– A ty mi zapłacisz – odpowiedziałam.

– Nic więcej – dodał.

– Nic więcej.

– Mariposa, żeby nie było między nami nieporozumień. – Nachylił się i poczułam jego oddech na szyi. Zamknęłam oczy, usiłując uciszyć oszalałe bicie serca. Wiem, że je usłyszał. – Nigdy, kurwa, nie przerywaj mi, jak mówię.

Kiwnęłam głową.

– Tak jest, szefie.

Słowo „szef” zabrzmiało w moich ustach jak obelga.

– Jeszcze nie powiedziałem, że dostałaś tę pracę, Mariposa.

Dotknął nosem mojej szyi, koniuszkiem wytyczając szlak od ucha do ust. Pocałował mnie w policzek i pękniętą wargę. Skaleczona skóra zapiekła.

Skóra nie przestała mi dokuczać, gdy pojawił się ochroniarz i zdjął mi przepaskę z oczu. Szef zniknął. Zostawił po sobie wspomnienie, które paliło mnie niczym ogień.

Po chwili ochroniarz bez słowa wyprowadził mnie na zewnątrz.

7

CAPO

Ze wszystkich klubów na świecie musiała wejść właśnie do mojego.

Mojego.

Wtargnęła na mój teren zupełnie nieświadomie.

Choć bardzo się zmieniła, natychmiast ją rozpoznałem…

Te oczy. Ten nos. Te usta. Kształt jej twarzy. Była moją niewinnością, *la mia farfalla*, choć zauważyłem, że zdążyła dorosnąć. Przez lata, które zdawały się ciągnąć bez końca, stała się kobietą. Jej widok przywołał wspomnienia. Poczułem się jak przywrócony do życia trup.

Była katalizatorem życia i śmierci i bezpośrednią przyczyną, dla której znalazłem się w obecnej sytuacji.

Myślała, że wszystkich wykiwa, gdy przyszła do klubu z zaproszeniem, które należało do martwej dziewczyny. Sierrę zabił Armino Scarpone. Jaki ojciec, taki syn.

Myślała, że przechytrzy bramkarzy, ale zdradziła się, gdy wspomniała o Guido.

Gdy zajrzałem do jej torby, wiedziałem już, kim jest.

Spinka w kształcie motyla. Fragment doniczki z rysunkiem motyla. Dziennik. Kredki i kolorowanki.

Kurwa, jaka dorosła kobieta nosi przy sobie kredki?

Była przedziwną hybrydą kobiety i dziecka.

W chwili gdy wziąłem do ręki fragment doniczki, wspomnienia stały się równie realne, co trzymany w dłoni przedmiot.

Zasługiwałem na jej lojalność.

Po prostu jeszcze o tym nie wiedziała.

Nie mogła tego pamiętać, miała wtedy zaledwie pięć lat.

Jednak w chwili, gdy ją przytuliłem, odwzajemniła dotyk i czas przestał mieć znaczenie. Wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą. Niezależnie od tego, jak bardzo by się tego wypierała (a bez wątpienia się tego wyprze), miała do mnie zaufanie. A ja na nie zasłużyłem.

W okamgnieniu przeistoczyła się z dziecka w kobietę i nim zdołałem nad sobą zapanować, pocałowałem ją. Przekroczyłem granicę. Była piękna w trudny do opisania sposób. Gdy na nią patrzyłem, przychodziło mi do głowy jedno słowo. Królewska. Była królową. A te usta? Miękkie niczym mój jasiek wypełniony gęsim pierzem.

Gdy znalazłem się blisko niej, poczułem się jak nowo narodzony. Świat zawirował, zrobiło mi się ciemno przed oczami, a gdy je ponownie otworzyłem, poczułem w ustach smak jej krwi.

Czerwień. No właśnie.

Ktoś ją tknął. Pobił. To dziecko, za które byłem gotowy umrzeć.

Życie nauczyło ją nie przyjmować pomocy. Przejawy życzliwości pojmowała w kategoriach długu. Nie chciała nic nikomu zawdzięczać. Nawet jeśli tym samym skazywała siebie na głód. Nawet jeśli stawką było jej życie.

Większość osób mówiła do mnie Mac. Dla niektórych byłem największym przekleństwem ich życia. Jednak nikt nigdy nie mówił do mnie szefie. A już na pewno nie tym sarkastycznym tonem, którego użyła Mari. Niezależnie od okoliczności, potrafiła o siebie zawalczyć.

Chciała żyć pełnią życia, a nie tylko egzystować.

Jej gotowość do przyjęcia pracy, niezależnie od kosztów i okoliczności, uzmysłowiła mi, jak bardzo jest zdesperowana. Znalazła się na rozstaju, w beznadziejnej sytuacji, z perspektywą śmierci głodowej. Nie miała już wyjścia.

Nie miała domu. Nie miała pracy. Nie miała pieniędzy. Jechała już na oparach. Zdradził ją czerstwy chleb, który znalazłem w jej torebce. Poza tym była przeraźliwie chuda.

Desperacja nie zawsze przekłada się na lojalność, ale ktoś, kto życie spędził w okopach, zaufa temu, kto wyciągnie do niego pomocną dłoń.

Choć o tym nie wiedziała, była moją dłużniczką, a jej lojalność była tylko kwestią czasu.

W moim świecie lojalność była szczodrze wynagradzana.

Obowiązywała w nim zasada transakcji wymiennej.

Dla niej to wszystko było tak kurewsko oczywiste, że z przerażeniem myślałem, skąd to się u niej wzięło.

Dowiem się, co się stało. To tylko kwestia czasu.

Marietta Palermo uwielbiała niebieski kolor, motyle i kolorowanki. Obiecałem sobie, że dowiem się, czy niebieski to również ulubiony kolor panny Flores.

Lubiła motyle i kolorowanki. Założę się, że lubiła też niebieski.

Zamierzałem się dowiedzieć, czy nadal ma koszmary ze mną w roli głównej, czy zdążyła już o wszystkim zapomnieć. Choć jej świadomość to wypierała, tej nocy w klubie jej ciało zdradziło, że mnie pamięta.

Obiecałem sobie, że policzę wszystkie blizny na jej ciele i połamię każdy palec, który odważył się ją tknąć. I tak miałem już na sumieniu wiele grzechów. Kiedy nadejdzie czas spowiedzi, kilka dodatkowych niczego nie zmieni.

Zaznajomię się bardzo blisko z każdym piegiem na jej skórze.

Chciałem wodzić palcem po jej delikatnym profilu, zapamiętać dotyk jej skóry. Znałem już na pamięć kształt jej ciała. Pasowała do mnie jak ulał. W najmniej nieoczekiwanych momentach przypominałem sobie zapach jej perfum.

Skup się, kurwa, do rzeczy. Jest twoją dłużniczką.

– Capo – powiedział Rocco, przypominając mi, że siedzę u niego w biurze. Capo po włosku znaczy szef, niezły cwaniak z tego Rocco. Nie miałem rodzeństwa, ale on był dla mnie jak brat. Nie łączyły nas więzy krwi, ale życie nauczyło mnie, że to nie ma znaczenia. Na miano rodziny trzeba sobie zasłużyć, to nie jest kwestia nadania. Choć był mi bliski, zachowywaliśmy dystans. I ja. I on. W naszym świecie nie można go nie mieć.

Odwróciłem się od okna, za którym rozciągał się widok na Nowy Jork, i pociągnąłem łyk whiskey. Odstawiłem szklaneczkę na mahoniowe biurko i poprawiłem krawat.

– *Sì* – odpowiedziałem. – Przygotuj papiery.

– Nazwisko. – Spojrzał na mnie badawczo, ale bez oceniania.

Spojrzałem na zegarek. Musiałem się zbierać.

– Niech ona zdecyduje.

– Wyślę Guido.

– *Sì* – uśmiechnąłem się. – Na pewno się ucieszy, przecież świetnie się znają z Guido i rodziną Faustich. To powinno ułatwić sprawę.

Przytaknął z uśmiechem i usiadł do swoich papierów.

8

MARIPOSA

Od spotkania z nim minął tydzień obfitujący w wydarzenia.

Nie odezwał się ani razu. Kiedy wyszłam z klubu, szofer w liberii odwiózł mnie do domu limuzyną z przyciemnianymi szybami, która na pewno kosztowała tyle, co dom w Nowym Jorku. Poprosiłam go, żeby mnie wysadził dwa bloki od domu Keely, ale odniosłam wrażenie, że kiedy wysiadłam, i tak mnie śledził.

Jednym słowem, mój plan nie wypalił. Moje ciało było bezwartościowe.

Zwaliłam winę na mój nos i postanowiłam o wszystkim zapomnieć.

Sprawy zaczęły się układać, więc to nie było nawet takie trudne. Keely miała mniej pracy, bo Harrison zapłacił jeden czynsz. Bardzo przeżyła śmierć Sierry. Po identyfikacji zwłok swojej współlokatorki zaczęła mieć koszmary. Policja uznała, że Sierra została zamordowana. Harrison powiedział mi, że ktoś ją brutalnie zasztyletował. Głównym podejrzanym był Armino Scarpone. Nadal był poszukiwany.

Myśl, że pozostawał na wolności, była niepokojąca, choć nie tak szokująca, bo wielu podobnych mu przestępców chodziło wolno. Żyliśmy w oczekiwaniu na najgorsze i staraliśmy się o tym nie myśleć.

Dwa dni po tym, jak Harrison opłacił Keely czynsz, zadzwonili do niej z Broadwayu. Dostała główną rolę w znanej produkcji. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później to się wydarzy, ale nikt nie był na to przygotowany. To była wspaniała niespodzianka. Keely zasłużyła na tę rolę.

Keely kazała mi ze sobą zamieszkać. Nie chciała, żebym się gdzieś włóczyła, bo Armino wiedział, kim jesteśmy. Widział nas, gdy pięściami walił w drzwi i awanturował się na klatce schodowej. Harrison bał się, że będzie próbował nas zabić, bo byłyśmy jedynymi świadkami jego spotkania

z Sierrą, ale wyglądało na to, że nie zdążył. Keely i ja złożyłyśmy zeznania na policji. Oprócz Armino i sprzedawcy w sklepie byłyśmy ostatnimi osobami, które widziały ją przed śmiercią. Zginęła, gdy wracała ze sklepu. Wyskoczyła tylko po parę pończoch.

Choć nie lubiłam przyjmować jałmużny, postanowiłam zamieszkać z Kee. Nie dlatego, że nie chciałam znowu wylądować na ulicy, ale dlatego, że martwiłam się o nią. Męczyła się, zamiast cieszyć się z angażu. Trzymałam się zasady odwdzięczania się za każdy życzliwy gest, dlatego pomogłam jej się spakować. Wygasła jej właśnie umowa najmu, więc z racji większych dochodów postanowiła przeprowadzić się do ładniejszego mieszkania.

Gdy zagwizdał czajnik, Keely zerwała się i pobiegła zaparzyć herbatę. Nie byłam wielbicielką herbaty, ale Kee&co (czyli rodzina Keely) pijała ją hektolitrami. Jej matka potrafiła przepowiadać przyszłość z fusów. Osobiście wolałam moje fusy z kawy.

Przyglądałam się jej przez chwilę, a następnie wróciłam do pakowania zbędnych rzeczy z kuchennych szafek.

– Mari?

– Tak?

Spojrzałam na nią. Wkładała do dzbanka torebki herbaty. W powietrzu zapachniało czymś słodkim i korzennym. Wanilia. Cynamon. *Cynamon*. Przypomniałam sobie jego usta, ale postanowiłam natychmiast wybić sobie z głowy kiełkującą myśl. Najwyraźniej oszukiwałam samą siebie, gdy założyłam, że jedynym, co zapamiętam z wizyty w klubie, będzie zapach czekolady.

– Zdałam sobie sprawę, że po śmierci Sierry wszystko zaczęło się układać. Nie muszę już się zaharowywać, żeby utrzymać tę norę. Dostałam rolę. Wszystko stało się tak nagle. Czy myślisz… Jak mam to powiedzieć, żeby nie zabrzmieć jak suka bez serca? – Keely wrzuciła do dzbanka kolejną torebkę herbaty. – Sierra była specyficzna, ale było mi jej żal. Przypominała mi ciebie.

Przełknęłam ślinę.

– Naprawdę?

Przytaknęła i nalała herbaty do starej filiżanki.

– Nie chodzi mi o jej charakter. Mam na myśli jej historię. To, że musiała walczyć, żeby przetrwać. W przeciwieństwie do ciebie była niezłą zołzą, ale sierotą. A potem trafiła do rodziny zastępczej. Myślę, że głodowała, dlatego nie zwracałam jej uwagi, gdy liczyła jajka albo plastry sera.

Keely zamieszała herbatę w filiżance i usiadła. Za ucho zatknęła jaskraworudy kosmyk włosów.

– Jak to powiedzieć? Zaczęłam się zastanawiać, czy Sierra nie przynosiła sobie, a przy okazji i mnie pecha. To potworne, potworne, że została zamordowana, ale jeszcze zanim zginęła, chciałam, żeby się wyprowadziła. Odkąd jej nie ma, czuję się lżejsza.

Dotknęłam jej ramienia. Była spięta. Sierra, podobnie jak ja, była sierotą, więc wszystko, co po niej zostało, trafiło do Keely. Musiała rozporządzać rzeczami kobiety, którą ledwie znała. To było obciążające.

– Zgadzam się – powiedziałam. – Ja też czułam się przytłoczona jej obecnością. To trudne do wytłumaczenia.

Keely wpatrywała się w filiżankę nieobecnym wzrokiem.

– Może wszystko, co dobre, było jeszcze przed nią. Może dostałaby tę pracę, o której wspominała. Nie zdążyła dotrzeć na rozmowę. Na łóżku cały czas leży jej sukienka.

– Wiesz, o jaką pracę chodziło?

Nie powiedziałam Keely o tym, co się wydarzyło i co zrobiłam. Nadal nie wiedziałam, o jaką pracę się ubiegałam. Gdy tamtej nocy wróciłam do domu, zakradłam się do pokoju Sierry i odłożyłam jej rzeczy na miejsce. Wcześniej przebrałam się w samochodzie, na wypadek gdyby Keely na mnie czekała. Od tamtej pory nie zaglądałam do pokoju Sierry.

– Nie – odparła Keely. – Ale odniosłam wrażenie, że to była praca jej marzeń. Gdyby ją dostała, nie musiałaby się już martwić o pieniądze. Nie mam pojęcia, gdzie tak świetnie płacą, ale była pewna proponowanych jej warunków.

Była pewna. Podobnie jak ja. Nie wiem, czego oczekiwał szef, ale z pewnością dobrze płacił. Nadal zachodziłam w głowę, za co i ile

dokładnie był gotowy zaoferować.

– Hej. – Keely wzięła mnie za rękę. – Zmieńmy temat. Nie powiedziałaś, gdzie byłaś tamtego wieczoru. Późno wróciłaś. Szukałaś pracy?

Za pierwszym razem, gdy zostawiłam ją samą, poszłam do Macchiavello's. Stałam oparta o ścianę i kolorowałam, w oczekiwaniu na mężczyznę w garniturze. Wiem, że to strasznie głupio zabrzmi, ale czułam, że mogę mu ufać. Ja sama miałam wyłącznie problemy, więc przebywanie w obecności kogoś tak ogarniętego jak on było dla mnie krzepiące. Wydawał się taki poukładany. Czułam, że potrafiłby się odnaleźć w każdej sytuacji. Potrafiłby rozwiązać każdy problem.

Nie czekałam na próżno. Przyszedł godzinę później i jak zwykle wyglądał świetnie. Być może uległam złudzeniu, ale mogłabym przysiąc, że gdy wysiadł z samochodu, natychmiast spojrzał w moim kierunku, tak jakby wiedział, że będę na niego czekać.

Gapiliśmy się na siebie do chwili, aż zdecydowałam się zrobić to, po co przyszłam. Z plecaka wyjęłam kompres i położyłam go na murku. A potem odwróciłam się i poszłam.

Obiecałam sobie, że już tam nie wrócę. Miałam problemy, których nie rozwiążę, stercząc pod ekskluzywną restauracją. Gapienie się na niedostępnego milionera w garniturze też niczego nie rozwiąże.

Poczułam nieodpartą chęć opowiedzenia Keely o tym, co się stało. Miałam poczucie winy, że zataiłam przed nią fakt wyjścia do klubu i że bez pytania pożyczyłam sukienkę, buty, perfumy i zaproszenie, które należały do Sierry.

Chciałam jej opowiedzieć o mężczyźnie w garniturze. Chciałam jej powiedzieć, że niezależnie od tego, że Harrison mnie kocha, nie czuję do niego nic poza braterską miłością. Wiedziałam, co poczułam do mężczyzny w garniturze, do szefa. Było dla mnie jasne, że moje uczucie do Harrisona jest czysto platoniczne.

Miałam tylko Keely, więc wierzyłam, że zrozumie, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam. Liczyłam, że zrozumie, co czuję.

Nadszedł czas na odprawienie egzorcyzmu i wyznanie prawdy.

Uścisnęłam dłoń Keely i usiadłam obok niej. Wbiłam wzrok w filiżankę z herbatą.

– Muszę ci coś wyznać.

Gadałam jak najęta. Zaczęłam od mężczyzny w garniturze, opowiedziałam o tym, co wydarzyło się tej nocy, gdy zamordowano Sierrę. Streściłam wieczór, który spędziłam w klubie. Odczekałam chwilę i wyznałam, co czuję do jej brata.

Keely siedziała w milczeniu z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Gdy cisza stała się nieznośna, wyszeptałam:

– Odezwij się.

– Stwierdziłaś, że musisz mi coś powiedzieć. To było więcej niż coś. Nie wiem, od czego zacząć.

– Zebrało się tego trochę – odparłam.

– Coś takiego… – Pokręciła głową. – Dlaczego nic mi nie mówiłaś?

Wzruszyłam ramionami, skubiąc nadłamany paznokieć.

– Nie chciałam cię rozczarować. Przecież ukradłam martwej dziewczynie jej sukienkę, perfumy i buty, a potem udawałam, że jestem nią. To było zagranie poniżej pasa, a w dodatku i tak nic z tego nie wyszło. Zachowałam się beznadziejnie. Wiedziałam, że nie pozwoliłabyś mi tam iść. Powiedziałabyś mi, że ta fucha Sierry nie jest tego warta, ale ja naprawdę wierzyłam, że jest inaczej. Chciałam tam pójść. A teraz, Kee, nie wiem, co mam ze sobą począć.

– Była kelnerką w tym klubie – odparła Kee. – Sierra. Pracowała tam. A ten gość, który jest właścicielem klubu, to nie jest szeregowy obywatel. Jest bogaty, myślę, że jest milionerem. I jest odludkiem. Mari, to nie jest zwykły klub, Sierra opowiadała mi, że regularnie widywała tam rodzinę Faustich. Masz rację, do cholery. Zabroniłabym ci tam iść. Co ci strzeliło do głowy? A gdyby cię sprzedał jak towar na aukcji? Albo wykorzystał do jakichś perwersyjnych praktyk seksualnych? Mari, to nie jest miejsce dla ciebie! Zasługujesz na więcej niż takie traktowanie. Zasługujesz na mężczyznę, któremu nie przyszłoby do głowy, żeby cię wyceniać, bo dla niego będziesz bezcenna! Zasługujesz na kogoś, kto będzie myślał, że nie zasługuje na ciebie!

– Kee, nie dostałam tej pracy! – Wstałam, bo nie mogłam usiedzieć w jednym miejscu. – Nawet to mi nie wyszło! Nawet nie potrafiłam się sprzedać! Nic nie jestem warta. Nie mogę znaleźć pracy. Nie skończyłam szkoły. Dlatego zaryzykowałam. To była moja ostatnia szansa. I nawet to mi nie wyszło! Na pewno chodziło o mój nos albo moje pieprzone usta! Powiedziałam mu na koniec kilka słów do słuchu.

– I bardzo dobrze! – wrzasnęła. – Skurwiel, zasłużył sobie! Na pewno chciał sobie kupić pannę na jedną noc!

– Nie. – Pokręciłam głową. – Mam wrażenie, że chodziło o coś innego. O długoterminowy układ, stałą relację.

– Co to znaczy?

Wzruszyłam ramionami, bo nie wiedziałam, jak to wytłumaczyć. To znaczy, że nie musiałabym walczyć o przetrwanie.

Rozległo się pukanie do drzwi i obie podskoczyłyśmy. Jak na zawołanie spojrzałyśmy na siebie.

– Weź tę żeliwną patelnię, którą dostałam od mamy – wyszeptała Kee.

– Stanę za tobą – powiedziałam bezgłośnie.

Uchyliła drzwi, a ja stanęłam tuż za nią, chowając patelnię za plecami. Gdyby za drzwiami stał Armino, nie zorientowałby się, że ją trzymam, dopóki nie dostałby w łeb.

To nie był Armino Scarpone, ale komisarz Stone i detektyw Marinetti. Ostatnio czułam się tak, jakbyśmy byli współlokatorami.

Wpuściłyśmy ich do środka. Na widok patelni komisarz Stone zmarszczył czoło, ale nie powiedział ani słowa. Sądziłam, że przyszli do Keely, więc ruszyłam w stronę kuchni.

– Przyszliśmy do pani, panno Flores – powiedział komisarz Marinetti i zaprosił mnie na kanapę.

Usiadłam z patelnią w dłoni. Keely usadowiła się obok mnie. Komisarz Stone i detektyw Marinetti stanęli przed nami.

– Zna pani Merva Johnsona? – zapytał komisarz Stone.

– Merva Zboczeńca? – Keely zmarszczyła nos.

– Tak, znam go. – Wymieniłam spojrzenia z komisarzem Stone’em. – Ale słabo. Był dozorcą w kamienicy, w której wynajmowałam norę szumnie zwaną mieszkaniem. Miała dach i ściany.

– Tak – powiedział komisarz Marinetti. Wydawał się zmęczony, wręcz wykończony. Westchnął. – To by się zgadzało.

– Dlaczego pytacie o Merva? – Keely wyprostowała się. – Jeśli umarł, tym lepiej dla wszystkich. – Udała, że spluwa za kanapę. To samo robiła jej matka, gdy chciała okazać oburzenie.

– Merv Johnson rzeczywiście nie żyje – odparł Marinetti bez ogródek.

Trąciłam łokciem Keely. Zaczęła kasłać. Wydawała się wstrząśnięta wiadomością o śmierci Merva. Prawdopodobnie myślała, że policja chciała o niego wypytać, bo łączyła go ze sprawą zaginięcia jakiejś dziewczyny.

– Co mu się stało? – Keely ubiegła moje pytanie.

Zaschło mi w ustach, serce waliło jak oszalałe, czułam, że się pocę. Przed oczami stanął mi wyraz jego twarzy, gdy walnęłam go Verą. Czy to ja zabiłam tego skurwysyna? Wyszłam chwilę później. A może od tamtej pory leżał w moim mieszkaniu i się rozkładał?

Merv odbierał czynsz co dwa miesiące. Niektóre dziewczyny świadczyły mu usługi seksualne w zamian za mieszkanie, więc zaglądał do nich wtedy, gdy zbliżał się okres rozliczeniowy. Byłam święcie przekonana, że jedynym powodem, dla którego ktoś mógłby zacząć go szukać, byłby smród rozkładających się zwłok. Jeśli znaleźli go w moim mieszkaniu, najprawdopodobniej podejrzewali mnie.

– Został zamordowany – powiedział komisarz Stone. Chcieliśmy panią zapytać, panno Flores, czy zna pani kogoś, kto mu źle życzył. Współpracowała pani z nami w śledztwie dotyczącym pani Andruzzi, a żaden z mieszkańców budynku nie chce z nami rozmawiać. Wygląda na to, że pan Johnson nie miał zbyt wielu przyjaciół.

Keely chciała coś powiedzieć, ale w tym samym momencie komisarz Marinetti głęboko westchnął. Poszedł do kuchni po krzesło, postawił je naprzeciwko kanapy i usiadł. Wyglądał na śmiertelnie znudzonego, tak jakby wiedział, że rozmowa z nami jest bezcelowa. My też nie przepadałyśmy za Mervem.

– Kiedy zginął ten zboczeniec? – wypaliła Keely. Była pamiętliwa. Zwłaszcza jeśli ktoś skrzywdził ją lub jej rodzinę. Potrafiła wybaczać, ale nigdy nie zapominała.

– Wczoraj.

To wykluczało mnie i Verę.

– Panno Flores, czy może nam pani powiedzieć cokolwiek, co pomogłoby nam w ujęciu sprawcy tej zbrodni?

Chciałam odpowiedzieć, ale Keely mi przerwała. Miała czerwone plamy na dekolcie i zarumienioną twarz. Spojrzała na komisarza Stone'a i powiedziała:

– Ja wam coś powiem. Merv Johnson napadł na moją siostrę. – Złapała mnie za rękę. – Widział pan jej twarz, komisarzu? To on jej to zrobił. Chciał ją zgwałcić w tej norze, którą nazywał mieszkaniem. Kazał sobie płacić seksem za czynsz. Gdy napotykał odmowę, wyżywał się na twarzach dziewczyn. Jeśli zatem pytacie, kto mógłby życzyć mu śmierci, odpowiem, że niestety nie mamy pojęcia, bo lista jest zbyt długa. Nikomu nie życzę śmierci, ale cieszę się, że on nie żyje. Ten, kto go zabił, przysłużył się ludzkości. A teraz, jeśli nie macie więcej pytań, będę musiała panów pożegnać. Miałyśmy ciężki tydzień. Po waszym wyjściu nie omieszkamy odmówić dziękczynnej modlitwy za śmierć tego bydlaka.

Po czterech godzinach znowu rozległo się pukanie do drzwi.

Uniosłam twarz znad kartonu i zdmuchnęłam z policzka niesforny kosmyk. Wysunął się z koka, który sobie zrobiłam. Usłyszałam, że Keely zmierza w kierunku drzwi, więc wzięłam do ręki patelnię i poszłam za nią.

– Ja otworzę – powiedziałam.

Wzięła ode mnie patelnię i ukryła ją za plecami.

– Mam w sobie dużo nagromadzonej agresji, poradzę sobie. – Skinęła na drzwi. – Sezamie, otwórz się.

Otworzyłam drzwi, robiąc krok w tył, i z impetem wpadłam na Keely.

– Guido. – Imię wymsknęło mi się z ust, zanim zdołałam się powstrzymać. W ręku trzymał pudełeczko owinięte złotym papierem.

– Mam go zdzielić patelnią? – szeptem zapytała Keely.

– Chyba nie. – Pokręciłam głową.

– To dobrze – powiedziała. – Jest taki przystojny. Gdyby zobaczyła go ta laska, która w kółko śpiewa o swoich byłych, nie śpiewałaby już o nikim więcej, tylko o nim.

Guido spojrzał na nas jak na wariatki. Następnie uśmiechnął się i powiedział:

– Tylko bez przemocy, proszę. Przybywam w pokoju.

Zatkało nas z wrażenia. Gdy się uśmiechnął, był jeszcze przystojniejszy.

– Powołałam się na ciebie – wypaliłam bez zastanowienia. – Wtedy w klubie. Wiem, że nie powinnam, ale myślałam, że mnie nakryją. Zapamiętałam cię z Home Run. Przyszedłeś ze Scarlett Fausti, żeby odebrać koszulkę dla jej męża.

– Uważaj – powiedział. Jego ton był poważny, ale w ciemnych oczach czaił się niesforny uśmiech. Ciężko go było rozgryźć. – Wiele osób mnie zna, ale niewiele mnie lubi. Mogli cię nie wpuścić albo, co gorsza, wsadzić do celi razem z moimi wrogami. Nazwisko Fausti nie zawsze gwarantuje bezpieczeństwo. Czasami bywa zupełnie na odwrót.

– O cholera, Mari! – Keely klepnęła mnie w ramię. – On jest z tych Faustich!

Posłałam jej karcące spojrzenie.

Guido wydawał się niewzruszony. Podał mi pakunek.

– *Il capo*. – Zamilkł, skrywając uśmiech. – Prosił, żeby ci to przekazać. W pudełku masz instrukcje.

– Chodzi o pracę zdalną? – zapytała Keely z powagą.

– Instrukcja jest w pudełku – powiedział na odchodne.

– Guido… – wyszeptałam.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie. Jego oczy miały kolor ciemnej czekolady. Błysnęły w słońcu. *Ja pierdolę*. Czym się ci Włosi żywili? Byli niemożliwie piękni.

– Co to znaczy *il capo*?

– Po włosku „szef”. – Roześmiał się. Śmiał się jeszcze, wsiadając do swojego drogiego, szybkiego wozu.

Gangster z poczuciem humoru? Kto by pomyślał.

Gdy zamknęłam drzwi, oparłam się o nie, bo poczułam, że mam nogi jak z waty. Nie wiedziałam, czy pudełko, które trzymałam w dłoniach, to prezent, czy bomba.

– Mari. – Keely wyrwała mnie z zamyślenia. – Sprawa robi się poważna. Rodzina Faustich! – Nie przestawała powtarzać tego nazwiska, jakby myślała, że jeśli powtórzy je wystarczającą liczbę razy, to znikną z powierzchni ziemi.

Pogroziłam jej palcem.

– Cicho bądź. Muszę pomyśleć.

– A ja muszę się napić! – stwierdziła. Wiedziałam, że zaraz wyciągnie irlandzką whiskey.

Osunęłam się na podłogę pod drzwiami. Po pięciu minutach lub dziesięciu godzinach, Bóg jeden raczy wiedzieć, otworzyłam pudełko.

Pod warstwą bibułki leżała para bardzo ładnych tenisówek. W moim rozmiarze. Pod śnieżnobiałymi butami tkwił liścik.

Panno Flores, na ważne spotkania powinna Pani zawsze wkładać buty, które leżą jak ulał. Liczy się pierwsze wrażenie. Ta para butów jest pierwszą z wielu. Ich koszt odjąłem od Pani zarobków. Proszę je nosić. To drobny gest. Będę oczekiwał podobnego od Pani. To nic osobistego. Czysty biznes.

Capo

Tak się podpisał.

– Spryciarz – wymamrotałam pod nosem.

Pod odręcznie napisanym liścikiem znalazłam wizytówkę z datą i miejscem spotkania. Za dwa dni. W poniedziałek. O 11.11. Podany adres znajdował się na Manhattanie. Byłam pewna, że chodziło o jakiś wypasiony budynek. Miał po mnie przyjechać kierowca.

Ja pierdolę.

Czy naprawdę byłam na to gotowa?

Mój wzrok zatrzymał się na szklance wypełnionej bursztynowym płynem, którą Keely podstawiła mi pod nos.

– Chciałabym ci powiedzieć, żebyś nigdzie nie szła, ale i tak mnie nie posłuchasz. – Usiadła obok mnie na podłodze i ostrożnie odstawiła swoją whiskey, żeby nie uronić ani kropli. Westchnęła i oparła głowę na moim ramieniu. – Obiecasz mi, że będziesz ostrożna?

Równocześnie uniosłyśmy szklaneczki. Nie mogłam jej obiecać czegoś, na co nie miałam żadnego wpływu. Stuknęłyśmy się i wypiłyśmy do dna.

9

MARIPOSA

W poniedziałek rano punktualnie o 11.00 usiadłam w poczekalni szpanerskiego biura, czekając na spotkanie z panem Rocco Faustim. Na nogach miałam swoje plastikowe klapki. Gdy zapytałam sekretarkę, czym zajmuje się pan Fausti, spojrzała na mnie dziwnie. Na drzwiach nie było żadnej tabliczki.

– Jest mecenasem – odpowiedziała krótko.

Sądząc po luksusach, które mnie otaczały, nieźle mu się powodziło.

Punkt 11.07 Rocco Fausti wyszedł z gabinetu i przywitał się ze mną. Mówił z wyraźnym włoskim akcentem, ale byłam w stanie go zrozumieć. Gdy wyciągnął rękę na powitanie, bałam się ją uścisnąć, była tak wypielęgnowana. Czułam się jak dziecko, które dotyka zabytkowej marmurowej rzeźby.

Był ode mnie dużo wyższy. Miał czarne włosy, złocistą skórę i zielonkawe oczy. Pełne usta. Pachniał obłędnie. A jego ciało… Garnitur szyty na miarę podkreślał zarys jego muskulatury. Ten *capo,* kimkolwiek był, otaczał się równie atrakcyjnymi ludźmi. Ludźmi kompetentnymi.

Innymi niż ja.

Gdybym nie była pogodzona z moim wyglądem, z pewnością nabawiłabym się kompleksów.

Minęliśmy gabinet Rocco pachnący intensywnie jego wodą kolońską i weszliśmy do sali, w której stał długi stół. Wokół stołu rozstawiono dwanaście krzeseł, na blacie leżała okrągła taca z karafką wody i kilkoma szklankami. Wskazał mi miejsce tuż przy wypolerowanej szklanej ścianie.

Usiadł obok mnie u szczytu. Chwilę później przyszła jego sekretarka z naręczem dokumentów. Zanim nas zostawiła, nalała wody do trzech

szklanek. Jedną postawiła przed szefem, drugą przede mną, a trzecią po jego prawicy. Czekaliśmy zatem na jeszcze jedną osobę.

– Panie Fausti?

Uniósł wzrok znad papierów i spojrzał na mnie. Jego zielone oczy błysnęły w słońcu.

– Możesz mówić mi Rocco.

Kiwnęłam głową.

– Rocco. Co ja tu robię?

Spojrzał na mnie przeciągle, a ja wypiłam łyk wody.

Dokładnie o 11.11 zakrztusiłam się wodą i zaczęłam dusić. Zerwałam się z krzesła i wymachując rękami, próbowałam złapać oddech. Odetchnęłam w chwili, gdy trzecia osoba weszła do sali.

Przewróciłam oczami i gapiąc się w sufit, pomyślałam, że los spłatał mi właśnie okrutnego figla.

Woda paliła moją krtań i cały czas zanosiłam się kaszlem. Woda mnie wykończy. On mnie wykończy. Co on tu robi?

To niemożliwe…

Podał mi rękę.

– Możesz mówić do mnie Capo – powiedział. – Jeśli chcesz.

Mężczyzna w garniturze. Pan Mac. Szef. Capo. Cztery osoby, kurwa, w jednej.

Błękit. O niczym innym nie mogłam myśleć. Jego oczy. Były błękitne. Zatracałam się w tym błękicie, wynosił mnie w kosmos, lata świetlne od ziemi. Jego oczy były spokojne, ale miały w sobie coś tajemniczego. Trzeba było przejść przez piekło, żeby zasłużyć na jego niebiańskie względy.

– Mariposa.

Jego głos. Zniewalał mnie podobnie jak wtedy w klubie. Był niski, ochrypły i niezwykle seksowny.

Choć oczy cały czas miałam załzawione, dostrzegłam jego dłoń, którą cały czas trzymał wyciągniętą na powitanie. Wpatrywałam się w nią, nie

mogąc przestać myśleć o jego dotyku. O tym, jak mnie przytulał. O wspólnych chwilach w sali skąpanej w blasku świec.

Wyciągnięta dłoń nabrała realnych kształtów i zauważyłam, że całą powierzchnię jego lewej dłoni pokrywa tatuaż. Zaczynał się tuż przy nadgarstku i kończył w koniuszkach jego smukłych palców. Tatuaż przedstawiał głowę warczącego czarnego wilka. Miał błękitne oczy, podobnie jak Capo.

Ten mężczyzna mógł mieć każdą kobietę, dlaczego upierał się, żeby za to płacić? Byłam gotowa założyć się o bochenek czerstwego chleba, że żadna by mu nie odmówiła. Był obiektywnie bardzo atrakcyjny, ale było w nim też coś, co czyniło go interesującym. Jakaś szorstkość, dzikość. Jego powierzchowność skrywała coś, co trudno było uchwycić i nazwać.

Nie. To było oczywiste. Miał w sobie brutalną siłę. Czułam jej bezwzględną moc, nawet wtedy, gdy mnie nie dotykał.

Odkaszlnął i odruchowo spojrzałam na jego krtań. Pierwszy raz widziałam go tak wyraźnie. Oprócz tatuażu na dłoni, na szyi miał poziomą bliznę. Widziałam ją dokładnie, choć zdążyła wyblaknąć i stopić się z jego karnacją.

– Panno Flores – powiedział Rocco, wyrywając mnie z transu. – Możemy zacząć?

Capo cofnął wyciągniętą dłoń, a ja po chwili zaskrzeczałam:

– Tak, ale mów mi Mari.

Rocco przytaknął.

– Mari. – Wskazał mi krzesło.

Usiadłam, nie odrywając wzroku od Capo. Nie przestawał na mnie patrzeć. Jego spojrzenie było intensywne, ale z jakiegoś powodu nie czułam się nim onieśmielona. Chciałam się na niego gapić. Nabierałam pewności, że nie mógłby mi się znudzić.

Poczułam się jak grzesznica. Z bliska był jeszcze piękniejszy.

Capo usiadł naprzeciw mnie, a moje nozdrza wypełnił zapach jego wody kolońskiej. Rocco zaczął przeglądać dokumenty.

Capo sięgnął przez stół i wziął mnie za rękę.

– Mariposa – powiedział. – Możesz do mnie mówić Capo lub Mac.

Odchrząknęłam, bo wiedziałam, że zaskrzeczę, jeśli się odezwę. Nadal nie podałam mu ręki. Bałam się, że gdy tylko go dotknę, polecą iskry. Ciekawe, czy zaiskrzyło między nami tamtej nocy w klubie. Sądziłam, że tak.

– Wolę Capo – powiedziałam cicho. – A ty możesz mi mówić Mari.

Wyciągnęłam do niego rękę, bo nie chciałam wyjść na tchórza, ale w ostatniej chwili zamiast mu ją podać, przybiłam z nim piątkę.

Jest za wcześnie. Za wcześnie, żeby go dotykać. Za wcześnie, żeby mu ulec. Bałam się, że dostrzeże w moich oczach to, czego nie widać było w ciemnościach. Bałam się, że zobaczy, jak na mnie działa.

Uśmiechnął się szeroko, ale z jego spojrzenia biła powaga.

– Mariposa – powiedział, akcentując hiszpańskie słowo po włosku. – Będę na ciebie mówić Mariposa. Motyl.

Motyl. Przechyliłam głowę w nadziei, że zobaczę go wyraźniej. Tak się nie stało, ale i tak był piękny pod każdym kątem. Był najpiękniejszą istotą, jaką widziałam w życiu, z wyjątkiem mojego ulubionego motyla. Dlatego nie znosiłam, gdy ludzie, których ledwo znałam, zwracali się do mnie, używając mojego pełnego imienia. Moje imię było wyjątkowe, ale gdy wymawiali je obojętnie i bez wyrazu, czułam się jeszcze bardziej niewidzialna. Jak wciąż niewykluta gąsienica.

Nie miałam jednak nic przeciwko temu, żeby jego usta, jego pełne wargi wymawiały moje imię. Podobało mi się, że wypowiedział je przeciągle. Mariposa. W jego ustach brzmiało wyjątkowo. Wręcz pięknie.

– Mari, zapytałaś mnie, dlaczego tu jesteś. – Głos Rocco przebił się przez otaczającą mnie mgłę.

Przytaknęłam i napiłam się wody.

– Uważaj – uśmiechnął się Capo. – Ta woda jest dziwnie gęsta.

Zmrużyłam oczy. Mądrala. Oderwałam od niego wzrok, obiecując sobie, że nie spojrzę na niego, dopóki Rocco nie wtajemniczy mnie w treść dokumentów, które leżały na stole.

– Mari, słyszałaś kiedyś o aranżowanych małżeństwach?

– Aranżowanych małżeństwach? – powtórzyłam jak idiotka i tak też pewnie wyglądałam. Oczywiście, że znałam ten termin, ale dlaczego, do cholery, pytał o to właśnie teraz? Spodziewałam się rozmów o uległości seksualnej, cenie kobiecego ciała i o tym, co byłabym gotowa zrobić za odpowiednią kasę. Lub czego bym nie zrobiła. Spodziewałam się wszystkiego, tylko nie tematu małżeństwa.

– Aranżowane małżeństwo oznacza, że… – zaczął Rocco.

Uciszyłam go gestem dłoni.

– Wiem, co to jest, ale jaki to ma związek z moją obecnością tutaj?

– Gdybyś wiedziała, o czym będziemy rozmawiać – powiedział Rocco, patrząc na mnie znacząco – nie podjąłbym tego tematu. Chcę ci to wyjaśnić, bo zostałaś wybrana przez Capo, nie znając wcześniej szczegółów układu, który chcemy ci zaproponować. Po to tu jestem. W naszej kulturze aranżowane małżeństwa są dość powszechne, choć zazwyczaj warunki ustalają rodziny narzeczonych. Capo chce się ożenić. Poznał ciebie i właśnie ciebie wybrał. Dlatego się spotkaliśmy. Capo chce się z tobą ożenić.

– Ożenić się ze mną? – powtórzyłam, patrząc na obu mężczyzn, bo skoro dowiedziałam się, jaki był cel naszego spotkania, mogłam już spojrzeć na Capo. Żaden z nich się nie roześmiał, nie odniosłam też wrażenia, że żartują. To ja się roześmiałam. Zawyłam jak czarownica.

Ucichłam, gdy zorientowałam się, że patrzą na mnie ze śmiertelną powagą.

– Ja pierdolę – powiedziałam, przecierając oczy. Spojrzałam na Capo. – Naprawdę chcesz się ze mną ożenić?

Przytaknął powoli, ale zdecydowanie.

– Chodzi o układ.

– Jasne. – Siedziałam chwilę w milczeniu, usiłując pozbierać myśli. Wszystko powoli nabierało sensu.

Ta noc w klubie była rodzajem próby. Sprawdzał, czy któraś z dziewczyn mu się spodoba. Zasłonięte oczy miały być gwarancją, że nie zostanie rozpoznany na ulicy przez żadną z nich.

Sierra wspomniała Keely, że Capo jest odludkiem.

Wszystkie dziewczyny, które flirtowały z mężczyznami, kazał wyprowadzać na zewnątrz.

Wytypował również Sierrę.

Małżeństwo. Chciał się ze mną ożenić. Wybrał mnie.

Wstałam, odwracając wzrok. Chciałam spojrzeć na niego po raz ostatni, ale nie byłam w stanie. To było ponad moje siły.

– Niepotrzebnie zmarnowałam twój czas. Nie nadaję się do tej pracy. Nie nadaję się do małżeństwa, nawet zaaranżowanego.

Odwróciłam się, by wyjść, ale jego głos raził mnie niczym piorun.

– Przypominam, że to ty przyszłaś do mnie w sprawie pracy. Teraz, gdy proponuję ci czysty układ, wychodzisz. Nie zdążyłaś poznać moich warunków, ale chętnie wysłucham, jeśli masz jakieś zastrzeżenia. Mariposa, jeśli wyjdziesz, nie wysłuchawszy mnie, to nie będzie akt odwagi. Nie zachowuj się jak przerażone dziecko. Usiądź i udowodnij mi, że nie jesteś dzieckiem.

– Okay – powiedziałam i odwróciłam się. Zawiesiłam torebkę na krześle i usiadłam. Choć rozmawialiśmy o małżeństwie, spotkanie miało charakter wybitnie formalny. Losy dwojga ludzi miały zostać połączone za pomocą papierologii i drobiazgowych ustaleń. Ta decyzja wymagała ode mnie pragmatyzmu. Musiałam odłożyć emocje na bok, ale przedtem chciałam coś zrozumieć. – Zanim przejdziemy do oficjalnej części spotkania, muszę cię o coś zapytać.

Capo spojrzał na mnie i przytaknął. Nie odrywając ode mnie wzroku, sięgnął po szklankę i napił się wody.

– Capo, dlaczego wybrałeś mnie?

Z trudem wypowiedziałam jego ksywę. Starałam się wymówić ją z włoskim akcentem, naśladując Rocco, ale nie do końca mi się to udało. Capo wymawiał moje imię z takim namaszczeniem, że chciałam mu się

odwdzięczyć. W odpowiedzi jego twarz stężała, a ja poczułam, że wracam myślami do nocy w klubie, przejmującej i intymnej.

– Pozwolisz, że odpowiem pytaniem?

Wykonałam zapraszający gest.

– A dlaczego to nie miałabyś być ty, Mariposa?

Sięgnęłam po szklankę i ostrożnie pociągnęłam niewielki łyk. Odstawiwszy ją, postanowiłam odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Żadne z nas nie miało czasu na bujdy.

– Widziałam dziewczyny w klubie. Te, które sam wybrałeś. A Sierra była współlokatorką mojej siostry. Wiem, jak wyglądała z rana. Widywałam ją, gdy była przemęczona. Zawsze była śliczna. – Wskazałam na moją twarz i palcem przesunęłam po nosie.

Jego wzrok stężał w okamgnieniu. Natychmiast dostrzegłam zmianę jego nastroju i zastanawiałam się, czy inni również zauważali takie niuanse. Wyczuwałam go na odległość.

– Uwierzysz mi, jeśli zaprzeczę?

– Tak – powiedziałam. – Nie wyglądasz na kogoś, kto ma czas na gierki.

– A ty jesteś inna niż wszyscy. Wyróżniasz się. Wyglądasz jak królowa. Czułbym się zaszczycony, gdybyś została moją żoną. Masz najpiękniejszą twarz, jaką w życiu widziałem.

Splótł palce i spojrzał na mnie badawczo. Dostrzegłam w jego spojrzeniu coś, do czego nie byłam przyzwyczajona: uznanie. Mężczyzna powiedział:

– Ta dopiero jest kością z moich kości i ciałem z mego ciała! Ta będzie się zwała niewiastą, bo ta z mężczyzny została wzięta. Byłbym zaszczycony móc nazywać cię kością z moich kości i ciałem z mego ciała. Moją kobietą.

Minęła chwila, zanim dotarło do mnie, co powiedział. Był bezceremonialny, ale mówił prawdę. Myślałam, że zemdleję.

Wiedziałam, że muszę coś powiedzieć, bo nie chciałam, by pomyślał, że jego słowa robią na mnie tak piorunujące wrażenie.

– Nikt dotąd…

Co ja wygaduję? Sprawił, że stałam się zbyt otwarta, a pewne kwestie nie powinny ujrzeć światła dziennego. *Za dużo o mnie wie*. Jego oczy były zbyt jasne. Wiedziałam, że skrywają mrok, ale kontrast pomiędzy jego źrenicą a tęczówką był oślepiający.

– Niech się walą. – Machnął dłonią lekceważąco. – Inni się nie liczą.

– A ty się liczysz?

– Tylko ja się liczę – powiedział. *Il capo*.

– Przyjmuję twoje uzasadnienie – odparłam z nadzieją, że uda mi się skierować rozmowę na inne tory. – Jednak nie może ci chodzić jedynie o mój wygląd. Podaj mi jakiś inny powód.

Capo spojrzał na Rocco i powiedział:

– A jeśli nie mam innego powodu? A jeśli siedzisz tu tylko dlatego, że chcę słyszeć do końca moich dni, jak twoje miękkie usta wymawiają moje imię, i nie chcę, żeby jakikolwiek inny mężczyzna dostąpił tego zaszczytu?

Wzięłam łyk wody i o mały włos znowu się nie zakrztusiłam.

– To bardzo szlachetnie z twojej strony – odparłam i z radością odkryłam, że mój głos nie zadrżał. – Ale nie mówisz mi całej prawdy.

– Masz rację – przyznał. – Ale niech ci się nie wydaje, że mnie znasz, Mariposa. To byłby błąd. Moja szlachetność ma granice. – Widziałam ten rozpalony wzrok. Jego oczy pociemniały niczym morze podczas sztormu.

W oszczędnych słowach starał się dać mi coś do zrozumienia. *Moja szlachetność ma granice*. Pożądanie, które czuliśmy do siebie, było namacalne. Pragnęłam go dotknąć. Chciałam czuć jego dotyk. Byłam niczym bezchmurne niebo, oczekujące nadciągającej burzy.

– Mari – powiedział Rocco. – Tak czy nie? Wyrażasz zgodę na udział w spotkaniu? Jeśli tak, przejdziemy do ustalania warunków, ale układ wejdzie w życie od razu.

Ciekawe, że użył sformułowania „wejdzie w życie”.

Spojrzałam na Capo i oblizując usta, zapytałam:

– Wejdzie w życie?

– Zostaniesz moją żoną – powiedział Capo, zniżając głos.

– Tak – odparłam. – Zgadzam się. Przejdźmy do ustalenia warunków.

Zanim przeszliśmy do meritum, Rocco zdradził mi najistotniejszy powód, dla którego Capo chciał się ożenić.

– Jego dziadek zachorował – powtórzyłam za nim. Zachowywałam się jak papuga. I bezustannie coś mnie zaskakiwało.

Rocco przytaknął i wyjaśnił. Po śmierci babci Capo nie miał żadnych bliskich krewnych oprócz dziadka. Życzeniem dziadka jest, żeby Capo przed jego śmiercią się ożenił. Już chciałam zapytać, dlaczego Capo nie przyprowadzi przypadkowej dziewczyny i nie przedstawi jej jako swojej narzeczonej, ale Rocco mnie ubiegł. Capo nie mógł okłamać dziadka. To nie wchodziło w rachubę.

Przytaknęłam i spojrzałam na Capo. Nie przestawał się na mnie gapić. Czułam jego spojrzenie również wtedy, gdy rozmawiałam z Rocco.

– Rozumiem – przytaknęłam. – Moja adopcyjna mama umarła na raka, gdy miałam dziesięć lat.

– Bardzo mi przykro – powiedział Capo.

– Mari, ty nie masz rodziny, ale będziesz musiała polecieć do Włoch, żeby poznać rodzinę Capo – poinformował mnie Rocco.

– Mylisz się – odparłam twardo. – Mam rodzinę.

Obaj mężczyźni zmrużyli oczy.

– Moja przyjaciółka Keely. Ona jest moją rodziną. I jej bracia także.

Rocco spojrzał na Capo pytająco.

– Przedstawisz mnie im oficjalnie – powiedział. – Na przyjęciu w domu rodzinnym Keely. To impreza z okazji jej nowej pracy. Za dwa tygodnie. W niedzielę.

– Skąd o niej wiesz?

– Ja wiem wszystko, Mariposa. Zwłaszcza o tobie. – Wymienił imiona rodziców Keely, a następnie podał imiona i wiek jej braci. Po chwili dodał: – My wiemy, że nasze małżeństwo to układ, ale twoi bliscy nie powinni tego wiedzieć. Nie wymagam, żebyś okłamywała przyjaciółkę, ale musisz nagiąć prawdę. Powiesz, że poznaliśmy się na rozmowie o pracę. Gdy zorientowałaś się, że znamy się z klubu, coś między nami zaiskrzyło. Nie

mogłem cię zatrudnić z uwagi na konflikt interesów. Zjedliśmy obiad, porozmawialiśmy o rzeczach, o których rozmawiają zakochani, i postanowiłaś zaprosić mnie na imprezę przyjaciółki. Przez następne dwa tygodnie będziemy się spotykać. Przyjadę po ciebie do domu. Będziemy umawiać się na randki. – Ostatnie słowo wymówił z obrzydzeniem. – Na przyjęciu rodzinnym powiesz, że jesteśmy zaręczeni. Tydzień później weźmiemy ślub cywilny w ratuszu. Pod koniec lipca wyprawimy drugie wesele we Włoszech. Prawdziwe wesele. Twoi znajomi są zaproszeni.

Po wszystkim, co powiedział, na usta cisnęło mi się pytanie: skoro wie o mnie wszystko, dlaczego ja nie wiem nic o nim?

Nachylił się, splatając ręce, i spojrzał na mnie chłodno.

– Wspomniałaś, że rozumiesz powody, dla których zdecydowałem się na małżeństwo. Robię to dla dziadka, jednak ten powód nie jest najważniejszy. Mam tylko jedno serce, ale do serca dochodzi więcej niż jedna żyła. W grę wchodzą także inne przyczyny. Proszę, żebyś dała mi więcej czasu na wyjaśnienie.

– Ile? – zapytałam.

– *Scusami?*

Uśmiechnęłam się szeroko. Choć nie znałam włoskiego, domyśliłam się, co powiedział. Nie zrozumiał mnie.

– Ile masz tych żył? Tych przy sercu?

– Chcesz znać dokładną liczbę. – Odchylił się na krześle i spojrzał na mnie badawczo. – Dwie.

– Nie – odparłam. – Wybierz inną liczbę.

– Chcesz, żebym zmyślał?

– Nie – powiedziałam. – Wiem jednak, że trójka przynosi pecha. Nie chcę, żebyś zmyślał, ale spróbuj znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. W ten sposób, razem z sercem i dwiema żyłami, zamkniemy się w liczbie cztery, a nie trzy.

Po pięciu minutach ciszy przytaknął.

– Zgoda.

Rocco zanotował coś na kartce.

Byłam zadowolona. Bardzo zadowolona. To jasne stawianie spraw bardzo mi odpowiadało.

Ustaliliśmy zasady pożycia przed sformalizowaniem związku. Transakcyjne podejście do małżeństwa powoli nabierało sensu. „Ja oczekuję tego, a ty oczekujesz tego. Zrobię to dla ciebie, jeśli ty zrobisz coś dla mnie. Będziemy trzymać się wytyczonych granic”. Poczułam ulgę po szoku wywołanym oświadczynami.

Gdy Rocco wspomniał o policji i zaczął wymieniać sytuacje, w których będę zobowiązana do zachowania milczenia, wyprostowałam się i nadstawiłam uszu.

– Prowadzisz jakieś szemrane interesy?

Zaskoczyła mnie jego szczerość. Przytaknął.

– Moje ręce nie zawsze są czyste.

– Jak nieczyste?

– Czy to ważne?

– Sama nie wiem.

– Czy ulżę twojemu sumieniu, jeśli powiem, że nigdy nie stosuję przemocy z chęci zysku?

– Oczekuję prawdy – powiedziałam. – Bez względu na to, jak bardzo jest bolesna. Jeśli… Jeśli cię o to pytam, oczekuję, że będziesz szczery.

Nagle poczułam, że jego szczerość zaczyna mnie przerastać. Zlękłam się, że jeśli zacznę rozmyślać i drążyć temat, małżeństwo może nie dojść do skutku. Nie chciałam przymykać oczu z chęci zysku.

Z potrzeby bycia z nim.

Przegoniłam natrętną myśl. Przy tym stole nie było miejsca na uczucia. On nic do mnie nie czuł. Ja będę równie bezuczuciowa.

Przytaknął.

– Zgoda.

Rocco zapisał coś na kartce.

Kontynuowaliśmy w tym duchu. Rocco lub Capo wysuwali postulat, omawialiśmy go i podejmowaliśmy decyzję. W przypadku różnicy zdań

dyskutowaliśmy do czasu osiągnięcia konsensusu.

Pieniądze. Po zawarciu małżeństwa miałam uzyskać dostęp do jego kont. W grę wchodziły miliony dolarów. Bez ograniczeń. Jednak w przypadku rozwodu, separacji lub złamania najważniejszych warunków umowy miałam zostać bez grosza.

– To nie podlega dyskusji – stwierdził Capo, a z jego oczu biła powaga. – Nie uznaję rozwodu. Będziesz moja do śmierci.

– A jeśli któreś z nas będzie nieszczęśliwe?

– W tym małżeństwie nie chodzi o miłość, Mariposa. Czy to jest jasne?

– Tak – odparłam nieco zbyt defensywnie. – Wszystko jasne. Już to mówiłeś, ja też. Rozumiem.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

– Nie mieszajmy w to miłości – powiedział, wskazując na siebie i na mnie. – Dzięki temu będziemy szczęśliwsi. Nasze ustalenia stanowią gwarancję udanego związku. Każde z nas ma jasno określone potrzeby. Ja oczekuję lojalności. Ty chcesz żyć. Nie wszystkie małżeństwa opierają się na miłości. Miłość to kruchy fundament. Przy tym stole budujemy coś solidniejszego.

– Kontynuujmy – powiedziałam.

Ustaliliśmy, że do czasu zawarcia małżeństwa będę otrzymywać miesięczną pensję w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Miała pokryć koszty wyżywienia, ubrań i innych wydatków.

Następnie przeszliśmy do tematu wspólnych podróży. Zgodziliśmy się, że nie będziemy wyjeżdżać rzadziej niż dwa razy do roku, częściej, jeśli oboje będziemy mieli taką potrzebę. Każde z nas wybierze po jednej destynacji.

Capo i Rocco nie przestawali mnie zaskakiwać, więc uznałam, że nie mogę pozostać im dłużna. Powiedziałam, że pod żadnym pozorem nie wyrażę zgody na operację powiększenia pośladków. Uparłam się, żeby Rocco dopisał mój warunek do listy, którą sporządzał na bieżąco.

– Zgoda. Dopisz, że moja żona nie będzie musiała robić sobie żadnych operacji plastycznych, w tym wstawiania implantów pośladków, chyba że sama wyrazi taką potrzebę. Choć, szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś

niczego w sobie nie zmieniała. To strata pieniędzy. Motyle są naturalnie piękne – powiedział Capo z uśmiechem.

Po godzinie ktoś zapukał do drzwi. Przerwaliśmy rozmowę, a sekretarka Rocco zebrała od nas zamówienia na lunch. Zaczerwieniłam się, bo zaburczało mi głośno w brzuchu. Choć mieszkałam u Keely, nie korzystałam z jej zapasów, chyba że coś we mnie wmusiła. Pomagałam jej w przeprowadzce, ale i tak czułam, że nie dość się rewanżuję.

Capo złożył zamówienie w moim imieniu. Zamówił też deser.

– To miło z twojej strony – powiedziałam. Było mi głupio samej poprosić. Wiedziałam, że jedzenie, które zamawiamy, jest drogie, a nie byłam do tego przyzwyczajona.

Z uśmiechem kiwnął głową.

Sekretarka Rocco zastygła. Wpatrywała się w Capo, do chwili gdy spojrzał na nią i powiedział:

– To będzie wszystko dla mnie i dla mojej narzeczonej.

Przytaknęła, uśmiechnęła się i poprawiła włosy. Gdy odwrócił wzrok, przycisnęła do piersi kartkę z zamówieniem. Odprowadzałam ją wzrokiem, do chwili gdy zamknęła za sobą drzwi. Była atrakcyjną brunetką, wyglądała jak modelka. Rocco mówił do niej Giada. Kogoś takiego jak ona spodziewałam się u boku Capo. Pasowali do siebie.

Giada i Capo. Nawet ich imiona do siebie pasowały.

Rocco zaproponował, żebyśmy kontynuowali spotkanie do pory lunchu. Byłam za.

Uniosłam rękę jak uczennica.

– Chcę mieć ciebie na wyłączność – powiedziałam. – Zaczynając od teraz.

– Mari, musisz wyrażać się precyzyjniej – poprosił Rocco, przekładając papiery.

– Mari chce powiedzieć, że oczekuje ode mnie wierności. Od zaraz – powiedział Capo, a w jego oczach pojawiły się wesołe iskierki.

– Ubiegłaś mnie – uśmiechnął się Rocco. Wymienili spojrzenia z Capo. – Właśnie zamierzałem przejść do tego punktu.

– Zgadzam się na dowolną liczbę randek w tygodniu. – Machnęłam ręką. – Niech to będzie niespodzianka, pod warunkiem że nie będziemy się spotykać trzy razy w tygodniu. Poza tym jestem otwarta na propozycje.

– Zgodnie z wolą Mari przechodzimy do kwestii wyłączności. – Rocco zajrzał do dokumentów. Ponownie się uśmiechnął. Odniosłam wrażenie, że go rozbawiłam. – Obie strony wyraziły zgodę na wyłączność, ale uważam, że ta kwestia wymaga doprecyzowania. Mari, jeśli uznasz, że nie jesteś gotowa na rozpoczęcie pożycia intymnego z Capo, nie możesz oczekiwać, że będzie żył w celibacie. W tej sytuacji Capo będzie mógł spotykać się z innymi kobietami, z zachowaniem dyskrecji, rzecz jasna.

– Dyskrecji – wymamrotałam. – Jasne. A ja wyjdę na idiotkę.

Co gorsza, na myśl o tym, że pod moją nieobecność miałby spotykać się z jakąś sekretarką, zrobiło mi się niedobrze.

Rocco przytaknął.

– Mari, dyskrecja dotyczyłaby również ciebie…

– Nie – uciął Capo. – Nikt poza mną nie ma prawa tknąć mojej żony.

Zapadła cisza. Gdy spojrzałam na Rocco, zauważyłam, że przypatruje się uważnie Capo. Capo rzadko okazywał emocje. Rocco czuł się zaskoczony jego reakcją. To nie było w jego stylu.

Czy to możliwe, że nie omówili tego wcześniej? Nie miałam powodu sądzić, że nie zdążyli poruszyć istotniejszych kwestii przed moim przyjściem. Świadczyła o tym stanowczość, z jaką Capo odnosił się do niektórych punktów umowy.

– A zatem to postanowione – powiedziałam. – Nikt inny nie dotyka mnie ani ciebie.

– *Esclusiva. Esclusivo* – powiedział i zanotował Rocco.

– Mari, jesteś dziewicą? – zapytał Capo.

– Dlaczego pytasz? – wypaliłam. – Czy to wpłynie na moją wycenę? Nie wydaje mi się. Przecież i tak jesteś gotowy dać mi wszystko, pod warunkiem że nie odejdę.

Nie spodobało mi się to, jak spojrzał. Chciał siłą wymóc na mnie odpowiedź. Czy sądził, że skoro byłam biedna i bezdomna, to nie jestem

dziewicą?

No tak, pomyślałam z rezygnacją. Przecież byłam gotowa sprzedać mu się za dolara w jego klubie. Niebawem miałam się przekonać, że sprzedam mu swoją najskrytszą tajemnicę w zamian za życie.

– Czy to ważne? – Spróbowałam go zniechęcić po raz ostatni.

– Dla mnie tak – powiedział Capo. – Od tego zależy, jak przebiegnie nasza pierwsza wspólna noc.

Jak przebiegnie nasza pierwsza wspólna noc? O czym on mówi? Czy chce dać mi do zrozumienia, że gdybym nie była dziewicą, potraktowałby mnie brutalnie?

Po raz pierwszy od chwili, gdy próbowałam wyjść ze spotkania, wstałam i podeszłam do okna. Gdy wyjrzałam, zakręciło mi się w głowie. Nowy Jork z wysoka był zniewalająco piękny, czułam się, jakbym szybowała.

– Nie wiem – wyszeptałam.

– Nie wiesz – powtórzył Capo. Wyobraziłam sobie jego zmarszczoną brew.

Zapadła cisza. Po dłuższej chwili poprosił mnie o wyjaśnienie.

– Nie wiem! – powiedziałam głośniej. – W wieku szesnastu lat trafiłam do zamożnej rodziny zastępczej. On… mnie dotykał. Nie doszło do seksu, bo udało mi się uciec. Nie mogłam mu na to pozwolić. Keely pomogła mi załatwić fałszywy dowód i udało mi się znaleźć pracę. Nocowałam w przytułkach. Czasami u Keely, jeśli jej mama pozwalała. Ukrywałam się, żeby nie trafić do kolejnej rodziny. I przed policją, do czasu, aż skończyłam osiemnaście lat. On robił ze mną rzeczy, o których wolałabym nie mówić. Dlatego chyba nie muszę wam tłumaczyć, dlaczego mam wątpliwości, czy jestem dziewicą. Ale jestem zdrowa. Poza nim nie byłam z żadnym innym mężczyzną, ani wcześniej, ani później. Nie miałam czasu na związki, nie sądziłam też, że kiedykolwiek jeszcze zapragnę, żeby ktoś mnie dotknął.

– Nie chcesz mieć zobowiązań… – powiedział cicho Capo. Ton jego głosu zmroził mnie na odległość.

Zrozumiał, dlaczego czuję, że muszę odwdzięczać się za każdy akt dobroci. Tamten złamas powiedział, że mam wobec niego dług za to, że przyjął mnie pod swój dach. Uwierzyłam mu i byłam gotowa zrobić

wszystko, żeby mieć dom. Dom. Odkąd jednak zrozumiałam, czego ode mnie oczekiwał w zamian, akty dobroci zaczęły mnie brzydzić.

Było mi wstyd. Każdej nocy posuwał się coraz dalej, aż stało się jasne, że dąży do sytuacji, w której nie będzie już odwrotu. Palce to jedno, jednak kutas to co innego. Gdy zaczął się do mnie dobierać, wyjęłam nóż z torebki i zagroziłam, że go potnę, jeśli spróbuje mnie tknąć. Wolałam bezdomność od życia w klatce. W pokojach obok mojego spały jego dzieci i żona.

– Dobroć – wyznałam. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie musieć jej od nikogo przyjmować.

– Chcesz się do mnie zbliżyć, Mariposa?

– Capo, to nie jest takie proste. Potrzebuję czasu, żeby dzielić z tobą łoże.

– *Concordata* – powiedział cicho. Wiedziałam z wcześniejszych rozmów, że ma na myśli zgodę.

Stałam tak długo przy oknie, że gdy się wreszcie odwróciłam, Rocco zdążył już wyjść.

– Już po spotkaniu? – zapytałam, widząc go samego przy stole.

Przestraszyłam się, że moja spowiedź mogła go zniechęcić. Czy byłam skalana? Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, nawet Keely. Wiedziała ode mnie tylko tyle, że polityk źle mnie traktował. Podejrzewałam, że i tak się domyśliła, co się stało, bo zaproponowała, że gdybym chciała pójść na policję, może mi towarzyszyć.

– Nie. – Jego głos zabrzmiał chrapliwie. – Zrobiliśmy sobie przerwę.

Kiwnęłam głową i znowu odwróciłam się do okna.

– Mariposa, usiądź.

Zajęłam miejsce przy stole, sądząc, że zbliża się czas obiadu. Lubiłam słuchać się Capo. Był taki stanowczy.

Wstał, podszedł do mnie, po czym uklęknął. Położył dłoń na moim kolanie.

– Nie włożyłaś tych nowych butów, które ci wysłałem.

Światło odbiło się w jego oczach, przywodząc na myśl głębię oceanu, w której pragnęłam się zatracić. W jego spojrzeniu czaił się mrok, który był

dla mnie równie pociągający. Za wszelką cenę chciałam uwierzyć, że to, co zrobiłam ze strachu i desperacji, to, że nie zareagowałam krzykiem, gdy polityk dotknął mnie po raz pierwszy, nie skreślało mnie. Miałam nadzieję, że nie tylko ja żyję z brzemieniem mrocznej tajemnicy. Chciałam wierzyć, że nie byłam jedyną osobą na tej ziemi, która przehandlowała swoje sekrety za szansę na nowe życie.

– Nie – uśmiechnęłam się lekko. – Nie byłeś wtedy moim oficjalnym *capo*.

Odwzajemnił uśmiech i sięgnął po moją torbę. Odruchowo ją przytrzymałam, ale on metodycznie wyswobodził ją z moich zaciśniętych dłoni. Wyjął z niej karton z butami, jakby wiedział, że je spakowałam. Powoli sięgnął po mój zużyty klapek.

Chciałam mu przeszkodzić, ale ściągnął mi go jednym ruchem.

– Są takie brudne – wyszeptałam.

– Widziałem gorsze rzeczy.

Pozwoliłam mu zdjąć oba moje klapki i wymienić je na nowe tenisówki. Były takie wygodne. Nie miałam nowej pary butów, odkąd skończyłam dziesięć lat.

– Ta torba… – zagaił. – Należała do twojej matki.

Minęła chwila, zanim jego słowa do mnie dotarły.

– Do mojej matki? Masz na myśli Jocelyn?

– Nie – odparł. – Jocelyn Flores przyjęła cię pod swój dach i pokochała jak własne dziecko. A ulubionym powiedzonkiem jej ojca, starego Gianellego, było „ja pierdolę”. Wykrzykiwał tak, ilekroć jakieś szkodniki wyjadły mu warzywa z ogródka. Sycylijczycy kochają swoje ogródki.

– Znałeś moją… Jocelyn? I dziadka? – Dziadek był ojcem Jocelyn. Nie zdążyłam poznać Julio Floresa, męża Jocelyn. Umarł, zanim zostałam adoptowana, ale przyjęłam jego nazwisko.

Przytaknął.

– Znałem ich bardzo dobrze.

– Najpierw umarł dziadek – powiedziałam. – Jocelyn odeszła rok później.

– Zawał – dodał Capo. – I rak.

– Zgadza się – wydusiłam z siebie. To był jedyny stabilny dom, jaki miałam.

– Nadal odwiedzasz dom na Staten Island.

– To prawda.

– Dawałem im pieniądze na twoje utrzymanie.

– Co?

– Co się stało z tymi pieniędzmi, Mariposa?

Odsunęłam się od niego.

– Była bardzo chora. Pieniądze poszły na leczenie. A potem zabrali nam dom. Pieniądze się rozeszły. Wszyscy poumierali. Nikt już się o mnie nie troszczył. – Przygryzłam wargę. – Skąd to wszystko wiesz?

Capo nadal klęczał, trzymając w palcach jednej ręki mój brudny klapek.

– Znałem twoich rodziców, Corrado i Marię. Gdy się urodziłaś, nazywałaś się Marietta Palermo.

– Marietta Palermo. – To zabrzmiało obco. – Miałam pięć lat, gdy… To dzięki tobie trafiłam do mojej rodziny, prawda?

– Zgadza się. Sam cię do nich zawiozłem. Zmieniłem ci imię na Mariposa – powiedział, akcentując hiszpańskie imię z włoska. – Będę do ciebie mówił Mariposa. Motyl.

Ten złamas nadał mi imię.

– Dlaczego? – Zacisnęłam pięści.

– Marietta w wolnym tłumaczeniu znaczy „morze goryczy”. Chciałem, żeby twoje imię miało bardziej optymistyczny wydźwięk. Chciałem, żebyś żyła jak twoje ukochane motyle. Zasłużyłaś na lepsze życie. Oba imiona zaczynają się tak samo. „Mari”, tak mówiła do ciebie twoja mama. Chciałem, żebyś zachowała cząstkę jej przy sobie. Wiedziałem też, że w ten sposób łatwiej ci się będzie przestawić. Byłaś mała, ale już wtedy wiedziałaś, że masz na imię Mari.

– Nie o to mi chodzi. Pytałam, dlaczego mnie im oddałeś. Co się stało z moimi rodzicami? – Czułam, że za chwilę pęknie mi serce, ale udało mi się nie rozkleić.

– Zginęli – powiedział.

– W wypadku samochodowym? – Tę wersję znałam od Jocelyn i dziadka.

Z namaszczeniem odstawił moje stare klapki i wstał.

– Zostali zamordowani przez rodzinę Scarpone.

– Przez… – Słowo „mafia” utknęło mi w gardle.

– Ciebie również chcieli zabić.

– Rozumiem. – Osunęłam się na krzesło. Nie miałam siły wstać, ale sięgnęłam po torbę i przycisnęłam ją do piersi. Jocelyn powiedziała mi, że gdy trafiłam do nich, miałam przy sobie tylko tę torbę. W środku znalazła dwa zeszyty z kolorowankami. W jednym były rysunki motyli, w drugim księżniczek. Miałam też pudełko z kredkami. I spinkę w kształcie motyla.

– Starasz się zrozumieć.

Spojrzałam mu w oczy. Nie przestawał na mnie patrzeć, a intensywność jego spojrzenia sprawiała, że czułam się zarazem wolna i bezpieczna.

– Wiedziałeś, że lubię motyle. I kolorowanki.

Mariposa. Motyl.

– Sama mi to powiedziałaś – przypomniał. – Poprosiłaś, żebym pomógł ci rysować. Twoim ulubionym kolorem był niebieski.

– Nadal jest – stwierdziłam i pomyślałam o jego oczach.

Zrobiło mi się niedobrze. Zamknęłam oczy i zaczęłam głęboko oddychać.

– Ty… – Musiałam zaczerpnąć powietrza. – Nigdy nie spuściłeś mnie z oka.

– Nie – powiedział. – Gdy zostawiłem cię u Jocelyn i starego Gianellego, zerwałem z tobą wszelki kontakt. Tak było bezpieczniej. Miałem zamiar podesłać kogoś, żeby sprawdził, czy masz pieniądze i jesteś bezpieczna, ale coś się wydarzyło i pokrzyżowało mi plany. Gdy po raz pierwszy zobaczyłem cię pod Macchiavello’s, wydałaś mi się znajoma. Gdy spotkałem cię w klubie, wiedziałem już, że to ty. Moje podejrzenia potwierdził kompres, który zostawiłaś. Pobrałem z niego próbkę krwi i zbadałem DNA.

– Uratowałeś mnie. Uratowałeś przed tymi ludźmi. – Na usta cisnęło mi się pytanie, czy uratował mnie przed swoimi ludźmi. Chciałam, żeby zaspokoił moją ciekawość, choć zdawałam sobie sprawę, że chodziło o rodzinę Scarpone. Ostatnio ich nazwisko padało w rozmowach bardzo często. Nie było chyba osoby, która nie wiedziałaby, kim jest rodzina Scarpone. Nie dorównywali rodzinie Faustich, ale za to słynęli z brutalności.

Nowym Jorkiem rządziło pięć rodzin, wśród nich rodzina Scarpone. To przez ludzi takich jak oni już od najmłodszych lat nauczyłam się nie wtrącać w nie swoje sprawy. Między innymi z tego powodu nie doniosłam na Quillona Zamboniego, tego, który mnie obmacywał. Wiedziałam dobrze, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale ten człowiek siedzący tutaj miał zostać moim mężem. Pewne rzeczy musiałam wiedzieć.

– Jesteś jednym z nich.

Spojrzał na mnie z kamiennym wyrazem twarzy.

– Byłem kiedyś.

– A teraz?

– Teraz jestem samotnym wilkiem.

– Dlaczego? Dlaczego mnie uratowałeś?

– Byłaś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Wzruszyła mnie twoja niewinność. We włosach miałaś spinkę w kształcie motyla i interesowały cię jedynie kolorowanki. Nigdy wcześniej nic nie skłoniło mnie do zmiany planów. Ale poznałem ciebie, Mariposa. Sprawiłaś, że się zmieniłem. Chciałem uratować twoją niewinność.

Jego głos był wyzuty z emocji. Równie dobrze mógłby mówić o pogodzie i czy dzisiaj warto włożyć kurtkę.

– Jakim kosztem? – Sama nie byłam pewna, o jakie koszty pytam.

– Kosztem uszkodzenia tętnicy – rzucił. – Pogadamy kiedy indziej.

– Nie powiesz mi nic więcej?

– Dziś już nie.

Wiedziałam, że dalsza rozmowa była bezcelowa. Nie miał zamiaru nic więcej powiedzieć. Zresztą czy rzeczywiście chciałam znać wszystkie

szczegóły? Czy to mogło mieć wpływ na moją decyzję o małżeństwie? Wiedziałam, że jeśli za niego wyjdę, klamka zapadnie. Nie będzie odwrotu. Nie pozostawił mi co do tego żadnych wątpliwości. Chciałam mu się przeciwstawić, ale jednocześnie czułam, że jest w nim coś, co mnie przed tym powstrzymuje. Zdawał się mówić: „Zastanów się dwa razy, zanim to zrobisz”.

Jednego byłam pewna. Skoro utrzymał się przy życiu, rodzina najwyraźniej uznała go za nieszkodliwego. W przeciwnym razie dawno by go już nie było.

Czułam, że stawka jest wyższa niż pieniądze i przetrwanie. W powietrzu wisiało niebezpieczeństwo, którego nie mogłam bagatelizować. Od dziecka walczyłam o przetrwanie, ale wiedziałam, że szansa, którą dostałam od życia, wiąże się z konsekwencjami. Do zdrowego serca prowadzą chore tętnice.

– Jakim imieniem podpiszesz się na dokumentach? – głos Capo wyrwał mnie z zamyślenia.

– Czy grozi mi jakieś niebezpieczeństwo? – Pierwszy raz zadałam to pytanie. Byłam tak oszołomiona perspektywą nowego życia, że zapomniałam o cieniu kostuchy, który towarzyszył mi na każdym kroku.

– Tak – odparł bez wahania. – Zawsze ci groziło. Chroniłem cię, jak tylko mogłem. Stracili cię z oczu, gdy wylądowałaś na ulicy. Teraz korzystne dla ciebie jest choćby to, że znam rodzinę Faustich. Cokolwiek do nich należy, staje się nietykalne, pod groźbą śmierci. Traktują mnie jak członka własnej rodziny. Mam do nich zaufanie. Nie mogę ci zagwarantować pełnej ochrony, ale obiecuję, że będę cię strzegł jak oka w głowie.

– Tak jak kiedyś?

Zamilkł.

– Jakim imieniem podpiszesz się na dokumentach? – zapytał ponownie.

– Mariposa – odparłam bez chwili wahania. – Mariposa.

Przytaknął i poszedł po Rocco. Widziałam, że się niecierpliwił.

– Capo.

Zatrzymał się w pół kroku, ale się nie odwrócił.

– Jak będę miała na nazwisko?

– Macchiavello. – Wziął głęboki oddech. – Mariposa Macchiavello. – W jego głosie zabrzmiało zadowolenie. – Nazwisko samo w sobie nie ma znaczenia. Ale jest moje, niezależnie od tego, skąd pochodzi, i będziesz je nosić, jak pieprzoną obrączkę na palcu.

Wyszedł, zamykając cicho drzwi.

Poczułam się, jakbym zwiędła. Dotarło do mnie, że jest jedynym mężczyzną, któremu coś zawdzięczałam. Był tego świadom. Od samego początku.

Oczekiwał lojalności. Był gotów na wszystko, żeby ją sobie zapewnić.

Jednego byłam pewna. Nie pozwolę, żeby jakikolwiek mężczyzna, w tym również mój przyszły mąż Capo Macchiavello, zabił mnie swoją dobrocią. Dobroć zabija powoli, wżerając się w człowieka niczym kwas.

10

MARIPOSA

Dwa tygodnie później Capo zabrał mnie na Staten Island jednym z tych swoich szybkich samochodów. Koleś ewidentnie miał hopla na punkcie aut. Moje pierwotne przypuszczenie, że dobierał samochód pod kolor krawata, nie było dalekie od prawdy. Na każdą okazję miał inny wóz.

Samochód, który wybrał na przyjęcie Keely wydawane z okazji angażu na Broadwayu, wyglądał strasznie lansersko. Gdy zapytałam Capo o markę, powiedział, że to Bugatti Veyron. Nie znałam się na furach, więc wsiadłam potulnie do czarnej bestii, która wyglądała jak wyjęta z Formuły 1.

Po naszym spotkaniu zaczął zabierać mnie na randki. Keely przyjęła moją wersję zdarzeń bez komentarza, ale czułam, że mi nie dowierza. Nie przeszkodziło jej to w skomplementowaniu urody Capo, gdy ich sobie przedstawiłam.

– No, no, cholera – powiedziała. – Ta piosenkarka, jak ona się nazywa? Ta, która zawsze śpiewa o swoich chłopakach. Nie ma pojęcia, co ją omija. Miałaby się kim zainspirować. Mam ochotę polizać ten tatuaż na jego dłoni, że nie wspomnę o tych idealnych rysach i tym nieziemskim ciele. Mari, jesteś pewna, że on istnieje naprawdę? Jest nieskazitelny.

W istocie jedyną jego wadą, jaką odkryłam, był jego chłód. Nie był niemiły, tylko bardzo skryty. Zauważyłam, że w moim towarzystwie usiłował zachowywać się inaczej. W klubie w ciemności był ciepły, wręcz otwarty, zaś w świetle dnia wiało od niego chłodem.

Mimo oschłości i zdystansowania zachowywał się, jakby znał mnie na wylot. Randki, na które mnie zabierał, zdawały się skrojone na moją miarę, ich przebieg pokrywał się z tym, o czym pisałam w dzienniku marzeń.

Po naszym spotkaniu w klubie wręczył mi kartę kredytową. Kazał mi z niej korzystać, bo w przeciwnym razie naruszę warunki umowy, którą

podpisaliśmy.

Zgodnie z ustaleniami miałam uzupełnić garderobę, więc poszłam na zakupy.

Miałam więcej jeść. Z radością się do tego zabrałam.

Miałam zająć się organizacją dwóch wesel, tak właśnie zrobiłam.

Nadal nie wiedziałam, gdzie mieszka Capo. Większość spotkań odbywała się w biurze Rocco.

Giada tego samego dnia umówiła mnie do jednego z najbardziej wziętych nowojorskich fryzjerów, Sawyera Phillipsa. Rodzinie Faustich się nie odmawiało. Sawyer był dla mnie bardzo miły, a gdy skończył, moje włosy nabrały głębokiego kasztanowego odcienia z pasemkami w kolorze karmelu. Zmiana była porażająca.

Moje oczy nabrały blasku, a moja cera promieniała. Być może przyczyną była zmiana diety i brak stresu. Nie musiałam się martwić o nocleg ani o jedzenie. Tak czy owak, zostałam stałą klientką Sawyera. Zaczęłam też regularnie umawiać się na manicure.

Oprócz tego dostałam ochronę. Giovanni wszędzie ze mną chodził. Z Capo widywałam się tylko przy okazji naszych wieczornych randek, więc większość czasu spędzałam z Giovannim. Był miły i jego obecność zwykle mi nie przeszkadzała. Uderzyło mnie to, jak bardzo różnił się od Capo i od pozostałych mężczyzn, których z rodziną Faustich łączyło pokrewieństwo lub zależność zawodowa.

Giovanni nie był atrakcyjny, co mi w ogóle nie przeszkadzało, ale odniosłam wrażenie, że Capo wybrał go nieprzypadkowo. Nie mieliśmy żadnych wspólnych tematów. Poza rozmową o pogodzie oraz wadach i zaletach Nowego Jorku. Był Włochem.

Capo. Mój wygląd. Nawet Giovanni.

W krótkim czasie zaszło wiele zmian. Budziłam się z myślą o nich. Byłam pewna, że po ślubie moje życie będzie wyglądać zupełnie inaczej. Capo na randkach trzymał ręce przy sobie. Chciał poczekać do ślubu.

Ja nie zmieniłam się wcale. Różnica była tylko taka, że czułam się mniej zestresowana.

Martwiłam się ceną ubrań, które kupowałam. Skrupulatnie liczyłam, ile wydaję na jedzenie. Szukałam oszczędności, gdzie tylko się dało. Bałam się, że skończą mi się pieniądze i znowu wyląduję na ulicy, choć przecież nadal mieszkałam u Keely. Miałam się wyprowadzić dopiero po ślubie.

Uznałam, że pewnych rzeczy nie da się zmienić. Pogodziłam się, że zawsze będzie towarzyszył mi lęk. Byłam rozdarta pomiędzy myśleniem, że stać mnie na różne rzeczy, a ciągłym pilnowaniem wydatków.

Czy jeśli zamówię frytki, mogę sobie pozwolić na jakiś napój?

Martwiłam się, że Keely zacznie coś podejrzewać, więc powiedziałam jej, że choć Capo mnie nie zatrudnił, udało mi się dostać pracę u Rocco. Udałam, że pracuję jako dziewczyna na posyłki. Codziennie zanosiłam kawę do biura Rocco, żeby się uwiarygodnić i zmniejszyć poczucie winy.

Gdy powiedziałam o tym Capo, pokiwał głową i skwitował to krótkim: *bene*. Nasze wersje zdarzeń musiały się pokrywać.

Gdy westchnęłam, chwycił mnie za rękę.

– Przestań się tak wiercić. Od razu widać, że jesteś zdenerwowana.

– Jestem zdenerwowana – przyznałam.

Zaczęłam bawić się pierścionkiem zaręczynowym, który od niego dostałam. Miał czterokaratowy brylant i był przepiękny. Kamień o owalnym szlifie otaczał rząd drobnych diamencików. Pierścionek był finezyjny, bardzo kobiecy, a zdobiące go spiralne motywy do złudzenia przypominały motyle.

Wiedziałam, ile karatów ma mój nowy pierścionek, tylko dlatego, że Capo mi powiedział. Zdawał sobie sprawę, że byłam przesądna, dlatego podkreślił, że brylant nie jest trzykaratowy. Jeśli o mnie chodzi, zadowoliłabym się prostą, złotą obrączką. Pierścionek mi ciążył, bałam się, że jeśli ktoś zechce go ukraść odrąbie mi palec.

Trzeba przyznać, że Capo zadbał o to, aby nasze zaręczyny były wyjątkowe. O zachodzie słońca zabrał mnie na wycieczkę helikopterem, a gdy wylądowaliśmy, poprosił, żebym zajrzała do torebki. W środku znalazłam nowy zeszyt z kolorowankami. Na obwolucie zobaczyłam tytuł *Księżniczka Mariposa*. Z uśmiechem przerzucałam kolejne strony. Cała

pierwsza część grubego zeszytu zapełniona była rysunkami, które przedstawiały mnie w różnych pozach.

Poprosił, żebym dotarła do połowy książeczki. Odkryłam, że w drugiej części w papierze była wydrążona niecka, a w niej tkwił pierścionek. Na dole strony dostrzegłam napis: *Gdy się wie, to się wie*. Schowałam zeszyt do torebki, wydał mi się cenniejszy od pierścionka.

– W ten sposób będziemy mieli co opowiadać – stwierdził. – Prawdziwą historię, a nie zmyśloną. – Założył mi pierścionek na palec i więcej na ten temat nie rozmawialiśmy.

Tego ranka poinformowałam Keely o zaręczynach. Nie chciałam jej zaskakiwać na przyjęciu ani dzielić się nowiną z jej bliskimi. Ten dzień należał do niej. Dałam jej do zrozumienia, że jeśli chce, może powiedzieć o tym rodzinie, ale sama zamierzałam siedzieć cicho.

Keely na wieść o zaręczynach nie zdołała zachować spokoju.

– To za wcześnie! W ogóle go nie znasz. Ma powiązania z najpotężniejszą rodziną mafijną w historii. Wiesz, co to znaczy? Zastanów się, w jaki sposób dorobił się fortuny.

Faktycznie, był nieprzyzwoicie bogaty.

Gdy podczas spotkania u Rocco omawialiśmy sprawy finansowe, zdałam sobie sprawę ze skali tego bogactwa. Był właścicielem jednej z najbardziej znanych nowojorskich restauracji, klubu oraz sieci ekskluzywnych hoteli. Wiedziałam więcej o tym, co posiadał, niż o tym, kim był. Czy rzeczywiście prowadził nielegalne interesy? Podczas spotkania nie zająknął się na ten temat. Ja również go o to nie zapytałam.

Nie chciałam dłużej słuchać wywodów Keely, więc pokazałam jej pierścionek i zeszyt z kolorowankami. Przeczytała na głos wpis Capo.

Gdy się wie, to się wie.

– Mari, czy ty naprawdę tego chcesz?– zapytała, przyglądając mi się badawczo. – Jeśli powiesz, że tak, dam ci spokój.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

– Tak, Kee – odparłam. – Chcę tego, ale obie wiemy, że nie dasz mi spokoju.

Wybuchnęła śmiechem i objęła mnie mocno, całując w czoło.

– Masz rację. Jestem twoją starszą siostrą. Zawsze będę się o ciebie troszczyć.

– Zostały już tylko dwa tygodnie, Kee!

– Moja siostra wychodzi za mąż we Włoszech!

Miałam przeczucie, że wiadomość o moim ślubie rozejdzie się na przyjęciu błyskawicznie. To mnie zaniepokoiło. Nie byłam pewna, jakiej reakcji mogę się spodziewać po Harrisonie. Wiedziałam, co do mnie czuł, ale miałam nadzieję, że moje zaręczyny z Capo nie doprowadzą do jakiejś niezręczności między nami.

Capo pozwolił mi powiedzieć Keely o zaręczynach, ale nie wiedziałam, jak zareaguje na Harrisona. Przypomniałam sobie jego słowa: „Nikt poza mną nie ma prawa dotknąć mojej żony”. Był zaborczy i drapieżny niczym wilk. Widziałam to równie wyraźnie, co tatuaż na jego dłoni.

– Zrezygnowałaś ze studiów.

Wyrwał mnie z głębokiego zamyślenia.

– Skąd… – Chciałam zapytać, skąd o tym wie, ale uznałam, że to nie ma sensu. Rzeczywiście, wiedział o wszystkim. – Tak, tak wyszło.

Cały czas trzymał mnie za rękę i poczułam, że kciukiem delikatnie gładzi moją dłoń. Kreślił na mojej skórze literę „c”. Często trzymał mnie za rękę. Od tamtej nocy w klubie to była jedyna intymność, na jaką sobie pozwalał, ale gładził mnie tylko, gdy byliśmy w samochodzie. Poczułam się raźniej, nasza podróż dobiegała końca.

– Rozumiem, że studia kolidowały z twoją pracą, a potem cię wylali.

– Z grubsza tak to wyglądało.

– Powinnaś wrócić na uczelnię. Będziesz miała czas, gdy nie będziemy razem. Rocco sugerował prawo.

– Prawo? – Roześmiałam się, ale spoważniałam, bo Capo patrzył na mnie z powagą. – Dlaczego akurat prawo?

– Był pod wrażeniem tego, jak zachowałaś się podczas naszego spotkania. Potrafiłaś zadbać o swoje interesy. Okazałaś się elastyczna w sprawach mniejszej wagi, ale gdy w grę wchodziły kwestie, które uznałaś

za ważne, walczyłaś jak lwica. – Wzruszył ramionami. – Jesteś świetną negocjatorką, Mariposa.

Byli pod wrażeniem tego, że im się postawiłam. Pomyślałam, że to rzadko spotykana cecha, zarówno u mężczyzn, jak i kobiet. Gdy przestąpiłam próg biura Rocco, nie miałam nic do stracenia, lecz gdy już uświadomiłam sobie, że Capo jest mną zainteresowany, zyskałam cenny atut. Czułam, że dokładnie tego ode mnie oczekiwał, przez co bardzo zyskał w moich oczach. Wiedział, że przystępowałam do negocjacji z torbą pełną wspomnień, zeszytem i kawałkiem suchego chleba, dlatego podarował mi cenną kartę przetargową: mnie samą.

– Zastanowię się nad tym. – Nigdy wcześniej nie myślałam o studiach prawniczych. Zawsze sądziłam, że prawo studiują tylko bogacze z koneksjami, więc nie przyszło mi do głowy, żeby brać je pod uwagę. Może powinnam poradzić się Harrisona? Na samą myśl o Harrisonie zaczęły mi się pocić dłonie, więc zmieniłam temat. – Chciałeś wybrać Sierrę?

– Dlaczego o nią pytasz?

Wzruszyłam ramionami i próbowałam się nie wiercić.

– Bo zaczęliśmy rozmawiać o spotkaniu i o tym, co mówił Rocco.

Minęło dobre pięć minut, zanim odpowiedział.

– Była w czołówce.

– Dlatego że była piękna?

– Nie, dlatego że była głodna.

Aha. Czyli o to chodziło. Była głodna, dosłownie i w przenośni. Szukał kobiety, która była tak wygłodniała, że bez oporu uległaby jego magnetyzmowi. Był uosobieniem marzeń. Przystojny, bogaty, pełen charyzmy. Poza tym potrafił dać poczucie bezpieczeństwa. Dziewczyny takie jak Sierra lub ja były gotowe na wszystko w zamian za szansę związania się z kimś takim jak on.

– Czułeś coś do niej?

– Zależy, co przez to rozumiesz. Jeśli masz na myśli silny pociąg seksualny, to tak.

Zaczerwieniłam się, ale nie ze wstydu. Byłam o nią zazdrosna. Pociągała go seksualnie. Ciekawiło mnie, czy uprawiali seks, skoro pracowała u niego w klubie, ale nie chciałam o to pytać.

– Czy gdybyś ją wybrał, dałbyś jej ten pierścionek? – Podetknęłam mu palec pod nos, a on spojrzał na niego z ukosa.

– Nie.

Zmienił pas i najwyraźniej uznał temat za zamknięty. Wlepiłam w niego wzrok, w nadziei, że powie coś więcej, ale zamknął się w sobie. Świat rozmywał się za szybą rozpędzonego samochodu. Jechaliśmy za szybko.

Nagle poczułam, że cisza staje się nieznośna. Nachyliłam się i zaczęłam gmerać w przyciskach na desce rozdzielczej. Capo zerknął na mnie zza okularów przeciwsłonecznych, ale nie odezwał się. W końcu udało mi się uruchomić odtwarzacz. Rozbrzmiała muzyka, której ostatnio słuchał. Przewijałam kawałki na jego playliście.

Bee Gees. 2Pac. Andrea Bocelli. Whitesnake. Sam The Sham & The Pharaohs. Staind. Seven Mary Three. Frank Sinatra. Nazareth. W wypasionym odtwarzaczu wyświetlały się nazwy zespołów. Większości z nich nie kojarzyłam, ale muzyka była eklektyczna. Jego gust muzyczny dał mi lepsze pojęcie o nim samym. *Nie wydaje się szczególnie skomplikowany,* pomyślałam z ironią. Reszta playlisty wyglądała podobnie.

– Śmiejesz się ze mnie – powiedział. – Z mojej muzyki.

Roześmiałam się jeszcze głośniej i złożyłam dwa palce, zostawiając niewielką przerwę.

– Troszeczkę.

– Masz dziwne poczucie humoru. – Pokręcił głową. – I śmiejesz się jak dzikuska.

– Co masz na myśli?

– Niektórzy starają się dusić swój śmiech. Niektórzy udają wesołość, próbując ukryć brak powodu do radości. Ty się śmiejesz pełną piersią.

Nie przestawałam się śmiać i przełączyłam jego staroświecką playlistę na radio. W sierpniu miał skończyć czterdzieści lat, zaś w październiku wypadały moje dwudzieste drugie urodziny.

Mimo że dzieliło nas osiemnaście lat różnicy, bezdomność sprawiła, że byłam dojrzała ponad wiek. Czułam, że w środku jesteśmy w podobnym wieku.

Chwilę później z radia poleciał popularny kawałek i różnica wieku stała się bardziej odczuwalna. Pomyślałam od razu o Keely i o tym, co powiedziała o Capo, o tym, jak bardzo był inspirujący.

– Chyba żartujesz. – Spojrzał z odrazą na radio. – Wolisz ją od Bocellego?

– Ja? Żartujesz? Jak to? – Udałam, że omdlewam, przystawiając dłoń do czoła. – Ratunku, łaskawy panie! Proszę podać sole trzeźwiące!

– Od tej muzyki zlasował ci się mózg. Powinni cię pokazywać w ramach ostrzeżenia. – Włączył romantyczną włoską balladę w wykonaniu Andrei Bocellego.

Z powrotem włączyłam radio, z beztroską, jakiej nie czułam od lat.

– Słuchaliśmy już twojej muzyki. Pozwól mi posłuchać mojej. I nie zgadzam się z tobą. Uwielbiam ją. Ten kawałek jest nowy, piękny. Posłuchaj.

Starałam się nie roześmiać. Przysłuchiwał się z powagą, a gdy stawał się poważny, marszczył gęste brwi i zaciskał usta.

– To piosenka o przyjaźni – powiedział, gdy kawałek miał się już ku końcowi.

– Zgadza się – przytaknęłam. – O przyjaźni i miłości. Na początku śpiewa o dziecinnej miłości, potem o tym, jak miłość przeradza się w nastoletnie zakochanie zwieńczone ślubem. Wspaniale jest mieć przyjaciela, ale jeśli przyjaciel jest również kochankiem, to dopiero jest spełniające. Tak mi się w każdym razie wydaje.

– Nie filozofuj – poprosił, a ja omal nie wybuchnęłam śmiechem.

– Co? Nie zgadzasz się ze mną?

– Czuję się jak bohater filmu Tima Burtona.

– Kim jest Burton? – zapytałam.

– Reżyser *Edwarda Nożycorękiego*. – Wzruszył ramionami.

– Pierwsze słyszę.

– Zdumiewasz mnie. Nie masz pojęcia, kim są Tim Burton i Edward Nożycoręki, ale gdy cię poznałem, wiedziałaś już co nieco o rodzinie Faustich.

– To smutny efekt bezdomności. Wiesz, od czego możesz zginąć. – Ja też wzruszyłam ramionami. – Poza tym perspektywa się zawęża, gdy z głodu jesteś gotów wyrwać dziecku loda na patyku. Wątpię, żeby akurat Tim Burton i Edward (udałam, że tnę palcami papier) zabili mnie lub poddali torturom, gdyby wiedzieli, że widziałam coś, czego nie powinnam była zobaczyć.

Choć już nieraz słyszałam o rodzinie Faustich, o pozostałych pięciu klanach mafijnych wiedziałam nieco więcej. Rodzina Faustich nie zawracała sobie głowy drobnostkami. Zarówno we Włoszech, jak i w innych krajach traktowano ich jak rodzinę królewską. Często trafiali na pierwsze strony gazet. Używając archaicznego języka Capo, gdy któryś z nich brał sobie za żonę jakąś kobietę, donoszono o tym w prasie. Gdy zapytałam Capo, jak daleko sięgają ich wpływy, odparł:

– Wyobraź sobie, że rodzina Faustich to kraj, w którym rządzi bezprawie, bez głowy państwa, nawet bez dyktatora. Sprawują niepodzielną władzę na swoich terytoriach. Jeśli czegoś zapragną, sięgają po to. To wszystko.

Zerknął na mnie i spojrzał przed siebie.

– Niewiele wiesz o wygodnym życiu, Mariposa. Cieszę się, że będę mógł ci je pokazać.

Zmieniliśmy muzykę i po chwili dotarliśmy na miejsce.

Gdy zaparkowaliśmy przed domem, w którym mieszkałam do dziesiątego roku życia, poczułam, że robi mi się niedobrze.

– Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

– Naprawdę nic nie wiesz?

– Czego nie wiem?

– Od początku był taki plan.

– Nie. – Zaczęłam się wiercić na siedzeniu. – Keely powiedziała mi tylko, że przyjęcie odbędzie się w domu znajomych na Staten Island.

Tego ranka byłam u krawcowej. Giovanni zawiózł mnie na przymiarki, a Capo przyjechał, żeby mnie zabrać na przyjęcie Keely. Chciała być na miejscu wcześniej, żeby wszystko przygotować, więc gdy się przebierałam, przekazała adres Capo. Capo był przekonany, że wiem, dokąd jedziemy.

Jednak sądząc po jego minie, nie miał pojęcia, że Keely mnie nie uprzedziła. Sprawiał wrażenie, jakby nie przepadał za niespodziankami. Lubił być informowany o wszystkim na bieżąco.

– Sądziłem, że wiesz i dlatego jesteś zdenerwowana – powiedział i spojrzał w kierunku domu. Byłam ciekawa, czy pamiętał dzień, w którym mnie tu przywiózł.

– Nie – odparłam. – Jestem zdenerwowana, bo czuję się tak, jakbym cię przedstawiała rodzinie. A teraz po prostu się boję, bo od jedenastu lat nie przekroczyłam progu tego domu. To było jedyne miejsce, w którym czułam, że jestem bezpieczna.

– Przestań – poprosił i chwycił mnie za ręce.

Było gorąco. W samochodzie unosił się upojny zapach moich perfum. Podobało mi się, że w zależności od chwili wyczuwałam w nich różne nuty. Czasami pachniały karmelem, a niekiedy pistacjami lub drzewem sandałowym. Teraz poczułam woń migdałów.

Zapadła cisza, ale w głowie mi huczało i czułam, że jeśli czegoś nie powiem, pęknie mi żyłka. Serce biło mi jak szalone.

– Po śmierci Jocelyn byłam za mała, żeby zrozumieć, co się stało. Straciłam jedynych rodziców, jakich znałam. Zostałam wyrwana z bezpiecznego miejsca i wrzucona w trybiki obcego, nieprzyjaznego systemu. Dopiero gdy skończyłam osiemnaście lat, zrozumiałam, ile wtedy straciłam. Nie miałam czasu na przemyślenia. Musiałam się skupić na przetrwaniu. I pewnej nocy mnie olśniło. Choć Keely i jej rodzina mnie kochali, nie miałam rodziców. Nie byłam niczyją malutką dziewczynką. Tak mówiła do mnie Jocelyn. Byli dla mnie tacy dobrzy.

– Dom można stworzyć wszędzie – powiedział oschle Capo. – Mariposa, chodź już. Przesiadywanie w samochodzie niczego nie zmieni.

Niepotrzebnie się nakręcasz.

Gdy Capo pomógł mi wysiąść z samochodu, przytłoczyła mnie liczba bodźców. Nie wiedziałam, na czym mam się skupić. Uderzyło mnie, że wchodzę po schodach do domu, którego miałam już nigdy nie zobaczyć. Chwilę później zdałam sobie sprawę, że Capo wygląda wyjątkowo seksownie. Ubrany był swobodnie, w obcisły czarny T-shirt, podkreślający jego muskulaturę, dżinsy, które leżały jak ulał, i modne buty. Chwilę później w drzwiach wejściowych stanął Harrison. Przywitał nas wrogim spojrzeniem.

Pomyślałam, że Keely przyszła wcześniej nie po to, żeby pomóc w przygotowaniach do przyjęcia, ale po to, żeby uprzedzić Harrisona o moich zaręczynach.

Harrison nie odezwał się ani słowem, obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Harrison zerknął na nasze splecione dłonie, a następnie spojrzał prosto na mnie. Czułam, że Capo nie spuszcza z niego wzroku.

Choć nie miałam pojęcia, co się wydarzy, nie spodziewałam się jednak, że w oczach Harrisona zobaczę ból. Zabrakło mi tchu. Traktowałam go jak brata, członka rodziny. Nie czułam do niego nic poza siostrzaną miłością, nawet zanim poznałam Capo.

Napięcie rozładowała Keely, która podeszła, żeby się z nami przywitać. Obaj mężczyźni stali nieruchomo, żaden z nich nie zamierzał przedstawić się pierwszy, więc Keely wzięła sprawy w swoje ręce.

– Harrison – powiedziała ostrzegawczym tonem. – To jest Mac… – Zawahała się i westchnęła. – Narzeczony Mari, Capo Macchiavello. Wszyscy z wyjątkiem Mari mówią na niego Mac. Mac, poznaj mojego brata Harrisona Ryana.

Harrison kiwnął głową. Capo również. Atmosfera była napięta. Nie wspomniałam Capo, co Keely powiedziała o uczuciach swojego brata. Uznałam, że to niepotrzebne. Harrison sam mi tego nie powiedział, a poza tym nie chciałam nadwerężać zaufania Keely. Powiedziała mi o tym w tajemnicy.

Najwyraźniej jednak Capo domyślił się, co jest grane. Chwycił mnie mocniej za rękę, a jego spojrzenie mnie zaniepokoiło. Pierwszy raz widziałam go w takim stanie. Był zimny jak lód. Atmosfera rozluźniła się

nieco, gdy wyszliśmy do ogrodu przywitać się z gośćmi. Przedstawiłam go rodzicom Keely, którzy przylecieli do Nowego Jorku z okazji przyjęcia, kilku krewnym i przyjaciołom oraz pozostałym trzem braciom Keely: Lachlanowi, Declanowi i Owenowi. Wśród zgromadzonych osób był mężczyzna, którego nie znałam. Lachlan mówił na niego Cash Kelly, ale wujowie Keely powiedzieli, że ma na imię Cashel. Miał blond włosy, niebieskie oczy i mówił z irlandzkim akcentem. Co i raz zerkał na Keely.

Wieść o naszych zaręczynach rozniosła się błyskawicznie i wszyscy zaczęli nam składać gratulacje. Kilka pań poprosiło mnie, żebym pokazała im mój pierścionek zaręczynowy, a następnie zaczęły się domagać, żebym opowiedziała, w jaki sposób Capo mi się oświadczył. Byłam mu wdzięczna, że mam co opowiadać.

Starałam się trzymać Harrisona na dystans. Był milczący i patrzył na mnie w sposób, który sprawiał, że czułam się skrępowana, tak jakby chciał koniecznie zostać ze mną sam na sam. Sporo pił i nie zamienił z nikim ani słowa, ale miałam wrażenie, że szuka okazji do rozmowy ze mną. Lachlan, Declan i Owen zachowywali się bardziej swobodnie. Rozmawiali z Capo, ale ten odpowiadał im półgębkiem. Patrzył przed siebie w skupieniu, odnosiłam wrażenie, że ma się na baczności.

Przyjęcie odbywało się na patio. Ogród rozświetlały girlandy świateł, a w powietrzu unosił się zapach grilla i piwa. Keely i wszyscy z jej rodziny nie wylewali za kołnierz.

Po dłuższej chwili poczułam się na tyle rozluźniona, że zaczęłam zauważać szczegóły, których nie dostrzegłam wcześniej. Dom był w niezłym stanie, przez jedenaście lat niewiele się zmieniło. Ścianę w przedpokoju nadal zdobił mural, który namalowałyśmy razem z Jocelyn. Pozwoliła mi wybrać, co narysujemy, więc zdecydowałam się na błękitnego motyla.

Z nadejściem wieczoru zerwał się ciepły wiatr i zauważyłam, że Keely wchodzi do środka. Nie miałam okazji porozmawiać z nią na osobności, a zamierzałam ją zapytać, kto był właścicielem domu. Chciałam też porozmawiać o komisarzu Stonie. Dzień wcześniej powiedziała mi, że zaprosiła go na przyjęcie, ale nie mógł przyjść, bo coś mu wypadło w pracy. Zaginął jakiś polityk i wszystkie służby zmobilizowano do poszukiwań.

Przeprosiłam Capo, który był zajęty rozmową z ojcem i wujkiem Keely, i weszłam do domu. Szukałam Keely, ale nie mogłam jej znaleźć. W kuchni natrafiłam na jej mamę, która poprosiła mnie, żebym wyjęła ciasto i zaparzyła kawę. Chciała pożegnać się z siostrą. Znałam każdy zakamarek kuchni, więc od razu się zgodziłam.

Dom.

Gdy zaczęłam wyjmować z kartonu ciasteczka, muffinki i herbatniki, usłyszałam odgłos kroków. Chwilę później Harrison stanął obok mnie. Wbiłam wzrok w tacę i z całych sił próbowałam skupić się na wykładaniu ciastek. Na paznokciach miałam ciemnoczerwony lakier, który na tle białych herbatników wydawał się jeszcze ciemniejszy. Kontemplowałam kolor, usiłując zająć uwagę czymś innym. Harrison śmierdział jak bimbrownia.

Przysunął się do mnie i oparł o blat kuchenny.

– Przyjemnie pachniesz, Strunko.

– To nowe perfumy – powiedziałam, usiłując zachować spokój. Nigdy wcześniej nie czułam się przy nim równie nieswojo, wyczuwałam jego złość i rozczarowanie.

– Pachniesz bardzo naturalnie. Jakbyś w ogóle nie użyła perfum.

Miał rację. Perfumy idealnie komponowały się z moimi feromonami. Ale to był pretekst. O coś mu chodziło. Nie chciałam kontynuować wątku, więc przytaknęłam i zajęłam się parzeniem kawy.

– Bardzo się zmieniłaś. Ledwo cię rozpoznałem.

– Dostałam pracę. Stać mnie na różne rzeczy.

– Masz nową fryzurę. – Wziął do ręki kosmyk moich włosów i zaczął mu się przyglądać. – I nowe ciuchy. – Wskazał na moją fioletową, jedwabną bluzkę. Założyłam ją do dżinsów i sandałów na obcasie. Przed ślubem zaczęłam ćwiczyć chodzenie na obcasach. – Wygląda na to, że ci nieźle płacą.

– Wystarczająco. – Nasypałam kawy do filtra i włączyłam kawiarkę. Unikałam jego wzroku. Nie mogłam znieść jego rozżalonego spojrzenia. Chciałam, żeby między nami było tak jak dawniej.

– Tobie też się powodzi. Coraz lepiej sobie radzisz.

– Keely powiedziała ci, że kupiłem ten dom?

Odwróciłam się z taką szybkością, że poczułam prąd powietrza, który zawirował między nami. Zapachniało pistacjami.

– Kupiłeś ten dom?

Przytaknął, sięgając po szklankę. Napił się whiskey.

– Nie pomyślałbym, że będziesz latać za błyskotkami, Strunko.

– Co masz na myśli? Jakimi błyskotkami?

– Błyskotki – powtórzył bełkotliwie. – Ten koleś, z którym przyszłaś. Capo. Twój pierścionek. Ten dom to buda, w porównaniu z tym, co on może ci dać.

– To ostatnia rzecz, jaką powiedziałabym o tym domu – zaprotestowałam, odwracając się od niego. – To jest jedyny dom, jaki kiedykolwiek miałam. Nawet jeśli przypomina budę.

Niewiele osób potrafiło wyprowadzić mnie z równowagi. Zwykle nikogo do siebie nie dopuszczałam. Słowa Harrisona mnie zabolały, bo kochałam go jak rodzonego brata. Nasze stosunki się popsuły i nie potrafiłam dłużej udawać, że jest inaczej.

– Wybuchła wojna – powiedział nieoczekiwanie.

Zdębiałam. Może był już kompletnie pijany. Najczęściej to Owen się upijał, ale Harrisonowi też się to zdarzało. Zwykle jednak upijał się na wesoło.

– Coś mi się obiło o uszy.

– Wątpię, żebyś słyszała o tej. To świeża sprawa, chodzi o zadymę w Nowym Jorku.

Spojrzałam na niego.

– O czym ty mówisz?

Uśmiechnął się szeroko.

– Ktoś próbował wkurwić pięć rodzin. Rozpętał wojnę, rodziny się poróżniły, trwa walka o strefy wpływów. Nawet Irlandczycy się w to włączyli. Ktoś zabił jakąś szychę. Jest ostro.

– Upiłeś się?

– Może troszeczkę – odparł z uśmiechem.

– To wiele tłumaczy. – Już miałam się odwrócić, ale chwycił mnie za ramię i siłą przyciągnął do siebie. Nie mogłam znieść tego, jak na mnie patrzył. – Po co mi o tym mówisz? – wypaliłam.

Wzruszył ramionami.

– Bez powodu. Temat jak każdy inny. Poza tym pracujesz dla rodziny Faustich. Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

– Wątpię, żeby mieli z tym coś wspólnego. Są nietykalni.

– Chcę, żebyś na siebie uważała.

– Okay, przyjęłam.

Spojrzeliśmy na siebie, wydawało się, że czas stanął w miejscu. Trzymał mnie tak mocno, że nie miałam szansy się uwolnić. Nie chciałam robić scen. Bałam się reakcji Capo. Co by zrobił, gdyby teraz wszedł i nas zobaczył? Wolałam nie wiedzieć.

– Wiesz, dlaczego nazwałem cię Strunką? – powiedział w końcu Harrison, przerywając niezręczną ciszę. – Nigdy o to nie pytałaś.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Myślałam, że to taka urocza ksywka.

Ponownie się roześmiał, chuchając mi w twarz.

– Urocza ksywka – powtórzył po mnie. – Gdy tylko cię ujrzałem, poruszyłaś moją czułą strunę. Owinęłaś mnie sobie wokół palca. Mari, wyjdź za mnie. Zamieszkaj ze mną. Chcę się tobą zaopiekować. Nie chcę nic w zamian. Będziemy dla siebie dobrzy, jak przystało na męża i żonę. Tak powinno być w małżeństwie. Bo miłość, choć potrafi boleć, to dobro w czystej postaci.

– Harrison – powiedziałam, usiłując wyszarpnąć ramię z jego uścisku. Chciałam uciec, ale oczekiwał odpowiedzi. – Jesteśmy rodziną.

– Nie – odparł. – Keely to rodzina. Ty jesteś rodziną, bo chcę, żebyś była moja. Zawsze tego chciałem. Wiesz, ile razy nie zmrużyłem oka, bo martwiłem się, że coś ci się stanie? Ilekroć chciałem ci pomóc, ty odmawiałaś. Tym razem nie przyjmę twojej odmowy. Dobroć nie jest twoim wrogiem, ani miłość. Zasłużyłaś na nią, na moją miłość.

– Ja… – Próbowałam się odsunąć, ale bałam się, że jeśli mu odmówię, jeśli powiem, że go nie kocham, stracę ich wszystkich.

– Nie kochasz go, Strunko. – Chwycił mnie mocniej, choć nie sprawiał mi bólu. – Prawie go nie znasz. To bogaty dupek, który myśli, że może sobie kupić każdą dziewczynę. Ja kocham cię taka, jaka jesteś. Pocałuj mnie, Mari. Pocałuj mnie, choć raz.

– Nie – powiedziałam stanowczo. Chwycił mnie za ręce i przyłożył moje dłonie do serca. Odepchnęłam go. – Nie, nie mogę. Nie chcę. Wychodzę za mąż.

Poczułam, że muszę się odwrócić. Gdy spojrzałam za siebie, podskoczyłam z przerażenia. W drzwiach stał Capo. Opierał się o framugę i patrzył. Jak długo tam stał? Może od samego początku rozmowy? Nie byłabym zaskoczona. A może to był test? Może postanowił mnie sprawdzić, jak te dziewczyny w klubie? Czy mnie również odrzuci?

Po chwili Harrison mnie puścił. Wstrzymałam oddech, gdy podszedł do Capo i spojrzał mu w oczy. Capo wydawał się niewzruszony, ale w jego spojrzeniu czaiło się coś, od czego mocniej zabiło mi serce. Był niebezpieczny. Makiaweliczny.

– Harrison? – Keely stanęła obok mężczyzn. – Chodź ze mną. Wyjdziemy na dwór, przewietrzysz się trochę.

Lachlan wyłonił się zza pleców Keely i wziął Harrisona pod ramię. Wyszeptał coś do niego i wyprowadził go na zewnątrz.

Nie chciałam robić nikomu kłopotu, więc pocałowałam Keely na do widzenia i wyszliśmy.

Gdy byliśmy na schodach, usłyszałam odgłosy przyjęcia dobiegające z ogrodu. Czułam się winna, że zostawiliśmy wszystko tak nagle, ale wolałam żyć z poczuciem winy niż ze świadomością, że przyczyniłam się do konfliktu między moim przyszłym mężem a jedyną rodziną, jaką miałam.

Z zamyślenia wyrwał mnie Capo, który złapał mnie za ręce i przycisnął do ściany. Westchnęłam. Nie miał zamiaru zrobić mi krzywdy, ale

widziałam, że nie żartuje.

– Kochasz go – powiedział. Spojrzał na mnie badawczo, chciał sprawdzić, czy skłamię.

Pokręciłam głową i głośno przełknęłam ślinę. Nie byłam pewna, czy gula, która utknęła mi w gardle, to moje serce, czy niestrawność. Wiedziałam, że mnie nie zabije. Gdyby chciał, już dawno by to zrobił, jednak miałam się na baczności. Choć planowaliśmy się pobrać, nie znaliśmy się zbyt dobrze. Był skryty, i aby nauczyć się z nim żyć, potrzebowałam czasu, żeby go lepiej poznać.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wysyczał oskarżycielskim tonem:

– Wiedziałaś, że jest w tobie zakochany.

– Tak. Dowiedziałam się, zanim się poznaliśmy.

– Nie powiedziałaś mi.

– A dlaczego miałabym ci o tym mówić?

– Bo to moja sprawa – powiedział.

– Nie, to moja sprawa. To się wydarzyło, zanim się poznaliśmy.

Uśmiechnął się.

– Wszystko, co dotyczy ciebie, dotyczy również mnie. Jeśli w knajpie zamiast steku masz zamiar zamówić rybę, chcę o tym wiedzieć.

– Wiem, na co się umawialiśmy – powiedziałam podniesionym głosem. Zaczął mnie irytować. – Powtórzę raz jeszcze. To się wydarzyło, zanim cię poznałam.

– To, co było przede mną, nie istnieje. Nie ma nic poza mną i tobą. Ty jesteś mną.

– Nie możesz mi tego wypominać. On ma prawo do swoich uczuć, a ja do swoich. Koniec tematu.

– A co czujesz, Mariposa? Nie odpowiedziałaś przyjaciółce, gdy cię o to zapytała, ani Zgryźliwemu Indianie Jonesowi. Mnie też.

Zmrużyłam oczy. Przeczytał moje esemesy do Keely. Dziś podsłuchał moją rozmowę z Harrisonem. Nie byłam zaskoczona, ale poczułam nieodpartą chęć, żeby wykrzyczeć mu w twarz, że nie jestem jego

własnością. Niestety prawda była inna. Należałam do niego, podobnie jak on należał do mnie. Takie były warunki umowy.

– Gdybym go kochała – powiedziałam przez zaciśnięte zęby – to, do kurwy nędzy, nie wychodziłabym za ciebie! Za kogo mnie masz? Gdybym szukała miłości, nie byłoby mnie tutaj! Gdybym zaznała miłości, nigdy nie wypuściłabym jej z rąk. Nie sprzedałabym jej za żadne skarby, Capo. Czy sprzedałabym moje ciało, żeby przeżyć? Oboje znamy odpowiedź na to pytanie. Czy poświęciłabym miłość dla tego układu z tobą? Nigdy! Wolałabym umrzeć. Zatem odpowiedź brzmi: nie, nie kocham go!

Moje słowa najwyraźniej zrobiły na nim wrażenie, bo zamilkł, ale już po chwili odzyskał rezon. Nie chciał, żebym widziała, że to, co powiedziałam, zrobiło na nim wrażenie. Trudno, chciał prawdy, to ją dostał. Ostrze drasnęło jego opancerzone serce, zostawiając niezacieralny ślad. *Mariposa tu była*.

– Jesteś moja, Strunko – powiedział chłodno. – Nie pozwolę, żeby jakiś koleś latał za tobą jak za suką w rui.

Powoli, niczym na zwolnionym filmie, uniosłam rękę i z całej siły uderzyłam go w twarz. W ciemnościach rozległ się odgłos głośnego klaśnięcia.

– Może i jesteś moim szefem – odrzekłam – ale nie pozwolę, żebyś traktował mnie bez szacunku.

Nawet nie drgnął, ale spojrzał na mnie inaczej niż dotąd. W jego oczach dostrzegłam ciepło, którego wcześniej tam nie było.

Oddychałam głęboko. Przy czwartym wdechu chwycił mnie za nadgarstki, uniósł moje ręce nad głową i przysunął twarz do mojej. Nachylił się, jakby chciał mnie pocałować, a ja poczułam na twarzy jego ciepły oddech.

Ktoś włączył oświetlenie zewnętrzne i padł na nas snop światła. Z trudem łapałam powietrze, a moja pierś, falując, ocierała się o jego ciało. Było mi tak dobrze. Nigdy dotąd nikogo tak nie pragnęłam. Miałam wiele deficytów, brakowało mi bezwarunkowej miłości rodziców, jedzenia, dóbr materialnych, ale nigdy wcześniej nie pożądałam mężczyzny.

Pragnęłam dotyku.

Pokazał mi coś, o czym do tej pory miałam jedynie mgliste pojęcie. Uzależniłam się od niego po pierwszej dawce.

Zaciągnęłam się głębiej jego zapachem. Upał zintensyfikował woń jego wody kolońskiej. Pachniał świeżo, rześko, uzdrawiająco. Jego oczy pociemniały i przyjęły odcień morskiego szafiru.

Nie przestawał na mnie napierać, a ja nigdy dotąd nie czułam się równie onieśmielona. Byłam jak początkujący pływak w obliczu monstrualnej fali. Roztaczał wokół siebie aurę siły i kontroli, wobec której czułam się zupełnie bezradna.

Oblizał usta. Jego wilgotne wargi zalśniły. Chciałam poczuć jego smak.

– Jeśli dobrze pamiętam, Mariposa, ostrzegałem cię, że nie jestem porządny.

– A ja, jeśli dobrze pamiętam, prosiłam, żebyś nie mówił do mnie tym tonem – powiedziałam, spoglądając na niego wyzywająco. – Jeśli chcesz być z laską, która zgodzi się na wszystko, wiesz, gdzie jej szukać. Miasto jest w tamtą stronę. – Kiwnęłam, dla podkreślenia słów. – A ja wrócę sobie do gości.

– Chcesz dokończyć rozmowę z tym chłoptasiem?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Mam zamiar spędzić miło czas z rodziną i przyjaciółmi. Poczekam, aż załatwisz swoje sprawy. A gdy już po mnie wrócisz, bo wiem, że wrócisz, poprosimy Rocco, żeby zmienił warunki naszej umowy. Od tej pory każde z nas będzie mogło mieć kogoś na boku, pod warunkiem zachowania dyskrecji. Nie pozwolę, żebyś mnie dotykał, jeśli nie potrafisz mnie traktować z szacunkiem.

Na dźwięk słowa „dyskrecja” chwycił mnie mocniej za nadgarstki. Poczułam ból i zaczęłam się wyrywać. Chciałam go odepchnąć, żeby choć na chwilę złapać oddech, ale przestałam się szarpać. Postanowiłam, że stawię mu czoła.

Dotąd sądziłam, że żeby wygrać, trzeba walczyć. Nagle mnie olśniło. Uświadomiłam sobie, że czasami, aby wygrać, trzeba popłynąć z prądem rzeki.

Choć uzgodniliśmy warunki umowy, wiedziałam, że życie jeszcze nie raz je zweryfikuje. Sprawdzaliśmy swoje granice. Wiedziałam, że muszę

być nieugięta, bo mam do czynienia z mężczyzną, który nie bawi się w sentymenty i który z łatwością może mnie zniszczyć. Lubił mieć poczucie kontroli, więc musiałam brać to pod uwagę.

Czas wlókł się niemiłosiernie, ale w końcu Capo nachylił się i czubkiem nosa posmyrał mnie po szyi.

– *Concordato* – wymamrotał, a jego oddech schłodził moją rozpaloną skórę. – Zgoda. Na przyszłość będę uważniej dobierał słowa, Mariposa. Widzę, że z tobą nie ma żartów.

Zamknęłam oczy. Obezwładniał mnie.

– Nigdy… – powiedział, ocierając się biodrami o moje podbrzusze. Poczułam przedsmak tego, co mnie czeka, gdy będę już gotowa. Jestem chuda, ale był tak twardy, że poczułam się miękko i kobieco. – Nie myśl, że muszę płacić za rżnięcie. Nigdy za to nie płaciłem i płacić nie zamierzam. A od jutra będę rżnął tylko ciebie. Do diabła z datami i planami. – Chwilę później wyszeptał coś po włosku. – *Il tuo profumo mi fa impazzire*. Chyba chodziło mu o moje perfumy. Łapczywie wdychał mój zapach i woń drzewa sandałowego.

Przygryzłam wargi, wstydliwie powstrzymując jęk rozkoszy. Jego dotyk doprowadzał mnie do szaleństwa. Poczułam skurcz w podbrzuszu, byłam zlana potem i wilgocią.

– Smakujesz tak samo dobrze, jak pachniesz. – Zaciągnął się zapachem i zaczął wodzić językiem od mojej szyi do serca i z powrotem do brody, kończąc tuż przy moich ustach. – Mariposa, powiedz, że zrozumiałaś.

– *Concordato* – powtórzyłam. Rocco wymagał od nas, żebyśmy na głos akceptowali warunki umowy, a Capo się tego trzymał. – Ja tylko z nim rozmawiałam. Harrison powiedział, że mnie kocha, ale to nie oznacza, że czuję do niego to samo. Kocham go jak brata.

W chwili gdy wypowiedziałam słowa „kocham go”, w okamgnieniu poczułam, że atmosfera się zagęszcza, a neutralny grunt przeistacza się w pole bitwy.

– Ty – ton jego głosu był szorstki i agresywny – należysz do mnie. To ja decyduję, kto może się do ciebie zbliżyć. Poza mną nikt nie ma prawa cię dotknąć.

Należę do niego. Traktował mnie jak swoją własność.

– Myślisz, że jestem twoją własnością?

Zmierzyłam go wzrokiem. Miał rację. W pewnym sensie tak było. Zgodziłam się być wobec niego lojalna, ale chyba coś mu się pomyliło, jeśli sądził, że może mnie traktować jak przedmiot.

– Jesteś moją pieprzoną własnością. Najwyraźniej zapomniałaś, że przyszłaś do mnie z własnej nieprzymuszonej woli. Zgodziłaś się na warunki, sama je ustaliłaś. Podpisałaś się na umowie własną krwią.

Chciałam go uderzyć, poczułam, że cała agresja skumulowała się w moich pięściach.

– Przy całej swojej inteligencji, jesteś strasznym głupkiem. Umowa jest wiążąca dla obydwu stron. To, że jesteś moim szefem, nie zmienia faktu, że ty także należysz do mnie.

Stanęliśmy przed problemem, który wykraczał poza świat papierów i terminów prawniczych.

Odezwał się po kilku minutach.

– Nie spodobało mi się to, co zobaczyłem, ani to, co usłyszałem.

A więc o to chodziło. Nie spodobało mu się, że zobaczył nas razem. Dlaczego? Przecież byłam jego. Jakie znaczenie miały słowa? Jakie znaczenie miały uczucia Harrisona, skoro ich nie podzielałam? To było bez sensu, ale doceniłam, że Capo zdobył się na to, żeby mi o tym powiedzieć. Widziałam, że dużo go to kosztowało.

– Wystarczy, że mi o tym powiesz. Użyj słów, Capo, a ja postaram się je zrozumieć. Nie musisz mnie ranić, żeby dostać to, czego chcesz.

Spojrzał na mnie badawczo i przytaknął.

– *Concordato*. – Nie spuszczał ze mnie wzroku. Przywarł do mnie całym ciałem, ocierając się o mnie biodrami. Gdy zaczął na mnie napierać, poczułam narastającą, nieopanowaną żądzę. Westchnęłam, a z moich ust wydobył się dźwięk, jakiego dotąd nie słyszałam.

Ja pierdolę, na pewno jest świetny w łóżku. Pożre mnie w całości. Wahałam się jednak. Nie byłam gotowa pójść z nim na całość, chociaż

dobrze wiedziałam, że żądza będzie mnie trawić od środka, dopóki mu nie ulegnę.

Dłoń na ustach dusząca mój krzyk. Pot, jego i mój. Palce. Wstrętne palce. Zło, dobro, dług.

Capo przestał mnie dotykać, a gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że na mnie patrzy. Jego wzrok prześwietlał mnie na wskroś. Nie żachnęłam się. Doceniłam, że rozumie mnie bez słów.

Proszę, nie rób mi krzywdy.

Puścił moje nadgarstki, wziął mnie za rękę i poprowadził w stronę samochodu.

Zdążyłam nieco ochłonąć i przypomniałam sobie, co powiedział. „A od jutra będę rżnął tylko ciebie. Do diabła z datami i planami”.

– Mieliśmy się pobrać w następny weekend – powiedziałam. Ton mojego głosu zadawał kłam temu, co czułam. Był spokojny. Minęło kilka sekund, a on milczał, więc dodałam: – Coś się zmieniło, Capo? Co z następnym weekendem?

– To zbyt odległy termin – powiedział. – Pobierzemy się jutro. Jutro rano porozmawiam z Rocco, weźmiemy ślub wieczorem.

– A sukienka, na którą tyle wydałeś? Nie uszyją jej na czas!

– Powiedz, żeby Giada zadzwoniła do projektanta. Niech mu powie, że zapłacę potrójnie, jeśli zdążą na czas. W najgorszym razie weźmiesz ślub w dżinsach z papieru.

Wszystko wskazywało na to, że następnego dnia miałam zostać mężatką. Czyli w poniedziałek. Kto, u licha, pobiera się w poniedziałek? Myśl zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Zastąpiła ją kolejna.

Za niecałe dwadzieścia cztery godziny zostanę żoną Capo Macchiavellego. Mężczyzny, od którego nie mogłam się uwolnić. Mężczyzny, który decydował o każdym moim ruchu.

11

CAPO

W ratuszu panował chłód. Powietrze pachniało zbutwiałym papierem, moją wodą kolońską oraz czymś, co przywodziło na myśl miłość, lojalność i przyjaźń, jak w tej głupiej piosence, którą puściła mi Mariposa. To zwykle dla tych trzech powodów mężczyźni stawiali się w tym miejscu, oczekując, że kobieta poświęci im swoje życie.

Spojrzałem na Rocco, mrużąc oczy. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego samozadowolenia. Żżerała go ciekawość, dlaczego zdecydowałem się przesunąć ślub.

Pierdolić terminy.

Wszystko mieliśmy już ustalone, dalsze zwlekanie było pozbawione sensu. Ślub we Włoszech to zupełnie co innego… Wymagał przygotowań, głównie ze względu na dziadka. Byłem mu to winien, martwił się o mnie. Musiałem zdążyć ze ślubem przed jego śmiercią.

Ślub cywilny to inna sprawa, nie miałem powodu czekać. W tydzień wszystko mogło się zmienić. Poza tym, jeśli czegoś chciałem, sięgałem po to bez wahania.

Chciałem, żeby Mariposa została moją żoną dzisiaj.

Odsunąłem rękaw marynarki i zerknąłem na zegarek. Była spóźniona. Trzy minuty.

– Guido powiedział, że będą za dziesięć minut – powiedział Rocco. On i jego żona Rosaria mieli być świadkami na naszym ślubie. Teraz siedziała obok męża, od niechcenia bawiła się bransoletką i ukradkiem spozierała na mnie.

Spojrzałem na Rocco, nie chciałem przedłużać tego w nieskończoność. Zaczynał drażnić mnie jego uśmiech.

– *Parla*. Mów.

Rocco przeciągnął się i poprawił marynarkę.

– Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw – powiedział po włosku.

– Rozmawialiśmy o tym – odparłem. – Taka była umowa.

Pokręcił głową.

– Ustaliliśmy inny termin. Późniejszy. A jakimś cudem spotykamy się tu już dziś. – Spojrzał na mnie i postanowił zmienić strategię. – Nie powiedziałeś w końcu, jak było na spotkaniu z jej rodziną.

– To nie jest jej rodzina – odparłem. – Tylko przyjaciele.

– Dla niej są jak rodzina – rzucił. Najwyraźniej nie przejmował się, że może mnie zdenerwować. – Dbają o nią, ma do nich zaufanie.

– Członkowie rodziny nie romansują ze sobą. – Zagotowałem się na samą myśl o Chłoptasiu Harrym. Strunka.

Wtykał nos w nie swoje sprawy. Powiedział Mariposie o wojnie na górze, choć sam był w nią uwikłany. Harry był nowym prawnikiem Cashela „Cash” Kelly’ego, głowy irlandzkiej mafii. Cashel zatrudnił go tuż po śmierci poprzedniego ojca chrzestnego. To Cash mówił do niego „Chłoptaś”, więc poszedłem jego śladem. Chciałem, żeby miał świadomość, że wiedziałem o nim wszystko. Wkrótce potem kupił dom na Staten Island.

Spóźniłeś się, dupku, przeciąłem już wszystkie struny. Ciach, ciach.

– Ano tak – powiedział Rocco i uśmiechnął się szerzej. – Jeden z chłopaków Ryanów podkochuje się w niej.

Ponownie zerknąłem na zegarek. Siedem minut. Nie mogłem dłużej ustać w miejscu. Kobiety zawsze znajdowały powód, żeby się spóźnić, ale zegar tykał coraz donośniej. Musiałem go uciszyć.

– Nie przejmuj się. – Rosaria machnęła ręką. – Nie ma takiej kobiety, która chciałaby wystawić cię na ślubnym kobiercu.

Mój komentarz pod adresem romansujących krewnych był wymierzony również w nią. Małżeństwo Rocco i Rosarii również zostało zaaranżowane i żyli w otwartym związku. Wielokrotnie się do mnie przystawiała, ale traktowałem Rocco jak brata. Poza tym ona nie była w moim typie.

Ale Rosaria nie znała Mariposy. Nie miała pojęcia, jak bardzo różni się od innych kobiet, zaś Chłoptaś Harry mógł jej dać to, czego ja nie byłem w stanie – czystą kartę. Jeśli Mari nie pojawi się z jego powodu, zadbam o to, żeby nikt go nigdy nie znalazł.

Jedenaście minut.

– Wiem, spóźniłam się! – Jej głos rozległ się w marmurowym holu, zagłuszając stukot obcasów.

Odwróciłem się i zobaczyłem, jak biegnie do mnie w pośpiechu ta najpiękniejsza z kobiet, jakby niepomna tego, że ma na sobie jedną z najbardziej oszałamiających sukienek, jakie w życiu widziałem.

Uniosła rąbek sukni, żeby jej nie zabrudzić.

Kobieto, nie wiesz, że bez brudu nie ma wspomnień, cisnęło mi się na usta. Każdą nową rzecz traktowała z nabożnym wręcz szacunkiem. Z czasem zrozumie, że trzeba wyluzować, żeby móc w pełni korzystać z życia.

Życie to blizny. Życie to krew na rękach. Życie to plamy na białym ubraniu. Życie to ryzyko i brud.

Stanęła przy oknie, a jej jedwabna suknia inkrustowana perełkami zamigotała w popołudniowym słońcu. Omiotłem wzrokiem jej wąską talię i delikatne obojczyki. Jej piersi falowały w ciasnym gorsecie. Włosy zebrała do tyłu, ale kilka drobnych kosmyków okalało jej drobną buzię. Fryzura podkreślała jej arystokratyczny profil i pełne usta.

– Miałam mało czasu – powiedziała, nieświadoma mojego zachwytu. – Musiałam się śpieszyć. – Omiotła mnie spojrzeniem. – Wyglądasz…

– *Sei sbalorditiva* – przerwałem jej.

Zmrużyła oczy. Na jej twarzy malowało się skupienie.

– Powiedziałeś, że wyglądam olśniewająco. Że jestem olśniewająca – poprawiła się.

– To prawda. – Wziąłem ją za rękę i obróciłem. Sukienka miała głęboki dekolt na plecach. – Podoba mi się twoja sukienka. Ty mi się podobasz.

– Spełniłam twoje życzenie. Chciałeś, żebym włożyła sukienkę – stwierdziła. – Chodzi mi o to, że zrozumiałam, co powiedziałeś do mnie po

włosku.

Przytaknąłem.

– Zaczynasz rozumieć mój język.

Wzruszyła ramionami, a ja nie chciałem tracić czasu. Wziąłem ją pod ramię i weszliśmy do sali, w której czekał na nas urzędnik. Po kilku minutach wypowiedzieliśmy słowa przysięgi i wsunąłem jej na palec obrączkę. Gdy nadeszła jej kolej, nachyliłem się do urzędnika, żeby powiedzieć, że ominiemy tę część ceremonii.

– Chwileczkę! – Spojrzała na Guido, który podszedł i wręczył jej małe pudełeczko. Ze środka wyjęła grubą obrączkę z białego złota inkrustowaną pojedynczym czarnym diamentem o kwadratowym szlifie. Obok kamienia widniał złoty grawerunek w kształcie litery „M”. Oddała pudełko Guido i spojrzała na mnie z nieśmiałym uśmiechem.

– To dlatego się spóźniłam. Jubiler zlitował się nade mną i zdążył z grawerunkiem na ostatnią chwilę. – Wzięła mnie za rękę i wsunęła mi obrączkę na palec.

Gdy urzędnik ogłosił nas mężem i żoną, wymieniliśmy pocałunek. Pocałowałem ją w kącik ust, a ona musnęła mój policzek. Rosaria i Rocco podeszli do niej i wyściskali ją serdecznie. Stanąłem obok, bawiąc się obrączką. Ciążyła mi, czułem się jak wilk, któremu założono obrożę.

Nagle moją uwagę zwrócił szczegół, którego nie dostrzegłem wcześniej. Na wewnętrznej stronie obrączki widniała inskrypcja.

Il mio Capo.

Mój *Szef*.

– Capo?

Spojrzałem na moją żonę. Siedzieliśmy w samochodzie, a Giovanni wiózł nas do domu. Wydawała się zniecierpliwiona.

Dopiero teraz dotarło do mnie, co zrobiła.

Odkąd zaczęła korzystać ze swojej karty kredytowej, bardzo oszczędnie gospodarowała środkami. Szukała okazji, a w sklepach spożywczych

korzystała z kuponów, które wycinała z gazet. Na moją obrączkę wydała jednak co najmniej dwa tysiące dolarów.

Wszystkie pieniądze wydała na mnie.

Jedyną osobą, która mogła jej pomóc w zakupie, był Rocco. Zaprosił nas na obiad do ekskluzywnej restauracji, która należała do niego i do jego brata Brando. Gdy wziąłem go na stronę i zapytałem o to wprost, powiedział, że poprosiła go o przysługę.

Poprosiła o przysługę.

Człowieka rodziny Faustich.

Poprosiła, żeby kupił obrączkę, bo nie chciała, żebym zobaczył wydatek na wyciągu z konta. W zamian zaproponowała, że zastąpi Giadę podczas jej nieobecności. Rocco przystał na jej propozycję, ale dopilnował, żeby towarzyszyła jej inna asystentka. Mari miała jeszcze do załatwienia sporo spraw związanych z weselem we Włoszech.

– Obrączkę wykonał rodzinny jubiler. – Rocco popijał whiskey i nie wydawał się szczególnie przejęty sprawą.

Był bezwzględny, jeśli chodziło o interesy, a jego ojciec należał do najokrutniejszych ludzi w historii Włoch. Ale Rocco uwielbiał za to wesela i tego typu uroczystości.

– Nie jesteś mi nic winny. Twoja żona dotrzymała danego mi słowa. Jesteśmy kwita. Nie mówmy o tym, dziś jest dzień twojego ślubu. Interesy załatwia się w biurze.

Fausti zatrudniali własnego jubilera, którego rodzina pracowała dla nich od pokoleń. Ze względu na moje powiązania z rodziną Faustich, jubiler pracował także dla mnie. Miałem u niego otwarty rachunek.

Mariposa lepiej niż ktokolwiek inny rozumiała koncepcję barteru. To chyba jedyna zasada, której się trzymała. Uprzejmość za uprzejmość, żadnego zadłużania się. Dla mnie zrobiła wyjątek. Zawdzięczała mi życie. Nie tak dawno – zerknąłem na zegarek – przyrzekła być ze mną aż do śmierci. Tym bardziej wkurwiło mnie, że poprosiła o przysługę kogoś, kto nie miał w zwyczaju robić niczego za darmo.

– Śpieszysz się gdzieś?

Samochód podskoczył i spojrzałem na Mari. Jej oczy błyszczały w ciemności. Miała złocistą skórę i złote refleksy we włosach. Jej usta były pełne i różowe, uśmiechała się zadziornie. Wymieniliśmy spojrzenia.

– Dlaczego pytasz?

Westchnęła.

– Od obiadu wydajesz się nieobecny myślami. Przed chwilą zapytałam cię, dokąd jedziemy, a ty nie odpowiedziałeś. A potem spojrzałeś na zegarek. – Nachyliła się i zerknęła na tarczę zegarka.

Pachniała tak słodko, że aż oblizałem usta. Od chwili gdy tamtej pamiętnej nocy w klubie jej zapach dotarł do moich nozdrzy, wiedziałem, że będę miał kłopoty. Wszystko przez te pieprzone feromony. Można uzależnić się od czyjegoś zapachu jak od narkotyku i żyć w oczekiwaniu na kolejną dawkę.

– Niby jesteś milionerem, ale twój zegarek ma rdzawe plamy. Musisz kupić sobie nowy.

Wzruszyłem ramionami. Biała wykrochmalona koszula zaczynała mnie uwierać.

– Niektóre rzeczy są bezcenne, bez względu na to, jak bardzo są zużyte. – Wskazałem na budynek, przed który właśnie zajechaliśmy. – Mariposa, jesteśmy w domu.

– W domu – powtórzyła i wyjrzała przez okno. – Mieszkasz obok straży pożarnej. Ekstra! Przyda się, jak będę robić obiad.

Giovanni wcisnął guzik na desce rozdzielczej i drzwi do garażu się uchyliły.

– Cały budynek jest twój?

– Mhm.

– Spodziewałam się czegoś innego.

– Czego się spodziewałaś?

– Pieczary Batmana.

– Skąd wiesz o pieczarze Batmana?

– Od braci Keely. Kiedyś wpadłam do nich, jak oglądali film.

Roześmiałem się, odganiając myśl o Chłoptasiu Harrym.

– Za mało błyskotek, co?

Dlaczego nadal myślałem o tym złamasie?

Zmrużyła oczy.

– Nie, po prostu myślałam, że mieszkasz gdzieś na Manhattanie. W penthousie. – Uśmiechnęła się. – No, ale buda to to nie jest.

– Będę chuchać i dmuchać, aż zdmuchnę twój dom.

– Wielki zły wilk we włoskim garniturze. – Pogładziła mnie po dłoni, dotykając tatuażu wyjącego wilka. Jej dotyk był równie delikatny jak jej usta. – Powinnam była się tego spodziewać.

Jej wzrok powędrował do moich ust, a następnie spotkał się z moim. Spuściła oczy w zakłopotaniu i zaczęła poprawiać mój krawat. Jej dłonie drżały jak skrzydełka małego ptaszka. Chciałem poczuć ich dotyk na skórze, na moim kutasie i jajach.

Chrząknęła.

– Pokażesz mi dom?

Stuknąłem w szybę. Po chwili Giovanni otworzył drzwi. Powiedziałem do Mari po włosku, żeby nie ruszała się z miejsca, i tak jak w ratuszu wydawało się, że mnie rozumie. Obszedłem samochód i otworzyłem drzwi po jej stronie. Wzięła mnie za rękę i wysiadła, przytrzymując rąbek sukienki.

– Teraz rozumiem, dlaczego kupiłeś cały budynek. – Rozejrzała się dookoła. – Potrzebowałeś miejsca dla wszystkich swoich samochodów.

Uścisnąłem jej drżącą dłoń i weszliśmy do środka. Bezwiednie chwyciła mnie mocniej za rękę.

– Ja pierdolę – wydukała, rozglądając się. – W życiu nie widziałam takiej ogromnej przestrzeni.

Oprowadziłem ją po domu, ale sprawiała wrażenie nieobecnej. Prawie nic nie mówiła.

– Co się stało? – Stanąłem w garderobie, która przylegała do sypialni. – Mów szczerze, co cię gnębi.

Upuściła rąbek sukni, wzruszyła ramionami i zatknęła za ucho kosmyk włosów.

– To piękny dom, Capo.

– Możesz wszystko zmienić. Jeśli chcesz, możesz urządzić wszystkie wnętrza po swojemu.

Przytaknęła, ale nie odezwała się ani słowem.

– Pozwól, że ci coś pokażę – powiedziałem.

– Zostało coś jeszcze?

Uśmiechnąłem się.

– Patrz uważnie.

Spojrzała z ciekawością, gdy przycisnąłem guzik na tarczy zegarka. Tylna ściana garderoby zaczęła się powoli rozsuwać, odsłaniając niewielkie pomieszczenie, które wyglądało jak wnętrze windy. Było sterylne. Po przeciwnej stronie widniała stalowa ściana. Gestem dłoni zaprosiłem ją, żeby weszła. Zawahała się, ale tylko na chwilę. Zamknąłem za nami drzwi do garderoby. Chwilę później otworzyłem stalowe drzwi ukryte w ścianie i weszliśmy do środka.

– Okay – powiedziała, wybałuszając oczy. – A jednak masz pieczarę Batmana. Za tajemnymi drzwiami.

Zaśmiałem się sucho.

– Nie do końca. Tu mieściła się straż pożarna.

– No tak, ale wszystko przebudowałeś. Z zewnątrz budynek wygląda na opuszczony.

Podeszła do szklanej barierki, za którą roztaczał się widok na parter. Remont zrobiłem z myślą o niej. Nikt nie wiedział, że ta rudera należy do mnie.

Pierwsza część domu była urządzona oszczędnie i nowocześnie. Ta zaś została zaprojektowana z myślą o niej. Wnętrza były przytulne i utrzymane w ciepłych barwach. Na ścianach wisiały rysunki motyli. Nie pasowały do bryły budynku, ale to, co na zewnątrz, rzadko współgra z tym, co jest w środku. Poprosiłem jedną z ciotek, żeby porozmawiała z architektem wnętrz. Na podstawie tego, co jej przekazałem, nakreśliła mu portret

Mariposy i to stało się inspiracją do stworzenia projektu. O resztę zadbałem sam.

– Mariposa, to jest twój dom. Jego druga część ma pełnić funkcję reprezentacyjną. To miejsce przeznaczone do wyprawiania przyjęć i zapraszania znajomych na kolację. Ta część jest tylko dla nas. Poza nami o jej istnieniu wie jedynie pięć osób.

– Nie mogłabym prosić o więcej – powiedziała, wzdychając.

– Cieszę się, że ci się podoba.

– Kim jest tych pięć osób, które wiedzą o naszym tajemniczym domu?

Tajemniczy dom. Prawie wybuchnąłem śmiechem.

– Rocco, moja ciotka i wuj, Dario, brat Rocco, architekt wnętrz, i Donato. On dowodzi ochroną Rocco. Wkrótce wszystkich poznasz na naszym weselu we Włoszech.

– Jeśli nikt inny nie wie o istnieniu tego miejsca, jak udało ci się to wszystko zorganizować?

– Trochę pomógł mi Dario. A resztę… – Podniosłem ręce. – Od pięciu lat pracuję nad tym projektem. Wszystkie potrzebne materiały zamawiałem do domu obok. Jeszcze tu nie nocowałem.

– Odludek – szepnęła.

– Zamówiłem dla ciebie taki sam zegarek. To nowszy model, bardziej kobiecy. Ma wymienne paski, żebyś mogła dobierać je pod kolor ubrań. Położyłem go na stoliku nocnym obok łóżka. Pamiętaj, że z nami włącznie o istnieniu tego domu wie tylko siedem osób. Nikt inny.

– Rozumiem – odparła. Bawiła się kosmykiem włosów. *Agitarsi*. Wierciła się. Była zdenerwowana.

– *Vieni* – powiedziałem i odciągnąłem ją od barierki. – Oprowadzę cię.

Tym razem wydawała się bardziej ożywiona. Jej oczy błyszczały. Wcześniej odniosłem wrażenie, że czuła się nie na miejscu, teraz chłonęła każdy detal. Wydawała się rozluźniona jak tamtej nocy w klubie, gdy kołysaliśmy się w rytm wolnej muzyki. Tamtej nocy jej serce biło tak szybko, że pod palcami z łatwością wyczułem jej pulsujące tętno.

Gdy pokazałem jej drugą sypialnię, kiwnęła głową i zapytała:

– Bardzo ładna. Czy to mój pokój?

– To zależy od ciebie. Ustaliliśmy, że dam ci czas, żebyś mogła do mnie przywyknąć. – Celowo urządziłem drugą sypialnię bardzo skromnie. Kierowały mną egoistyczne pobudki.

Gdy udaliśmy się do sypialni małżeńskiej, zaczęła nerwowo skubać koraliki na sukience. Z wyraźnym wahaniem zajrzała do środka.

– Jesteś bezpieczna – powiedziałem z uśmiechem. – Zły wilk jest na zewnątrz.

– Na razie jest na zewnątrz – wymamrotała i weszła.

Musiała dotknąć wszystkiego, łóżka, mebli, nawet ścian. Zajrzała do łazienki, a jej wzrok wędrował od sufitu inkrustowanego macicą perłową, jej kamienia urodzeniowego, do ogromnej kabiny prysznicowej, masywnej wanny na nóżkach i marmurowej posadzki.

Zatrzymała się przed wejściem do garderoby, która stanowiła osobne pomieszczenie. Pośrodku biegł korytarz, a po obu jego stronach za przeszklonymi drzwiami wisiały ubrania. Na półkach stały równo poukładane buty. Jedna strona należała do niej, druga do mnie.

– Nie chcę być impertynencka – powiedziała, odrywając koralik od sukienki. Wbiła wzrok w półkę, na której stały tenisówki w różnych kolorach, głównie produkcji włoskiej. – Ale czyje to są ubrania? Wiem, że ta część jest twoja, bo widzę garnitury, ale nie rozumiem, do kogo należą ubrania po tej stronie.

Rozbawiło mnie, jak bardzo starała się być dyplomatyczna.

– Przed tobą nie było tu żadnej kobiety. – Stanąłem za nią. Pod wpływem mojego oddechu na jej plecach pojawiła się gęsia skórka. – Każda rzecz w tym domu jest zupełnie nowa. Dlatego czuć zapach farby. Wszystko jest twoje.

– Nie kupiłam tych ubrań.

– Ty nie. Ja je kupiłem. Przekonamy się, jak dobrze cię znam, co ty na to?

Minęła chwila, nim przytaknęła. Czuła się przytłoczona. Choć wiedziała, na co się umówiliśmy, było jej trudno przejść płynnie od nędzy do przepychu, tak by nie poczuć przesytu. Wrzuciłem ją na głęboką wodę.

– Zauważyłem, na co wydajesz pieniądze, Mariposa, musisz się jeszcze wiele nauczyć. – Nie sprawdzałem, ile wydawała. Pilnowałem, żeby niczego jej nie zabrakło. Nawet gdybym musiał zamówić wszystkie dania z karty. Najwyraźniej tak miało być. Mieliśmy sporo do nadrobienia.

– To za…

– Wiesz, jaka była umowa – wtrąciłem. – Masz obowiązek dotrzymać jej warunków. Podobnie jak ja. Nie robię niczego z dobroci serca.

Nachyliłem się i zacząłem wodzić palcem po jej szyi, kreśląc literę „C” na nieskazitelnej skórze. Zadrżała, a mój kutas stwardniał.

– Idź do wanny, Mariposa. – Mój głos zabrzmiał nisko i chrapliwie. – Włóż nowe ubrania, zjedz coś. Włącz telewizję albo posłuchaj muzyki. Bocelli powinien cię wyciszyć. Poczytaj coś.

Wcześniej Rosaria zaczęła zapraszać Mari na dziewczyńskie wieczory z żonami trzech braci Rocco. Rozmawiały o książkach, robiły na drutach, wyszywały i gadały o babskich sprawach. Dlatego kupiłem jej czytnik e-booków i mnóstwo książek. Gdy za pierwszym razem dołączyła do dziewczyn, zapytała:

– Jak to? A gdzie kolorowanki i zeszyty?

Nie chciałem umniejszać tego, co potrafiła ofiarować sama sobie, więc nie kupiłem jej nowych kolorowanek. Są rzeczy, których nie da się zastąpić.

– Wyśpij się. To pierwsza noc, a będzie ich wiele więcej. Czuj się jak u siebie, Mariposa. To twój dom. *Per sempre*.

– Zaczekaj. – Spojrzała na mnie. – Dokąd idziesz?

– Do pracy.

Minęły prawie dwie godziny, odkąd zostawiłem moją żonę samą sobie. Siedziałem przy biurku w gabinecie, a do moich nozdrzy docierały coraz to nowe zapachy. Pachniało świeżym ciastem, lasagne i popcornem.

Godzinę później rozległo się pukanie do drzwi. Zanim zdążyłem otworzyć, Mari weszła do środka. Wyszła spod prysznica, miała wilgotne włosy. W gabinecie rozszedł się zapach pistacji, migdałów, karmelu

i drzewa sandałowego. Zamiast jednej z wielu nowych piżam, które kupiłem specjalnie dla niej, miała na sobie mój szlafrok. Był co najmniej trzy rozmiary za duży. Rękawy zakrywały jej dłonie, a poły ciągnęły się po podłodze.

W ręku trzymała talerz. Gdy postawiła go na biurku, na odsłoniętej dłoni zabłysnął jej pierścionek.

– W kuchni jest chyba ponad sto książek kucharskich. W jednej z nich znalazłam przepis na tort weselny. Mamy wszystkie składniki i milion innych produktów, więc spróbowałam go upiec.

– Spróbowałaś. – Spojrzałem na ciasto. Wziąłem do ręki widelec i starałem się go wbić. Ciasto było twarde jak kamień i bynajmniej nie było białe. Może chciała upiec brownie. – Wygląda jak ciasto.

Zmarszczyła czoło.

– Powiedzmy.

Odkroiłem kawałek i włożyłem do ust. Po chwili poczułem jego smak. Wymieniliśmy spojrzenia. Zrobiła dziwną minę, wyglądała jak pieprzona ryba rozdymka.

– I co? – Przygryzła wargi. Usiłowała się nie roześmiać.

Przełknąłem z trudem. Byłem pewien, że ciasto z tektury smakuje lepiej niż to, co miałem w ustach.

– Pierwszy raz coś upiekłaś?

Przytaknęła.

– Zgadza się.

– Dobrze – wydusiłem.

Ze śmiechem wycelowała we mnie palec.

– Capo, nie potrafisz kłamać! – Roześmiała się jeszcze głośniej.

– Chyba zapomniałaś dodać kilku składników, takich jak mleko, jajka i masło. Co ty zrobiłaś? Upiekłaś je z samej mąki? – Miałem chrypkę, a w gardle zaschło mi od przełykania tego, co nazwała ciastem.

Ze śmiechem wyszła z gabinetu, a po chwili wróciła z butelką wody. Podała mi ją, a ja wypiłem duszkiem. Patrzyła na mnie z uśmiechem.

Zaczęła zwiedzać gabinet, przyglądając się z uwagą każdemu sprzętowi.

– Co to za aparatura? – zapytała.

– Prowadzę firmę ochroniarską.

– Śledzisz ludzi.

– Można to tak nazwać.

– I za to ci płacą?

– Niektórzy tak.

– Rozumiem. – Spojrzała w jeden z monitorów. – To twój budynek?

– Nasz – odparłem. – Zobacz. – Wskazałem na kropkę na monitorze i kliknąłem w zoom. Giovanni robił obchód. Nie miał pojęcia, że przebywaliśmy w drugiej części budynku. Według jego wiedzy cały czas byliśmy w apartamencie po drugiej stronie. Tak miało być.

– Ale mnie nie będziesz śledził? – Giovanni poprawił spodnie na tyłku, a ona zmrużyła oczy. Był najbrzydszym ochroniarzem, jakiego udało mi się znaleźć. – Nie będziesz się zachowywał jak obleśny podglądacz?

– To zależy. – Rozsiadłem się w fotelu i spojrzałem na jej delikatne rysy. Spowijało ją światło monitorów. Była interesująca. Inna.

– Od czego? – Otworzyła szeroko oczy. Robiła tak, ilekroć chciała, żebym coś jej wytłumaczył.

– Od twojego zachowania.

– Jestem grzeczną dziewczynką. – Stanęła przede mną i skrzyżowała ręce. Tonęła w tym za dużym szlafroku. – A wiesz, co mówią o grzecznych dziewczynkach? Mówią, że one nie przechodzą do historii.

Nachyliła się do mnie i pociągnęła za mój krawat. Rozwiązałem go, ale nie zdjąłem. Powoli ściągnęła go z mojej szyi i odłożyła na biurko. Wcześniej podwinąłem rękawy koszuli. Zaczęła wodzić palcem po jednej z żył widocznych na moim przedramieniu.

Zapadła cisza, spojrzeliśmy na siebie.

– Potrzebujesz czegoś, Mariposa?

Pokręciła głową.

– Poczułam się samotna. Ten dom jest ogromny. Jeszcze nie zdążyłam się przyzwyczaić. Chciałam spytać, kiedy przyjdziesz do łóżka.

Uniosłem brwi, a ona odwróciła wzrok i spojrzała w jeden z monitorów.

– Miałam na myśli sen – dodała cicho. Zaczęła bawić się paskiem od szlafroka. Najwyraźniej chciała coś powiedzieć albo coś zrobić.

– Nie rób tego przy mnie.

– Czego mam nie robić? Tego? – Wzięła do ręki krawat i uśmiechając się, zaczęła kręcić nim w powietrzu.

Złapałem ją za rękę.

– Tak. *Agitarsi*. Masz się nie wiercić. Nie rób tego przy mnie.

Przytaknęła i głośno przełknęła.

– Dobrze, *Capo*.

– Chciałaś powiedzieć, *il mio capo*.

– Widziałeś, co jest wygrawerowane?

– Ja widzę wszystko.

– Odnoszę wrażenie, że jesteś niezadowolony.

– Na przyszłość nie życzę sobie, żebyś robiła interesy z obcymi mężczyznami.

– Masz na myśli Rocco? Chodzi ci o obrączkę?

– Tak. Rocco. Obrączka. Nigdy więcej tego nie rób.

– Jak sobie życzysz, Capo.

Za pierwszym razem, gdy zwróciła się do mnie w ten sposób w klubie, musiałem walczyć ze sobą, żeby nie zerżnąć jej na miejscu. Im częściej tak mówiła, tym bardziej czułem się jak dzikie zwierzę zamknięte w klatce. Musiałem poczekać, aż będzie gotowa. Czułem się tak, jakbym powstrzymywał się przed wypowiedzeniem na głos czegoś szalenie ważnego.

Po kilku minutach wzięła głęboki oddech i rozwiązała szlafrok. Była naga.

Gapiłem się na jej piękne ciało jak wygłodniały pies na kość. Dziwnym trafem zamieniliśmy się rolami. Teraz to ja byłem głodny. Była, kurwa,

idealna. Światło monitorów podkreślało jej kształty. Jej cycki mieściły się w moich dłoniach. Miała wąską talię i lekko zaokrąglone biodra. Sterczały jej sutki, a wewnętrzna strona ud błyszczała od podniecenia. Czułem jej zapach, słodki i kurewsko apetyczny. Wystawiłem język i oblizałem dolną wargę.

– Pomyślałam, że pokażę ci, co będziesz miał na wyłączność, *il mio capo*. To ja. Mam nadzieję, że jestem warta wysokiej ceny. – Oderwałem wzrok od jej ciała i spojrzałem w jej oczy, ale odwróciła wzrok. – Jestem strasznie chuda, ale…

Jęknęła, gdy złapałem ją mocno za biodra i posadziłem na biurku. Gdy szarpnięciem przysunąłem ją bliżej siebie, rozchyliła usta i westchnęła, a jej oddech schłodził moją rozpaloną skórę. Naparłem na nią kutasem, aż jęknęła bezgłośnie. Próbowała zedrzeć ze mnie koszulę, szarpiąc materiał.

Ugryzłem ją w szyję i wyszeptałem jej do ucha:

– Jesteś warta o wiele więcej – powiedziałem. – Powinnaś była lepiej się targować.

– Ach. – Westchnęła głośno, gdy ugryzłem ją mocniej. Wbiła mi paznokcie w skórę. Ból spotęgował moje pożądanie. – Może powinniśmy wrócić do negocjacji.

– Nie wiem, czy mnie na ciebie stać. *Un estimabile valore*. – Nie było kwoty, której bym za nią nie zapłacił. Zgodziłbym się na wszystko. Choć nie miała ani grosza, to ona kontrolowała sytuację. Było w niej coś, co sprawiło, że czułem się jak opętany. Miałem na jej punkcie obsesję.

Nagle poczułem jakieś obce ukłucie.

Zazdrość.

Ta świadomość poraziła mnie niczym piorun. Czułem się, jakbym stał pod drzewem w czasie burzy.

Przypomniałem sobie minę i słowa Rocco w ratuszu i wszystko nabrało sensu.

Byłem za stary na takie akcje, ale chuj z tym. Gdy Chłoptaś Harry wyznał jej miłość, poczułem zazdrość. Byłem też zazdrosny o tę beznadziejną ksywkę. Strunka.

Na samo wspomnienie wbiłem palce w jej biodra i jeszcze mocniej przywarłem do niej kutasem. Czułem nieokiełznaną potrzebę posiadania. Pożądałem władzy, kontroli. Chciałem zdominować ją swoim zapachem. Przywarłem ustami do jej dekoltu, językiem smakując jej skórę. Gdy wziąłem do ust jej sutek, poczułem, że cała wiotczeje.

– Proszę… – wyszeptała. – Tylko nie zasłaniaj mi ust.

Zwolniłem tempo, chciałem, żeby czuła się swobodnie. Spojrzałem na nią. Trzymała poły mojej koszuli, ale przestała je szarpać. Mocno zaciskała powieki. Jej serce zdawało się bić tak mocno nie z podniecenia, ale ze strachu.

Chciała odlecieć, ale coś ją powstrzymywało.

Pożądała mnie. Pragnęła tego, ale ten skurwiel skrzywdził ją tak bardzo, że do tej pory się nie otrząsnęła. Pierwszy raz usłyszałem w jej głosie bezbronność. Nawet tamtej nocy w klubie, gdy nie wiedziała, co ją czeka, zgrywała odważną.

Vivo o muoi provando. Walka na śmierć i życie.

Po chwili poczułem, że się uspokaja. Zgodziła się dać mi czas. Ja zobowiązałem się do tego samego.

– Mariposa… – Mój głos zabrzmiał nisko i chrapliwie.

Po dłuższej chwili otworzyła oczy. Wstrząsnęło mną to, co w nich zobaczyłem. Była zawstydzona.

Uniosłem ją i przytuliłem.

– Gdy będziesz gotowa pójść ze mną do łóżka, załóż coś czerwonego. *Consumami*. Zjedz mnie żywcem.

– Pragniesz ognia w łóżku.

Jej ton był podejrzliwy. Tak, jakby ogień oznaczał coś złego. Jakby to było coś, czego należy się bać. Być może odczuwała lęk. Motyl to krucha, łatwopalna istota. Ale ona była silna, stać ją było na przemianę.

– Tak – powiedziałem. – Zgadza się. Będę wiedział, że jesteś gotowa.

– Chciałabym być gotowa – wyszeptała.

– Będziesz. Popracujemy nad tym.

Poczułem, że się uśmiecha. Pocałowała mnie w klatkę piersiową i w szyję, tuż obok blizny. Zamarłem, ale zdawała się tego nie zauważać. Dzięki, kurwa, Bogu. Ziewnęła i przytuliła się do mnie.

– Czas na sen. – Wziąłem ją na ręce i zaniosłem do sypialni.

– Będziemy spać w tym samym łóżku? Chcę tego. Na spotkaniu powiedziałeś, że to będzie moja decyzja.

Właśnie dlatego urządziłem drugą sypialnię wyjątkowo skromnie. Chciałem, żeby spała ze mną.

Położyłem ją na środku monstrualnego łoża, a ona zdjęła szlafrok i złożyła go w nogach materaca. Weszła pod kołdrę i odkryła jedną nogę. Nieźle wyglądała z tą nagą odsłoniętą nogą. Miała zgrabny tyłeczek. Pierwszy raz miałem okazję zobaczyć go z bliska. Chciałem się w niego wgryźć, tak żeby zmusić ją do krzyku. A potem chciałem go zerżnąć.

– Dołączysz do mnie?

Odchrząknąłem.

– Później. Mam jeszcze trochę pracy. Gdybyś czegoś potrzebowała, użyj swojego zegarka, leży na stoliku. Wciśnij boczny guzik i powiedz „zadzwoń do Capo”. Od razu cię ze mną połączy. W ten sam sposób możesz wezwać Giovanniego.

– Mam też go nazwać *capo*?

– Nie, Capo to ja. Do niego zadzwoni wtedy, kiedy wypowiesz jego imię.

Złożyła dłoń i palce w kształt pistoletu, wycelowała we mnie i udała, że strzela.

– Zrozumiałam. – Roześmiała się, a ja pojąłem, że robi sobie ze mnie jaja. Od lat nie spędziłem tyle czasu z kobietą. A już na pewno nie z taką jak ona. Musiałem się ogarnąć, żeby za nią nadążyć.

Usiadła, potarła oczy, a kołdra osunęła się z jej ramion. Jej sutki nadal były twarde.

– Należysz do tych osób, które cierpią na bezsenność?

Wzruszyłem ramionami.

– To zależy. – Zależy od tego, czy będziesz chciała się ze mną pieprzyć całą noc.

– No tak, czyli rzeczywiście trafiłam do pieczary Batmana.

To była bzdura, ale jeśli dzięki temu czuła się bezpieczniej, byłem gotów się z nią zgodzić.

– Hej – powiedziała, gdy wychodziłem. – Masz czas, żeby obejrzeć ze mną film, zanim wrócisz do pracy? Moglibyśmy zrobić piwo korzenne z lodami. Zawsze chciałam tego spróbować. Mamy wszystkie potrzebne składniki.

Nasz dom był ogromny. Wszystko było nowe. Najwyraźniej nie zdążyła się jeszcze przyzwyczaić. Przypomniał mi się przytulny dom na Staten Island, a zakazane słowo wdarło się przemocą do moich myśli. Zazdrość. Chłoptaś Harry pomyślał o wszystkim. W tamtym domu czuła się bezpiecznie.

Teraz do rzeczy. Będzie musiała się przyzwyczaić.

Zdjąłem koszulę i podałem ją Mari. Wstała i wzięła ją ode mnie. Musnąłem ją dłonią i poczułem przeszywający mnie prąd. Trzymała koszulę i wpatrywała się w mój nagi tors.

– Włóż ją – powiedziałem chrapliwie.

Przytaknęła i wsunęła ją przez głowę. Wyglądała w niej jak w za dużej sukience.

– Mam rozumieć, że się zgadzasz?

– A co chcesz oglądać?

– Co powiesz na *Edwarda Nożycorękiego*? A ja przygotuję piwo z lodami!

12

CAPO

Światła mojego samochodu oświetliły bramę wjazdową do garażu. Chwilę później uchyliła się i wjechałem do środka. W radiu leciała jedna z tych kretyńskich piosenek Mari. Ilekroć piosenkarka wyciągała wysokie nuty, czułem, że eksploduje mi czaszka. Mariposa uwielbiała ten utwór. Przy niektórych zwrotkach śpiewała bezgłośnie tekst piosenki i pokazywała mnie palcem.

W życiu nie widziałem czegoś równie pojebanego. Musiałem jednak brać poprawkę na to, że była młoda. Jakimś cudem ta jej niewinność, którą za wszelką cenę próbowałem ocalić, przetrwała bez szwanku. Objawiała się w chwilach, gdy czuła się swobodnie.

Bezszelestnie wszedłem do środka. Donato miał przysłać dwóch chłopaków do pilnowania terenu, więc kiedy dostrzegłem trzecią osobę, wyostrzyłem wzrok. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to Donato.

Wymieniliśmy uścisk dłoni. Poklepaliśmy się po plecach.

– Rozumiem, że powinienem ci powinszować – powiedział po włosku. Sięgnął po szklankę, która stała na stole, stuknęliśmy się szkłem i znakomitą whiskey wypiliśmy do dna.

– Nasz ptaszek nadal śpiewa? – zapytałem.

Włożyłem rękawiczki. Ubrałem się od stóp do głów na czarno. W mroku trudno było mnie dostrzec.

– Już nie. Jest wściekły. Domaga się spotkania z człowiekiem, który zlecił jego porwanie. Zapewnił nas, że zapłaci każdy okup.

Wymieniliśmy uśmiechy. Poklepałem Donato po ramieniu, zabrałem jego ludzi i wyszliśmy.

Przed wejściem do pokoju włożyłem kominiarkę. Z sufitu zwisała pojedyncza żarówka. Rzucała słabe światło na stół i dwa krzesła. Poza tym w pokoju stała jednoosobowa kozetka. Z boku znajdowała się toaleta bez deski klozetowej. Pomieszczenie nie miało okien, były tylko gołe ceglane ściany.

Z kozetki wstał mężczyzna. Próbował zrobić to bezszelestnie, ale zdradziło go ciężkie sapanie.

– Mam cię, skurwielu. – Jego głos zabrzmiał piskliwie. – Zostawiłeś broń, i co? Myślałeś, że jej nie użyję?

Nacisnął spust i…

Klik.

Klik. Klik. Klik.

Roześmiałem się, a on rzucił pistoletem o ścianę.

– Ty skurwysynu! Zrobiłeś mnie w chuja!

Rzucił się na mnie, ale zatrzymał go mocny cios w żołądek. Otworzył usta i próbował złapać oddech, wyglądał jak ryba wyjęta z wody. Chwyciłem go za kołnierz i rzuciłem nim o stół. Przewrócił się i upadł na podłogę. Nie próbował wstać i zaprzestał walki, tylko zerkał na mnie spode łba.

– Siadaj – powiedziałem.

Zmrużył oczy.

– Znam cię?

– Nie – odparłem.

Oblizał wargi i podniósł zabrudzone ręce do góry.

– Powiedziałem twoim ludziom, tym bez kominiarek, że dam ci wszystko, czego chcesz. Mam znajomości. Zrobię wszystko. Dam ci wszystko, czego tylko zapragniesz. Powiedz tylko słowo.

– Aha… – westchnąłem. – Czyli twoi ludzie nas nie zabiją?

Wcześniej, gdy go zwinęliśmy z ulicy, wrzeszczał, że ma koneksje i nas wszystkich pozabija. Zastrzeli nas jak psy. Nie wiedział, że tak naprawdę za jego porwaniem stał jeden człowiek. Czyli ja. Reszta to psy, które miały za zadanie go przypilnować do mojego powrotu.

Zmrużył oczy jeszcze bardziej. Próbował przyjrzeć mi się w ciemności.

– Nie, jeśli teraz mnie wypuścisz, darują ci życie. Zadbam o to.

– Quillo, dlaczego nie użyłeś broni?

– Próbowałem! Nie jest nabita.

– Pytam, dlaczego nie użyłeś jej wcześniej. Mogłeś się zastrzelić, ale nawet nie sprawdziłeś, czy są w niej naboje.

Próbował niepostrzeżenie się ode mnie odsunąć, ale bacznie obserwowałem każdy jego ruch.

– Po co komu broń bez nabojów?

– Znasz zasady gry– powiedziałem. – Pozwoliłem, żebyś sam to zakończył.

Jeden z ludzi Donata zostawił broń na stole. Dał mu wybór: albo zastrzeli się sam, albo ja go wykończę. Donato nie zdradził mojego nazwiska. Nazwał mnie jego Przeznaczeniem i powiedział Quillo, że jestem bezwzględnym skurwielem. Problem z ludźmi takimi jak Quillon „Ouillo” Zamboni polega na ich przekonaniu, że to oni rządzą światem. Dlatego był absolutnie pewien, że uda mu się wyjść z tego cało.

Rzeczywiście miał koneksje. Podobnie jak jego ojciec. Co nie zmieniało faktu, że znał zasady i wiedział, że jeśli ktoś wpływowy chce doprowadzić do czyjejś śmierci, zwykle mu się to udaje. Tchórze wybierali łatwiejsze wyjście, samobójstwo.

Quillo nawet o tym nie pomyślał. Coś takiego w ogóle nie przyszło mu do głowy. Człowiek Donato, który stał przy drzwiach, nie słyszał, żeby Quillo naciskał spust. Gdyby naprawdę chciał, dostałby nabój.

Perwersyjny żart polegał na tym, że gdyby sam zdecydował się zabić, żeby uniknąć tortur, musiałby nacisnąć spust kilkakrotnie, bo broń mieściła kilka nabojów. Chciałem się nad nim trochę poznęcać.

Chwilę mu zajęło, zanim się zorientował, jak go nazwałem. Wstał, chybocząc się na nogach, jakby stał na pokładzie statku miotanego przez fale.

– Nazwałeś mnie Quillo. – Spojrzał na mnie spode łba.

– A co, Quillon? Quillo to dla ciebie nie dość oficjalnie? Zawsze byłeś dupkiem, ale że jesteś dupkiem pompatycznym, świat przekonał się dopiero, gdy wystartowałeś w wyborach. Quillon rzeczywiście brzmi bardziej dostojnie niż Quillo. Wy wszyscy, pierdoleni politycy, jesteście tacy sami. Zwłaszcza jeśli pochodzicie z nizin. Udajecie kogoś, kim nie jesteście. – Podniosłem pistolet z podłogi. Położyłem broń na stole i rozsiadłem się wygodnie. – Staram się być szczery. *Sincero*.

Przełknął z trudem i zbliżył się do stołu.

– Odsłoń twarz – zażądał. – Ja cię znam.

– Ach. – Ściągnąłem dolną część kominiarki. – Tak ci się tylko wydawało. Nic więcej. – Zdjąłem kominiarkę.

Jęknął i osunął się na kozetkę. Materac ugiął się pod jego ciężarem, ale po chwili zerwał się na równe nogi.

– Nie! – Potrząsał głową i zaczął wymachiwać rękami. – Nie! Jesteś duchem! Chyba umarłem. Zabili mnie i trafiłem do piekła. Razem z tobą. Boże, wybacz mi. Odpuść mi moje winy. – Osunął się na kolana i zaczął odmawiać różaniec. W pokoju rozszedł się gorzki zapach strachu. Przypominał zapach świeżej krwi.

– Nie bądź taki melodramatyczny. – Nogą przysunąłem do niego krzesło. – Siadaj. Pogadajmy. Najwyższy czas, żebyśmy nadrobili stracony czas.

– Vittorio. – Potrząsał głową, jakby chciał się ocucić. – Jesteś duchem. Czego ode mnie chcesz?

Po włosku nazwałem go głupcem.

– Boisz się duchów, a to mnie powinieneś bać się bardziej. W odróżnieniu od duchów ja krwawię. Można mnie zabić. Ponownie. Wiesz, co to znaczy? Jestem niebezpieczny. Jestem żywym duchem, którego powinieneś się bać.

Wstał na drżących nogach i przysunął krzesło bliżej stołu. Nadal był spięty, ale trochę się rozluźnił i widać było, że będzie chciał ze mną negocjować. Zapewne będzie próbował odwołać się do naszej wspólnej przeszłości. Prawdopodobnie myślał, że chodzi mi o interesy.

– Mogę? – Wyciągnął rękę w moją stronę.

Przytaknąłem, wziął moją rękę i palcem wyczuł na niej puls. Cofnął dłoń.

– Żyjesz.

– Na to wygląda.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wyraźnie mu ulżyło.

– Ty skurwielu! Ty żyjesz. – Zerwał się na równe nogi, ale po chwili usiadł. Był wyraźnie pobudzony. – Czy kiedykolwiek było inaczej? Zawsze byłeś niebezpieczny. Powiedz mi coś, czego nie wiem. Dlaczego tu jestem?

– Wszystko w swoim czasie – odparłem. Przysunął się bliżej mnie, więc najwyraźniej poczuł się swobodniej. Przypomniały mi się dawne czasy, ale tym razem miałem zamiar rozszarpać mu gardło. A może zdobędę się na większą kreatywność? – Najpierw odpowiesz mi na kilka pytań.

– Zaczekaj. – Podniósł rękę do góry. – To ty rozpętałeś wojnę między rodzinami. Zrobiłeś to na rozkaz ojca? Mój stary jest w niezłych opałach. W pierwszej chwili pomyślałem, że to twoja sprawka, ale potem coś mi się przypomniało. Jego kłopoty zaczęły się, gdy Angelina… – Zamilkł w pół zdania.

Rzeczywiście, po tym, co się stało, jego ojciec zwiał z miasta. Quillo nie zdążył w porę zareagować, więc Arturo zaczął go wykorzystywać. Quillo stał się jego niewolnikiem. Musiał spłacić długi ojca i siostry, która puściła się z dwoma braćmi. To, że się puściła, nie miało większego znaczenia. Chodziło o to, że nie dotrzymała tajemnicy, a następnie wystawiła jednego z nas. Oblała egzamin z lojalności. Jeśli chcesz pozostać w grze, musisz upuścić trochę krwi.

– Nie mam ojca – powiedziałem. – Mam tylko wrogów.

– Cholera. – Przeczesał dłonią rzadkie włosy. Kilka blond kosmyków stanęło na sztorc. – A więc rozpętałeś wojnę. To ty zabiłeś głowy rodzin. I ich synów. Pojebało cię do reszty! To, co robisz, to kompletne szaleństwo. Jesteś samobójcą. Po twojej śmierci… A nie, przecież ty żyjesz…

– Po mojej śmierci – powiedziałem.

– Arturo jeszcze bardziej urósł w siłę z Achille u boku. Nie zważa na to, kogo zabija. Bez mrugnięcia okiem odbiera życie niewinnym ludziom.

Zachowuje się jak wilk chory na wściekliznę. Fausti to jedyna rodzina, której Scarpone nie ważyli się tknąć. No ale oni są nietykalni.

Rozłożyłem ręce.

– Urodziłem się z krótką datą ważności. Achille o to zadbał. A Arturo doprowadził sprawę do końca.

– Nie miał wyboru. Nie można wydać rozkazu, a potem zgodzić się na niesubordynację.

– Niesubordynacja. – Odczekałem chwilę, pozwalając, żeby to słowo wybrzmiało. – Czy tak nazywasz uratowanie niewinnej dziewczynki przed śmiercią, na którą nie zasłużyła?

Przez chwilę wyglądał, jakby coś mu zaczęło świtać, ale nie mógł wiedzieć, o kim mówię. Gdyby wiedział, już wtedy oddałby ją Scarpone na pożarcie.

Zerknął na moją bliznę, a następnie spojrzał mi w oczy.

– Dlaczego ją uratowałeś? Córkę Palermo? Nie byłeś mu nic winien. Próbował zabić Arturo na twoich oczach. Jedyny człowiek, który ranił Lupo. Wilka. Palermo pracował dla twojego… dla Arturo wiele lat. Ufał mu jak własnemu dziecku. A Palermo zdradził go w najgorszy możliwy sposób. Zatem pytam dlaczego?

– Miałem swoje powody – powiedziałem.

– Powody. I gdzie cię te twoje powody zaprowadziły? Żyjesz jak duch w swoim własnym mieście. W ukryciu. – Zmierzyliśmy się wzrokiem, z łazienki dobiegał odgłos cieknącego kibla. Mówił dalej. – Teraz rozumiem. Wróciłeś, żeby ich wszystkich zabić. Rozpętałeś wojnę, żeby nikt nie mógł nikomu zaufać. Skłóciłeś wszystkich. Nawet Irlandczycy się w to włączyli. Co oni ci zrobili?

Uśmiechnąłem się.

– Zapanował niezły chaos, co?

– Tak – przytaknął. – Nie da się ukryć.

– Kolej na ciebie. Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Przecież ty wiesz wszystko. Jedyne, czego nie wiesz, to że Achille poszedłby do Arturo i bez jednego mrugnięcia doniósłby na ciebie, że

jednak w obecności Palermo nie zabiłeś ani jego dzieciaka, ani jego żony.

– Ech – powiedziałem z uśmiechem. – O tym też wiedziałem.

– Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego to zrobiłeś. Niektórzy woleliby trafić prosto do piekła, niż narazić się Arturo Scarpone.

– Byłem w piekle i przeżyłem. – Nachyliłem się do niego. – Opowiedz mi o dziewczynce, którą przysposobiłeś pięć lat temu.

Przygryzł wargę i wlepił wzrok w ścianę. Zrobił minę zadumanego polityka. Wyglądał, jakby srał.

Wstałem tak gwałtownie, że przewróciłem krzesło. Nie zdążył zareagować. Złapałem go za gardło i ścisnąłem tak mocno, że oczy zaczęły mu łzawić. Gdy go puściłem, opadł na krzesło, próbując złapać oddech. Podniosłem krzesło i usiadłem.

– Quillo, znasz mnie. Wiesz, że łatwo mnie sprowokować. Jeśli będziesz rżnął głupa, zabiję cię jak psa.

– Pięć lat temu – wydukał. – Pięć lat temu…

Byłem ciekaw, ile dzieci on i jego rodzina przysposobili przez te lata i ile z nich w tym czasie zdążył wykorzystać, podczas gdy jego pieprzona żona udawała, że tego nie widzi. Była straszną snobką i często przychodziła do Macchiavello’s w towarzystwie swoich beznadziejnych psiapsiółek. Wyruchał połowę z nich.

– Mari… – przerwałem mu i pokręciłem głową.

– Chcesz wiedzieć, jak miała na nazwisko? – Oddychał normalnie, ale mówił chrapliwie.

– Tak, powiedz – potwierdziłem.

– Flores.

– Co pamiętasz? – Wysunąłem dolną szczękę. – Ze szczegółami, proszę.

Przytaknął.

– Daj mi chwilę. – Wziął kilka głębszych oddechów i westchnął. – Miała ze trzynaście lat, może mniej.

Nie, ty skurwielu, wyglądała na młodszą, bo była sierotą i od lat nie dostała pełnowartościowego posiłku. Pogrążał się coraz bardziej. Myślał, że była młodsza, a i tak się do niej dobierał.

– Widać było, że wyrośnie na piękną kobietę. Miała dziwny profil, ale jej ciało było nieskazitelne. Miała świetne cycki. A jej tyłek? Była chuda, ale już wtedy nieźle odstawał. – Roześmiał się. – Pomacaliśmy się trochę… – Zobaczył mój wyraz twarzy i od razu zmienił śpiewkę. – Dotykałem jej. No dobra! Ja dotykałem jej. Nie mogłem się oprzeć.

– Walczyła.

– Nie od razu. Zaskoczyłem ją. W końcu wyjęła nóż. A potem zniknęła. Uciekła. Przez chwilę się za nią rozglądali, ale była sierotą. Takich nikt nie szuka.

– Przez ciebie jest przekonana, że za dobroć trzeba słono płacić.

– Bo trzeba. Przyjąłem pod swój dach tę bezdomną dziwkę. – Zmarszczył brwi, ale po chwili się rozpogodził. – To ona! Córka Palermo! To jej szukasz. – Pod pewnymi względami był idiotą, ale czasami potrafił być przenikliwy. Wiedział, że nie pytałbym o nią bez powodu.

– Scarpone chcą ją zabić.

Prychnął z niedowierzaniem.

– Taa… Obiecali kasę za jej głowę. Pierwszej nocy, gdy zniknęła. Kwota cały czas rośnie. Ten, kto dostarczy ją Arturo, dostanie całość kwoty plus odsetki. O rany… – Potrząsnął głową i gwizdnął.

Wiedziałem doskonale. Żałuje, że wcześniej na to nie wpadł. Gdyby od razu ją rozpoznał, mógłby się do niej dobrać bez konsekwencji i przy okazji nieźle na tym zarobić. Ale tak naprawdę pieniądze były sprawą drugorzędną. Liczyła się możliwość wkupienia w łaski Arturo i jego brata, Achille. Jeśli Quillo podlegał Arturo, musiał być także w stałym kontakcie z Achille.

– Nadal nie mogę się przyzwyczaić do tego, że mówisz na Scarpone Scarpone. Ale numer. – Westchnął i wybałuszył oczy. – Przypomniało mi się coś. Jej usta. Ach, te usta. – Rozmarzył się. – Szukasz jej? Mogę ci pomóc. Nie pamiętam, jaki miała kolor włosów i oczu, ale to nie problem. Znam odpowiednich ludzi i na pewno od razu ją rozpoznam. Jeśli martwisz się, że doniosę na ciebie twojej rodzinie, bądź spokojny. Nic nie powiem. Ty i moja siostra…

Zamilkł, na swoje szczęście. Byłem gotów roztrzaskać mu łeb i zupełnie bezinteresownie dostarczyć go Scarpone.

– To tylko propozycja. – Podniósł ręce w obronnym geście.

Z tylnej kieszeni wyjąłem mały rewolwer i położyłem na stole. Quillo zerknął na broń i z trudem odrywając od niej wzrok, spojrzał na mnie. Pochyliłem się do przodu i splotłem dłonie, zakrywając usta. – Nie muszę jej szukać, Quillo, bo wiem, kurwa, gdzie jest.

– Naprawdę?

– Tak, wiem. Jest w domu, śpi w naszym łóżku. Jest moją żoną. Próbowałeś wyruchać moją żonę, Quillo. Dobierałeś się do niej, gdy była dzieckiem. Z miejsca, które powinno było być dla niej bezpiecznym schronieniem, zrobiłeś pieprzone więzienie. Chcesz wiedzieć, dlaczego uratowałem Mariettę Bettinę Palermo? – Wysunąłem dolną szczękę. – Uratowałem ją, bo była niewinna. Ryzykowałem własnym życiem, żeby ocalić jej niewinność. I wiesz, co się później okazało? Przez pewnego chorego skurwiela uwierzyła, że dobroci należy się wystrzegać. Że nigdy nie jest bezinteresowna. To przez ciebie moje poświęcenie poszło na marne. Dzieciństwo powinno być beztroskie, a ty urządziłeś jej piekło. Jak sądzisz, Quillo? Jak mogę się z tym czuć? Co jestem gotów uczynić, żebyś nie zrobił tego komuś innemu? Ani mojej żonie, ani żadnej innej kobiecie.

Milczał dłuższą chwilę. Nie próbował się tłumaczyć ani bronić. Nie miał jak. Niektórzy chcą słuchać wyjaśnień. Ja do nich nie należałem. Nie było argumentu, który mógłby uratować mu życie. Interesy podlegają negocjacjom, ale sprawy osobiste? Nigdy.

Wydął wargi, znów zaczął się pocić.

– Zakochałeś się w niej. Zakochałeś się w córce Palermo.

Uśmiechnąłem się.

Wysunął brodę, najwyraźniej agresją próbował zakamuflować strach. Cóż, ludzie się nie zmieniają, zawsze taki był. Uderzył pięścią w stół. Broń zadrżała od uderzenia.

– Kurwa, ty ją kochasz! Kochasz pomiot tego skurwiela Palermo! Był takim samym draniem jak twój ojciec. A moja siostra? Była dobrą dziewczyną! Nie zasłużyła na to, co ją spotkało! A ty nawet nie kiwnąłeś

palcem w jej obronie! Teraz masz czelność osądzać mnie, a przecież masz kurewsko nieczyste sumienie. Przyglądałeś się bezczynnie, jak rozszarpywali moją siostrę na pół! Chciała, żebyś ją pokochał! Kochała tylko ciebie. Nigdy nawet się nie zająknąłeś, że ją kochasz. Nie walczyłeś o nią! A teraz ożeniłeś się z córką Palermo. Z tą dziwką!

Sięgnąłem przez stół i ponownie złapałem go za gardło, ale tym razem próbował się bronić. Bezskutecznie usiłował ściągnąć moją dłoń ze swojej krtani.

– Quillo, zapuściłeś się. Te sute obiadki otłuściły ci serce. Ciężko oddychasz. – Pokręciłem głową. – Niedobrze. Uważaj, bo będę musiał wyrwać ci język, żeby udrożnić twoje drogi oddechowe.

Gdy przestał się szarpać, puściłem go i opadł na krzesło. Dusił się, więc zaczął walić pięścią w stół, próbując złapać oddech. Wziąłem do ręki rewolwer, przyjrzałem mu się uważnie i odłożyłem z powrotem na miejsce.

– Miłość nie ma tu nic do rzeczy. Tu chodzi o lojalność. O szacunek. Twoja rodzina nie zna znaczenia tego słowa. A zatem… – Podsunąłem mu rewolwer. – Jak będzie? Wybierasz broń czy mnie? – Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

Złapał rewolwer, przystawił go do skroni i zamknął oczy. Pokazał mi środkowy palec i warknął:

– Pierdol się, Księciuniu. Spotkamy się w piekle. – I pociągnął za spust.

Klik.

Po chwili zorientował się, że broń nie jest nabita, i otworzył oczy. Klik. Klik. Klik. Gorączkowo pociągał za spust.

Odrzuciłem głowę do tyłu i roześmiałem się.

– Może jestem już martwy, ale pewne rzeczy się nie zmieniają. Podobnie jak ty, Quillo. Nie potrafisz wyciągać wniosków. – Westchnąłem. – Powinieneś wiedzieć, że nigdy bym ci tego nie ułatwił.

Wstałem z krzesła i uderzyłem go tak mocno, że złamałem mu kość obojczykową. Następnie zatkałem mu nos i usta i odebrałem życie.

13

MARIPOSA

Jak sądzisz, Vera? Powinnyśmy dodać więcej rozmarynu? A może bazylii? A co powiesz na tymianek? – Podsunęłam sobie przyprawę pod nos i mocno zaciągnęłam się jej zapachem. Kichnęłam i zaniosłam się kaszlem. – Odrobina powinna wystarczyć, tymianek jest bardzo aromatyczny. Za to rozmaryn pachnie cudownie. – Tym razem trzymałam słoiczek w bezpiecznej odległości.

Vera II wyglądała identycznie jak Vera I, różniły się tylko doniczkami. Gdy Capo oprowadził mnie po nowym domu, poczułam się bardziej swojsko i zauważyłam, że na moim stoliku nocnym, tuż obok zegarka, stoi Vera II. Podobnie jak oryginalna Vera, miała mało liści. Mogłabym przysiąc, że była roślinką, którą chowałam od lat, ale wiedziałam, że to niemożliwe.

Skąd miałby wziąć moją Verę?

Niemniej były uderzająco podobne. Poza tym zdziwiło mnie, że nie kupił mi bardziej bujnego aloesu.

Tym razem obiecałam sobie, że podtuczę Verę II. Nakarmiłam ją sporą porcją nawozu przeznaczonego dla sukulentów. Co jakiś czas przestawiałam ją z miejsca na miejsce, żeby zapewnić jej odpowiednią porcję światła i odpoczynku.

Podczas jednej z wizyt u lekarza, do którego zobowiązałam się chodzić w ramach umowy przedmałżeńskiej, siedziałam w poczekalni i przeglądałam prasę. W jednym z artykułów przeczytałam, że rozmowa z roślinami wspomaga ich wzrost. Poza tym dowiedziałam się, że rośliny reagują lepiej na damski głos. Od tamtej pory, ilekroć tylko mogłam, gawędziłam z Verą II.

Dziś byłam w domu sama i szykowałam kolację, więc zagadałam Verę na śmierć. Mogłam zadzwonić do Keely, ale ostatecznie zrezygnowałam.

Od dwóch tygodni byłam mężatką. Zdarzało mi się rozmawiać z Keely, choć nasze rozmowy były krótkie. Wiedziałam, że nie przestałam być dla niej ważna, ale ona nie mogła pogodzić się z tym, że Harrison naprawdę mnie kochał, a dla mnie było to tylko platoniczne uczucie. Obie czułyśmy się niezręcznie. Poza tym wcześniej rozmawiałyśmy o wszystkim, zwłaszcza o sposobach na przetrwanie, a teraz wszystko zostało wywrócone do góry nogami. Problemy nędzarzy zamieniłyśmy na problemy bogaczy.

Wciąż usiłowałam się przyzwyczaić do mojej nowej sytuacji. Nagle i nieoczekiwanie ziściły się wszystkie moje marzenia. Jednak cały czas towarzyszył mi niepokój. Podświadomie czekałam, aż znikną moje wygodne buty, a w ich miejsce pojawią się te za ciasne, od których krwawiły mi stopy.

Spojrzałam na nie. Byłam bosa. Uwielbiałam chodzić na bosaka po podłodze dawnej straży pożarnej. Była chłodna i czysta. W niektórych pokojach dywany były tak miękkie, że chciało mi się płakać ze wzruszenia.

Czułam się tu jak w domu. Nawet zapach tego miejsca był domowy. Dlatego niechętnie wychodziłam, chyba że musiałam się spotkać z wedding planerką, pójść na zakupy albo do krawca na przymiarkę sukni ślubnej. Dostałam od męża czarną kartę kredytową, uparł się, że mam z niej korzystać. Była podpisana moim nowym nazwiskiem i nie miałam na niej limitu.

Moja nowa karta kredytowa nie mogła się jednak równać z moim nowym paszportem i dowodem. Na samą myśl o nich łzy napływały mi do oczu.

– Co sądzisz, Vero Dwa? Odpowiada ci ta konsystencja? – Podniosłam pokrywkę, pokazując Verze sos do makaronu. W garnku obok gotowały się płaty ciasta. Chciałam przyrządzić lasagne al forno. Gdy Capo przyprowadził mnie do domu po raz pierwszy, w lodówce czekała na nas cała brytfanna lasagne. Nigdy dotąd nie jadłam nic równie pysznego, więc przewertowałam kilka książek kucharskich, aż trafiłam na dobry przepis.

Dotąd nie udało mi się przyrządzić nic jadalnego, ale miałam mnóstwo wolnego czasu, więc postanowiłam próbować do skutku. Teraz odstawiłam

miskę i zdecydowałam, że pójdę po składniki na włoskie ciasto z kremem. Czułam się trochę jak himalaista, który próbuje zdobyć dwa szczyty jednocześnie, ale trudno, raz kozie śmierć. Niezależnie od wyniku postanowiłam dać z siebie wszystko.

– Ja pierdolę – westchnęłam. Ilekroć przestępowałam próg spiżarni, czułam się porażona jej wielkością. Była większa od mieszkania, które wynajmowałam od Zboczonego Merva Umarlaka (Kee nadała mu nowe przezwisko). I nie było w niej szczurów.

Gdy gmerałam po półkach w poszukiwaniu składników do ciasta, w kuchni rozległ się odgłos trzaśnięcia i w pierwszej chwili pomyślałam, że ktoś do mnie strzela. Byłam śmiertelnie przerażona. Chwilę później poczułam zapach spalenizny i usłyszałam wycie alarmu.

– O cholera! Mój makaron!

Przyciskając do piersi torbę z cukrem, puściłam się biegiem do kuchni. Biegłam tak szybko, że poślizgnęłam się na wypolerowanym parkiecie. Capo zdążył mnie ubiec. Zdjął garnek z gazu i podstawił pod strumień zimnej wody. Rozgrzany teflon trzeszczał z wściekłości, a w powietrzu unosił się swąd spalenizny.

Capo wskazał na kuchenkę.

– Włącz nawiew.

Odstawiłam cukier na blat i poszłam zrobić to, o co prosił. Po kilku minutach dym rozproszył się trochę, a promienie słońca podświetlały ostatnie siwe smugi. Nadal strasznie śmierdziało. Swąd przywodził mi na myśl spalony plastik i coś, czego nie umiałam nazwać, coś okropnie obleśnego.

Wstawił przypalony garnek do zlewu i spojrzał na mnie.

– Może powinienem był zostawić to miejsce w niezmienionym stanie. Jako straż pożarną.

Nie byłam w stanie wydusić słowa. Miał nagi tors i ręcznik owinięty wokół wąskich bioder. Jego skóra była jędrna i gładka i lśniła od wilgoci. Kruczoczarne włosy zaczesał do tyłu, a krople wody spływały po jego ramionach i klatce piersiowej.

Jego oczy były elektryzujące. Miały przepiękny błękitny kolor, niczym niezbadana oceaniczna głębina. W powietrzu nadal unosił się swąd spalenizny, ale ja wyraźnie czułam zapach Capo. Wyglądał tak, jakby właśnie wrócił z plaży, tylko dziesięć razy lepiej.

Pierwszy raz widziałam go prawie nagiego. Miał szerokie ramiona. Jego klatka piersiowa i brzuch były tak umięśnione, że wyglądały, jak wyrzeźbione z marmuru. Miał siedmiopak zamiast sześciopaku. Ręcznik odsłaniał dwa wgłębienia poniżej linii bioder, które układały się w literę „V”. Zza materiału wystawała gęsta kępka czarnych włosów. Jego muskularne ramiona wyglądały jak z jakiegoś magazynu fitness. Miał długie, umięśnione nogi.

W trakcie naszej krótkiej znajomości odkryłam, że mojego męża nic nie krępowało. Teraz też nie stracił rezonu. Bezwstydnie wlepiłam w niego wzrok, a on spojrzał na mnie. Nie próbował zająć mojej uwagi czymś innym ani nie udawał, że nie widzi mojego podniecenia. Nie wymachiwał spalonym garnkiem, nie krzyczał: „A co z obiadem?”. Spodziewałam się, że powie: „Nie ubrałaś się na czerwono i nie przyszłaś do mnie do łóżka, więc rozumiem, co to oznacza. Nie jesteś jeszcze gotowa się ze mną pieprzyć”.

Zwykle w takich sytuacjach kończyło się na niewinnych igraszkach albo zajmowaliśmy się czymś innym. Oglądaliśmy filmy, słuchaliśmy muzyki albo rozmawialiśmy o podróżach i dalszym remoncie domu. Chciał, żebym zastanowiła się, czy będziemy coś zmieniać w wystroju wnętrz. Problem w tym, że dla mnie wszystko było idealne. Podobnie jak ubrania, buty i biżuteria, które wybrał z myślą o mnie. Czułam się, jakbym śniła.

On też robił wrażenie idealnego, ale może to były tylko pozory. Nie zdążyłam go jeszcze dobrze poznać.

W końcu postanowiłam zaspokoić swoją ciekawość.

– Kiedy wróciłeś do domu?

– Gdy studiowałaś przepis na lasagne al forno. – Zerknął na roślinę, która stała na blacie kuchennym, i spojrzał na mnie. – Vera nie sprawia wrażenia zbyt rozmownej.

– Nie jest rozmowna – odparłam, opierając się o blat.

Co i raz zerkałam na jego ręcznik. Nie miał wzwodu, ale pod ręcznikiem rysowało się potężne wybrzuszenie. Nie potrafiłam ukryć mojej ciekawości. Intrygowało mnie, jak wyglądał jego członek. I jak wyglądał nago. Głęboko odetchnęłam.

– Vera potrafi słuchać, ale nie jest gadułą.

– Potrzebujesz się wygadać?

– A co? Chcesz mnie wysłuchać?

– A od czego niby są mężowie?

Wybuchnęłam śmiechem.

– Nie znam się na prowadzeniu domu, ale jedno wiem na pewno. Mężczyźni nie potrafią słuchać. Mają wybiórczy słuch.

– Wybiórczy słuch – powtórzył po mnie, a w jego głosie słychać było powątpiewanie. – Skąd to wiesz?

Uśmiechnęłam się.

– Od dziewczyn.

Rosaria, żona Rocco, zaprosiła mnie na dziewczyński wieczór z koleżankami i kobietami z rodziny Faustich. Rocco miał trzech braci: Brando, Dario i Romeo. Brando był najstarszy i najbardziej wycofany. Gdy zapytałam go, czy spodobała mu się koszulka baseballowa, którą dostał od swojej żony Scarlett, ledwo przytaknął.

Raz zaprosiłam Keely, żeby poszła ze mną, ale wydawała się zazdrosna o moją znajomość ze Scarlett. Więcej jej nie zaprosiłam, bo chciałam uniknąć niezręczności.

Gdy Scarlett zobaczyła mnie po raz pierwszy, powiedziała:

– Mówiłam, że jeszcze się spotkamy!

Otoczyła mnie drobnymi ramionami i przytuliła. Była znaną baletnicą i w porównaniu do swojego męża była doprawdy tycia. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale sprawiała, że stawałam się bardziej beztroska. Dzięki niej nie czułam się obco w ich towarzystwie. Scarlett wraz z pozostałymi żonami traktowały mnie jak rodzinę.

Za każdym razem spotykałyśmy się w domu jednej z nas. W następny weekend spotkanie miało się odbyć u nas, w reprezentacyjnej części domu,

co Capo przyjął bez zastrzeżeń. Po ślubie w ratuszu zwiększył naszą ochronę. Przydzielił mi trzech dodatkowych ochroniarzy, co w sumie dawało czterech, a mimo to, gdy wychodziliśmy do miasta, sprawiał wrażenie niespokojnego.

Lubiłam spotykać się z dziewczynami. Rozmawiałyśmy o książkach, które przeczytałyśmy, niektóre wyszywały lub robiły na drutach i zawsze gadałyśmy o naszych mężczyznach.

O naszych mężczyznach. O moim mężczyźnie. Capo należał do mnie. Prawdziwość tych słów odbierała mi dech w piersiach. Byłam czyjąś żoną. Jego żoną. Dotknęłam pierścionka, który mi o tym przypominał. *To nie jest sen.*

Zbliżył się do mnie i przycisnął mnie do blatu. Jego obrączka zabrzęczała, gdy oparł dłonie o marmurowy kontuar. Pociągnęłam go za wilgotny kosmyk włosów. Po jego klatce piersiowej spłynęło kilka kropel wody.

– O czym to rozmawialiśmy? – zapytał.

Uśmiechnęłam się.

– Widzisz? Słuch wybiórczy. Rozmawialiśmy o wieczorze z dziewczynami… – Roześmiałam się. – Wkręcasz mnie!

– Motylku, orientuj się. – Pocałował mnie w czoło.

Motylku. Nigdy wcześniej tak do mnie nie mówił. Zawsze mówił Mariposa.

– Tak – powiedziałam cicho. – Jeśli chcę nadążyć za samotnym wilkiem, muszę się trochę wysilić.

Ustami zaczął delikatnie muskać moje czoło i nos. Pocałował mnie w grzbiet nosa, w nozdrza i sam koniuszek, a następnie złożył pocałunek na moich ustach. Jak zawsze byłam spragniona jego dotyku. Wyciągnęłam do niego ręce, chcąc go dotknąć i znaleźć się bliżej niego, i paznokciami przejechałam lekko wzdłuż linii jego żeber.

W reakcji na mój dotyk otworzył oczy i spojrzał na mnie. Gdy mocniej przesunęłam paznokciami po jego plecach, jęknął i zamknął oczy. Jego język wił się coraz szybciej, splatając z moim, a świat wokół przestał istnieć.

Podniósł mi ręce i ściągnął ze mnie T-shirt. Wybrałam ten, bo materiał kojarzył mi się z kolorem jego oczu. Na moment oderwaliśmy się od siebie, ale to nie wystarczyło, żebym oprzytomniała. Zaczął dotykać moich piersi, drażniąc sutki kciukami. Jęknęłam cicho. Wbiłam mu paznokcie w skórę. Chciałam więcej.

Gwałtownie oderwał swoje usta od moich i pochylił głowę, a kropelki wilgoci opadające z jego włosów chłodziły moją rozpaloną skórę. Syknęłam, gdy jego usta zastąpiły jego kciuk. Zaczął mocno ssać moje sutki, aż poczułam skurcz w podbrzuszu. Czułam pulsowanie pomiędzy nogami. Miałam mokrą bieliznę.

– Proszę – powiedziałam. Straciłam resztki wstydu. – Chcę jeszcze.

– Mariposa, wymów moje imię. To, które mi nadałaś.

– *Il mio capo*.

Jednym ruchem rozpiął moje dżinsowe szorty. Zsunęły się z moich bioder. Kopnęłam je. To samo zrobiłam z bielizną.

Capo uniósł mnie jak szmacianą lalkę i posadził na chłodnym marmurowym blacie.

– Oprzyj się. – Wskazał na moje ręce.

Wstrzymując oddech, oparłam się dłońmi o blat. Wpił mi się w usta, a nasze języki stoczyły spektakularną bitwę. Wydałam z siebie gardłowy jęk, który wdarł się do jego ust. Oblizałam wargi i odchyliłam głowę do tyłu, zamykając oczy. Zaczął mnie lizać od szyi do pępka, przesuwając język w górę i w dół.

Czułam, że za chwilę eksploduję i rozpadnę się na milion kawałków. Nie potrafiłam nazwać tego, co czuję między nogami. To było coś więcej niż głód. Moje uda drżały w oczekiwaniu. Jego zarost zdrapał moją skórę, a język łagodził zadrapania. Mokre włosy zostawiały za sobą szlak wilgoci. Rozszerzył moje uda, a gdy poczułam jego usta w sobie, musiałam chwycić się mocniej blatu, żeby nie spaść.

Ja pierdolę. Ja pierdolę. Ja pierdolę.

Nigdy nie było mi tak dobrze jak teraz.

Przyjemność skoncentrowała się w miejscu, w którym znajdowały się jego język i usta, ale czułam prąd przeszywający każdy milimetr mojego

ciała.

Bezwstydnie napierałam na jego usta, szepcząc jego imię.

– Capo. To jest takie… – jęknęłam, gdy pociągnął mnie za sutek. – Tak, tak, rób tak dalej, *il mio capo*.

Bezustannie zadawał kłam moim słowom. Byłam straumatyzowana tym, co robił mi Zamboni, ale ilekroć dotykał mnie Capo, poddawałam mu się bez lęku.

Oddychałam szybko, za szybko. Jęczałam i wydawałam z siebie dziwne odgłosy. Gdyby przestał, zabiłabym go chyba.

Jego zręczne usta doprowadziły mnie do ekstazy. Straciłam kontrolę. Ugryzł mnie mocno, tam. Ręce ugięły się pode mną, ale Capo złapał mnie, zanim zdążyłam spaść.

Zacisnęłam mocno powieki.

– Kręci mi się w głowie – powiedziałam. – Czy to normalne?

Roześmiał się cicho i pocałował mnie w czubek głowy.

– Tak. Jeśli było ci dobrze.

– Tak dobrze – wyszeptałam. – Tak bardzo dobrze.

Zastygliśmy. Nigdy wcześniej nie posunęliśmy się tak daleko. Nie byłam ubrana na czerwono, ale wiedziałam, że zbliżyłam się do ognia. Pragnęłam go najbardziej na świecie, ale coś mnie powstrzymywało przed całkowitym oddaniem.

Powodem był Zamboni, ale także coś jeszcze. Olśniło mnie dopiero, gdy razem zamieszkaliśmy i zaczęłam mój flirt z pożądaniem. Chciałam zbudować bliskość z Capo, zanim zdecyduję się oddać mu swoje ciało. Jasno dał mi do zrozumienia, że nie chce się zakochać, ale to nie znaczy, że nie mogliśmy zbliżyć się do siebie w inny sposób.

Mogliśmy pogłębić naszą relację, intymność i wzajemne zaufanie.

Może mogliśmy zostać przyjaciółmi?

Może byłam głupia, ale potrzebowałam czegoś więcej, więcej ciepła, żeby po fakcie moja dusza nie czuła się taka samotna. Gdybym mu o tym powiedziała, zabrzmiałoby to absurdalnie, ale i tak wiedziałam, że to

prawda. Niekiedy bardzo trudno było mi znosić jego chłód. Przypominał ognioodporną zaporę.

Zanim Jocelyn umarła, próbowała w te miesiące, które jej zostały, upchnąć lata. Pewnej nocy, gdy była bardziej przytomna niż zwykle, powiedziała: „Nie istnieje większa samotność niż ta, gdy budzisz się u boku kogoś, komu ofiarowałaś wszystko i zdajesz sobie sprawę, że od niego dostałaś o wiele mniej. To bolesna lekcja, ale potrzebna”.

Czy byłabym w stanie z nim zostać, gdyby tak się ułożyło między nami?

Mogłam żyć bez miłości, takiej z książek i filmów, takiej, dla której ludzie poświęcają życie, ale czy mogłam z nim być bez żadnej wzajemności?

Nie da się przewidzieć przyszłości, ale wiedziałam jedno. Byłam wobec niego lojalna, aż do bólu. Zadbał już o to, gdy miałam pięć lat.

W najgorszym razie będę dzielić z nim życie, a seks będzie tylko przykrą powinnością.

Spojrzał mi w oczy, a następnie nachylił się i pocałował mnie w usta.

– Ubieraj się.

Odsunął się o krok, a moim oczom ukazał się pokaźnych rozmiarów wzwód, który pod ręcznikiem tworzył coś na kształt dużego namiotu. Był ogromny. Przywodził na myśl węża. Masywnego pytona. Już wcześniej miałam pewne podejrzenia co do jego wielkości, ale zupełnie czym innym było zobaczyć go z bliska. Przestraszyłam się.

Jakim cudem to coś miało się we mnie zmieścić?

– Zmieści się – powiedział, jakby czytał w moich myślach. – Twoje ciało zostało stworzone specjalnie dla mnie.

Spojrzałam mu w oczy i przytaknęłam. Paznokciami zabębniłam o blat. Mówił na to po włosku *agitarsi*. Twierdził, że w kółko się wiercę. Przestałam, bo wiedziałam, że tego nie lubi. Powiedział, że nie mam powodu do niepokoju. Żadnego. Tak jakby nie zauważył, że właśnie zrobiłam coś po raz pierwszy w życiu. Na moim miejscu też by się wiercił.

– Dokąd idziemy? – Byłam zachrypnięta, jakbym wcześniej krzyczała. A także kompletnie wyczerpana, a zarazem wspaniale odprężona. Jakaś pierwotna część mnie odczuwała dziwną satysfakcję. Byłam przez niego

naznaczona. Przeniknął przez moją skórę i dorwał się do moich kości i mięśni.

– Na kolację do Macchiavello’s. – Omiótł mnie spojrzeniem. Siedziałam naga na marmurowym blacie. Miałam na sobie tylko koronkowy stanik. – Na pewno nic nie będzie równie smaczne jak ty. – Wysunął dolną szczękę. – *Vieni*. – Podał mi rękę. – Idziemy się ubrać.

Gdy przekroczyliśmy próg sypialni małżeńskiej, Capo westchnął ciężko.

– Powiedz mi, czym się tak martwisz.

A nie wystarczy, że właśnie zobaczyłam ogromnego pytona? Chciałam tak odpowiedzieć, ale ugryzłam się w język. Czasami był tak zimny i zdystansowany, że postanowiłam poruszyć inną kwestię.

– Ten koleś… Nie wiem, czym on się zajmuje. Ten, który zawsze wybiega z restauracji przywitać się z tobą. Był dla mnie trochę niemiły. – Po raz pierwszy szliśmy na kolację do Macchiavello’s. Trudno, żebym nie pamiętała Bruno, tego, buca który groził, że mnie rozgniecie jak robaka. Przypomniał mi Quillona Zamboniego. Poczułam ten sam palący wstyd.

Capo przystanął i prawie na niego wpadłam. Puścił moją dłoń i odwrócił się w moją stronę. Przez moment chciałam się cofnąć, ale postanowiłam, że nie ruszę się z miejsca. Często mnie onieśmielał, ale dziewczyny stwierdziły, że to typowe. Wszyscy mężczyźni z tej rodziny byli podobni. „Musisz nauczyć się stawiać na swoim. Jesteś równie silna, co on”, pouczyła mnie Scarlett.

Przypomniałam sobie jej słowa, ale nie mogłam wyrzucić z głowy obrazu sarny uciekającej przed wilkiem. Zerknęłam na jego tatuaż, a następnie spojrzałam mu w oczy. Byłam mu wdzięczna, że nazwał mnie Motylkiem, a nie jakimś gatunkiem zwierzyny łownej.

– Co masz na myśli? – Jego ton był surowy. – Co to znaczy „trochę niemiły”? Albo był miły, albo był niemiły, Mariposa. Zdecyduj się. Mów konkretnie, o co ci chodzi.

Super. Wykorzystał przeciwko mnie to, co powiedziałam tamtej nocy u Harrisona.

Wyprostowałam ręce i zaczęłam wyłamywać sobie palce.

– To nie takie proste. Może zrobiłam coś, czego nie powinnam była zrobić. Nie wiem, na czym polega jego praca. Jeśli zatrudniłeś go po to, żeby bezdomni nie straszyli gości, to nie był niemiły, tylko wykonywał swoją pracę. Jeśli jednak jego praca nie polega na zawstydzaniu biednych ludzi, bo nie stać ich na kupno steku w twojej ekskluzywnej restauracji, to z całą pewnością był dla mnie niemiły. Więcej niż niemiły. Zachował się jak dupek.

Spojrzał na mnie badawczo.

– Dlaczego przyszłaś do Macchiavello’s? Do naszej restauracji. Coś ci się przypomniało?

Słowo „naszej” wymówił z naciskiem. Chciał, żebym przyjęła do wiadomości, że restauracja jest naszą wspólną własnością. To nie było łatwe, tym bardziej że przez większość czasu i tak czułam się, jakbym śniła.

Pokręciłam głową.

– Nie. Często mijałam ją w drodze do pracy. Przez szybę widziałam ludzi, którzy jedli. I zawsze cudownie pachniało jedzeniem. Byłam głodna. – Wzruszyłam ramionami. – Nikt nigdy nie wychodził z resztkami, więc uznałam, że pewnie stek kosztuje tyle, co nerka.

Wykonał ten sam pogardliwy gest, którym uraczyłam go pod restauracją, gdy Bruno zaszedł mi za skórę.

– Teraz to jasne. Dlaczego wtedy tak się zachowałaś.

– Gdy minął wstyd, wkurzyłam się. Twój ziomek mnie wkurzył.

– A jednak wróciłaś.

– Sama nie wiem dlaczego. Zaciekawiłeś mnie. – Przygryzłam wargę, a on spojrzał na mnie karcąco. – Rozpoznałeś mnie?

– Wyglądałaś znajomo, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, skąd cię znam. Wydoroślałaś.

– Powiedzmy. – Uśmiechnęłam się. – Nie było mi łatwo wydorośleć.

– Mariposa. – Przytrzymał moją brodę i delikatnie pocałował mnie w usta. Wziął mnie za rękę i zaprowadził do ogromnej garderoby.

Po chwili znalazł to, czego szukał w swojej szafie. Zwykle potrzebowałam więcej czasu niż on, żeby coś wybrać, mimo że moje ubrania były ułożone zgodnie z ich przeznaczeniem i z porami roku.

Gdy przetrząsałam przepastną szafę w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego, zajrzał do garderoby i poprosił, żebym przyszła do jego gabinetu, jak będę gotowa. Był ubrany w czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Przypominał gangstera z lat dwudziestych. Wszystkie jego garnitury były czarne albo granatowe. Błękit jego oczu kontrastował z czernią jego garnituru i od razu pomyślałam, że wygląda jak swój własny tatuaż.

Takiemu to dobrze. Dziesięć minut i po sprawie.

Westchnęłam, przesuwając kolejne wieszaki, aż natrafiłam na czarną, szyfonową sukienkę wyszywaną koralikami. Była obszyta cieniowanymi, srebrzystymi frędzlami, które migotały niczym wodospad w świetle księżyca. Przystawiłam sukienkę do ciała, miała długość ponad kolano. Była seksowna i szykowna.

Chwilę zajęło mi zrobienie fryzury i makijażu. W salonie Sawyera nauczyłam się, jak się malować i samodzielnie zrobić sobie piękną fryzurę. Oczy podkreśliłam delikatnie, za to usta pomalowałam jaskrawą czerwoną szminką. Ułożyłam włosy w miękkie fale. Posmarowałam się ulubionym balsamem Capo i spryskałam perfumami. Na koniec włożyłam sukienkę.

Dobrałam do niej trzy bransoletki z białego złota wysadzane diamentami i szafirami i takie same kolczyki.

– Ja pierdolę – westchnęłam, zerkając na biżuterię. Miałam nadzieję, że kamienie nie były prawdziwe. Już i tak martwiłam się o swój pierścionek. Może, jak mnie napadną, odetną mi nadgarstek i po sprawie. I uszy, jeśli zauważą kolczyki.

Otrząsnęłam się z chwilowego szoku, że tak w istocie wyglądało teraz moje życie, i sięgnęłam po parę czarnych szpilek.

Gotowe.

– Mariposa… – Capo przystanął, gdy zobaczył mnie w holu garderoby. Pierwszy raz od naszego ślubu ubrałam się tak odświętnie. Teraz patrzył na

mnie podobnie jak wtedy, gdy rozchyliłam szlafrok i po raz pierwszy pokazałam mu się nago.

– Co sądzisz? – Obróciłam się. – Może być?

Chciałam, żeby był ze mnie dumny. Chciałam mu się podobać, nie, to mało, chciałam wyglądać dla niego zjawiskowo. Nigdy nie sądziłam, że użyję w jednym zdaniu słów „ja” i „zjawiskowa”. On był tak przystojny, że czasami jego uroda zapierała mi dech w piersiach. I wybrał właśnie mnie. Dziewczynę z dziwnym nochalem.

– *Sbalorditiva*. – Wysunął dolną szczękę. – Jestem dumny, że jesteś moja, Mariposa.

Sbalorditiva. Capo nie musiał tłumaczyć, znałam już znaczenie tego słowa. *Zjawiskowa*. Czasami nie miałam pojęcia, co do mnie mówi, ale zdarzało się, że rozumiałam wszystko. Czułam się dziwnie, rozumiejąc znaczenie słów w języku, którego nie znałam.

W tym momencie dotarła do mnie druga część jego komplementu. „Jestem dumny, że jesteś moja, Mariposa”.

Zanim zdążyłam powiedzieć coś głupiego, wziął mnie za rękę i złożył delikatny pocałunek na moich palcach. – Nie zasłużyłem na twoje towarzystwo, ale i tak jesteś moja. Do końca życia.

Wziął mnie za rękę i wyszliśmy z domu.

Capo zatrzymał się pod Macchiavello’s i płynnym ruchem zaparkował na miejscu zarezerwowanym specjalnie dla niego. Dziś jeździł mercedesem AMG Vision Gran Turismo. Samochód był srebrny i błyszczący i wyglądał, jakby należał do Batmana. Pomyślałam, że wybrał go nieprzypadkowo, bo w końcu mieszkaliśmy w domu, który łudząco przypominał pieczarę Batmana.

Gdy się zatrzymaliśmy, kilka osób przystanęło i zaczęło się nam przyglądać. Zawsze tak było, ilekroć parkował jednym ze swoich samochodów. A może chodziło o niego. Być może to on wzbudzał powszechne zainteresowanie. Jego bogata kolekcja pojazdów zwracała uwagę i nie do końca pasowała do jego pustelniczego trybu życia.

Nauczyłam się już jednak nie wyciągać pochopnych wniosków na jego temat.

Capo wysiadł z nonszalancją, ignorując mężczyzn, którzy gapili się na samochód, i ruszył otworzyć mi drzwi. Zapiął guzik marynarki i złapał za klamkę.

Zawahałam się, wyglądając Bruno. Nie zakładałam, że będzie dla mnie niemiły, w końcu byłam żoną Capo, ale miałam nadzieję, że nie napluje mi do steku.

– Wysiadka – powiedział Capo i podał mi rękę.

Wzięłam go za rękę, a moje diamenty i szafiry zamigotały w świetle ulicznych latarni. Moje obcasy wybijały na chodniku melodyjny rytm. Tym razem, zamiast smrodu ze śmietnika, powietrze wypełniał zapach jego wody kolońskiej wymieszanej z moimi perfumami. Gdy dotarliśmy do wejścia, poczułam intensywny zapach steków. Zaburczało mi w brzuchu, nie mogłam się doczekać wyżerki.

– Jesteś pewien, że nie będę musiała sprzedać swojej nerki? – zażartowałam.

Wziął mnie za rękę i pocałował moją dłoń.

– Dość już poświęciłaś. Wycofałem cię z rynku, Mariposa. Należysz do mnie. Nikt nie ma prawa cię tknąć, a już zwłaszcza nie ma prawa tknąć czegoś równie cennego jak twoja nerka.

W drzwiach czekał mężczyzna w nienagannie skrojonym garniturze.

– Panie Mac. – Ukłonił się na powitanie. – Jesteśmy zaszczyceni, że możemy gościć pana dziś wieczór.

– Sylvester. – Capo skinął głową i przyciągnął mnie do siebie. Puścił moją dłoń i oparł swoją na dolnej części moich pleców. Jego dotyk był ciepły, kojący i równie zdecydowany co pocałunek, który chwilę wcześniej złożył na mojej dłoni. – Moja żona – powiedział. – Mariposa Macchiavello.

Mężczyzna przywitał się ze mną lekkim uściskiem ręki. Powinszował mi, tytułując mnie panią Macchiavello, i zaprowadził nas do środka.

– Sylvester jest menadżerem nocnej zmiany – powiedział Capo.

Gdy szliśmy, Capo i Sylvester zamienili kilka słów po włosku i niektóre z nich udało mi się zrozumieć. Rozmawiali o restauracji i o interesach. Obsługa przypatrywała mi się z wyraźnym niepokojem. Goście natomiast spoglądali na mnie z nieukrywaną ciekawością.

Kim jest ta przeciętna dziewczyna u boku tego imponującego mężczyzny?

Postanowiłam, że nie będę przywiązywać do tego wagi, tylko skupię się na celebrowaniu chwili. Przypomniałam sobie, jak długo marzyłam o tych stekach, i zdecydowałam, że niczego sobie nie odmówię.

Zgodnie z przewidywaniami wnętrze restauracji było eleganckie, a zarazem panowała w nim romantyczna atmosfera. Niektóre ze ścian były celowo nieotynkowane, a pozostałe pomalowano na głęboki czerwony kolor. Stoły i krzesła były czarne, a w mosiężnych żyrandolach płonęły woskowe świece. Na każdym stoliku stał kryształowy wazon z pojedynczą białą różą.

Po drugiej stronie w oddzielnej części sali znajdował się bar. Z daleka udało mi się dostrzec półki zastawione setkami lśniących butelek o oryginalnych kształtach. Przypominał lokale z czasów prohibicji, o których opowiadał mi dziadek. W części barowej wszystkie ściany były z surowej cegły, zupełnie jak w sali restauracyjnej. Posadzkę zdobił czarno-biały marmur. Wokół niewielkiego parkietu stało kilka stolików.

Przy barze, na skórzanych krzesłach, siedzieli elegancko ubrani mężczyźni i elegancko ubrane kobiety. Niektórzy prowadzili ożywione rozmowy, słychać było śmiech, przebijający się przez dźwięki muzyki. W kącie stał fortepian, przy którym pianista, przygrywający sobie do wtóru, coś nucił.

Pachniało tak, że pociekła mi ślinka. W powietrzu unosił się aromat steków, ciężkich sosów i wina. Wyczułam też nutę deserową. Pociągnęłam nosem. Czekolada. Przypomniał mi się zapach klubu.

Sylvester zatrzymał się przy drzwiach, które wcale nie wyglądały jak drzwi. W ceglanej ścianie na wysokości klamki tkwiło złote kółko. Pociągnął za nie, a naszym oczom ukazało się ogromne pomieszczenie. Pośrodku stał stół, przy którym bez problemu mogło usiąść ze czterdzieści osób.

W sali unosił się słodki zapach. Przywodził na myśl czekoladę, ale był nieco cięższy. Światło świec sprawiało, że atmosfera była intymna, zmysłowa i ekskluzywna. Ciepłe światło padło na diamenty na moim nadgarstku i szyfonowy materiał sukienki. Zalśnił i delikatnie zamigotał w blasku świec.

Wnętrze nawiązywało stylem do wystroju głównej sali, ale było bardziej przytulne. Z ukrytego głośnika sączyła się muzyka. Mój wzrok powędrował na przeciwległy koniec sali. Podeszłam bliżej i zobaczyłam przeszklony otwór w ścianie, przypominający okno. Gdy wyjrzałam, moim oczom ukazała się główna część restauracyjna.

– To lustro weneckie. Możemy przez nie wyglądać, ale dla ludzi po drugiej stronie jesteśmy niewidoczni – powiedział Capo, stając obok mnie i spoglądając na swoje królestwo.

– Z drugiej strony wygląda jak zwykłe lustro, prawda? – Minęliśmy je, gdy weszliśmy do restauracji, ale nie zwróciłam na nie szczególnej uwagi. Miało wyszukaną ramę z brązu, ale poza tym nie wyróżniało się niczym szczególnym. To był fortel. Capo znalazł sposób, żeby widzieć, pozostając niezauważonym.

– Jesteś spostrzegawcza – pochwalił mnie.

– Nieszczególnie. Gdybym nie weszła do tej sali, poprawiłabym sobie przed nim makijaż.

Roześmiał się cicho. Poczułam jego oddech na karku i natychmiast dostałam gęsiej skórki. Przylgnął do moich pleców, a ja poczułam nieodpartą chęć przytulenia się do niego.

– Do czego służy ta sala?

– Do prywatnych imprez.

– Prywatnych – powtórzyłam. – Chodzi ci o imprezy rodziny Faustich?

– Tak. – Odsunął dla mnie krzesło, sam usiadł obok u szczytu stołu. Najwyraźniej to było jego stałe miejsce. Usiadł i spojrzał na mnie.

– Co powiesz, Mariposa? Podoba ci się tutaj?

– Jest pięknie – powiedziałam. – Ale dla pewności muszę spróbować steku.

Uśmiechnął się, jego oczy w tym świetle wydawały się jeszcze bardziej błękitne. Były wręcz szafirowe, jak kamienie, które zdobiły moją bransoletkę.

– Ty to masz dobrze – westchnęłam teatralnie. – Jesteś właścicielem jednej z najlepszych restauracji w całym Nowym Jorku.

– Podobnie jak ty – powiedział. – Lubię tutejsze jedzenie, ale moją ulubioną knajpą jest pizzeria Mamma. Tylko nie mów moim ciotkom, jak przyjedziemy na Sycylię. Zamordowałyby mnie od razu. Pożyczyłem od nich część przepisów na klasyczne dania kuchni włoskiej. Wszyscy pracownicy kuchni muszą podpisywać klauzulę poufności. Nie mogą ich nikomu wyjawić, to taka nasza kuchenna omerta.

– Mamma? Naprawdę? Wolisz ją od Macchiavello’s? – Byłam w Mamma. Można było w niej kupić ogromny kawałek pizzy za trzy dolary, a cały obiad, składający się z pizzy, sałatki i napoju, za pięć dolców. Mamma była mekką biedaków.

– Byłaś?

– Tak. Byłam z Keely i Harri… – Zamilkłam, gdy zobaczyłam wyraz jego twarzy. Zmrużył oczy i zacisnął usta. – Tak, byłam.

– Wybierzemy się tam razem. Pojedziemy na motocyklu. Dziś zjemy tutaj, a potem porównamy z Mammą.

Motocykl. Miał ich kilka, ale chciał mnie przewieźć tylko na jednym z nich. Stał w garażu, był lśniący i wyglądał na szybki. Zgodziłam się i kurczowo złapałam się pierwszego samochodu z brzegu. Uśmiechnął się w odpowiedzi. Chyba uznał to za wyzwanie.

Do sali weszła dziewczyna w eleganckim czarnym garniturze. W ręce trzymała kieliszek wypełniony złocistym płynem. Położyła przede mną serwetkę i postawiła na niej kieliszek.

– Na zdrowie, pani Macchiavello.

Nawet na mnie nie spojrzała i zanim zdążyłam zapytać, co jest w kieliszku, już jej nie było.

– Co to jest? – zapytałam Capo. Wcześniej przy barze widziałam kobietę, która piła coś podobnego.

Capo powiedział, że to koktajl o nazwie Złoty Książę. Pomyślał, że będzie mi smakował, więc zamówił go wcześniej.

Napiłam się i umarłam z zachwytu.

Ostrożnie odstawiłam kieliszek na stół i zapytałam żartobliwie:

– Jak to? Nie nazwałeś koktajlu na moją cześć? – Wypiłam kolejny łyk. – Pyszne.

Uśmiechnął się i zawołał kelnerkę. Poprosił ją, żeby przyniosła drinka, który cieszył się największą popularnością wśród klientów. Kilka chwil później wróciła ze szklanką wypełnioną granatowym płynem. Brzeg szklanki był udekorowany motylem z cukru.

– Serio? – Roześmiałam się. – A jednak!

– Najwyraźniej niczego nie mogę przed tobą ukryć. – Puścił do mnie oko, a następnie zwrócił się do kelnerki. – Liza, powiedz, proszę, mojej żonie, jak nazwaliśmy tego drinka.

– Oczywiście, panie Mac. – Liza, która miała krótką, modną fryzurę, zwróciła się do mnie. – To Mariposa, najpopularniejszy drink w naszej karcie.

Mariposa była słodka. Nie mogłam zdecydować, który z drinków smakował mi bardziej. Chwilę później przy naszym stole zaroiło się od kelnerów z tacami pełnymi jedzenia. Gdy ostatni z nich opuścił salę, stół był zastawiony po brzegi parującymi półmiskami. Capo najwyraźniej zamówił wszystkie dania z karty.

– Przecież sami nie damy rady tego zjeść. – Spojrzałam na nasz prywatny bufet. – Spodziewasz się kogoś jeszcze?

– Wystarczy, że spróbujesz po kęsie z każdego dania. – Machnął ręką lekceważąco. – Celowo zamówiłem wszystko, nie martw się, jeśli coś zostanie.

– Rozumiem. – Zrobiło mi się gorąco od wypitego alkoholu. – Ale tego jedzenia jest tak dużo. Nie chcę, żeby się…

Pogłaskał moją dłoń.

– To, co zostanie, przekażemy potrzebującym. Poproszę, żeby w kuchni spakowali resztki na wynos.

– Dobrze. – Przytaknęłam. – Jedzmy zatem.

Podczas kolacji nie rozmawialiśmy o niczym ważnym. Uczta była iście królewska. Capo zadbał, żebym poczuła się dopieszczona. Zachęcał mnie, żebym spróbowała wszystkiego. Stek, który rzeczywiście był wart nerki, ostatecznie zajął drugie miejsce w korowodzie pysznych dań. Najbardziej smakował mi makaron w sosie śmietanowym z dodatkiem cytryny i mięsa krabowego. Oddałabym za niego wszystko, nie tylko nerkę.

Gdy poczęstowałam go kęsem z mojego talerza, Capo własnoręcznie mnie nakarmił. Byłam w takiej ekstazie, że na śmierć zapomniałam, że jest właścicielem restauracji i jada tu regularnie. Czułam się, jakbyśmy zostali sami na świecie, mimo że za szybą podglądacza nieustannie pojawiali się kolejni goście. Wielu z nich skrycie przyglądało się swojemu odbiciu.

Gdy nazwałam lustro weneckie „szybą podglądacza”, Capo się roześmiał.

Po daniach głównych zaprosił mnie do tańca. Wcześniej, gdy zamówił deser, poprosił, żeby podano go nam po dłuższej przerwie. W restauracji tańczono inaczej niż w klubie. Kameralny zespół jazzowy akompaniował wokalistce o słowiczym głosie. Capo nauczył mnie kilku kroków, bo byłam kompletnie zielona. Okazał się świetnym tancerzem i zaskakująco dobrym nauczycielem.

Śmiałam się w głos i wiedziałam, że zapamiętam tę chwilę na długie lata.

– Gdzie nauczyłeś się tak dobrze tańczyć? – zapytałam zdyszana, gdy wróciliśmy już do stolika. Zdziwiłam się, bo stół nie został uprzątnięty. Uznałam, że deser przyniosą, dopiero gdy Capo o niego poprosi.

Zajął swoje miejsce.

– Od mojej matki.

– Nie lubisz o niej mówić.

Rzadko wspominał o swojej rodzinie. Wiedziałam, że ma dziadka we Włoszech i wywnioskowałam, że ma też wujka, bo przyznał, że powiedział mu o istnieniu sekretnej części domu. Miał też ciotki, o których wspomniał przy kolacji, ale poza tym nie powiedział nic więcej.

– Umarła, gdy byłem mały.

– A zatem coś nas łączy – powiedziałam.

– Na to wygląda.

Spojrzeliśmy na siebie. Bardzo powoli nachylił się i pocałował mnie w usta. Gdy otworzyłam oczy, przyglądał mi się z dziwną miną. Do sali weszło kilku kelnerów. Zakręciło mi się w głowie, więc usiadłam wygodniej.

– Panie Mac? Czy mogę już zabrać talerze?

Ja pierdolę. Przede mną stał Bruno. Nie zauważyłam go, kiedy wszedł. Uznałam, że nie ma go w pracy albo Capo dał mu wolne. Capo powiedział wcześniej, że Sylvester jest menadżerem nocnej zmiany. A buca widywałam dotąd tylko w ciągu dnia, bo nie bywałam tu po zmroku. Zamiast eleganckiego garnituru miał na sobie strój pomywacza. Czoło miał ubrudzone czymś czerwonym.

Na mój widok stanął jak wryty. Rozpoznał mnie od razu, mimo eleganckiej sukienki i biżuterii na palcach, nadgarstku i w uszach. Przez moment wyglądał na zszokowanego, ale po chwili spojrzał na mnie ozięble.

Gdy Capo zawołał go i przedstawił mnie jako swoją żonę, udał, że mnie nie rozpoznaje.

Bruno wytarł ręce w brudny fartuch i wyciągnął do mnie dłoń na powitanie, ale Capo nawet na niego nie spojrzawszy, zaprotestował i wychylił drinka.

– Masz brudne ręce. Nie możesz nimi dotykać mojej żony.

Czułam, że płoną mi policzki, i odwróciłam wzrok. Dobrze wiedziałam, co robi Capo. Mierziło mnie to i przypominało o tym, o czym bardzo chciałam zapomnieć.

– Oczywiście, panie Mac – powiedział Bruno uniżonym tonem. – Gdzie ja miałem głowę. Chciałbym porozmawiać z panem o moim stanowisku. Nie wiem…

– Jem kolację z moją żoną – przerwał mu Capo i pociągnął łyk whiskey. – Porozmawiamy o interesach innym razem. Teraz masz pracę do wykonania. Masz posprzątać stół. Chcę, żeby lśnił. Potem pomożesz Emilio spakować resztki do pojemników na wynos. Gdy to zrobisz, wyjdziesz na

miasto i odszukasz najbardziej wygłodniałych ludzi w Nowym Jorku. A następnie ich nakarmisz.

– Tak jest, proszę pana. – Bruno zaczął sprzątać resztki ze stołu, a ja starałam się unikać jego wzroku, ilekroć podchodził bliżej, żeby zabrać sztućce lub talerz.

Czułam się tak niezręcznie, że chciałam z całej siły kopnąć Capo moim ostrym obcasem. Co on sobie myślał? Panoszył się jak jakiś król. Nie mógł się tak zachowywać za każdym razem, gdy ktoś był dla mnie nieuprzejmy. Tylko pogorszył sytuację, bo pokazał Bruno, że dotknęło mnie jego zachowanie. Mój mąż mnie upokorzył i sprawił, że poczułam się nieważna.

Ilekroć do sali wchodził kelner, Capo natychmiast go odsyłał. Chciał, żeby Bruno wił się przede mną, tak jakby miało mi to poprawić samopoczucie.

Gdy Bruno zebrał wszystkie talerze, zaczął z uporem polerować stół. Za każdym razem, gdy zbliżał się do mnie, czułam silny fetor śmieci. Gdy pojedynczy okruch spadł mi na sukienkę, zaczął przepraszać mnie żarliwie, ale gdy na mnie spojrzał, dostrzegłam w jego oczach nieskrywaną niechęć. Spojrzałam na Capo. Wbił wzrok w ścianę i wysunął dolną szczękę.

Chwilę później zerwał się na równe nogi tak gwałtownie, że ciężkie drewniane krzesło upadło z hukiem na podłogę. Jednym ruchem przygwoździł Bruno do ściany. W tej samej chwili kilku kelnerów weszło do sali, niosąc tace z deserami. Sylvester, który szedł za nimi, zerknął na Capo, pośpieszył obsługę i zamknął za nimi drzwi. Stanęli w niedoświetlonym kącie sali, czekając w milczeniu na rozwój wypadków.

Wstałam, bezradnie splatając palce.

Capo mówił cicho, ale wyraźnie. Powiedział Bruno, że wie, jak mnie potraktował, gdy byłam bezdomna, i że zauważył, w jaki sposób na mnie spojrzał. Wycedził, że jeśli jeszcze raz przyłapie go na czymś takim, to rozszarpie go na strzępy.

Zerknęłam na kelnerów. Wszyscy odwracali ode mnie wzrok. Byli przerażeni, to jasne.

Bezszelestnie wymknęłam się za drzwi, minęłam część restauracyjną i bar i wyszłam na zewnątrz. Giovanni wyrósł jak spod ziemi, wołając za

mną, żebym poczekała na Capo, ale odmówiłam. Szłam przed siebie, dopóki nie dogonił mnie Capo i nie zatrzymał, chwytając za rękę.

W ciemnościach jego oczy rozbłysły złowrogo.

– Gdzie ty się, kurwa, wybierasz?

– Nie wiem, ale potrzebuję trochę przestrzeni.

– Przestrzeni, mówisz?

Wziął mnie za rękę i zaprowadził na stronę, z dala od ludzi. Tuż obok, na rogu ulicy, znajdował się bar, w którym można było śledzić na bieżąco rozgrywki sportowe. Na jednym z odbiorników był właśnie włączony kanał informacyjny.

Gdy przystanęliśmy, wyrwałam się.

– Przestrzeń, Capo. Mam ci podać definicję tego słowa? – Przeklęty Caspar. Zaraził mnie swoim zboczeniem na punkcie definicji.

Capo cofnął się o krok i spojrzał na mnie z wściekłością.

– Przestrzeń. – Przeliterował. – Zbiór elementów, zwykle nazywanych punktami, z pewną dodatkową strukturą. Doskonale znam znaczenie tego słowa, Mariposa. Natomiast nie rozumiem, czego ty chcesz, do kurwy nędzy.

– Debil – powiedziałam. – A to słowo znasz?

– Nie przeginaj.

Uuuu, cisnęło mi się na usta, ale darowałam sobie.

– Upokorzyłeś mnie! – krzyknęłam. – Nikt, nawet Bruno, nie poniżył mnie tak jak ty dzisiaj. – Zaczęłam nerwowo chodzić w kółko, okręcając pierścionek wokół palca. – Nie jestem lepsza od twoich kelnerów, a oni boją się nawet na mnie spojrzeć! Traktują mnie jak kogoś ważnego. A ja nie jestem ważna. Nie jestem… – Machnęłam ręką. – Nie jestem taka jak ty. A ten dupek Bruno? Równie dobrze mogłeś mu powiedzieć, że mnie zranił!

– Bo to prawda.

– I co z tego? Wcześniej tego nie wiedział! A dziś już wie!

– Jestem twoim *capo* – warknął. – Muszę cię chronić. Gdyby ktoś zadarł z dziewczynami z klubu, musiałby liczyć się z konsekwencjami.

Nie jestem twoim pracownikiem! Jestem twoją żoną! Chciałam wykrzyczeć mu to prosto w twarz. Jednak po chwili dotarło do mnie, że nie mam racji. To było kłamstwo. Był moim *capo*. Przypominał mi o tym grawerunek na jego obrączce.

Bez mrugnięcia okiem dodał:

– Większość osób już to wie, a ci, którzy nie wiedzą, szybko nadrobią braki. Jesteś moją żoną. Twoja krew, ciało, kości i emocje należą tylko do mnie. Jeśli ktoś skrzywdzi ciebie, krzywdzi tym samym i mnie. *Capisci?* Gdy poluję, robię to dla ciebie. I zapamiętaj jedno, Mariposa. O wiele bezpieczniej jest budzić strach niż miłość. Ludzie będą się ciebie bać. Dlaczego? Bo za tobą stoję ja. Nikogo się nie boję i przed nikim, kurwa, nie klękam.

Na chwilę spuściłam wzrok. Spojrzałam na jego tatuaż i nagle wszystko, co powiedział, stało się jasne. „Nikogo się nie boję i przed nikim, kurwa, nie klękam”. Taki właśnie był mój mąż. Cały on. Udowadniał to na każdym kroku.

– Teraz wszyscy wiedzą, z kim się ożeniłeś – wyszeptałam.

Pojąłeś za żonę dziewczynę z ulicy. Kogoś, kto nie ma nic do ofiarowania, kogoś, kto potrafi tylko brać. Osobom postronnym nasze małżeństwo musiało kojarzyć się jednoznacznie, nikt przecież nie wiedział, jakie okoliczności towarzyszyły jego zawarciu.

– Mariposa – powiedział. – To ciebie wybrałem. Dziewczynę, na której cześć nazwałem drinka, jeszcze zanim pojawiłaś się w moim życiu.

– Nazwałeś drinka moim imieniem, zanim wzięliśmy ślub?

– To była pierwsza pozycja w karcie. Reszta drinków pozostała bezimienna.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Na pamiątkę.

Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Nadal był rozjuszony, ale nieco złagodniał. Gdy nie mogłam dłużej wytrzymać jego wzroku, odwróciłam się i spojrzałam w okno baru. W rogu jednego z ekranów dostrzegłam migający na czerwono pasek informacyjny.

Pilne.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie mężczyzny.

Quillon Zamboni nie żyje.

Został uduszony.

Zmarł w wyniku uduszenia.

Mnie też zrobiło się duszno.

Capo położył dłoń na moim ramieniu. Spojrzałam na niego. Złapał mnie za rękę i delikatnie odsunął od moich ust. Chwilę wcześniej zatkałam nią usta.

Ludzie będą się ciebie bać. Dlaczego? Bo ja za tobą stoję.

Mój mąż był wielkim, złym wilkiem, który warczał na każdego, kto odważył się podejść zbyt blisko. „Gdy poluję, robię to dla ciebie”.

Przełknęłam z trudem ślinę. Czułam, że brakuje mi tchu, i wzięłam głęboki oddech.

– Capo. – Mój głos zabrzmiał zdecydowanie, na przekór temu, co czułam. – Znasz kolesia o imieniu Merv?

– Poznałem go w przelocie. – Odwrócił wzrok i beznamiętnie spojrzał w ekran. – Powinienem był cię uprzedzić. Vera Dwa to tak naprawdę Vera Jeden. Chciałem ci dać prezent z okazji przeprowadzki. Ten aloes jest naprawdę imponujący. Ma korzenie jak z betonu.

Zaczerpnęłam powietrza i powoli wsunęłam w jego silną dłoń swoją drżącą rękę.

14

MARIPOSA

Zbyt długo czułam się w Nowym Jorku jak na polu bitwy. Każdy odgłos przypominał okrzyk bojowy. Każda pora roku stanowiła zagrożenie i stawała się pretekstem do kolejnej ucieczki. Każdy zapach kojarzył mi się z krwią. Wszyscy wokół walczyli o przetrwanie.

Po tej długiej i wyczerpującej bitwie Włochy, *Italia*, były niczym ziemia obiecana.

Każdy odgłos był melodyjny. Okrzyki przechodniów brzmiały zawadiacko, ale przyjaźnie. Letnie powietrze otulało moją skórę niczym ciepły wieczorny wiatr. Każdy zapach niósł obietnicę nowego smaku. Wokół panował spokój. Na placyku ludzie jedli lody, śmiejąc się i rozmawiając.

Nigdy wcześniej nie czułam się tak zmęczona, a zarazem cudownie odprężona.

Podczas długiego lotu z Nowego Jorku nie zmrużyłam oka, dlatego teraz stałam w bezruchu. Nogi miałam jak z waty. Oprócz zmęczenia unieruchomiło mnie jednak coś jeszcze.

Pociągnęłam za szelki mojego plecaka.

– Nie uprzedziłeś mnie, że mam założyć inny strój.

Capo spojrzał na mnie ze zniecierpliwieniem.

– To, co masz na sobie, jest w porządku.

Rzuciłam okiem na swoje ubranie. Miałam na sobie ładną niebieską sukienkę i brązowe skórzane sandały. Capo pomógł mi się spakować na nasz wyjazd, bo nie do końca wiedziałam, co powinnam ze sobą zabrać. Wszystko, co dla mnie wybrał, było bardzo ładne i pasowało do

miejscowego klimatu, jednak nie uprzedził mnie, że pojedziemy do jego dziadka na motocyklu.

– Dlaczego nie poprosiłeś szofera, żeby poczekał? W bagażniku są moje walizki. Jak mam wsiąść na to coś w tej sukience? Nie mam się w co przebrać.

Z prywatnego lotniska odebrała nas kuloodporna limuzyna, która wyglądała jak pancernik, ale szofer zdążył już odjechać, zabierając ze sobą wszystkie nasze rzeczy.

Capo zdjął okulary przeciwsłoneczne i zsunął je na czubek głowy. Słońce odbijało się w jego błękitnych oczach niczym w szkiełku witrażowym. Miał na sobie dopasowaną koszulę, która podkreślała jego imponującą muskulaturę, dżinsy w kolorze indygo i skórzane buty do kostki. Był bez garnituru, więc jego tatuaż jeszcze bardziej rzucał się w oczy. Jego stary zegarek wyglądał po prostu jak stary zegarek, mimo że na pewno kosztował majątek.

– Mariposa, powiedz, o co ci chodzi. Boisz się?

– Nie, nie do końca. – Zawahałam się. – Nie chcę zranić mojej muszelki.

– Chodzi ci o twój plecak? Nic mu się nie stanie.

– Nie mówię o moim plecaku, Capo. Kto, do licha, nazywałby plecak? Chodzi mi o moją muszelkę.

Zmrużył oczy.

– W kółko nadajesz imiona przedmiotom, że nie wspomnę o Verze i Podróżniczce. Pomyślałem, że swój plecak też nazwałaś. Jeśli nie chodzi o twój plecak, o czym u diabła mówisz? I o co chodzi z tym zranieniem?

Wskazałam palcem swoje krocze.

– To jest moja muszelka.

Spojrzał na mój palec.

– Nie rozumiem.

– Moja cipka – wyszeptałam.

Przez chwilę wyglądał na kompletnie zdezorientowanego, ale zaraz wybuchnął gromkim śmiechem.

– Muszelka? Skąd wzięłaś tę nazwę? Czy sama ją wymyśliłaś?

– Nie! – powiedziałam obronnym tonem. – Jocelyn ją tak nazywała! Mówiła, żebym nie jeździła na rowerze, bo mogę uszkodzić moją muszelkę. Po tym, co zrobił mi Zamboni, nie chciałabym jej dodatkowo narażać.

Gdy Zamboni dobierał się do mnie, używał swoich palców, a ponieważ tej samej nocy dostałam miesiączki, nie byłam pewna, czy mnie nie rozdziewiczył. Jeśli nie, zależało mi na tym, żeby mój pierwszy raz wydarzył się z kimś, komu będę ufała. Gdybym miała pewność, że mnie nie okaleczył, byłabym spokojniejsza, bo emocjonalnie i tak wyrządził mi straszną krzywdę.

Na dźwięk nazwiska Zamboni Capo natychmiast spoważniał. Nie chciałam o nim mówić, ale naciskał, a mnie zależało na tym, żeby wiedział, dlaczego boję się jeździć motocyklem.

Nie zamierzałam dopuścić do tego, żeby Zamboni zepsuł (mój pierwszy w życiu) wyjazd do Włoch, więc postanowiłam trochę rozweselić Capo. Uśmiechnęłam się.

– Gdy byłam mała, Jocelyn pilnowała mnie przez okno, gdy bawiłam się z rodzeństwem Ryanów. Ilekroć miałam na sobie sukienkę i za bardzo się wygłupiałam, Jocelyn waliła w szybę i krzyczała: „Mari! Obciągnij sukienkę, bo wszyscy zobaczą twoją muszelkę!”. I znowu stukała w szybę. Cała dzielnica uważała ją za wariatkę.

– Była wariatką, ale była dobrym człowiekiem.

– Jocelyn i dziadek traktowali mnie jak członka rodziny.

– Wiedziałem o tym. Jocelyn zawsze pragnęła mieć dzieci, a pan Gianelli je uwielbiał. Wiedziałem, że będziesz u nich bezpieczna.

– Tak. – Zdmuchnęłam z twarzy kilka kosmyków, które wysunęły się z mojego warkocza. Łamaną włoszczyzną wybełkotałam kilka słów, mówiąc, jak bardzo za nimi tęsknię.

Capo przyglądał mi się przez chwilę.

– Myślę, że znasz tyle włoskich słów, bo twoi rodzice mówili przy tobie po włosku. Gdy zabrałem cię do Jocelyn, rozmawiała z tobą tylko po angielsku. Nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, że mówisz po włosku.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ale na samą myśl o rodzicach, których nie potrafiłam sobie przypomnieć, zrobiło mi się ciężko na sercu.

Capo zdawał się wyczuwać mój smutek.

– Jesteśmy we Włoszech. Wszystko, co dotyczy Nowego Jorku, zostaje w Nowym Jorku. – Objął mnie w pasie i przytulił. – No i co, *mia moglie*, dasz się porwać na przejażdżkę? Obiecuję, że nie skrzywdzę twojej muszelki. – Uśmiechnął się szeroko. – Przy mnie jest bezpieczna. Obiecuję też, że nie zobaczy jej ani cała dzielnica, ani cała wioska. Przytul się do mnie, żeby nie podwiewało ci sukienki. Oboje wiemy, że nie lubię się dzielić tym, co moje.

Roześmiałam się, słowo „muszelka” zabrzmiało w jego ustach komicznie. Miał rację. Włochy były zbyt piękne, żeby martwić się rzeczami, na które nie mieliśmy wpływu.

– Ty miałbyś się czymś podzielić? – Parsknęłam teatralnie. – Akurat.

– Nie usłyszałem odpowiedzi, Motylku.

– *Sì! Facciamolo!* Tak! Zróbmy to!

Capo wypuścił mnie z objęć i wskoczył na motocykl. Usiadłam za nim i przytuliłam się do niego. Gdy już rozsiadłam się wygodnie, wręczył mi kask. Włączył silnik, poczułam wibracje między nogami. Objęłam go mocno.

Zanim ruszyliśmy w stronę przedmieść, zabrał mnie na krótką wycieczkę krajoznawczą po miasteczku. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się na światłach, ale im bardziej oddalaliśmy się od miasta, tym sygnalizacja pojawiała się rzadziej. Przyśpieszył, a ja chciałam krzyczeć, żeby jechał jeszcze szybciej.

Byłam wolna. Czułam się całkowicie beztrosko.

Przez jakiś czas jechaliśmy krętą drogą, a wielki masyw górski, majaczący na horyzoncie, przybliżał się z każdym kilometrem. W końcu dotarliśmy do wjazdu na posesję. Był długi, mógł mieć z półtora kilometra. Po obu stronach drogi rosły setki drzew, a wśród nich roiło się od pracowników, zrywających owoce. Wszędzie stały skrzynki wypełnione cytrynami i pomarańczami. Capo powiedział mi, że okoliczne sady cytrusowe należą do jego rodziny.

Na końcu podjazdu znajdowała się brama, za którą roztaczał się widok na posiadłość i ogromną willę. Dom był otynkowany na jasnobrązowy

kolor, miał zielone okiennice i dach utrzymany w podobnej tonacji. Po obu stronach willi stały dwa mniejsze domy. Nie byłam pewna, czy stanowiły część rezydencji, czy miały inne przeznaczenie. Pomiędzy budynkami wiły się wąskie alejki obrośnięte roślinnością. W powietrzu unosił się mocny zapach czekolady.

Zanim zdążyliśmy się zatrzymać, z głównej rezydencji zaczęli wybiegać ludzie. Mnóstwo ludzi.

– O cholera! – wymamrotałam.

Wydawało mi się, że Capo parsknął pod nosem, ale nie miałam pewności. Serce zaczęło mi szybciej bić, a mój żołądek wykonał salto. Do głowy mi nie przyszło, że Capo ma tak dużą rodzinę. Sądząc po liczbie osób, które wysypały się z willi, trzeba było trzech domów, żeby ich wszystkich pomieścić.

Wedding planerka nie wspomniała, ilu gości zaproszono na nasze wesele. Powiedziała tylko, że zgodnie z życzeniem pana Macchiavello wszystko miało być zorganizowane zgodnie z moim gustem i zaleceniami. Nie sądziłam, że na moje sugestie czekało aż tyle osób.

Gdy tylko Capo wyłączył silnik, wszyscy rzucili się nas obściskiwać. Nie byłam w stanie się połapać, z kim przywitałam się pocałunkiem, kogo wyściskałam, a kto przywitał się ze mną bardziej oficjalnie. Nie nadążałam za potokiem słów wypowiadanych z prędkością karabinu maszynowego.

W końcu Capo zlitował się nade mną i odciągnął mnie na bok. Byłam tak skołowana, że na chwilę straciłam go z oczu, ale najwyraźniej witano go równie wylewnie. Przytrzymał mnie i zaczął prezentację.

Gdybym miała zapisać imiona wszystkich przedstawionych mi osób, potrzebowałabym dodatkowego zeszytu. Zapamiętałam siostry jego matki: Stellę, Eloisę, Candelorę i Veronicę, bo wspomniał o nich, gdy poszliśmy na kolację. Matka Capo miała na imię Noemi. Stella powiedziała Capo, że jest z niego dumna, po czym spojrzała na mnie.

Miał tylu wujków i kuzynów, że mimo najlepszych chęci nie byłam w stanie zapamiętać ich wszystkich. Zauważyłam, że wszyscy mówili na Capo Amadeo. To mi dało do myślenia. Byłam ciekawa, dlaczego przedstawił mi się innym imieniem. Dał mi wybór, mogłam mówić do niego Mac, szefie lub Capo, ale nie Amadeo.

Nagle morze ludzi rozstąpiło się i zapadła cisza. Spośród tłumu wyłonił się staruszek, prowadzony pod rękę przez Candelorę. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, był ubrany w staroświecki garnitur i nosił szelki. Poruszał się z widocznym trudem, ale trzymał się prosto. Miał oliwkową karnację, ale był chorobliwie blady. Choć miał podkrążone oczy, patrzył na nas z ożywieniem. Uśmiechnął się pod srebrzystym wąsem.

Zanim dziadek zdołał do nas dojść, Capo wyszedł mu naprzeciw. Staruszek klepnął go po policzku i szepnął coś na ucho. Capo spojrzał na mnie i wyszeptał coś w odpowiedzi. Starszy pan podszedł do mnie i zastukał w mój kask, a ja wybuchnęłam śmiechem. Zapomniałam na śmierć, żeby zdjąć to cholerstwo.

– Niech no na ciebie popatrzę. – Uśmiechnął się. – Muszę przyjrzeć się kobiecie, która zdecydowała się wyjść za mojego wnuka. Niech no spojrzę, czy jesteś wystarczająco twarda, żeby dać sobie z nim radę.

Zdjęłam kask, odłożyłam go na motocykl i stanęłam na wprost staruszka.

– Ach! *Bellissima*. – Uścisnął moje dłonie i pocałował mnie w oba policzki. – Nazywam się Pasquale Ranieri. Jeśli chcesz, możesz mówić do mnie Nonno.

– Dziadku, poznaj Mariposę – powiedział Capo, próbując nadążyć za dziadkiem. Nonno go ubiegł i nie zdążył nas sobie przedstawić. – Moją żonę.

– Jeszcze nie! – Pasquale zachichotał. – Czy Amadeo powiedział ci, że to ja kazałem mu czekać z weselem do czerwca?

Spojrzałam na Capo, a następnie na dziadka. Pokręciłam głową.

– Nie.

Nonno machnął ręką lekceważąco.

– Weźmiecie ślub w tym samym dniu co ja. Powiedziałem wnukowi, że zgodzę się na jego małżeństwo pod tym jednym warunkiem. Postanowiłem, że dożyję tego dnia, ale niech to zostanie pomiędzy mną a… – Wzniósł twarz ku niebu.

– To będzie wyjątkowy dzień – wyszeptałam i uścisnęłam jego dłoń. Mimo panującego upału była zimna i przeraźliwie chuda, ale mimo to

trzymanie go za rękę sprawiało mi przyjemność. Polubiłam go od pierwszego wejrzenia. Czułam się przy nim swobodnie.

– Mariposa – wymówił z namaszczeniem moje imię. Spojrzał na mnie i się uśmiechnął. – Jesteś ślicznym, małym motylkiem.

15

CAPO

Pasowała do nas.

Minął tydzień od naszego przyjazdu do Modica na Sycylii. Zmiany, które w międzyczasie nastąpiły w mojej żonie, były ledwo zauważalne dla innych, ale bardzo wyraźne dla mnie.

Przestała kwestionować każdy swój ruch. Wydawała się bardziej pewna siebie i bez strachu podejmowała decyzje.

Nawet jej śmiech stał się głośniejszy i bardziej swobodny. Dziadek ją uwielbiał. Potrafiła go rozśmieszyć lepiej niż ktokolwiek inny. No może z wyjątkiem mojej matki.

Moje *zie* (ciotki) były w niej zakochane. Nauczyły ją gotować. Zdradziły jej nawet przepis na czekoladę z Modiki, z której słynęły. *Cioccolato di Modica*. Był to przepis aztecki, który pochodził z piętnastego wieku. Na Sycylię przywieźli go Hiszpanie.

Moja żona przybiegała do mnie roześmiana i cała wymazana czekoladą. Cieszyła się jak dziecko, któremu pozwolono wytaplać się w błocie. Roztaczała wokół siebie zapach mojej ukochanej czekolady. Przypominała mi moją matkę. Byłem pewien, że rozpieszczałaby ją tak samo, jak moje *zie*.

Poświęcały jej dużo czasu i uwagi. Traktowały ją jak członka rodziny. *Zia* Veronica pogroziła jej raz drewnianą chochlą, gdy Mariposa próbowała dodać do jej dania rozmaryn.

Pewnego dnia, gdy przyglądałem się Mariposie, która z uśmiechem babrała się w czekoladzie, usłyszałem, jak *zia* Candelora mówi do niej: „Twoi rodzice powinni byli cię nazwać Candelora. Promieniejesz, jakbyś połknęła wieczny płomień, a twoja skóra wygląda, jakby była z wosku!”.

Zia Candelora była znana ze swojego przesadnego zamiłowania do metafor, ale się nie myliła. Mariposa rzeczywiście promieniała. Jej uśmiech był radosny, a jej oczy się skrzyły. Dojrzewała. Przy okazji odpoczywała i odzyskiwała upragniony spokój.

Mariposa poznała swojego anioła stróża i dlatego mogła wreszcie spać spokojnie, bez strachu, że w nocy dorwie ją diabeł. Znałem to uczucie. Nade mną też kiedyś czuwał anioł.

W porze największego upału brała jedną ze swoich książek i szła czytać na swój ulubiony hamak rozwieszony pomiędzy kasztanowcami. Zawsze zakładała kapelusz i przed wejściem do hamaka ściągała sandały. Zwykle po godzinie zasypiała z książką na piersi. W Nowym Jorku jej sen był urywany, jakby z jakiegoś powodu nie mogła spać dłużej niż godzinę za jednym razem.

Gdy zapadał wieczór, śpieszyła z powrotem do domu i wychodziła na spacer z moim dziadkiem. Mówiła do niego Nonno. Zwykle chodzili do jego ogródka, bo nie miał siły na dalekie spacery. Nie zdejmując kapelusza, zabierała się do prac ogrodniczych pod ścisłym nadzorem dziadka. Na jego prośbę przesadzała rośliny albo zbierała owoce. Do moich uszu dobiegał ich śmiech. Każdego dnia opowiadała mu inny kawał.

– Opowiedzieć ci dowcip? – Myślała, że są sami, ale udało mi się ich podsłuchać. Po chwili dodała: – Kelner pyta blondynkę. Pokroić pizzę na cztery czy osiem kawałków? Cztery, bo ośmiu nie zjem.

Śmiał się równie głośno jak ona.

Gdy kończyła oporządzać ogródek, siadała obok dziadka, obejmowała go i kładła głowę na jego ramieniu. Snuł rozmaite historyjki, czytał jej na głos albo recytował poezję. Czasami robił wszystko naraz. Mój dziadek był światowej sławy poetą i prozaikiem. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku został laureatem Literackiej Nagrody Nobla. Jego poezja była liryczna i pełna namiętności.

Oczarował go jej śmiech, a dziadek z kolei sprawił, że pokochała go z całego serca.

Od przyjazdu spędzaliśmy ze sobą mało czasu. Wszyscy chcieli ją lepiej poznać. Czasami zabierałem ją na przejażdżki motocyklem po okolicy albo szliśmy na spacer do sadu, ale chciałem dać jej czas na poznanie mojej

rodziny, żeby poczuła, że tutaj jest u siebie. Zawsze jednak starałem się być blisko niej, nawet gdy nie była tego świadoma, i dbałem o to, żebyśmy się widywali. Kobieta, którą uratowałem w dzieciństwie od pewnej śmierci, ryzykując dla niej życie, została moją żoną i rozkwitała na moich oczach.

Na ścieżce pojawiły się dwa cienie. Chwilę później stanąłem twarzą w twarz z wujkiem Tito i ciotką Lolą. Tito był bratem ciotecznym mojego dziadka, choć wszyscy nazywali go wujkiem. Lola była siostrą Marzio Faustiego. Marzio był jednym z najpotężniejszych i najbardziej bezwzględnych przywódców rodu Faustich, jakich świat widział. Tito był wybitnym lekarzem i leczył członków rodziny Faustich, w tym również i mnie. Poza moim dziadkiem był jedynym szlachetnym mężczyzną, jakiego znałem.

Tito poznał Mariposę, gdy próbowała wejść do klubu jako Sierra. Gdy przedstawiła się jej imieniem, Tito wiedział, że go okłamała. Po wyjściu Mariposy doradził mi, żebym się z nią nie żenił, głównie z uwagi na moje plany. Powiedział, że jest inna od nas i nie pasuje do naszego świata.

Nie zgodziłem się z nim. Wiedziałem, że jej lojalność wobec mnie nie ma granic i że nie cofnie się przed niczym, jeśli ktoś będzie próbował wyrządzić mi krzywdę. Dokładnie takiej królowej potrzebował u swojego boku potężny król.

Gdy Mariposa wstała, żeby przywitać się z gośćmi, natychmiast rozpoznała Tito. Gdy dziadek przedstawił ją jako Mariposę, a nie Sierrę, zaczerwieniła się. Kiedy Tito zażartował, roześmiała się i wyraźnie zrelaksowała. Lola przytuliła ją tak mocno, że aż jęknąłem współczująco. Gdy Lola była szczęśliwa, wyrażała radość poprzez mocne uściski i uszczypnięcia. Mogłem być spokojny, że polubiła Mariposę. Lola szczypała i ściskała tylko te osoby, które bardzo lubiła.

– Amadeo! – usłyszałem kobiecy głos. – Amadeo! – Gigi podbiegła do mnie i przytuliła mnie z całej siły.

Gdy skończyliśmy się przytulać, zmierzwiła mi włosy.

– To wprost nieprzyzwoite, jaki jesteś przystojny, Amadeo. Ty piękny diable. – Uśmiechnęła się. – Znam przynajmniej dziesięciu hollywoodzkich aktorów, którzy oddaliby wszystko, żeby być tobą.

– Cieszę się, że udało ci się do nas dołączyć – powiedziałem. – Georgina, dla znajomych Gigi, była znaną włoską aktorką, ale z racji tego, że mieszkałem w Stanach, widywaliśmy się bardzo rzadko. – Doszły mnie słuchy, że byczyłaś się na jachcie jakiegoś bogatego księcia na Riwierze Francuskiej.

– To było wczoraj. – Machnęła ręką lekceważąco. – Dziś jestem tu, z tobą. Musiałam na własne oczy zobaczyć tę wielką chwilę. Amadeo się żeni. Jak to mówią w Ameryce? Myślałam, że prędzej piekło zamarznie. – Sprzedała mi lekkiego kuksańca i uśmiechnęliśmy się do siebie. – No dobrze, gdzie ona jest? Kobieta, która ujarzmiła twoje dzikie serce?

– Jest w ogrodzie z dziadkiem – powiedziałem po włosku. – Co wieczór ucinają sobie pogawędkę.

Spojrzeliśmy w stronę ogrodu.

Mariposa wstała i spojrzała na nas, osłaniając oczy przed słońcem. Ukryłem uśmiech. Nie wiedziała, że się jej przyglądałem, ale Gigi mówiła na tyle głośno, że zwróciła jej uwagę. Nie wyglądała na zachwyconą.

– Amadeo – powiedziała Gigi zniecierpliwionym tonem.

– Tak?

Uśmiechnęła się, ale oczy miała poważne.

– Jest ładna, ale spodziewałam się kogoś innego.

– Tak? – zwróciłem się do niej po włosku.

– Kogo się spodziewałaś?

– Kogoś takiego jak ja.

Gigi była uznawana za jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie. Jednak ja rzadko ulegałem powszechnym opiniom. W moich oczach najpiękniejszą kobietą na świecie była ta, która stała naprzeciw mnie cała umorusana ziemią z pielonych grządek. Miała w sobie to coś. Przy żadnej innej kobiecie nie czułem się tak jak przy niej. Może przyczyną były feromony. Niezależnie od tego, co sprawiło, że czułem taki pociąg do Mariposy, było to coś wyjątkowego i kurewsko unikatowego.

W ogrodzie pojawiły się *zia* Stella i *zia* Eloisa. Przyszły pośpieszyć Mariposę, żeby wzięła prysznic i przebrała się przed kolacją. Mężczyźni

szykowali się do meczu baseballa. Mariposa nie ruszyła się z miejsca. Nie przestawała na nas patrzeć.

Gigi jęknęła.

– Złapiemy się później. – Pocałowała mnie w policzek i poszła. Dołączyła do nas Lola.

Uśmiechnąłem się z satysfakcją. Po odejściu Gigi Mariposa dała się porwać moim ciotkom.

– Tu cię mam! – zawołała Lola i uszczypnęła mnie w policzek.

– Jak się miewasz, *bell'uomo*?

– Mam się dobrze, *zia*, a ty?

Uśmiechnęła się.

– Uwielbiam ją, Amadeo! Będzie wspaniałą żoną. Wydaje się świetną dziewczyną. – Lekko się zawahała. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko je zamknęła.

– Twój dziadek i wuj proszą cię na słowo – powiedziała po włosku i skinęła w stronę ogrodu. – Idę poszukać Gigi. Mam ochotę posłuchać plotek o celebrytach!

W drodze do ogrodu zatrzymał mnie jeden z ochroniarzy. Mówił po włosku.

– Za bramą stoi mężczyzna. Powiedział, że szuka miejsca, gdzie kobiety robią czekoladę. Podobno skierowano go do nas.

Moje ciotki miały sieć sklepów rozsianych po całych Włoszech. Sklep w Modice cieszył się dużą popularnością, zwłaszcza w sezonie turystycznym. Codziennie wyprzedawano cały towar, a na kolejną dostawę trzeba było czekać do następnego dnia. Nikt z pracowników nie skierowałby klientów do naszej posiadłości. Manufaktura czekolady była rodzinnym biznesem i strzegliśmy zarówno naszych receptur, jak i naszego adresu.

Ostatnimi laty kilku mężczyzn próbowało podobnego fortelu. Ale po raz pierwszy ktoś twierdził, że został do nas skierowany przez pracownika sklepu. Ich kłamstwa stawały się coraz bardziej bezczelne.

Nie zdziwiłbym się, gdyby na moim progu stanął król wilk we własnej osobie. Ostatnio zaczął mu się palić grunt pod nogami. Zniknięcie Armino mogło go dodatkowo rozjuszyć.

– Zaprowadźcie go do domu na tyłach posesji – powiedziałem po włosku i skinąłem, wskazując im kierunek. – Nie spuszczajcie go z oka i nie pozwólcie mu wyjść. Nie mówcie mu, że pomylił adres. Powiedzcie tylko, że ma czekać.

– *Sì*. – Ochroniarz poprawił karabin na ramieniu i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił jednego i powiedział: – Przekażę reszcie.

Gdy odszedł, w powietrzu unosił się jeszcze dym z jego papierosa.

Gdy do nich podszedłem, Tito opowiadał właśnie Nonno o nowatorskiej metodzie leczenia raka. Dziadek słuchał uważnie, ale kręcił głową. Mogłem powiedzieć wujkowi, żeby przestał sobie strzępić język, że to nie ma sensu, ale był uparty. Już nieraz próbowałem namówić dziadka na leczenie, ale Nonno był nieprzejednany. Powiedział, że jest stary i że już dość się nażył, a gdy nadejdzie jego czas, chce umrzeć w domu, w swoim łóżku. Nie mógł się doczekać spotkania z babcią i z moją matką. Przeżył swoje życie do cna i dzięki temu z pokorą zaakceptował nadchodzącą śmierć.

Gdy usadowiłem się naprzeciwko ławki, na której siedzieli, Tito ucichł, ale po chwili podjął wątek i nie przestał mówić, dopóki do końca nie wyczerpał tematu. Gdy skończył, zapadła cisza. Wreszcie dziadek uderzył laską o ziemię. Przymknął oczy. Był zmęczony.

– Chciałeś ze mną rozmawiać – powiedziałem.

Tito spojrzał na mnie spod ronda kapelusza i założył nogę na nogę. – Mariposa wygląda inaczej, Amadeo.

– To prawda – odparłem. – Rozkwitła.

Dziadek oparł się o laskę i odchrząknął.

– Nie powiedziałeś mi – powiedział po włosku – że Mariposa jest tym dzieckiem, za które byłeś gotów oddać życie.

Spojrzeliśmy na siebie.

– Wiesz to od niej.

– Opowiedziałem jej historię mężczyzny, który oddał życie za kobietę, chociaż ledwo ją znał. Poświęcił dla niej to, co najcenniejsze. Powiedziała, że zna mężczyznę równie szlachetnego. Gdy zapytałem, kim jest ów wspaniały człowiek, odparła, że to ty. Jestem umierający, ale to jeszcze nie znaczy, że odebrało mi rozum.

Staruszek był przebiegły. Wysłuchał jej i połączył fakty. Zapytał ją pewnie o jej wiek i wszystko stało się jasne. A później podstępem nakłonił mnie, żebym sam mu wszystko wyznał. Wiedział, że sam bym tego nie zrobił.

Ponownie uderzył laską o ziemię i odwrócił wzrok.

– Powiedz mi, wnuku, potrafisz zapewnić jej życie, na jakie zasługuje? – Ponownie na mnie spojrzał. – Poświęciłeś swoją duszę, żeby ją uratować od śmierci. Co będzie warta twoja ofiara, jeśli będzie musiała chować się w szafie, bo jedyny mężczyzna, którego kocha, zostanie zabity, dlatego że okazał się lekkomyślnym głupcem?

– *Amore?* – Roześmiałem się, ale obaj mężczyźni spojrzeli na mnie surowo. – Lojalność, to nas łączy. To na niej opiera się nasz związek.

– A miłość? Teraz lub w przyszłości.

– Miłość ogłupia.

– Powiedział mężczyzna, który nigdy nie otworzył się na miłość – wymamrotał Tito pod nosem.

Zmrużyłem oczy i spojrzałem na niego. On odwzajemnił moje spojrzenie.

– Być może – powiedział dziadek. – Ale co ty możesz o tym wiedzieć, Amadeo? Jak możesz mówić o rzeczach, o których nie masz pojęcia? Chyba że masz. Udowodnij mi, że się mylę. – Zmierzył mnie wzrokiem, a gdy nie odpowiedziałem, chrząknął znacząco. – A może w oczach mężczyzn, którzy wiedzą, czym jest miłość, to ty jesteś głupcem? – Trzykrotnie uderzył laską o ziemię. – Pamiętaj, Amadeo. Głupcy pójdą tam, gdzie nawet aniołowie boją się stąpać.

– Jeszcze raz – poprosiłem dziadka. – Uderz w ziemię raz jeszcze.

Zrobił to, nie pytając o powód. Odchrząknął.

– Mariposa przypomina mi moją Noemi.

Tym razem to ja odwróciłem wzrok, bo wiedziałem, co powie. Gdyby chodziło o kogoś innego, natychmiast bym wyszedł, ale należał mu się szacunek. Dożywał swoich dni i jeśli wysłuchanie tego, co miał do powiedzenia, mogło przynieść mu spokój, byłem gotów to dla niego zrobić. Zasłużył na moje poświęcenie, bo sam poświęcił wiele dla mnie.

– Mariposa jest kobietą dzieckiem. Udało jej się zrównoważyć cechy dziecięce i kobiece. Ta dwoistość natury jest krucha, bo gdyby była zbyt dojrzała, zaprzepaściłaby w sobie to dziecko, i odwrotnie. Ale jej się udało. Twoja matka była taka sama. Wiedziałem, że gdy wyszła za twojego ojca, on zamiast pielęgnować jej dziecięcość, wypleni ją bez mrugnięcia okiem. Chciał, żeby jego kobieta była bezwzględna. Opłakiwałem śmierć tego dziecka, jeszcze zanim została zamordowana. Arturo zabił tę ważną część niej, zanim jej dusza opuściła ten świat. Gdy kobieta ma w sobie tę dwoistą naturę, jeśli umrze jedna jej część, druga wkrótce do niej dołączy. Bo tylko dwie części stanowią całość, rozumiesz?

Opuściła ten świat. Opuściła mnie. Własnoręcznie. Na własne życzenie. Moja mama popełniła samobójstwo. Moja miłość do niej nie zdołała jej powstrzymać.

– Nie będę marnował czasu, który mi pozostał – dodał dziadek. – Powiem ci wprost, co myślę.

Zawsze tak robił.

Chciał coś dodać, ale na podjeździe pojawił się sznur samochodów. To goście przyjechali na kolację wydawaną na cześć Mariposy. Mężczyźni, wśród nich Rocco i jego bracia, byli przyszykowani na mecz baseballa. Mój dziadek nie rozmawiał przy nich o sprawach osobistych. Choć traktował wszystkich Faustich jak rodzinę, nie popierał ich stylu życia.

Zanim Marzio zginął, przyjaźnił się z moim dziadkiem. Pistolet trzymał Ettore, jeden z synów Marzio, ale nabój był przeznaczony dla najstarszego syna Luca oraz wnuka Marzio, Brando. Ettore chybił i postrzelił ojca. Marzio lubił spędzać czas z moim dziadkiem. Choć w wielu kwestiach mieli odmienne zdanie, darzyli się szacunkiem. Marzio w głębi serca był poetą i to jedno zawsze ich łączyło.

Poezja jest językiem miłości.

Jednak Pasquale Ranieri nie podzielał poglądu, że przemocą można osiągnąć pokój. Mój dziadek hołdował maksymie, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Marzio wychodził z założenia, że śmierć to śmierć. Spokojna lub nie.

Mój dziadek nie popierał moich wyborów życiowych. Nie ukrywałem przed nim swoich planów. Ani tego, kim byłem. Kochał mnie bez względu na wszystko, ale nie ukrywał, co na ten temat myśli. Uważał, że jego obowiązkiem jako mojego dziadka jest wskazanie mi właściwej drogi. Był przekonany, że winę za samobójczą śmierć jego córki ponosił jej mąż. Mój dziadek próbował odwieść moją matkę od poślubienia Arturo, ale była uparta. Wierzyła, że jej miłość uratuje go przed nim samym.

Ostatecznie nie obroniła się przed jego brutalnością. Nie szukał partnerki. Chciał mieć ładną zabawkę, którą mógł wyrzucić, gdy przestała mu być potrzebna. Jego ówczesny *capo* był pod wrażeniem pięknej Włoszki. Gdy tylko Arturo zjednał sobie jego względy, poślubiwszy ją, poderżnął mu gardło i stanął na czele rodziny. Od tamtego czasu ziemia pod jego stopami zawsze spływała krwią.

Gdy do ogrodu wkroczył Rocco wraz z braćmi i kilkoma wyżej postawionymi żołnierzami rodziny, dziadek odwrócił wzrok. Mężczyźni byli gotowi do meczu. Spojrzałem na dziadka, ale wiedziałem, że wróci do rozmowy dopiero po ich odejściu.

Tito wyprostował się i spojrzał na nas z uwagą. Poprawił okulary.

– Baseball to gra. Choć jest oparta na rywalizacji, powinna być przyjemna. Jeśli zobaczę, że ktoś łamie zasady, to… – Pogroził nam palcem. – Polecą głowy! – Ruchem ręki wykonał gest odcinania. – Przypominam, że doktor dziś nie prrracuje! – Gdy był wściekły, miał nawyk przedłużania głoski „r”.

Wszyscy, z wyjątkiem mojego dziadka, się roześmiali.

Rocco przysunął sobie krzesło i usiadł obok mnie.

– Musimy porozmawiać przed meczem.

– Chodzi ci zapewne o mężczyznę przy bramie – powiedziałem. – Arturo go przysłał.

– *Sì*. Nowy Jork zamienił się w pole bitwy. Przedstawiciele pięciu rodzin przyszli do mnie na skargę.

– Pięciu, powiadasz. – Uśmiechnąłem się szeroko. – A zatem poprosił cię o pomoc potężny Arturo Lupo Scarpone.

– Pomoc – potwierdził – lub informację. Myśli, że jest sprytniejszy ode mnie. Jego pytania miały ukryć jego prawdziwe intencje. Poprosił o zgodę na rozmowę z Lothario.

Lothario był wujem Rocco. Marzio miał pięciu synów, z których najstarszy otrzymał imię Luca. Niektórzy nazywali go przekleństwem. Był bardziej bezwzględny od ojca i z jakiegoś powodu wylądował w więzieniu w Luizjanie. Niektórzy twierdzą, że poszło o kobietę, matkę Brando, ale rodzina Faustich nie upubliczniała swoich tajemnic.

To Ettore miał stanąć na czele rodziny po śmierci ojca, ale ponieważ przypadkiem go zastrzelił, gdy próbował zabić Brando, jego miejsce zajął Lothario. Nie mógł równać się z ojcem ani tym bardziej z potężnym Lucą, ale był na tyle honorowy, że dotrzymał obietnicy, którą przed śmiercią złożył mi jego ojciec. Wszyscy członkowie rodziny Faustich żyli i umierali zgodnie ze ścisłym kodeksem zasad. Za swoje słowo ręczyli krwią. *La mia parola è buona quanto il mio sangue*.

Aby móc porozmawiać z Lothario, należało skorzystać z nieoficjalnych kanałów. Arturo w tym celu skontaktował się z Rocco.

Czy Arturo będzie próbował się dowiedzieć, czy jego syn żyje? Marzio udzielił mi dyspensy na dokonanie zemsty. Formalnie nadal byłem pod jego ochroną.

Nie zdziwiłem się więc, gdy Rocco powiedział:

– Lothario nie wyraził zgody na spotkanie, a ja nie chcę go w to w ogóle angażować. Jak wiesz, Fausti wypowiedzieli mu wojnę. – Położył rękawicę na kolanach.

– Lepiej, żeby Lothario o niczym nie wiedział. On realizuje własne interesy, z czasem i nim się zajmiemy, a na razie niech to zostanie między nami.

Przytaknąłem. Również wolałem go nie angażować w swoje sprawy. Po mieście chodziły plotki, że nie był tak honorowy jak reszta rodziny.

Rocco odwrócił rękawicę.

– Arturo negocjuje ze wszystkimi rodzinami. Choć są w stanie wojny, próbuje ich przekonać, że nie on ją wywołał, ale ktoś z zewnątrz. Uważaj. Teraz, gdy opadł kurz, niektórym otworzyły się oczy.

– Wszyscy patrzą na mnie – powiedziałem z uśmiechem.

Czas rozpocząć te pieprzone igrzyska. W pojedynkę grałem w grę przeznaczoną dla pięciu osób i zaczynałem się nudzić. Jeśli ktoś nie wie, że uczestniczy w grze, nie może oszukiwać, ale to się miało rychło zmienić.

Wstaliśmy. Rocco uścisnął moją dłoń i przyciągnąwszy mnie do siebie, poklepał serdecznie po plecach.

– Dość rozmów o interesach – powiedział. – Czas na mecz!

– Euuuuuu! – Romeo, brat Rocco, wydarł się wniebogłosy i wszyscy mężczyźni ruszyli w stronę boiska.

Rocco czekał na mnie.

– Dołączę do was później – powiedziałem.

Zerknął na mojego dziadka i przytaknął. Razem z Tito oddalili się w kierunku boiska.

Usiadłem obok dziadka. Spojrzał w dal.

– Na co patrzysz?

– Ja nie patrzę, Amadeo, ja myślę.

– Jasne – powiedziałem, ukrywając uśmiech. – Miałeś dokończyć myśl.

Spojrzał na mnie i zamierzył się, udając, że chce mnie uderzyć. Odsunąłem się i ramieniem osłoniłem twarz. Mimo że byłem już dorosły, dobrze wiedziałem, że jest gotów spuścić mi łomot, jeśli uzna, że żartuję sobie ze spraw, które uznawał za istotne.

Rękę nadal trzymał uniesioną w górze, ale po chwili uśmiechnął się do mnie. Pogłaskał mnie po głowie i burknął:

– Doprowadzasz mnie do szału! – Przytulił mnie mocno i pocałował w czoło.

– Gdy umrę, za tobą będę tęsknił najbardziej.

Na samą myśl o jego chorobie zabrakło mi tchu, jakby jadowity wąż przyduszał moje serce. Odkąd pamiętam, dziadek rzucał mi coraz to nowe wyzwania i starał się poszerzać moje horyzonty. On jedyny się mnie nie bał.

Wbiłem wzrok w ziemię.

– *Non voglio parlare di questo*. Nie chcę o tym mówić.

– Trzeba rozmawiać o rzeczach trudnych – odparł po włosku. – Inaczej nigdy sobie z nimi nie poradzimy.

Zapadła cisza. Nie mogłem na niego spojrzeć, więc wbiłem wzrok w ziemię. W głowie miałem kompletną pustkę. Dziadek spojrzał przed siebie, wyglądał na zamyślonego.

– Gdy Tito powiedział mi, co ci się stało – zaczął po włosku – po raz pierwszy od śmierci twojej matki rozmawiałem z Bogiem. Nienawidziłem go. Nie potrafiłem zrozumieć, jak to możliwe, że twoja babcia, która wiecznie się modliła, musiała przeżyć tak głęboką stratę. Cały czas modliła się o bezpieczeństwo swoich dzieci. Dlaczego On ich nie ochronił? Dlaczego nie przysłał naszej córki do nas, gdy tak bardzo nas potrzebowała? Wściekłość zżerała mnie od środka. Amadeo, jesteśmy tym, co kochamy. Pokochałem nienawiść. Łatwiej mi było nienawidzić, niż czuć się zapomnianym przez Boga, o którym ja nie zapomniałem nigdy.

Zamilkł, gdy minęło nas kilkoro moich kuzynów, którzy wyszli na spacer. Nie zatrzymując się, pomachali do nas. Po chwili, gdy byli już na tyle daleko, że nie mogli nas usłyszeć, dziadek wbił laskę w ziemię i podjął wątek.

– Gdy się urodziłeś, byłeś tak podobny do swojej matki, że od razu wiedziałem, że jesteś moim wnukiem. Arturo nazywał cię księciem, ale dla mnie zawsze byłeś moim chłopcem. Moim Amadeo. Moim własnym. Tito nie wiedział, czy z tego wyjdziesz. Po raz drugi w życiu stanąłem w obliczu straty. Gdy kogoś kochamy, wystawiamy się na łaskę i niełaskę życia i śmierci. Gdy kochamy, możemy wszystko stracić. To przypadek decyduje, czy nasza dusza ocaleje, czy przestanie istnieć. Cudowne jest to, że nawet jeśli wszystko utracimy, możemy wszystko zacząć od nowa. Trzymamy się kurczowo tej malutkiej cząstki, która w nas ocalała, tego kawałka żaru, który nie przestaje się tlić, i to on staje się fundamentem do odbudowy. Gdy

Tito powiedział mi, w jakim jesteś stanie, myślałem, że stracę i tę cząstkę. To by mnie zabiło. Tego bym nie przeżył. – Westchnął ciężko. – Pojechałem do kościoła i stanąłem pod krzyżem, miałem zamiar się targować. Powiedziałem: „Jeśli go uratujesz, w zamian ofiaruję Ci siebie. Są gorsze rzeczy niż śmierć, więc wybieram śmierć. Chcę, żeby mój wnuk żył. Chcę, żeby doświadczył miłości i tego, co dobre. Niech pokocha kobietę, dla której będzie gotów poświęcić wszystko. Niech dozna trudnej do opisania radości, która towarzyszy narodzinom dziecka. Niech zakocha się w swoim życiu! Niech prowadzi go miłość, a nie chęć zemsty”.

Spojrzałem na niego kątem oka. Gdy się do niego wprowadziłem, zachorował na raka.

– *Sì*. Wkrótce potem okazało się, że Bóg przystał na moje warunki. Uratował cię, ale ja stanąłem w obliczu śmierci. Jednak nie straciłem wszystkiego. Nadal mam przy sobie cząstkę Noemi. Ona żyje w tobie. – Oparł się o laskę, wbijając ją głębiej w ziemię. – Gdy zamieszkałeś z nami, powiedziano mi, że uratowałeś dziecko. Zaryzykowałeś swoje życie, żeby ją ocalić. Moja ofiara nie poszła na marne. Twoja także. Miałem nadzieję, że skoro przeżyła, to ci wystarczy. Jednak nienawiść nadal zżera cię od środka jak kwas. Poprosiłem Marzio, żeby ci pomógł, choć nie popieram jego metod. Jestem ulepiony z innej gliny, więc trudno mi go zrozumieć. Niekiedy nie rozumiem też ciebie, choć jesteś moim wnukiem, ale potrafię zrozumieć nienawiść. Kiedyś mnie również zżerała. Różnica między nami polega na tym, że ja przelewam nienawiść na papier, a ty sięgasz po miecz. Marzio mi odmówił. Powiedział, że jesteś dorosłym mężczyzną i jeśli będziesz chciał prosić go o pomoc, on będzie gotowy cię wysłuchać. Wiemy, że dotrzymał słowa, a w ciebie wstąpiło życie, choć czułeś na plecach oddech śmierci. To mi dało nadzieję. – Pogładził mnie po głowie i zmierzwił mi włosy. – Powiem ci zatem, co myślę, Amadeo. Myślę, że uwiodła cię niewinność tej dziewczyny, bo przypomina ci twoją matkę. Dlatego poświęciłeś się, żeby uratować Mariposę. Teraz wiesz, czym jest prawdziwe poświęcenie i dla kogo warto poświęcić duszę. Nie zmarnuj tej drugiej szansy, która jest ci dana, w imię czegoś, o czym jutro nie będziesz pamiętał. Nie broń się przed miłością, skoro mężczyzna, który siedzi obok ciebie, oddał z miłości do ciebie swoje życie. Pozwól, żeby miłość cię pochłonęła, ponieważ stajemy się tym, czemu ulegamy. Co cię czeka, jeśli

nie przestaniesz ulegać żądzy zemsty? Jaki los czeka tego motyla, za którego byłeś gotów oddać życie? Twoje poświęcenie pójdzie na marne. Zarówno twoje, jak i moje. Stanie się bezwartościowe, jeśli nie będziesz czuł niczego poza nienawiścią. Oto, co wiem.

16

CAPO

W wieczór przed naszym weselem wydaliśmy kolację dla najbliższej rodziny. Przy ogromnym stole zasiedli goście, śmiejąc się i biesiadując, w powietrzu pachniało dymem z pochodni, a w tle cicho przygrywała muzyka.

Byłem tak zajęty, że nie zdążyłem spędzić ani chwili czasu sam na sam z Mariposą, ale ciągle miałem ją na oku. Rozmawiała z Keely i jej rodziną. Powiedziała coś do ojca Keely, na co odezwała się jej matka. Mariposa posmutniała, przytaknęła, znowu coś powiedziała i odeszła ze spuszczoną głową.

Kurewsko mi się to nie spodobało. Obiecałem sobie, że dowiem się, co się stało, i zajmę się tym.

Po chwili Mariposa usiadła obok mnie. Miętoliła w dłoniach serwetkę.

– Powiedz mi, co się stało – poprosiłem.

– Nic.

Wstałem, wziąłem ją za rękę i powiedziałem, że pójdziemy na spacer do sadu. Obok nas przebiegła Keely, wyglądała na zdenerwowaną. Spojrzałem w kierunku jej rodziny, a następnie zerknąłem na Mariposę i pośpieszyłem ją.

W sadzie paliły się lampki, oświetlając nam drogę. Na specjalne okazje z pomocą pracowników rozwieszałem na drzewach setki solarnych girland świetlnych.

Mariposa odezwała się po chwili milczenia.

– Spacer po sadzie, powiadasz.

– Nie miałem okazji porozmawiać z tobą na osobności.

Sprzedała mi kuksańca.

– Masz pietra przed ślubem?

– Nigdy nie zmieniam zdania.

Spojrzałem na jej sukienkę. Wyglądała jak rzymska bogini. Sukienka była uszyta z błękitnego, prawie przezroczystego materiału. Miała odsłonięte ramiona, a przy porywach wiatru poły materiału powiewały niczym skrzydła. Choć suknia ciągnęła się po ziemi, zauważyłem, że jej nie unosi.

– Twój ulubiony kolor. Błękit. Pięknie ci w nim.

Spojrzała mi prosto w oczy i potknęła się o skrzynkę, którą ktoś zapomniał sprzątnąć. Zanim zdążyła upaść, w ostatniej chwili ją złapałem. Roześmiała się.

– Za dużo wina.

Przez cały wieczór nie wypiła nawet kropli.

– Tak się teraz bawi młodzież?

– Capo, czy ty zarzucasz mi kłamstwo?

– To zależy. Jeśli młodzież tak się teraz bawi, mówisz prawdę. – Wzruszyłem ramionami. – A jeśli kłamiesz, twój śliczny nosek urośnie jak nos Pinokia.

– Och! – Roześmiała się. – Ty kłamczuchu, jaki śliczny nosek?

– Jesteś zjawiskowa – powiedziałem. – W moich oczach jesteś najpiękniejsza.

Starła mi coś z twarzy.

– Jesteś tego pewien? – Podetknęła mi rękę pod nos. Była pomazana czerwoną szminką.

Gigi. Wcześniej pocałowała mnie w policzek, a Mariposa przy tym była. Widziałem, jak zaczęła ją przedrzeźniać. Roześmiała się i zatrzęsła cyckami, udając Gigi. Gigi tego nie zauważyła, ale ja tak. Nie zdążyły się nawet poznać. Dziwnym trafem cały czas się mijały. Gigi rozmawiała ze mną tylko wtedy, gdy Mariposy nie było w pobliżu.

– Mariposa, nie strzępię języka po próżnicy.

Zrobiła kwaśną minę, a ja powstrzymałem uśmiech. Nie chciałem się kłócić w noc poprzedzającą nasz ślub. Nie miałem powodu.

Zapadła cisza. Każde z nas było pogrążone w swoich myślach.

Pociągnęła nosem, wytrącając mnie z zamyślenia.

– Uwielbiam ten zapach. Przypomina mi moje nowe perfumy. – Uniosła nadgarstek, a ja powąchałem jej skórę. Perfumy pochodziły z tej samej manufaktury, co poprzednie, ale pachniały zupełnie inaczej. Wyczułem nuty kwiatu pomarańczy i morskiej bryzy. Oba zapachy pasowały do niej jak ulał, ale ten był naprawdę idealny.

Pocałowałem jej nadgarstek i złapałem ją za rękę.

– Tędy.

Poszliśmy w głąb sadu. Chciałem pójść jak najdalej, zostawić wszystkich daleko w tyle.

– Capo – wyszeptała, nie patrząc na mnie. – Dziękuję ci za to, co dla mnie zrobiłeś, to było bardzo miłe. Zamieniłeś danie główne.

Zanim Mariposa miała sposobność spróbować steku w Macchiavello’s, poprosiła wedding planerkę, żeby zaserwowano go na dzisiejszą kolację. Potem jednak zakochała się w makaronie z krabami. W ostatniej chwili poprosiłem planerkę, żeby zamieniła dania. Mariposa chciała mi podziękować, ale jej podziękowania były mi zbędne. Drobne uprzejmości stanowiły część obowiązującej nas umowy.

Kiwnąłem głową.

– Wspaniale sobie radzisz z moim dziadkiem. Twoje towarzystwo sprawia mu ogromną przyjemność.

Zesztywniała.

– Nasza umowa dotyczy tylko nas obojga – powiedziała z powagą. – Nikogo innego nie obejmuje. Lubię z nim spędzać czas i robię to dla przyjemności, a nie z poczucia obowiązku.

Nie chciałem jej urazić, a mimo to poczuła się urażona.

– Mariposa, powiedz, czy gdybyś się kiedyś zakochała, czy miłość wzięłaby górę nad obowiązującą nas umową?

– Umową? – prawie parsknęła, ale po chwili odparła: – Nie wiem, musiałabym pomyśleć.

Westchnąłem i wskazałem na dwie skrzynki, które leżały na ziemi.

– Jesteśmy na miejscu.

Poprosiłem, żeby usiadła, a ja zająłem miejsce obok.

Od naszego przyjazdu cały czas byliśmy otoczeni gromadą ludzi, więc miło było dla odmiany posiedzieć w ciszy. Gdy tu mieszkałem, często chodziłem na samotne spacery po sadzie. Przesiadywałem na skrzynce i oczyszczałem umysł z myśli. Świetnie mi się potem knuło.

– Capo, czy coś się stało?

Jej głos wyrwał mnie z zamyślenia. Spojrzała na mnie pytająco.

– Nie, delektuję się ciszą.

– Okay – wyszeptała.

Spuściła wzrok, a gdy wziąłem ją za ręce, spojrzała na mnie.

– Nie chciałem dawać ci tego przy wszystkich. Zależało mi, żebyśmy zostali sami.

Z kieszeni wyjąłem perłowy różaniec. Separatory były wysadzane szafirami, a krzyżyk był zrobiony ze szczerego złota. Umieściłem różaniec w zagłębieniu jej dłoni.

– Należał do twojej matki. Pomyślałem, że się ucieszysz. Możesz założyć go jutro na nasz ślub. Tym sposobem będziesz miała przy sobie coś starego.

– Należał do mojej matki… – wyszeptała oszołomiona, spoglądając na różaniec jak na bezcenny skarb. – Skąd go masz? – Gładziła perły w zamyśleniu, jakby próbowała coś sobie przypomnieć. Natknęła się na plamkę krwi i bezskutecznie próbowała ją zetrzeć.

– Twoja mama co wieczór modliła się z tobą. Odmawiałyście różaniec po włosku. Tamtej nocy, gdy zabrałem cię z domu, różaniec leżał obok twoich kolorowanek i poprosiłaś mnie, żebym go wziął ze sobą.

– Zatrzymałeś go.

– Oczywiście.

Po dłuższej chwili odłożyła różaniec i sięgnęła po coś. Podała mi małe pudełeczko.

– Wzięłam to ze sobą, gdy powiedziałeś, że chcesz iść na spacer. Pomyślałam, że dam ci to dzisiaj. Jutro musiałabym poprosić kogoś, żeby zabrał to do kościoła.

Uśmiechnąłem się na myśl o tym, że udało jej się schować pudełeczko w fałdach sukni. Ta drobna dziewczyna równie dobrze mogła mieć przy sobie nóż. Dotarło do mnie, jak bardzo jej ufam. Być może to nierozsądne, ale czym było kolejne nierozważne posunięcie, skoro i tak łamałem dla niej wszystkie swoje zasady.

Gdy otworzyłem pudełko, natychmiast spoważniałem.

– Twój jubiler już mnie pewnie nie znosi, bo znowu złożyłam zamówienie w ostatniej chwili. Pomyślałam… pomyślałam, że w dniu ślubu chciałbyś mieć przy sobie cząstkę swojej mamy. I wpadłam na to, chociaż masz ich tyle w domu.

Podarowała mi spinki do mankietów ze zdjęciem mojej matki.

– Mariposa…

Głos uwiązł mi w gardle.

– Pamiętaj o naszej umowie – wyszeptała. – Ja robię coś dla ciebie. Ty robisz coś dla mnie. Ty robisz coś dla mnie. Ja robię coś dla ciebie. Jesteśmy kwita.

Nie mogłem się z nią zgodzić, ale nic nie odpowiedziałem.

– Jest taka piękna – powiedziała, spoglądając na spinki. – Wyglądasz jak ona, tylko jesteś bardziej męski.

Uśmiechnąłem się.

– Jestem podobny do dziadka – powiedziałem. – Wyglądała jak on, tylko była bardziej kobieca. Miała jego rysy, tylko błękitny kolor oczu odziedziczyła po babci. Zasadniczo zatem wyglądam jak dziadek w czasach młodości.

– Tak czy inaczej – stwierdziła – w życiu nie widziałam równie pięknej kobiety.

Też tak myślałem, dopóki nie zobaczyłem ciebie. Odchrząknąłem, zatrzasnąłem pudełeczko i wstałem. Podałem jej rękę.

– Czas na nas, Motylku. Długi dzień jutro przed nami.

17

MARIPOSA

Przestań się wiercić, przestań się wiercić… – powtarzałam te słowa jak mantrę. Mamrotałam je pod nosem niczym zaklęcie. Po raz dziesiąty zajrzałam do kościoła. Był wypełniony po brzegi. Ściszone głosy przypominały bzyczenie roju pszczół. Dostałam gęsiej skórki.

Przestąpiłam z nogi na nogę.

– *Agitarsi*. Mari, przestań się wiercić.

Nie potrafiłam się uspokoić. Nerwy miałam napięte jak postronki. Ślub w Nowym Jorku był taki bezproblemowy, pięć minut i po sprawie. Ale ten? Ten coś znaczył.

Nonno siedział blisko ołtarza i rozmawiał z krewnymi i przyjaciółmi. Był uśmiechnięty i świetnie się dziś prezentował. Wyglądał zdrowo. Nie przestawał się śmiać, a każdego, kto proponował mu pomoc, odganiał gestem dłoni. Żył pełną piersią, a nie tylko starał się przeżyć. Poczułam, że wstępuje we mnie nadzieja. Skoro dziś czuł się tak dobrze, może lekarze mogli mu jeszcze pomóc.

Czyż szczęście nie jest najlepszym lekarstwem?

Tym bardziej zależało mi, żeby dzisiejszy dzień był idealny. Chciałam pójść do ołtarza z uśmiechem na ustach i z wysoko podniesioną głową. Jednak od rana prześladowały mnie wizje, w których wybucham śmiechem w najmniej odpowiednim momencie albo potykam się o własne stopy lub, nie daj Boże, o welon. Miał ponad dwa metry długości.

Spojrzałam na moją suknię. Aby się uspokoić, oparłam drżące dłonie o biodra. Suknia. Westchnęłam. Zakochałam się w niej od pierwszego wejrzenia. Była dość obcisła, miała długie rękawy, wycięte plecy i lekko

rozszerzany tren. Jednak najbardziej podobał mi się wzorzysty materiał, z którego została uszyta. Projektantka nazywała wzór „geometrycznym”.

Poprosiłam ją, żeby sukienka nawiązywała w jakiś sposób do motyla, ale żeby nie była przekombinowana. Chciałam, żeby podobnie jak mój pierścionek miała w sobie nutę ekstrawagancji i subtelnie nawiązywała do imienia, które nadał mi Capo. Mariposa. Zależało mi jednak, żeby inspiracja pozostała nieoczywista. To miało być coś intymnego, o czym wiedzieliśmy tylko my oboje.

Gdy zaszło słońce i rozbłysły świece, suknia ożyła. Koronka, którą obszyty był tren, i geometryczne żłobienia na materiale przywodziły na myśl białego motyla, który rozpościera skrzydła w zachodzącym słońcu. Światło padało na podłużne haftowane linie przypominające żyłki ułożone w poprzek jedwabistych skrzydeł.

Mariposa. Gdy wymawiał moje imię swoim głębokim, chrapliwym głosem, od razu czułam dreszcze. Powodem jego chrypki była blizna na krtani. Czasami popijał wodę, żeby złagodzić ból.

Na samą myśl o jego głosie poczułam się jeszcze bardziej spięta. *Mari, na pewno się potkniesz.* Poprzedniego wieczoru o mały włos się nie wywróciłam, bo spojrzał na mnie, a lampki rozwieszone na drzwiach sprawiły, że jego błyszczące oczy stały się jeszcze bardziej hipnotyzujące. Przywodziły na myśl powierzchnię oceanu, która srebrzy się światłem księżyca.

– Wszystko będzie dobrze, *bella* – usłyszałam cichy głos i poczułam wielką ulgę.

Scarlett. Ona i pozostałe kobiety, które poznałam na dziewczyńskim wieczorze, stały mi się bardzo bliskie, jak rodzina. Towarzyszyły mi od rana, sprawiły, że dzień przebiegł bez zakłóceń i w podniosłej atmosferze. Traktowały mnie jak członka rodziny, jak swoją. Przed wyjściem z domu pokazałam Scarlett różaniec matki. Nie wiedziałam właściwie, co z nim zrobić, a bardzo chciałam mieć go przy sobie podczas ceremonii.

Wzięła ode mnie różaniec razem z moim bukietem i obiecała, że odda mi go przed uroczystością.

– Mam nadzieję, że będziesz zadowolona.

Podała mi bukiet ułożony z setek kwiatów pomarańczy. Różaniec oplatał kwiaty u nasady, a spod wstążki z białego jedwabiu wystawał złoty krzyżyk.

– Jest… – Wzruszenie odebrało mi mowę.

Uśmiechnęła się.

– Nie musisz nic mówić. Jesteśmy rodziną. Na dobre i na złe.

Spojrzałam na nią i uśmiechnęłyśmy się do siebie.

Scarlett chwyciła mnie mocno za rękę.

– Chciałam ci to powiedzieć, gdy poznałyśmy się w Home Run, ale wtedy nie wiedziałam, kim jesteś. Jednak teraz, gdy cię poznałam… – Westchnęła. – Wiem, że komuś, kto podobnie jak ty przeżył piekło, trudno sobie wyobrazić noc tak piękną, że chciałoby się, żeby trwała wiecznie, ale uwierz mi, są takie noce. Amadeo…

– Mari.

Na dźwięk czyjegoś głosu odwróciłyśmy się jednocześnie.

Keely wślizgnęła się przez drzwi, które oddzielały zakrystię od kościoła. Spojrzała na mnie i na Scarlett.

– Mogę poczekać, jeśli…

– Nie. – Scarlett ścisnęła moją dłoń. – Właśnie wychodziłam.

Przytuliła mnie i wyszeptała do ucha:

– Los tak chciał. – I wyszła.

Gdy Scarlett zamknęła za sobą drzwi, Keely powiedziała:

– Gdy patrzę na rodzinę Faustich i ich żony, nie mogę przestać myśleć o gangach. Działają bardzo podobnie do nich. Przygarniają do siebie osoby, które nie mają nikogo. Sprawiają, że czują się ważne, bo nikt nigdy wcześniej ich nie zaakceptował.

Chwyciłam mocniej bukiet.

– O tym chciałaś porozmawiać tuż przed moim ślubem? Scarlett jest inna. Ma dobre serce. Podobnie jak rodzina Capo. To dobrze, że moja rodzina się powiększy. A ty nadal do niej należysz, Keely.

Machnęła ręką.

– Wiem. Może jestem trochę zazdrosna.

– Niepotrzebnie. Zawsze będziesz moją siostrą. A Scarlett i pozostałe dziewczyny są bardziej jak kuzynki.

Keely omiotła mnie wzrokiem do stóp do głów. Uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Mari, wiem, że się powtarzam, ale wyglądasz tak pięknie. Naprawdę. I obłędnie pachniesz.

Uśmiechnęłam się.

– To kwiaty pomarańczy.

– Jesteś jak motyl, ciągnie cię do słodkiego.

Odwróciła wzrok.

– Wiem, że nie powinnam teraz o tym mówić. Przepraszam cię, Mari. Przepraszam cię za moją mamę.

Zadrżałam i coś ścisnęło mnie za gardło, ale nie mogłam się rozkleić. Keely miała dobre intencje, ale teraz nie chciałam z nią rozmawiać o tym, co zrobiła jej mama. Podczas wczorajszej kolacji lekkomyślnie zapytałam ojca Keely, czy mógłby poprowadzić mnie do ołtarza. Rozpromienił się, ale zanim zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się Catriona.

– Nie – powiedziała. – Miło, że pytasz, ale on jest zmuszony ci odmówić. Ma jedną córkę i to ją pierwszą poprowadzi do ołtarza. Nie możesz odebrać jej pierwszeństwa.

Nie wiedziałam, dlaczego poczułam się tym tak zraniona. Może dlatego, że traktowałam ich jak rodzinę i czułabym się lepiej, mając u boku bliską osobę. Kogoś, kto znał mnie od dziecka.

Odruchowo przytaknęłam i uciekłam, udając, że nic się nie stało. Nie chciałam, żeby Capo zorientował się, że coś jest nie tak. Po tym, co sam zrobił Mervowi, bałam się, co będzie, jeśli dotrze do niego, że Catriona zrobiła mi przykrość.

Harrisona też nie mogłam o to poprosić z uwagi na to, co do mnie czuł. To dopiero byłoby perwersyjne.

Nieważne. Postanowiłam, że nie będę o tym myśleć.

– Keely – powiedziałam. – Nie przepraszaj za to, czego nie zrobiłaś. Rozumiem ją.

– Wiem, ale ona nie miała racji. Chcę, żebyś wiedziała, że mnie w ogóle by to nie przeszkadzało.

– Oczywiście, wiem. – Wyprostowałam się i pocałowałam ją w policzek. – A teraz idź zajmij miejsce. Chyba zaraz powinniśmy zacząć.

Przestań się wiercić. Przestań się wiercić. Przestań się wiercić. Przestań się wiercić.

Jednak po wyjściu Keely nie byłam w stanie przestać. Nieprzerwanie bawiłam się krzyżykiem, który wystawał ze ślubnego bukietu.

Zza drzwi wyłonił się wujek Tito. Na mój widok stanął jak wryty. Przyłożył dłoń do serca i zaczął naśladować jego bicie. A biło bardzo szybko. Pokochałam go równie mocno, jak Nonno.

Gdy wróciliśmy z wieczornego spaceru po sadzie, Capo powiedział, że musi jeszcze coś załatwić, i wysłał mnie do łóżka. Nie byłam senna, więc przysiadłam się do krewnych Capo i pogawędziłam z nimi jeszcze jakiś czas.

Gdy zaczęłam się zbierać, podszedł do mnie wuj Tito. Wziął mnie za rękę, przyłożył moją dłoń do serca i zapytał, czy wyświadczę mu zaszczyt i zgodzę się, żeby poprowadził mnie do ołtarza.

Opadła mi szczęka.

Skąd wiedział?

W oddali zamajaczyła sylwetka Capo. W świetle lampionów wyglądał jak błękitna zjawa. Przyglądał się nam.

– To byłby dla mnie zaszczyt, *farfalla*. – Wujek Tito nazywał mnie Motylkiem. – Mnie i mojej żonie nie było dane mieć dzieci, więc nigdy nie poprowadzę córki do ołtarza. To wiele by dla mnie znaczyło.

W odpowiedzi rzuciłam mu się na szyję. Był aniołem w przebraniu lekarza.

– *Farfalla* – szepnął, wyrywając mnie z zadumy. – Jestem dziś wdzięczny Bogu za jedno: za to, że mam oczy i mogę dziś na ciebie patrzeć.

Wziął moją dłoń i pocałował mnie w rękę.

– Czuję się zaszczycony, że mogę stać u twojego boku.

Popłakałam się, nigdy dotąd nie czułam się tak wzruszona. Nie miałam pewności, czy tak wzruszył mnie ten niski mężczyzna, czy po prostu przestałam się obawiać okazywania swoich uczuć. Nie bałam się już, że zostanę posiniaczona, poobijana i wykorzystana. Przestałam się martwić, że będę komuś coś winna.

Włochy mnie zmieniły.

Zmienił mnie czas spędzony z nim.

W kościele rozległ się cichy śpiew.

Już pora.

Wzięłam głęboki oddech.

Wujek Tito opuścił mój welon i wziął mnie pod ramię. Chwyciłam go mocno, żeby nie stracić równowagi.

Setki ludzi.

Setki.

Wszyscy patrzą na mnie.

Czekają.

Na mnie.

Kościelne wrota rozwarły się, setki zgromadzonych ludzi wstało z miejsc. Gdy stanęliśmy w nawie, rozległo się ciche zbiorowe westchnienie. Oczy wszystkich skierowały się na mnie. Ja jednak szukałam tylko jego wzroku.

Zmierzchało, światło świec płonących wzdłuż nawy przebiło się przez delikatny materiał mojej sukni jak przez kościelny witraż i uwidoczniło jej każdy misterny detal. Byłam jak budzący się do życia motyl.

Capo czekał na nas przy ołtarzu. Uścisnął dłoń wuja Tito, który powiedział, odchodząc:

– Wziąłem odpowiedzialność za tę piękną dziewczynę, a ty, biorąc ją za żonę, stajesz się za nią odpowiedzialny do końca swoich dni.

Capo uśmiechnął się szeroko i poklepał go po plecach. Wuj Tito uniósł mój welon, pocałował mnie lekko w policzek i usiadł obok swojej żony, ciotki Loli.

Capo podał mi rękę, a ja chwyciłam ją z radością. Nigdy dotąd nie pragnęłam być bliżej niego. Jego pewność siebie była zaraźliwa i dodawała mi otuchy. Głowę trzymałam dumnie podniesioną, ale czułam, że po policzku spływa mi łza. Powinnam ją otrzeć. Pojawiła się tak nagle. Nie chciałam, żeby ktokolwiek ją zobaczył.

Zerknęłam na Capo i pomyślałam: *niech ją zobaczy*.

Niech zobaczy całe dobro i zło, to, co brudne, i to, co czyste, brzydotę i piękno, szczęście i smutek.

Niech zobaczy mnie całą.

Nie boję się żyć.

Rzuciłam sobie wyzwanie, by żyć, by pokazać wreszcie, jaka jestem naprawdę. Zdobyłam się na to, by się odsłonić, i dałam mu dostęp do moich najmroczniejszych tajemnic.

– Śpiewa Bocelli – wyszeptał Capo, gdy podeszliśmy do księdza.

– I Pausini. – Uśmiechnęłam się, ściskając go za rękę. – Ten fragment mnie uspokaja. Pomyślałam, że pomoże mi się wyciszyć.

Stanęliśmy przed księdzem i zwróciliśmy się ku sobie. Wziął moje dłonie w swoje.

Słowa zostały wypowiedziane. Obietnice zostały złożone.

Wsunął mi na palec nową obrączkę wysadzaną szafirami i diamentami. Ja włożyłam na jego palec tę samą obrączkę, którą podarowałam mu w Nowym Jorku. *Il mio capo*.

Zanim ksiądz ogłosił nas mężem i żoną, Capo nachylił się, scałował mi z policzka kolejną łzę, a następnie przypieczętował przysięgę, całując mnie w usta.

Tutto suo. Tutto mio. Per sempre.

Cała jego. Cały mój. Na zawsze.

W powietrzu unosiły się tysiące motyli i przystrajały niebo wszystkimi kolorami tęczy. Bukiety z kwiatów pomarańczy, które zdobiły stoły, spryskano motylim nektarem. Może maczały w nim czułki, zanim odfruwały, rozprostowując skrzydła? Na moim ramieniu wylądował błękitny motyl i po chwili odleciał.

To była niespodzianka od Capo. Kolejną niespodzianką było to, co właśnie robiliśmy.

– Nie wiedziałam, że miałeś w planach coś takiego – zdziwiłam się.

Mój mąż wyciągnął mnie na parkiet, który został rozstawiony za willą dziadka. Setki gości oglądało nasz pierwszy taniec jako świeżo poślubionych *marito e moglie*.

Kołysaliśmy się w rytm muzyki, a on nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Ty zrobiłaś coś dla mnie. Ja zrobiłem coś dla ciebie.

– Aha. – Uśmiechnęłam się. – Laska za Bocellego. – Capo nigdy nie mówił o mojej ulubionej piosenkarce inaczej niż „ta laska”.

Jako podkład muzyczny do naszego pierwszego tańca zamówił kawałek, którego słuchaliśmy w drodze na imprezę Keely. Gdy rozległy się pierwsze takty, wybuchnęłam śmiechem, bo myślałam, że żartuje. Jednak gdy wyciągnął do mnie rękę i spojrzał na mnie z powagą, dałam mu się porwać do tańca. Kołysaliśmy się w rytm piosenki, o której kiedyś powiedział, że brzmi jak kawałek z filmu Tima Burtona.

– Wiesz, co to znaczy, prawda?

Obrócił mnie i po chwili wylądowałam w jego ramionach z cichym okrzykiem. Świetnie tańczył. Gdy oparłam dłoń na jego ramieniu, moja obrączka zamigotała błękitem jak jego oczy. Była prosta i delikatna. Pasowała do mojego pierścionka zaręczynowego, ale była od niego lżejsza.

– Zobaczysz, stracisz dziś głowę. Zabraknie ci rozwagi, tak jak i mnie.

Uśmiechnął się leniwie.

– Tak ma być. Ślub wymaga przytomności, ale wesele… – Wzruszył ramionami, napinając szytą na miarę marynarkę. – Na weselu wręcz wypada stracić głowę. Wesele trzeba uczcić.

W istocie.

Nigdy dotąd nie bawiłam się tak dobrze. Goście śmiali się, tańczyli i jedli. Zrozumiałam dziś, co Scarlett miała na myśli, gdy powiedziała, że są noce, które powinny trwać wiecznie.

Chciałabym mieć magiczny słój.

Chcę złapać księżyc na lasso.

Chciałam zamknąć w magicznym słoju tę noc, księżyc, śmiech i ciepłe powietrze i zachować do końca swoich dni. Tak sobie wyobrażałam niebo.

Ta noc należała do mnie i do niego. Do nas.

Jedynym zgrzytem był przyjazd Harrisona i obecność Gigi. Poinformowano mnie, że Harrison nie przyjedzie. Uznałam, że zważywszy na okoliczności, tak będzie najlepiej. Choć nie było go w kościele, pojawił się jednak na przyjęciu jako nieproszony gość.

Harrison poprosił mnie do tańca. Zgodziłam się niechętnie. Nie chciałam niepotrzebnych problemów. Nigdy dotąd nie przeżyłam tak wspaniałego dnia ani nocy.

– Pięknie wyglądasz, Strunko – powiedział.

Poruszał się inaczej niż Capo. Nasz taniec był swobodniejszy. Przy Capo miałam motylki w brzuchu.

– Jesteś szczęśliwa?

Spojrzałam na niego.

– Tak, Harrison, jestem. Naprawdę.

– Do czasu – skwitował.

Starałam się wyswobodzić z jego uścisku, ale nie chciał mnie puścić.

– Nie rób tego – wyszeptałam błagalnie.

Spojrzał na mnie i pocałował mnie w policzek. Zamknęłam oczy, nie chciałam widzieć smutku w jego oczach.

– Jeśli twierdzisz, że jesteś szczęśliwa, nie pozostaje mi nic innego, jak się z tego cieszyć. Ale będę czekał. Jeśli on cię skrzywdzi, zabiorę cię do domu. Pamiętaj o tym, Mari.

Pokręciłam głową.

– Harrison, nie rozumiesz mnie. To nie jest takie proste. Jestem… – Słowa uwięzły mi w gardle. Zresztą to nie była jego sprawa. – Jestem u siebie.

W tym momencie pojawił się Capo i rozdzielił mnie z Harrisonem. Był zirytowany. Nie żartował, gdy mówił, że nie lubi się dzielić. Wiedziałam, że chciał mi zrobić przyjemność, zapraszając na wesele rodzinę Keely, ale nie mógł zapomnieć o tym, co wydarzyło się w domu Harrisona. Widziałam też, z jaką wrogością patrzył na matkę Keely.

Powiedziała mu, że widzi, jak bardzo jest związany ze swoimi bliskimi, wtedy przedstawił jej swoją definicję rodziny, dodając na końcu:

– Rodzina to ludzie, którzy są z tobą na dobre i na złe niezależnie od więzów krwi. Jeśli cię opuszczą, przestają się liczyć. – Odniosłam wrażenie, że dał jej do zrozumienia, że to ona nic nie znaczy. Niezależnie od jego zastrzeżeń do matki Keely miałam nadzieję, że nas to nie poróżni. Wystarczyło mi, że miałam już problem z Harrisonem.

Gdy wuj Tito odbił mnie z ramion Capo, Gigi poprosiła go do tańca. Pasowała do niego. Miała jedwabiste czarne włosy, ostre rysy i kocie oczy. Nie była wysoka, ale za to kształtna. Usta zwykle miała pomalowane na krwistoczerwony kolor. Gdy Capo zauważył, że im się przyglądam, zwróciłam się ku wujowi Tito.

Postanowiłam nie zaprzątać sobie nią głowy. Capo ożenił się ze mną. Byliśmy związani umową i niezależnie od tego, co ich łączyło, obiecaliśmy sobie wyłączność.

Dlaczego tak mnie boli, gdy patrzę, jak się do niego przytula? Dlaczego boję się, że podoba mu się bardziej niż ja?

Scarlett uratowała mnie od moich szaleńczych myśli. Wyciągnęła mnie na parkiet, gdy didżej puścił szybszy kawałek. Dołączyłyśmy do dziewczyn.

Byłam mokra od potu, twarz bolała mnie od śmiechu i po raz pierwszy w życiu cieszyłam się, że bolą mnie nogi. Tańczyłam tyle, że w końcu otarłam sobie pięty.

Capo wziął mnie na stronę, posadził na ławce pod altanką obrośniętą winem i usiadł obok. Zdjął mi szpilki, odłożył je na ziemię i zaczął

masować mi stopy. Zamknęłam oczy i było mi tak dobrze, że zaczęłam wydawać z siebie jakieś nieprzyzwoite odgłosy. Było mi wszystko jedno. Pod jego dotykiem ból ustępował jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Miło mieć przyjaciela – powiedziałam z uśmiechem – który ma tak sprawne dłonie.

– Sprawne dłonie, powiadasz?

Było ciemno, ale wiedziałam, że się uśmiecha.

– Miło mieć przyjaciółkę – powiedział, zwiększając nacisk tak bardzo, że jęknęłam – która tak reaguje na mój dotyk.

– Przyjaciele nie powinni prowokować przyjaciół do wydawania zawstydzających odgłosów.

Mój żart był tak beznadziejny, że aż się roześmiałam z zażenowania.

Gdy zamilkłam, Capo nachylił się i pocałował mnie. Przywarłam do niego, a moje dłonie zaczęły błądzić wolno po jego klatce piersiowej i ramionach.

Poczułam głód pożądania.

Jego język złączył się z moim. Zaczął powoli, ale gdy otworzyłam się na niego, stał się gwałtowniejszy. Byłam zdana na łaskę mojego pragnienia. Gdy mnie całował, traciłam poczucie tego, kim jestem, czułam, że się w nim zatracam. Wszystko inne przestawało mieć znaczenie.

Podczas jednego z dziewczyńskich wieczorów Scarlett powiedziała, że dawno temu ludzie wierzyli, że pocałunkiem można skraść czyjąś duszę.

Im dłużej Capo mnie całował, tym bardziej się w tym zatracałam.

Kiedyś byłam gotowa oddać nerkę za kawałek steku. Pragnęłam żyć, nawet kosztem części siebie.

Czy to normalne, że byłam gotowa oddać część siebie mężczyźnie, którego nazywałam swoim mężem?

Szarpnęłam jego elegancką koszulę, nie chciałam zepsuć tej chwili. Pragnęłam jego dotyku i jego życiodajnych pocałunków.

Daję mu coś, bez czego nie mogę żyć. On daje mi coś, bez czego sam nie może żyć.

Pragnęłam. Pragnęłam. Pragnęłam. Chciałam więcej.

Czy rzeczywiście byłam gotowa oddać mu serce w zamian za zaspokojenie potrzeby intymności?

Przerwał pocałunek i dopiero po chwili dotarło do mnie, że się rozdzieliliśmy.

On i ja. Osobno.

Zamknęłam oczy i zasłoniłam usta, nie chciałam ujawniać swoich uczuć.

Utrata.

Na samą myśl, że mogłabym go stracić, strach ścisnął moje serce i ogarnęło mnie przerażenie. Nie mogłam otworzyć oczu, żeby spojrzeć lękowi prosto w twarz, ani otworzyć ust, żeby powiedzieć mu, żeby się odpieprzył, bo nie chciałam utracić tego, czego właśnie doświadczyłam. Chciałam delektować się tą chwilą.

Nagle w oddali rozległ się odgłos wybuchu. Z przerażenia omal nie wyskoczyłam ze skóry.

– Mariposa, otwórz oczy – powiedział Capo.

Rozejrzałam się. Nad naszymi głowami eksplodowały fajerwerki, rozjaśniając niebo feerią barw. Goście tłoczyli się radośnie, zadzierając głowy.

Capo złapał mnie za podbródek, zmuszając, żebym na niego spojrzała.

– Ta twoja suknia. Widzę twoje skrzydła, Mariposa. Masz skrzydła z jedwabiu.

– Zauważyłeś – powiedziałam.

W drodze na przyjęcie skomplementował mnie po włosku, ale dotąd nie zająknął się na temat ukrytej symboliki mojej sukni.

– Starannie dobieram słowa. – Uśmiechnął się szeroko. – Wszystko ma swój czas i miejsce.

Odpowiedziałam mu uśmiechem.

– Przyprowadziłeś mnie tu, żeby mi to powiedzieć?

– Chciałem to zrobić na osobności – dodał.

Uśmiechnęłam się jeszcze radośniej.

– Zrozumiałeś ukryty przekaz. To był taki mały żart przeznaczony tylko dla ciebie.

– Nie nazwałbym tej sukni żartem. – Zaczął wodzić palcem po moim ramieniu. Rękawy sukienki były uszyte z koronki, ale zdobił je ten sam liniowy haft. – Ale cieszę się, że jest coś, o czym wiemy tylko my. – Trasa jego palca wiodła od obojczyka do dekoltu i skończyła się tuż przy moim sercu.

Przytrzymałam jego dłoń, nie chcąc, żeby ją zabierał. Spojrzałam mu w oczy. Patrzył na mnie z taką intensywnością, że po dłuższej chwili odwróciłam wzrok i skierowałam go na niebo.

– Nie rób tego – powiedział.

– Czego mam nie robić? – zapytałam, patrząc na fajerwerki.

Delikatnie obrócił ku sobie moją twarz.

– Nie odwracaj wzroku.

Zajrzał mi głęboko w oczy, ale nie byłam pewna, czego w nich wypatrywał. Po chwili jednak zorientowałam się, że znalazł to, czego szukał. Poczułam, że coś się we mnie otwiera.

– Amadeo.

Capo nie przestawał na mnie patrzeć. Po dłuższej chwili spojrzał na ochroniarza. Odwróciłam wzrok, marzyłam, żeby sobie poszedł i nie odbierał nam tej chwili. Obecność ochroniarza oznaczała, że działo się coś niedobrego, a ja nie chciałam, żeby jakakolwiek wojna, która toczyła się za bramą posiadłości, zakłóciła nasz wspólny wieczór. Ani teraz, ani za sto lat.

Omiotłam wzrokiem zgromadzonych gości, podczas gdy Capo rozmawiał z mężczyzną w dialekcie sycylijskim. Zabawa trwała w najlepsze, podobnie jak pokaz fajerwerków. Harrison tańczył z Gigi. Co jakiś czas rozglądał się na boki. Wyglądał, jakby kogoś szukał.

– Chce widzieć, że jesteś o niego zazdrosna.

Zamrugałam, słysząc głos Capo. Oderwałam wzrok od parkietu i spojrzałam na niego.

– On… że co?

– Chłoptaś Harry. Tańczy z Gigi, żeby wzbudzić twoją zazdrość.

A ty? Jesteś zazdrosny, że ona z nim tańczy? Chciałam wypowiedzieć tę myśl na głos, ale się powstrzymałam. Nie miała wstępu na mój teren. Nawet jeśli był o nią zazdrosny, uznałam, że to nieważne. Łączyła nas umowa. To ze mną wracał do domu.

– Niepotrzebnie traci czas. Wszystko w porządku? – zapytałam po chwili wahania.

Westchnął i podniósł z ziemi moje szpilki. Wyciągnął do mnie rękę. Poszliśmy w stronę parkietu. Zaprzeczył, ale i tak wiedziałam, że coś się stało.

Przed domem gromadziło się coraz więcej ochroniarzy. Widać było, że zostali postawieni w stan najwyższej gotowości. Kilku z nich stanęło w pobliżu Nonno, który był pijany, a w dodatku zataczał się ze śmiechu.

Capo lekceważąco machnął ręką. Szpilki, które trzymał w dłoni, klekotały przy każdym ruchu. – Mieliśmy nieproszonego gościa.

– Czy to ktoś, kogo znam?

– Nie. – Nagle przystanął. – Jak minął ci wieczór, Mariposa?

– To najlepszy wieczór w moim życiu – odpowiedziałam szczerze. – Gdybym mogła zatrzymać czas, zostalibyśmy w altance do końca życia.

– Kończymy?

Przytaknęłam, choć nie wiedziałam do końca, o co pyta.

– Powinienem wyrażać się jaśniej.

Obrócił mnie do taktu szybkiej piosenki.

– Idziemy się położyć?

– Aaa. – Roześmiałam się. – Tak, jeśli chcesz.

W końcu to było także jego wesele.

Spojrzał na roześmianego dziadka, który palił cygaro z wujkiem Tito, a następnie zerknął w kierunku ochroniarzy, którzy szli w stronę bramy.

– Ostatni taniec – powiedział z determinacją w głosie.

Zabrzmiało to jak wyzwanie.

Po czterech kolejnych kawałkach, które przetańczyłam boso, w sukience z poplamionym trenem, ruszyliśmy w stronę naszej willi, odprowadzani

przez szpaler spryskiwaczy.

Willa ukryta na tyłach posesji była staroświecka i niewielka, ale ktoś zadbał, żeby było w niej romantycznie i przytulnie. Okazało się, że w środku jest bardzo ciepło, tak jakbym na połach sukienki przyniosła ze sobą letnie wieczorne powietrze. Mrok rozświetlały setki świec płonących wokół ceglanego kominka. Pomieszczenie wyglądało jak wyjęte ze stron pisma o pięknych wnętrzach. Zapach kwiatów pomarańczy oszałamiał.

Wiedziałam, że o nastrój zadbały ciotki Capo. W swoich sklepach sprzedawały cztery rodzaje świec: o zapachu kwiatów pomarańczy, cytrynowe, pistacjowe i czekoladowe. W końcu zrozumiałam, dlaczego w klubie pachniało czekoladą. Capo najwyraźniej kupował te świece na tony.

Pośrodku pomieszczenia stało ogromne drewniane łoże z rzeźbionym wezgłowiem. Pościel miała złoty kolor i była świeżo wykrochmalona. Przykrywała ją miękka, gruba narzuta. Pomiędzy dużymi poduszkami leżała czerwona róża. Nad łóżkiem wisiał drewniany krzyż.

– Ty czy ja?

– Ty czy ja…? – Odwróciłam się i spojrzałam na Capo. Zdjął krawat i rzucił go na fotel, miał rozpiętą koszulę. Rękawy zdążył podwinąć wcześniej.

Gdy tak stał przy kominku, bardzo mnie onieśmielał i to nie tylko swoim wyglądem.

Wrócił lęk, który dopadł mnie w altance, i poczułam, że brak mi tchu.

– Prysznic. – Kiwnął głową w stronę uchylonych drzwi.

Spuściłam wzrok. Stopy miałam bose i brudne, ale na szczęście udało mi się ich nie pokaleczyć. Zawdzięczałam to Capo, który uparł się, że weźmie mnie na ręce. Chciał przenieść mnie przez próg, ale mu nie pozwoliłam.

– Nie powinniśmy pocałować się na szczęście? – zapytałam.

Roześmiał się cicho, ale mnie pocałował. Pocałunek trwał tylko chwilę, ale i tak poczułam, że tracę głowę.

– Idź pierwszy – zaproponowałam. – Chciałabym jeszcze przez chwilę posiedzieć w mojej sukience. Będę ją miała na sobie tylko ten jeden raz. Szkoda, żeby…

Podszedł i pocałował mnie, złapał mocno za włosy i przyciągnął do siebie. Gdy w końcu mnie puścił, miałam zaciśnięte powieki.

– Twoje usta drżą.

Uśmiechnęłam się, ale czułam, że moja dolna warga naprawdę lekko drży.

– Nie zapytały cię o zgodę, Capo.

Wziął mnie za rękę i pociągnął w stronę łazienki.

– Co robisz?

– Ze mną będziesz bezpieczniejsza. W łazience nie ma okien.

– Dlaczego? Coś się stało?

– Mieliśmy kilku nieproszonych gości.

Kilku?

– Wiesz, kim są?

Puścił moją dłoń i odkręcił prysznic. Gdy woda zaczęła płynąć wąskim strumieniem, zdjął koszulę i cisnął ją na fotel obok lustra. Rozpiął spodnie i rzucił je na koszulę. Zdjął skarpetki, a na końcu bokserki.

Był szczupły i umięśniony. Miałam rację co do pytona. Rozmiar jego członka tylko pogłębił mój niepokój i naprawdę budził respekt. Był piękny.

Gdy zajrzał mi w oczy, dotarło do mnie, że mu się bezceremonialnie przyglądałam.

– Nie chciałam się gapić…

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie chciałaś? A może chciałaś, ale ci głupio, bo cię przyłapałem?

Wzruszyłam ramionami.

– Słyszałam, że nie wypada się gapić.

Wybuchnął śmiechem.

– Nie wypada tylko wtedy, jeśli to, na co się gapisz, nie należy do ciebie. – Westchnął z niejaką satysfakcją. – Lubię, kiedy się na mnie gapisz, Mariposa.

– Ja też lubię, kiedy ty gapisz się na mnie – wyszeptałam.

Wszedł pod prysznic i zamknął drzwi kabiny. Ledwo się w niej mieścił. Był wysoki i miał szerokie bary. Przynajmniej wanna była na tyle duża, że z powodzeniem zmieściłyby się w niej dwie osoby.

Miał umięśnione plecy. Przy każdym ruchu mięśnie się napinały. Jego skóra lśniła od wilgoci i światła świec. Usiadłam na krześle, bo nie miałam już siły stać, ale nie chciałam spuszczać go z oczu. Na sam jego widok czułam pulsowanie między nogami. Moje podbrzusze było ściśnięte jak pięść. Moje piersi były obolałe i ocierały się o materiał sukienki przy najmniejszym ruchu.

Oblizałam usta. Przełknęłam ślinę. Chciałam się ocierać o niego.

Gdy się odwrócił, otarł się penisem o szklane drzwi kabiny. Zaczął się myć, nie odrywając ode mnie wzroku. Jego kutas podskakiwał przy każdym dotyku. Gdy jęknęłam cicho, zmrużył oczy, a jego spojrzenie stało się poważniejsze.

Czułam, że za chwilę zemdleję. Było duszno i parno, a jego widok sprawiał, że miękły mi nogi.

– Czy coś nam grozi? – zapytałam.

Czy mnie coś grozi? Pytam o ciebie, nie o nich.

Zamrugał, jakby nagle przypomniał sobie, że stoi przed nim dziewczyna w bieli, a nie w czerwieni. Magia chwili prysnęła, a on zaczął spłukiwać z siebie mydło.

– Wszystkim nam coś grozi, Mariposa. Niektórym bardziej niż innym.

– Zgaduję, że masz na myśli nas.

Przytaknął i zakręcił wodę. Podałam mu ręcznik. Wziął go ode mnie, po czym odwrócił się i zaczął grzebać w torbie, przy okazji wypinając swoje zgrabne pośladki. Owinął ręcznik wokół bioder.

Wstałam i spojrzałam w lustro. W odbiciu zobaczyłam, jak podchodzi do mnie od tyłu. Gdy przystanął, poczułam ciepło promieniujące od jego

rozgrzanego ciała.

Odgarnął mi włosy i pomógł rozpiąć górną część sukni. Mój samonośny biustonosz zalśnił bielą. Nie odrywając ode mnie wzroku, pocałował mnie w kark, wodząc dłońmi po moich ramionach.

– Motyle nie przepadają za niektórymi kolorami. Wiesz, o jakie kolory chodzi? – Jego głos był cichy, chrapliwy.

– Nie – wyszeptałam. Ton jego głosu i delikatny dotyk spowodowały, że poczułam przeszywający mnie dreszcz. Zadrżałam.

– *Ti piace la mia bocca sulla tua pelle. Tremi per me* – mówił tak cicho, jakby słowa kierował bardziej do siebie niż do mnie. Powiedział, że lubi, gdy drżę pod jego dotykiem i jak gdyby nigdy nic wrócił do wątku motyli. – Nie przepadają za niebieskim i zielonym.

Spojrzałam mu w oczy. Były jasnobłękitne.

– Całe szczęście, że nie jestem prawdziwym motylem, bo odleciałabym w bezpieczne miejsce, gdy tylko zobaczyłam twoje oczy.

– Całe szczęście.

Zaczął wodzić językiem po moim karku, powoli schodząc coraz niżej. Zatrzymał się na wysokości krzyża i wytyczył trasę powrotną mocnymi pocałunkami. Złapał mnie za biodra i zakołysał mną, przywierając do mnie całym ciałem.

– Gdybyś tylko wiedziała, jakie miałem fantazje na twój temat, wtedy gdy ujrzałem cię w klubie, uciekłabyś na pewno.

– Nie. – Nabrałam powietrza i powoli odetchnęłam. – Odkąd cię poznałam, już nie mogę odlecieć. Podobają mi się wszystkie odcienie niebieskiego. To mój ulubiony kolor. Czuję, że działa na mnie kojąco.

Zaczął masować mi piersi i po chwili zdjął mi stanik. Muskał moje sutki tak delikatnie, że jęknęłam.

Wtuliłam się w niego plecami i poczułam, jakbym stapiała się z nim w jedno ciało.

– Ja… – wydukałam z trudem – muszę iść pod prysznic.

Kiwnął głową i pocałował mnie w szyję, ustami wyczuwając mój puls. Włożył dół od piżamy.

– Poczekaj – powiedziałam, gdy ruszył w kierunku drzwi. Kręciło mi się w głowie. – Dokąd idziesz?

– Tu nie ma okien, Mariposa. Jesteś bezpieczna.

I wyszedł.

18

MARIPOSA

Gdy weszłam do sypialni, spał z głową opartą o zagłówek, z laptopem na kolanach. Podeszłam na palcach, wcierając w ręce resztki balsamu. Im byłam bliżej, tym bardziej uważałam, żeby go nie obudzić. Miał lekki sen. Dotąd nie zdarzyło się, żeby zasnął przede mną. Najczęściej to ja zasypiałam pierwsza, a gdy budziłam się w nocy, zwykle jeszcze pracował.

Jednak we Włoszech przesypiałam całe noce. Nie sądziłam, że on też.

Włosy nadal miał wilgotne, pachniał jak ocean. Musiałam się powstrzymać przed pogłaskaniem go po policzku. Gdy spał, wyglądał na spokojniejszego, ale jego twarz wykrzywiał grymas. Krzywił się tylko podczas snu, tak jakby za dnia pamiętał, że musi panować nad mimiką. Powiedziałam mu, że jak tak dalej pójdzie, nabawi się przedwczesnych zmarszczek, ale odparł, że blizny i zmarszczki mu nie przeszkadzają, bo przypominają mu o drodze, którą przebył.

Podeszłam bliżej i sięgnęłam po laptop.

– Wilk zasnął – wyszeptałam.

Gdy dotknęłam komputera, chwycił mnie za rękę.

– Nie śpię, daję odpocząć oczom.

Gdyby powiedział to ktoś inny, zareagowałabym śmiechem, ale jemu uwierzyłam na słowo. Nigdy nie przestawał czuwać.

Powoli otworzył oczy. Omiótł wzrokiem moją nocną koszulkę z czerwonego jedwabiu.

– Jestem gotowa – wyszeptałam. Mój głos był spokojny, ale drżałam, jakbym dygotała z zimna. Czułam, że w środku płonę.

Nie pomógł mi nawet chłodny prysznic. Gdy wyszedł, zostawił mnie tak rozgrzaną, że nie ostudziła mnie nawet lodowata woda. Kiedy przestałam

się bronić, poczułam wewnętrzną pustkę. Pustka domagała się wypełnienia, a miejsce paraliżującego strachu zajęła dojmująca potrzeba dotyku. Wszystko inne przestało się liczyć. Wiedziałam, że nadszedł czas.

Teraz.

Spojrzał na mnie i wrzucił laptop do torby. Zerwał się z łóżka i jednym susem znalazł się przy mnie. Myślałam, że będzie delikatny, ale było zupełnie na odwrót. Był brutalny. Chwycił mnie za włosy i gwałtownie wpił mi się w usta. Całował mnie tak, że nie byłam pewna, czy nie pękła mi warga.

Odwzajemniłam jego pocałunek, a moje dłonie błądziły po jego ciele, szarpiąc go i drapiąc. Gdy wbiłam mu paznokcie w plecy, syknął i chwycił mnie jeszcze mocniej.

Przycisnął mnie do ściany, przerywając pocałunek. Ocierał się zarostem o mój policzek, a skóra paliła mnie jak ogień. Używał zębów i języka. Dłońmi objął moje piersi, które wysunęły się z jedwabnej koszulki, a gdy przygryzł mój sutek, ugięły się pode mną kolana. Impuls powędrował prosto do mojego krocza.

– Przyszłaś do mnie w czerwieni – powiedział i łapczywie całując, chwycił mnie za pośladki. Wbił mi palce w skórę, przyciskając do ściany. Moja miękkość wyczuwała jego twardość. Byłam ciekawa tego, co poczuję, gdy we mnie wejdzie. Co poczuję, gdy mnie posiądzie. Przedtem, gdy myślałam o tym zbyt długo, zaczynałam się niepokoić, teraz jednak nie pragnęłam niczego innego.

– Chciałeś ognia w łóżku – ledwo wydukałam.

Jęknęłam, gdy zaczął ssać i gryźć moją szyję.

– *Sono tutta tua, capo*. Jestem cała twoja, szefie.

– Złap mnie za szyję i obejmij nogami.

Zrobiłam, o co poprosił, a on podniósł mnie, przytrzymując za pupę. Pocałował mnie i ruszył w stronę łóżka. Posadził mnie na pościeli i pożerając wzrokiem, zaczął łapczywie całować.

– Jesteś kurewsko piękna. – Wysunął dolną szczękę. – *Mia Mariposa*.

Przysunęłam się do niego i rozsunęłam nogi, jednym ruchem ściągając mu spodnie. Był nagi, a jego członek prężył się dumnie, nigdy dotąd nie

widziałam nic równie erotycznego.

Zbliżył się, a ja przesunęłam się w górę łóżka, robiąc mu miejsce. Ponownie przywarł ustami do moich, unieruchamiając mnie swoimi mocnymi jak stal ramionami. Zaczął mnie lizać, gryźć i drażnić. Wodził językiem po mojej skórze. Zsunął czerwony jedwab, obnażając moje nagie piersi. Prężyłam się pod jego ciężarem, pragnąc więcej.

Ból między moimi nogami domagał się upragnionej ulgi. Gdy dotknął mokrego miejsca, zdałam sobie sprawę, że jęczę i unoszę biodra. Wyszeptał po włosku, że jestem gorąca i gotowa. Z moich ust wydobył się niekontrolowany jęk. Było mi wszystko jedno. Straciłam resztki wstydu.

Zabił mój wstyd.

Im bardziej na niego reagowałam, tym bardziej był podniecony. Gdy jęczałam, jego dotyk stawał się mocniejszy, a usta zaczynały ssać lub gryźć. Gdy zerwał ze mnie koszulkę i rzucił ją przez pokój, załopotała w powietrzu jak motyl.

Odsunął się i omiótł wzrokiem moje nagie ciało. Jego oczy były ciemne jak szafiry.

– Nie przestawaj – jęknęłam. – Proszę.

Zaczął wodzić dłońmi po moim ciele, gładząc mnie po piersiach. Znowu jęknęłam cicho i uniosłam biodra, błagając go, żeby mnie dotknął. Spojrzał na moją muszelkę, a następnie delikatnie mnie rozchylił. Dotykał mnie, nie odrywając ode mnie wzroku. Patrzył na to, co robi, a potem spoglądał na moją reakcję. Gdy zaczął mnie lizać, krzyknęłam w ekstazie. Byłam tak blisko. Jednak chciałam więcej, pragnęłam go bardziej niż czegokolwiek dotąd.

– Posiądź mnie, Capo – wydusiłam.

Klęknął nade mną. W dłoni trzymał penisa i gładził go posuwistym ruchem.

– Tego chcesz?

– *Dominami*. – Westchnęłam głęboko. – Zdominuj mnie.

– *Ti domino*.

Jego głos był niski i chrapliwy. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Tracił kontrolę, choć wydawał się tak bardzo opanowany.

– Powiedz to, Mariposa.

– Ty – wycharczałam resztką sił. – We mnie.

– To trzy słowa.

– Tak.

Tak. Tak. TAK.

Wsunął się pomiędzy moje rozłożone nogi. Poczułam, jak dotyka mnie koniuszkiem swojego kutasa i nie chcąc czekać ani chwili dłużej, uniosłam się ku niemu. Pragnęłam, żeby w końcu uśmierzył ten pieprzony tępy ból.

Nachylił się do mnie i zaczął lizać moje ucho.

– To będzie bolało – wyszeptał.

Dla niektórych rzeczy warto krwawić, powiedziałam do siebie w myślach. Bez słowa przyciągnęłam go do siebie, wbijając mu paznokcie w skórę, do krwi.

Krew za krew.

Ból go zmobilizował. Wszedł we mnie powoli. Był tak duży, czułam, że mnie rozpycha, i choć bardzo go pragnęłam, nie byłam pewna, czy kiedykolwiek uda mi się go pomieścić bez odczuwania bólu. Chciałam, żeby mnie wypełnił, żeby robił to szybciej i mocniej. Chciałam, żeby doprowadził mnie na skraj rozkoszy.

Gdy wszedł we mnie głębiej, jęknęłam z bólu. Bolało, bardzo. Czułam piekący ból, jakby ktoś zapalił we mnie zapałkę. Byłam bliska krzyku, poproszenia go, żeby przestał, ale wsunął się głębiej i nagle ból zaczął ustępować przyjemności. Rozerwał mnie i dotarł do miejsca, którego nikt wcześniej nie dotknął. Z ust wydarł mi się dziwny dźwięk, który przypominał coś pomiędzy szlochem a skamleniem. Raz za razem docierał do newralgicznego miejsca, a ja czułam coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

– O tak, *mia Mariposa* – wydusił z siebie, wbijając się we mnie coraz to głębiej i głębiej. – Odpręż się. Kurwa. Jesteś taka ciasna.

Miał przymknięte oczy, wyglądał, jakby był pijany. Zmarszczył czoło. Z jego rozchylonych ust wydarł się dziki okrzyk. Chciałam, żeby krzyczał. Jego upojenie dawało mi poczucie siły. To ja zmusiłam go do krzyku.

Zaczął poruszać się coraz szybciej. Nie przerywając, wsadził mi rękę między nogi. Gdy ją wyjął, otarł dłoń o klatkę piersiową, zostawiając na sercu jaskrawą czerwoną plamę. Miała taki sam kolor, co jedwab, który ze mnie zerwał.

Nie mogłam pozbierać myśli.

Myślałam o tym, co robimy. Myślałam o tym, że tę część siebie, którą mogłam dać każdemu, ofiarowałam temu mężczyźnie. *Mojemu mężowi*.

Dotknął krwawej plamy na sercu.

– Złożyliśmy już śluby – powiedział po włosku. – Te jednak są inne. Teraz połączyły nas krew i ciało. – Wyszedł ze mnie, ale już po chwili wbił się znowu z taką mocą, że zabrakło mi tchu. – Teraz jesteś moja, Mariposa.

Byłam nim tak oszołomiona, że dalsza walka nie miała sensu. Nie miałam ani gdzie uciec, ani jak się przed nim schować. Musiałam się poddać. Nie mogłam dłużej tego powstrzymywać. Poczułam wzbierającą we mnie falę rozkoszy. Poddałam się jej, ulegając jemu. Wbiłam mocniej paznokcie w jego skórę i wygięłam się, krzycząc w ekstazie. Chłonął moją rozkosz, nawet mnie nie dotykając.

Drżałam z wyczerpania. Nadal mnie bolało, ale rozkosz rozlała się po moim ciele z taką intensywnością, że czułam, jakby serce przestawało mi bić.

Poruszał się jeszcze szybciej, wydając z siebie odgłosy, które spijałam jak kwaśne wino lub słodką truciznę. Czas pokaże, czy był moim zbawcą, czy największym wrogiem. W jego przypadku nie istniało nic pomiędzy.

Wbił się we mnie jeszcze głębiej, a ja jęknęłam, bo nadal wszystko we mnie było tkliwe.

Zdążyliśmy porozmawiać o antykoncepcji. Decyzję pozostawił mnie. Jeśli chciałam mieć dzieci – super. Nie chciałam – też świetnie. Powiedziałam lekarzowi, że chcę zaczekać z antykoncepcją. Chyba nie chciałam, żeby za pierwszym razem cokolwiek nas dzieliło.

Co ma być, to będzie.

– Mariposa – jęknął, a po sekundzie odchylił głowę, zamknął oczy i rozchylił usta. Jego ciałem wstrząsnął skurcz i doszedł we mnie. Poczułam, jak moje pożądanie miesza się z moją krwią i jego nasieniem.

Nie wysunął się ze mnie. Nie od razu. Spojrzeliśmy na siebie. Pocałował mnie w skroń i zamknęłam oczy.

Moje ciało było obolałe, a rwący ból między nogami stawał się coraz bardziej dotkliwy. Pożądanie zastąpił ból. Nagle poczułam się bardzo zmęczona. Gdy wyszedł ze mnie, syknęłam, jakby właśnie wyjął ostrze z rany. Poczułam przeszywający chłód i pustkę.

Krwawiłam.

Staliśmy się jednością.

Poczucie zespolenia przypomniało mi słowa księdza: „Złączy się ze swoją żoną i będą oboje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało”. Powtórka jednak nie wchodziła w grę. Nie miałam siły się ruszyć. Bałam się, że będzie chciał jeszcze. Spenetrował mnie fizycznie i psychicznie.

– Mariposa… – powiedział cicho i spojrzał na mnie badawczo. – To normalne, że cię bolało za pierwszym razem. Krwawienie też jest normalne.

– Wiem.

Prześcieradło było przesiąknięte krwią. Lekarz powiedział mi, że za pierwszym razem mogę krwawić, choć nie muszę. Każda kobieta jest inna. Przedstawił mi wszystkie możliwe scenariusze, żebym wiedziała, czego mogę się spodziewać.

Pocałował mnie w usta.

– Powiedz mi, o czym myślisz.

Nie spodziewałam się tej bliskości. Nie byłam przygotowana na to, że tak szybko się do ciebie przywiążę.

Strach, który poczułam w altance, nie był wynikiem lęku przed zbliżeniem. Bałam się emocjonalnej zależności, tym bardziej że wyszłam za mężczyznę, który miłość traktował z głęboką rezerwą. Nawet gdybym chciała, żeby mnie pokochał, wiedziałam, że to niemożliwe.

– Czy tobie… też było dobrze? – Przygryzłam wargę, nie chciałam obnażać przed nim moich lęków. W zamian podzieliłam się z nim błahą wątpliwością.

Może to było głupie, ale chciałam, żeby mu było dobrze, tak samo jak mnie. Choć nigdy nie rozmawialiśmy o naszej przeszłości, byłam pewna, że miał wiele kobiet. Kobiet takich jak Gigi, Giada, ładna sekretarka Rocco.

– Jesteś taka niewinna.

Wydawało mi się, że zwrócił się do mnie po włosku, ale po chwili dodał po angielsku.

– Powiedziałem ci, że pragnę ognia, a ty spełniłaś moją prośbę.

– To jeszcze nie był ogień – uśmiechnęłam się wstydliwie, choć nie bardzo wiedziałam, jakie było źródło mojego wstydu. – Nie wiedziałam, czego mam się spodziewać… Teraz, gdy już wiem…

– Wykończysz mnie.

– Ja? – Podparłam się łokciami i spojrzałam na niego z bliska. – Ja wykończę ciebie?

– Nie masz pojęcia, jak na mnie działasz – wyszeptał.

Spuścił wzrok i pogładził moje zakrwawione udo.

– *Vieni*. Chodź. Wymyję cię pod prysznicem, mój Motylku. A potem weźmiemy razem kąpiel. Zrelaksujesz się.

Bez pytania wziął mnie na ręce i zaniósł do łazienki. Nadal byliśmy nadzy. Od razu po prysznicu zasnęłam w wannie, z głową na jego ramieniu.

Nie słyszałam nic poza biciem jego serca. Czułam jego zapach. Liczył się tylko on.

Nie potrafiłam pływać i nie pamiętałam, jak się jeździ na rowerze, ale potrafiłam zanurkować w wannie pełnej wody. Odgłosy zewnętrznego świata brzmiały jak echo. Dochodziły z bliska, ale wydawały się bardzo odległe. Im byłam bliżej powierzchni wody, tym stawały się wyraźniejsze.

Usłyszałam przejeżdżający samochód, a następnie odgłosy muzyki. Ktoś powiedział: „To Usta Prawdy. Legenda głosi, że jeśli włożysz tu rękę,

a jesteś kłamcą, odgryzą ci ją”. Ponownie zabrzmiała muzyka. Rozległ się śmiech. Wysoki kobiecy głos zaszczebiotał: „Włóż rękę!”, „Jasne,” odparł męski głos. Zabrzmiała muzyka. Ktoś krzyknął: „Hej, ty bestio!”.

Powoli otworzyłam oczy. Gdzie ja jestem?

Poczułam znajomy zapach. Widok też był znajomy.

Jestem w willi.

Ziewnęłam i przeciągnęłam się, powoli wybudzając się ze snu. Odgłosy w tle nabrały sensu. No przecież, to tylko film. *Rzymskie wakacje* z Audrey Hepburn i Gregorym Peckiem. Zaczęliśmy go oglądać, ale zasnęłam w trakcie.

Od naszego wesela minęły dwa dni. Byłam przyjemnie obolała i zmęczona. Przy każdej nadarzającej się okazji ucinałam sobie drzemkę. Budził mnie pocałunkami i dotykiem i od razu przechodziliśmy do rzeczy.

– Ślinisz się podczas snu.

Choć byłam już w pełni przytomna, wzrok nadal miałam nieco zamglony. Zamrugałam. Podpierał się ramieniem i patrzył na mnie, a jego biceps był naprężony jak stalowa lina.

– Patrzyłeś na mnie, jak spałam? – Miałam zmęczony głos. Wcześniej trochę zaszaleliśmy.

Uśmiechnął się szeroko, a ja dźgnęłam go palcem w nagą klatę. Przytrzymał moją dłoń i zaczął ssać mój palec wskazujący.

– To trochę niepokojące, Capo. Właściwie zachowujesz się jak stalker.

– Pilnuję twoich snów.

Zaśmiał się, jego głos zabrzmiał chrapliwie.

– Jak to się ślinię? – Zmrużyłam oczy.

– A tak.

Nabrał powietrza i wydął wargi, wypuszczając powietrze z cichym pyknięciem. Rozchylił usta i zrobił to samo raz jeszcze. Wyglądał, jakby ustami puszczał bańki mydlane.

Roześmiałam się w głos.

– Może tonę, gdy śnię. A może jestem w połowie rybą?

– Ostatnio mocno śpisz.

– Mało śpię. – Uśmiechnęłam się znacząco.

Nachylił się i pocałował mnie w usta. Zamruczałam, a on objął dłonią moją pierś. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miałam na sobie jakieś ubranie.

– Capo, opowiedz mi coś o sobie. – Starałam się być delikatna, jak jego pocałunki.

Na własnej skórze przekonałam się, że poza okazjonalnym pocałunkiem Capo Macchiavello delikatny nie był. Nasz pierwszy raz był tego dowodem. Lubiłam to. Lubiłam, gdy prawie rozrywał mnie na pół. Lubiłam, gdy od orgazmów, do których mnie doprowadzał, kręciło mi się w głowie. Chodziłam potem jak zamroczona.

– Wiesz wszystko, o czym warto wiedzieć.

– Chcę wiedzieć, co masz w sercu.

– W swoim czasie.

Przytaknęłam i musnęłam bliznę na jego krtani. Rzadko jej dotykałam, ale bardzo chciałam poznać jej historię. Nigdy go o to nie zapytałam, ale wiedziałam, że nie jest gotowy podzielić się tą historią. Czasami, gdy jej dotykałam lub ją całowałam, dostawał lekkiego skurczu mięśni.

– Capo, dałeś mi bardzo wiele, ale chciałabym czegoś, co nie zostało ujęte w umowie.

– Chcesz czegoś, co nie jest obwarowane umową?

– Tak.

– Mariposa, granice czemuś służą.

– Nie mówiłeś, że są rzeczy, o których nie możemy rozmawiać. Powiedziałeś, że z czasem oddasz mi swoje serce. Ja obiecałam ci moje ciało. I dotrzymałam obietnicy.

– Dwadzieścia pieprzonych pytań.

– Och! Ja pierwsza.

– Nie powiedziałem, że się zgadzam, Mariposa.

– Nie powiedziałeś też nie. W zasadzie się zgodziłeś. Powiedziałeś…

Zakrył mi usta. Chciałam go ugryźć, ale miał żylastą twardą dłoń.

– Dobrze wiem, co powiedziałem.

– Dziesięć pytań – wydusiłam.

Odsłonił mi usta.

– Dwa.

– Dwa? Czyli po jednym na każdego. To żałosne. Jesteś sknerą. Masz gest, jeśli chodzi o pieniądze, dlaczego tak oszczędzasz słowa?

– Słowa są cenniejsze niż pieniądze.

– Capo, słowa są za darmo. To mnie nic nie kosztuje. Widzisz? Nikt nie domaga się, żebyśmy zapłacili rachunek. Za słowa nie wystawia się rachunków.

– Oba pytania są do mnie i jestem pewien, że słono za nie zapłacę.

– Nie chcesz mnie o nic zapytać? – W zasadzie nie powinno mnie to dziwić. Wszystko o mnie wiedział. A to, czego nie wiedział, było bez znaczenia. Byłam nudna. Moje życie sprowadzało się do prób utrzymania się na powierzchni. Zanim go poznałam, nawet nie uprawiałam seksu.

Spojrzał na mnie badawczo.

– W zasadzie mam jedno pytanie.

– Tylko jedno?

– *Uno*.

W myślach zatarłam ręce jak jakiś czarny charakter w komiksie. Zyskałam cenną kartę przetargową.

– Za jedno twoje pytanie będę mogła ci zadać dwa, pod warunkiem że nie przekroczę żadnych niewidzialnych granic. Ty pierwszy.

– Dwadzieścia pieprzonych pytań. – Westchnął.

Pochylił się i wziął do ust mój sutek, wyczyniając językiem nieprawdopodobne rzeczy. Poczułam skurcz w podbrzuszu, a ssanie między nogami zaczęło rozlewać się po całym ciele. Ugryzł mnie mocno, a ja pociągnęłam go za włosy. Nagle się odsunął i powiedział:

– Pytaj.

– Co? – powiedziałam zdyszanym głosem. – Teraz?

Roześmiał się i kazał przestać mi się dąsać.

– To był twój pomysł. Sama chciałaś zagrać w tę idiotyczną grę.

– To prawda, chcę.

Oparłam się na łokciach i spojrzałam na niego. Czułam mrowienie w sutkach. Chciałam się o niego otrzeć, ale postanowiłam być dzielna.

– Czy byłeś kiedyś zakochany?

– Nie. Następne pytanie.

– Czekaj, czekaj. – Wstrzymałam go gestem dłoni. – To wszystko? Po prostu nie?

Zmrużył oczy.

– To pytanie nie zasługuje na inną odpowiedź niż tak lub nie.

Machnęłam lekceważąco ręką, nie zważając na jego oschły ton.

– Jaki jest twój ulubiony kolor?

– Złoty.

Kolejne pytania były podobnie błahe. Nie chciałam go zniechęcić. Po jego reakcji wiedziałam, że jeśli przekroczę jakąś niewidzialną granicę, wykorzysta to przeciwko mnie. Ważkie kwestie zostawiłam na sam koniec.

Gdy wyczerpałam pulę banałów, zapytałam:

– Czy twój ojciec jest złym człowiekiem?

Widziałam zdjęcia jego matki, opowiadano mi o niej nieraz, ale nikt nigdy nie wspominał o jego ojcu. Był tematem tabu, którego wszyscy unikają. Próbowałam wypytać o niego ciotki Capo, ale stwierdziły tylko, że jest podły i to wszystko, co powinnam o nim wiedzieć.

Zamilkł.

– Nie jest złym człowiekiem, ma złą duszę.

Spojrzał na mnie tak przejmująco, że odwróciłam wzrok. Zaczęłam skubać prześcieradło.

– To dlatego masz tak bliskie stosunki z rodziną Faustich? Dlatego traktują cię jak rodzinę?

Przypomniałam sobie moją rozmowę z Keely tuż przed ślubem. Powiedziała, że ludzie samotni lgną do kryminalistów. Czy jego ojciec był

nieobecny w jego życiu? A może go bił i dlatego Capo uciekł do rodziny Scarpone? Gdy odmówił Scarpone zabicia mnie, znalazł schronienie u rodziny Faustich.

Fausti byli honorowi, ręczyli za dane słowo własną krwią, więc jeśli zdecydowali się kogoś otoczyć opieką, zobowiązywali się do tego dożywotnio, jeśli tylko odpłacano im lojalnością. Wydawali się bardzo związani z Capo.

Byli co prawda spokrewnieni, bo wuj Tito, którego z Capo łączyły więzy krwi, był mężem Loli Fausti, ale ewidentnie łączyło ich coś więcej. Byli wobec niego lojalni, podobnie jak Capo wobec nich.

Czegoś tu jednak nie rozumiałam. Miał przecież wspaniałą rodzinę, po co zatem znalazł sobie inną?

– Mariposa, rozwiń myśl, słowa ponoć nic nie kosztują.

Wzięłam głęboki oddech.

– Czy robisz jakieś nielegalne rzeczy dla rodziny Faustich?

– Tak.

Choć odpowiedź była jednoznaczna, niczego nie tłumaczyła.

– Robiłem w przeszłości i robię nadal. Fausti nie opuścili mnie w bardzo trudnym momencie mojego życia. Nie mieli obowiązku mi pomóc, ale i tak to zrobili. Ludzi, którzy zamieszkują tę ziemię, nazywam rodziną, bo łączą nas więzy krwi i zaznałem od nich wiele dobrego. Podobnie jak ty. Fausti są moją rodziną, bo gdy wykrwawiałem się w okopach, zesłał mi ich mój Anioł Stróż. Obiecali, że któregoś dnia zemsta będzie moja.

– Byłbyś gotów dla nich zabić?

– Już to zrobiłem.

Przełknęłam gulę w gardle.

– Chronią cię?

– Mają na mnie oko, ale zwykle sam potrafię o siebie zadbać. Mariposa, poprosiłem ich o jedno. Poprosiłem ich o czas, co oznacza kilka rzeczy. Po pierwsze zachowują czujność. Uprzedzają mnie, ilekroć zbliży się do mnie ktoś, kto nie ma wobec mnie dobrych zamiarów. Potrzebowałem czasu, żeby nadać tok pewnym sprawom, i dzięki rodzinie Faustich to się udało.

Wiem jednak, że gdy nadejdzie pora rozliczeń, na placu boju zostanę sam ze swoimi wrogami.

– Nic nie rozumiem.

Jego słowa wywołały we mnie niepokój. Od chwili gdy ujrzałam go po raz pierwszy przed restauracją, wiedziałam, że prowadzi szemrane interesy. Zawsze, gdy był obok mnie, zdarzało się coś, co przypominało mi, że jest wpływowy i że jest kimś, z kim należy się liczyć, a to oznaczało, że ma wrogów.

Dotąd niczego przede mną nie ukrywał, ale wiedziałam, że nie powiedział mi o wszystkim. Na spotkaniu u Rocco wspomniał o sercu i żyłach. Kiedy wyjaśni mi, co miał na myśli? Stawką było moje życie, jego również. To mnie niepokoiło bardziej, niż powinno. Na samą myśl, że mogłabym go więcej nie zobaczyć, robiło mi się słabo.

Keely, jej bracia, rodzina Faustich i krewni Capo byli niczym żyły w moim ciele. Capo był moim sercem.

Cholera. Cholera. Cholera. Co mi strzeliło do głowy?

– Zrozumiesz z czasem – powiedział.

Nie potrafiłam rozszyfrować wyrazu jego twarzy. Wyglądał, jakby odgadł moje myśli albo był tego bliski. Choć nie chodziło o miłość, w grę wchodziły sprawy sercowe. Nie mogłam pozwolić, żeby się dowiedział, co czuję, bo byłby gotów zerwać naszą umowę. Miłość była podstawą do jej rozwiązania.

– Czas na rewanż.

Złapał mnie za rękę.

Spojrzałam mu w oczy, odrywając wzrok od tatuażu na jego dłoni.

– Jeśli słowa mają swoją cenę, weź moje pieniądze – wydukałam.

– Podobał ci się kiedyś jakiś chłopak?

– Pytasz, czy się kiedyś w kimś zabujałam?

– Jeśli dzieciaki tak na to teraz mówią, to tak.

Uśmiechnęłam się, nie bacząc na niepokój, który czułam.

– Nie. – Skłamałam.

– Mariposa, byłaś kiedyś zakochana?

Złapałam za brzeg pościeli i schowałam się pod kołdrę, zakrywając piersi i odcinając mu dostęp do mojego serca.

– To już dwa pytania.

Wzruszył ramionami.

– Skoro twoje kosztują *niente*, mogę zostać bankrutem, bo słono za nie płacę. Powiedz, czy byłaś kiedyś zakochana.

– Miłość nie została stworzona dla dziewczyn takich jak ja. – To był unik.

Miał rację. Słowa mają swoją cenę, a za moje zapłaciłam *tutto*. Wszystkim. Byłam bankrutem.

Nagle Capo jednym ruchem obrócił mnie na plecy i zabrakło mi tchu. Słusznie kojarzył mi się z falą morską. Zwykle sam jego widok zapierał mi dech w piersiach. Na szczęście, jak dotąd nie roztrzaskał mnie o nadbrzeżne skały.

– Koniec gry, Mariposa. – Spojrzał na mnie badawczo. Po chwili dodał: – Ufasz mi?

Zdębiałam.

– Czytasz w moich myślach, Capo? – Otarł się o mnie, a ja cicho jęknęłam.

– Komunikować można się nie tylko za pomocą słów, Mariposa – odparł. – Naucz się mówić do mnie, nie używając słów.

Nie byłam pewna, co ma na myśli, ale czułam się zbyt otumaniona, żeby się nad tym zastanawiać. Spojrzałam na nadgarstek uwięziony w jego uścisku.

– Tak. Ufam ci.

– Ufasz mi. Wcześniej zatkałem ci usta i nawet nie zauważyłaś.

O cholera. Rzeczywiście.

– Ufasz mi – powtórzył.

Poczułam, że jego słowa mają podtekst seksualny. Było mi to na rękę. Może dzięki temu nic nie zauważy. Moje własne słowa sprawiły, że czułam

się jak bankrut.

– Ufam – powtórzyłam i uniosłam biodra, ocierając się o jego erekcję.

Uśmiechnął się szeroko i spojrzał prosto na moje krocze. Wsadził mi rękę między nogi, a ja westchnęłam głęboko. Jego palce ześlizgiwały się coraz to dalej i dalej, aż dosięgły moich pośladków. Zaczął je masować.

– Zaufaj mi – wyszeptał. – Rozumiesz mnie bez słów.

To, co nastąpiło potem, sprawiło, że zaczęłam rozumieć go bez słów. Przestałam myśleć i zaczęłam czuć.

19

MARIPOSA

Ani się obejrzałam, a byliśmy dwa tygodnie po ślubie. Gdy przyjechaliśmy do Włoch, Capo był nieosiągalny. Po ślubie wciąż patrzyliśmy na siebie, staliśmy się nierozłączni.

Dbał o to, żeby spędzać ze mną czas. Może pragnął mi wynagrodzić egzotyczną podróż poślubną, która w ostatniej chwili została odwołana. Nie należał do ludzi, którzy czegokolwiek żałują, ale nie chciał, żebym czuła się rozczarowana. W końcu podróż poślubna stanowiła część naszej umowy przedmałżeńskiej.

Mieliśmy całą wieczność, żeby pojechać w podróż poślubną. Wolałam spędzać godziny z jego dziadkiem, bo nie było wiadomo, ile dni mu jeszcze zostało.

Mieliśmy mnóstwo wolnego czasu, więc gdy Capo dowiedział się, że nie potrafię pływać ani jeździć na rowerze, postanowił mnie nauczyć.

Sycylijskie plaże wyglądały jak z bajki o morskim królestwie. Morze mieniło się żywymi kolorami, od butelkowej zieleni po szmaragdowy błękit. Słońce było cudowne, a piasek śnieżnobiały. Kręciło mi się w głowie od zapachu cytryn, wody, kokosów i owoców morza, wszystkiego, co przywodziło na myśl lato.

Po tygodniu czułam się już w wodzie całkiem pewnie, tym bardziej że Capo nie opuszczał mnie ani na chwilę, mimo że już samodzielnie pływałam. Najbardziej lubiłam pływać wieczorami, gdy słońce znikało za horyzontem, a na niebie pojawiała się piękna kolorowa łuna.

Czułam się jak w niebie. Po raz pierwszy uwierzyłam, że istnieje naprawdę, gdy zanurkowałam w morzu.

W dni, gdy nie chodziliśmy na plażę, Capo uczył mnie jeździć na rowerze na podjeździe przed naszą prywatną willą. Na początku nie mogłam utrzymać równowagi. Spadłam trzy razy, nie licząc tego, który był trochę na pokaz. Wkrótce potem nauczyłam się jeździć i tuż przed zachodem słońca robiliśmy sobie przejażdżki po gaju pomarańczowym.

Powietrze było ciężkie od aromatu cytryn i przejrzałych pomarańczy. Wieczorem zapachy stawały się intensywniejsze, tak jakby bały się upału i dopiero po zachodzie słońca wyściubiały nosy. Czasami jeździliśmy nawet po zmroku pod bezkresnym rozgwieżdżonym niebem.

Paradiso. Uwierzyłam, że istnieje, gdy dane mi było doświadczyć czegoś tak cudownego, jak przejażdżka rowerowa wśród owocowych drzewek.

Świat wydawał się taki dobry, gdy diabeł przestał mnie gonić.

Czasami, w porze największego upału, Capo kładł się ze mną w hamaku. Moje ciało chłonęło gorąc, a kapelusz z szerokim rondem osłaniał oczy przed słońcem. Czytał mi wiersze swojego dziadka. Starszy pan zawsze mi odmawiał. Powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, żebym je czytała, ale on woli opowiadać mi wymyślone historie albo czytać mi na głos książki, które napisał ktoś inny.

Gdy upał ustępował, Capo zabierał dziadka do ogrodu i przesiadywał z nim na drewnianej ławeczce. Gdy oni siedzieli, ja słuchałam poleceń Nonno.

– Przestaw to na słońce, a to do cienia. Wyrwij te chwasty. To zostaw, musi jeszcze trochę podrosnąć.

Podczas jednej z naszych wizyt powiedział mi, że rośliny są jak ludzie. Każda z nich jest inna, ale wszystkie potrzebują tego samego, żeby wyrosnąć, a bez korzeni żadna z nich nie ma szans na przeżycie. Po chwili rozejrzał się, szukając Capo, który stał nieopodal, patrząc na nas.

– Zachwyca go twoja uroda – powiedział. – Czuje, że na ciebie nie zasłużył.

Podwinęłam rondo kapelusza i poszłam podlewać kwiaty. Pomyślałam, że dziadek przesadza, ale Capo rzeczywiście nie przestawał nas obserwować. Choć przed ślubem spędziliśmy ze sobą niewiele czasu,

zawsze czułam, że jest blisko. Częściowo wynikało to z jego lęku o zdrowie dziadka.

Widziałam, jak patrzy na Nonno, gdy myślał, że dziadek go nie widzi. Wyglądał, jakby chciał go zapamiętać, a zarazem jakby nie chciał dopuścić do siebie myśli, że są to jego ostatnie chwile. Ilekroć ktoś nadmieniał, że Nonno szybko się męczy albo że robi się coraz bledszy i nie ma apetytu, Capo natychmiast wychodził.

Może krewni Capo widzieli coś, czego ja nie potrafiłam dostrzec. Moim zdaniem wyglądał lepiej, niż gdy go poznałam. Gdy wystawiał twarz do słońca, wyglądał na szczęśliwego. Gdy go poznałam, był niespokojny.

Po naszym przyjeździe, tuż po ślubie, Nonno wyraźnie się ożywił, choć lekarze twierdzili, że powoli umiera.

Uniosłam wzrok znad grządek i zmrużyłam oczy.

Mężczyźni siedzieli w ciszy, patrząc, jak pielę. Ostatnio mało rozmawiali. Capo unikał drażliwych tematów. Podejrzewałam, że Nonno w głębi duszy domyślał się, że Capo chce z nim porozmawiać, zanim będzie za późno, ale sytuacja całkowicie go przerosła.

Choć wychowałam się na ulicy i brakowało mi życiowego doświadczenia, chciałam mu powiedzieć, że z pewnością mógłby porozumieć się z dziadkiem bez użycia słów. Sam nieraz mi powtarzał, że nie potrzebujemy słów, by nawiązać nić głębokiego porozumienia.

Nonno, dla którego słowa stanowiły chleb powszedni, zdawał się rozumieć, że za ich pomocą można jedynie dotknąć powierzchni rzeczy. Droga do głębszego porozumienia wiodła przez serce, a nie przez oczy czy uszy.

Nonno chciał, żeby Capo był szczęśliwy.

Capo pragnął powiedzieć dziadkowi wszystko, czego jego usta (a być może i serce) nie były w stanie wyrazić, ale powstrzymywała go świadomość, że tym samym musiałby uznać nieuchronność jego śmierci. To mu odebrało radość życia. Widziałam, że cierpi, nawet gdy się kochaliśmy. Być może targały nim też inne rozterki.

Capo Macchiavello nie był dobrym człowiekiem, ale był mój. Obiecałam, że nie opuszczę go aż do śmierci. Byłam gotowa zrobić dla

niego wszystko, podobnie jak on dla mnie.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Z uśmiechem uniosłam szlauch, sprawdzając ciśnienie wody. Świat zaróżowił się od zachodzącego słońca, a opadające kropelki wody zamigotały w powietrzu jak drobne cekiny. Opadły, zraszając ziemię.

Nonno spojrzał na mnie, ale Capo przyglądał się krzątaninie w sadzie.

Gdy ponownie nacisnęłam spust, woda trysnęła jak nabój z pistoletu.

– Najlepszą bronią kobiety jest precyzja – wyszeptałam pod nosem.

Uniosłam nieco szlauch, nacisnęłam spust i wycelowałam strumień wody prosto w czoło Capo. Przez chwilę wyglądał na zdezorientowanego. Zamrugał, strząsając krople wody, i spojrzał prosto na mnie. Zanim zdążył zareagować, ponownie w niego wycelowałam. Strumień wody wystrzelił w jego kierunku, zraszając siedzącego obok Nonno.

Staruszek pękał ze śmiechu. Ten gromki śmiech wywabił z domu pozostałych członków rodziny. Córki zgromadziły się wokół niego, a dziadek nie przestawał się śmiać. Wtórowały mu, pokrzykując i przekomarzając się.

Capo zerwał się z miejsca i skradał się do mnie jak wilk tropiący zwierzynę, usiłując wyrwać mi szlauch. Nie zamierzałam poddać się bez walki, więc dopóki trzymałam wąż, nie przestawałam naciskać na spust.

Pokazałam mu język.

– Nie dogonisz mnie!

– Jesteś strasznie dziecinna – powiedział. Odgarnął z czoła mokre włosy, a jego szafirowe oczy zalśniły w słońcu.

Uśmiechnęłam się.

– Może i jestem dziecinna, ale wąż jest mój. – Skierowałam strumień prosto w jego krocze.

Zaczął mnie okrążać i im był bliżej, tym bardziej się rozkręcałam. Śmiałam się w głos. Gdy oblałam Gigi, roześmiałam się jeszcze głośniej. Wydarła się ile sił, co jeszcze bardziej wszystkich rozbawiło. Poza murami posiadłości obchodzono się z nią jak z jajkiem, ale tutaj była jedną z nas.

Zmrużyła oczy i zmierzyła mnie wzrokiem, jakby chciała powiedzieć „dopadnę cię, gówniaro”.

– Ups! – krzyknęłam. – Wąż mi się wymsknął!

Byłam tak pochłonięta chęcią zemsty, że nie zauważyłam wilka, który zakradł się niepostrzeżenie i chwytając mnie wpół, próbował wyrwać mi tryskający wodą wąż. Dookoła wszyscy byli przemoczeni. Dzieci zanosiły się śmiechem, a dorośli pokrzykiwali, ilekroć trafiał w nich strumień zimnej wody.

W ogrodzie rozgorzała zacięta bitwa.

Usilnie starałam się nie wypuścić broni z rąk, ale Capo udało się wymierzyć ją we mnie. Moja letnia sukienka była kompletnie przemoczona. Zgubił mnie śmiech i palce śliskie od wilgoci, więc w końcu wyrwał mi wąż i zaczął mnie polewać. Biegałam po ogrodzie, śmiejąc się jak jakiś świr (ulubione słowo dziadka), usiłując uciec przed zemstą Capo.

Gdy poczułam, że mam dość, uciekłam z ogrodu. Byłam tak wyczerpana od śmiechu, że nie wiedziałam, dokąd biegnę. Nogi niosły mnie w nieznanym kierunku. Gdy Capo podał dziadkowi szlauch i ruszył za mną, ucieszyłam się jak dziecko. Biegłam, a mój głośny śmiech rozbrzmiewał echem, aż stanęliśmy przed wejściem do zrujnowanej willi na skraju posiadłości. Dotarło do mnie, że nie bez przyczyny zagonił mnie w odosobnione miejsce.

Willa była kompletnie zrujnowana i wyglądała na bardzo starą. Nie miała już dachu, ale fundamenty i ściany, które porastał bluszcz, wyglądały na solidne. Upał wisiał w powietrzu, powoli zapadał mrok, a ostatnie promienie słońca przedostawały się do środka przez drobne szczeliny.

Odwróciłam się do Capo i zaczęłam się powoli wycofywać, oddychając ciężko i unosząc ręce w obronnym geście.

– Nie rób tego – wyszeptałam. – Przemyśl to. Pamiętaj, że jesteś człowiekiem, a nie bestią, którą kierują zwierzęce instynkty.

Na jego twarzy zagościł makiaweliczny uśmieszek.

– Za późno, Mariposa. Na przyszłość zastanów się, zanim coś zrobisz. Gdy chcę się z tobą pieprzyć, zamieniam się w bestię.

Przed oczyma stanęło mi wspomnienie minionej nocy: on we mnie, ja na nim. Ujeżdżałam go tak zapamiętale, że wzajemne tarcie mogło wzniecić ogień. W momencie kulminacyjnym poniosło nas tak bardzo, że odpadł drewniany zagłówek łóżka. Przy Capo czułam się tak, jakbym rozmawiała o dobrym jedzeniu, jednocześnie zajadając się pysznościami.

– Głodny wilk – wyszeptałam.

– Głodny wilk?

– Patrzysz na mnie jak głodny wilk.

– Mylisz się.

– Nie sądzę.

Zawył cicho i uśmiechnął się szeroko.

– Nie mogę zapomnieć twojego smaku. Nie jestem głodny, jestem kurewsko wygłodniały. Pragnę cię, pragnę być w tobie. Nikogo nie pragnę tak jak ciebie.

Całym swoim ciężarem przycisnął mnie do ceglanej ściany. Naparł na mnie, wbijając mi w brzuch swojego twardego kutasa. Owinęłam nogę wokół jego bioder, a jego dłoń powędrowała między moje wilgotne uda. Złapał mnie za pośladek. Szarpnęłam go za włosy, a krople wody prysnęły na jego mokrą koszulę.

Spojrzeliśmy na siebie. To był moment, ale zdawał się trwać całą wieczność. W tej jednej chwili poczułam, że to, co się między nami zmienia, jest silniejsze niż wszystko przedtem. Zaczęłam tonąć, a w duszy ktoś wypalał mi swoje inicjały.

Zabójczy strach, który po raz pierwszy poczułam w altance, powrócił ze zdwojoną mocą. Poczułam mrowienie w dłoniach, żołądek wypełniło mi stado trujących motyli. Serce stanęło mi w gardle i zabrakło mi tchu. Krew uderzyła mi do głowy. Z trudem łapałam oddech.

Fale w kolorze jego oczu zabrały mnie daleko od brzegu. Tonęłam. Moje uczucia ściągały mnie na dno.

Strach dopadał mnie w najmniej oczekiwanych chwilach. Zwykle trzymałam go w ukryciu, daleko poza zasięgiem światła, ale wystarczyło, żeby Capo spojrzał na mnie spod przymkniętych powiek z zakłopotaniem, ale i determinacją, a natychmiast wyswobadzał się z klatki.

Tym razem nie zdążyłam go ukryć, więc zareagowałam instynktownie. Walnęłam strach prosto w jego pieprzony ryj. Moje pragnienie było silniejsze od lęku. Moje słowa, a raczej to, czego nie powiedziałam, już i tak uczyniły ze mnie bankruta.

Gdy byłam z Capo, czułam, że żyję, a życie wiąże się z ryzykiem.

Strach uleciał w chwili, gdy z całą mocą wpił mi się w usta, łapiąc mnie za tyłek i przyciągając do siebie. Rozpięłam mu dżinsy i ściągnęłam je na tyle, na ile się dało, to samo zrobiłam z jego bokserkami. Były mokre i przylegały do jego skóry. Tak bardzo zatraciłam się w jego ustach, które scałowywały kropelki wilgoci z mojej skóry, że nie zauważyłam, że zerwał ze mnie koronkowe majtki.

Włożył je do kieszeni spodni i unosząc mnie wyżej, wszedł we mnie tak gwałtownie, że uderzyłam głową o ścianę. Posuwał mnie tak zapamiętale, że zakręciło mi się w głowie.

Brał i dawał z nawiązką.

Nie musiał używać palców, żebym rozpadła się na milion kawałeczków. Wiedział, gdzie mnie dotknąć, więc nieprzerwanie drażnił wrażliwe miejsce. Było mi trudno za nim nadążyć i nie poddać się, ale wszystkimi dostępnymi siłami przeciągałam ten moment w czasie.

– O tak – wyszeptał chrapliwie. – Oddawaj mi się, Mariposa. Nie przestawaj mi się oddawać.

Mówił o dawaniu, nie o zdobywaniu i posiadaniu. Może zrozumiał, że żadne bogactwo nie mogło się równać z tym, co czuł, gdy kobieta oddawała mu się dobrowolnie.

Nasze zwierzęce okrzyki rozchodziły się głośnym echem. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, starych murów i intymności. Wiedział, że czekam, żeby dojść razem z nim. Byłam mokra, w ustach miałam smak soli.

Jego ruchy stały się wolniejsze, choć ani trochę mniej precyzyjne. Przygryzłam wargę do krwi, a on nachylił się i zlizał z moich ust kropelkę krwi.

– Chodź do mnie, Mariposa – powiedział po włosku. – Dojdź teraz.

Wbił się we mnie tak mocno, że całym moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Syknęłam, bo byłam prawie pewna, że przebił mi macicę. Spowolnił ruchy, tylko po to, żeby wejść we mnie ponownie, a gdy przyśpieszył tempo, poczułam, że dochodzę.

Zalała nas fala rozkoszy. Krzyknęłam, a on wytrysnął we mnie i przycisnął swoje usta do moich, spijając mój smak.

Zastygliśmy, dysząc ze zmęczenia, oparłam głowę na jego ramieniu. Gdy się ze mnie wyślizgnął, skrzywiłam się, nie chciałam się z nim rozdzielać.

– *Vertiginoso.* – Głos miał zdarty od krzyku. – Zawroty głowy.

Spojrzałam na niego. Nie byłam pewna, o kim mówi. Podstawiłam mu pod nos cztery palce.

– Ile?

– Osiem – powiedział, przygryzając je.

Sięgnął po moje majtki i otarł mnie z wilgoci.

Przed domem przebiegło dwóch chłopców. Pękali ze śmiechu, polewając się wodą. Wyszliśmy ze zrujnowanej willi, trzymając się za ręce. Gdy wróciliśmy do ogrodu, dzieci nadal taplały się w wodzie, a dorośli zanosili się śmiechem. Nonno polewał dzieciaki wężem ogrodowym.

Staliśmy chwilę, a potem Capo puścił moją dłoń i usiadł obok dziadka. Dołączył do zabawy, wskazując mu dzieci, które usiłowały uciec przed tryskającym strumieniem. Nonno wybuchnął śmiechem, gdy jeden z chłopców poślizgnął się i wylądował w kałuży błota. Capo także uśmiechnął się szeroko i pomógł dziadkowi skierować strumień wody na biednego dzieciaka.

Choć pod naszą nieobecność zabawa trwała w najlepsze, nasz powrót dopełnił obrazu szczęścia. Serce zabiło mi mocniej, gdy Capo nachylił się i pocałował Nonno w czubek głowy. Szepnął mu coś na ucho i twarz dziadka rozpromieniła się w uśmiechu. Spojrzeli na mnie, a Capo przytulił go do siebie i lekko nim potrząsnął. Być może radością życia łagodzili ból pożegnania. Capo tylko tak umiał to zrobić.

Motyli ogród.

Nie miałam pojęcia, kto wpadł na pomysł założenia ogrodu dla motyli, ale gdy z samego rana wyszłam na próg z filiżanką espresso, przed domem stało mnóstwo doniczek. Capo wyładowywał je z taczki. Miał na sobie białą koszulkę bokserską, bojówki i ciężkie buciory. Zdążył się już ubrudzić, koszulka była wymazana błotem.

– Co robisz? – zapytałam.

Zwykle, gdy wstawałam, krzątał się po domu, ale tego ranka gdzieś wyszedł. Od naszego drugiego ślubu ani razu nie zostawił mnie samej. Moją pierwszą myślą było, że coś przydarzyło się Nonno, i wpadłam w panikę. Uspokoiła mnie jednak myśl, że gdyby coś się stało, na pewno od razu by mnie powiadomił, więc zrobiłam sobie kawę i wyszłam na zewnątrz.

Napiąwszy bicepsy, z mozołem zdjął z taczki ogromny głaz, który wyglądał, jakby był starszy od gór majaczących na horyzoncie. Po chwili jednak przetoczył go z powrotem na miejsce.

– Gdzie mam go zanieść? – Spojrzał na kamień i na mnie.

– Nonno przysłał nam to wszystko?

– Nie. – Otarł pot z czoła. Choć było jeszcze wcześnie, słońce paliło niemiłosiernie. – Gdzie mam zanieść ten kamień?

Poprzedniej nocy prawie nie zmrużyliśmy oka, więc Capo spał góra dwie godziny. Byłam śmiertelnie zmęczona i nie mogłam się skupić.

– Capo. – Napiłam się kawy. – Nic nie rozumiem. Skąd się wzięły te rośliny i po co mi one? Przecież tu nie mieszkam.

– Owszem, mieszkasz – odparł. – W czasie wakacji. Ten dom należy do mnie. Możemy go wyremontować, wcześniej nie dbałem o jego wystrój. Traktowałem to miejsce jak sypialnię.

– A te rośliny?

– To rośliny do twojego ogrodu. Musisz je wszystkie zasadzić.

Ach tak. To on je kupił, ale nie chciał się do tego przyznać. Ależ ten Capo jest uparty.

Sądząc po liczbie doniczek, zdążył rozładować taczkę przynajmniej dwukrotnie. Nie potrafiłam rozpoznać wszystkich gatunków, ale domyśliłam się, że chodziło o rośliny nektarodajne, wabik dla motyli. Doniczek było tyle, że mogłam sadzić rośliny dookoła domu i dalej.

Ruszyłam na obchód wokół willi. Capo dołączył do mnie i obeszliśmy dom w milczeniu. Gdy wróciliśmy na ganek, kiwnęłam głową.

– Chcę posadzić kwiaty dookoła domu. Na tyłach postawimy altankę i obsadzimy ją winoroślą. Wokół altanki dosadzimy więcej nektarodajnych kwiatów i pośród nich umieścimy kilka większych kamieni, żeby motyle mogły wygrzewać się na słońcu. Będzie nam potrzebne poidło dla ptaków albo coś podobnego, żeby nasypać do niego piasku. Wody powinno być tyle, żeby utrzymywała piach w wilgoci. Nonno powiedział, że motyle lubią sączyć wilgoć z piasku.

W zamyśleniu zastukałam w filiżankę.

– Poradzę się Nonno, gdzie najlepiej zasadzić kwiaty. Wskaże mi właściwe miejsca dla każdego gatunku. Może zaprosisz go na śniadanie? Możesz go przywieźć na taczce. – Kiwnęłam w jej kierunku. – A po jedzeniu zabierzemy się do pracy.

Capo nie ruszył się z miejsca. Patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– No co? – Zaczęłam się wiercić. Poczułam się jak trzygłowe dziwadło.

Pokręcił głową.

– Panoszysz się.

– Kto by pomyślał. – Uśmiechnęłam się szeroko.

– Wiedziałem. – Zawahał się. – Czułem, że tak będzie. – Jego twarz nie drgnęła, ale w głosie zabrzmiała satysfakcja.

Rozładował taczkę do końca i ruszył w kierunku domu dziadka. Przed odejściem wydał dyspozycję ochroniarzom, którzy pilnowali domu, żeby mieli na mnie oko. Od czasu pojawienia się na naszym weselu nieproszonych gości zwiększył ochronę.

Pobiegłam do domu i ubrałam się w pośpiechu. Musiałam posprzątać i przyszykować pyszne śniadanie, więc nie miałam czasu, żeby przejmować się swoim wyglądem. W pięć minut uwinęłam się ze sprzątaniem, a zrobienie śniadania zajęło mi kolejne dwadzieścia minut. Zrobiłam caffè

latte, odgrzałam rogaliki (cornetti) i usmażyłam omlet. Na obrotowej tacy postawiłam słoiki z przetworami. Zdążyłam nawet nazbierać dzikich kwiatów i zrobić z nich bukiet. Nie miałam wazonu, więc wstawiłam je do słoika po dżemie.

Ciotki Capo nauczyły mnie tylu nowych rzeczy.

Na dworze rozległ się śmiech Nonno i trzask drewnianych kół taczki. Zdjęłam fartuch i wybiegłam na zewnątrz. Dziadek siedział w taczce pośród kwiatów i śmiał się serdecznie. Na jego widok i ja uśmiechnęłam się radośnie.

– Nie było lekko, *farfalla*, ale dojechałem!

Wytarł twarz chusteczką, którą zawsze trzymał w kieszeni spodni.

Zia Stella wyłoniła się zza pleców Capo, a na jej twarzy także gościł szeroki uśmiech.

– Szkoda, że cię przy tym nie było! – Podeszła do mnie, a Capo wziął dziadka na ręce i postawił na ziemi. Podał mu ramię i ruszyli w kierunku domu. – Zażądał, żeby Amadeo przewiózł go po całej posiadłości. Chciał zjeżdżać z górki! Zachowywał się jak siedmiolatek w wesołym miasteczku. Podnosił ręce do góry i krzyczał z radości!

Ucałowała mnie w oba policzki i weszła do środka. Ucałowałam Nonno i biorąc go pod ramię, pomogłam mu przejść przez próg.

– Od razu widać tu kobiecą rękę – powiedział cicho, rozglądając się po pokoju. – Dom wygląda zupełnie inaczej.

Śniadanie przebiegło w miłej atmosferze. *Zia* Stella i Nonno nie szczędzili mi pochwał, wszystko bardzo im smakowało. Capo milczał, w końcu wstał, żeby sprzątnąć talerze.

– Tym razem o niczym nie zapomniałaś – pochwalił mnie i pocałował w policzek. Nawet wziął sobie dokładkę.

Reszta dnia upłynęła nam na obsadzaniu ogrodu. Nonno pomógł mi wybrać odpowiednie miejsca dla każdej z roślin. Wykorzystał moment, gdy Capo był czymś zajęty i sprzedając mi kuksańca w żebro, wypowiedział jedno słowo.

– *Radici*. Korzenie.

Capo zajął się altanką. Co jakiś czas, gdy w słońcu robiło się zbyt gorąco, Nonno siadał pod drzewem blisko Capo i udzielał mu wskazówek.

Nonno wyglądał tak kwitnąco, że aż trudno było w to uwierzyć. Wręcz promieniał. Złapał drugi oddech i korzystał z każdej chwili. Zjedliśmy na dworze lekki lunch i do wieczora uporaliśmy się z pracą.

Nieoczekiwanie dom i ogród natchnęły mnie na nowo nadzieją. Poczułam, że podobnie jak świeżo zasadzone kwiaty zakorzeniam się w nowym miejscu. Pomyślałam życzenie. Chciałam, żeby każdy motyl, który przyleci do naszego ogrodu, znalazł w nim bezpieczne schronienie.

Zia Eloisa przyniosła nam kolację. Zasiedliśmy wokół stołu zastawionego półmiskami. Wino lało się strumieniami, półmiski przechodziły z rąk do rąk, zaś śmiech, który rozlegał się wokół gromkim echem, był bardziej sycący niż jedzenie i wino razem wzięte. Gdy skończyliśmy jeść, niebo było usiane gwiazdami.

Ciotki i kuzynki pierwsze poszły spać. Capo chciał odwieźć Nonno do jego willi, ale dziadek przed wyjściem zapragnął jeszcze posiedzieć chwilę w ogrodzie. Razem z Capo pomogliśmy mu wyjść na zewnątrz i we trójkę usiedliśmy na ławce. Nonno spojrzał w niebo i zamilkł.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w ciszy. Każdy wydawał się zajęty własnymi myślami. Gdy minęło pół godziny, Capo zadał dziadkowi jakieś pytanie dotyczące altanki. Dziadek nie odpowiedział.

Na początku myśleliśmy, że zasnął. Capo zerwał się z miejsca i potrząsnął nim.

– *Papà!*

Wyprostowałam się, byłam równie zaniepokojona.

Po chwili dziadek odpowiedział, ale jego słowa nie miały żadnego sensu. Bełkotał, wyglądał, jakby był pijany.

– Mariposa. – Capo ruszył biegiem w kierunku domu. – Nie przestawaj do niego mówić!

Uklęknęłam przed Nonno i przycisnęłam jego dłoń do serca.

– Nonno – powiedziałam, starając się zachować spokój. Jeśli umierał, nie chciałam, żeby wyczuł mój strach, mimo że cała się trzęsłam, a serce pękało mi na pół. – Nonno, proszę cię, nie odchodź. Jeszcze tyle życia

przed tobą. Musisz z nami zostać. Nie odchodź. – Obsypywałam jego dłoń pocałunkami.

Uniósł drżącą rękę i pogłaskał mnie po głowie. Mówił niewyraźnie, ale zrozumiałam jego słowa.

– Miałem długie życie. Miałem satysfakcjonujące życie. – Oddychał z trudem. – Nie dostałem wszystkiego, co chciałem, ale otrzymałem wszystko, co było mi potrzebne. Moje ostatnie dni były pełne radości. Przypomniałem sobie, jak smakuje życie. Jak to jest zaczerpnąć tchu. Jak to jest zobaczyć po raz pierwszy słońce i księżyc. Jak to jest się zakochać. Wszystkie moje potrzeby zostały zaspokojone. Zrobiłem wszystko, co do mnie należało. Moje poświęcenie nie poszło na marne.

Minęła chwila, zanim zorientowałam się, że Capo odciągnął mnie od dziadka. Wuj Tito siedział przy nim i sprawdzał mu puls. Nad nami świeciły gwiazdy, a Nonno wyglądał na szczęśliwego, tak jakby wszystkie jego życzenia zostały spełnione. Wszystkie potrzeby zaspokojone.

Spokój Nonno był przeciwieństwem okrzyków rozpaczy, które rozległy się, gdy przybiegły jego córki i krewni. Wszyscy opłakiwali Nonno, który tak wiele dla nich znaczył.

W moim życiu nieraz zetknęłam się ze śmiercią.

Straciłam rodziców.

Poznałam Capo, który po chwili zniknął.

Przeżyłam odejście Jocelyn i dziadziusia.

Nie przeżyłam jednak nigdy żałoby po śmierci rodziców ani po Jocelyn i dziadziusiu. Nie było na nią czasu. W wieku pięciu lat zabrano mnie z domu rodzinnego, a gdy miałam lat dziesięć, straciłam jedyną rodzinę, jaką miałam, i od tamtej pory musiałam się skupić na tym, żeby w ogóle przetrwać. Często o nich myślałam, ale starałam się myśleć jak najrzadziej, bo to było dla mnie zbyt bolesne. Musiałam trzymać emocje na wodzy, żeby nie tracić czujności.

Śmierć zatem nie była mi obca, ale nigdy dotąd nie doświadczyłam straty kogoś bliskiego tak świadomie.

Na pogrzebie wszyscy byli ubrani na czarno i nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby ktoś zawodził tak głośno, jak jedna z córek Nonno, gdy zamykano jego trumnę. Nogi ugięły się pode mną. Capo musiał mnie przytrzymać, żebym nie upadła. Tak płaczą ci, którzy z odejściem bliskiej osoby tracą część duszy.

Po pogrzebie wróciliśmy do willi dziadka. Starałam się być cicho i schodziłam wszystkim z drogi. Moje serce krwawiło, więc nie potrafiłam sobie wyobrazić, co przeżywali jego najbliżsi. Był jedną z tych osób, o których świat nigdy nie zapomni. Jego słowa zostały zapisane na papierze. Pozostanie na zawsze żywy w książkach i w sercach osób, które go kochały.

Zupełnie inaczej niż ja, bo był czas, kiedy myślałam, że skończę na jakimś nowojorskim śmietniku. Poza Keely i jej braćmi nikt by o mnie nie pamiętał. Na tym świecie nie zostawiłam po sobie żadnego śladu. Nawet skrawka papieru. Byłam tylko kolejną Sierrą.

Westchnęłam i rozejrzałam się w poszukiwaniu Capo. Cały dzień pojawiał się i znikał. Sprawdzał, czy jestem, i odchodził.

– Rocco – powiedziałam, łapiąc go za rękę. Wreszcie został sam i popijał drinka. – Widziałeś gdzieś Capo?

– Jest w gabinecie dziadka.

Kiwnęłam głową i poszłam go szukać. Drzwi do gabinetu były uchylone, ale w środku nie zastałam Capo. Weszłam do środka i zauważyłam, że z półki zniknęło kilka książek dziadka. Przed śmiercią napisał list do każdego ze swoich dzieci, wnuków i prawnuków. Gdy podeszłam do biurka, zobaczyłam, że leży na nim otwarta książka.

Mariposa,

Nawet najmniejsze stworzonko może wiele zdziałać. Zostałaś zauważona i doceniona. Podziel się tą książką z moimi prawnukami, których nie zdążyłem poznać. Ofiaruję ją tobie, ale im również. Zapuściłaś korzenie w moim sercu i zostaniesz w nim na zawsze.

Nonno

Usiadłam i otworzyłam książkę na pierwszej stronie. Była to ilustrowana książka dla dzieci.

W ciemnym lesie siedział wilk o elektryzującym błękitnym spojrzeniu, a nad jego głową świecił księżyc w pełni. Wilk był samotny i nie miał stada, bo chciał nad wszystkimi dominować. Na trzeciej stronie do wilka podpełzła brzydka, brązowa gąsienica. Gąsienica powiedziała wilkowi, że był samotny, bo stracił coś, co kiedyś należało do niego. Być może został okradziony. „Kto byłby na tyle zuchwały, żeby mnie okraść? – warknął wilk. – Powiedz, co straciłem, żebym mógł to odzyskać". Gąsienica wpełzła mu na nos i powiedziała: „Chodź ze mną, to ci pokażę".

Wilk myślał, że stracił coś, w czym mógłby zatopić zęby, a gąsienica nie wyprowadziła go z błędu. Pozwoliła, żeby wierzył w to, w co chciał wierzyć. Niektórzy muszą zobaczyć, żeby móc uwierzyć, pomyślała.

Ruszyli w podróż. W lesie napotykali różne stworzenia. Zawrócili i zgubili się. Wreszcie, gdy wilk chciał zjeść gąsienicę, bo zabrała go w bezsensowną podróż, ona zaprowadziła go do magicznego ogrodu.

W ogrodzie znalazł zająca, którego zjadł. Znalazł też schronienie przed piekącym słońcem. Wskazała mu kryjówkę, w której mógł odpocząć, i ostrzegała go, gdy ktoś się do niego zbliżał. Nie opuszczała go na krok. Nawet gdy sama była zmęczona i obolała, nie zostawiła go samego.

Podczas wspólnej wędrówki wilk zdał sobie sprawę, że choć gąsienica nic mu nie dała, dzięki niej nauczył się czuć. Uczucia były ważniejsze od zająca, którego schrupał. Gąsienica, a mógł ją pożreć jednym chapsnięciem i zmieść z powierzchni ziemi jednym ruchem pazura, od początku ofiarowała mu miłość.

Śmierć gąsienicy była dla mnie zaskoczeniem. Wilk opłakiwał jej odejście, oboje w ostatniej chwili zrozumieli, ile dla siebie znaczyli. Wyciągnęli z tego wnioski na temat życia i śmierci. Dopiero śmierć pozwoliła im zrozumieć lekcję, której starało się udzielić im życie.

Wilk stracił zdolność do miłości. Został wykluczony ze stada, bo pazurami i kłami wciąż walczył o swoją pozycję. Został pozostawiony samemu sobie. Zapomniał, że potrafi kochać. Ktoś od nowa musiał go nauczyć sztuki przyjmowania i dawania miłości.

Gąsienica powinna była zrozumieć, że jej trud nie poszedł na marne. Zostanie zapamiętana dzięki swoim czynom. Drapieżna bestia nigdy jej nie zapomni. Nauczyła go kochać i nie oczekiwała, że będzie kimś innym, niż

był. Nie oczekiwała, że będzie okazywał słabość. Jej miłość tylko go wzmocniła.

Na ostatniej stronie widniała ilustracja, przedstawiająca wilka i błękitnego motyla, który umościł się w jego gęstej sierści. Nad magicznym ogrodem świecił księżyc w pełni.

– Nonno.

Zamknęłam książkę i oparłam głowę o twardą okładkę. Napisał książkę dla dzieci, dla swoich prawnuków. Napisał książkę dla dzieci ku czci dziewczyny, o której mówił, że jest kobietą dzieckiem. Wiedział, że docenię i pokocham tę bajkę, a zwłaszcza ilustracje, wyjątkowo wyszukane i fantazyjne.

– To ostatnia rzecz, którą napisał.

Podskoczyłam na dźwięk cichego głosu Rocco. Stał za mną, spoglądając na książkę. Pogłaskałam okładkę, obiecałam sobie, że będę jej strzec jak oka w głowie.

– Czytałeś ją? Ja… Brakuje mi słów, żeby ją opisać.

– Przejrzałem. Widziałem, że czytał ją twój mąż.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem, Mariposa. Strasznie to wszystko przeżywa.

– Wiem – odrzekłam. W myślach kartkowałam strony książki i usiłowałam zrozumieć jej sens.

– Możesz podrzucić mnie do kościoła?

Przysiadł na biurku i spojrzał na mnie.

– Dlaczego chcesz pojechać do kościoła?

Dziadek powiedział mi, że po śmierci córki, matki Capo, zawarł pakt z Bogiem i wtedy po raz pierwszy od dawna poszedł do kościoła. Intuicja podpowiadała mi, że Capo ruszył tropem dziadka.

– Gdzie indziej jak nie w kościele człowiek może mieć pewność, że znajdzie schronienie i zarazem zostanie zauważony? – zapytałam.

Połaskotał mnie po podbródku.

– Mądra dziewczynka.

Stalowoszarym lamborghini Rocco zawiózł mnie do kościoła, w którym braliśmy z Capo ślub. Miałam nadzieję, że dojedziemy tam w rekordowo krótkim czasie, i mojemu życzeniu stała się zadość. Gdy wchodziliśmy po schodach, zauważyłam, że przed wejściem do kościoła stoi dwóch mężczyzn w garniturach.

Rocco objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie. Odruchowo zaczęłam się odsuwać, bo nigdy wcześniej nie dotykał mnie w ten sposób, ale rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie i przestałam się wyrywać.

– Arturo! – zawołał Rocco i obaj mężczyźni przystanęli.

Arturo zmrużył oczy, spojrzał na nas i wraz z towarzyszącym mu młodszym mężczyzną ruszyli w naszą stronę.

– Rocco. – Wyciągnął rękę na powitanie, ale Rocco się uchylił.

Od Rocco powiało chłodem. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie i strach ścisnął mnie za gardło. Wyszła z niego prawdziwa natura rodziny Faustich. Niektórzy mówili, że są jak lwy. Lwa miał wytatuowanego na przedramieniu, z Najświętszym Sercem i różańcem wokół imponującej grzywy. Pod koszulą tatuaż był niewidoczny, ale zobaczyłam go, gdy kiedyś podwinął rękaw.

Arturo był Amerykaninem i wyglądał znajomo, choć nigdy wcześniej go nie widziałam. Miał wyraziste rysy i przerzedzone szpakowate włosy. Był barczysty, zdążył już sobie wyhodować niewielki brzuszek. Miał brązowe oczy. Mężczyzna, który mu towarzyszył, był postawnym brązowookim blondynem. Wydawali się trochę podobni.

Arturo cofnął dłoń i poklepał młodszego po ramieniu.

– Pamiętasz Achille.

Achille zrobił krok w naszym kierunku i przytaknął.

– Co cię tu sprowadza, Arturo? – zapytał Rocco, ignorując mężczyznę o dziwnym imieniu Achille.

Oczy Achille zapłonęły wściekłością. Nie spodobało mu się, że został zignorowany. Od tej chwili zaczęłam ich bacznie obserwować. Arturo był odpychający, a Achille sprawiał, że cierpła mi skóra.

Gdy spojrzałam na dłoń Achille, zatkało mnie. Na dłoni dostrzegłam tatuaż identyczny jak tatuaż Capo. Arturo miał taki sam, ale w innym

miejscu, bliżej nadgarstka. Czarne wilki. Różniły się tylko kolorem oczu. Wilk Capo miał błękitne oczy, a wilki obu mężczyzn były całe czarne, bez plam błękitu.

Z trudem oderwałam od nich wzrok, ale nie chciałam zwracać na siebie uwagi.

Arturo omiótł mnie spojrzeniem i spojrzał na Rocco.

– Czy to twoja żona? – Po chwili uniósł ręce w obronnym geście. – Nie chcę być wścibski.

Rocco uśmiechnął się chłodno.

– Znasz moją żonę – powiedział. – To jest żona Amadeo.

– Amadeo – powtórzył za nim Arturo. Wyglądał, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

– Syna Stelli?

– To nieodpowiedni dzień na składanie wizyt – powiedział Rocco z jawną irytacją. – Rodzina jest w żałobie. Twoja obecność jest przejawem impertynencji i tak zostanie odebrana.

– Doszły mnie słuchy o śmierci staruszka – powiedział Arturo i potrząsnął głową ze smutkiem. – Bardzo mi przykro. Miałem nadzieję, że będę mógł osobiście złożyć kondolencje.

Przykro ci, jasne, miałam na końcu języka. Nie wiedziałam, kim jest, ale ewidentnie zionęło od niego fałszem. Achille nie przestawał się na mnie gapić. Jego lodowate spojrzenie sprawiało, że miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

– Achille – wyciągnął do mnie rękę.

Nie uścisnęłam jej, nie chciałam, żeby mnie dotykał. Uśmiechnął się, widząc moje zakłopotanie. Był typem człowieka, który czerpie satysfakcję z czyjejś niedoli. Achille był bardziej niebezpieczną wersją Merva Zboczeńca. Niewątpliwie był od niego bardziej wysportowany.

– W Ameryce nie robią takich dziewczyn jak ty. – Wskazał na mnie. – Gdybyś nie była mężatką, może byłbym skłonny dogadać się z twoją rodziną. Ciekawe, ile za ciebie wzięli.

I wtedy mnie olśniło. Myślał, że mówię tylko po włosku. Dlatego mówił do mnie powoli jak do kretynki. Głupi dupek.

Rocco zasłonił mnie własnym ciałem i podszedł do Achille. Spojrzał na niego z taką wrogością, że serce podeszło mi do gardła. Chwyciłam się jego koszuli.

– Nic tu po tobie. – Rocco zwrócił się do Arturo, ale nie przestawał patrzeć na Achille. – Zabieraj swojego synka i zmiatajcie stąd. Jeśli chcesz osobiście złożyć kondolencje, masz się wcześniej zaanonsować. Rodzina za tobą nie przepada i wątpię, żeby to się miało zmienić. Zwłaszcza po tym, co stało się dziś. Wyślij kwiaty. To najbardziej stosowny sposób wyrażenia żalu.

Arturo stał przez chwilę nieruchomo. Spojrzał na nas, na kościół i westchnął. Objął syna ramieniem i wycofali się, dziękując Rocco po włosku. Achille stuknął obcasami na pożegnanie i poszli.

Rocco odprowadził ich wzrokiem i sięgnął po komórkę. Przeprowadził krótką rozmowę w dialekcie sycylijskim. Wysłał ludzi, żeby przypilnowali Amerykanów. Gdy zniknęli za rogiem, wziął mnie pod ramię i ruszyliśmy w stronę wejścia do kościoła. Otworzył mi drzwi i przystanął.

– Idziesz ze mną?

– Dołączę za chwilę. Muszę jeszcze zadzwonić w jedno miejsce.

Zawahałam się.

– Nie bój się, Mariposa. Nie pozwolę, żeby cię skrzywdzili.

– Czy oni są źli?

– *Sì*. To najgorsze szumowiny. Jeśli kiedykolwiek spotkasz ich na ulicy, uciekaj. Czy to jasne?

– Jak słońce.

Wiedziałam, że obecność tych dwóch mężczyzn nie wróżyła niczego dobrego, ale miałam nadzieję, że Rocco powie mi coś więcej.

Zostawiłam Rocco, żeby mógł zadzwonić, a ja weszłam do kościoła. Panowała w nim cisza, a mnie zalały wspomnienia z naszego ślubu. To był taki radosny dzień.

Nonno.

Nie zapomnę, jaki był pełen życia. Teraz to tylko martwe ciało w zamkniętej trumnie.

Pod wieloma względami kościoły przypominały szpitale. Bezustannie przekraczano w nich granicę pomiędzy życiem a śmiercią.

Weszłam prawie bezszelestnie, a gdy zbliżyłam się do głównej nawy, stanęłam i schowałam się w cieniu kolumny. Na ławce siedzieli Capo i Gigi. Ona położyła mu dłoń na ramieniu. Gdy zaczęła płakać, objął ją za szyję.

– Amadeo – chlipnęła i złożyła głowę na jego ramieniu.

Nigdy nie sądziłam, że jestem mściwa. Do tej pory nikt nie zalazł mi za skórę na tyle, żebym zapałała żądzą zemsty. A jeśli był ku temu powód, od razu uciekałam. Jednak dziś było mi trudno powstrzymać nagłą chęć wyrządzenia jej krzywdy. Chciałam skrzywdzić ją tak, jak ona skrzywdziła mnie.

Capo był moim mężem, nie jej.

Nigdy wcześniej mój brak doświadczenia, a zwłaszcza w umiejętności pocieszania mężczyzny, nie był tak oczywisty. Potrafiła być dla niego oparciem, a jednocześnie dała wyraz swojej rozpaczy, żeby nie poczuł, że jest słaby. No i zwracała się do niego po imieniu. Amadeo. Zawsze tak do niego mówiła. Ja nie uzyskałam tego przywileju.

Po chwili do kościoła wszedł Rocco. Zobaczył mnie, spojrzał na Capo i Gigi, a chwilę potem znowu skierował wzrok na mnie. Ruszył przed siebie, wołając Capo. Gigi się odwróciła, ale Capo nawet nie drgnął. Zanim wstała, pocałowała go w policzek, zostawiając najpewniej ślad czerwonej szminki.

Rocco usiadł obok Capo i powiedział coś do niego ostrym tonem.

Gigi stanęła przy mnie. Gdy płakała, była jeszcze piękniejsza. Wyjęła chusteczkę z torebki i otarła oczy.

– Jest twój – powiedziała. – Dbaj o niego.

Nie odpowiedziałam i odwróciłam wzrok, wstrzymując oddech, żeby nie wdychać zapachu jej drogich perfum. Rocco i Capo nie przestali rozmawiać, ale nagle Rocco wstał. Wydawał się wściekły.

– Chcesz, żebym cię odwiózł do domu? – zapytał, kierując się do wyjścia.

– Nie – powiedziałam. – Zostanę z nim.

Kiwnął głową i wyszedł.

Wolnym krokiem ruszyłam w stronę mojego męża siedzącego samotnie w ogromnym opustoszałym kościele. Gdy usiadłam, nawet na mnie nie spojrzał. Patrzył w górę, a jego twarz była pozbawiona wyrazu. Wzrok miał zimny i zawzięty. Pomyślałam, że zapewne niepotrzebnie się łudziłam. Nie uda mi się wkraść w jego łaski. Czy kiedykolwiek będzie w stanie choć trochę się przede mną otworzyć?

Przez jakiś czas siedzieliśmy w ciszy. Wreszcie złapał mnie za kolano, unieruchamiając je. Zdałam sobie sprawę, że bezwiednie poruszałam nogą w górę i w dół.

– Mów, Mariposa.

– Capo. – Wzięłam głęboki oddech, a gdy zaczęłam mówić, mój głos zabrzmiał cicho i niepewnie. – Życie jest krótkie. Jest za krótkie, żeby wyrzec się miłości. Powinieneś być z Gigi. To jasne, że ją kochasz. Nie chcę stać na drodze waszej miłości. Powinieneś iść za głosem serca. – Podniosłam się, chcąc odejść, ale powiedział:

– Tak łatwo byś mnie zostawiła. – Nie spojrzał na mnie ani razu. Cały czas spoglądał ku górze, ale było coś w jego głosie, co mnie zatrzymało.

Łatwo? Tak łatwo? Nie miał pojęcia, jak bardzo cierpiałam. Ile znaczył dla mnie jego dziadek i rodzina. Ile znaczył on. Jednak dzięki temu, że poznałam rodzinę i dziadka, miałam odwagę wypowiedzieć głośno te słowa. *Idź za głosem serca*.

Czasami odwaga i bezinteresowność wypływają właśnie ze strachu. Mimo że serce mi pękało i na samą myśl o tym, że mogliby być razem, ogarniała mnie furia, nie chciałam stać na drodze do ich szczęścia. Wszystko blakło w obliczu prawdziwej miłości, zarówno nasza umowa, jak i to, że mnie odnalazł.

– To nie takie proste – powiedziałam. – Wiesz, co myślę o miłości. Lojalność spaja fundamenty, ale to miłość je podtrzymuje. *Amore*. To jedyny powód, dla którego jestem gotowa od ciebie odejść.

Miłość sprawia, że zostajemy i odchodzimy.

– Podążasz drogą prawdziwej matki – powiedział.

Był pogrążony w żałobie i najwyraźniej majaczył.

– Prawdziwej matki? – zapytałam ze zdziwieniem.

– To stara opowieść. Było tak. Dwie kobiety walczyły o dziecko, każda twierdziła, że jest jego matką. Gdy król dowiedział się o tym, wezwał kobiety do swojego zamku. Gdy wysłuchał obu wersji, nie potrafił rozstrzygnąć, która z nich mówi prawdę. Postanowił podjąć decyzję na podstawie tego, co wiedział. Skoro nie można rozsądzić, która z nich mówi prawdę, dziecko należy do obydwu. Kazał przeciąć dziecko na pół, wtedy każda otrzyma połowę. Jedna matka przystała na propozycję króla. Druga odmówiła. Powiedziała, że zrzeka się swojej części, bo nie pozwoli, żeby cierpiało. I król ofiarował dziecko tej kobiecie.

– Poświęciła swoje serce z miłości do dziecka – powiedziałam.

– Troszczyła się o nie. To nawet nie musiała być miłość.

– Możesz zatem nazwać mnie prawdziwą matką. Choć na odchodne Gigi powiedziała, żebym o ciebie dbała. Co się stanie, jeśli obie ofiarujemy cię królowi?

– Żadna z was nie odda mnie królowi – powiedział.

Może to dziwne, ale byłam gotowa przysiąc, że wiem, co chciał powiedzieć. To on jest królem.

– Capo…

– Mariposa, nie mam teraz do tego głowy.

– Rozumiem. Niepotrzebnie ci o tym powiedziałam. – To było głupie. Poniosły mnie emocje, ale naprawdę pragnęłam, żeby był szczęśliwy. Śmierć dziadka była najlepszym dowodem na to, że liczy się tylko tu i teraz.

– Dbaj o siebie, Capo – wyszeptałam i ruszyłam w stronę wyjścia. Pomijając kwestie finansowe, nigdy nie prosiłam o wiele, ale teraz oczekiwałam od niego jasnej deklaracji.

– Nie potrzebujesz mojej zgody, żeby zwracać się do mnie po imieniu – powiedział, a ja zatrzymałam się w pół kroku. Stałam do niego tyłem. –

Nonno mówił do mnie Amadeo. Chciał, żebym miał tak na imię. Dlatego moja rodzina tak do mnie mówi. Możesz nazywać mnie, jak chcesz, ale nikomu innemu nie pozwoliłbym mówić do siebie Capo ani mężu. Pozwalam tylko tobie. Nazwałaś mnie po swojemu, tak jak ja ciebie. A reszta… – westchnął. – Reszta nie ma znaczenia. Imiona są tylko imionami. To zwykłe etykiety.

Chyba wyczuł moje wahanie, bo odchrząknął i dodał jeszcze:

– Gigi jest córką Stelli. Jest moją siostrą cioteczną, więc gdybym chciał z nią być, popełniłbym kazirodztwo. Nie zataiłem niczego przed tobą, po prostu nie mieliśmy okazji o tym porozmawiać, a poza tym twoja zazdrość mnie ucieszyła.

Zamiast go przeprosić, zapytałam:

– Ucieszyła cię?

– To było urocze.

Urocze. Nienawidziłam tego słowa. Szczenięta są urocze. Bobasy są urocze. Miniaturowe warzywa są urocze. Jednak dojrzała kobieta nie powinna być urocza. Powinna być…

– Nie myśl za dużo – poradził i skrył twarz w dłoniach.

Na palcach podeszłam do ławki i usiadłam obok niego. Ostrożnie dotknęłam dłonią jego pleców. Był spięty, mięśnie miał napięte i twarde, ale rozluźnił się nieco w reakcji na mój dotyk.

A ja? Próbowałam się nie wiercić. Myślałam z niepokojem o naszej rozmowie. Wiara jest czymś bardzo osobistym. To jedyna sprawa, oprócz miłości i grzechu, o której mamy prawo sami decydować.

Capo nie bez powodu przyszedł do kościoła. *Chcę zniknąć, a jednocześnie pragnę zostać zauważonym*.

Nagle moja kieszeń zaczęła mi ciążyć. Weź mnie do ręki, usłyszałam cichy szept. Z kieszeni wyciągnęłam różaniec mojej matki i potarłam chłodne perły.

Po raz pierwszy na mnie spojrzał. Promień słońca odbił się od witrażu i zaświecił mu prosto w oczy. Stał się częścią szklanej mozaiki. Zerknęłam na jego krtań. Ktoś próbował go zniszczyć. Cios był tak potężny, że

roztrzaskał go na kawałeczki. Musiał zlepić się na nowo. Rysy po pęknięciu były widoczne dla każdego, kto miał odwagę na nie spojrzeć.

Chcę zniknąć, a jednocześnie pragnę zostać zauważonym.

Ti vedo.

Widzę cię.

Spoglądam na ciebie przez popękane błękitne szkło. Dostrzegam każdą rysę. Mam odwagę zobaczyć w tobie kogoś więcej niż łowcę. Patrzę w twoje oczy i widzę serce, które bije.

Widzę cię, mój mężu. Widzę cię, mój Capo. Widzę cię, moje serce. Jesteś dla mnie wszystkim.

W jednej dłoni trzymałam różaniec, drugą pogłaskałam go po policzku.

– Dobrze jest mieć u boku przyjaciela, który potrafi siedzieć w ciszy. – Mój głos był ciepły jak mój dotyk.

– Cieszę się, że cię mam, Mariposa. – Jego głos był chrapliwy. – *La mia piccola farfalla*. Mój mały motylku.

Zamilkliśmy, jednocząc się w żałobie, która zagłuszała panującą wokół ciszę.

20

MARIPOSA

Po wyjściu z kościoła ruszyliśmy pędem do domu. Capo kazał mi się spakować. Powiedział, że jedziemy w podróż poślubną. Miałam poczucie winy. Zostawialiśmy pogrążoną w żałobie rodzinę, ale Capo zapewnił mnie, że udzielili nam błogosławieństwa na wyjazd. Dziadek chciałby, żebyśmy mieli piękną podróż poślubną. Czułam jednak, że coś jest nie tak. Podejrzewałam, że ma to związek z mężczyznami, których spotkałam przed kościołem.

Mieli takie same tatuaże jak Capo. Znali się, to nie ulegało wątpliwości. Zastanawiałam się, czy mają coś wspólnego z blizną na jego krtani. Gdy zapytałam o to Capo, kazał mi się skupić na pakowaniu. Jego brak odpowiedzi uznałam za potwierdzenie. Może chciał, żeby Achille i Arturo podążyli jego śladem, wtedy zostawiliby jego rodzinę w spokoju.

Pożegnanie trwało dwie godziny. Rodzina wymusiła na mnie obietnicę, że zadbam o to, by Amadeo szybko do nich wrócił. Według nich za rzadko bywał w domu. Nie wiedziałam, jak się zachować, gdy zapewniali mnie o swojej miłości i mówili, że będą za mną tęsknić.

Moje łzy były zaskoczeniem dla mnie samej. Schowałam się za okularami przeciwsłonecznymi, ale Capo i tak zobaczył, że płaczę.

Starł łzę z mojego policzka i oblizał palec.

– Nie wyjeżdżamy na zawsze. Wrócisz tu.

Nadal nie znałam celu naszej podróży, ale gdy weszliśmy na pokład ogromnego jachtu, zrozumiałam, że płyniemy w rejs. Capo poszedł przywitać się z kapitanem. Rzecz jasna, był spowinowacony z rodziną Faustich.

Capo poprawił mnie, gdy nazwałam jacht statkiem. Okazał się pływającą luksusową rezydencją. Było mi wszystko jedno, jacht, statek, pływająca rezydencja. Na pokładzie obsługa dwoiła się i troiła, zaś pod pokładem znajdowało się kilka obszernych i wygodnych kabin.

Zasnęłam na Sycylii i obudziłam się w Cala Gonone na Sardynii. W Cala spędziliśmy cały dzień. Morze miało trudny do opisania kolor topazu i szafirów. Było przejrzyście czyste. Nurkując, czułam się jak delfin wpływający do innego świata. Woda była chłodna, a moja skóra gorąca. Capo miał słone wargi, a ja byłam szczęśliwa.

Tej nocy zasnęłam na Sardynii, a obudziłam się w jednym z greckich portów.

Grecja!

Wcześniej tylko domyślałam się, że Capo przejrzał moje rzeczy, gdy oddałam je do szatni w klubie. W Grecji zyskałam pewność, że to zrobił. W moim dzienniku napisałam, że moim marzeniem jest pojechać do Grecji. Jeden ze stałych klientów Home Run był Grekiem i często snuł opowieści o greckich wschodach i zachodach słońca, kolorowych domkach, jaskrawobłękitnym morzu, górach, wiatrakach, jedzeniu i miejscowej ludności.

Po zacumowaniu Capo zabrał mnie do sklepu fotograficznego. To niedopuszczalne, że ilekroć widzę coś wartego uwiecznienia, składam palce w kwadrat i udaję, że robię zdjęcie. Jeśli chcę mieć aparat, to będę go miała.

Kupił mi jeden z droższych modeli. Po dwóch godzinach studiowania instrukcji wiedziałam już, jak go obsługiwać. Rzadko zdejmowałam go z szyi. Robiłam tyle zdjęć, że wykorzystałam pięć kart pamięci.

Fotografowałam wschody i zachody, białe domki, morze, wiatraki, góry, jedzenie i ludzi. Capo i siebie. Robiłam mu portrety. Obiektyw pokochał jego twarz i ciało.

Podczas pobytu w Grecji poznałam go od innej strony. Był zrelaksowany, a gdy widział, że ze strachu czegoś nie chcę zrobić, zachęcał mnie, dopóki nie zaryzykowałam. Pływaliśmy nago pod rozgwieżdżonym niebem, wspinaliśmy się do miejsc, do których docierały tylko kozy, wprosiliśmy się na greckie wesele, na którym tańczyłam tak długo, że

uśmiech zastygł mi na twarzy ze zmęczenia, pływaliśmy kajakami po wodzie tak przejrzystej, że jej powierzchnia przypominała szklaną taflę mieniącą się na zielono, kochaliśmy się w zacisznych zatoczkach, jedliśmy tak dziwne potrawy jak sałatka z jeży morskich, a także jagnięcinę. Odmówiłam jednak spróbowania smażonej ikry z ośmiornicy i ślimaków, które podskakiwały, gdy rzucano je na rozgrzaną patelnię. Pokochałam za to smak granatów i od tej pory kucharz zawsze je dla mnie zamawiał.

Po miesiącu do Capo zadzwonił Rocco. Capo musiał włożyć słuchawki, bo telefon zadzwonił w trakcie przedstawienia *Carmen* w wykonaniu greckiej Opery Narodowej w Odeonie Heroda Attyka.

Odeon Heroda Attyka to kamienny teatr rzymski na świeżym powietrzu, który został wybudowany w roku 161 naszej ery. Jest położony na stoku Akropolu i przypomina trochę głęboką miskę. Poniżej majaczyły światła Aten, a za horyzontem pyszniły się postrzępione szczyty majestatycznych gór. Nigdy nie byłam w tak historycznym miejscu. Mogłam go nie tylko dotknąć, ale i poczuć jego zapach.

Capo skończył rozmawiać i wysunął dolną szczękę. Wściekłość i namiętność przeżywał w podobny sposób. Dolną szczękę wysuwał wtedy, gdy chciał się ze mną kochać albo gdy był wściekły.

– Czy coś się stało?

Nie spojrzał na mnie, wpatrywał się w aktorów na scenie.

– Bu, bam, bu.

Patrzyłam na niego, aż wreszcie na mnie spojrzał.

– Musimy dziś wyjechać, Mariposa.

Nie chciałam wyjeżdżać, ale wiedziałam, że prędzej czy później ten dzień i tak nadejdzie.

– Dlaczego?

– W jednym z moich budynków w Nowym Jorku podłożono bombę.

W ten sposób nasz pobyt w Grecji dobiegł końca.

Następnego dnia wróciliśmy do codzienności i do Nowego Jorku.

21

CAPO

Każdy mój krok był zaplanowany. Nic, co robiłem, nie było przypadkowe. W moim świecie nieprzewidziane okoliczności oznaczały śmierć. Po swojej śmierci nauczyłem się oddychać równo, co sekundę. Nauczyłem się doceniać każdą z nich, bo każda następna mogła być moją ostatnią.

Wywołałem niejedną wojnę. Zabijałem braci, synów, wujków i bliskich przyjaciół. Wszystkie poszlaki wskazywały na rodzinę Scarpone. Wciągnąłem w to nawet Irlandczyków. Zgodnie z planem rozpętało się piekło. Nikt już nikomu nie ufał, a cena zaufania spadła poniżej centa. Zaburzyłem dotychczasową, jakże kruchą, równowagę.

Rozważnie wybierałem kolejne ofiary. Dbałem o każdy detal. Byłem synem króla, mówiono na mnie Pięknіś Morderca. Gdy Arturo chciał kogoś ukarać śmiercią za zniewagę, wzywał mnie lub Achille.

Byliśmy jak wilki zagryzające owce. Arturo gardził wszystkimi, z wyjątkiem rodziny Faustich. Mówił, że oni w przeciwieństwie do reszty są jak lwy. Nie musieliśmy się nimi martwić ani ich zabijać, bo rządzili się na swoim terytorium. Kiedy inne wilki chciały walczyć z Arturo o to, kto jest przywódcą watahy, naszym zadaniem było je wyeliminować.

Gdy darowałem życie córce jednego z wilków, Arturo uznał to za niewybaczalny grzech. Dlatego rzucił mnie wilkom na pożarcie. Prawie mnie zagryzły.

Wtedy zamieniłem się w ducha. Przypominała mi o tym każda kolejna osoba, którą zabijałem. Byli przekonani, że wróciłem z piekła, żeby ich ze sobą zabrać. Czerpałem z tego niemałą przyjemność. Zwłaszcza gdy bali się ci, którzy przyłożyli rękę do mojej śmierci. Tchórze, którzy

przytrzymywali mi ręce, gdy podrzynano mi gardło. Bestie, które na moich oczach zgwałciły kobietę i zostawiły ją na pewną śmierć.

Jednego nie można odmówić śmierci, dzięki niej człowiek zyskuje czas. Dlatego się nie śpieszyłem. Dopiero spotkanie z Marzio Faustim przywróciło mnie do życia. Pożyczył mi pieniądze, które zainwestowałem w złoża ropy. W zamian stałem się jego płatnym zabójcą, spłacając w ten sposób z należnymi odsetkami zaciągnięty dług. Zaproponował, że może zabić Arturo, ale poprosiłem, żeby go oszczędził. Chciałem sam załatwić swoje sprawy.

Pragnąłem, żeby zemsta nakarmiła moją wygłodniałą duszę.

Gdy moje inwestycje, hotele, klub, nieruchomości oraz firmy, które Rocco prowadził w moim imieniu, zaczęły przynosić dochód, mój plan zaczął nabierać kształtów. Ostrzyłem kły. Tu i ówdzie zostawiałem ślady, obsikiwałem teren, żeby mogli wyczuć znajomy zapach.

Vittorio?

Nie, to niemożliwe.

I tu się, skurwysyny, mylicie.

Z biegiem czasu ślady zaczęły się mnożyć, a ja stawałem się coraz bardziej zuchwały, choć nie na tyle, żeby zostać zdemaskowanym. Członkowie rodziny Scarpone zaczęli jeździć do Włoch pod pretekstem „odwiedzin u rodziny”.

To mnie rozbawiło. Gdy się zaśmiałem, mój oddech był lodowaty.

– Odwiedzin u rodziny, dobre sobie – stwierdziłem z przekąsem.

Gdy Arturo i Achille wrócili z Włoch, gdzie o mały włos dopadliby mnie w kościele, zaczęli grasować w moich nowojorskich nieruchomościach. Na papierze właścicielem nieruchomości był niejaki Amadeo Macchiavello. Chcieli sprawdzić, czy żyję, więc postanowili mnie wykurzyć. Na inny sposób zwyczajnie nie wpadli.

Po śmierci syna Achille szukał mnie w klubie. Wyłowiłem go z tłumu. Utrata władzy najwyraźniej doprowadzała go do szaleństwa. Rzucał się na każdego ciemnowłosego mężczyznę w nadziei, że to ja.

Ciało syna Achille nigdy nie zostało odnalezione. Nie mieli zatem powodu zaglądać do pustego grobu.

A było tak. Człowiek, któremu Arturo zlecił zamordowanie mnie, miał utopić moje zwłoki w rzece Hudson. Nie przewidział jednak, że przeszkodzi mu w tym mój anioł stróż.

Tito Sala.

Zjawił się, gdy konałem, i uratował mi życie. Towarzyszyli mu Dario i Rocco. Człowiek, który poderżnął mi gardło, dwa dni później zginął w wypadku samochodowym. Nie zadziałały hamulce. Jak się okazało, nie powiedział Arturo, że nie pozbył się mojego ciała, bo bał się o swoje życie. Gdy został sam na miejscu zbrodni, uciekł na widok zbliżających się mężczyzn. Pobiegł prosto do Króla Wilków i okłamał go, mówiąc, że pozbył się zwłok.

Kłamstwo go nie uratowało. Nic by go nie uratowało. Arturo nigdy nie oszczędzał świadków. To było zbyt ryzykowne. Dlatego zlecił jego zabójstwo. Jego śmierć była mi na rękę, Arturo zabił go, zanim zdążył dowiedzieć się prawdy.

Angelina leżała martwa w kałuży naszej krwi. Nasze pożegnanie idealnie pasowało do naszej znajomości.

Fausti zostawili moją krew w zaułku obok restauracji, a także przy moście nad rzeką Hudson. Nie chciałem, żeby mnie znaleziono, a wiedziałem, że mój zabójca planuje zrzucić moje zwłoki z mostu. Gdy podrzynał mi gardło, wyszeptał mi do ucha:

– Nie zasłużyłeś nawet na to, żeby zdechnąć pod śmietnikiem. Twój stary chce, żebyś skończył w wodnistym grobie. Będziesz pływał z rybami w Hudson.

Za dużo gadał, powinien był się skupić na podrzynaniu mi gardła.

Policja uznała śmierć Angeliny i moją za morderstwa, ale gdy śledztwo utknęło w martwym punkcie, sprawa została zamknięta.

Nie szukali zbyt dokładnie. Jednak nie znaleźliby mnie nawet, gdyby bardzo chcieli. Byłem duchem.

Ów duch dawał się we znaki rodzinie Scarpone. Gdy zabawa w kotka i myszkę zaczęła mi się nudzić, postarałem się, żeby ślady, które po sobie zostawiałem, były coraz wyraźniejsze. Przed egzekucją chciałem namieszać im w głowach.

Scarpone robili wszystko, żeby przekonać pozostałe rodziny, że to nie oni stali za zabójstwami ich ludzi i za kradzieżami ich dostaw, więc zwalili wszystko na jednego człowieka.

Czyli na mnie.

Winą za wszystko obciążyli człowieka, którego nie znali. Człowieka, który bez wyraźnego powodu zaczął się panoszyć na ich terenie. Rzecz jasna, Arturo nigdy nie wspomniał, że podejrzanym jest Vittorio Lupo Scarpone. Zostałby uznany za niepoczytalnego, co nie było mu na rękę. Łatka szaleńca przydawała się tylko na polu bitwy.

Wiara w duchy? Przekonanie, że syn, którego zabiłeś, powstał z martwych, żeby cię zabić? Ani jedno, ani drugie nie sprzyjało interesom.

Atmosfera wokół mnie się zagęszczała. Dostawałem cios za ciosem, ale gdy mijały miesiące, a Scarpone nie znaleźli człowieka, którego obarczali winą za rozpętanie wojny, pozostałe rodziny zaczęły podejrzewać, że za wszystkim stoją właśnie oni.

Jednak Scarpone nie odpuszczali. Chcieli mnie wykurzyć, żeby spojrzeć mi w twarz, a potem rozsypać moje pieprzone prochy na wietrze. Za każdą bombę podłożoną w jednym z moich budynków ja podkładałem im dwie. A ich transporty kradzionych towarów? Znikały lub nigdy nie docierały na miejsce. Po kilku dniach część transportu wypływała na powierzchnię rzeki Hudson.

Nigdy nie widziałem, żeby Achille płakał, nawet gdy zginął jego syn. Pierwszy raz zobaczyłem u niego łzy, gdy zniknął jego transport narkotyków wart miliony dolarów. Stał w dokach i rozmawiał z przekupionym brygadzistą, rwąc włosy z głowy i głośno zawodząc.

Łaaa. Łaaa. Łaaa.

Jego idealne życie rozwaliło się na jego oczach, a on nie mógł nic na to poradzić.

Tak się kończy pościg za człowiekiem, którego zamieniłeś w ducha.

Od naszej podróży poślubnej minęło wiele miesięcy i choć przez ten czas straciłem wiele nieruchomości i masę pieniędzy, nic nie mogło równać się z satysfakcją, którą czułem, a która nie miała nic wspólnego z *la*

moneta. Rozpieprzyłem rodzinę, która do tej pory była uznawana za nietykalną.

Rodzinę Scarpone, na której czele stał Król Nowego Jorku i jego szalony syn, zwany Błaznem.

Chodziły słuchy, że rodziny, które z początku deklarowały chęć pomocy Scarpone w ujęciu mnie, obróciły się przeciwko nim. Pozorny sojusz był tylko zagraniem taktycznym. Rodziny wycofały się w nadziei, że doprowadzę do zagłady Scarpone.

Wkrótce wszyscy nowojorczycy zostaną moimi dłużnikami.

Usłyszałem szelest i wytężyłem słuch. W oknie na pierwszym piętrze zamajaczyła sylwetka mężczyzny. Arturo miał dwa udomowione wilki, ale one nie zastrzygły nawet uszami. Leżały u moich stóp i zlizywały krew ze steków, którymi je nakarmiłem. Byłem panem nie tylko w jego domu, ale także jego psów.

Tak, starcze, wyjdź na zewnątrz i zakończmy to raz na zawsze. Arturo był stary i pracował w biurze. Achille miał sprawne ciało, ale nie miał ani mózgu, ani serca. Urodził się wybrakowany.

Byłem ubrany na czarno i Arturo nie mógł mnie widzieć, ale za to ja widziałem jego. Usłyszałem nawet jego żonę, blond kretynkę ze sztucznymi cyckami. Ona też przychodziła do restauracji. Była głupia jak but. Nic dziwnego, że w wieku siedemnastu lat urodziła błazna.

Nikt nie mógł zastąpić mojej mamy. Urodziła Arturo księcia, a on ją zniszczył. Zabił jej niewinność. Zmasakrował ją. Dlatego popełniła samobójstwo.

Mój telefon zaświecił. Na ekranie pojawiło się zdjęcie z naszej podróży poślubnej. Sekundę później rozległy się takty piosenki, do której tańczyliśmy nasz pierwszy taniec na weselu, tej jakby z filmu Tima Burtona. Moja żona bez przerwy zmieniała w moim telefonie swoje zdjęcie profilowe pokazujące się wraz z sygnałem nadchodzącego połączenia. Dlatego zacząłem robić to samo z jej komórką.

Tym razem jednak złapała mnie w złym momencie. To moja wina, powinienem był wyciszyć telefon.

Nie chciałem, żeby Arturo usłyszał sygnał połączenia, więc włączyłem sekretarkę i wyciszyłem telefon. Wysłałem jej esemes.

Ja: Jestem w pracy. Wszystko w porządku?

Chwilę później odpisała.

Twoja Żona: (sama zapisała tak swój numer): Wszystko gra, tylko brakuje mi ciebie w tym wielkim domu.

Uśmiechnąłem się.

Kolejny esemes.

Twoja Żona: Dobrze mieć przyjaciela, który ogląda z tobą stare filmy. Zrobię popcorn i grzane piwo.

W ogrodzie zapaliło się światło. Chwilę później na progu stanął Arturo z bronią w ręku.

– Kto tam jest? – Zmrużył oczy.

Zawołał swoich ludzi i kazał im obejść teren. Na starość wyraźnie tracił czujność. Powinien był wiedzieć. Powinien zrobić to w pierwszej kolejności. Jedna kulka i już po nim.

To było jednak zbyt proste.

Zmyłem się, zanim jego ludzie doszli do drzewa.

Gdy otwierałem drzwi do samochodu, mój telefon ponownie się zaświecił. Śnieg przykrył przednią szybę, a skórzana tapicerka była zimna jak lód. Z moich ust unosił się obłoczek pary.

Twoja Żona: Zmieniłam zdanie. Możesz kupić pianki? Skończyły się. Jest tak zimno, że postanowiłam zrobić gorącą czekoladę.

Ja: Będziesz moją dłużniczką.

Twoja Żona: Taki był plan.

Esemes zakończyła emotką uśmiechniętej buźki.

Przez jakiś czas siedziałem w zimnym samochodzie i gapiłem się w telefon. Kliknąłem w nasze zdjęcie. Siedzieliśmy w altance oplecionej winoroślą, a ja masowałem jej stopy. Fotograf zrobił zdjęcie z ukrycia. Mariposie spodobało się tak bardzo, że oprawiła je i powiesiła nad

kominkiem. Palcem przewinąłem resztę zdjęć. Niektóre z nich zrobiłem w Grecji.

Poczułem się jak oszust. Raz w życiu zrobiłem coś spontanicznie.

Ona.

Moja żona.

Zmieniła całe moje życie.

Dwukrotnie mnie zaskoczyła. Tylko głupiec nie wierzy w przeznaczenie, w to, że niektóre rzeczy nigdy nie staną się nasze, nieważne jak bardzo walczylibyśmy o nie.

Mariposa Macchiavello należała do mnie w każdym możliwym wymiarze. Stała się moja, gdy znalazłem ją w noc podobną do tej. Było ciemno, zimno i padał śnieg. Powietrze prawie sine od mrozu. Niebo bez gwiazd. Miała tylko pięć lat. Zaledwie pięć. Jej niewinność złamała mi serce.

Gdy odjeżdżaliśmy spod domu, w którym ukrywał ją Palermo, przyciskała do malutkiej piersi ogromną torbę, która należała do jej matki.

– Dokąd jedziemy? – zapytała mnie po włosku.

– Jedziemy do domu, Mariposa – odpowiedziałem w tym samym języku. W zasadzie mówiła tylko po włosku. Ojciec w domu rozmawiał z nią po włosku, ale w pracy używał angielskiego. Jej matka przyjechała do Ameryki z Sycylii. Angielski znała słabo.

Zmarszczyła brwi.

– Do twojego domu.

Nie odpowiedziałem, a ona nie przestawała na mnie patrzeć. Nóżki miała tak krótkie, że ledwo sięgały poza siedzenie.

– Wiesz, co znaczy Mariposa?– zapytałem.

Pokręciła głową.

– *Non*.

Non ho capito. Nie zrozumiała.

– Mariposa znaczy motyl – powiedziałem. – *Farfalla ma in spagnolo*.

Zadumała się i przytaknęła.

Gdyby Scarpone znaleźli Mariposę, sytuacja zmieniłaby się diametralnie. Przestałbym być człowiekiem, któremu nie można niczego ukraść. Przestałbym być duchem, a stałbym się człowiekiem, który może stracić wszystko.

Była moim jedynym bogactwem na tym świecie.

Była dla mnie wszystkim.

Stało się tak w chwili, gdy zimnej grudniowej nocy poprosiła mnie, żebym pomógł jej rysować, i wręczyła mi różaniec swojej matki, bo powiedziała, że się wiercę. Od pierwszej chwili wytrąciła mnie z równowagi. Gdy patrzyłem na nią, widziałem swoją przyszłość. Gdyby umarła, nie miałbym po co żyć. Dla niej postawiłem wszystko na jedną kartę.

– Ja pierdolę – westchnąłem. Zamieniłem się w pieprzonego mięczaka.

Mariposa się wierci.

Mama Mariposy wiedziała, że jej córka nie potrafi usiedzieć w miejscu, dlatego zamiast dać jej coś dziecinnego – pluszaka czy miękki kocyk – podarowała jej różaniec. Gdy zobaczyłem, jak go gładziła na pogrzebie dziadka, przypomniałem sobie, jak wyglądała, gdy miała pięć lat. Byłem ciekaw, czego jeszcze zdążyła się nauczyć od swojej matki.

Capo, spierdalaj stąd. Pamiętaj, że jesteś na terytorium rodziny Scarpone, to nie czas na myślenie o żonie, bo zginiesz.

Włączyłem reflektory, płatki śniegu zawirowały w snopach światła. Zwolniłem hamulec i ruszyłem. Nie pojechałem prosto do domu. Zamierzałem wejść do pobliskiej kamienicy, z której przez podwórko mogłem przejść niezauważony do kolejnej. Drugi samochód zaparkowałem w pobliżu. Zorientowałbym się, gdyby mnie śledzili. W komputerze zainstalowałem specjalny program szpiegowski.

Jednak nawet komputery nie mogły mi zapewnić poczucia bezpieczeństwa. Dlatego zamieszkałem z żoną w dawnej siedzibie straży pożarnej. W niej była bezpieczna, nawet gdyby wysadzili drugą część budynku. Poza tym cała nieruchomość należała do Luca Faustiego, ojca Rocco. Był nietykalny. Gdyby z nim zadarli, szybko by tego pożałowali.

Żaden Scarpone nie śmiał nawet przejechać obok, więc tym bardziej żaden zamach nie wchodził w grę. Luca Fausti nie darzył Arturo sympatią. Gdy Marzio opowiedział mu moją historię, był więcej niż skory mi pomóc.

Mimo to zadbałem o dodatkowe środki ostrożności, żeby zapewnić Mariposie bezpieczeństwo. Opuszczony budynek straży pożarnej był idealną kryjówką.

We Włoszech Scarpone podeszli do niej jednak zbyt blisko i ilekroć sobie o tym przypominałem, czułem, że krew mnie zalewa. Przewidzieli, że nie opuściłbym pogrzebu dziadka. Gdyby nie Rocco, a właściwie moja żona, która przyjechała do mnie do kościoła, zostałbym schwytany.

Wtedy było mi wszystko jedno. Wolałem śmierć od bólu po stracie człowieka, który nauczył mnie żyć. Chęć życia przywróciła mi *mia farfalla*. Jej radość przywróciła mi apetyt na życie.

Przez ulicę przebiegł jakiś człowiek, nacisnąłem hamulec. Wyskoczył mi tuż przed maskę, a gdy mnie mijał, celowo zwolnił. Zatrzymał się i dysząc ciężko, oparł ręce na biodrach. W świetle reflektorów zobaczyłem wyraźny zarys wilka, wytatuowanego na jego dłoni. Zmrużył oczy, starając się dostrzec coś przez przyciemniane szyby. Nic nie zobaczył.

– Błaźnie. – Mój głos zabrzmiał chrapliwie. – Starasz się dostrzec kogoś, kto dawno przestał istnieć.

Uniosłem rękę w geście powitania. Ponownie zmrużył oczy, nie ruszając się z miejsca. Nachylił się, żeby przeczytać rejestrację. *Nie krępuj się*. Samochód i tak był zarejestrowany na kogoś podstawionego.

Zawsze był pieprzonym idiotą. Widział tylko czubek własnego nosa.

Moja żona była bezpieczna, uchroniłem ją przed nimi i przed tą częścią własnego życia, którą poświęciłem zemście. Mój los nadal się ważył. Czas pokaże, czy uda mi się ujść z życiem.

22

MARIPOSA

Spóźniał się. Ja również, ale o tym później.

Od naszego powrotu z Grecji codziennie pracował do późna. Ani razu nie wspomniał o zamachu, ale intuicja podpowiadała mi, że toczył potajemną wojnę.

Spodziewałam się, że wybuch bomby w naszym budynku trafi na pierwsze strony gazet, w końcu chodziło o zamach, ale tak się nie stało. Codziennie oglądałam wiadomości i nic. Wkrótce zaprzestano również doniesień o domniemanej wojnie pomiędzy rodzinami (podobno została zażegnana) i ponownie skupiono się na aktualnościach ze świata polityki.

Zwykle nie przeszkadzało mi, że się spóźniał, ale dziś było inaczej. Z dwóch powodów. Po pierwsze Keely debiutowała dziś na Broadwayu. Grała główną rolę. Wcieliła się w postać walecznej szkockiej wojowniczki, która świetnie strzelała z łuku. Po drugie… O drugim z powodów wolałam nie myśleć. Spędzał mi sen z powiek, a nie chciałam martwić się na zapas.

– Mariposa – zawołał Capo, wchodząc do sypialni.

Siedziałam nago w łazience i poprawiałam makijaż.

Zatrzymał się, marynarkę przewiesił przez ramię i spojrzał na mnie.

– Taką cię lubię – powiedział cicho. – Wstań.

Gdy wstałam, rzucił marynarkę na blat obok umywalki i rozluźnił krawat, nie odrywając ode mnie wzroku. Pożądał mnie tak samo zwierzęco, jak ja jego.

Po chwili, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, coś we mnie eksplodowało. Zderzyliśmy się ciałami, moje palce zaczęły błądzić gorączkowo po jego skórze, a jego usta pochłonęły moje. Przycisnął mnie do drzwi kabiny prysznicowej, a ja nie potrzebowałam zachęty i sama

objęłam go nogami w pasie, ponaglając, błagając, domagając się, żeby zaspokoił mój głód.

Wiedziałam już, że to „coś” między nami było pierwotne, prymitywne. Rzuciliśmy się na siebie jak zwierzęta, które nie odróżniają dobra od zła, dla których liczy się tylko tu i teraz. Choć od ostatniego razu minęło zaledwie kilka godzin, pragnienie zawyło we mnie: *teraz*!

Ogromna łazienka dudniła od naszych okrzyków, jego jęki rozkoszy rezonowały we mnie, docierały do każdego zakamarka mego ciała, odbijały się od każdej kości, płynąc z krwiobiegiem.

Przyciśnięta plecami do drzwi kabiny, wzlatywałam coraz wyżej, a jego pchnięcia stawały się coraz mocniejsze. Bezbłędnie odczytał mowę mojego ciała, być może sygnałem dla niego było to, że zaczęłam się trząść, a moje błagalne jęki stawały się coraz głośniejsze. I wtedy, jak na komendę, doszliśmy razem, a jego gardłowy ryk przytłumił mój krzyk. Gdy wytrysnął we mnie, poczułam się jak najsilniejsza kobieta na świecie.

Zastygliśmy w milczeniu, a nasze oddechy powoli się uspokajały. Gdy w końcu znalazłam w sobie siłę, żeby otworzyć oczy, spojrzałam na niego z uśmiechem. Patrzył na mnie.

– Witaj w domu, Capo – powiedziałam schrypniętym od krzyku głosem.

Uśmiechnął się i postawił mnie na ziemi.

– Lubię wracać do domu – powiedział.

– Ja też lubię, jak wracasz – wyszeptałam w oszołomieniu. Odkręcił prysznic, mocząc mi przy okazji fryzurę i makijaż.

Byliśmy strasznie spóźnieni.

Szybko poprawiłam to, co zepsuł, czyli mój makijaż, i w pośpiechu ułożyłam włosy. Dzisiejsza okazja wymagała eleganckiego stroju, więc założyłam jedwabny szafirowy kombinezon, do którego dopasowałam kilka bransoletek ze złota, wysadzanych szafirami i diamentami.

– Błękit. – Uśmiechnął się, wychodząc z garderoby, i podał mi parę butów, o które poprosiłam. Ubrał się w dziesięć minut.

– Mój kolor – odparłam.

Przytaknął.

– *Sempre bella in blu*. Do twarzy ci w niebieskim.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Onieśmielała mnie intensywność jego spojrzenia i musiałam odwrócić wzrok, zwłaszcza że wróciło do mnie wspomnienie wczorajszej nocy, gdy przyniósł mi pianki i zaczął robić ze mną rzeczy, od których płonęły mi uszy. W towarzystwie był ucieleśnieniem wstrzemięźliwości, jednak za zamkniętymi drzwiami zamieniał się w nienasyconego *animale*. Jego specjalnością było odraczanie przyjemności, zwłaszcza gdy miał na to czas.

– Żaden mężczyzna nie powinien być taki przystojny jak ty, powinni za to karać – powiedziałam, bo nie mogłam się powstrzymać, żeby go nie skomplementować.

– Dlatego ożeniłem się z najpiękniejszą kobietą.

Pomógł mi włożyć płaszcz.

– Wszyscy będą patrzeć na ciebie, nie na mnie.

Czasami zapominałam, jakim był odludkiem. Wszędzie, gdzie się pojawialiśmy, kobiety się za nim oglądały, ale on zdawał się tego nie zauważać albo nie przywiązywał do tego wagi. Im szybciej zamykaliśmy za sobą drzwi, tym szybciej się przede mną otwierał.

Od pogrzebu dziadka, po zdarzeniu przed kościołem, coś się między nami zmieniło. Nonno powiedział, że wszystkie istotne zmiany w życiu zaczynają się od serca. Wyjaśnił mi, co ma na myśli – gdy serce ulega przemianie, zmienia się wszystko.

– Pomyśl o tym jak o zmianie trasy – powiedział wtedy. – Czasami błądzimy przez przypadek, a niekiedy zbaczamy celowo, ale efekt jest zawsze taki sam. Nadajemy przyszłości inny bieg.

Wyjazd do Grecji okazał się dla nas zbawienny. Capo wyraźnie się rozluźnił, mimo że przeżywał żałobę. Zrozumiałam jednak, że Capo uczy mnie, jak żyć, jakby tym sposobem chciał coś uczcić. Nie wiedziałam do końca, o co chodzi. Może cieszył się, że uratował mi życie? Może zależało mu na tym, żebym w pełni skorzystała z pobytu w Grecji, bo w przeciwnym razie to, co zrobił, poszłoby na marne.

Nonno był filozofem. Jego wnuk także. Nie było łatwo za nimi nadążyć.

Giovanni zawiózł nas na Broadway. Wszystkie bilety na przedstawienie zostały wyprzedane, a widownia była wypełniona po brzegi. Siadając, pomachałam rodzinie Keely. Byłam tak zdenerwowana, że drżały mi nogi.

Capo ścisnął mnie za kolano.

– *Dov'è il tuo rosario?* Gdzie jest twój różaniec? – zapytał po włosku.

Wyciągnęłam go z dna torebki. Perły zalśniły w ciepłym świetle, gdy potarłam je palcami, kontrastowały z moimi pomalowanymi na czarno paznokciami. Rzadko odczuwałam niepokój, więc nie musiał już przypominać mi o moim różańcu, ale dziś moje myśli rozbiegały się we wszystkich możliwych kierunkach.

Zgasły światła, kurtyna poszła w górę i rozpoczął się spektakl. Capo wziął mnie za rękę i zaczęliśmy oglądać przedstawienie.

Powiedzieć, że byłam dumna, to za mało. Gra Keely była tak zjawiskowa, że spodziewałam się samych pochlebnych recenzji, w przeciwnym razie byłam gotowa zbojkotować Broadway. Po spektaklu Keely zaprosiła nas za kulisy. Wręczyłam jej kwiaty i rzuciłam się na szyję. Zaprosiła nas na kolację z jej rodziną, ale odmówiłam. Sytuacja była niezręczna i im mniej czasu spędzaliśmy razem, tym lepiej.

Za kulisami kręcił się Cash, koleś, który na przyjęciu Harrisona biegał za Keely. Keely zdawała się go unikać. Ignorowała go, gdy ją zaczepiał. Kiedy była zmuszona się odezwać, mówiła krótko i zwięźle.

Capo cały czas trzymał mi rękę na karku. Moje włosy zakrywały jego tatuaż. Miałam wrażenie, że robi to celowo, ale nie byłam tego pewna.

Odetchnęłam dopiero po wyjściu z teatru. Wieczór był zimny, padał gęsty śnieg. Uznałam, że jest całkiem przyjemnie, i odechciało mi się wracać do domu. To była pierwsza zima, kiedy nie szczękałam z wychłodzenia zębami…

Chciałam się przejść, więc zasugerowałam, żebyśmy poszli coś zjeść. Capo przystał na moją propozycję. Przechadzaliśmy się zaśnieżonymi ulicami, a on nie zdejmował mi dłoni z karku. Miasto było przystrojone świątecznymi dekoracjami. Na drzewach wisiały girlandy światełek, święci mikołajowie wydzwaniali dzwoneczkami na rogach ulic, a ładne rzeczy wystawione w witrynach sklepowych aż prosiły się o to, żeby je kupić.

Przez większą część wieczoru Capo milczał. Byłam ciekawa, o czym myśli.

Zerknęłam na niego.

– Jesteś dziś dość małomówny.

– Ciężko gadać podczas spektaklu na Broadwayu.

Jego oddech zamienił się w obłoczek pary.

Uśmiechnęłam się, a on przyciągnął mnie do siebie. Po chwili poczułam, że dłoń na moim karku zacieśnia uścisk, jakby zobaczył kogoś, kogo znał w poprzednim życiu, kogoś, kogo nie chciał spotkać. Jednak gdy na niego spojrzałam, patrzył na mnie.

Zwolniliśmy kroku i przystanęłam przed jedną ze sklepowych witryn. Była pełna malutkich porcelanowych zwierzątek. Pośrodku witryny ustawiono karuzelę, która się kręciła, a w miniaturowych krzesełkach siedziały wesołe, porcelanowe figurki. Obok stała okrągła platforma. Rozstawiono na niej dodatkowe figurki, które wyglądały, jakby uczestniczyły w zabawie karnawałowej.

Słoń trzymał błękitny balonik. Dwie żyrafy podróżowały balonem. Tygrys w zarzuconym na szyję szaliku pilotował samolot. Hipopotam w stroju baletnicy jadł watę cukrową. Gwoździem programu była figurka czarnego wilka, któremu siedział na nosie błękitny motyl.

Figurki wyglądały na antyki. Prawdopodobnie pochodziły z Francji. Mogłabym przysiąc, że zza szyby dochodziły dźwięki jakiejś melodii.

Odwróciłam się od witryny i spojrzałam na stojącego obok mężczyznę. Płatki śniegu opadały mu na włosy i rzęsy, a jego oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie niż zwykle.

– Nie mówię tak tylko dlatego, że jesteś moim mężem. Jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałam w życiu. – Był więcej niż przystojny, ale nie chciałam nazywać go pięknym, żeby nie poczuł, że z niego kpię.

Spojrzał na mnie.

– Dość tych komplementów. – Miał zdarty głos, jakby mróz oblepił jego zabliźnioną krtań, utrudniając mu mówienie.

Spuściłam oczy i wbiłam wzrok w guziki jego płaszcza. Zaczęłam bawić się jednym z nich, pocierając go palcami.

– Capo, jestem w ciąży.

Nie śmiałam spojrzeć mu w oczy. A jeśli go zezłościłam? Wcześniej powiedział mi, że wybór należy do mnie. Jeśli chciałam mieć z nim dziecko, świetnie. Nie chciałam, też dobrze.

Uparcie milczał, więc wzięłam głęboki oddech i uniosłam wzrok. Byłam przygotowana na wszystko, ale zaskoczyło mnie, jak bardzo pobladł. Drżącymi dłońmi dotknął mojej twarzy. Wydawał się taki niepewny. Nigdy nie widziałam go w takim stanie.

Przestraszyłam się i od razu zaczęłam mówić, chcąc zamaskować niepokój.

– Poród ma być w sierpniu. Pani doktor powiedziała, że ciąża przebiega prawidłowo. Czekałam na odpowiedni moment, żeby ci powiedzieć, ale miałam taką gonitwę myśli, że…

Chwycił mnie za podbródek i zajrzał mi w oczy. Bez słowa pochylił się i pocałował mnie w usta.

I to wszystko. Po prostu mnie pocałował.

Może sytuacja go przerosła? Gdy ruszyliśmy, nadal milczał. Ani cieszę się, ani chujowo. Nic.

Gdy dotarliśmy do Dolce, ekskluzywnej włoskiej restauracji, zatrzymałam się przed wejściem. W powietrzu unosił się apetyczny zapach. Nie skarżyłam się na poranne nudności, więc gdy pani doktor powiedziała mi, że jestem w ciąży, trudno mi było w to uwierzyć. Bałam się, że brak nudności świadczy o tym, że coś jest nie tak. Uspokoiła mnie, że każda kobieta inaczej znosi ciążę.

Miałam jednak inne objawy. Bolały mnie piersi. Moja cipka była bardziej wrażliwa. Czułam wieczne nienasycenie, więc częściej się kochaliśmy i tak naprawdę prawie nie wychodziliśmy z łóżka. Okazało się, że kolejnym objawem ciąży jest przemęczenie, choć wcześniej składałam je na karb zbyt częstego seksu. Ach, i niektóre potrawy pachniały tak wspaniale, że nie mogłam im się oprzeć.

– A może pójdziemy tu? – Wskazałam palcem na lokal.

– Słyną z…

– Cielęciny alla parmigiana.

Spojrzałam na niego badawczo. Czy on się spocił? Na tym mrozie? Mówił cicho, miał zachrypnięty głos.

– Capo – wyszeptałam.

Zrobiłam krok w jego stronę, ale cofnął się, spoglądając w kierunku ciemnej uliczki, która biegła wzdłuż budynku. Zmrużył oczy, jakby chciał dojrzeć coś w ciemności. Może miał dobry wzrok.

Czułam, że coś jest nie tak, ale nie wiedziałam co.

– Możemy pójść gdzieś indziej – zaproponowałam. – Nie musimy jeść tutaj.

Z uliczki dobiegły nas męskie głosy. Mężczyźni wydawali się pijani. Byli głośni i wulgarni. Zanim zdążyłam zareagować, Capo przycisnął mnie do ściany, zasłaniając swoim ciałem. Sprawiał mi ból, prawie mnie zgniótł, ale nawet nie pisnęłam. Zarzuciłam mu ręce na szyję i objęłam z całej siły, w nadziei, że choć trochę go osłonię.

– Och! – powiedział jeden, udając kobietę. – Jak mogłeś mi to zrobić?!

– Dobrze jej tak. – żachnął się drugi. – Próbowała zrobić w konia ciebie i tego drugiego frajera.

– Bobby, masz papierosa?

Gdy mężczyźni zaczęli się zbliżać, Capo jeszcze mocniej przycisnął mnie do ściany i zaczął całować, wplatając wytatuowaną dłoń w moje włosy. Gdy nas minęli, poczułam palący smród whiskey.

Widziałam, że Capo cały się trzęsie. Pocił się. Gdy mężczyźni zniknęli z pola widzenia, zwróciłam uwagę na jego oczy. Źrenice miał rozszerzone, a oczy pociemniały mu z wściekłości. To nie była złość, tylko szaleństwo.

Gdy chwilę później na uliczce pojawiło się czterech mężczyzn, serce stanęło mi w gardle. Czułam, że w plecy wbija mi się odstający fragment cegły.

Mężczyźni byli młodsi od nas i nawet na nas nie spojrzeli. Jeden z nich wyglądał znajomo. Przypominał Armino Scarpone. Próbowałam zobaczyć,

czy któryś z nich ma na dłoni wytatuowanego wilka, ale za szybko się przemieszczali.

Nadal nie było dla mnie jasne, skąd mój mąż znał rodzinę Scarpone ani co dla nich zrobił. Nie wiedziałam, dlaczego mnie uratował, wiedziałam tylko, że według Capo nie ponosiłam winy za grzechy swojego ojca. Tyle mi powiedział. Mój ojciec rozjuszył Scarpone, szukali zemsty na mnie i na mojej matce. Miałyśmy zapłacić za grzechy ojca.

Gdy mężczyźni zniknęli za rogiem, Capo nie ruszył się z miejsca, wciąż przyciskał mnie do ściany. Zaczynałam się dusić.

– Capo – wyszeptałam, usiłując wyswobodzić się z jego uścisku. – Już dobrze. Chodźmy stąd, pójdziemy coś zjeść.

Milczał. Zaczęłam się bać. Nigdy się w ten sposób nie zachowywał.

– Capo – spróbowałam jeszcze raz. – Zimno mi. Chodź, zjemy w domu.

Chwyciłam go za poły płaszcza i złożyłam mu głowę na piersi. Pocałowałam go przez płaszcz, miałam nadzieję, że zauważył.

– Mamy resztkę lasagne al forno. Chodźmy do domu. Zadzwoń, żeby Giovanni po nas przyjechał. Wcisnę guzik w zegarku.

Wreszcie, złapał mnie za rękę. Pociągnął mnie za sobą tak gwałtownie, że prawie się przewróciłam. Ani się nie obejrzałam, a ruszyliśmy przed siebie. Szedł tak szybko, że prawie za nim biegłam. W uliczce przyśpieszył kroku. Zdążyłam jednak się rozejrzeć. Z uchylonych okien kuchennych wzbijały się kłęby trupio bladej pary. Wzdrygnęłam się i dostałam gęsiej skórki.

Nie miałam pojęcia, czego się tak przestraszyłam, ale tej nocy przyśnił mi się koszmar.

Na cementowej podłodze przed wejściem do kuchni leżał Capo w wielkiej kałuży krwi. W powietrzu unosił się zapach żelaza. Jego błękitne oczy odcinały się od jego bladej twarzy. Jego usta były prawie białe. W zakrwawionej dłoni ściskał różaniec mojej matki. Było zimno, oddech zamieniał się w obłoczki pary.

Westchnął raz, drugi, trzeci i umarł.

Trzy oddechy. Trójka to diabelska cyfra.

Nie mogłam się ruszyć. Zastygłam. Nie mogłam go uratować i zawyłam z rozpaczy, taki sam krzyk wydała z siebie jedna z ciotek Capo, gdy zamykano trumnę Nonno. Ktoś odebrał mi mojego Capo i rozerwał moją duszę na pół.

Z trudem otworzyłam oczy i wyciągnęłam rękę do Capo, a drugą sięgnęłam po różaniec, który leżał na nocnym stoliku. Zapaliłam lampkę i zauważyłam, że jedna z pereł różańca ma rdzawą plamę. Stary zegarek Capo miał plamy w tym samym kolorze.

Zdusiłam szloch, gdy dotarło do mnie, że to nie plamy rdzy, ale plamy krwi.

23

MARIPOSA

W lutym było wyjątkowo zimno. Niezależnie od tego, ile warstw ciepłych rzeczy na siebie włożyłam, i tak marzłam. Czasami tylko nachodziła mnie wątpliwość, czy marznę z powodu pogody, czy chłodu, który zapanował w naszym domu po wydarzeniach, które miały miejsce tamtej grudniowej nocy po debiucie Keely.

Capo nigdy nie wydawał się równie daleki. Pracował więcej niż zwykle i ani razu nie wspomniał o dziecku. Wiedziałam, że to moja decyzja. Ja byłam dosłownie odpowiedzialna za syna, ale miałam nadzieję, że Capo okaże choć odrobinę radości z powodu tego, że będzie miał syna. Liczyłam na to, że nadejdzie dzień, gdy dostrzeże w nim coś więcej niż tylko „odpowiedzialność finansową”.

Syn. Chłopiec. Tak powiedziała lekarka, która wykonywała USG, choć zastrzegła, że może się mylić. Czekało nas jeszcze kolejne badanie, ale wyglądało na to, że będziemy mieli chłopca. Jego drobne ciałko było już dla niej widoczne. Capo poszedł ze mną i pierwszy raz od pamiętnego grudniowego wieczoru zobaczyłam cień emocji na jego twarzy. Zniknął, gdy tylko wyszliśmy z gabinetu.

Próbowałam z nim o tym porozmawiać, ale zawsze zmieniał temat. Nie zbliżyłam się ani trochę do „jego serca i żył”, co obiecał mi przecież na spotkaniu.

Kiedy? Kiedy zaufa mi na tyle, że powierzy mi swoje tajemnice?

Cokolwiek zdarzyło się tamtej nocy pod Dolce, sprawiło, że stał się twardszy i bardziej zamknięty w sobie. Bez słowa wytłumaczenia postawił między nami mur milczenia. Wobec mnie również stał się bardziej stanowczy. Zabronił mi wychodzić. Rodzina Faustich uszczelniła naszą

ochronę. Giovanni towarzyszył mi na każdym kroku, co doprowadzało mnie do szału.

Miałam tego wszystkiego dość, więc zadzwoniłam do Keely, żeby umówić się z nią na obiad. Wybrałyśmy Macchiavello's. Giovanni wyraził zgodę, bo restauracja była na liście miejsc, do których wolno mi było jeszcze chodzić.

– Sama poprowadzę – powiedziałam do Giovanniego.

Capo zrobił mi niespodziankę i podarował mi na Gwiazdkę czerwone Ferrari Portofino. Dla wygody samochód miał automatyczną skrzynię biegów. Capo nauczył mnie prowadzić we Włoszech. Śmiał się ze mnie, że dopóki nie nauczę się jeździć, nie może mnie samej wypuszczać na drogę, żebym nie staranowała jakiegoś, Bogu ducha winnego, nieszczęśnika. Nie miałam jeszcze okazji jeździć moim ferrari. Dzisiejszy dzień wydawał się idealny na pierwszą przejażdżkę.

Musiałam odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Nie chciałam za każdym razem pytać ochroniarza o pozwolenie. Giovanni wyglądał jak włoska wersja Shreka. Keely zwróciła mi uwagę na ich podobieństwo, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Zapytała, dlaczego pilnuje mnie ogr, chociaż innych pilnowali raczej włoscy bogowie.

Giovanni wcale nie wyglądał jak Shrek. Przechyliłam głowę. No, może trochę.

– Nie dziś, pani Macchiavello.

Zanim zdążyłam się zorientować, Giovanni zabrał mi kluczyki.

– Pan Mac tak zdecydował.

To, że wyglądał jak Shrek, było drugorzędne. Zachowywał się jak on na początku pierwszej części filmu. Z tą różnicą, że nie krzyczał: „wymiataj z mojego bagna!", tylko „oddaj mi kluczyki!".

Zadzwoniłam do Maca.

– Dlaczego nie mogę prowadzić?

Westchnął. Był zniecierpliwiony.

– To zbyt niebezpieczne. Zobaczymy się wieczorem.

Spojrzałam na telefon. Rozłączył się.

– *Uomo scortese*. – Pokazałam język zdjęciu w telefonie. Zrobiłam ten portret w Grecji. Jego oczy były bardziej błękitne niż morze.

Wargi Giovanniego zadrżały. Usiłował się nie roześmiać. Nazwałam jego szefa gburem.

Udało nam się ominąć korki i dotarliśmy na miejsce równo z Keely. Bruno uniósł wzrok znad stolika, z którego sprzątał brudne talerze. Na widok robaka, czyli mnie, wbił wzrok w tacę.

Zaprowadzono nas do prywatnej sali. Kelner o imieniu Sylvester, który zwykle obsługiwał Capo, przyjął od nas zamówienie. Każda z nas zażyczyła sobie stek. Było zimno, a poza tym makaron z krabami był daniem sezonowym. Gdy kelner wrócił z drinkiem Keely, poprosiła go, żeby zaczekał.

– Chwileczkę. Czego chcesz się napić, Mari?

– Tego. – Wskazałam na szklankę wody.

Zmrużyła oczy.

– Nie chcesz zamówić drinka? Są takie… – Wytrzeszczyła oczy.

Sylvester odszedł bez słowa. Po chwili rozległ się okrzyk Keely. Uderzyła w stół.

– Jesteś w ciąży!

Uśmiechnęłam się i opowiedziałam jej wszystko ze szczegółami.

– Będę ciocią!

Wzniosła kieliszek, żeby spełnić toast, i skinąwszy na mnie, pozdrowiła każde z krzeseł przy stoliku, jakby były ludźmi.

– To dziecko będzie takie ładne. – Napiła się drinka. – Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

Wzruszyłam ramionami i zatknęłam kosmyk za ucho.

– Chodzi o Harrisona, chciałam uniknąć niezręcznej sytuacji. Dlatego trzymam się z daleka. Nie chcę cię stracić. Nie chcę, żeby było mu przykro.

Spojrzała na mnie i wzięła mnie za rękę.

– Jest inaczej, niż było, prawda? Ja też postanowiłam dać mu trochę czasu. Podobnie jak ty. Niezależnie od wszystkiego nigdy nie przestaniesz

być moją siostrą.

Uścisnęłam jej dłoń i uśmiechnęłyśmy się do siebie.

Po jedzeniu zaczęłyśmy swobodnie plotkować. Tym razem każdej z nas zaczęło się dobrze układać, więc zamiast łamać sobie głowę nad tym, jak by tu przetrwać, rozmawiałyśmy o samych radosnych rzeczach. Nigdy tyle się nie śmiałyśmy.

Zapytałam ją o Broadway. Keely pytała o Capo i o dziecko.

– Jest podekscytowany?

Wzruszyłam ramionami.

– Trudno powiedzieć. Ciągle pracuje.

Nie wiedziała o naszym układzie, więc nie mogłam się przed nią otworzyć. Żeby móc jej cokolwiek powiedzieć, musiałabym jej wyznać całą prawdę.

– Hmm. – Napiła się. – Nie mówisz mi wszystkiego. Powinnam była powiedzieć coś wcześniej. Mari, wiem, że on cię kocha, ale coś przede mną ukrywasz.

Widelec wypadł mi z ręki i zadzwonił o talerz.

– On mnie kocha.

Roześmiała się głośno.

– No pewnie, że cię kocha, głuptasku. Przynajmniej mam taką nadzieję. W przeciwnym razie dlaczego miałby się z tobą żenić? Bo masz świetne ciało? Jesteś laską, nie ma co do tego wątpliwości, ale w Nowym Jorku takie ciacho jak on może mieć każdą na pstryknięcie palca. Tu chodzi o coś więcej. Zwierzęce pożądanie. Prawdziwa miłość. Tak to widzę.

Nie chciałam, żeby zobaczyła, że się ucieszyłam, więc zapytałam cicho:

– Naprawdę tak uważasz?

– Czyny, Mari. Nie słowa. Widzę, jak cię traktuje. Widziałam, jaki miał wyraz twarzy, gdy Harrison wyznał ci miłość w kuchni. Zazdrość jest wredną dziwką i nieźle go wtedy poturbowała. A we Włoszech? To, jak na ciebie patrzył. Gdy szłaś do ołtarza, nikogo poza tobą nie widział. Ledwo stał w miejscu, tak bardzo nie mógł się ciebie doczekać. Jak ma na imię ten

jego przystojny przyjaciel? Rocco? Musiał go przytrzymać, tak się wiercił. – Westchnęła. – Wasz pierwszy taniec. To, jak masował ci stopy w altance.

– Widziałaś nas?

– Tak. Wysłałam fotografa, żeby zrobił wam zdjęcie, koniecznie z ukrycia. Byliście tacy słodcy.

– To jedno z moich ulubionych zdjęć – powiedziałam.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Mari, jeszcze nigdy nie widziałam cię równie szczęśliwej. I tak między nami – rozejrzała się wokół – wiem, że twoje szczęście z tym wszystkim tutaj nie ma nic wspólnego. Pieniądze wydają się odpowiedzią na każdy problem, kiedy ich nie masz, ale kiedy zapragniesz czegoś więcej – jak choćby namiętności, miłości czy poczucia bezpieczeństwa – i prośby zostaną spełnione, wtedy wiadomo, jakie potrzeby naprawdę w nas drzemały.

Miała rację. Nie zdawałam sobie sprawy, jak silne jest moje pragnienie miłości i namiętności, bo musiałam się skupić na przetrwaniu. Strach potrafi przyćmić wszystko.

Lęk, że zmarznę albo się przegrzeję.

Lęk, że zostanę napadnięta na ulicy i nikt mnie nie obroni.

Lęk przed głodem tak silnym, że zaczynasz grzebać po śmietnikach.

Lęk przed zbyt wczesną śmiercią.

Napiłam się wody i wyjrzałam przez lustro weneckie. Zabrakło mi tchu. Tuż po drugiej stronie lustra siedział Achille Scarpone w towarzystwie jednego z młodych mężczyzn, których spotkaliśmy przed Dolce. Ten miał na dłoni tatuaż wilka.

Keely także zerknęła przez lustro.

– Odrażający pomysł. – Zmarszczyła nos. – To niby nie to samo, co w łazience albo w przebieralni, ale nie chciałabym, żeby ktoś podglądał mnie, jak jem.

– Byłoby ci wszystko jedno – odparłam. – I tak byś o tym nie wiedziała.

– Wiesz, co mam na myśli. – Zmrużyła oczy. – Capo ma taki sam tatuaż. Znają się? Wiesz, o co chodzi?

– Nie wiem – wyszeptałam tak, jakbym się bała, że Achille może mnie usłyszeć. – Wiem tylko, że ci faceci nie są przyjaźnie nastawieni.

Chwilę później ten z tatuażem oparł łokieć o blat, a Achille zrobił to samo. Wymienili uścisk dłoni i mężczyzna wstał, znikając z kadru lustra. Może wyszedł? Achille zamówił kolejnego drinka.

Wcisnęłam guzik z boku zegarka i na ekranie wyświetliła się klawiatura. Wysłałam esemesa do Capo: jest tu jeden z mężczyzn, którzy byli we Włoszech. Siedzi tuż obok lustra weneckiego. Achille. Miałam nadzieję, że imię napisałam poprawnie. Było dość rzadkie. Achille.

Po chwili mój zegarek zaświecił. Nie ruszaj się z miejsca. Zaraz będę.

Ktoś zapukał do drzwi. Sylvester.

– Pani Macchiavello, przepraszam, że przeszkadzam, ale niejaki inspektor Stone chce zamienić z panią słowo.

Przez chwilę wpatrywałam się w Sylvestra. Nie mógł, kurwa, wybrać gorszego momentu. Inspektor Stone nie miał wstępu do tej sali. Była zarezerwowana wyłącznie dla Capo i jego gości. Stone’a nie było na liście. Gdybym chciała się z nim spotkać na zewnątrz, Achille mógłby mnie rozpoznać. Na samą myśl o spotkaniu z nim kawałek steku utknął mi w gardle.

– Możesz go poprosić, żeby przyszedł później? Jem kolację. – Skończyłam jeść, ale przecież tego nie wiedział. – Albo powiedz mu, żeby zadzwonił i umówił się na spotkanie.

– Nie. – Sylvester pokręcił głową. – Twierdzi, że natychmiast musi z panią porozmawiać. Powiedział, że poczeka, aż skończy pani jeść kolację.

– Przekaż mu, żeby przyszedł do kuchni – powiedziałam.

– Będę się zbierać. – Keely wstała i przewiesiła torebkę przez ramię. Pocałowała mnie w czoło. – Zadzwoń do mnie jutro. Pójdziemy kupić coś dla twojego synka.

– Keely. – Zatrzymałam ją. – Czy coś cię łączy ze Stone’em? Dlatego tu przyszedł?

– Nic. To znaczy nic nas nie łączy. Nie mam pojęcia, po co przyszedł. Jeśli zapyta o mnie, powiedz mu, że nic nie wiesz.

– Bo nie wiem.

– Tak będzie lepiej. – Posłała mi pocałunek i wyszła.

Giovanni wziął mnie pod ramię i eskortował do kuchni. Trzymał mnie mocniej niż zwykle.

– Myślisz, że rzucę mu się na szyję? – Wyrwałam rękę z uścisku.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział. – Inspektor Stone chcę z panią pomówić na osobności.

– Dlaczego?

Giovanni wzruszył ramionami.

– Mac nie będzie zadowolony – stwierdziłam. – Miejmy nadzieję, że zdążę odpowiedzieć na pytania inspektora, zanim Capo tu dotrze.

Weszłam do kuchni. W środku panował harmider, kucharze uwijali się jak w ukropie, a żar bijący od kuchni potęgował wrażenie przekroczenia bram piekielnych.

Inspektor Stone stał w kącie, żeby nie wchodzić nikomu w drogę, a na mój widok przywołał mnie palcem.

Zanim zdążyłam do niego podejść, podsłuchałam Bruno, który rozmawiał z jednym z pomywaczy. Mówił, że nie może się doczekać, aż ktoś sprzątnie Maca. Miał nadzieję, że zrobi to Stone.

Popukałam go w plecy. Zamarł. Po chwili obrócił się i spojrzał na mnie.

– Zwalniam cię – powiedziałam. – Nie będę tolerować plotek na temat interesów mojego męża. Masz to w umowie, którą podpisałeś, gdy zacząłeś tu pracować. Pakuj swoje rzeczy i zabieraj się stąd.

– Zwolniony? – zapytał.

Otworzyłam szerzej oczy dla podkreślenia swoich słów.

– Przynieść ci słownik?

Zaczerwienił się z wściekłości. Otworzył usta, ale zamknął je na widok inspektora Stone’a. Bruno wyszedł, a w kuchni rozległy się ciche brawa.

Stone wziął mnie pod ramię i wyprowadził na zewnątrz. Protestowałam, ale bez skutku. Powiedział, że nie będziemy rozmawiać w środku. *Dlaczego?* Zaczęłam się martwić, że Achille wyjdzie zza rogu i nas

zobaczy. Nie zabiłby mnie na oczach policjanta, prawda? *To zależy od tego, czy go przekupił*, pomyślałam cynicznie.

– Mógł mi pan chociaż pozwolić założyć płaszcz! – Skrzyżowałam ręce na piersi, żeby się ogrzać. Czułam się, jakbym z piekła trafiła do chłodni. – O co chodzi?

– Gdzie jest Keely?

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Jeśli chce pan porozmawiać z Keely, proszę jej poszukać. Zaraz zamarznę!

– Cashel Kelly. Co o nim wiesz?

– Poza tym, że wiem, jak ma na imię? Nic. – Uniosłam palec. – Przysięgam.

Spojrzał na mnie badawczo, jakby szukał śladów nieszczerości. Może czekał, aż dam mu jakiś znak? Włożyłam ręce do kieszeni, żeby nie zobaczył, że drżą.

– Najwyraźniej nie mówicie sobie wszystkiego. Myślałem, że się przyjaźnicie.

– To prawda. Nie mówimy sobie wszystkiego. Nie przyjaźnimy się. Jesteśmy siostrami.

– No tak, to by się zgadzało. Siostry nie zawsze się dogadują.

– Czy przyszedł pan rozmawiać o Keely? – Para buchnęła mi z ust.

– I tak, i nie. – Chwycił się pod boki i spojrzał na mnie. Miał na sobie płaszcz. I rękawiczki. I kapelusz. Może liczył na to, że na mrozie szybciej pęknę. – Czy wy, dziewczyny, zawsze lecicie na niegrzecznych chłopców, których nigdy nie zmienicie?

– Co za bzdury pan wygaduje, inspektorze Stone.

– Spóźniłem się nieco z życzeniami, pani Macchiavello. Doszły mnie słuchy, że wyszła pani za Maca Macchiavello, jednego z najbogatszych ludzi w Nowym Jorku. Rzadko się pokazuje. Jest nieuchwytny.

– Życzenia są zbędne. Prawie się nie znamy. Znowu plecie pan bzdury. Za chwilę niepotrzebnie odmrożę sobie tyłek.

– Co pani wie o rodzinie Scarpone, pani Macchiavello?

– Wiem, że jeden z nich je właśnie kolację w tej restauracji.

– To Achille Scarpone. Jest najmłodszym synem Arturo Scarpone.

– Domyślam się, że ten drugi, co mu towarzyszył, to…

– To jego wnuk. – Stone przerwał mi w pół słowa. – Achille Scarpone ma czterech synów. Cóż. Miał. Pamięta pani Armino Scarpone?

– Tak.

– Uznano go za zmarłego. – Zrobił znaczącą pauzę.

– No i?

– Wygląda na to, że od czasu, gdy związała się pani z Makiem Macchiavello, wszystkie osoby, z którymi miała pani na pieńku, zmarły w niewyjaśnionych okolicznościach.

– Kogo ma pan na myśli?

Uniósł do góry palec.

– Chociażby Quillon Zamboni. Został uduszony. – Uniósł drugi palec. – Merv Johnson. Zmasakrowano mu twarz. – Uniósł trzeci palec. – Armino Scarpone. Nigdy nie został odnaleziony.

– Pozwoli pan, że odświeżę pańską pamięć, inspektorze Stone. Spotkałam Armino nie więcej niż trzy razy. Wiedział, że w dniu, gdy zabił Sierrę, byłam w domu. To Scarpone. Może żyje, a zniknął, bo zabił dziewczynę i wszystkie poszlaki wskazują na niego. Jaki to ma związek ze mną?

– Zostawmy Armino. Co z pozostałą dwójką?

– Nie miałam żadnych stosunków z Quillonem Zambonim.

– To nieprawda. Był pani rodzicem zastępczym.

– No i co z tego? Nie widziałam go od lat.

– Mari, dokąd poszłaś, gdy od niego uciekłaś? Dlaczego uciekłaś?

– Czy mam zadzwonić po swojego adwokata, inspektorze?

Uśmiechnął się.

– To nieoficjalna rozmowa.

– Proszę się streszczać. – Zaczęłam się trząść. I to nie tylko z powodu zimna.

– Arturo Scarpone ma teraz jednego syna, choć miał dwóch.

– Już to przerabialiśmy…

– Poznała pani Achille, ale czy zna pani jego starszego brata?

Potrząsnęłam głową i przycisnęłam ręce do piersi.

– Nie miałam przyjemności go poznać.

– Nie – powiedział cicho. – Nie mogła go pani poznać. Został uznany za zmarłego. Vittorio Lupo Scarpone. Sprawa jego zaginięcia do dziś nie została wyjaśniona. Podobno jego zwłoki obciążono cementem i wrzucono do rzeki Hudson w noc taką jak dziś. Ktoś wcześniej poderżnął mu gardło. Po mieście krążyła plotka, że zabił go jego własny ojciec, Arturo – Król Nowego Jorku. Śmierć Vittorio, zwanego Księciem Pięknisiem, była na rękę Achille, który tym samym stał się następcą owianego złą sławą tronu Scarpone. Achille miał ksywę Błazen. Słyszała pani kiedyś o błaźnie, który nie chciałby zostać królem? – Zrobił pauzę. – Tak myślałem. Mówi się także, że Arturo zabił syna, bo ten nie zamordował dziecka jego śmiertelnego wroga. Wróg nazywał się Palermo. Na imię miał Corrado. Wygląda na to, że Książę zaczął mieć wyrzuty sumienia. Był przeciwny zabijaniu dzieci, nawet jeśli chodziło o dziecko wroga jego ojca. Małej Marietty również nigdy nie odnaleziono. Tak miała na imię córka Palermo.

– Co to ma wspólnego ze mną? – Zaczęłam szczękać zębami, wstrząsały mną dreszcze. Nagle wszystkie fragmenty układanki wskoczyły na swoje miejsce. Obawiałam się, że inspektor Stone zobaczy, że coś przed nim ukrywam. Byłam wdzięczna losowi za tę niską temperaturę, silne podmuchy wiatru i lekką sukienkę.

Wzruszył ramionami.

– Uznałem, że powinna pani wiedzieć, jakich ludzi podejmuje pani mąż w swojej restauracji.

– Podejmuje również rodzinę Faustich.

– Tym gorzej. Luca Fausti zabił moją ciotkę i jej nienarodzone dziecko. Prowadził po pijanemu. W odróżnieniu od Księcia, Fausti nie mają żadnych skrupułów.

– A aktorki i aktorzy? Muzycy? Artyści światowej sławy? Ci są lepsi?

– Niekoniecznie.

– Trudno pana zadowolić. – Przysunęłam się do niego. Jąkając się, zapytałam: – Kim jest Cashel Kelly i co to pana obchodzi, czy spotyka się z Keely?

Przez chwilę wydawało mi się, że nie zrozumiał mojego pytania. Zęby dzwoniły mi tak głośno, że ciężko mi było mówić. Jednak po chwili zrozumiałam, dlaczego zamilkł. Wyczułam czyjąś obecność. Moim oczom ukazała się sylwetka ubranego na czarno mężczyzny, który wyglądał jak ludzkie wcielenie otaczającego nas mroku. Błękitne oczy mojego męża zaświeciły w ciemnościach. Podobieństwo do wilka, który zdobił jego dłoń, było uderzające.

Capo zarzucił mi na ramiona mój płaszcz i przyciągnął do siebie.

– Inspektorze. – Jego głos zabrzmiał szorstko. Mróz podrażnił mu krtań. Przebiegł mnie dreszcz. – Następnym razem, gdy będzie pan chciał porozmawiać z moją żoną, proszę wcześniej zadzwonić do mojego adwokata. Jeśli się nie mylę, miał pan okazję go poznać. Nazywa się Rocco Fausti. – Stone przytaknął, więc kontynuował: – Moja żona była tak uprzejma, że zgodziła się porozmawiać z panem w kuchni, gdzie jest ciepło, a pan, inspektorze, wyprowadził ją na zewnątrz. Czy zawsze ma pan w zwyczaju wyganiać na mróz kobiety w ciąży? I to bez płaszcza?

– Nie wiedziałem, że jest w ciąży. – Stone był wyraźnie zszokowany, nie tyle informacją o mojej ciąży, ile obecnością Capo. Zerknął na jego krtań, a następnie na jego dłonie. Capo miał podniesiony kołnierz i ręce wciśnięte do kieszeni.

Czy to możliwe, że przez te wszystkie lata ukrywał się przed policją?

– Nawet gdyby nie była w ciąży – powiedział ostro Capo – nie życzę sobie, żeby zmuszał ją pan do stania na mrozie i niepotrzebnie zadręczał głupimi pytaniami.

– Zadręczał? – Stone zmarszczył brwi. – Tylko rozmawialiśmy. Moja wizyta ma charakter nieformalny.

– Tym bardziej proszę przyjąć do wiadomości, że to był pierwszy i ostatni raz. – Capo wysunął dolną szczękę. – Dość, kurwa. Jeśli ma pan jakiś problem z koleżanką mojej żony, proszę to z nią wyjaśnić. Jeśli ma pan problem, że spotyka się z Cashem Kellym, wyjaśni pan to bezpośrednio

z nią. Lub z nim. Nie będzie pan więcej niepokoił mojej żony podobnymi bzdurami. Jasne?

Rozległ się cichy gwizd. Najpierw myślałam, że to wiatr. Po chwili zorientowałam się, że ktoś zagwizdał. Chciałam się odwrócić, ale Capo mnie przytrzymał.

– Inspektorze Stone! Czy to pan? Powinniśmy się kiedyś spotkać. A co mi tam, mogę nawet postawić panu drinka. Chyba pod tym tanim garniturem jest pan normalnym człowiekiem? – Ktoś zaśmiał się gromko.

Znajomy głos sprawił, że zrobiło mi się jeszcze zimniej. Achille. Capo przytulił mnie mocno. Spojrzał mi w oczy, a potem zerknął na inspektora Stone'a. Stone miał rozbiegane spojrzenie, zerkał to na Capo, to na Achille, który szedł w naszym kierunku.

– Wygląda na to, że nasze spotkanie dobiegło końca. – Stone skinął mi na pożegnanie i ruszył w stronę Achille.

Capo chwycił mnie za rękę i zaciągnął do kuchni, zatrzaskując za nami drzwi, zanim jego brat mógł nas zobaczyć.

W drodze powrotnej do domu Capo nie odezwał się do mnie ani jednym słowem. Uznałam, że tym lepiej dla mnie. Byłam zbyt poruszona, żeby móc z nim normalnie porozmawiać. Podejrzewam, że gdyby zapytał mnie, czy jestem głodna, mogłabym wypalić coś w rodzaju: „Masz na nazwisko Scarpone? Czy ty sobie, kurwa, robisz jaja?".

Wiedziałam, że ich znał, liczyłam się z tym, że mógł nawet dla nich pracować, ale żeby był jednym z nich? Syn Króla Nowego Jorku!

Problemów było więcej. Po pierwsze – zabił moich rodziców. Po drugie – jeśli jego ojciec to Król Nowego Jorku, jego brat to Błazen, a mój mąż to Książę, jaki to może mieć wpływ na naszą przyszłość? Na przyszłość naszego dziecka. Po trzecie, choć pewnie nie ostatnie – w oczach świata mój mąż był martwy, był pieprzonym duchem w drogim garniturze.

Nic dziwnego, że Capo nie otworzył przede mną serca. Był martwy, więc jego serce bez dopływu krwi już dawno przestało bić.

Mężczyzna, który wszedł ze mną do domu, nie miał prawa stać na własnych nogach. Dawno temu powinien leżeć na dnie rzeki Hudson w betonowych butach. Przecież utonął. Gdy miałam pięć lat. Po tym, jak ocalił mi życie. Jego krwiożerczy ojciec poderżnął mu gardło, bo jego syn nie chciał mnie zamordować.

Kto na niego doniósł?

Jego brat?

Skurwiel wyglądał jak Błazen. Był kompletnie niepodobny do mojego męża, na którego inspektor Stone mówił Vittorio, Książę Piękniś.

A Arturo? Co za popieprzony Król. Żeby zabić własnego syna? Z taką brutalnością? To jemu ktoś powinien odrąbać łeb.

Mari, zaczekaj. Próbowałam zebrać myśli. Dlaczego byłam tak przejęta krzywdą, którą mu wyrządzono, zamiast skupić się na krzywdzie, którą on wyrządził mnie? Powinien był na samym początku powiedzieć mi, kim jest. Gdy opowiadał o sobie, dla siebie zachował najistotniejsze informacje.

Zanim mnie uratował, zabił moich rodziców.

Nie był rycerzem na białym koniu, za jakiego go uważałam, to on sprzątnął moich rodziców. Zmienił mi nazwisko, adres i oddał mnie obcym ludziom na wychowanie. Wytarł moje życie gumką.

Dlaczego nic mi nie powiedział?

Bał się, że nie przyjmę jego propozycji? Przecież i tak było mu wszystko jedno, czy poślubi mnie, czy Sierrę, czy którąkolwiek z kobiet, które zaprosił do klubu. Zależało mu tylko na tym, aby wybrana przez niego kobieta była wystarczająco wygłodniała, żeby nie odgryźć ręki, która ją nakarmi.

Dlaczego nie pozwolił mi odejść, gdy zorientował się, kim jestem?

Po co te gierki?

– Idę pod prysznic – powiedziałam, wychodząc z pokoju. – Nadal jest mi zimno.

Stał w drzwiach do łazienki, opierając się o framugę.

– Nie posłuchałaś mnie, Mariposa.

Zatrzymałam się, stałam do niego tyłem, ale widziałam jego odbicie w lustrze.

– Kiedy?

– Wyszłaś z sali, mimo że ci zabroniłem.

– Przecież nic mu nie powiedziałam!

– To prawda. – Wysunął dolną szczękę. – Ale, kurwa, nie w tym rzecz.

Jeśli chciał się ze mną pokłócić, gorzko tego pożałuje. Chciał, żebym odsłoniła kły? Bardzo proszę.

– O co ci chodzi? – zapytałam przez zaciśnięte zęby.

– Muszę dbać o twoje bezpieczeństwo. Jesteś moją żoną. Matką mojego syna.

Ton jego głosu mnie zaskoczył. Był łagodny, choć chrapliwy. Nadal byłam wściekła, ale miałam dość czasu, żeby ochłonąć, zanim doszło między nami do konfrontacji. Przed bitwą musiałam poznać wszystkie fakty. Po rozmowie z inspektorem wiedziałam już, że nie mam do czynienia ze zwyczajnym mężczyzną. Ten człowiek pół swojego życia przeżył jako duch. Po co? Dla zemsty?

– Idę do gabinetu.

Gdy się odwróciłam, już go nie było.

Prysznic, który wzięłam, był najprawdopodobniej najszybszym prysznicem w historii ukrytej straży pożarnej. Starałam się nie panikować, więc wysuszyłam włosy i przygotowałam się do snu. Nadal byłam trochę przemarznięta, więc włożyłam najcieplejszą piżamę, jaką udało mi się znaleźć w garderobie, i jeszcze cieplejsze skarpetki. Weszłam pod kołdrę, ułożyłam poduszki pod głową i wyjęłam laptop z szuflady stolika nocnego.

Gdy otworzyłam komputer, wyświetliła mi się aplikacja do zapisywania pomysłów. Ostatnio dużo myślałam o tym, jak urządzić pokój dziecka. Najbardziej spodobały mi się te francuskie porcelanowe figurki, które zobaczyłam w witrynie sklepu. Chciałam po nie wrócić, ale wahałam się. Odniosłam wrażenie, że Scarpone często przesiadują w Dolce. A może mogłabym poprosić Keely, żeby poszła sprawdzić nazwę sklepu. Mogłabym do nich zadzwonić i zamówić figurki przez telefon.

Otworzyłam przeglądarkę i w oknie wpisałam cztery słowa: Scarpone z Nowego Jorku.

Wyszukiwarka wyrzuciła niezliczoną liczbę wyników.

– Ile tego jest… – westchnęłam. Przeczytałam jednak kilka pierwszych artykułów. Bezwzględni. Horda Wilków. Przebiegli. Karierowicze. Te określenia powtarzały się najczęściej. Znalazłam kilka zdjęć Arturo i Achille. Luksusowe przyjęcia. Spotkanie na szczycie. Uścisk ręki. Roześmiani. Wyświetliło mi się też zdjęcie Arturo z jego obecną żoną, Bambi, matką Achille. Achille był podobny do nich obojga. Mój mąż odziedziczył urodę po matce.

I wtedy to zrozumiałam. Dlatego mówili na niego Książę Piękniś.

Wyróżniał się na tle tych dzikusów.

Zjechałam niżej, ale znalazłam tylko wzmiankę o „podejrzeniu o działania przestępcze”. Scarpone wielokrotnie byli przesłuchiwani przez organy ścigania, ale nigdy nie zostali za nic skazani. Zawęziłam poszukiwania.

Vittorio Lupo Scarpone.

– To niemożliwe – wymamrotałam i zmrużyłam oczy, bo raził mnie blask ekranu.

Znalazłam tylko trzy wzmianki na jego temat. Pierwszy artykuł był opatrzony zdjęciem pięknej uśmiechniętej kobiety, która szła ulicą. Rozpoznałam Nowy Jork. Kobieta wyglądała, jakby gdzieś się śpieszyła, ale i tak uśmiechnęła się do zdjęcia. Jeśli drugi profil miała równie doskonały, była bez skazy.

„Dwa Królewskie Rody Jednoczą się w Jedną Potężną Rodzinę.

Książę Nowego Jorku zaręczony z córką nestora jednej z najznamienitszych dynastii politycznych.

Vittorio Lupo Scarpone, syn Arturo Scarpone i zmarłej Noemi Scarpone, oraz Angelina Zamboni, córka Angelo i Carmelli Zambonich, wezmą ślub w katedrze św. Patryka. Wesele utrzymane w stylu zimowego krajobrazu odbędzie się w posiadłości rodziców panny młodej na północy stanu Nowy Jork”.

– O kurwa! – wyszeptałam.

Czy Quillon był spokrewniony z Angeliną? Nosili to samo nazwisko i gdy przyjrzałam się jej dokładniej, dostrzegłam pewne podobieństwo. Nie było uderzające, ale podobnie się uśmiechali. Poza tym nie mogli się bardziej różnić. Miała pociągłą twarz. Była opalona, miała długie blond włosy. Ciemne oczy. Wysoka. Wyglądała na bardzo wysoką. Miała zgrabny nos i piękne usta. Była Włoską Księżniczką u boku swojego szaleńczo przystojnego Włoskiego Księcia.

Wrzuciłam jej nazwisko w wyszukiwarkę. Znalazłam zaledwie kilka szczątkowych informacji. Quillon był jej bratem. Reszta artykułów poświęcona była zbrodni.

Została zamordowana.

W uliczce obok Dolce, restauracji, która budziła we mnie coraz większy wstręt, zaatakowało ją kilku mężczyzn. Domniemywano, że Vittorio zginął, bo próbował ją ratować. Została zgwałcona i zastrzelona. W tekście nazwano to morderstwo makabrycznym. Ponadto w chwili śmierci była w ciąży.

Musiałam na chwilę zamknąć komputer i wziąć kilka głębszych oddechów. Otworzyłam go ponownie, dopiero gdy poczułam, że mogę swobodnie oddychać.

Na miejscu zbrodni znaleziono ślady krwi Vittorio. Krwi było bardzo dużo, podejrzewano więc, że został brutalnie zasztyletowany. Spekulowano, że jego zwłoki zostały wrzucone do rzeki. Ciała nigdy nie odnaleziono.

– Oczywiście, że nie – zwróciłam się do ekranu. – Bo siedzi w pokoju obok. Ja go znalazłam.

Nie byłam w stanie dłużej czytać o zamordowaniu Angeliny i patrzeć na jej zdjęcia, więc wróciłam do przeglądania artykułów o nim.

Drugi tekst dotyczył ich wesela, ze szczegółami opisano koszty, jakie musieli ponieść państwo młodzi, oraz listę gości, składającą się z samych celebrytów. Zamknęłam stronę. Nie mogłam czytać o ich weselu, gdy poznałam kulisy tego morderstwa.

Ostatni tekst dotyczył śmierci Vittorio. Nie było w nim jednak nic, poza mętnymi spekulacjami. Choć sprawca nie został ujęty, autor artykułu

niedwuznacznie wskazywał na jego ojca i brata, najwyraźniej zabrakło mu odwagi, żeby otwarcie oskarżyć ich o dokonanie tej zbrodni.

W pewnym sensie Vittorio Lupo Scarpone urósł do rangi miejskiej legendy. Autor tekstu twierdził, że niektórzy nie wierzyli w jego śmierć. Skłaniali się ku teorii, że wyrwał się ze szponów morderczej rodziny i żył gdzieś na odludnej wyspie za odłożone pieniądze.

Jak 2Pac. Albo Niccolò Machiavelli, na którego historii oparto teorię spiskową dotyczącą śmierci 2Paca. Albo Elvis. Przypomniały mi się wszystkie nagłówki gazet, zaczynające się od słów: „Umarł czy żyje?”.

– Ja pierdolę – wymamrotałam.

Przygryzłam wargę i sięgnęłam po mój różaniec. Przez chwilę pocierałam palcami perły i zaczęłam się uspokajać. Gdy w wyszukiwarce wpisałam imię Noemi Ranieri Scarpone, mój niepokój wrócił ze zdwojoną siłą. Była jeszcze piękniejsza od Angeliny. Czarnowłosa o błękitnych oczach i oliwkowej cerze. Smukła i uśmiechnięta. Pierwsza wzmianka dotyczyła jej samobójstwa. Podobno cierpiała na chorobę psychiczną.

Gdy zjechałam na dół tekstu, przeczytałam, że przed śmiercią napisała liścik do Vittorio.

Podobno nikt tego listu nie widział na oczy, ale plotka głosiła, że było w nim napisane: „Nie żeń się z miłości, ale z poczucia lojalności. Miłość zabija duszę szybciej niż sztylet wbity w serce”.

Choć nadal byłam przybita, słowa Noemi, jeśli rzeczywiście była ich autorką, rzucały światło na to, dlaczego mój mąż odczuwał taką awersję do miłości.

– Co czytasz?

Krzyknęłam ze strachu i podskoczyłam, a laptop poszybował w powietrze, odbijając się od moich kolan jak od trampoliny. Oboje w tym samym momencie rzuciliśmy się go ratować, ale on był szybszy. Uznałam, że jest mi wszystko jedno, że i tak prędzej czy później będę musiała odbyć z nim tę rozmowę.

Spodziewałam się, że zechce sprawdzić, o czym czytałam, ale od razu oddał mi laptop. Usiadł na łóżku tyłem do mnie. Odłożyłam komputer i sięgnęłam po różaniec, nerwowo przesuwając kamienie między palcami.

Upływał czas. Dłużył się niemiłosiernie. Gdy minęło z dziesięć minut, a każda z nich zdawała się ciągnąć w nieskończoność, nie wytrzymałam.

– Vittorio, dlaczego nie powiedziałeś mi, kim jesteś?

– Pozwoliłem ci zwracać się do mnie, jak tylko chcesz. Nawet nazwałaś mnie po swojemu. Capo. Jednak to imię jest zakazane. Należy do kogoś innego.

– Do ducha – odparłam.

– Zgadza się.

– Zabiłeś moich rodziców – wyszeptałam.

– Musiałem. – Westchnął. – Nie miałem problemu z zabiciem twojego ojca, ale nie chciałem zabierać ci matki. Była dobrą kobietą, która poślubiła nieodpowiedniego mężczyznę. Wiedziała, że muszę odebrać jej życie. Błagała mnie o to. Gdybym jej nie zabił, ofiarując jej tym samym łatwą śmierć, na moje miejsce przysłano by Achille. Jest głupkiem, ale potrafi wytropić każdego. W końcu by ją dopadł. Zbyt wielu ludzi wiedziało, jak wygląda. Znalazłby ją nawet we Włoszech. Tam też mają swoje wtyki. Już wtedy twoim rodzicom kończyły się pieniądze. Od dłuższego czasu ukrywali się przed Arturo. Gdyby ich znalazł, Achille zabiłby twoją matkę na oczach ojca.

– Mnie nigdy nie znalazł. – Szarpnęłam za różaniec i przestraszyłam się, że go zerwę.

– Jest ktoś, kto jest lepszym tropicielem od niego. Potrafi też się skuteczniej ukryć.

– Ty.

– Byłem pewien, że cię nie znajdą. Miałem rację. Zadbałem nawet o to, żeby zmienić twoje dane w archiwach miejskich.

– Skąd… Skąd się dowiedzieli, że mnie wypuściłeś?

– Tej nocy w mieszkaniu twoich rodziców ukrywał się mężczyzna, który grał na dwa fronty. Pozyskiwał informacje od twojego ojca, a następnie przekazywał je Arturo. Gdy Arturo był słabszy lub coś go martwiło, szczur donosił o tym twojemu ojcu. Nie był pewien, na kogo postawić. Ty byłaś nieprzewidzianą okolicznością, której nie wziąłem pod uwagę. Powinienem był wcześniej upewnić się, że w mieszkaniu nie ma nikogo innego, ale tego

nie zrobiłem. Chciałem cię uratować. Następnego dnia szczur przyznał się, że doniósł Arturo, że ukryłem cię, zamiast zabić. Zlikwidowałem go, ale i tak było już za późno. Arturo i Achille o wszystkim już wiedzieli.

– Twój ojciec zlecił zamordowanie ciebie, bo uratowałeś niewinne dziecko?

– Tak i nie. – Przysunął się trochę i złożył dłonie. – Tak. W tym świecie zwyczajowo zabija się wszystkich członków wrogiej rodziny. Dam ci przykład. Darowawszy ci życie, powinienem liczyć się z tym, że w chwili, gdy dowiesz się, że zabiłem twoich rodziców, będziesz chciała się na mnie zemścić. Zabijając cię, od razu pozbyłbym się tego problemu. Tak, bo nie wykonałem jego rozkazu. Zgodnie z nim miałem zabić ciebie i matkę na oczach twojego ojca. Arturo chciał, żeby cierpiał, bo przeciwstawił się mu i próbował poderżnąć mu gardło. Twój ojciec był równie bezwzględny. Pragnął władzy i był żądny krwi. Chciał zająć miejsce Arturo. Gdybym go nie zabił, próbowałby ponownie go dorwać, nawet kosztem twojego życia i życia twojej matki.

– I? – zapytałam, gdy zamilkł. – Powiedziałeś tak i nie. Dlaczego nie?

– Wiedziałem, że moja egzekucja jest tylko kwestią czasu. Achille chciał mieć tron wyłącznie dla siebie. Co i raz udowadniałem, że jestem równie bezwzględny, a także bardziej od niego przebiegły, czego nie mógł znieść. Po każdej akcji donosił na mnie Arturo, twierdząc, że sobie nie radzę. Mówił, że jestem za ładny, żeby móc rządzić. Nikt już nie traktował mnie poważnie. Arturo pozwolił mi odejść, ale nie przyjąłem jego propozycji. Byłem gotowy wyzwać Achille na pojedynek, ale Arturo powiedział, że nie ma takiej potrzeby. Zaproponował, żebym dzielił z nim rządy, a po jego śmierci to ja miałem zostać spadkobiercą. Pewnego dnia wybraliśmy się na przyjęcie. Było na nim wiele osób ze świata polityki. Arturo od dawna próbował przekupić jednego z nich, ale jego plany spełzały na niczym. Gdy zobaczył, że z nim rozmawiam, podszedł do nas. Polityk powiedział Arturo, że chciałby, aby ktoś taki jak ja pracował dla niego. Byłem sprytny i obrotny. Potrafiłem być czarujący. Od tej chwili – zawiesił głos i przeciągnął się, jakby nagle jego szyta na miarę marynarka zaczęła go uwierać – Arturo zmienił się nie do poznania. Stał się wobec mnie bardziej krytyczny i większość zleceń dawał Achille. Gdy Achille narzekał na mnie, Księcia Pięknisia, któremu wszystko przychodziło zbyt łatwo, Arturo łykał

jego słowa bez zastrzeżeń. Przestraszył się, że z chwilą, gdy ożenię się z Angeliną Zamboni, odbiorę mu królestwo, zanim sam mi je ofiaruje. Angelina miała niezrównany dar przekonywania. Oczekiwała wiele, zarówno od życia, jak i od swojego męża.

Od swojego męża. Od mężczyzny, który siedział obok mnie. Od mojego męża.

– Dlaczego ją zabili? – zapytałam cicho.

– Za karę. Poniosła śmierć taką samą, jaką miałem zadać tobie i twojej matce. Miałem was zabić na oczach ojca. Jednak los obszedł się z Angeliną bardziej bezwzględnie. Gwałcili ją do chwili, dopóki nie rozerwali jej na pół. Nie mogłem nic zrobić. Było ich zbyt wielu, a ja byłem sam. Człowiek, który miał za zadanie mnie zabić, już wtedy zaczął mi podrzynać gardło. Pamiętam wszystko jak przez mgłę. Czasami wraca do mnie zapach krwi.

– To… – Zabrakło mi słów.

– Gdyby chodziło im tylko o to, żeby dać mi nauczkę, pewnie puściliby ją wolno. Niestety pieprzyła się jednocześnie ze mną i z Achille. Tej nocy poinformowała mnie, że jest w ciąży. Zanim zostawił nas na pastwę morderców, Achille powiedział mi, że donosiła mu na mnie. W tym świecie lojalność ceni się ponad wszystko, Mariposa. Wyżej niż pieniądze i złoto. Achille kazał zabić kobietę, która nosiła jego dziecko, bo zdradziła mnie. Mężczyznę, którego postanowił zabić, bo bał się, że odbierze mu to, czego pragnie.

– Dziecko nie było twoje – powiedziałam cicho.

– Nie. Było jego.

Klik, klik, klik. Kawałki układanki wskakiwały na swoje miejsce.

– Dopadli was przed Dolce. – Przygryzłam wargę do krwi. – A po drodze powiedziała ci, że jest w ciąży.

– Tuż po spektaklu na Broadwayu.

– Wystawiła cię.

– Zamboni przeszli do historii jako zdrajcy. Wobec nikogo nigdy nie byli lojalni. Szli po trupach. Uwielbiali świecidełka. Lubili je kolekcjonować. Gdybyś głębiej poszperała, dowiedziałabyś się, że okrzyknięto ich Rodziną Judaszy.

– Sprawdzasz historię moich wyszukiwań.

– Sprawdzam wszystko – powiedział.

Dlatego w internecie nie ma jego zdjęć.

Zamilkliśmy, ale coś paliło mnie od środka i nie mogłam usiedzieć cicho.

– Kochałeś ją?

– Kogo? – zapytał po chwili.

– Angelinę – odparłam. – Twoją narzeczoną.

Jego uśmiech mnie zmroził.

– Nie. To było aranżowane małżeństwo dla korzyści. Miłość zabija duszę szybciej niż sztylet serce.

Otarłam oczy, byłam zła, że w kącikach pojawiły się łzy, które zamazywały mi pole widzenia. Nie wiedziałam, co mam o tym wszystkim sądzić. Po cichu wstałam z łóżka, nie chciałam wykonywać gwałtownych ruchów. Nie chciałam go niepokoić. Nie miałam siły się z nim kłócić. Potrzebowałam czasu, żeby to wszystko przetrawić.

Stanęłam przy drzwiach, a on spojrzał na mnie, przechylając głowę.

– Dlaczego wcześniej nie byłeś ze mną szczery? Dlaczego na samym początku nie powiedziałeś mi, że zabiłeś moich rodziców? Nie dałeś mi prawa wyboru! Nie miałam o niczym pojęcia… Myślałam, że pracowałeś dla Scarpone. Nie wiedziałam, że jesteś jednym z nich. Jesteś synem Króla, jego Księciem.

W sekundę znalazł się obok mnie. Próbowałam się wycofać, ale nie mogłam się ruszyć. Byłam przyparta do ściany i musiałam spojrzeć w jego zimne jak lód oczy.

– Puściłem ci płazem to, że nazwałaś mnie Vittorio. Ostatni twój komentarz też puszczę płazem, bo najwyraźniej, kurwa, nie masz pojęcia, o czym mówisz. Nie jestem jego synem. Nie jestem jego Księciem. Gdy nazywasz mnie synem Króla. Gdy nazywasz mnie Księciem. Gdy nazywasz mnie Vittorio. Gdy w jakikolwiek sposób nawiązujesz do tamtego życia, czuję się, jakbyś rzucała mi w twarz najgorsze przekleństwa.

Nagle coś we mnie puściło i niedopałek złości zapłonął jak pochodnia. Rozniecił moją wolę walki.

– Co jest najgorszym przekleństwem? Moje słowa? Mylisz się. Chcesz usłyszeć dwa wulgarne słowa, mój mężu? Słowa ohydne, gorsze niż wszystko, co potrafiłbyś sklecić? Kocham cię, a ty nic na to nie możesz poradzić. Co więcej, ja nie chcę! Nie chcę cię kochać, ale kocham cię i tak! Kocham cię! Kocham cię! Kocham cię! Skrzywdziłeś mnie tą… miłością! A ten sztylet? Wbiłeś mi go prosto w serce. Sprawiłeś, że zakochałam się w tobie, zanim ujawniłeś prawdę o sobie, zanim ten sztylet mi wbiłeś.

Jak stałam, tak wyszłam i udałam się do pokoju, w którym planowałam urządzić pokój dziecka. Mój mąż ruszył za mną. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Nie chciałam go widzieć. Nie chciałam mieć z nim nic wspólnego.

Zabił moich rodziców.

Uratował mnie i zapewnił mi bezpieczne schronienie.

A Scarpone go za to zabili. Zmusili go do oglądania potworności. Chcieli utopić jego zwłoki w rzece Hudson, gdy już wykrwawił się na chodniku pod śmietnikiem. Zwłoki Księcia, w którego żyłach płynęła krew Scarpone. Krew, która należała do nich.

Po latach go odnalazłam.

Uratował mnie ponownie, tym razem przed losem, który sam mi zgotował. Winę za to ponoszą również nasi ojcowie.

Jakimś cudem, pośrodku tego pieprzonego szaleństwa, zakochałam się. Miłość odebrała mi zdolność odróżniania złości od namiętności. Chciałam go całować i policzkować jednocześnie.

Spoliczkować za to, że nic mi nie powiedział.

Pocałować za to, że mnie uratował. Za to, że tyle dla mnie przecierpiał. Za to, że tyle dla mnie zniósł.

Ożeń się z poczucia lojalności, nie z miłości. Miłość zabija duszę szybciej, niż sztylet zdąży przebić serce.

Dał sobie poderżnąć gardło. Dla mnie.

Ja przyjęłam cios w serce. Dla niego.

Dotknęłam brzucha. Na zawsze będę z nim związana, w mojej macicy na dowód tego kiełkowało nowe życie.

Oboje przypłaciliśmy to własną krwią.

Być może już jutro miłość stanie się bezpośrednim powodem unieważnienia naszej umowy. Miłość była bronią, wobec której czuł się bezradny.

Nieważne. Nic już nie miało znaczenia. Dryfowałam, bo roztrzaskał mnie o metaforyczną skałę.

Zamknęłam mu drzwi przed nosem, nakryłam się kołdrą, chowając się w ciemnościach.

Minął tydzień. Nie rozmawialiśmy. Nie dotykaliśmy się. Nawet na siebie nie spojrzeliśmy.

Wcześniej zwykle szykowałam mu śniadanie, zanim poszedł do pracy. W ciągu dnia byliśmy w stałym kontakcie. Wspólnie planowaliśmy, gdzie pójdziemy na kolację. Zdarzało się, że wysyłał mi sprośny kawał. Od naszego wesela nie było nocy ani dnia, kiedy nie uprawialibyśmy seksu. Nie było dnia, żebym go nie widziała. Gdy dużo pracował, brakowało mi go, był najważniejszą osobą w moim życiu.

Czułam się rozdarta pomiędzy niechęcią do niego a tęsknotą. Gdy rano budził mnie zapach kawy, gdy w łazience czułam zapach jego wody kolońskiej, ilekroć napotykałam jedną z jego koszul w koszu na bieliznę, chciałam wszystko spalić, a jednocześnie pragnęłam delektować się każdym zapachem, każdym dotykiem.

Ludzie twierdzą, że od miłości można się rozchorować, ale to nieprawda. Miłość powoduje drobne draśnięcia, które niekiedy nigdy się nie zabliźniają. Noemi nie myliła się co do jednego: miłość nie jest chorobą. Miłość to sztylet.

W siódmym dniu ciszy odwiedził mnie niespodziewany gość.

Wuj Tito.

Przytulił mnie mocno i poklepał po brzuchu.

– Jak się miewa nasz chłopak?

Poklepałam to samo miejsce.

– Doktor powiedziała, że wszystko wygląda dobrze. Nadal wygląda jak mały chłopiec.

Wuj Tito się roześmiał. Podał mi coś, co wyglądało jak chleb.

– Scarlett poprosiła, żebym ci to przyniósł. Nastawiłabyś kawy? Jestem pewien, że dzidziusiowi zasmakują jagody.

Nalałam mu kawy i ukroiłam nam po kawałku ciasta. Jedliśmy w milczeniu. Pił małymi łyczkami. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, życzliwość, którą zobaczyłam w jego oczach, sprawiła, że prawie spadłam z krzesła. Jego nadzwyczajna dobroć nie przestawała za każdym razem chwytać mnie za serce.

– Wiem, że to ty uratowałeś mojego… męża – powiedziałam.

Nie potrafiłam mówić o nim inaczej, jak „mój mąż”. Jego inne imiona wydawały mi się niestosowne, a gdy przypominałam sobie, że po urodzeniu nazwano go Vittorio, czułam się, jakbym wspominała nieboszczyka.

Pogładził moją dłoń.

– To zamierzchłe dzieje. Jestem szczęśliwy, że mogłem mu wtedy pomóc.

Zapadła cisza. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nadal nie potrafiłam się połapać w swoich uczuciach. Trzymało mnie przy nim poczucie lojalności. Miłość zabijała mnie po kawałeczku, mógł wbijać mi sztylet coraz głębiej. Jego tajemnice zatruwały mi serce.

Gdy uniosłam wzrok, wuj Tito przyglądał mi się z uwagą.

– To on mnie przysłał.

– Kto?

– Twój mąż. Jest zagubiony.

– Dla niego to nowość, prawda?

– Zgadza się – przytaknął. – Śmiem twierdzić, że z korzyścią dla serca jest poczuć emocje, których ono wcześniej nie doświadczyło. Przestał żyć tylko dla zemsty i poczuł się przytłoczony.

– Nie zgadzam się co do serca. Czasami, gdy serce zaczyna czuć, jest bardzo obolałe. Bardzo.

– A zatem, jakie to szczęście, że serce posiada nadzwyczajną zdolność regeneracji, nieprawdaż? – Wuj Tito napił się kawy i odstawił filiżankę na spodeczek.

– *Farfalla*, Amadeo zrobił to wszystko dla ciebie. Rozumiesz to, prawda? Pokazałaś mu coś, czego nie widział od dawna. Jesteś taka niewinna… jak jego matka.

– Dlaczego… – Kolano nerwowo podskakiwało mi pod stołem. – Dlaczego nic mi nie powiedział? O tym, kim jest i co zrobił?

Uśmiechnął się, życzliwość w jego oczach zamieniła się w smutek.

– Też był zagubiony.

– Nie rozumiem.

Sprzątnął talerzyki ze stołu i wstawił je do zlewu.

– Może z czasem zrozumiesz. Mnie nie wypada wtrącać się w wasze życie. Są sprawy, które powinny pozostać między małżonkami. Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, porozmawiaj ze swoim mężem. Otwórz kanał komunikacji. – Westchnął głęboko. – Rozmawialiśmy o sercu. Serce przestaje bić, jeśli nie dopływa do niego krew. Wtedy tworzą się zakrzepy. – Wzruszył ramionami. – To zwykle kończy się śmiercią. Pomyśl o swoim małżeństwie jak o sercu.

Dobry doktor posiedział jeszcze z godzinę, a gdy już poplotkowaliśmy o rodzinie Capo, tej ze strony Noemi, pocałował mnie w czoło i wyszedł.

Po jego wyjściu w domu zapanowała głucha cisza. Moje myśli nieprzerwanie krążyły wokół tego samego tematu, aż poczułam, że zaczyna mnie kłuć w klatce piersiowej, a mój mózg zaczyna się przegrzewać. Słowa wuja Tito dały mi do myślenia, więc uznałam, że muszę natychmiast wyjść z domu.

Giovanni nie pozwoliłby mi wyjść bez wyraźnej zgody mojego męża. A Capo nie zgodziłby się, żebym wyszła bez Giovanniego.

Musiałam uciec od wszystkiego, co przypominało mi o moim mężu.

Może, z dala od niego, byłoby mi łatwiej zebrać myśli, a przy odrobinie szczęścia mogłoby się okazać, że sytuacja wcale nie jest taka zła, na jaką wygląda. Moje serce mogłoby zacząć proces gojenia. Albo przynajmniej, jak to ujął wuj Tito, pozbyłabym się zakrzepu.

Zadzwoniłam do Keely i poprosiłam, żeby przyjechała do mnie za pół godziny. Zaprosiłam ją na ciasto, które upiekła Scarlett.

Wiedziałam, co robię.

Choć mój mąż rzeczywiście wiedział wszystko, mógł mnie śledzić tylko za pomocą mojego zegarka. Giovanni z kolei nie wiedział o istnieniu sekretnej części domu, bo jedynym sposobem przejścia na drugą stronę była nasza sypialnia.

Tuż przed przyjściem Keely poprosiłam Giovanniego, żeby poszukał w garderobie pary butów dla mnie. Powiedziałam mu, że bolą mnie nogi. To było kłamstwo. Spojrzał na mnie podejrzliwie, ale zrobił to, o co go poprosiłam. Nigdy wcześniej nie wydawałam mu podobnych poleceń. Zadzwoniłam do ochrony i powiedziałam, żeby sprawdzili podgląd z kamer na tylną część domu. Wyglądało na to, że dwóch mężczyzn na ulicy wdało się w bójkę.

Zdjęłam zegarek i zostawiłam go na blacie kuchennym. Gdy wyszłam na zewnątrz, pomachałam do Keely, żeby nie wysiadała z samochodu. Od razu zrozumiała i włączyła silnik. Ruszyła, gdy tylko wsiadłam, drzwi zamykałam już podczas jazdy.

– Okay. – Zerknęła w lusterko, upewniając się, że nikt za nami nie jedzie. – Dlaczego uciekamy z twojego domu?

– Potrzebuję od nich odpocząć. Nie mam dziś ochoty na męskie towarzystwo.

– Oho. Skończył się miesiąc miodowy. Ogłaszam początek igrzysk!

– To nie jest zabawne, Keely. Chodzi o moje małżeństwo. – Machnęłam ręką. – Pokłóciliśmy się.

– O pieluszki?

Wiele bym dała, żeby nasze problemy były równie prozaiczne. Nie mogłam powiedzieć jej całej prawdy, więc musiałam trochę lawirować.

– Coś w tym stylu.

– Powiedz mi jedno. Lubimy go jeszcze czy już nie?

– Tak – odparłam bez wahania. Nie mogłam go nienawidzić po tym, ile dla mnie poświęcił. Z drugiej strony nie mogłam nie być zła za to, że zataił przede mną prawdę. Miałam dość własnych problemów, więc zwróciłam się do Keely. – Kim jest Cashel Kelly?

Wykonała gwałtowny skręt, a ja zerknęłam w lusterko, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie śledził. Nikt za nami nie jechał, ale wiedziałam, że są sprytni. Spodziewałam się, że w każdej chwili mogą nas zatrzymać, jak policja.

– Cash – powiedziała cicho. – Większość ludzi tak na niego mówi. Stone ci o nim powiedział.

– Niezupełnie. Raczej próbował ode mnie coś wyciągnąć.

Kiwnęła głową.

– Co mu powiedziałaś?

– A co miałabym mu powiedzieć, Kee? Przecież nic nie wiem!

– Cash Kelly jest nowym szefem Harrisona.

Odczekałam chwilę.

– I?

– Nie jest tym, za kogo się podaje.

– Najwyraźniej to teraz modne. Mów dalej.

Spojrzała na mnie i zmrużyła oczy.

– Chwileczkę. Dokąd mam jechać?

Powiedziałam jej o porcelanowych figurkach, ale poprosiłam, żeby przejechała obok sklepu bez zatrzymywania się, żebym mogła tylko sprawdzić jego nazwę. Zgodziła się i zawróciła w kierunku sklepu.

– Kee, kochasz się w Cashu?

Wybuchnęła śmiechem.

– Gdyby Nowy Jork zamienił się w cementowy las, byłabym łuczniczką, a on moim celem.

Znowu się uśmiechnęła.

– Nie mówmy o tym. Dzidziuś. Porozmawiajmy o dzidziusiu. Opowiedz mi o tych figurkach i jak chcesz urządzić pokój dziecka.

Mimo że chciałam dopytać, jak miałam rozumieć jej dziwny komentarz, opowiedziałam jej o figurkach i o tym, jakie były śliczne. Gdy znalazła miejsce parkingowe niedaleko sklepu, tuż przed Dolce, pokręciłam głową.

– Kee, potrzebuję tylko nazwy sklepu! Pojedźmy gdzieś indziej na zakupy.

– Dlaczego jesteś taka blada? Masz na twarzy kropelki potu, a jest przecież koszmarnie zimno. Spotkało cię tu coś nieprzyjemnego?

Przygryzłam wargę i zaczęłam bawić się paskiem od torebki.

– Tak. Zatrułam się cielęciną alla parmigiana. To było straszne.

– Kłamczucha. – Ścisnęła moją dłoń. – Zostań tu. Zablokuj drzwi. Zajrzę tam tylko i sprawdzę, czy mają te twoje figurki. Najwyraźniej bardzo ci na nich zależy.

Zanim zdążyłam ją zatrzymać, wysiadła z samochodu i pobiegła do sklepu.

– Cholera, cholera, cholera – wyjęczałam. Byłam w samym sercu terytorium Scarpone. Tuż obok Dolce. Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze. Słodka nazwa zadawała kłam temu, co działo się za drzwiami oraz przed wejściem do restauracji. Byłam ciekawa, ile osób zamordowano w tym ciemnym zaułku. Zapewne niejedną, w końcu właścicielami restauracji byli Scarpone. Trzęsłam się ze strachu. Wzięłam do ręki różaniec. Zaczęłam się modlić, żeby Kee wróciła do mnie jak najszybciej.

Gdy uniosłam wzrok, zobaczyłam, że z restauracji wychodzi czterech mężczyzn. Achille. Arturo. Jeden z jego wnuków, ten, który wyglądał jak Armino. Czwarty przypominał mężczyznę, na którego Achille mówił Bobby.

Ubrani w dobrze skrojone płaszcze i szyte na miarę garnitury wyglądali na grube ryby. Trzech z nich paliło papierosy, panoszyli się na chodniku jak paniska. Tatuaże na nadgarstkach sprawiały, że wyglądali jeszcze groźniej.

Keely wyszła ze sklepu wprost na nich.

Achille zatrzymał się i odprowadził ją wzrokiem. Trudno było jej nie zauważyć. W mroku wyglądała jak jaskrawy płomyczek. Długie, kręcone,

rude włosy zebrała po bokach, przez co wydawała się jeszcze wyższa. Nie odrywał od niej wzroku, być może, gdy na nią patrzył, nie było mu tak kurewsko zimno. Gdy dotarła do samochodu, spojrzał na miejsce obok kierowcy. Zmrużył oczy i zrobił krok w naszym kierunku. Gwizdnął na syna i Bobby'ego. Gdy stanęli obok, szturchnął Bobby'ego między żebra.

– Keely – wydusiłam, choć głos uwiązł mi w gardle. – Natychmiast, kurwa, nas stąd zabierz!

– Znasz ich? – Zmrużyła oczy i zerknęła na mężczyzn, włączając silnik.

– Jedź, kurwa! – krzyknęłam.

– Dobra, już dobra! – Włączyła się do ruchu i w ostatniej chwili wyminęła nadjeżdżającą taksówkę. Taksówkarz, mijając nas, pokazał środkowy palec. Wyprzedził nas i co chwila dawał po hamulcach.

– To byli Scarpone?

– Skąd wiesz?

– Co za skurwiel! – Nacisnęła na klakson. Wyminęła taksówkę i pokazała mu środkowy palec. Wyprzedziła go, a potem hamowała przed nim raz za razem. – Coś tam wiem. Byłam ciekawa, więc poczytałam o nich w internecie. Nie znalazłam niczego ciekawego, ale zwróciłam uwagę na ich tatuaże. Coś znaczą, prawda?

– To nieważne. – Celowo zlekceważyłam jej pytanie, bo mój mąż miał taki sam tatuaż i nie chciałam, żeby niepotrzebnie drążyła temat. – Gapili się na nas. Przestraszyłam się.

– To zrozumiałe. Wyglądają na szaleńców.

– To prawda.

– Mam złe wieści. – Westchnęła. – Nie było twoich figurek.

Serce biło mi jak szalone, a na domiar złego zrobiło mi się przykro.

– Dlaczego?

– Ktoś wszystko wykupił. – Zerknęła w boczne lusterko i zmieniła pas. – Może poszukamy w innym sklepie. Pochodzą z Francji, tak jak przypuszczałaś. To antyki. Sprzedawca powiedział, że są bardzo rzadkie. Polecił mi sklep w Paryżu. Zapisałam nazwę. W kieszeni mam kartkę. Może zapytasz Scarlett? Wspominała, że kiedyś mieszkała w Paryżu.

Nie powinnam była jechać do sklepu. Powinnam była ją poprosić, żeby poszła sama. Beze mnie. Było mi przykro, że ktoś je wykupił, ale jeszcze bardziej martwiło mnie to, co sama zrobiłam.

Może naraziłam mojego męża. Achille mógłby zacząć węszyć, gdyby udało mu się powiązać mnie z Włochami i Amadeo. Zobaczył mnie przed kościołem, w dniu pogrzebu Nonno, więc moja obecność na jego terenie mogła wzbudzić ciekawość.

Na domiar złego figurki zniknęły. Niepotrzebnie ryzykowałam.

Po kilku minutach zorientowałam się, że zmieniłyśmy kierunek jazdy.

– Kee, dokąd jedziemy?

– Do Harrisona. Obiecałam mu, że do niego wpadnę, ale w międzyczasie ty zadzwoniłaś. Chciałam mu oddać jego rękawicę do baseballa, dostał ją w dzieciństwie. Gdy wyprowadzałam się od mamy, przez przypadek zabrałam ją ze sobą i już wiele razy obiecywałam mu, że ją oddam. Zaniosłam ją do Home Run i poprosiłam Caspara, żeby ją oprawił, razem z jego starą koszulką. Chciałam mu zrobić niespodziankę. Nie dałam mu jeszcze prezentu z okazji przeprowadzki do nowego domu. Poza tym ma szczeniaka. Strasznie chciałam go zobaczyć.

– Kee, to nie jest dobry pomysł. Powinnam wracać do domu.

– Mari, no weź. Przecież możesz się z nim przyjaźnić. Nie musimy długo siedzieć.

Zadumałam się. Jeśli Scarpone nas śledzili, lepiej, żebym nie wracała od razu do domu. To było mało prawdopodobne, bo gdy tylko ruszyłyśmy spod Dolce, cały czas patrzyłam w lusterko. Wolałam nie ryzykować. Może mogłabym poprosić, żeby Giovanni przyjechał po mnie do Harrisona? A może poproszę, żeby odebrał mnie ze sklepu? Miałyśmy jeszcze pójść na zakupy. Tak, tak będzie lepiej. Nie powiem nikomu, że byłam na Staten Island.

Wiedziałam, że mój mąż będzie wściekły, gdy dowie się, że wyszłam po kryjomu. Nie chciałam o tym myśleć. Wystrychnęłam ich na dudka i nie miałam wątpliwości, że przyjdzie mi za to słono zapłacić.

24

CAPO

Czy naprawdę sądziła, że jej nie znajdę? To, że nie miała przy sobie zegarka, nie oznaczało, że nie wyśledzę jej w inny sposób.

Szybko wpadłem na ich trop. Widziałem, dokąd pojechała i kto się na nią gapił. Scarpone. Najwyraźniej też ich zauważyła, bo gdy tylko jej przyjaciółka wsiadła do samochodu, ruszyły, jakby gonił je sam diabeł.

Gonił, ale nie ten.

Pojechałem za nimi na Staten Island. Pokierowała mną intuicja. Gdy Keely zaparkowała i wysiadła z samochodu, w drzwiach powitał ją Harrison. Gdy zorientował się, że jego siostra nie jest sama, wyszczerzył się jak jakiś pieprzony pajac.

Uśmiech był przeznaczony dla mojej żony.

Odwzajemniła go, ale była mniej entuzjastyczna. Gdy Harry podszedł bliżej, wstrzymała go gestem dłoni, nie przytuliła na powitanie, tylko przybiła z nim piątkę. Posmutniał, ale wiedziałem, że raczej się nie zniechęci.

W drzwiach pojawił się szczeniak, mały biały wilczur. Moja żona usiadła na ganku i pozwoliła mu lizać się po twarzy, a jej śmiech złamał mi serce i sam, kurwa, nie wiem dlaczego. Chłoptaś Harry patrzył na nią jak kot na śmietanę.

A więc tu przede mną uciekła.

Mówiła, że mnie kocha.

Kurwa, ona mnie kocha.

Wróciła w te pędy na swoje stare śmieci, prosto w bezpieczne ramiona Chłoptasia Harry’ego.

Nie było łatwo mnie złamać, a Chłoptaś Harry był tylko małą płotką. Mimo że nie kupił domu, żeby mi dopiec, przewidział, że pewnego dnia się pokłócimy i będzie chciała się ukryć właśnie tu. Tu czuła się bezpiecznie.

Pieprzyć to.

Pieprzyć Chłoptasia Harry'ego.

Pieprzyć miłość.

Gdzie lojalność, którą mi przysięgała?

Moja żona wstała i przytrzymując psa, żeby na nią nie skakał, powiedziała coś do Chłoptasia Harry'ego. Wykonał gest, mówiący coś w stylu „ależ oczywiście", i po chwili zniknęła za drzwiami. Siostra stanęła obok niego i poklepała go po ramieniu. A potem poszła do samochodu i wróciła z oprawioną w ramę rękawicą i koszulką baseballową.

Przytulił ją, ale kobieta, która weszła do domu, była dla niego ważniejsza.

Powiedział coś do siostry. Ona mu odpowiedziała. Obrócił się i przeczesał dłonią włosy.

Byłem ciekaw, czy siostra powiedziała mu o ciąży.

Nie wyglądał na zadowolonego. W zasadzie to wydawał się wściekły.

Uśmiechnąłem się.

Jego siostra przytaknęła, dotknęła swojego brzucha, a następnie poklepała go po ramieniu. Gdy odgonił ją gestem dłoni, weszła do środka, zostawiając go samego na ganku. Najwyraźniej potwierdziła dobrą nowinę. Mariposa była ze mną w ciąży.

Wybiła godzina próby. Oboje byliśmy wściekli.

Z każdym kolejnym krokiem czas się cofał. Znowu miałem siedemnaście lat i musiałem stawić czoło swojemu przeciwnikowi. Nie przestawał wystawiać na próbę mojej cierpliwości. Tym razem jednak poszło o kobietę, a była nią moja żona.

Olśnienie pojawiło się gdzieś pomiędzy chwilą, gdy postawiłem pierwszy krok na jego trawniku, a pierwszym ciosem, który mu zadałem. W głowie zaświtało mi to wstrętne słowo. Zazdrość. Czułem się, jakby

jakiś rozgrzany pogrzebacz co raz dźgał mnie w otwartą ranę. Byłem zazdrosny, że moja żona poświęciła uwagę temu skurwielowi.

Nie chciała ze mną rozmawiać. Nie chciała na mnie patrzeć. Przestała mnie karmić. Przestała ze mną sypiać. Przestała się ze mną pieprzyć. Za to wzięło ją na wspominki z tym żałosnym przegrywem, nawet głaskała jego kudłatego kundla.

Widział, że zmierzam w jego stronę, więc pierwszy cios nie mógł być dla niego zaskoczeniem. Nie chciałem go zabić, ale zamierzałem spuścić mu łomot. Śmierć to pikuś. A to? To była walka o mój honor. Chciałem, żeby dobrze mi się przyjrzał i mnie zapamiętał. Ilekroć o niej pomyśli, będzie widział moją pięść uderzającą go w szczękę.

Długo na to czekałem.

Bił się równie zaciekle co ja. Po chwili sąsiedzi zaczęli wystawiać leżaki przed dom. Urządziliśmy im niezłe widowisko, byliśmy jak dwa wściekłe psy, walczące o swoje terytorium.

– Zabrałeś mi ją! – wycharczał.

Gdy zdzieliłem go między żebra, sąsiedzi jęknęli jednogłośnie.

– Zawsze była moja, Chłoptasiu Harry. Nie odebrałbyś mi jej, nawet gdybyś chciał. Jest moja.

Walnął mnie w twarz i jeden z sąsiadów syknął.

– Powiedziałem jej – zamachnął się pięścią, ale byłem szybszy – że jeśli coś spierdolisz, przyjdzie do mnie. I co? Jest u mnie.

Naparłem na niego jak byk i z całej siły uderzyłem go głową w brzuch. Upadliśmy na ziemię, charcząc i wymieniając kolejne ciosy.

Pierwsze uderzenie strumienia wody zarejestrowałem, dopiero gdy poczułem nagły chłód. Krew uderzyła mi do głowy, adrenalina buzowała w moich żyłach. Woda sikała raz za razem. Chłoptaś Harry zerwał się na nogi i podniósł do góry ręce, spluwając krwią. Wstałem tuż po nim, a strumień wody uderzył mnie prosto w klatkę piersiową.

Jego siostra trzymała szlauch.

– Dość tego! – wrzasnęła. – Macie natychmiast przestać!

– Ja… – Harry otworzył usta, ale zanim mógł coś powiedzieć, siostra skierowała strumień wody prosto w jego usta.

– Harrison. – Słychać było, że Keely nie żartuje. – Uspokój się. Wiesz, że nie przestanę, dopóki się nie zamkniesz. A teraz zmiataj do środka, zanim się przeziębisz!

– Laluś – wymamrotałem pod nosem.

Oblała mnie wodą.

– Ty tam! Dam ci suche ubranie na zmianę, ale musisz się zamknąć!

Zmrużyłem oczy i spojrzałem na nią. Zmierzyła mnie wzrokiem. Nic dziwnego, że Cash Kelly za nią latał. Była, kurwa, groźna. Przy okazji potrafiła strzelać z łuku, według Mariposy nigdy nie chybiła.

Spojrzałem na ganek, na którym stała moja żona, trzymając się barierki. Obok niej siedział pies, patrzył na nią z oddaniem, z wywieszonym językiem. Już był jej.

– Co ty tu robisz, *mio marito*?

Nie Capo. Mężu. Nie miałem powodu czuć się urażony, ale przestała zwracać się do mnie po imieniu. Tym, które sama mi nadała. To jedyne imię, do którego się przyznawałem.

Jej przyjaciółka zwinęła szlauch i zaniosła go za dom.

Pozornie dała nam trochę prywatności.

– Przyjechałem po moją żonę. Uciekła ode mnie.

– Nie. – Przygryzła wargę i pokręciła głową. – Potrzebowałam trochę przestrzeni.

– Między nami jest jej już wystarczająco dużo.

– Nie jesteś zły, że wyszłam sama, bez ochrony?

– Nie. Nie jestem zły. – Wysunąłem dolną szczękę. – Jestem wściekły.

Spojrzała na mnie przeciągle. W słońcu wyglądała bardzo korzystnie, jej widok ścisnął mnie za serce. Sweter podkreślał jej rosnący brzuch. Przełknąłem z trudem ślinę, nie zważając na ból gardła.

– Uważasz, że jestem ci to winna – powiedziała.

– Tylko to.

– To nieprawda. Uważasz, że wszystko ci się należy.

Zrobiłem krok w jej kierunku. Nie ruszyła się z miejsca. Stała niewzruszona, podczas gdy mój świat drżał w posadach.

– Nic mi nie jesteś winna – powiedziałem.

– A lojalność?

– Pod warunkiem, że ofiarowujesz mi ją z własnej woli. – Zrobiłem kolejny krok w jej stronę. Tym razem podeszła bliżej schodów, a gdy na nie wszedłem, spojrzała na mnie z góry. – Nie chcę niczego, co nie jest mi dobrowolnie ofiarowane.

– Ode mnie?

– Tylko od ciebie. Reszta świata może mnie pocałować w dupę, będę brał, co mi się żywnie podoba. Jeśli jednak ty zechcesz mi ofiarować coś od serca, zrób to, proszę, i nigdy więcej mi tego nie odbieraj.

Przytaknęła.

– Nie przyjechałam tu po to, żeby…

– To nieistotne. – W tej sekundzie nie liczyło się już nic. Sama jej obecność wystarczyła, żeby tchnąć we mnie życie. Gdy jej zabrakło, czułem się, jakbym umarł. Tym razem umarłem naprawdę. Wiedziałem, o czym mówię.

– Nieistotne?

Stanąłem przed nią i rzuciłem się na kolana.

– Nie zginam karku. Nic mnie, kurwa, nie rusza. Do tej pory nie klęknąłem przed żadnym ze śmiertelników.

Nie byłem w stanie na nią spojrzeć, więc zdałem się na swoje palce, które po omacku wskazały mi drogę. Złapałem ją za biodra i oparłem czoło na jej podbrzuszu.

– Z tobą jest inaczej, Mariposa. Przed tobą zginam kark. Ty możesz mnie złamać. Jesteś jedyną kobietą, która sprawiła, że przed nią klękam. Okaż mi litość.

– Bardzo mnie zraniłeś – wyszeptała. Łza spłynęła jej po policzku i spadła na moją dłoń. Zapiekła mnie bardziej niż blizna na krtani. To dzięki niej przypomniałem sobie, że mam serce.

– Powinieneś był mi powiedzieć. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Dlatego – wydusiłem. Chwyciłem ją mocniej. – Dla nas.

Pogłaskała mnie po głowie i pocałowała w czoło.

– Kocham cię, Capo. Kocham cię tak bardzo, że czasami brak mi tchu. Jesteś jak ocean, chcę, żebyś mnie porwał. Nie boję się w tobie utonąć. *Per sempre*. Nie kocham cię z poczucia lojalności. Kocham cię, bo… po prostu cię kocham.

Spojrzałem na nią, jej oczy były tak niesamowicie szczere. Nie było jej łatwo wypowiedzieć te słowa, ale i tak to zrobiła. Może bała się, że mnie zrani. A może próbowała zaleczyć coś, czego nikt nie potrafił.

– Nie przyjechałam tutaj, by przed tobą uciec, Capo. Keely chciała dać Harrisonowi prezent. Weszłam do środka, bo musiałam skorzystać z toalety. To przez dzidziusia.

Dotknęła brzucha.

– To wszystko.

– Widzieliście ten samochód? – Keely wyłoniła się zza domu i spojrzała w kierunku ulicy.

Równocześnie spojrzeliśmy na samochód. Nie wyróżniał się niczym szczególnym, poza tym, że miał przyciemnione szyby. Wyprostowałem się i zasłoniłem Mariposę.

– Nie. – Mariposa wyjrzała zza moich pleców. – Nie widziałam.

– A ja tak – powiedziała Keely. – Od pewnego czasu krąży wokół domu.

Jedno z okien w samochodzie zaczęło się opuszczać.

– Na ziemię! – wrzasnąłem. Popchnąłem żonę na ziemię, ale jej przyjaciółka zamarła na widok broni wymierzonej w kierunku domu.

Rzuciłem się na nią i powaliłem ją na ziemię w tej samej chwili, gdy rozległy się pierwsze strzały. Leżąc, wyjąłem pistolet z tylnej kieszeni spodni i strzeliłem w opony.

Trafiłem celnie w dwa koła. Gdy tylko samochód się zatrzymał, zerwałem się na nogi, nie spuszczając wzroku z drzwi. Z samochodu wyskoczyło dwóch mężczyzn. Zanim zdążyłem ich unieszkodliwić,

kierowca zastrzelił pasażera. Najwyraźniej miał rozkaz, żeby nie zostawiać świadków, włączając w to kolesia, który siedział z przodu.

Za zamachem stali Scarpone lub Irlandczycy. Irlandczycy byli w stanie wojny. Po śmierci ojca Cash walczył o wpływy w Hell’s Kitchen. A może to Achille wyśledził moją żonę? Jego syn, który był geniuszem informatycznym, mógł znaleźć jakiś ślad w sieci, który pomógł mu powiązać właścicielkę samochodu z domem na Staten Island. Zagapiłem się, pochłonęły mnie wewnętrzne rozterki, powinienem był być bardziej przytomny.

Zanim zdążyłem dorwać kierowcę, z domu dobiegł hałas, a gdy uniosłem wzrok, zobaczyłem Chłoptasia Harry’ego, który mierzył do kierowcy z pistoletu. Ten zaczął uciekać, ale z jakiegoś powodu zatrzymał się i spojrzał w naszą stronę.

Chłoptaś Harry rzucił się na ziemię i własnym ciałem zakrył moją żonę. Nie będę kłamał. Całkiem nieźle strzelał, ale skurwiel popełnił błąd. Zabił tego dupka, zanim zdążyłem go przesłuchać.

Z domu dobiegło skomlenie psa, chciał wyjść na zewnątrz. Gdy Chłoptaś Harry usiadł, moja żona potrząsnęła głową i zamrugała nieprzytomnie.

– Mariposa. – Uklęknąłem przed nią i pogłaskałem ją po policzku. Gdy spojrzała na mnie, zacząłem dotykać jej ciała.

– Jesteś cała.

Przytaknęła, ale wskazała na moje ramię.

– Jesteś ranny!

– Nic mi nie jest. Wejdź do domu.

Chłoptaś Harry pomógł wstać siostrze, która powiedziała, że zabierze Mariposę do środka.

Chłoptaś Harry poszedł za mną do samochodu. Jeśli należał do Scarpone, mogłem być pewny, że zainstalowali kamerę w lusterku. Czasami chcieli mieć dowód, że zamach doszedł do skutku. Po mojej śmierci poszli po rozum do głowy. Nie chcieli, żeby kolejny duch pałętał się im pod nogami. Jednak ten konkretny samochód nie był wyposażony w kamerę. Scarpone mieli słabość do fur z dużymi bagażnikami, a ten był

inny, więc najprawdopodobniej nie należał do nich. A może chcieli spróbować czegoś nowego.

Najmłodszy syn Achille, ten, który był geniuszem, monitorował ich kamery. Miał brata bliźniaka, który urodził się dziesięć minut przed nim. Geniusz wiedział, jak pozbyć się dowodów.

Tak czy owak, nie zamierzałem dać im tej satysfakcji. Nie zobaczą dziś mojej twarzy.

Wyjąłem telefon i wysłałem esemesa do Chłoptasia Harry'ego, żeby wiedział, jaki mam numer.

– Daj znać później, jak się sprawy potoczyły.

– Skąd masz mój numer?

Machnąłem ręką.

– Zadzwoń do Kelly'ego i powiedz mu, co się stało. Powinien o tym wiedzieć. Nie wiemy, kogo wkurwił, to mógł być każdy. Może ktoś chciał się zemścić, zabijając kogoś, na kim mu zależy.

– Skąd wiesz o…

– Chłoptasiu Harry, pora zakasać rękawy. Nie czas na pogawędki na ulicy.

W oddali rozległ się odgłos syren policyjnych. Musiałem zabrać żonę i czym prędzej spadać.

– Mac? – zawołał Harrison.

Nawet się nie odwróciłem.

– Uratowałeś życie mojej siostrze.

– Powiedz Cashowi, że ma u mnie dług.

25

MARIPOSA

Capo... Powiedz coś - poprosiłam i ścisnęłam jego rękę.

W pośpiechu opuściliśmy dom Harrisona. Capo wręczył mi kluczyki do furgonetki, która wydawała się szybsza od wszystkich sportowych samochodów razem wziętych, i kazał mi jechać.

Podał mi adres, którego nie znałam. Zadzwonił do wuja Tito i umówił się z nim na miejscu.

Gdy tylko się rozłączył, zaczęłam do niego mówić, ilość krwi, którą stracił, przeraziła mnie. Miał szczęście, że Keely polała go zimną wodą i że było tak zimno. Zimno zadziałało niczym opaska uciskowa. Chciałam włączyć ogrzewanie, ale mi nie pozwolił.

– Boisz się, że umrę – powiedział.

– Co?! Czy ty umierasz? – Poczułam paraliżujący strach. Wiedziałam, że kocham tego głupka, ale dopiero gdy dał się postrzelić w obronie mojej przyjaciółki, zrozumiałam, jak bardzo go kocham. Ta kobieta była dla mnie jak siostra, ale gdybym jego straciła, straciłabym wszystko.

– Po raz setny ci mówię. Nie. To nic takiego. – Uśmiechnął się. – Jesteś urocza, gdy się przejmujesz.

Uderzyłam go w ramię, syknął z bólu.

– Nie żartuj sobie, Capo. Nie jestem w nastroju. I nie mów, że jestem urocza! Nie jestem małą kapustką.

– Mała kapustka – powtórzył powoli. – Czyli brukselka.

Powiedział mi, gdzie mam skręcić, i zamilkł. Patrzył w okno, wydawał się nieobecny. Co pewien czas jego ciałem wstrząsał gwałtowny dreszcz. Nie mogłam dłużej znieść ciszy. Odchrząknęłam.

– Capo, coś sobie przypomniałam. Gdy byliśmy w domu na Staten Island, wróciły wspomnienia. To było dziwne, bo zapamiętałam wszystko od tyłu. Wybiegam przed dom z płaczem, wołając za tobą, żebyś mnie nie zostawiał u Jocelyn i dziadziusia. Nie chcę, żebyś sobie poszedł. Klękasz na schodach i patrzysz mi w oczy. Tak jak dziś, gdy ci ludzie zaczęli do nas strzelać. Powiedziałeś, że jestem bezpieczna i że o to zadbałeś. Zapewniłeś mnie, że będziesz mnie pilnował. Wtedy dałam ci różaniec. Założyłam ci go na szyję.

Czułam jego wzrok na sobie. Nie spuszczał mnie z oczu.

– Twoja mama dała ci go, bo byłaś nadpobudliwa – powiedział. – Spałaś z nim. Byłaś nerwowym dzieckiem. Wzruszyło mnie, że podarowałaś mi jedyną rzecz, która dawała ci poczucie bezpieczeństwa.

Przytaknęłam i mocniej chwyciłam za kierownicę.

– Potem znalazłam się w jakimś domu. Schowałam się w szafie. To ty kazałeś mi się ukryć?

– Tak.

– Dałeś mi kredki i zeszyt do kolorowania. Powiedziałam ci, że moim ulubionym kolorem jest niebieski. Poprosiłeś, żebym pokolorowała rysunek motyla. Gdy zaczęłam rysować, usłyszałam niepokojący hałas. Po kilku minutach wróciłeś i zabrałeś mnie stamtąd.

– Zawiozłem cię do Jocelyn.

– I zostawiłeś mnie – westchnęłam. – Nigdy więcej mnie nie zostawiaj, Capo. Bez ciebie moje życie nie ma sensu.

Od początku nie chodziło mi o pieniądze. Liczył się tylko mój mąż. I miłość, którą do niego czułam.

Kochałam go od dziecka, mimo że wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Żaden człowiek nie poświęciłby tak wiele tylko w imię niewinności. Mówi się, że coś takiego wymaga nie lada odwagi. Moim zdaniem chodziło jednak o miłość. Może na początku kochał mnie jak starszy brat, w końcu miałam tylko pięć lat, ale z biegiem lat miłość rozkwitła i przerodziła się w coś zgoła innego.

Spojrzał na mnie i położył mi dłoń na brzuchu. Jego dłoń była zimna jak lód, ale i tak ten dotyk wydawał się ciepły. Po raz pierwszy dzidziuś się

poruszył. To nie było mocne kopnięcie. Przypominało raczej łaskotanie drobnych skrzydełek. Uczucie było dziwne, ale cudowne.

Uśmiechnęłam się.

– Poruszył się. Przed chwilą.

Capo położył dłoń na moim brzuchu, próbując poczuć to co ja. Uprzedziłam go, że będzie musiał chwilę poczekać, ruchy dziecka były ledwo wyczuwalne, przypominały leciutki ruch skrzydeł. Gdy na niego spojrzałam, zatkało mnie. Wydawał się… podekscytowany.

– Cholera!

Szarpnęłam za kierownicę, mało brakowało, a zjechałabym na przeciwległy pas. Przeszył mnie dreszcz, ale bynajmniej nie z powodu uniknięcia kolizji. Z kartonu, który leżał na tylnym siedzeniu, rozległy się dźwięki muzyki.

– Co to jest?

– Skup się na drodze.

Jego ton był stanowczy, znowu zachowywał się jak *capo*. Odwrócił się i zaczął czegoś szukać z tyłu. Po chwili podstawił mi pod nos figurkę wilka z motylkiem na nosie.

– To dla dziecka.

– Kupiłeś je?

– Są w kartonie na tylnym siedzeniu. – Wskazał za siebie. – Kilku figurek zabrakło, więc zadzwoniłem do sklepu w Paryżu. Wybór należy do ciebie. Mogą nam je wysłać kurierem albo możemy je odebrać osobiście.

Jednocześnie roześmiałam się i zaszlochałam. Łzy napłynęły mi do oczu. Jednak po chwili świadomość tego, co zrobił, zadziałała na mnie jak kubeł zimnej wody.

– Poszedłeś tam. Do Dolce. Po tym wszystkim, co się stało. Gdybyś ich spotkał…

– Nie spotkałem. Znam ich. Lepiej od nich samych. Odkąd mnie zabili, mogłem już ze sto razy poderżnąć im gardła.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Jestem duchem, który ich prześladuje. Śmierć zakończyłaby zabawę. – Zamilkł. – Byłem w sklepie, gdy Keely zaparkowała naprzeciwko Dolce. Achille was zobaczył.

– Dlatego ostrzelał dom?

– Możliwe. On albo ktoś inny.

– Ktoś inny?

– Cash Kelly jasno dał do zrozumienia, że twoja przyjaciółka należy do niego. Narobił sobie wrogów. Walczy o strefy wpływów. Jeśli ktoś się dowiedział, że na kimś mu zależy – wzruszył ramionami – mógł zapragnąć ją zabić. Z zemsty.

– A jeśli Cash uzna, że to Scarpone chcieli zabić Keely, będzie chciał się na nich zemścić.

– Tak, to tylko kwestia czasu, na razie zbiera siły do walki. Jeszcze zdąży zajść im za skórę.

– Będzie wrzodem na ich tyłku.

– Jesteś taka elokwentna. – Uśmiechnął się szeroko.

Odwzajemniłam jego uśmiech.

– Bo to prawda.

– Zgadza się. Mają dość zamieszania. Udało mi się poróżnić rodziny. Obwiniają siebie nawzajem za zaistniałą sytuację. Mariposa, ja jestem duchem. Wszyscy myślą, że umarłem. Arturo i jego syn nie chcieli nikomu powiedzieć, że podejrzewają Vittorio. Zresztą jaki mógłbym mieć powód, żeby chcieć zniszczyć własną rodzinę? Musieliby się przyznać, że Arturo zlecił moje morderstwo. Przekonał wszystkich, że wojnę wywołał ktoś z zewnątrz, dzięki temu sytuacja trochę się uspokoiła. Poza tym Scarpone są spłukani. Okradam ich transporty.

– Unieszkodliwiłeś ich.

– Prawie.

Naprawdę był makiaweliczny.

– Jesteśmy na miejscu. – Wskazał na budynek przed nami. Nacisnął guzik z boku zegarka i brama do garażu zaczęła się otwierać. – Patrz przed siebie. Trzymaj się blisko mnie. Wejdziemy i zaraz wychodzimy.

– Jak to? Przecież mieliśmy się spotkać z wujem Tito?

Wysiedliśmy z samochodu. Capo chwycił karton z figurkami i pociągnął mnie za sobą. Budynek był ogromny, wszędzie stały jakieś graty. Podejrzewałam, że to towar, który ukradł rodzinie Scarpone.

– Tak, ale nie tu.

– Twoja ręka!

– Nic mi nie będzie.

To nie była prawda. Krwawił. Zalana krwią koszula kleiła mu się do ciała.

Mijając kolejne hale, w końcu doszliśmy do następnego garażu. Wsiedliśmy do masywnego samochodu terenowego i znowu kazał mi prowadzić. Tym razem naprawdę docisnęłam gaz do dechy.

Dotarliśmy do kolejnej hali magazynowej.

Gdy weszliśmy do środka, na miejscu czekał na nas wuj Tito i Dario, brat Rocco. Zanim Tito zajął się jego ręką, Capo założył mi mój zegarek.

– Jeśli jeszcze raz go zdejmiesz – zmrużył oczy – zostaniesz srogo ukarana.

– Ja…

Pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „nie chcę słuchać żadnych wymówek”, i usiadł na stole zabiegowym. W pomieszczeniu naprzeciwko siebie stały dwa stoły. Wnętrze wyglądało jak gabinet lekarski lub niewielka izba przyjęć. Wuj Tito pomógł Capo zdjąć koszulę, po jego klatce piersiowej spływały wąskie strużki krwi. W powietrzu czuć było zapach krwi wymieszany z preparatem do odkażania. Wuj Tito opatrzył ranę i poprosił Dario, żeby założył Capo opaskę uciskową na ramię.

– Mariposa – powiedział Capo.

Musiałam zamrugać, bo obraz rozmazał mi się przed oczami.

– *Sto bene*. Nic mi nie jest.

Przytaknęłam, ale poczułam, że robi mi się słabo. Gdy Wuj Tito wyjął skalpel z torby, straciłam przytomność. Gdy się ocknęłam, leżałam na stole zabiegowym, a Capo uśmiechał się do mnie.

– Dobrze ci się spało?

Próbowałam wstać, ale wuj Tito mnie powstrzymał.

– Odpoczywaj, *nipote*. – Przejechał na fotelu na kółkach na drugi koniec sali. Sprawdził bandaż na ramieniu Capo.

– Co się stało? – Przetarłam oczy. – Jak się czujesz?

– Straciłaś przytomność – powiedział Capo. – Na widok skalpela. Ja czuję się świetnie. – Poklepał wuja Tito po głowie. – Anioł Życia po raz kolejny przeszkodził śmierci.

– Oj tam! – żachnął się wuj Tito. – Bzdury! Nie pozwól mężowi brać cię na litość. Ta rana to pikuś! Kula ledwo go drasnęła.

Spojrzałam na naczynie ze stali nierdzewnej, które stało na stalowym blacie. Leżał w nim zakrwawiony pocisk. Ponownie zemdlałam, a gdy się ocknęłam, byliśmy już w domu. Rocco trzymał mnie na rękach. Spojrzałam w prawo. Capo patrzył na nas lodowato. Zrozumiałam, że jego jawna niechęć wymierzona jest nie we mnie, lecz w Rocco.

– Pójdę sama – wystękałam.

– Bzdury – odparł wuj Tito.

Capo spojrzał na niego ze złością.

– Twój mąż jest na mnie wściekły, że nie pozwoliłem mu ciebie nieść. Jego rana jest niewielka, ale pod żadnym pozorem nie powinien niczego podnosić! – Pogroził mu palcem. – Masz być posłuszny albo będę zmuszony skrępować ci ręce!

Uśmiechnęłam się pod nosem, ale spoważniałam, gdy Capo spojrzał na mnie groźnie. Roześmiałam się, gdy pomyślałam, jaką Giovanni musiał mieć minę, gdy zobaczył, jak wszyscy znikamy w sypialni małżeńskiej.

Gdy znaleźliśmy się w tajemnej części domu, Capo kazał mi się położyć. Chciał odprowadzić wuja Tito i Rocco do drzwi. Ucałowałam ich na pożegnanie i podziękowałam im za pomoc. Wuj Tito zbył to tylko machnięciem ręki. Powiedział mi, jak Capo ma zażywać leki, które mu przepisał, i dał instrukcję pielęgnacji rany.

Po chwili Capo wrócił do sypialni. Nie miałam siły się ruszyć. Powoli zaczęło do mnie docierać wszystko, co dziś się wydarzyło.

– Prysznic – powiedział Capo i wskazał na łazienkę.

Pokręciłam głową.

– Ja wezmę prysznic. Ty nie możesz moczyć ręki. Pan doktor zabronił.

– Masz dwa wyjścia. Możesz wziąć ze mną prysznic albo wziąć ze mną prysznic po tym, jak przerzucę cię przez ramię.

Gdy owinęłam jego ramię folią, którą przyniosłam z kuchni, uśmiechnął się szeroko. Pod prysznicem starałam się nie kierować strumienia bezpośrednio na niego. Gdy ostrożnie opłukałam go z krwi, wyraźnie się rozluźnił. Mimo moich protestów uparł się, żeby mnie umyć.

Gdy po wyjściu spod prysznica wytarliśmy się do sucha, spojrzał na mnie.

– Co? – wyszeptałam.

– Twój brzuch. – Wskazał na niego. – Widać, że jesteś w ciąży.

Przewróciłam się na bok i uśmiechnęłam do niego.

– Zgadza się. Ciekawe, czy będzie taki wysoki jak ty. Mam nadzieję, że kolor oczu odziedziczy po tobie.

Zapadła cisza. Po chwili wziął mnie za rękę i zaprowadził do sypialni. Weszłam do łóżka i poklepałam miejsce obok siebie. Zmrużyłam oczy, gdy zaczął się do mnie skradać.

– Capo – powiedziałam. – Nie zgadzam się. Pan doktor powiedział, że…

– Mam w dupie, co powiedział pan doktor. To jest to, czego potrzebuję. Ty. Pode mną. Wykrzykująca moje imię. To moje lekarstwo. Jedyna odtrutka na całe zło tego świata.

Przygryzłam usta w zakłopotaniu. Nachylił się, po czym delikatnie przygryzł mi wargę i powoli zaczął ją ssać.

– Och… – westchnęłam.

Objęłam go i zaczęłam wodzić dłońmi po jego ciele. Syknął i jednym ruchem ręki przesunął mnie niżej, tak że znalazłam się tuż pod nim. Zaczął całować mnie powoli i delikatnie, aż poczułam, że zawładnął moją duszą i wszystko oprócz niego przestało istnieć. Po chwili jego pocałunki stawały się mocniejsze, a jego język penetrował mnie coraz głębiej. Mimo to jego dotyk nie stracił nic na swojej delikatności.

– Co ty mi robisz? – wyszeptałam, gdy zaczął wodzić językiem od mojej szyi przez dekolt do piersi.

– Coś, co powinienem był zrobić już dawno temu. Coś innego.

Zamilkł, a gdy we mnie wszedł, zrobił to ostrożnie i łagodnie. Jego ruchy były powolne i zmysłowe. Kazał mi na siebie patrzeć. On także nie spuszczał ze mnie wzroku, przygryzając dolną wargę.

– Mariposa. – Zamknął oczy i jęknął.

Gdy usłyszałam, jak wymawia moje imię, rozpłynęłam się, a orgazm przeszył mnie na wskroś, mimo że w tym, co zrobił, nie było nic gwałtownego. Po chwili zaczął wchodzić we mnie coraz szybciej, do chwili, aż ponownie doszliśmy w jednym momencie.

Znieruchomiał, choć czułam, że drży. Bałam się spojrzeć na jego opatrunek, żeby nie okazało się, że krwawi. Na samą myśl o krwi robiło mi się niedobrze. Zwykle płyny ustrojowe nie robiły na mnie wrażenia, ale nie mogłam znieść widoku jego krwi. Przypominał mi się mój senny koszmar.

Przytuliłam się do niego i schowałam twarz w jego ramionach. Pocałowałam go cztery razy w to samo miejsce. Próbował wstać, ale nie chciałam go puścić.

Było tyle rzeczy, które chciałam mu powiedzieć.

Wbrew temu, co myślisz, miłość nie jest sztyletem. Staje się nim tylko wtedy, gdy osoba, którą kochasz, skieruje ostrze przeciw tobie. Miłość to zbroja, chroniąca nas przed światem. To my decydujemy, kogo do siebie dopuszczamy. Miłość wyrasta z tylu różnych uczuć. Partnerstwa. Przyjaźni. Lojalności. Może też być odwrotnie, z miłości może narodzić się lojalność.

Jednak nie odezwałam się ani słowem, nie chciałam, żeby poczuł, że próbuję go na siłę do czegoś przekonać lub, co gorsza, zmienić. Nie chciałam wytykać mu tego, co dla mnie było aż nadto czytelne. Ty też mnie kochasz.

Najwyraźniej czytał w moich myślach, bo po chwili powiedział:

– Mariposa, w moim świecie miłość prowadzi do śmierci – mówił cicho i z wyraźnym trudem, więc przysunęłam się bliżej niego. – To dlatego moja mama zostawiła mi ten list. Wiedziała, z czym przyjdzie mi się zmierzyć. Mówiła często, że jestem za ładny, że zjedzą mnie żywcem. Nie wiedziała

jednego. Nie wiedziała, że jestem bezwzględny, a mój wygląd nie ma tu nic do rzeczy. Potrafię być bestialski. Udowodniłem, na co mnie stać.

– Absolutnie. – Pocałowałam go w szyję. Pachniał jak sycylijska i grecka plaża. – Nie musisz już nic nikomu udowadniać. Absolutnie nic, Capo.

Nachylił się i pocałował mnie w czubek głowy. Wysunął się ze mnie, a ja poczułam się pusta i wydrążona i wyciągnęłam do niego ręce. Oparł się na zdrowym ramieniu i spojrzał na mnie, biorąc mnie za rękę.

– Jestem ci winien serce. Żyły są już twoje.

– Serce. Powiedz mi o czymś dobrym.

Pocałował mnie w rękę.

– Kwiaty pomarańczy.

Przytknął nos do mojego nadgarstka, zaciągnął się moim zapachem, a następnie powoli odetchnął, ogrzewając moją skórę ciepłym oddechem.

– Wiesz, dlaczego nie powiedziałem ci, kim jestem? *Semplicemente*. To proste. Nie chciałem, żebyś wiedziała. Bałem się, że mnie zostawisz, że wyjdziesz za kogoś innego. Nie powiedziałem ci, bo *semplicemente* chcę z tobą dzielić życie i potrzebuję twojego czasu i uwagi. Chcę zniknąć, ale pragnę zostać zauważony.

Był taki samotny, tak kurewsko samotny. To wszystko wina tych bezwzględnych skurwieli.

– Mariposa, chcę, żebyś była ze mną do końca moich dni. Chcę, żebyś była tylko moja. *Ossa delle mie ossa; carne della mia carne; la mia bella donna; mia moglie*. Kość z kości, krew z krwi, moja piękna kobieto, moja żono.

– Czyli nie musiałeś nic wymyślać? – Zamrugałam. – Od początku wiedziałeś, co symbolizuje serce?

– Tak. To ty. Ty jesteś moim sercem.

Przytknął moje dłonie do swojej krtani, zakrywając nimi bliznę.

– Gdyby tego nie było. Jak mogłem ci powiedzieć, Mariposa? Gdyby zabrakło słów, gdyby ktoś nam je odebrał, jak byśmy się porozumiewali? Poprzez czyny. Czyny są ważniejsze od słów. Słowa to za mało.

– Czyny – wyszeptałam. – Twoje życie. Poświęciłeś je dla mnie.

Oparł głowę na moim czole.

– *Nel mio mondo l’amore ti farà solo uccidere. Sono un uomo morto dalla notte in cui ti ho lasciato alle spalle.*

Nie zrozumiałam wszystkich jego słów, ale ich sens przeniknął mnie na wskroś niczym ostrze, które przebija serce na wylot.

W moim świecie miłość to recepta na szybką śmierć. Byłem martwy od chwili, gdy cię zostawiłem.

Odsunęłam się, żeby móc na niego spojrzeć, ale przytulił mnie tak mocno, że zabrakło mi tchu. Byliśmy tak blisko siebie, że nasze oddechy połączyły się w jeden.

Non servono più parole. Słowa są zbędne.

26

MARIPOSA

Jakimś cudem przekonałam mojego męża, żeby wziął dzień wolny. Cały dzień i całą noc. Po strzelaninie pod domem Harrisona nie chciałam go spuszczać z oczu.

Moje koszmary zaczęły się nasilać.

Scenariusz był zawsze taki sam, ale za każdym razem krwi było coraz więcej. W tym śnie kałuża krwi rozlewała się coraz bliżej moich stóp. Nie mogłam się ruszyć. Krzyczałam.

Czasami spędzał ze mną czas. Były dni, kiedy znikał. Jego praca polegała na mszczeniu się na Scarpone. Kochał swoją pracę. Gdy przyznał się, że nie pozabijał ich tylko dlatego, że zemsta sprawiała mu przyjemność, od razu zrozumiałam, co miał na myśli.

Nie mógłby dłużej się nad nimi znęcać. Czuł, że żyje, gdy bawił się nimi, niszcząc im życie. Gdyby zginęli, musiałby zająć się sobą.

Martwiłam się, bo nie wiedziałam, kto kogo dopadnie pierwszy. On ich czy to im uda się wreszcie zakończyć jego żywot.

Stawka była wysoka.

Podbijało ją dziecko, które nosiłam pod sercem.

Dotknęłam brzucha. Ostatnio strasznie urósł. Miałam na sobie obcisłą, granatową sukienkę ze streczem, która nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do mojego stanu.

– Mariposa.

Zorientowałam się, że Capo coś do mnie powiedział. Po badaniu ultrasonograficznym, które potwierdziło płeć dziecka, zabrał mnie do pizzerii Mamma. Usiedliśmy na wysokich stołkach, tuż przy witrynie.

Uśmiechnął się i wziął do ręki zdjęcie USG, które oparłam o kartę deserową. Podstawił mi je pod nos.

– Chciałbym, żeby miał twój nos.

– Mój nos i twoje oczy? – Uśmiechnęłam się radośnie.

Odłożył zdjęcie, pogłaskał mnie po nosie i pocałował w sam jego czubek. Przyłożył dłoń do mojego brzucha.

– Cieszę się, bo wszyscy wiedzą, że to ja zmajstrowałem ci dziecko.

Z wrażenia prawie wyplułam mój napój.

– Serio?

Nachylił się, trzymając dłonie na moim brzuchu. Moje kolano ocierało się o jego krocze.

– Nie, cieszę się, że wszyscy wiedzą, że cię pieprzę.

Przymknęłam oczy i westchnęłam.

– Olejmy pizzę. Jedźmy do domu.

– Dlaczego do domu? Przecież mają tu zaplecze.

Spojrzałam na niego badawczo. Z jego oczu biła powaga.

Kelnerka rzuciła na stolik miski z sałatą. Po chwili mężczyzna w fartuchu przyniósł nam pizzę i wsunął talerz pomiędzy miski.

– Zadowoleni? – zapytała kelnerka i pobiegła dalej przyjmować zamówienia.

Obsługa pozostawiała wiele do życzenia, ale pizzę mieli boską. Czułam się jak u lekarza, który jest opryskliwy i oschły, ale najlepszy w swoim fachu.

Mój wzrok błądził gorączkowo pomiędzy ciachem – moim mężem – a pizzą i sałatką.

Odchylił do tyłu głowę i głośno się roześmiał.

– Auć, zraniłaś moją męskość.

Wbiłam widelec w sałatkę. Czasami lubiłam zawijać kawałki pizzy w liście sałaty. W Mamma robili pyszny dressing.

– Nawet nie dotknęłam twojej męskości, Capo.

– Otóż to. Wybrałaś to – wskazał na jedzenie – zamiast mnie. Zraniłaś moją męskość, choć nawet jej nie dotknęłaś.

– Nieprawda. – Wgryzłam się w pizzę, jęcząc z rozkoszy. – Ciebie zjem na deser.

Już miałam włożyć do ust kolejny kęs sałatki, ale nachylił się i bardzo powoli zlizał z mojej dolnej wargi resztkę sosu.

– Z twoich ust wszystko smakuje lepiej.

Na chwilę straciłam apetyt, nie mogąc skupić się na jedzeniu, ale gdy i on zaczął jeść, głód wrócił ze zdwojoną siłą. Bez pytania zamówił kolejną pizzę.

– Sałatka też jest pyszna – powiedziałam.

Zamówił kolejną.

– Tu poznałem starego Gianellego. – Otarł usta serwetką. Nachylił się i wytarł mi twarz. – Kiedyś często tu bywałem.

– Zbliżyła was pizza?

Sięgnął po kartę dań i wskazał na drobny druk na dole kartki.

– Wszystkie składniki, których używamy w kuchni, pochodzą z lokalnych upraw lub są importowane z Włoch. – Przeczytałam na głos.

– Stary Gianelli dostarczał im czosnek ze swojego ogródka. Poprzedni właściciele byli jego przyjaciółmi. Gdy mój dziadek przyjechał mnie odwiedzić, przyprowadziłem go tu. Poznali się i od razu polubili. Przez lata listownie grali w szachy. Gdy zawiozłem cię do Gianellego, urwali kontakt. Tak było bezpieczniej dla wszystkich.

– Nonno ufał dziadziusiowi?

– Tak. – Napił się wody. – Zdążył ich dobrze poznać. Od niego dowiedziałem się o kłopotach Jocelyn. Byłaś chciana. Może nawet niezbędna.

Wbiłam wzrok w pizzę.

– Czy jestem podobna do mamy?

Czasami miałam z tego powodu wyrzuty sumienia, ale rzadko myślałam o ojcu. Winiłam go za śmierć matki. Wiedział, jakiego pokroju ludźmi byli

Scarpone, a mimo to postanowił z nimi zadrzeć. Nawet gdy musiał się ukrywać, nie przestał knuć przeciwko nim.

Gdy znalazłam jego zdjęcie, na którym wychodził z sądu, z rozprawy, którą pomogli mu wygrać Scarpone, byłam wstrząśnięta.

Jeśli chodzi o moją matkę, nie znalazłam ani jednego jej zdjęcia.

Wybryki Corrado trafiały na pierwsze strony gazet. Dobroć i miłość Marii, mojej matki, zaprowadziły ją do płytkiego grobu.

Często ją wspominałam, mimo że nie potrafiłam sobie przypomnieć, jak wyglądała. Myślałam o niej, ilekroć brałam do ręki różaniec. Od najmłodszych lat wpajała mi, że wiara może ukoić każdy niepokój.

Capo spojrzał na mnie, wydawał się zamyślony. Pogłaskał mnie po nosie.

– Twój nos. Twoje oczy. Nawet usta masz po niej. A kolor oczu… Odziedziczyłaś po obojgu rodzicach. – Przechylił głowę. – Twoja mama miała oczy w kolorze bursztynu, w kolorze whisky o zachodzie słońca. Była piękną kobietą. – Zamilkł. – Twój ojciec zakopywał swoje łupy. Broń, pieniądze, biżuterię, dokumenty. Znalazłem go w szemranej dzielnicy. Takiej, w której ludzie nie wtykają nosa w cudze sprawy.

– Znam, bywałam.

Przytaknął.

– W waszym domu nie było nic poza zniszczonymi meblami. Gdy uciekał, nic ze sobą nie zabierał, ale też niczego nie wyrzucał. Wierzył, że czeka go świetlana przyszłość. Był przekonany, że w końcu zostanie nowym *capo*.

– Sądzisz, że mógł gdzieś zakopać rodzinne zdjęcia?

– Jasne.

– Ja też tak myślę. – Dopiłam końcówkę napoju. – Chciałabym ją zobaczyć. Wiele bym dała, żeby mieć jej zdjęcie. – Pogłaskałam się po brzuchu. – Może będzie do niej podobny.

Zamilkliśmy, bo kelnerka podeszła z dolewką napojów. W głowie kołatała mi się jedna myśl.

Sięgnęłam po dłoń Capo i położyłam ją sobie na brzuchu.

– Nasze rodziny nie mogły przewidzieć jednego, że wbrew dziedzictwu nienawiści połączy je miłość. Ten mały chłopiec jest gołąbkiem pokoju, czy tego chcieli, czy nie.

Choć Capo sam nigdy by się do tego nie przyznał, nasze dziecko zostało poczęte z miłości. Wcześniej byłam zbyt zajęta walką o każdy kolejny dzień, żeby w ogóle myśleć o posiadaniu dzieci, ale gdy Capo dał mi możliwość wyboru, zrozumiałam, że nigdy niczego bardziej nie pragnęłam. Gdybym mogła trzymać w ramionach własne dziecko, spełniłyby się moje marzenia. Chciałam doświadczyć tego niesamowitego uczucia patrzenia na kogoś, kto jest podobny do mnie. Pragnęłam poczuć tę niesamowitą więź.

Capo wziął do ręki plasterek ogórka i położył go na moim brzuchu. Drugi położył obok. Mój brzuch wyglądał, jakby miał oczy.

– Wiesz, co jest zaskakujące? Powinien być wielkości ogórka, a przypomina mango. Będzie z niego duży chłopak.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Jak jego tatuś.

Capo zawołał kelnerkę.

– Nie każmy mu czekać na jedzenie.

Zamówił ciasto spumoni i lody. Spojrzał na mnie.

– Poproszę podwójną porcję.

– Hola, hola! – Roześmiałam się, ale zjadłam plasterki ogórka, które położył na moim brzuchu. Też się roześmiał. Wstałam, poprawiając sukienkę.

– Łazienka mnie wzywa.

Z uśmiechem poszłam w kierunku toalety. Obok łazienki zauważyłam wejście na zaplecze, o którym wspomniał Capo. Pachniało w nim czosnkiem i pomidorami. A może moglibyśmy tu na chwilę zajrzeć po deserze?

Gdy po chwili wyszłam z łazienki, wycierając ręce w papierowy ręcznik, wpadłam prosto w ramiona Capo. Stał tuż przy drzwiach. Naprzeciwko niego stał obcy mężczyzna. Mierzyli się wzrokiem.

Gdy mój wzrok padł na tatuaż na jego dłoni, ręcznik wypadł mi z rąk.

– Bobby, masz papierosa?

Mężczyzna obrzucił mnie spojrzeniem, a następnie zerknął na Capo.

– Co jest, kurwa? Vittorio?

Mówił cicho, na jego górnej wardze lśniły krople potu. Pobladł, co sprawiło, że jego usta wyglądały jak pomalowane. Zaczęłam się zastanawiać, czy mężczyźni, których zabijał Capo, ci, którzy wcześniej zabili jego, reagowali podobnie na widok ducha.

Capo nie odpowiedział, ale kiwnął na mnie, żebym schowała się za nim.

– Powiedz mi jedno, dziewczynko. – Po chwili zorientowałam się, że Bobby mówi do mnie. – Też widzisz to, co ja?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Capo milczał, a ja nie byłam pewna, co się stanie, gdy potwierdzę, że mężczyzna, który został uznany za zmarłego, żyje. Czy Bobby wyjmie broń i nas zastrzeli? Czy mój brak odpowiedzi go rozjuszy? Co się wydarzy?

– Czy co widzę? – wydusiłam z siebie.

– Człowieka, który stoi naprzeciwko mnie. Tego, którego dotykasz. Podobno nie żyje. Poderżnięto mu gardło.

– To ty go zabiłeś? – Zdziwiła mnie nienawiść, którą usłyszałam w swoim głosie. Nie znałam tego gościa, ale i tak czułam, że go nienawidzę.

Bobby pokręcił głową, nie spuszczając oczu z Capo. Nie byłam pewna, czy bał się, że Capo go zaatakuje, czy cały czas był w szoku.

– Nie, malutka, to nie byłem ja. Nie przyłożyłem do tego ręki. Kiedyś byliśmy sobie bliscy.

Capo roześmiał się cicho.

– Bobby, przestań pleść głupoty.

Na dźwięk głosu Capo Bobby zadrżał i uniósł ręce do góry.

– Vittorio, przysięgam na życie mojej matki. W sumie to nic nie wiem. To były sprawy Achille i Arturo. Wszyscy mieliśmy swoje podejrzenia, ale wiesz, jak jest. Co się stało, to się nie odstanie. Achille przyznał się dopiero kilka lat temu, dał nam do zrozumienia, że nas spotka ten sam los, co ciebie, jeśli nie będziemy potulnie wykonywać jego rozkazów.

Capo uśmiechnął się, a mnie przeszły ciarki.

– Nie powinieneś był mnie szukać, Bobby. Powinieneś był trzymać się swojej familii.

Nie minęła sekunda, a Capo rzucił się na niego i z całej siły uderzył jego głową o ścianę. Najbardziej przerażająca była cisza, której nie zakłócił żaden, najmniejszy nawet odgłos. Gdy Bobby osunął się na podłogę, Capo złapał go za kołnierz koszuli i zaczął ciągnąć w kierunku zaplecza.

– Mariposa – warknął. – Rusz się.

Minęła chwila, zanim dotarło do mnie to, co powiedział. Pośpieszyłam za nim. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, Capo podniósł Bobby'ego i przerzucił go sobie przez ramię.

– Nie możesz go zabić!

– Już jest martwy.

– Capo, ale on tego nie zrobił! Jest niewinny.

– Był biernym obserwatorem, co czyni go tak samo winnym tej zbrodni. Pieprzony strachajło. A jego żona za dużo miele jęzorem.

– Co z tego, że gada za dużo! – Poza tym nie wiedziałam, czy strachajło oznacza tchórza.

– Jak go zabiję, może uroni łzę za mężem i wreszcie choć na chwilę zamknie dziób.

Poszliśmy prosto do samochodu zaparkowanego pod Mammą.

– Ktoś nas zobaczy! – syknęłam.

– Przecież jestem martwy. Niech tylko spróbują mnie złapać.

Gdy Capo otworzył drzwi, dwa samochody podjechały i zaparkowały tuż obok.

– Mariposa, wsiadaj! *Adesso!*

Gdy tylko wskoczyłam do środka, pociski trafiły w maskę samochodu. Zakryłam brzuch, bałam się, że kule przebiją kuloodporne szyby.

Capo usiadł obok mnie. Włączył silnik i cofając, zahaczył o jeden z samochodów. Auta zaparkowane pod pizzerią blokowały wyjazd. Rozległ się odgłos klaksonu.

– Gdzie jest Bobby? – wydyszałam.

– Okazał się bardzo przydatny.

– Jak to?

– Kule wymierzone we mnie trafiły w niego. Uznajmy to za zadośćuczynienie. Nie uprzedził mnie, że poderżną mi gardło, i biernie przyglądał się mojej śmierci.

– Rozumiem. – Chwyciłam się pasów. – To oni? Scarpone?

– Tak, ale nie Achille ani Arturo. Jacyś młodzi. Ochrona Bobby'ego. – Spojrzał w lusterko. – Trzymaj się.

Czego? Chciałam krzyczeć. Na zmianę dociskał klakson i hamował, klucząc między samochodami.

– Widzieli cię?

– Ciebie widzieli.

– Ale ja myślałam, że chciałeś… Cholera! Capo! – Wpadł w poślizg i w ostatniej chwili wyminął rowerzystę. – Myślałam, że chcesz zrobić wielkie wejście. W stylu: „Mam was, skurwysyny! Wróciłem!". Sądziłam, że będziesz chciał się zemścić z zaskoczenia.

– Zgadza się, ale sytuacja się zmieniła. Zbyt wiele osób wie, jak wyglądasz. Na pewno zaczęli coś podejrzewać. Nie wiedzą tylko, jaką rolę gra w tym wszystkim Cash Kelly. Próbują dowiedzieć się, czy coś nas łączy, czy może jesteś związana z Cashem.

– Włochy – powiedziałam.

– Tak. I pogrzeb dziadka. Wiedzieli, że jeśli żyję, nie mogło mnie na nim zabraknąć.

– Czy ty… – Zamknęłam oczy, bo zrobiło mi się niedobrze. – Już wtedy o tym wiedziałeś? Chciałeś zginąć?

– Byłem gotów to skończyć. Oni by zginęli. Ja również, tym razem naprawdę. Wszyscy byśmy zginęli. – Wykonał gwałtowny skręt w prawo, więc uderzyłam ramieniem w drzwi. – Teraz jednak nikt, poza Bobbym, mnie nie zobaczył. Jego ciało zasłoniło moją twarz, a poza tym ci kolesie są młodzi. Nie wiedzą, jak wyglądam. Szukali ciebie.

– Oni wszyscy szukali mnie? Dlaczego Bobby nie przyszedł sam?

– Mariposa, a co by cię bardziej przestraszyło? Jeden mężczyzna czy kilku?

– Bałabym się niezależnie od tego, ilu by ich było.

– Bobby wszedł przez zaplecze, więc nie wiedział, czy jesteś sama, czy z kimś. Gdy tylko cię dostrzegł, zadzwonił po posiłki. Dopóki nie zobaczył mnie, nie wiedział nic więcej. Gdy dowiedzą się, kim naprawdę jesteś, Marietta, zrobi się naprawdę niebezpiecznie. Teraz mają tylko swoje podejrzenia, ale to wystarczy.

W ostatniej chwili wyhamował przed wjazdem do garażu. Gdy tylko wjechaliśmy do środka, bramka prawie zahaczyła o tył samochodu. Pomknęliśmy na górę i zatrzymaliśmy się na siódmym albo ósmym piętrze, w miejscu pozbawionym zadaszenia, w pełnym słońcu.

Powiedział, żebym nie wysiadała, dopóki nie otworzy mi drzwi. Gdy pomagał mi wysiąść, pojedyncza łza spłynęła mi po policzku. Próbowałam ją otrzeć, ale zauważył, że płaczę.

– Mariposa.

Założył czapeczkę baseballową. Na plecach miał mój skórzany plecak. Zostawiłam go w samochodzie, gdy poszliśmy na pizzę. Podał mi parę okularów przeciwsłonecznych, sam również je założył.

– Dziś mam zamiar to zakończyć. Najwyższy czas.

– Zdjęcie dziecka – wyszeptałam.

Zostawiliśmy je na stoliku.

Pobiegliśmy w stronę wind. Gdy stanęliśmy przy szybie, wyjął coś z kieszeni.

Okulary mi zaparowały, a łzy zmoczyły szkła. Mimo to wyraźnie zobaczyłam skarb, który mi wręczył.

– Zabrałeś je.

– Rachunek też zapłaciłem.

– Naprawdę?

– Uwielbiasz tam bywać, a oni są bardziej pamiętliwi niż Scarpone, zwłaszcza jeśli chodzi o klientów, którzy wychodzą bez uiszczenia rachunku. Zabrałem zdjęcie, zostawiłem na stoliku dwieście dolarów

i poszedłem za tobą do łazienki. Nie przewidziałem tego, co się wydarzy. Mariposa, pamiętaj, na przyszłość musimy być przygotowani na każdą ewentualność.

– Czy Bobby nas śledził?

– Nie. Często tam jadał, ale jestem pewien, że zadzwonił po chłopaków, dopiero gdy cię zobaczył. Pieprzył jedną z kelnerek. Tę małomówną. Zauważył cię, gdy szłaś do łazienki. Ukryłem się za drzwiami.

Zamilkliśmy, nie mieliśmy już nic więcej do powiedzenia. Pozostałą drogę odbyliśmy w milczeniu. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, otworzył drzwi do innego samochodu. Zanim zdążyłam wsiąść, potężna eksplozja wstrząsnęła ostatnim piętrem garażu, tym, na którym zostawiliśmy nasz samochód.

– Zorientują się, że my… To znaczy, Capo, to twój samochód.

– E tam. – Zza tylnego siedzenia wyjął laptop i zaczął w nim coś sprawdzać.

– Na karcie rejestracyjnej jest nazwisko człowieka, którego zabito… – Spojrzał na zegarek. – Jakąś godzinę temu. To Scarpone zlecili jego zabójstwo.

– Kiedy? – zapytałam cicho. Spojrzałam na USG, które trzymałam w dłoniach. – Kiedy to zakończysz?

– Będą cię szukać. – Włączył silnik i ruszył. Jechał powoli, jakbyśmy wybrali się na wycieczkę krajoznawczą. – Bo wiedzą, że jesteś ze mną. Mają nadzieję, że tak jest. – Spojrzał w lusterko. – Jeśli szukają ciebie, szukają też mnie. Odebrali mi głos. Prędzej mnie piekło pochłonie, niż dopuszczę do tego, żeby odebrali mi serce.

27

CAPO

Przed wyjściem żona założyła mi na szyję swój różaniec.

To był nasz rytuał.

Rytuał przejścia.

Symbol jej miłości i poświęcenia, który zabierałem ze sobą na pole bitwy.

Gdy mój zabójca przeciął mi krtań, a powietrze zaczęło uciekać przez ranę, zamiast przez nos czy usta, sięgnąłem po różaniec i trzymałem go w dłoni aż do chwili, gdy straciłem przytomność.

Walczyłem o każdy oddech.

O każde uderzenie serca.

Miałem nadzieję, że udzieli mi się łaska spokoju, którą Mariposa odnalazła dzięki różańcowi. Wiedziałem bowiem, dokąd zmierzam. Prosto do piekła. Zanim wyzionąłem ducha, chciałem choć przez sekundę poczuć to, co ona. Pragnąłem zobaczyć miejsce, do którego po śmierci trafiają dobrzy ludzie.

Wiara.

Zapamiętałem tylko kilka chwil z mojego poprzedniego życia. Jedną z nich był moment, nim pociągnąłem za spust i zabiłem matkę Mariposy.

Maria była pierwszą ofiarą, która wybaczyła mi to, co zrobiłem. Wiedziała, że nie mam wyboru. Rozumiała, że w ten sposób okazuję jej łaskę. Znała dzikość tych, z którymi byłem spokrewniony. Zdawała sobie sprawę, co jej zrobią, jeśli ją dopadną.

Wtedy szukałem jeszcze sposobu, by uratować je obie. Dziecko nie powinno dorastać bez matki.

W końcu oboje zrozumieliśmy, że to na nic. Aby uratować jej córkę, Mariettę, musiałem zatrzeć wszelkie ślady jej dotychczasowego życia.

– Vittorio, wiem, co mnie czeka. Popełniłam w życiu wiele błędów, wyszłam za mąż za mężczyznę, który nie wierzy w Boga, ale moja wiara jest niezachwiana. Nie boję się śmierci, bo wiem, że czeka mnie nowe życie. Dbaj o moją córeczkę.

Maria martwiła się tylko o swoją córkę. O siebie była spokojna, wiedziała, że cokolwiek ją czeka, będzie lepsze od tego, czego doświadczyła do tej pory. Życie u boku męża było niebezpieczne i pełne mroku. Gdy je obie odnalazłem, były bliskie śmierci głodowej. Nie mogły wyjść z tej zapuszczonej nory, w której się ukrywały. Nie mogły poprosić sąsiadów o jedzenie, bo bały się, że ktoś je wyda.

I tak je znalazłem.

Zabijałem mężczyzn, którzy przed śmiercią zawodzili jak baby, sikali i srali pod siebie, klękali przede mną i błagali o darowanie im życia. Jeden z nich był gotowy poświęcić życie żony, żeby uratować siebie. Życie to życie. Ciało to ciało.

Maria była inna. Wiara dodawała jej otuchy. Jej ciało zmarło, ale dusza przeżyła.

Od początku starała się przekazać wiarę swojemu dziecku. Mariposa od najmłodszych lat wiedziała, że wiara pomoże jej ukoić lęk. Miała coś, co zawsze ją pokrzepiało.

Dla niektórych to zwykłe paciorki na sznurku. Jednak w oczach Marii różaniec był symbolem jej niezachwianej wiary. W obliczu trudności zawsze mogła szukać w niej pociechy.

W chwili śmierci chciałem zaznać spokoju. Pragnąłem poczuć jego smak, chciałem, żeby popłynął w moich żyłach i ogarnął moje serce, zanim przyszło mi zapłacić za grzechy. Mrok zaczął się kruszyć niczym szkło, a z ciemności wyłoniły się złowieszcze cienie, które wessały mnie do środka.

Jeden.

Dwa.

Trzy.

Przestałem oddychać.

Gdy się ocknąłem, obok mnie siedział Tito. Nie mogłem mówić. Czułem, że nie mogę złapać tchu. Ale wiedziałem, że żyję. Tito owinął mi różaniec wokół dłoni i prosił, żebym się nie poddawał.

W pewnym sensie znalazłem się w punkcie wyjścia.

Może dziś zaczerpnę powietrza po raz ostatni.

Po raz czwarty i ostatni.

Dziś w Dolce odbywało się spotkanie rodzinne. Restauracja była w całości zarezerwowana dla Scarpone. Stołowali się jak królowie, rechotali, jakby dworski błazen opowiedział im najśmieszniejszy dowcip świata, i snuli opowieści o świetlanej przyszłości, która czeka ich potomstwo. Z czasem i oni mieli zostać królami.

Co. Za. Kurwa. Bzdury.

Głowa do góry, skurwysyny, chciałem powiedzieć synom Achille. Łatwiej mi będzie poderżnąć wam gardła. Coś wam powiem. Król może być tylko jeden. A te bujdy, którymi was karmią, są wyssane z palca. Tylko jednemu z was będzie dane być przywódcą.

Po wyjściu żon odzianych w futra, obwieszonych biżuterią i obutych w najdroższe szpilki, mężczyźni zwykle zasiadali do partyjki pokera. Achille zapraszał jedną ze swych kurew, by dotrzymywała mu towarzystwa. Tylko niektóre spotykał zaszczyt pokazywania się z nim publicznie. Zwykle rzadko wychodziły z domu.

Chłopaki, zgadnijcie, kto dziś dołączy do gry.

Wreszcie zajmę miejsce, które kiedyś rezerwowali dla mnie w jedną niedzielę w miesiącu.

Zaśmiałem się chrapliwie. Nieźle, co? Raz w miesiącu czekało na mnie miejsce przy stoliku pokerowym i symboliczna szklaneczka whiskey. Z biegiem lat, z inicjatywy Achille, szachy zastąpił poker. Gra była szybsza i wymagała mniej główkowania. Znak czasów.

Gości obsługiwało trzech kelnerów. Reszta to członkowie rodziny oraz mężczyźni, którzy przysięgli oddać życie za króla i jego błazeńskiego syna. Nie zabrakło także najmłodszych książątek.

Geniusz komputerowy był przekonany, że panował nad ochroną. Przechytrzyłem go i wyłączyłem jedną z kamer. Od tej chwili na podglądzie z kamery widoczne było tylko wnętrze restauracji, więc stojąc na zewnątrz, byłem dla nich niewidoczny. Światło odbijało się od różańca, który miałem na szyi, więc zatknąłem go za kołnierzyk koszuli.

Ekran mojego telefonu rozbłysnął.

Podniosłem kołnierz kurtki i poszedłem za róg budynku. Chociaż to już marzec, nadal było zimno, ale mróz nie robił na mnie wrażenia. Nic już nie mogło mnie powstrzymać.

Na ulicy panował tłok i zgubiłem się w tłumie, żeby sprawdzić wiadomość. Stanąłem przed sklepem, w którym kupiłem figurki dla syna.

Twoja Żona: Hej, zapomniałeś czegoś bardzo ważnego.

Ja: Wątpię. Wszystko, co ważne, jest w domu. No dobrze, powiedz. Co takiego zostawiłem?

Twoja Żona: Mnie.

Po chwili komórka zawibrowała.

Twoja Żona: Proszę, wróć do domu. Musimy nadać imię naszemu dziecku.

Zaczerpnąłem powietrza i wypuściłem z ust obłoczek pary.

Ja: Saverio Lupo. Saverio oznacza „nowy dom”. To po włosku odpowiednik Xaviera lub Javiera. Lupo to „wilk”.

Twoja Żona: Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Próbowałam porozmawiać z tobą, zanim wyszedłeś, ale nie dałam rady. Odnalazłeś mnie, gdy byłam mała, a następnie mnie porzuciłeś. Po latach to ja odnalazłam ciebie. W świecie przepełnionym ludźmi i pękającym od nadmiaru słów. Odnalazłam ciebie, podobnie jak ty mnie.

Po kilku chwilach telefon zawibrował ponownie.

Twoja Żona: Capo, nie zostawiaj mnie. Nie wiedziałam, jak bardzo mi ciebie brakowało, dopóki cię nie dotknęłam po raz pierwszy. Nie brakowało mi rzeczy. No może trochę, ale tak naprawdę byłam głodna ciebie. Nic mi ciebie nie zastąpi.

Od wydarzeń w pizzerii robiła wszystko, żebym nie zostawił jej samej. Minęły trzy dni. Prosiła, żebym poczekał jeszcze jeden dzień, ale z każdą godziną, która mijała, Scarpone zyskiwali cenny czas i mogli ją odnaleźć.

Byłem pieprzonym duchem. Mnie już zabili. Jednak moja żona była dziewczynką, którą udało mi się uratować, jej serce jeszcze biło. Nie cofną się przed niczym, żeby ją dorwać.

Mogą się dowiedzieć, że jest ze mną w ciąży. Na samą myśl o tym krew we mnie to kipiała, to zamieniała się w lód.

Gdyby Achille ją dopadł, rozszarpałby ją na strzępy. Arturo zapewne pozwoliłby jej urodzić. Dopiero później by ją zabił, zabrałby jej syna i wychował jak własnego.

Nie istniała dotkliwsza zdrada. Nie mogło się z nią równać nawet zamordowanie własnego dziecka. To by było ostatnie „pierdol się” rzucone w twarz własnemu synowi, Księciu Pięknisiowi. Świetnie wiedział, że gdyby zabrał mi dziecko, nawet śmierć nie przyniesie mi ukojenia.

To musiało się skończyć. W każdej chwili mogło wydarzyć się coś nieprzewidzianego.

Wyłączyłem telefon i włożyłem go do kieszeni. Spojrzałem na zegarek.

Czas rozpocząć zabawę, skurwysyny.

Czekałem przed Dolce, przechadzając się. Poczułem zapach cielęciny alla parmigiana i zaschło mi w gardle.

Punktualnie o umówionej godzinie dwóch mężczyzn wyskoczyło z samochodu i pobiegło w głąb uliczki.

Rozległy się okrzyki. Padły strzały. Obsługa kuchni nie żyła.

Bum. Bam. Bum. Kolejne trzy osoby straciły życie.

Usłyszałem następne strzały. Dwóch zamaskowanych mężczyzn wybiegło z ciemnej uliczki. Za nimi ruszyło w pościg trzech kolesi.

Zamaskowani mężczyźni wskoczyli do czekającego samochodu. Trzech debili pobiegło do garażu. Chcieli ich gonić.

– Tak – wyszeptałem. – A pamiętacie, jak to się skończyło ostatnim razem? Kompletny brak pomyślunku.

Spuściłem głowę i od niechcenia poszedłem w głąb uliczki. Stanąłem przy wejściu kuchennym i przyłożyłem ucho do drzwi. Arturo krzyczał. Odkąd został Królem Nowego Jorku, tylko jeden człowiek miał odwagę mu się przeciwstawić.

Corrado Palermo.

Nie nawykł do podobnych sytuacji.

Gdy usłyszałem, jak strofuje Achille, roześmiałem się pod nosem. Po przejściu starca na emeryturę Achille miał odziedziczyć jego imperium. Szalony błazen miał objąć panowanie nad królestwem wyrzutków.

Dwóch ludzi Scarpone wybiegło z restauracji. Gdy pierwszy z nich się zatrzymał, drugi stanął tuż za nim. Dźgnął go palcem w klatkę piersiową, co znaczyło: „stul pysk i miej oczy i uszy otwarte”. Drugi przytaknął.

Ci mężczyźni nie wyrządzili mi żadnej krzywdy, poza tym, że pracowali dla rodziny. To nie było nic osobistego. Ale poderżnięcie gardła potraktowałem, kurwa, bardzo osobiście. Bez słowa zastrzeliłem ich obu, pojedynczym strzałem w tył głowy. Trochę nabrudziłem, ale z kuchni i tak wypływała już kałuża krwi. Strzały były cichsze niż odgłos padających na ziemię ciał.

Wszedłem do kuchni krokiem zdobywcy. Tak jak myślałem, na podłodze leżały trzy ciała.

Wyglądało na to, że Cash Kelly się zemścił, mimo że nie udało mu się dorwać głównych graczy. To mu gwarantowało silniejszą pozycję, chociaż jego ludzie uciekli z miejsca zbrodni.

Scarpone ucierpieli, ale byli znani z tego, że potrafią zjeść własne gangrenowate kończyny, byle tylko uratować ciało. Cash zyska posłuch u Włochów, ale musi liczyć się z tym, że od tej chwili zaczną go bacznie obserwować. Zwykle Włosi i Irlandczycy albo ze sobą współpracowali, albo trzymali się od siebie z daleka.

I wtedy pojawiłem się ja.

Zastrzeliłem dwóch synów Achille, zanim zdążyli wyciągnąć broń. Jeden z nich upadł na ścianę i trzymając w dłoni pistolet, osunął się na

ziemię. Drugi zrobił zdziwioną minę i nie wypuszczając broni z ręki, opadł na stół do pokera.

Achille i jego genialny syn zgodnie z przewidywaniami wyszli na zewnątrz.

Sięgnąłem po leżącą na ziemi broń i usiadłem obok Arturo. Położyłem pistolet na stole. Na moim miejscu stała szklaneczka whiskey.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym się przysiadł?

Sięgnąłem po talię kart i pociągnąłem łyk. W końcu nalano ją dla mnie. Rozłożyłem karty i spojrzałem na Arturo.

– Mam kiepskie karty. Powtórzmy partię.

W kaburze miał dwa pistolety i choć nie mógł doczekać się, żeby ich użyć, postanowił poczekać. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Ostatecznie nie miał się czego bać. Byłem tylko duchem z karabinem. A ich było trzech, mieli znaczną przewagę.

Miałaś rację, Motylku. Trójka to diabelska liczba…

– Wyjdź teraz. – Wysunął dolną szczękę. – Daruję ci życie.

Nachyliłem się i dobrałem karty. Podsunąłem mu kiepskie rozdanie.

– Darujesz mi życie? – Uśmiechnąłem się szeroko. – Przecież już byłeś łaskaw poderżnąć mi gardło. Pozwoliłeś, żebym pod śmietnikiem zdychał jak zwierzę.

– Zdradziłeś mnie. Nikt, kto mnie zdradzi, nie ma prawa przeżyć.

– Ach. A jednak ja żyję.

Poczułem ucisk w krtani, mój głos stał się skrzekliwy. Czasami zabliźnienie powodowało, że zmieniał mi się głos.

– Dlatego możemy sobie porozmawiać. – Machnąłem ręką i wyjąłem jedną kartę z talii, która leżała na stole. Zresztą to stare dzieje. Czas pochować ducha.

– Vittorio, czego chcesz?

– Czego chcę? – Zawahałem się. – To ty mi powiedz.

Rozejrzał się po sali.

– Udało ci się zabić większość naszych potomków. Teraz już wiem, że to ty rozpętałeś wojnę między rodzinami. Okradasz nas. Mścisz się. Czego jeszcze chcesz?

– Chcę zobaczyć ciebie – odparłem. – W rzece Hudson. W betonowych butach. I Błazna u twojego boku. Chcę zmieść Scarpone z powierzchni ziemi. Na pewno jesteś ciekaw, dlaczego chcę wrzucić do rzeki ciebie i twojego debilnego syna, skoro mógłbym was zostawić pod śmietnikiem. Są odpadki, których nie wystarczy wyrzucić, trzeba je zatopić.

Wstał i spojrzał na mnie z góry. Przypomniały mi się dawne czasy. Tym razem jednak był już stary. Siwizna przyprószyła mu skronie. Miał zmarszczki i urósł mu nos. Zgarbił się, życie odcisnęło na nim swoje piętno. Czas płynie, ale niektórzy nigdy nie wychodzą z roli.

W końcu spojrzałem mu prosto w oczy. Byłem gotowy.

– Dlaczego mi się przeciwstawiłeś, Vittorio? Dlaczego wybrałeś dziecko Palermo zamiast własnego ojca? On chciał mnie zabić! Chciał mi poderżnąć gardło! Wydałem ci rozkaz!

– Twój rozkaz nic nie znaczył w obliczu życia niewinnego dziecka.

– Niewinnego dziecka? – wydyszał. – Ona jest nasieniem Lucyfera!

– Nie. To ja jestem nasieniem diabła. Ile miałem lat, gdy po raz pierwszy kazałeś mi zabić? Gdy stałem się mężczyzną. Piętnaście? Szesnaście?

Przysunąłem karty bliżej i postukałem palcem w brzeg. Raz. Drugi. Trzykrotnie.

– Widziałeś kiedyś dziecko, które rysuje? Słyszałeś, jak przekręca słowo błękit, wymawiając je „blentik”? Albo jak głaszcze różaniec, bo bardzo się boi? Bo przeraża je każdy dźwięk i każdy cień na ścianie?

Zamilkł. Usłyszałem odgłos zbliżających się kroków. Do sali wszedł Achille. Chciał coś powiedzieć, ale zamilkł na mój widok. Usłyszałem, jak zwalnia spust pistoletu, ale Arturo powstrzymał go gestem dłoni. Achille zawsze lubił strzelać i nie zważał na konsekwencje.

A jeśli trafił nie tę osobę? No cóż, kurwa. Życie.

Arturo znał swojego syna. Dlatego nazwał go Błaznem. Achille był szeregowym żołnierzem pozbawionym zdolności samodzielnego myślenia. Musiał mieć przewodnika. Potrzebował wskazówek i rozkazów.

Bezwzględność jest niezbędna, aby przetrwać na tym świecie, ale umiejętność strategicznego myślenia jest nieoceniona.

Brutalność nie wystarczy, żeby wygrać bitwę. O wiele istotniejsza jest strategia. Pozwala uniknąć rozlewu krwi i jednocześnie umożliwia zadanie ciosu przeciwnikowi.

Arturo doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale chodziło także o coś innego. Kazał mnie zabić, bo nie zamordowałem córki Palermo. Jednak pragnął mojej śmierci głównie dlatego, że pokonałem go w jego własnej grze. Wygrywałem z nim ruch po ruchu, dzień po dniu, rok po roku. Moimi atutami były cierpliwość i zdolności strategiczne.

Szach mat.

I tak oto miałem ich na wyciągnięcie ręki.

Usta Arturo powoli wykrzywiły się i wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak głośno, że zaczęło to przypominać wycie. Mężczyźni, którzy stali przy nim, spojrzeli na niego niepewnie, najwyraźniej nie wiedzieli, o co, kurwa, chodzi.

Gdy się uspokoił, otarł oczy i westchnął.

– Zrobiło ci się żal córki Palermo. Wcześniej nie wiedziałeś, co to żal. Zanim ta mała dziwka cię uwiodła, byłeś wyzuty z uczuć. A teraz ją kochasz.

Spojrzał na Achille.

– Odwołaj psy. Wiem, kim jest ta dziwka, którą spotkaliśmy we Włoszech. To Marietta Palermo. Powinienem był wiedzieć. Ten pieprzony nos. I te oczy wiedźmy. Wygląda jak ta suka, jej matka.

Achille uśmiechnął się, nie opuszczając broni.

– Pierdolisz?

Vito, syn Achille, zmierzył mnie wzrokiem. Nie uśmiechał się. Jego oczy były puste i pozbawione wyrazu. Był martwy w środku. Znałem to uczucie. Kiedyś też nic mnie nie ruszało. Byłem pozbawiony uczuć.

Niewinność Marietty zmieniła mój los, ale dopiero pocałunek śmierci sprawił, że poczułem, że żyję. Gdyby sztylet nigdy nie drasnął mojego serca, nie potrafiłbym przyjąć jej miłości.

Miłość. A to, kurwa, nowość. Sprawiała, że czułem się kompletnie bezradny, a zarazem dzięki niej byłem nietykalny niczym potężny władca, nawet gdyby nie było mi dane zabić tych trzech.

Co za jazda.

No nic. Do rzeczy.

Kopnąłem w krzesło, które stało obok, sygnalizując początek negocjacji. Arturo usiadł pierwszy, Achille dołączył jako drugi. Vito stał, dopóki ojciec nie kazał mu usiąść. Patrzył na mnie pustym wzrokiem.

– Vittorio, nie mam zamiaru siedzieć tu i prowadzić z tobą jakichś pierdolonych gierek. – Achille rzucił mi kartami w twarz. – Zakpiłeś z nas. Odgrywałeś ducha, zamiast zachować się jak mężczyzna. Czy to uczciwe?

Roześmiałem się i potrząsnąłem głową.

– Czy to uczciwe?

W okamgnieniu zaskrzypiały dwa krzesła i wszyscy równocześnie sięgnęliśmy po broń. Byłem najszybszy i skierowałem lufę w skroń starca. Arturo, Achille i jego syn mierzyli we mnie.

– Wszystko mi jedno, mogę umrzeć. – Wysunąłem dolną szczękę. – I tak jestem już martwy.

– Marietta żyje. – Arturo uśmiechnął się. – Vittorio, gdy zginiesz, a tym razem zapewniam cię, że nie dostaniesz drugiej szansy, znajdziemy ją i zabijemy. To nie będzie łatwa śmierć.

Przesłałem mu lodowaty uśmiech.

– Tym razem nie zapewnisz mi miejsca w pierwszym rzędzie?

Achille wyszczerzył się, wyglądał jak prawdziwy błazen.

– Zapewnimy, bądź spokojny, Książę Pięknisiu. Tym razem jednak to ja ją będę rżnął. Widziałem twoją dziewczynę. Ma fajny tyłek. Usta też ma niezłe.

Muszę trzymać nerwy na wodzy i nie tracić głowy, bo będzie po mnie.

– Dotąd nie udało wam się jej znaleźć. Zaręczam, że nigdy jej nie znajdziecie.

– Znajdziemy, znajdziemy – powiedział Arturo. – Teraz już wiemy, jak wygląda. Wiemy, z kim się przyjaźni.

– Jest pod ochroną Faustich. Możecie mnie zabić. – Wzruszyłem ramionami. – A i tak będzie bezpieczna.

– Zawsze potrafiłeś dogadać się z diabłem, Vittorio. Tym razem przyjdzie ci oddać mu własną duszę.

– Niczego nie będę musiał mu oddawać, bowiem ja sam jestem nasieniem szatana – powiedziałem po włosku.

Król i Błazen znali tylko pojedyncze włoskie słowa. Obaj nie znosili, gdy mówiłem w ojczystym języku.

– Ale, dość już o mnie. Porozmawiajmy o Palermo.

– Po co? – Arturo spojrzał na mnie badawczo, widać było, że jego umysł pracuje na najwyższych obrotach i podaje w wątpliwość wszystko, co wiedział o śmierci Corrado. A może wcale nie zginął?

– Zapytaj Achille – zaproponowałem.

– Achille. O czym on mówi?

Achille spojrzał na mnie z taką nienawiścią, że nie zdziwiłbym się, gdyby jego spluwa sama odpaliła.

– On bredzi, tatko. Będziesz słuchał bredni tchórzliwego ducha?

Żaden z nich nie zauważył, że włożyłem rękę do kieszeni. Po chwili wyjąłem z niej kartkę i położyłem na stole. Vito trochę poniosło i nacisnął na spust. Kula otarła się o moje ramię, dziurawiąc mi płaszcz, i trafiła w ścianę.

No cóż, geniusz nie potrafił strzelać. Nie bez powodu Arturo posadził go przed komputerem. Tam radził sobie o niebo lepiej.

– Vito, czy cię pojebało?!

Achille dał mu przez łeb z taką siłą, że chłopak zgubił okulary.

Vito poczerwieniał i spojrzał na mnie z nienawiścią. Myliłem się, jednak coś czuł. Był pełen urazy.

Wykorzystując zamieszanie, podsunąłem Arturo kartkę. Przeczytał ją, jego mina była bezcenna.

Arturo wziął kartkę do ręki.

– Spiskowałeś z Palermo.

– Co?

Twarz Achille wykrzywiła się w grymasie. Sięgnął po kartkę, ale Arturo cofnął dłoń.

– Tato, pokaż.

Arturo spojrzał na niego przeciągle i wręczył mu kartkę. Achille zerknął na nią i powiedział:

– Co za pieprzone bzdury!

– Doprawdy? – zapytałem beztroskim tonem. – Palermo nigdy niczego nie wyrzucał. Miał zwyczaj wszystko zapisywać. Zostawił po sobie setki dzienników. Widzicie, był przekonany, że uda mu się ujść z tego cało. Choć plotka głosiła, że chciał być nowym Królem Nowego Jorku, tak naprawdę miał nadzieję zostać jego najbardziej zaufanym doradcą.

– Gówno prawda! – ryknął Achille, wymachując bronią.

– Palermo nie miał powodu kłamać. Wszystko zapisał tutaj. – Wskazałem na kartkę. – Miał dostęp do poufnych informacji, a ty byłeś przekonany, że przekazał mu je Carlo, ten dwulicowy szczur. A to byłeś ty. To ty dałeś mu nóż, którym próbował zabić Arturo. – Kiwnąłem w jego stronę, a on gorączkowo układał w głowie kolejne elementy układanki.

Arturo był tak bardzo pochłonięty demonizowaniem mnie, że nie zauważył jadowitego węża, który zagnieździł się w jego własnym domu.

To z powodu Achille Palermo naraził swoją rodzinę na niebezpieczeństwo. Tak bardzo chciał rządzić u jego boku, że kłamstwa potraktował jak obietnice. Gdy zginął, Maria uświadomiła sobie, że jest jedynym świadkiem, który mógł zagrozić Achille. Wiedziała, że będzie następna. Jej los miała podzielić również jej córka.

Gdy wróciłem do domu, w którym Palermo mieszkał, gdy jeszcze pracował dla Arturo, zacząłem węszyć. Moim głównym celem było znalezienie zdjęć Marii, które chciałem przekazać Mariposie. Chciałem się upewnić, że gdyby coś mi się stało, trafią w jej ręce.

Znalazłem o wiele więcej, nie tylko zdjęcia.

Okazało się, że to po swoim ojcu Mariposa odziedziczyła zamiłowanie do prowadzenia pamiętnika.

Z notatek Palermo wynikało niezbicie, że Achille przekonał Arturo, że skoro darowałem życie Marietcie, powinienem zginąć. Wbił mu do głowy, że nie byłem godny zaufania. Jednak z perspektywy czasu, bogatszy o wiedzę, którą uzyskałem z zapisków Palermo, wiem, że chciał mnie zabić, bo nie miał pojęcia, czego dowiedziałem się przed śmiercią od Marii i samego Palermo.

Achille nie mógł zorganizować kolejnego zamachu na Arturo, to było zbyt ryzykowne. Arturo otaczał się wąskim gronem zaufanych osób i nigdy z wyprzedzeniem nie zdradzał miejsca swojego pobytu. Zamach byłby zbyt skomplikowany. Beze mnie sprawy stawały się prostsze. Wystarczyło cierpliwie poczekać na odpowiedni moment.

Staliśmy z wymierzonymi w siebie spluwami, Arturo skierował lufę prosto w moje serce. Jego dłoń drgnęła i wystrzelił, kula trafiła prosto w serce Vito. Chłopak rozdziawił usta i osunął się na ścianę.

Arturo wymierzył broń w Achille, ale ten z młodzieńczą szybkością przyłożył mu lufę do skroni i pociągnął za spust. Kolana ugięły się pod Arturo i upadł na ziemię. Widziałem wyraz jego twarzy, gdy przegrał bitwę ze śmiercią – wyglądał na wściekłego. Zawsze był wkurwiony, nawet śmierć nie mogła tego zmienić.

Achille i ja krążyliśmy wokół siebie, celując jeden do drugiego nawzajem.

– Vittorio, zawsze byłeś przegrywem, nawet jako umarlak. – Pociągnął nosem. – Zawsze uważałeś mnie za głupca. Może nie mam twojego rozumu, ale wszystko jest po coś, a ja potrafię łączyć fakty. Gdy byłem dziś w szpitalnej kostnicy, gdzie próbowałem znaleźć mojego zaginionego syna, nagle mnie olśniło. Tito Sala. To on cię wtedy uratował.

– Jeden strzał, Achille.

Miałem dość tych gierek. Jednak na dźwięk nazwiska wuja powstrzymałem się przed naciśnięciem na spust. Jeśli porwał Tito, musiałem liczyć się z tym, że miał w głowie jakiś chory plan.

– Jeden z nas musi to zakończyć. Wystarczy jeden strzał, żeby mnie zabić.

Achille cofnął się w kierunku kuchni. Skradałem się za nim. Zatrzymał się przed szatnią. Arturo nie lubił, gdy ktoś ruszał jego rzeczy. Po historii z Palermo stał się bardzo zapobiegliwy.

– Vittorio, nieprzewidziane okoliczności to wrzód na dupie.

Otworzył szafę, z której wypadł Tito. Był związany i zakneblowany. Achille złapał go jedną ręką i przyłożył mu lufę do skroni. Tito nie miał okularów, zamrugał, zanim otworzył oczy. Gdy zdał sobie sprawę, gdzie jest, pokręcił głową i próbował coś powiedzieć. Chciał mnie przekonać, żebym nie poświęcał dla niego własnego życia.

Nie mogłem pociągnąć za spust.

Ot, nieprzewidziane okoliczności.

Nie byłbym w stanie poświęcić życia Tito. Był aniołem, który uchronił mnie przed śmiercią. Jeśli ktokolwiek zasługiwał na to, by żyć, był nim ten człowiek.

– Odłóż broń, Vittorio – rozkazał Achille, przyciskając lufę mocniej do skroni Tito. – Natychmiast. Albo twój wujek pożegna się z życiem.

Uniosłem ręce. Upuściłem broń na ziemię. Tito zaczął się szarpać, ale było już za późno. Poddałem się.

Moja żona była bezpieczna. Mój syn był bezpieczny.

Achille mnie zabije, ale ich nie da rady dorwać. Rocco o to zadba. Zwłaszcza że poświęciłem życie, by ratować Tito.

– Na kolana, Vittorio – rozkazał Achille. – Na kolana! – ryknął, gdy zobaczył, że się nie ruszam.

Trzymałem ręce w górze, ale nie klęknąłem. Wiedziałem, że i tak mnie zabije. Nie klękałem przed żadnym śmiertelnikiem. Jedyną osobą, przed którą chyliłem głowę i byłem gotowy paść na kolana, była moja żona.

Powoli opuściłem ręce i sięgnąłem po różaniec, który zawiesiłem na szyi. Przyłożyłem go do piersi.

Poczułem, że lufa wbija mi się w potylicę. Nadeszła najczarniejsza godzina, a ja ponownie odnalazłem spokój.

28

MARIPOSA

Capo przed wyjściem z domu dał mi błękitne pudełko przewiązane niebieską wstążką. Poprosił, żebym otworzyła je, gdy tylko wyjdzie. Kiedy się oddalił, natychmiast odwiązałam wstążkę.

Na błękitnej bibułce leżał liścik.

Mariposa,

Tej nocy, gdy zabrałem Cię do domu starego Gianellego i Jocelyn, powiedziałaś mi, że Twoim ulubionym kolorem jest niebieski. Zamiast niebieski powiedziałaś nebeski. Pierwszy raz od odejścia mojej mamy uśmiechnąłem się i zrobiło mi się lżej na sercu. To samo czuję dziś, gdy wychodzę z naszego domu i myślę o Tobie. Już nie mówisz nebeski, ale nadal sprawiasz, że czuję coś, dla czego nie znajduję słów.

Zawdzięczam Ci życie. To nie ja uratowałem wtedy Ciebie, to Ty uratowałaś mnie.

To, co znajdziesz w tym pudełku, nie przywróci Ci tego, co przeze mnie straciłaś, ale być może sprawi, że odzyskasz straconą część siebie.

Capo

Pod bibułką leżał album ze zdjęciami. Były w nim zdjęcia, których już nigdy nie miałam nadziei zobaczyć. Zdjęcia mojej mamy. Moja mama ze mną na rękach, tuż po narodzinach. Mnóstwo moich zdjęć, zanim skończyłam pięć lat. Wyglądało na to, że zachowała tylko ulubione fotografie. Te, które były na tyle ważne, że zdecydowała się je zakopać.

Chwilę potem wysłałam do Capo esemesa, w którym całkowicie się przed nim otworzyłam. Bałam się powiedzieć mu prosto w twarz to

wszystko, co chciałam, żeby wiedział. Może bałam się, że coś popsuję i nigdy do mnie nie wróci.

Nie powiedział, co zamierza zrobić, ale ja i tak wiedziałam. Cały dzień zachowywał się dziwnie.

Patrzył na mnie inaczej.

Jakby widział mnie po raz ostatni.

Całował mnie inaczej.

Jakby całował mnie po raz ostatni.

Dotykał mnie w sposób inny niż zwykle, jakby to robił ostatni raz.

To było wymowniejsze od słów.

Wpadł do nas Rocco i obaj zniknęli w gabinecie Capo. Nie podobało mi się, jak Rocco na mnie patrzył. Jak na wdowę, za którą będzie musiał wziąć odpowiedzialność.

To też było wymowniejsze od słów.

Kiedy Rocco wychodził, wsunęłam mu do ręki karteczkę. Wyszło naturalnie, jak zwykły uścisk dłoni.

Nie mogłam usiedzieć na miejscu. Dałam Capo mój różaniec i brakowało mi ulgi, którą przynosiło mi dotykanie pereł. Pierwszy raz odkąd poznałam Capo, poczułam, że diabeł znów jest blisko.

Włożyłam tenisówki i przeszłam na drugą stronę budynku. W kuchni siedział Giovanni.

– Czy mój mąż się odzywał?

Pokręcił głową.

– Nie, nie odzywał się, odkąd wyszedł.

Przygryzłam wargę i kiwnęłam głową.

– Mam ochotę na lody.

Wskazał na zamrażalnik.

– Są w lodówce.

– Nie. Mam ochotę na waniliowe. Są wszystkie smaki oprócz wanilii.

Spojrzał na mnie uważnie, po czym wezwał do kuchni swojego zastępcę, Stefano.

– Pani Macchiavello życzy sobie, żebyś pojechał do sklepu po lody waniliowe.

– Ja poprowadzę – powiedziałam i poszłam po kluczyki, które wisiały w komórce. Drzwi były zamykane na kod. Pozostałe kluczyki przechowywaliśmy po naszej stronie budynku. Capo pomyślał o wszystkim.

Capo powiedział Giovanniemu, że nie ma problemu z tym, żebym wyszła dziś wieczorem, pod warunkiem że będzie mi towarzyszył jeden z ochroniarzy. To była kolejna czerwona flaga. Skąd czerpał pewność, że dziś nie groziło mi nic ze strony Scarpone?

Giovanni kiwnął głową, a ja i Stefano poszliśmy do garażu. Alarm zapiszczał w ferrari i oboje wsiedliśmy do środka. Zanim otworzyłam bramę, wysłałam esemesa do Capo.

Ja: Jadę ze Stefano po lody. Możemy wieczorem obejrzeć stary film i napić się grzanego piwa z lodami. Capo, ty do mnie wrócisz.

Nie odpisał. Już od jakiegoś czasu nie reagował na moje wiadomości, odkąd w esemesach odsłoniłam przed nim swoje uczucia, bo poczułam nieodpartą chęć powiedzenia mu wszystkiego, co mi leży na sercu.

Tak naprawdę lody miałam w nosie. Chciałam pojechać do Dolce, sprawdzić, czy nie ma tam mojego męża. Chciałam się upewnić, że mój koszmar się nie urzeczywistnił, a mój mąż nie leży na asfalcie, ściskając w dłoni mój różaniec i wykrwawiając się na śmierć.

Stefano zorientował się, że nie jedziemy do sklepu.

– Pani Macchiavello, zboczyliśmy z drogi. – Wskazał palcem kierunek. – Sklep jest tam.

Zignorowałam go. Powtórzył raz jeszcze. Ponownie go zignorowałam. Przyśpieszyłam, dociskając nogą gaz. Czułam narastającą panikę.

– Pani Macchiavello!

Zanim zdołałam się zorientować, co się dzieje, słowa Stefano dotarły do mnie w zwolnionym tempie.

– Ciężarówka!

W tym samym momencie przed nami wyrosła ogromna ciężarówka i wbiła się w samochód od strony pasażera.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie zorientowałam się, że samochód pod wpływem uderzenia przetoczył się po drodze. Gdy stanęliśmy, wszystko widziałam jak przez mgłę. Dotknęłam głowy. Syknęłam z bólu. Krew spływała mi po czole, szczypiąc w oczy.

– Stefano… – wychrypiałam.

Cisza.

Powtórzyłam jego imię, po omacku usiłując sprawdzić, czy siedzi obok. Nie odpowiedział. Dotknęłam brzucha, żeby sprawdzić, czy dziecko nie ucierpiało na skutek zderzenia.

Moje dziecko.

Nie rozpłakałam się, może nadal byłam w szoku, ale poczułam coś, czego nie czułam nigdy wcześniej. To była matczyna troska, która przeniknęła na wskroś moje serce i moją duszę.

Na myśl o tym, że dziecko mogła spotkać krzywda, ogarnęła mnie panika. Na szczęście po chwili poczułam, że się poruszyło, więc trochę się uspokoiłam.

Gdy złapałam za klamkę, usiłując otworzyć drzwi, syknęłam z bólu. Może miałam połamane żebra? Gdy zakasłałam, ból się nasilił.

Skąd się wzięła ta ciężarówka? Jechałam szybko, ale patrzyłam na drogę. Nie miała świateł. Była jak diabeł, zderzający się z jasnością.

Po chwili drzwi się otworzyły i ktoś przeciął mi pasy. Następnie chwycił mnie za włosy i wyciągnął na ulicę. Krzyknęłam. Poczułam piekący ból w klatce piersiowej.

Dotarło do mnie, co się dzieje. Ten ktoś nie miał zamiaru udzielać mi pomocy. Chciał mnie zabić. Z nadgarstka próbował zerwać mi zegarek. Wiedziałam, że to facet, bo miał owłosione ramiona.

Czy chciał mnie okraść?

– Oddaj zegarek, suko! – Z całej siły uderzył mnie w twarz. – Jeśli będziesz się opierać, odetnę ci dłoń!

Na dźwięk jego głosu zamarłam. Całą moją uwagę skierowałam na niego i zabrakło mi tchu. Zerwał mi zegarek i rzucił go na siedzenie ferrari, po czym sięgnął po kanister i zaczął rozlewać benzynę wokół samochodu. Polał nią też siedzenia. Podszedł do mnie i kopnął mnie w twarz.

Wiedział o zegarku.

Wiedział, że ktoś mógłby mnie dzięki niemu odnaleźć.

Capo mógłby mnie znaleźć.

Mógłby mnie uratować.

Capo… czy on…? Nie chciałam o tym myśleć.

Próbowałam się czołgać, ale to nie miało sensu. Szaleniec zawlókł mnie za włosy do stojącego obok pick-upa. Miałam zawroty głowy, obraz zamazywał mi się przed oczami i choć wiedziałam, kim jest, nie byłam w stanie wymówić jego imienia. Miałam je na końcu języka, ale mój mózg stracił łączność z aparatem mowy.

Bełkotał pod nosem, co zamierza ze mną zrobić, gdzie mnie zabierze i że zadba o to, żebym cierpiała, ale jego głos stawał się coraz bardziej odległy.

Ostatnia rzecz, którą pamiętam, to ferrari stające w płomieniach. Diabeł w końcu mnie dopadł i wiózł prosto do piekła.

29

CAPO

Rozległ się pojedynczy wystrzał. Usłyszałem go, choć nie był głośny. Chwyciłem mocniej różaniec, a po chwili do moich uszu dobiegł odgłos upadającego ciała.

Rozejrzałem się na boki.

To nie byłem ja.

Stałem na własnych nogach, a różaniec wbijał mi się w dłoń.

– Amadeo – powiedział Rocco. – Pomóż mi rozwiązać tę damulkę, zanim zacznie się domagać soli trzeźwiących.

Dopiero po chwili zrozumiałem, co się stało. Rocco rozwiązywał Tito. Ciało Achille leżało za mną na podłodze w kałuży krwi. Był martwy.

Śmierć wisiała w powietrzu. Czułem satysfakcję, że nie żyli, ale głównie ulgę, że nie mogli już zagrozić moim najbliższym.

– Ty! – wrzasnął Tito, gdy Rocco zerwał mu taśmę z ust. – Nie ręczę za siebie, niech no tylko Rocco rozwiąże mi ręce. – Potrząsnął nimi, jakby nie mógł się doczekać, aż mnie udusi.

Rocco uśmiechnął się do mnie.

– Zakleić mu usta?

– Ani mi się waż! – warknął Tito. – Obu was wykastruję!

– Wujku – powiedział Rocco i wskazał Achille. – Powinieneś był wcześniej wykastrować tego osobnika, wtedy może by cię nie uprowadził.

– Byłem zmęczony! W szpitalu musiałem zająć się niestabilnym pacjentem. Achille dopadł mnie w garażu. Nie chciałem mu nic powiedzieć, więc uderzył mnie w głowę i związał! To przypadek, że uprowadził mnie w dniu, w którym postanowiłeś się na nim zemścić!

– Rocco… – Głosem zduszonym z emocji poprosiłem go, żeby wyjaśnił powód swojej obecności w Dolce.

Pod żadnym pozorem nie chciałem, żeby Fausti ingerowali w moje sprawy. Dzisiejszy wieczór miał się potoczyć na moich zasadach. Gdybym został pokonany przez Scarpone, to oznaczałoby, że tak najwyraźniej miało być.

Gierki. Tyle pieprzonych gierek. Wreszcie zostały zakończone.

Już nie raz rozmawialiśmy o tym z Rocco. Wróciłem do tematu, gdy obiecał mi, że Fausti otoczą opieką Mariposę, gdyby coś mi się stało. Mariposa tego nie wiedziała, ale zanim zgodziła się zostać moją żoną, poprosiłem go, żeby o nią dbał. Uczyniłem ją moją jedyną spadkobierczynią.

Rocco puścił Tito i spojrzał na mnie. Z kieszeni wyciągnął kawałek papieru. To była kartka wydarta z dziennika. Podał mi ją.

Dolce. Dziś wieczorem. Nie rób tego dla mnie, zrób to w imię miłości. Zostaniesz dłużnikiem miłości, nie moim.

Mariposa. Moja żona. Wszędzie rozpoznałbym jej pismo, zwłaszcza że przeczytałem jej pamiętnik od deski do deski. Uniosłem kartkę.

Rocco przytaknął.

– Zgadza się. Twoja żona dała mi to, gdy od was wychodziłem.

Wzruszył ramionami.

– Romantyk, który jest we mnie, nie mógł jej odmówić.

– Siostrzeńcu, natychmiast mnie rozwiąż!

Spojrzeliśmy na Tito, który usiłował wyswobodzić się z więzów. Jednak nie mieliśmy już czasu, żeby go rozwiązać. W oddali dał się słyszeć dźwięk syren policyjnych. Wzięliśmy go pod ramiona. Wynieśliśmy go na zewnątrz. Zaczął strasznie przeklinać, ale zamilkł, gdy wsiedliśmy do samochodu. Fuknął i wbił wzrok w okno.

Wyjąłem laptop, żeby sprawdzić, czy wszystkie środki bezpieczeństwa, które wdrożyłem, zadziałały. Zgodnie z planem kamery nagrały tylko część tego, co wydarzyło się tej nocy.

Nagrania nie pokazały zamaskowanych mężczyzn zabijających pracowników kuchni i Scarpone wybiegających za nimi na ulicę ani Arturo zabijającego Vito, ani Achille zabijającego Arturo. Notatka Corrado Palermo nadal leżała obok ciała Arturo.

Ponieważ policja nie miała dostępu do pełnego zapisu z kamery, mogła tylko domniemywać, dlaczego Achille stracił życie. Lista jego przeciwników była tak długa, że nie zmieściłaby się na jednej kartce. Powątpiewałem, żeby organy ścigania przyłożyły się do odnalezienia sprawcy zabójstwa. Rocco wyświadczył im przysługę.

– Staruszku – zwróciłem się do Tito, zerkając na niego znad laptopa. – Już raz uratowałeś mi życie. Dzięki tobie dostałem drugą szansę. Nie mogłem ci się nie odwdzięczyć.

Pacnął mnie w tył głowy. Z całej siły. Kątem oka dostrzegłem uśmiech Rocco.

– Dokładnie! W porównaniu z tobą jestem starcem! A twoja żona? Pomyślałeś o niej?

– Gdyby nie ty, nie miałbym żony.

– A twój syn? Kto by go wychowywał?

– Ty – odparłem. – Bez ciebie i tak nie miałbym syna.

Zaczął przeklinać po włosku. Mimo że był wściekły za to, co byłem gotów dla niego poświęcić, był bardziej zły na siebie, że dał się porwać komuś takiemu jak Achille. Spodziewałem się, że mężczyźni nie puszczą mu tego płazem i zaczną go przezywać Związany Tito czy coś w tym guście. Rocco na pewno mu tego nie przepuści.

Rozległ się sygnał nadchodzącego połączenia. Dzwonił Giovanni.

– Mów, G.

– Chodzi o – wziął głęboki oddech – o pańską żonę.

Zalał mnie potokiem słów. Wyszła ze Stefano. Pojechała do sklepu. Po lody. Długo jej nie było. Nie mógł się dodzwonić ani do niej, ani do Stefano. Pojechał ich szukać. Szkło na ulicy. Ferrari. Spłonęło. W środku znaleziono ciało. Od strony pasażera. Nie wiadomo czyje. Na miejscu jest policja i straż pożarna.

Rozłączyłem się bez słowa i włączyłem drugi telefon.

Miałem jedną nieprzeczytaną wiadomość.

Twoja Żona: Jadę ze Stefano po lody. Wieczorem możemy obejrzeć film i wypić grzane piwo z lodami. Capo, wracaj do domu.

– Kurwa! – zakląłem. – Pojechała w złym kierunku. Do Dolce. Jechała po mnie.

Powiedziałem Rocco, żeby się zatrzymał. Włączyłem aplikację szpiegowską, którą sam zaprojektowałem, i poinformowałem Rocco i Tito o tym, co się stało. Mój głos brzmiał spokojnie, wręcz chłodno, ale czułem się tak, jakby w środku wybuchł mi Wezuwiusz. Giovanni miał rację. Zegarek Mariposy był wyłączony, podobnie jak komórka Stefano. Włączyłem wyszukiwanie lokalizacji, ale bezskutecznie. Sytuacja powtórzyła się z telefonem Mariposy.

– No dalej, Motylku – wyszeptałem. Sięgnąłem po ostatnią deskę ratunku, w ten sposób zawsze odnajdywałem Mari. Chociażby wtedy, gdy pojechała odwiedzić Chłoptasia Harry’ego.

Jej pierścionek zaręczynowy.

Nigdy go nie zdejmowała. W oprawie diamentu umieściłem miniaturowy nadajnik. To samo zrobiłem z jej obrączką, gdyby kiedyś założyła ją zamiast pierścionka. Jeśli człowiek, który ją uprowadził, nie chciał jej okraść, tym bardziej nie miałby powodu zabierać jej pierścionka. Pozbyłby się jej zegarka i samochodu. To jasne. Ale pierścionka? Nie wzbudzał podejrzeń. Nadajnik nie rzucał się w oczy.

Gdy ikona wyszukiwania zaczęła pulsować na ekranie, zamknąłem oczy i chwyciłem mocno za różaniec. Stefano. To Stefano zginął, nie ona. Przeszył mnie dreszcz i usłyszałem swój cichy, zdławiony głos.

– Rocco. Zawieź mnie nad rzekę Hudson. – Powiedziałem mu, gdzie ma jechać. – Tylko, kurwa, szybko. I zadzwoń do Brando.

Brando Fausti pracował kiedyś w Straży Morskiej. Był ratownikiem na Alasce. Najlepszym z najlepszych. Skurczybyk pod wodą pływał jak rekin. Miał sprzęt do nurkowania i doskonały wzrok.

Drugą osobą, której potrzebowałem, był lekarz. Siedział na tylnym siedzeniu, przysłuchując się temu, co powiedziałem. Wymamrotał coś pod

nosem.

Ktokolwiek porwał moją żonę, zabrał ją nad rzekę. Ikona na ekranie zbliżała się do nadbrzeża. Ktokolwiek porwał moją żonę, chciał ją utopić.

30

MARIPOSA

Sycylia. Myślałam o tym, jak nurkowałam na Sycylii. Zanurzałam się na chwilę i wypływałam na powierzchnię. Gdy moja głowa wyłaniała się z wody, do moich uszu dobiegały dźwięki.

Moja głowa. To samo działo się z nią teraz.

Poczułam, że łapią mnie czyjeś ręce. Z całych sił próbowałam z tym kimś walczyć. Drapałam, gryzłam i krzyczałam. Trudno powiedzieć, czy ktoś mnie usłyszał. Pod wodą wszystko wydawało się inne.

Czy ktoś mnie usłyszy?

Gdyby nie moje dziecko, już dawno bym się poddała. Diabeł w końcu mnie dopadł, a mój mąż prawdopodobnie nie żył.

Czułam, że już po mnie. Byłam wykończona walką i ciągłą gonitwą.

Ulotniła się moja chęć życia.

Gdy znalazłam Capo, też byłam zmęczona. Gdy zabrał mnie do siebie i dał mi schronienie, nakarmił mnie i otoczył opieką, a także miłością i poczuciem bezpieczeństwa, za którymi tak bardzo tęskniłam, wreszcie zasnęłam. Byłam bezpieczna. Jednak moja chęć życia nadal była nadwerężona, a ja łaknęłam przede wszystkim snu, dobrego schronienia i opiekuńczych, silnych ramion.

Nie walczyłam tylko o siebie. On również zasługiwał na szansę na nowe życie, którego jeszcze nie zdążył nawet posmakować. Zasługiwał na to, by żyć, a nie tylko utrzymywać się na powierzchni. Za to życie byłam gotowa oddać swoje ciało.

Okazało się, że oddałam je dobrowolnie.

Capo. Moje dzieciątko. Saverio. Nie zdążyłam nawet powiedzieć Capo, jak bardzo podobało mi się imię dziecka i jego podwójne znaczenie. Nowy

dom. Saverio symbolizował nasz nowy dom. Był ucieleśnieniem naszych ślubów krwi.

Znowu zaczęłam się szarpać i drapać napastnika. Gryzłam na oślep, gdzie popadnie. A jeśli chodzi o krzyk, choć miałam zdarty głos, może i tak ktoś mnie usłyszał.

Upadłam na coś twardego i jęknęłam. Straciłam orientację i kontrolę nad własnym ciałem. Czułam, że płonie.

Ktoś coś mamrotał.

Chciałam krzyknąć, żeby się zamknął. Mój głos był zduszony, w odróżnieniu od jego. Darł mi się do ucha, a jego krzyk dudnił w mojej poturbowanej czaszce. Miałam wrażenie, że odbija się jak piłeczka od jednej strony do drugiej, powodując jeszcze dotkliwszy ból.

Było mi niedobrze.

Płomienie paliły coraz mocniej.

Moje stopy. Nie mogłam nimi ruszyć. Moje ręce. Nimi też nie mogłam ruszać.

Nie miałam nic, zupełnie nic, czy mogłabym się bronić.

Ogień był coraz bliżej, płomienie zaczynały lizać moją skórę, gdy nagle poczułam, że spadam w nicość. Z całej siły uderzyłam o powierzchnię lodowatej wody i zaczęłam się topić. Woda wsysała mnie coraz szybciej, nie dając mi szansy, abym zaczerpnęła tchu.

Ciśnienie wody było potężne, pochłaniało mnie całą. Teraz zamiast płomieni groziło mi coś zgoła innego.

Lodowate ramiona chwyciły mnie mocno, czułam, że moje ciało przeszywają setki ostrych i zimnych ostrzy. Woda wlewała mi się do ust, nosa i płuc. Znowu płonęłam, tym razem od środka.

Poddałam się, dalsza walka nie miała sensu. Byłam związana. Ciągnięto mnie do piekła przez wodnisty grób. Szybciej, niż gdy Capo dociskał gaz do dechy w swoim sportowym wozie.

Ciekawe, czy dotknięcie piekła zbliży mnie do nieba.

Musiała być jakaś inna droga, łatwiejsza, spokojniejsza niż ta. Może dlatego śmierć jest taka trudna. Musimy zapłacić za grzechy, zanim

zaznamy wiecznego ukojenia.

Pomyślałam o różańcu, o spokoju, który czułam, gdy dotykałam pereł, i w tym samym momencie poddałam się, ulegając sile potężniejszej niż ja.

31

CAPO

Zanim samochód zdążył całkowicie wyhamować, wyskoczyłem na zewnątrz i pobiegłem w kierunku nadbrzeża, do którego była przycumowana platforma ze sprzętem budowlanym.

Woda była ciemna, nic nie widziałem. Platformę oświetlała słaba żarówka, większy reflektor był skierowany w stronę rzeki. Tuż przy brzegu stał mężczyzna i trzymając się drabinki przytwierdzonej do pomostu, zanurzał w rzece czubek stopy.

To był Romeo, który asekurował brata. Brando wskoczył już do rzeki. Na brzegu leżał ekwipunek do nurkowania i sprzęt ratowniczy.

Na dźwięk mojego głosu Romeo uniósł wzrok. Podał mi rękę i objął mnie mocno.

– Amadeo. – Cofnął się i spojrzał na mnie ze spokojem. – Mój *fratello* zanurkował za twoją *moglie*. Gdy tylko podeszliśmy do brzegu, usłyszeliśmy głośny plusk. Brando widział, gdzie zanurzyła się Mariposa. To dobrze. Gdybyśmy się spóźnili chociażby kilka sekund, musiałby przeszukiwać całą okolicę.

Podeszli do nas Rocco i Tito. Tito wpatrywał się w wodę, a następnie poszedł obejrzeć sprzęt ratowniczy.

Rocco spojrzał na mężczyznę, który siedział na brzegu. Miał związane ręce i nogi, zakrwawioną twarz i białe kropki na nogach. Z bliska kropki okazały się zębami. Wokół niego leżały worki cementu, kawałki liny, taśma, noże, nożyczki i forma.

Chciał zrobić betonowy odlew pod stopy mojej żony tak, żeby mieć gwarancję, że nie wypłynie na powierzchnię. Czas. Zabrakło mu, kurwa, czasu.

Bruno. Ten skurwiel staranował ją ciężarówką, porwał ją, Bóg raczy wiedzieć, co jej zrobił po drodze, a na końcu wrzucił ją do rzeki z kawałkiem cementu przywiązanym do kostki. Przy okazji zabił dobrego człowieka. Stefano.

Romeo przytaknął.

– Jestem pewien, że masz co do niego swoje plany. Udało mi się go złapać, zanim zniknął. Miał do wyboru skok do wody albo mnie. Stchórzył i nie skoczył. – Przeciągnął się. – Wybrał mnie.

Wysunąłem dolną szczękę.

– Woda potraktowałaby cię łagodniej niż ja – powiedziałem po włosku.

Romeo mi zawtórował.

– Zapłaci za to, co zrobił.

Zamilkliśmy i patrzyliśmy w kierunku rzeki, czekając, aż Brando wypłynie na powierzchnię z moją żoną. Tito podszedł do mnie, położył mi dłoń na ramieniu i uścisnął je. Dopiero gdy mnie dotknął, poczułem, jak bardzo się trzęsę. Mój świat chwiał się w posadach, ale jego dotyk przynosił mi pewne ukojenie. Każda mijająca sekunda była tysiąc razy boleśniejsza niż nóż podrzynający krtań. Serce waliło mi tak mocno, jakby zaraz miało mi wyskoczyć z klatki piersiowej.

Już tylko chwila, Fausti, zaraz wypłyną, modliłem się cicho. Im dłużej była pod wodą, tym miała mniejsze szanse na…

Starałem się odganiać złowrogie myśli, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach. Nagle kolana ugięły się pode mną i upadłem na ziemię. Zamknąłem oczy i chwyciłem różaniec. Czy to kara za moje grzechy, za to, że żyłem w ciele człowieka, którego dusza była przepełniona nienawiścią i żądzą zemsty?

Ona zmieniła wszystko.

Gdy pojawiła się w moim życiu, skierowała je na inne tory. Zderzyliśmy się ze sobą i rozpadliśmy na milion kawałków. Wślizgnęła się przez te wąskie pęknięcia. Złączyliśmy się, a na witrażu zamiast samotnej sylwetki pojawił się człowiek z motylem na ramieniu i sercem na dłoni.

Dość tego klęczenia, wstałem i zdjąłem buty.

Nie miałem zamiaru czekać ani chwili dłużej. Moja żona musiała wrócić do domu. Musiała wrócić do mnie. Nawet jeśli miałbym spocząć na dnie rzeki Hudson. To moje przeznaczenie. To ja miałem utonąć. Niech się dzieje, co chce.

Rocco i Romeo podeszli do mnie i złapali mnie za ręce. Tito stanął naprzeciw mnie.

– Siostrzeńcu. – Z jego głosu biła powaga. Tego samego tonu użył, gdy ratował moje życie. – Nie pomożesz swojej żonie, jeśli za nią wskoczysz, i to ciebie będziemy musieli ratować.

– Może nie jestem Brando Fausti – powiedziałem – ale potrafię pływać. – Uderzyłem się w pierś. – Nie mam zamiaru czekać tu bezczynnie, kiedy on ratuje moją żonę.

– Jesteś dla mnie jak rodzony brat. – Rocco uścisnął moje ramię. – Uwierz zatem w moje słowa. Brando ją wyłowi. Uratuje ją. Jest najlepszy w swoim fachu. Pozwól mu wykonać jego robotę.

To była jego robota, ale żona była moja.

W tej samej chwili do moich uszu dobiegł najpiękniejszy odgłos, jaki słyszałem w życiu. Brando wypłynął na powierzchnię, trzymając w ramionach moją żonę. Był szybszy niż rekin. Gdy tylko wszedł po drabinie, natychmiast położył ją na ziemi.

Tito podbiegł do niej. Brando ściągnął maskę, a gdy Romeo pomógł mu zdjąć butlę, natychmiast dołączył do Tito i obaj rozpoczęli reanimację.

– Ma hipotermię – wymamrotał Tito, sprawdzając jej tętno. – Brando, musimy bardzo uważać. Wytnij ją z tego ubrania i nakryj kocem elektrycznym.

Moja żona leżała na ziemi, nie dając oznak życia. Jej skóra była blada jak kreda. Miała sine usta i ranę na czole. Rana była czerwona i głęboka, ale nie krwawiła.

Usiadłem obok niej, wziąłem ją za rękę i sprawdziłem puls.

– Wujku – wydusiłem z siebie zdartym głosem. – Brak tętna.

Tito spojrzał na mnie, a Brando rozebrał ją do bielizny i przykrył kocem.

– Mieliśmy ostrą zimę, więc woda jest lodowata. Temperatura jej ciała bardzo spadła. Musimy ją jak najszybciej ogrzać.

– Trzeba jej zrobić sztuczne oddychanie – odchrząknąłem. – Zrób jej masaż serca…

– Czekajmy na karetkę. Jeśli zacznę, nie będę mógł przerwać. Nie przestanę, dopóki nie zacznie oddychać samodzielnie. Na razie ma zbyt słabe tętno, żebym mógł je wyczuć. To jednak nie oznacza, że nie możemy jej reanimować.

W oddali zawyły syreny. Karetka była blisko. Wiedziałem jednak, że nikt inny tylko Tito będzie w stanie ją uratować.

Zanim przyjechała policja, Romeo zaprowadził Bruno do samochodu. Nasze spojrzenia spotkały się, gdy mnie mijał. Uśmiechnął się do mnie bezzębnymi ustami, a z jego twarzy biła satysfakcja. Obedrę go ze skóry, a nogi zatopię w cemencie. Potem wrzucę go do rzeki Hudson, krabom na pożarcie. Nie będą musiały przegryzać się przez skórę, przekąska będzie już obrana.

– Siostrzeńcu! – ryknął Tito.

Byłem tak wściekły, że potrzebowałem chwili, żeby przekierować na niego uwagę. Żądza mordu sprawiła, że czułem się jak wygłodniałe zwierzę, które wyniuchało zapach krwi. Moja dusza i serce krwawiły, chciałem, żeby ten nieboszczyk poczuł to co ja, gdy będę go obdzierać ze skóry, kawałek po kawałeczku.

– Skup się na niej! – Tito wskazał na moją żonę. – Mów do niej!

Mów do niej.

Moja żona.

Nie miała tętna, ale to ja byłem martwy.

Nie chciałem myśleć o tym, dlaczego Tito kazał mi do niej mówić.

Jeśli to był koniec, dotyczył nas obojga.

Nigdy więcej jej nie zobaczę.

Ona będzie w niebie. Ja w piekle.

Czas, który był nam dany na tym świecie, to wszystko, co mieliśmy.

Wziąłem jej rękę i przytknąłem ją do ust, ogrzewając własnym oddechem.

– Mariposa – powiedziałem łamiącym się głosem. – Zapomniałaś o czymś ważnym, Motylku. Bez ciebie umieram w męczarniach. Zostawiając mnie, skazałaś mnie na pewną śmierć. Brak mi słów, żeby wyrazić, co czuję. Usłysz mnie, Mariposa.

Kiedyś, gdy nóż ranił mnie głęboko, nie wiedziałem, czy będę jeszcze w stanie mówić. Wiedziałem, że słowa są miałkie. Dlatego oczekiwałem czegoś więcej i to samo byłem gotowy dać jej w zamian.

Idź za moim bólem, niech prowadzi cię do mnie. Tylko ty możesz mnie uratować. Moja śmierć i moje życie są w twoich rękach.

Przez moje myśli przedarł się głos Brando.

Temperatura. Woda. Za długo była pod powierzchnią. Liny. Odcięliśmy ją od worka z cementem. Hipotermia. Nie ma tętna. Jest w ciąży.

Mężczyźni omawiali stan mojej żony, a zatrute słowa przedzierały się do mojej świadomości.

Nie wykazywała oznak życia.

Nie żyła.

Przygniotła mnie myśl, że tyle życia miała jeszcze przed sobą. Świadomość, że tak wiele ją ominęło, była bolesna jak ukłucie tysiąca sztyletów. Ile wycierpiała. Kiedyś powiedziała mi, że nie wiedziała, czym jest spokój, dopóki nie została moją żoną. Po raz pierwszy w życiu mogła spać spokojnie, mogła odpocząć, i to nie tylko fizycznie. Diabeł, który deptał jej po piętach, nie mógł jej dogonić, wreszcie miała wygodne buty i pewny krok.

Tak wiele wycierpiała. Tak bardzo walczyła, żeby zamienić mizerną egzystencję w dobre życie. Odeszła. Mój Motylek odszedł, gdy tylko rozwinął skrzydła.

Kiedy mężczyźni zbliżyli się, przytuliłem ją mocniej do siebie, nie zdając sobie sprawy z tego, że przez cały ten czas kołysałem ją w swoich ramionach.

Nie chciałem jej puścić.

Nie mogłem pozwolić, by mi ją odebrano. Byłem gotowy odgryźć im ręce.

Była taka zimna. Czułem, jak lodowata woda sączy mi się na koszulę. Jej skóra była jeszcze zimniejsza, tak jakby wypompowano z niej resztki krwi.

Nasz syn. Skoro ona umarła, on też nie żył.

W sekundę straciłem wszystko.

Nieprzewidziane okoliczności. Człowiek, który zapragnął się zemścić.

Moja własna żądza zemsty wyprowadziła mnie w pole, z dala od niej.

– Siostrzeńcu. – Tito nachylił się i spojrzał mi w oczy. – Pozwól mi ją zabrać. Zajmę się nią. Zaufaj mi. – Uderzył się w pierś.

Pozwoliłem, żeby ratownicy położyli ją na noszach, wuj Tito nadzorował każdy ich ruch.

– Jestem lekarzem! To ja tu decyduję!

Tito powtarzał, że istniała szansa, że miała tętno, ale było zbyt słabe, aby można je było wyczuć. Gdyby udało się ją ogrzać, mogła przeżyć.

Gdyby. Gdyby. Gdyby. Życie mojej żony, moje życie wisiało na włosku.

Ratownicy nie oponowali, ale widziałem, że według nich już nie żyła.

Spoglądali na mnie z nieufnością, jeden z nich zerknął na mój tatuaż. Poszedłem za nimi do karetki, nie miałem zamiaru zostawiać jej samej. Podłączyli ją do monitorów, ale bez rezultatu. Rozległ się dźwięk alarmu, a na ekranie pokazała się pojedyncza pozioma linia.

Rozpętał się kontrolowany chaos.

Tito wyszczekiwał rozkazy jak oficer na polu bitwy. Przykryto ją kolejnym kocem, aby podnieść temperaturę jej ciała. Ratownik rozpoczął resuscytację.

– Nic – powiedział jeden z nich, zerkając na monitor i spoglądając na Tito. – Brak tętna.

– Nie przestawaj – warknął Tito. – Mariposa. No dalej, Motylku. Nie poddawaj się. Oddychaj.

Odwróciłem wzrok, moje serce, które dopiero co zaczęło bić, rozpadło się na tysiąc kawałków. Paniczny dźwięk alarmu, który wydała z siebie maszyna, nie odnajdując sygnałów życia, wyrażał to, co czułem.

– Mariposa – wyszeptał Tito.

Ton jego głosu pozbawił mnie resztek nadziei.

– Powiedz to – poprosiłem.

Nie mogłem na niego spojrzeć, nie chciałem widzieć współczucia w jego oczach. Ton jego głosu potwierdził moje najgorsze przypuszczenia. Mój Motylek już nie żył.

– *Farfalla* – Tito podniósł głos.

Minęło kilka sekund.

– Jest! – wykrzyknął. – Mam tętno!

Uniosłem wzrok. Ratownik zaczął wyczyniać jakieś dziwne wygibasy przy monitorach, na których poziome linie zaczęły się unosić coraz wyżej i wyżej. Jej tętno przyśpieszało. Nawet rana na czole zaczęła krwawić.

Jęknęła, a gdy trafiliśmy na dziurę w jezdni, krzyknęła z bólu. Chwilę potem ścisnęła moją dłoń i w ten sposób przeżyłem, aby móc opowiedzieć o tysiącu śmierci, które mi zadano, i o życiu, które nadal miałem przed sobą. Z nią u boku.

32

CAPO

Choć mój syn miał zaledwie kilka godzin, już rządził całym naszym światem.

Tito nazwał go cudownym dzieckiem. Przeżył wbrew wszystkiemu. To po mamie. Powiedziała, że do mnie też jest podobny.

Miał gęste ciemne włosy, brązowe oczy, które były na tyle jasne, że w przyszłości mogły nabrać bursztynowego koloru, i skórę w odcieniu migdałowym. Był szeroki w ramionach, a jego ręce i nóżki były długie. Był dużym chłopcem.

Mariposa powiedziała, że odziedziczył po mnie rysy twarzy i budowę ciała, ale nie miał ani jej nosa, ani moich oczu, dwóch cech, na których nam zależało. Jednak ważąc na szali odpowiednie rysy twarzy i umiejętność przeżycia na tym okrutnym świecie, byłem wdzięczny, że posiadł zdolność przeżycia.

Pewien mędrzec powiedział mi kiedyś, że często nie dostajemy tego, czego chcemy, ale to, czego potrzebujemy.

Kiedyś pragnąłem zostać królem. Chciałem mieć wszystko. Byłem zachłanny.

Osiągnąłem wszystko, czego chciałem, ale moje potrzeby zostały zaspokojone w inny sposób. Zostałem królem serca mojej żony i władcą świata, który wspólnie stworzyliśmy. Byłem gotów zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby mojemu synowi nigdy niczego nie zabrakło.

Wziąłem go na ręce, podszedłem do okna i podniosłem rolety. Wystawiłem go do słońca i po raz pierwszy pokazałem światu nowo narodzonego księcia.

Mojego syna.

Saverio Lupo Macchiavello.

Był księciem, księciem naszego świata. Nie musiał udowadniać, że jest bezwzględny, żeby objąć panowanie. On już nami rządził. Niezależnie od drogi, którą wybierze, i innych wyborów, których dokona, zawsze będzie mógł wrócić do swojego królestwa. Jeśli poczuje, że goni go diabeł, zapewnimy mu bezpieczne schronienie.

– Jest równie przystojny, jak jego tata.

Odwróciłem się i spojrzałem na moją żonę. Właśnie się przebudziła, ale mimo jedenastogodzinnego porodu wyglądała jak nowo narodzona. Była nie do poznania. Miękka i na tyle elastyczna, żeby wydać na świat dziecko, w duszy okazała się królową wojowniczek, kobietą o niezachwianej wierze i sile, której nie powstydziłby się najsilniejszy mężczyzna na świecie. Jej ciało i kości mogły zostać naruszone lub złamane, ale dusza była niezniszczalna.

To dzięki mojej żonie udowodniłem światu, że jestem mężczyzną. Nieźle się przy okazji spociłem.

– Będzie duży jak jego tatuś. – Syknęła z bólu. – Nadwerężył moją muszelkę.

Roześmiałem się, a mój syn zamrugał i ziewnął.

– Pamiętaj o tym, gdy podrośnie i będziesz chciała mu czegoś zabronić. – Wzruszyłem ramionami. – Będziesz mogła mu to wypomnieć i wzbudzić w nim poczucie winy.

Uśmiechnęła się, była zmęczona, ale słońce opromieniało jej twarz. Wyglądała tak zdrowo. Była pełna życia. Poklepała miejsce obok siebie i otworzyła ramiona.

– Chodź do mnie. Chcę mieć blisko was obu.

Co jakiś czas zaglądały do nas pielęgniarki, żeby zabrać dzidziusia, ale nie chcieliśmy się z nim rozstać. Po tym, co się stało, nie mogłem ich spuścić z oka. Nie chciałem ryzykować.

Mariposa wzięła ode mnie Saverio i przytuliła go, wdychając zapach jego włosów. Miał tak gęstą czuprynę, że mogliśmy go czesać. Uśmiechnąłem się i dłonią postawiłem mu włoski na sztorc.

– Capo – wyszeptała.

Po chwili spojrzałem na nią. Było mi trudno oderwać od niego wzrok. Mógłbym się w niego wpatrywać w nieskończoność.

– Mariposa. – Nachyliłem się do niej i pocałowałem ją w czoło. Zamknęła oczy, wyglądała na zafrasowaną. Coś ją gnębiło.

– Powiedz mi, czym się martwisz.

Przytaknęła. Otworzyła oczy i zaczęła skubać kocyk synka.

– Wiesz, chciałam mu wybaczyć. Bruno. Gdy zaczęłam tonąć. Czułam, że powinnam. Jednak nie mogłam. Zdałam sobie z tego sprawę, gdy zaczęłam tracić przytomność. Mogłabym mu wybaczyć to, że zabił mnie, ale nie to, że zabił mojego syna. – Przytuliła Saverio i pocałowała go w główkę. – Nie mogłabym mu wybaczyć, że zabił moje dziecko.

Jej ton był zdecydowany, a ja poczułem się, jakbym rozmawiał z jej matką. Maria wybaczyła mi, ale tylko dlatego, że nie zabiłem jej córki. Byłem zdeterminowany, żeby ją uratować, nie chciałem jej skrzywdzić. Dlatego Maria wybaczyła mi bez chwili wahania.

Pogłaskałem Mariposę po policzku.

– Jesteś do tego stworzona. Do bycia jego matką. Byłabyś gotowa dla niego zabić. Poświęciłabyś dla niego własne życie.

– Zostałam stworzona także dla ciebie – powiedziała cicho, nie patrząc mi w oczy.

Zmierzwiła dzidziusiowi włosy.

– Ty też dla mnie umarłeś. Zabiłeś dla mnie. Kochasz nas bardziej, niż jesteś w stanie pojąć. Dzięki temu, że kochasz nas tak bardzo, że byłeś gotowy wszystko poświęcić dla tej chwili, jesteśmy teraz razem.

Spojrzała na mnie i dotknęła mojej krtani.

– Capo, kocham cię. Zawsze cię będę kochać. Już nigdy się ode mnie nie uwolnisz.

Sięgnąłem po jej dłoń i zbliżyłem do niej usta, całując ją w nadgarstek dłużej niż zwykle.

Uśmiechnęła się.

– *Più delle parole, mio marito.* Więcej niż słowa, mój mężu – wyszeptała.

Po chwili zaczęła nucić synkowi kołysankę.

Ktoś zapukał do drzwi. Mariposa nawet nie uniosła wzroku. Była strasznie wymęczona i zakochana po uszy w dziecku, które trzymała w ramionach, była delirycznie upojona życiem.

Wkrótce po narodzinach syna wyprosiłem naszą rodzinę z pokoju. Mariposa potrzebowała odpoczynku, a ja chciałem poprzyglądać się własnemu dziecku, zanim dorwały się do niego baby.

Dlatego nie miałem pojęcia, kto mógł stać za drzwiami, może jedna z pielęgniarek, zwykle pukały przed wejściem.

W korytarzu stała Keely z Chłoptasiem Harrym i Cashem Kellym. Keely trzymała torbę z prezentami.

Zmrużyłem oczy i spojrzałem na mężczyzn, podczas gdy Keely wepchnęła się do środka i podbiegła od razu do Mariposy i Saverio.

Chłoptaś Harry kiwnął mi głową na powitanie.

– Masz coś przeciwko, żebym… – Wskazał na moją żonę.

Na dźwięk jego głosu Mariposa uniosła wzrok. Keely, która trzymała Saverio na rękach i robiła do niego głupie miny, również spojrzała na mnie. Skupiłem spojrzenia wszystkich.

Kiwnąłem głową bez słowa. Chłoptaś Harry pewnie sądził, że skoro uratowałem jego siostrę, wszystko między nami jest już w porządku, ale ja wiedziałem, że zawsze będę go bacznie obserwował. Nadal kochał moją żonę, mimo że był zainteresowany moją kuzynką Gigi.

Cash stanął w drzwiach.

– Masz chwilę, Macchiavello?

Spojrzałem na Mariposę. Przygryzła wargę i ściskając brzeg koca, spojrzała na nas z nieufnością. Nie była zachwycona obecnością Casha.

– Zaraz wracam – powiedziałem.

Przytaknęła bez słowa. Keely zagadnęła ją, ale ona patrzyła na mnie znacząco. Jej wzrok mówił: „Nie składaj obietnic, które mogłyby cię nam odebrać”.

Zamknąłem drzwi i stanąłem w korytarzu plecami do ściany.

– Gratulacje – powiedział Cash, wsuwając ręce do kieszeni. – Twoja żona świetnie się spisała. Twój syn jest dużym, zdrowym chłopakiem.

Przytaknąłem.

– Przyjechałeś tu po to, żeby pogadać o mojej rodzinie? Wątpię. Przejdźmy do rzeczy.

Westchnął.

– Chciałem się dowiedzieć bezpośrednio od nowego Króla Nowego Jorku, na czym stoję. Doszły mnie plotki, że po śmierci Arturo i Achille to ciebie okrzyknięto ich następcą, bo nie zostawili po sobie spadkobierców. Nie obracamy się w tych samych kręgach. – Wyszczerzył się. – Nieprzewidziane okoliczności albo siła grawitacji spowodowały jednak, że znaleźliśmy się w tej samej szarej strefie.

– Ty stoisz tam, gdzie stoisz. Ja stoję tu. Nie jesteśmy ani sprzymierzeńcami, ani wrogami. Wyświadczyłeś mi przysługę. Ja się zrewanżowałem. Jesteśmy kwita. Nie przejmuję schedy po rodzinie Scarpone. Ich dziedzictwo umarło razem z nimi. To zależy, kogo zapytasz, ale gdybyś zapytał mnie, moja odpowiedź brzmi następująco: to coś, z czym nie chcę mieć nic wspólnego. Mam swoje życie i żyję wedle zasad, które sam ustalam. Poza tym pracuję tylko dla jednej rodziny, poza moją własną, i jest nią rodzina Faustich. Reszta mnie nie dotyczy… – powiedziałem i wzruszyłem ramionami.

Moje inwestycje i rozliczne interesy wystarczyły, żebym mógł zapewnić swojej rodzinie dostatnie życie.

Kiedyś dążyłem do tego, żeby zostać nowym Królem Nowego Jorku, nowym Królem Wilków, jednak nieprzewidziane okoliczności, w osobach mojej żony i syna, zmieniły koleje losu. Ten los prowadził do królestwa, które czekało na mnie za drzwiami.

EPILOG

MARIPOSA

dziesięć lat później

Ploszę, mamusiu, ploszę!

Córka pociągnęła mnie za rękę, szarpiąc ją w górę i w dół, a moje ciało przechyliło się na lewą stronę.

– Evelina, dziecko drogie, uspokój się. – Uśmiechnęłam się do mojej rezolutnej pięciolatki. Była trzecim dzieckiem z całej naszej czwórki i dziewczynką, oczkiem w głowie swojego tatusia. Biedaczka, odziedziczyła po mnie nos. Przynajmniej oczy miała po ojcu.

Przestała mnie szarpać, ale gdy spojrzałam w te jej szafirowe oczy, zobaczyłam, że ostro kombinuje. Kontrastowały z jej kruczoczarnymi włosami i opaloną skórą. Miała pełne różowe usteczka i pięknie potrafiła je wydymać. Wcześnie pojęła, że motyle łapie się na lep, nie na sól.

– Mamusiu – wyszeptała słodko i pocałowała mnie w palec. – Mogę zobaczyć ten pierścionek, ploszę? – Trzymając mnie za rękę, wskazała na biżuterię.

Chciała przymierzyć moje pierścionki zaręczynowe. Kochała królewny, więc wszystkiego, co świeciło, musiała natychmiast dotknąć, a każdą rzecz, która choć trochę przypominała ich stroje, musiała przymierzyć.

Rzadko je zdejmowałam. Ostatni raz, gdy robiłam kotlety, bo nie chciałam zabrudzić pierścionków mięsem. Ilekroć je zdejmowałam, odkładałam je w przeznaczone do tego miejsce. Najpóźniej po dziesięciu minutach zakładałam je z powrotem. Czasami nie zdejmowałam obrączki, tylko szorowałam ją później szczoteczką.

Na naszą dziewiątą rocznicę Capo podarował mi obrączkę wysadzaną brylantami. Nosiłam ją na trzecim palcu prawej dłoni i z nią także nigdy się

nie rozstawałam. Mój palec okalały cztery motyle, każdy reprezentował jedno z naszych dzieci.

Evelina często prosiła mnie o tę obrączkę, ale po raz pierwszy chciała założyć moje pierścionki zaręczynowe. Symbolizowały coś trwałego i niezniszczalnego.

Jego. Nas. Nasze wspólne życie.

Jej urok był rozbrajający. Panna Subtelna. Taka była nasza córka, Evelina Noemi Maria. Westchnęłam.

– Dobrze, ale musisz usiąść przy stole. Dam ci je tylko na chwilę. Te pierścionki są dla mamy jak specjalne ubranie. Są mi potrzebne, żebym mogła się czuć ubrana i gotowa.

Chichocząc, chwyciła moją dłoń i zaprowadziła mnie do stołu. Wzięłam ją na ręce, zanim zdążyła się wdrapać na krzesło, a gdy ją posadziłam, krzyknęła z radości.

Przebywaliśmy w willi na obrzeżach Modiki. Dom nie był duży, ale zadbaliśmy o to, żeby był wygodny. Zadomowiliśmy się w nim. Najbardziej lubiłam spędzać czas w kuchni.

Zdjęłam oba pierścionki i wsunęłam na jej palec. Były dla niej za duże, więc zsuwały się z jej paluszka, ale przytrzymała je. Wstając, pocałowałam ją w rączkę. Na widok pierścionków zaświeciły się jej oczy.

– Są takie piękne, mamo – westchnęła. – Kocham je. – Objęła się ramionami i uśmiechnęła szeroko.

W piekarniku zadzwonił timer i odwróciłam się na chwilę, przypominając sobie, że powinnam wyjąć tartę z czerwoną papryką. Zaprosiliśmy rodzinę na kolację z okazji naszej rocznicy.

– Evelina – powiedziałam ostrym tonem. – Siedź na miejscu i nie waż się ruszyć. Słyszysz, co mówi mamusia? Muszę wyjąć tartę z piekarnika.

Przytaknęła z entuzjazmem, podekscytowana, że może ponosić pierścionki jeszcze chwilę dłużej. Wyjęłam tartę i odstawiłam ją na kuchenkę, odhaczając w myślach, co jeszcze musiałam zrobić.

– Co tu pisze? – zapytała Evelina.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że wpatruje się w mój pierścionek. Zdjęła go z palca i trzymała pod światło.

– Poproszę. – Wystawiłam palec. – Oddaj je mamusi. Nie mogę chodzić bez spodni, prawda?

Zachichotała, jakbym powiedziała coś strasznie śmiesznego, i pocałowała mnie w nos, gdy uklęknęłam przed nią i ściągnęłam z jej palca pierścionki. Wsunęła mi na palec obrączkę i zanim włożyła mi pierścionek, wskazała na jego wewnętrzną stronę.

– Co tu pisze? – zapytała ponownie. Zmrużyła oczy i zmarszczyła czoło. Po prostu skóra zdarta z Capo.

Nie potrafiła czytać, ale rozpoznawała niektóre słowa. Nie byłam pewna, o czym mówi.

– Tu nic nie jest…

Napisane, chciałam powiedzieć, ale zamilkłam, gdy spojrzałam na miejsce, które wskazywała.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat zauważyłam, że na wewnętrznej stronie widniał grawerunek.

– Ja pierdolę – wyszeptałam.

– Co, mamusiu?

– Och. – Ugryzłam się w język. – Ja pitolę.

– Pitolę, pitolę!

Obsypałam ją soczystymi pocałunkami.

– Skarbie, a co powiesz na to? Może pójdziemy do ogrodu poszukać tatusia i twoich braci? Założę się, że znajdziemy jakiegoś motylka!

Nie chciała zostać w ogrodzie z rodzeństwem, bo wolała pomóc mi w kuchni. Uwielbiała wszelkie prace kuchenne, ale tak naprawdę chodziło o coś innego. Chciała się pierwsza dorwać do deseru.

– Tak! – krzyknęła z entuzjazmem i zeskoczyła z krzesła, zanim zdążyłam ją złapać. Pobiegła do drzwi i wpadła prosto w ramiona wchodzącego Capo. Podniósł ją i podrzucił do góry, więc zapiszczała z radości.

– Powiedz to, Evelina. Wypowiedz magiczne słowo.

– Bebeski! – Tak mówiła na niebieski. To był jej ulubiony kolor. – Bebeski, tato, bebeski!

Capo postawił ją na ziemi, a ona chwyciła go za policzki i przyciągnęła do siebie, ściskając z całych sił i marszcząc się komicznie z wysiłku.

Ilekroć zdejmowałam pierścionki, wkrótce potem pojawiał się w zasięgu mojego wzroku. To było dziwne, jakby czekał, aż je zgubię, żeby mógł mi je odnaleźć.

– Gdzie chłopcy? – zapytałam.

Saverio był najstarszy. Salvatore urodził się jako drugi. Po nim przyszła na świat Evelina. Najmłodszy był Renzo, nasz dzidziuś. Miał trzy lata i jeśli ktoś nazwał go dzidziusiem w jego obecności, marszczył brew i robił groźną minę, upodabniając się do Capo.

Capo zmrużył oczy i zerknął na moje dłonie, mój dziwny nastrój nie przeszedł niezauważony.

– Saverio zabrał Salvatore i Renzo na spotkanie z rodziną Faustich. *Zie* poszły z nimi. – Spojrzał na mnie, po czym kiwnął głową, sygnalizując, żebym wyszła z nim na zewnątrz.

Z biegiem lat coraz częściej porozumiewaliśmy się bez słów, mówił z coraz większym trudem. Zresztą to, co robił, zawsze było dobitniejsze niż to, co mówił.

Gdy zbliżyłam się do niego, wziął mnie za rękę i pocałował w nadgarstek. Ponownie zerknął na moje pierścionki. Tym razem odniosłam wrażenie, że sprawdza, czy są na właściwym miejscu. To było dziwne.

– Mnie też pocałuj. – Evelina podsunęła mu pod nos swój nadgarstek, na którym złożył uroczysty pocałunek. – Jestem twoją królewną, tatusiu.

– Jesteś. *Per sempre*.

Gdy wyszliśmy do ogrodu, postawił ją na ziemi. Pobiegła prosto do jednego z wodopojów i zaczęła się przyglądać motylom, które rozprostowywały skrzydełka w zachodzącym słońcu i spijały nektar z kwiatów. Evelina była nadpobudliwym dzieckiem, ale gdy w pobliżu pojawiały się motyle, wiedziała, że powinna traktować je z szacunkiem.

Spojrzałam z podziwem na dzieło moich synów.

Nad stołem nakrytym dla dwudziestu osób, pomiędzy drzewkami cytrynowymi, rozwieszono lampki w kształcie motyli, w tle cicho sączyły się dźwięki muzyki. Saverio nazywał ją muzyką dla dziadków. Czasy się zmieniły. Jeśli ja byłam stara, mój mąż był istnym matuzalemem. Ani ja, ani on nie byliśmy zachwyceni, gdy nasze dzieci przezywały nas starcami.

Ogród, który zasadziliśmy wspólnie z Nonno, nigdy nie wyglądał tak pięknie jak tego wieczoru. Kolory zdawały się eksplodować w zachodzącym słońcu, a w powietrzu roiło się od motyli, które znalazły u nas bezpieczne schronienie.

Korzenie. Nasze korzenie są tutaj. Ilekroć nadarzała się okazja, opowiadaliśmy naszym dzieciom o człowieku, który nauczył nas sadzenia i pielęgnacji roślin. Każde z naszych dzieci znało na pamięć bajkę o wilku i motylu.

Zaczęłam bawić się pierścionkami, w nadziei, że Fausti nie przybędą na czas. Było mi trudno skupić się na czymś innym niż na moim mężu.

Czas obszedł się z nim łaskawie. Z biegiem lat Capo stawał się coraz przystojniejszy. Nadal był bardzo wysportowany, na ciele nie miał grama tłuszczu, a zmarszczki dodawały mu męskości. Lekka siwizna przyprószyła mu skronie, a siwy zarost mienił się w słońcu i dodawał powagi.

Nadal wszystko ogarniał.

Nadal sprawiał, że czułam się bezpiecznie.

Nadal zapierał mi dech w piersiach.

Nadal na sam jego widok miałam motylki w brzuchu, a serce biło mi szybciej.

Nadal sprawiał, że go pożądałam i nie mogłam się nim nasycić, każdego dnia, każdej nocy, w każdej sekundzie życia. Pusta przestrzeń, którą zajmował, nigdy nie była w pełni wypełniona. Z każdym dniem poszerzała się, żeby pomieścić narastający głód. Byłam niezaspokojona.

Nadal go kochałam, ale inaczej niż wcześniej. Kochałam go jeszcze bardziej, na wiele różnych sposobów. Był moim najlepszym przyjacielem. Moim kochankiem. Moim sercem. Ojcem moich dzieci. Moim królem wilków. Moim szefem. Był dla mnie wszystkim.

Z każdym kolejnym dniem kochaliśmy się coraz bardziej. Podobnie jak rośliny w naszym ogrodzie coraz głębiej zapuszczaliśmy korzenie w ziemi, która stała się naszym domem. Z oddaniem pielęgnowaliśmy to, co udało nam się stworzyć.

– Jeśli nie o to ci w życiu chodziło, przemów teraz, Motylku, lub zamilknij na wieki.

Gdy przysunął się do mnie, zabrakło mi tchu. Zachodzące słońce odbijało się w jego oczach, a ja przypomniałam sobie nasze nagie, letnie, morskie kąpiele.

– Za późno na żale, czyż nie, Capo?

Przytuliłam się do niego, a moje dłonie zaczęły błądzić po jego piersi. Dotknęłam blizny.

– Czy czegoś pani żałuje, pani mecenas?

Czasami tak do mnie mówił. Po narodzinach Saverio wróciłam na studia i skończyłam prawo. Od czasu do czasu pomagałam Rocco w kwestiach prawnych, które dotyczyły rodziny. Udzielałam się też charytatywnie na rzecz dzieci, które podobnie jak ja kiedyś potrzebowały pomocy, gdy zawiódł je system. Przede wszystkim pochłaniało mnie macierzyństwo, ale lubiłam od czasu do czasu wyrwać się z domu.

– Czy czegoś żałuję? – Pokręciłam głową. – Nigdy. Niczego.

Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na Evelinę, która zamknęła się w swoim świecie. Bawiła się z wróżkami. Mówiła do nich szeptem, nie chcąc niepokoić motyli.

Capo uśmiechnął się, ale zanim zdążył coś powiedzieć, wspięłam się na palce i wpiłam mu się w usta, pragnęłam go tak bardzo, że nie umiałam tego wyrazić. Chciałam poczuć go w sobie, chciałam, żeby mnie posiadł i obezwładnił swoją mocą.

Gdy oderwaliśmy się od siebie, nie otwierając oczu, oparłam mu głowę na piersi. Słyszałam miarowe bicie jego serca.

– *Ti amo* – wyszeptałam i chwyciłam go za koszulę. Dwa życiodajne i śmiercionośne słowa, które kazał wygrawerować na moim pierścionku zaręczynowym.

Odsunął się i spojrzał na mnie.

– Musiało minąć dziesięć lat. – Pokręcił głową. – Wreszcie je przeczytałaś.

– Dziesięć lat? – Spojrzałam na niego. – Zrobiłeś to przed naszym ślubem?

– Od razu, gdy zamówiłem pierścionek.

Roześmiałam się cicho i spojrzałam na niego z zachwytem.

– Lepiej późno niż wcale.

Był cierpliwy, zarówno w miłości, jak i zemście.

– Najwyższy, kurwa, czas. – Wpił mi się w usta pocałunkiem, wyrażając wszystko, co chciałam mu powiedzieć, nie używając słów. – Nie mogłem wytatuować tych słów na sercu, więc wybrałem inną możliwość. Wygrawerowałem je na twoim pierścionku i wsunąłem ci go na palec. Do dziś, choć minęło dziesięć lat, od razu wiem, kiedy zdejmujesz go z palca.

– A twoje ciało? – Zmarszczyłam czoło. – Nie powinnam na nim odcisnąć swojego śladu?

Uśmiechnął się i chwycił mnie za kark.

– Mariposa, oboje wiemy, że odcisnęłaś. Jesteś we mnie, na mnie, jesteś moja. Dziś. Jutro. *Per sempre*.

Na dłoni tuż nad głową wilka wytatuował sobie małego, niebieskiego motyla. Miał kolor równie jaskrawy jak jego oczy. Jednak najdobitniejszym dowodem mojej obecności w jego życiu była szrama na szyi. Mimo to zrobił więcej szumu wokół nowego tatuażu.

I wtedy mnie olśniło. Grawerunek na pierścionku rzucał dodatkowe światło na naszą historię.

– Nasz układ – zawiesiłam głos. – Skoro już wtedy wiedziałeś, że mnie kochasz…

Uśmiechnął się szelmowsko.

– Po co te inne kobiety? – Wzruszył ramionami. – Z nimi to byłby czysty układ, nic więcej. Zdecydowałem się na aranżowane małżeństwo z tobą, bo… – Spojrzał na mnie i westchnął. – Bo chciałem zaleczyć twój uraz do życzliwości. Wiedziałem, że potrzebujesz jasnych zasad. Formalnie wszystko było zgodne z literą prawa, w wypadku mojej śmierci zostałabyś

moją spadkobierczynią. Poza tym to był fortel. Tak czy inaczej, udało mi się ciebie zaobrączkować.

Od początku był moim „na zawsze”.

– Pamiętasz naszą grę w dwadzieścia pytań tuż po ślubie?

– Nikt nie pobiera opłat – przedrzeźnił mnie.

– Tak – odparłam, nie byłam zaskoczona, bo wiedziałam, że ma doskonałą pamięć. – Zapytałam cię, czy byłeś już zakochany.

– Odpowiedziałem, że nie.

– Następne pytanie – przypomniałam mu jego słowa.

– Nie zapytałaś, czy jestem zakochany, tylko czy byłem. Nie byłem. Przed tobą nie było nikogo. Mariposa, pamiętaj, precyzja jest bardzo ważna.

– Ja pierdolę – powiedziałam i wybuchnęłam śmiechem.

Evelina przyłożyła palec do ust.

– Cicho, mamusiu, wystraszyłaś bebeskiego motylka.

Capo i ja przytuliliśmy się do siebie, śmiejąc się cicho. Każdy kolejny rok, w którym mogłam być z nim, był lepszy niż poprzedni. Nie mogłam się doczekać kolejnych stu.

– Mia – wyszeptała Evelina i podbiegła do małej dziewczynki. Towarzyszył jej Saverio. Była w tym samym wieku, co Evelina.

Poczekaliśmy, aż nasi krewni podeszli bliżej, i zaczęliśmy wymieniać pocałunki i uściski rąk. Nasza *famiglia* rozrosła się przez minione lata, nie tylko my doczekaliśmy się potomstwa. Gdy spotykaliśmy się wszyscy razem, robiło się gwarno.

Moje życie było piękniejsze, aniżeli mogłabym sobie wyobrazić. Wykraczało poza najśmielsze marzenia. Dostałam to, czego potrzebowałam.

W moim życiu bywały chwile, kiedy nie wierzyłam, że przeżyję kolejnych dziesięć minut, a co dopiero dziesięć lat.

Nawet milion lat nie wystarczy, żebym mogła nacieszyć się moimi dziećmi i moim *capo.*

KONIEC

CAPO

Teraz już wiesz…

Jej radość życia.

Jej opętańczy śmiech.

Jej zaraźliwy uśmiech.

Jej królewski profil.

Jej miękkie usta.

Jej cudowny zapach.

Jej lasagne al forno i grzane piwo z lodami.

Jej fascynacja starym kinem.

Jej miłość do kolorowania.

Jej zamiłowanie do prowadzenia pamiętnika, do kolekcjonowania słów.

Jej fascynacja starą i współczesną muzyką.

Jej głos, gdy śpiewa kołysanki naszym dzieciom.

Jej dotyk, bardziej wymowny od słów.

Jej nogi oplatające mnie, gdy wykrzykuje moje imię, podczas gdy wchodzę w nią głęboko.

Ona.

Moja żona.

Moja kochanka.

Moja przyjaciółka.

Na dobre i na złe.

Moja królowa.

Moja powierniczka.

Moje serce.

Mój różaniec.

Mój witraż i moja mozaika.

Mój Motylek, *mia farfalla*, moja Mariposa.

Moje wszystko.

Kocham ją.

Matkę moich dzieci.

Kocham ją.

Jeśli zdradzisz komuś naszą tajemnicę, przysięgam, że cię, kurwa, zabiję.

PODZIĘKOWANIA

Słowa podziękowania nie wyrażają w pełni wdzięczności, którą czuję, ale mimo to spróbuję.

Mojej rodzinie:

Bez Was napisanie tej książki nie byłoby możliwe. Bez mojego męża, który brał na siebie przyrządzanie kolacji, bez mojej córki, która pomagała mi w prowadzeniu mediów społecznościowych, bez mojej mamy, która wyjaśniała mi wątpliwości związane z kwestiami medycznymi, oraz mojego brata, który niestrudzenie przypominał mi, że powinnam pamiętać o odpoczynku. Mój sukces jest również Waszym sukcesem. Wszystko w moim życiu zawdzięczam Wam i Waszej miłości.

Mojej redaktorce, Alisie Carter:

Na zawsze pozostaniesz moją najlepszą przyjaciółką. Dziękuję Ci za to, że polerujesz nieoszlifowane diamenty.

Stephanie Phillips, mojej agentce (SBR Media):

Dziękuję Ci, że podjęłaś się współpracy ze mną! Jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie robisz!

Drue i Debra z Buoni Amici Press:

Jesteście wspaniałym zespołem! Promocja książki to duże wyzwanie, ale dzięki Wam wszystko poszło jak z płatka! Jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiliście!

Moim pięknym beta czytelniczkom – Stephanie, Lashell, Annie, Mali i Pam:

Wasze uwagi są bezcenne, dziękuję, że uwielbiacie moje opowieści tak bardzo jak ja! *Grazie, Belle!*

Najli wraz z zespołem z Qamber Designs:

Nadal nie odnajduję słów, żeby wyrazić, jak bardzo podoba mi się okładka *Lupo*. Ilekroć na nią spoglądam, natychmiast staje mi przed oczami Mac. Dla pisarza moment, w którym po raz pierwszy widzi oprawę graficzną swojej książki, jest bezcenny i absolutnie wyjątkowy. To czysta magia. Dziękuję Wam za Waszą pracę.

Moim drogim Czytelnikom:

Jesteście najlepsi! Dziękuję, że zaprosiliście mnie i moje opowieści do swojego życia. Pisarz potrzebuje czytelników, tak jak ciało serca. To dzięki Wam przelewam słowa na papier. Dziękuję!

Chciałabym również podziękować Nowemu Jorkowi i Włochom za to, że są dla mnie tak inspirujące. Gdy pisałam *Lupo*, zarówno oba te miejsca, jak i mój stan Luizjana, poważnie ucierpiały z powodu epidemii. Wirus, ten niewidzialny przeciwnik, zmienił życie tylu osób, zmienił to, jak wygląda nasz świat. To minie. Do tego czasu wysyłam wszystkim wyrazy miłości i słowa modlitwy.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
ul. Sienna 73
00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775
e-mail: info@muza.com.pl
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz